

CZEŚĆ PIERWSZA
MINISTERIALNE KONKIETY
Grudzień 1932 - maj 1934

Piątek - 16 grudnia 1932

Godzina prawie dwunasta w nocy. Przed chwilą odwieźli mnie, życzyli dobrej nocy i zostawili samą w mieszkaniu przy ulicy Górskiego, które według ich słów jest obecnie całkowicie moje. A więc po kolei:

Na peronie oczekiwali mnie oboje. Stryjek wsadził nas do samochodu i po krótkiej chwili otworzono przede mną drzwi do dawnego mieszkania Florencji. Puszczono mnie przodem, zdjęto ze mnie futro i bez zbędnych słów powiedziano mi:

- To jest obecnie twoje mieszkanie, Anno.

Nawet nie wiem, które z nich wyrzekło do mnie te słowa, ponieważ staliśmy wszyscy troje w pierwszym pokoju i zaraz padły następne słowa. Te pamiętam doskonale, ponieważ przemówiła Florencja:

- Powinszuj nam, Anno, jesteśmy małżeństwem!

Nie było czasu na rozmyślanie, ponieważ trzeba było składać życzenia i wymieniać pocałunki. W pół godziny później zasiedliśmy już do kolacji u Langnera na Placu Teatralnym. Kolacja była z fasonem, na osobności i z winami. Powrót do domu, pożegnanie i pierwsza samotność w moim pierwszym mieszkaniu.

Piszę to wszystko nieporządnie. Trudno inaczej. Piszę zaraz - gdy zamknęły się drzwi za nimi. Pierwszy z pokoiów wypełniają meble z naszego wspólnego saloniku, z czasów gdy zamieszkiwałyśmy z Leokadią w mieszkaniu starego doktora, drugi jest wiernym odtworzeniem mojego pokoju w poznańskim mieszkaniu Leokadii.

Przed chwilą obejrzałam resztę. W przedpokoju nie znane mi z pochodzenia meble, to samo w trzecim małym pokoiku, urządzonej jako pokój gościnny. Kuchnia świeżo odnowiona, całkiem nowe meble.

Obecnie kręci mi się w głowie, wszystko, moje nowe mieszkanie, słowa Florencji i Marcina, kolacja u Langnera - to jest podobno poważny i solidnie drogi lokal warszawski - oraz nowy fakt: Florencja i Marcin. Na razie nie powiedzieli wyraźnie, kiedy i jak się to stało. Prawdziwe zaskoczenie. Raczej ja wiele opowiadałam o moich włoskich podróżach. O Paryżu i o domu przy nie du Pont Vert. Mentonę pominęłam, starałam się nie wymieniać osób po imieniu, a jedynie mówić o całości.

Na razie siedzę w foteliku i wpatruję się w portret mojej prababki. Tej - imienniczki. Postać zdaje się wychylać z ram i zbliżać ku mnie. Zaczyna się nowy rozdział w moim życiu.

Niewiele rzeczy dowiedziałam się dzisiaj. Marcin nie chciał rozmawiać na poważne tematy i wykręcił się jednym zdaniem:

- Jutro będzie czas na poważne rozmowy, gdy wypoczniesz po podróży.

Florencja potwierdziła to samo uśmiechem. Stało się, o czym marzyłam: Florencja należy do Marcina.

Sobota - 17 grudnia

Pierwszy dzień w moim nowym mieszkaniu rozpoczęłam od napisania podania o przyjęcie na służbę państwową w ministerstwie skarbu. Powołałam się na naszego generała oraz na jakiegoś wiceministra Jastrzębskiego, którego nigdy na oczy nie widziałam. Ale to było z góry ułożone i tak dyktowała mi Florencja.

Później Florencja wpackowała mnie do samochodu i rozpoczęła się wędrówka po Warszawie. W ministerstwie oglądali raczej moje nowe futro i niemiecki sygnet na palcu. Naturalnie nie popełniłam gafy i nie zapytałam, kiedy mam się dowiedzieć o los mojego podania. O wszystkim była mowa, tylko nie o tym. Tak się złożyło, że tam właśnie

przypadkowo zupełnie wygadałam się o moim mentońskim miesiącu. Wydało mi się, że Florencji było jakby nieprzyjemnie - ale przeszło. Później zadowolili się kilku moimi słowami, że obie wycoczywałyśmy, ponieważ Cook dał się nam porządnie we znaki.

Obiad zjadłyśmy u Wirewiczów. Marcin miał ważne konferencje i zjawił się dopiero późnym wieczorem, już na Żoliborzu.

Za dużo wrażeń. Obecnie znów jest prawie północ, wyjątkowo dzisiaj jestem senna. Tak wiele różnych wiadomości, nie byłabym w stanie wszystkiego opisać. Dzisiaj rozmawiałyśmy z Górkami, przy telefonie była Leokadia. Stryjek bawił akurat w Starej Wsi. Nie jadą do Berlina. Wyślą tylko telegramy i już zadysponowali z Gdańska kwiaty. Przywiozą je do Berlina nasi krewni. Mam już prezent dla Erny. Równe dwa tysiące złotych. Siedem czystych brylancików, w środku prawdziwy rubin. Wybierała Florencja. Ona i Marcin również zjawią się w Berlinie, w Wigilię rano, i staną w hotelu. Już uzgodnili wszystko z Gdańskiem. Dla Erny wiozą specjalnie kupioną małą damską papierośnicę ze złota, z platynowym napisem: Erna. Jeżeli Gabrysia będzie się czuła dobrze, stryjostwo pojedą samochodem na ślub Marysi. Państwo młodzi nie wyjeżdżają w podróż poślubną i zaraz na drugi dzień po weselu ustalają się na wsi u Kubusia. Postanowiłam, że zaraz po powrocie z Berlina pojedę bodaj na dwa dni do Górek.

To chyba wszystko, spać...

Środa - 21 grudnia

Już jestem z powrotem w Poznaniu. Zastałam obszerny list z Bydgoszczy. W Berlinie zjawi się na ślubie ciotka Katarzyna, z Katowic przyjadą Franusiowie samochodem. Jestem wściekła, ale na to nie ma rady. Niepotrzebnie Krystyn wysłał zaproszenia na wszystkie strony świata. Powinien był trochę przedtem pomyśleć, a dopiero później zapraszać. Ciotka Katarzyna - ale trudno. Franusiowie się wysadzą na prezenty, byle nie za bardzo... Ci nasi przyszli „von” niezbyt są mili w bezpośrednim zetknięciu.

Jutro rano przyjedzie do Poznania Zośka, dalej wyruszymy już razem. Zmęczyłam się dzisiaj pakowaniem. Już jestem prawie przygotowana do opuszczenia Poznania ze wszystkimi gratami. Ostatniego dnia przed wyjazdem zlikwiduję moje poznańskie sprawy bankowe, konta i depozyty. Pan Jerzy? Ech, chyba nie, to byłoby głupstwo.

Moje stroje do Berlina już są doskonale odświeżone.

Ale na razie koniec z pisaniem. W Berlinie będzie prawdziwy zjazd rodzinny. Braknie tylko naszych wieśniaków, ale to zrozumiałe. Gabrysia, Tuchołkowie - wytłumaczeni. Dobrze przynajmniej, że ktoś z Jamborów będzie na ślubie Marysi. Zapomniałam zapytać, chyba pojedzie Herta? Grudziądz, to bardzo blisko, a pani Kunicka przypilnuje domu.

Doktor Michałski smutny, że sam zostaje w Poznaniu. Nie ma specjalnej pociechy z lokatorek, mimo że są to spokojne i porządne kobiety. Poważne. Radziłam doktorowi żartem, aby się ożenił, ale stary przyjaciel uśmiechnął się żałośnie i powiedział:

- Kto mnie zechce? Pani, Anno, również nie, a Leokadia wydała się za mąż za innego. Zdradziła mnie - śmiał się.

Cóż miałam robić? - śmiałam się również.

Te lokatorki to są kobiety bez żadnego dowcipu. Grubo ociosane mimo swoich uniwersytetów. W dodatku bardzo niemodnie ubrane, nie grają w brydża, nie zazdroszczę naszemu doktorowi. Profesorki.

Ciekawa jestem, jak wypadnie berliński ślub. Na odmianę zabieram popielice, karakuły już widzieli.

Wąbrzeźno - środa 28 grudnia

Stop. Nie potrafię dokładnie opisać tego wszystkiego. Odkładam do spokojniejszych dni. Jestem wypompowana.

Nikt nas nie oczekiwał na dworcu. Jechaliśmy tym samym pociągiem, Marcinowie w wagonie sypialnym, my z Zośką w zwykłym przedziale drugiej klasy, ponieważ zgapiłyśmy się z wcześniejszym zamówieniem miejsc sypialnych. Prosto z dworca pojechaliśmy do kawalerskiego mieszkania naszego braciszka i zastaliśmy Krystynka w białej gorączce. W dniu ślubu cywilnego, dwie godziny przed wyznaczonym terminem, Erna oświadczyła narzeczonemu, że zrywa wszystko. Stało się to poprzedniego dnia przed naszym przyjazdem. Było bardzo głupio.

Nie dość na tym. Prawie w oczach Krystynka Erna spakowała swoje walizy, sprowadziła taksówkę i wyjechała z domu. Wszyscy byli tak zaskoczeni postępkami młodej panny, że ani ciotka, ani jej brat Hans nie zdołali zdobyć się na jakąkolwiek akcję. Niesamowita breweria odbyła się w obecności narzeczonego. Nie oponował, podobno Erna wyrzuciła mu różne rzeczy, od których mogły nie tylko spuchnąć uszy, ale w ogóle... Krystynek był tak wzburzony, że za żadne skarby nie chciał nam tego powtórzyć. Koniec, koniec naprawdę i na amen!

Dalej wszystko poszło w tempie błyskawicznym. Zabrał głos stryj Józef i powołał się na to, że właściwie on wychował Krystynka, który winien jego usłuchać w takiej chwili. Ciotka Katarzyna go poparła. Jeszcze tego samego dnia, po wspólnym obiedzie w restauracji, Krystynek pozwolił uprowadzić się do Gdańska, wytłumaczono mu, że to jest jedyne nobliwe wyjście z sytuacji.

Franusio i ciotka Katarzyna zostali w Berlinie, by spędzić tam święta u swoich krewnych. Florencja i Marcin postanowili pojechać na kilka dni do Drezna. My obie z Zośką zabrałyśmy się razem z gdańską rodziną do Tczewa i dalej prawie jednym tchem przeczuliśmy się pod Nowe Miasto, do Kawczyńskich. Zjawiłyśmy się na wsi w dzień Bożego Narodzenia, krótko po południu.

Ślub i wesele. Było sporo krewnych Kubusia, nawet oboje państwo Orzechowscy i wujcio Benedykt. Mnóstwo Kawczyńskich. Ślub dawał jeden z młodych Kawczyńskich, świeżo wyświęcony na księdza, stryjeczny brat Marysi, w przytomności rodzinnego kanonika.

Zmęczyło mnie to wszystko. O jednym tylko marzę, o zgromadzeniu reszty moich gratów w Warszawie i jakimś tygodniu absolutnego spokoju i ciszy. Jak to dobrze, że w Mentonie odbyłam jakby kurację wypoczynkową.

Na ślubie byli stryjkwowie z Górek, ale bardzo krótko. Chcieli mnie zabrać z sobą na wieś, ledwo się wykręciłam. Nie mam obecnie sił do rozmawiania. Tymczasem schowałam się u Zośki w domu wąbrzeskim. Trzeba omówić różne rodzinne sprawy finansowe. Ponadto jutro rano muszę przejechać się do Grudziądza na kilka godzin. Herta wręczyła mi na weselu Marysi list jakiejś pani Marii Woźnik z Grudziądza. Całkiem nie znana mi osoba, zostawiła ten list jeszcze na początku grudnia, lecz Herta nie chciała mi nim zawracać głowy w Paryżu. List krótki, z prośbą o możliwie szybkie skomunikowanie się z nią oraz dodatkowo prośba o dyskrecję. Równe, spokojne pismo, Herta określa wiek tej osoby na czterdziestkę i mówiła o niej jako o poważnym człowieku. Dziwne określenie, ale może właśnie dlatego nie pokazałam tego listu Zośce.

Kto może mieć do mnie interes w tym mieście? Chyba nie wdowa po tym fabrykancie, który zbankrutował i po którym nabył nasz ojciec kamienicę na licytacji? Ta osoba z listem była czarno ubrana. Co to może być?

Sylwestr - w Poznaniu

Zmęczyło mnie to wszystko, przyniotło. Wszystkiego byłabym się spodziewała, tylko nie tego. Całe szczęście, że przeżywam to w samotności. Doktor Michalski wpadł w ostatniej chwili na dobry pomysł i w Wigilię pojechał na święta do Bydgoszczy. Ma wrócić dopiero w poniedziałek wieczorem, już mnie nie zastanie, wyjeżdżam jutro po obiedzie.

Opiszę jednak to wszystko dzisiaj, bodaj krótko, aby kiedyś po upływie lat przeczytać ponownie moje notatki i sprawdzić, jak niegdyś postąpiłam. Może mądrze lub głupio, może dobrze czy źle, ale w każdym razie uczciwie.

Wątpiła i zabiedzona dziewczynka - Marta. Niedawno skończyła siedem lat. Matka zmarła pięć lat temu, na gruźlicę, dokładnie w pierwszym roku mojego uniwersytetu. Ale to było w lutym i wówczas mnie się jeszcze nie śniło o Poznaniu. Stukałam na remingtonie i patrzyłam przez wiecznie brudne szyby mojego pokoiku biurowego na jeszcze brudniejsze podwórko. Z rzadka sprowadzano mnie wówczas do domu, nawet na święta zostawałam przeważnie w Bydgoszczy, u ciotki.

Widziałam listy, pokazywano mi fotografie. Kilka z nich - nawet wspólnych z dzieckiem. Zresztą najlepszy dowód w samej dziewczynce. Mała, wątpiła, patrząca na mnie swoimi niebieskimi oczkami. W jej oczach, mimo że inne, jest coś ze mnie. Ciekawe, dziesiątek innych oczu w naszej rodzinie, lecz wyraz tych oczu podobny do moich. Mimo że daleka droga i mimo że ja sama mam zaledwie jakąś małą część z mojego ojca. Dotychczas byłam dumna z tego, że w moich oczach przebija bardzo wiele ze słodkiego spojrzenia mojej prababki Anny. A tymczasem równocześnie, dopiero teraz widzę, że mam jednak coś - z naszego ojca. Bo przecież to jest nasz wspólny ojciec, naprzód mój, jako najmłodszej córki naszej matki, ale równocześnie ojciec tego maleństwa!

Konwenans, który każe zatrzymać się na imieniu ciotki, cioci Anny, jak to określiła sama dziewczynka. Marta. I odtąd będzie już - moja Marta. Moja mała Marta. Nie dam jej zrobić krzywdy. Powtarzam imię, by się do niego przyzwyczaić: Marta.

Dziecko chore. Nie z powodu złego traktowania, ponieważ jej ciotka -- owa pani w czerni, Maria Woźnikowa - jest niezwykle przywiązana do maleństwa. Ale choroba. Matka zmarła przed pięciu laty, lecz w dziedzictwie zostawiła córce chorobę piersiową. Już były obie dwukrotnie w Rabce, ostatni raz nie dalej, jak przed rokiem. Jeszcze za życia naszego ojca. Opiekował się nimi. Przysyłał regularnie pieniądze. Pół roku temu wszystko się urwało. Zrozumiałe - śmierć ojca. Ciotka dziewczynki nie zwróciła się do nas, próbowała sama walczyć z przeciwnościami losu. Nawrót choroby Marty skłonił ją do napisania listu. Pani Woźnikowa z grubsza orientuje się w naszych sprawach rodzinnych, lecz wspomniała mi na samym wstępie, że nasz ojciec mówił ostatnio zawsze i niezmiennie: moja najmłodsza córka, Anna, jest ze wszystkich moich dzieci najmądrzejsza i najbardziej przygotowana do samodzielnego życia. Nie powiedziano mi tego wyraźnie, lecz najwidoczniej ojciec na mnie wskazywał w wypadku nieoczekiwanej śmierci. Mógł jednak to wszystko inaczej urządzić. Po ludzku.

Sprawę - rodzinną - załatwiłam po męsku. A może właśnie bardzo po kobiecemu, bo podeszłam do niej z prostym sercem, bez łamigłówek. Mała z ciotką wyjadą za kilka dni do Rabki i zostaną tam tak długo, póki lekarze nie orzekną zdecydowanej poprawy. Sprawa ma zostać wyłącznie między nami dwiema. Pani Maria Woźnikowa - wdowa po nauczycielu - i ja, Anna Jambor. Mówiłam wyraźnie, że nie należy żałować pieniędzy, ja ich dostarczę. Dostarczę w każdej ilości. W pierwszej chwili przyszedł mi do głowy pomysł, aby z miejsca zabrać małą do siebie i od razu złączyć nasze losy. Lecz nie byłoby to ani mądre, ani serdeczne. Po śmierci matki pani Woźnikowa zajęła się dzieckiem i właściwie zastąpiła mu matkę. Jadwiga miała wówczas dziesięć lat, ojca prawie nie znała, ponieważ zginął na wojnie światowej. Nauczyciel był bratem ciotecznym jej matki, a jego żona była przecież niemal że obcą kobietą. Daleką ciotką, jak się to mówi. Po kilku latach pan Woźnik zmarł i wdowa po nim została z małą dziewczynką w dość trudnych warunkach materialnych. Wychowała jednak dziewczynkę.

Później - w latach 1923 czy 1924 - zjawił się na horyzoncie nasz ojciec. Jadwiga Kalatowna sprzedawała już wówczas znaczki na pocztę. O reszcie nie będę pisać. Nieważne to dla samej sprawy i w niczym nie polepszy ani nie zmieni sytuacji.

Dziwnie spoważniałam w tych dniach. Po raz pierwszy w życiu stanęłam wobec prawdziwych obowiązków, które nie zamykają się tylko w ramach mojej osoby czy tylko mojej najbliższej przyszłości. Mała i wątła dziewczynka. Matka umarła na płuca. Ale płuca są przecież do uratowania - w wieku dzieciennym?

Sama nie wiem. Gdy wpatrywałam się w fotografię Jadwigi Kalatówny, przemówiła do mnie jakaś dobra i porządna dziewczyna. Takie było moje pierwsze wrażenie i takie zachowałam. Nie badałam reszty i nie śmiałam pytać. To był mój ojciec i równocześnie ojciec małej, chorej dziewczynki. Marta. Siostra.

Nie analizuję. Wspominam tylko to jedno, że byliśmy z małą u fotografa. Sama ją zaprowadziłam. Nie otrzymałam jeszcze tego zdjęcia, lecz pamiętam - gdy usadowiłam małą Martę na kolanach, dziecko wyciągnęło swoją chudą rączkę ku mojej szyi. Było mi dobrze, gdyż czułam, że czynię dobrze.

Siedzę w gościnnym gabinecie naszego starego przyjaciela w kompletnej samotności. Gdzieś niedaleko od tego domu doroczny Sylwester rozbrzmiewa hałaśliwością wielu zabaw. A mnie jest w tej chwili dziwnie spokojnie i uroczyście. Poję się samotnością mimo potwornego zmęczenia przeżyciami ostatnich dni.

Cóż znaczy jakaś tam ladacznica Erna, która prawie w dniu ślubu wypluła Krystynkowi jakieś tam prawdy o sobie? Tylko tyle wiem o tym, że w celu doprowadzenia do ostatecznego zerwania opowiedziała mu podobno o wielu swoich kochankach. Nie wiem, dlaczego to zrobiła - chyba zwariowała.

Bije zegar - północ - nowy rok 1933. Wzdrygnęłam się. Erna. Głupstwo. Stary rok był dla mnie ciężki.

Warszawa - Nowy Rok - wieczorem

Już jestem na miejscu. Przed chwilą dzwoniłam na Żoliborz, odpowiedziano mi, że państwo przebywają jeszcze za granicą i wrócą dopiero pojutrze. Na razie kazałam ustawić moje bagaże w przedpokoju. Dzwoniłam również do generałowej, ponieważ w skrzynce do listów znalazłam krótkie zawiadomienie z ministerstwa, że od 2 stycznia 1933 roku mam objąć funkcję kontraktowego radcy. Opiekunka radziła mi wstrzymać się z pójściem - do powrotu Marcina.

To jednak bardzo przyjemnie - móc zamknąć drzwi na klucz i powiedzieć sobie: jestem sama w domu i nic nie może mi przeszkodzić. Trzeba będzie jednak jakoś się urządzić. Co prawda córka dozorca powiedziała mi na odchodnym:

- Jutro wczesno rano ojciec przyjdzie i napali, proszę nie zamykać drzwi na łańcuch. - A później dodała: - A co ja mam przynieść rano? Ile mleka, ile bułek?

Nie umiem na razie o tym wszystkim myśleć. Podziękowałam za mleko i na tym się skończyło. Dziewczyna dygnęła i życzyła mi dobrej nocy. To znaczy, że rano będę musiała sama przygotować sobie śniadanie. Ze mnie zrobił się patentowany leń, no, ale trudno, zobaczę, powoli się wszystko ułoży. Zejdę na dół i każę podać sobie śniadanie w jakiejś mleczarni. Wiem o takim zakładzie naprzeciw Braci Jabłkowskich, na rogu Chmielnej czy Brackiej, w pobliżu.

Teraz pójść do łazienki, a później ułożyć się w mój starym poznańskim łóżku. Po zamknięciu oczu będzie mi się zdawało, że to wszystko nieprawda i że w dalszym ciągu mieszkam w domu Leokadii przy ulicy Matejki. To były dobre czasy. Koło drzwi na ścianie był przycisk od dzwonka i na każde życzenie zjawiała się „Rózia panna” w białym fartuszkach i uśmiechała się, ukazując przy tym dwa dołeczki w buzi. Subretka - w guście Leokadii. No, ale chyba urządzę się?

Poniedziałek - 2 stycznia

Mały obiad zjadłam w pierwszej lepszej restauracji, w momencie, gdy poczułam głód. Śmiało weszłam, o tej porze lokal był zapelniony. Taki sobie lokal, ani zły, ani dobry. Ale tutaj wszędzie jest dobre jedzenie. Kolację jadłam już na Mokotowie. Generał nieobecny, były tylko same panie. Poznałam nawet panią Jastrzębską, to żona tego wiceministra, na którego powoływałam się w moim podaniu. Śmiano się ze mnie i nazywano mnie radcą. Już tu wiedzieli, że wysłano do mnie zawiadomienie. Pani Jastrzębska mówiła uśmiechając się, że nie ma potrzeby spieszyć się z objęciem posady i całkiem dobrze można to przewlec o jakiś tydzień lub dwa. Zabiła mi ćwieka do głowy. Miałabym ochotę pojechać na kilka dni do Gdańska. Byłoby warto porozmawiać na serio z bratem, kto wie, może jeszcze zrobić jakieś głupstwo. Chociaż z drugiej strony gdańska rodzina na pewno mu wszystko wyklaruje i Krystynek się uspokoi. Liczę na Heinricha, nasz brat miał do niego dużo przyjaźni i zaufania.

Chyba pojedę, ale naprzód rozmówię się z moją nową ciotką. I oto spełniło się moje ukryte marzenie, nie wytrzymam; powiem Florencji, że tylko o tym myślałam od pierwszego dnia naszej znajomości.

Jeszcze spałam, gdy rano podano mi do łóżka herbatę. Dokonała tego córeczka famulusa z Żoliborza, tak zadysponowała podobno Florencja. Zostawiłam dziewczynie klucze od moich waliz i koszy, wieczorem zastałam wszystko powyjmowane i rozłożone w szafach, nawet niektóre rzeczy były odprasowane.

Przeszedł już jeden dzień. Rano wydawało mi się, że właściwie powinnam lecieć do biura i meldować się, jak chcieli: drugiego stycznia, ale to przeszło. Wyszłam na ulicę i zajęłam się oglądaniem miasta. Oblediałam prawie całe śródmieście i wierzyć mi się nie chciało, że to jest miasto, w którym przyjdzie mi zamieszkać na stałe i urządzić sobie życie. Mieszkanie już. posiadam - własny punkt oparcia. Urządzono je bez mojego współdziałania. Nie pytano się mnie również, czy chcę tak, czy inaczej. Inaczej to sobie wyobrażałam. Myślałam na razie o zamieszkaniu w gościnnym pokoiku z balkonem na Żoliborzu, a tymczasem ciotki wyczarowały mi od razu coś w rodzaju pałacu dobrej wróżki przy ulicy Wojciecha Górskiego. W stylu Florencji - dwa salony, jeden do przyjmowania gości, a drugi wygodnego spoczynku. W chwili obecnej siedzę wygodnie w głębokim wolteriańskim fotelu i wpatruję się w moją prababkę - imienniczkę. Młoda dziewczyna z portretu patrzy na mnie łagodnie i słodko, a smugi światła z żyrandola odbijają się przy każdym moim poruszeniu na powierzchni wyverniskowanego obrazu. Sama sobie mówię, że wszystko, co było przedtem, jest nieważne. Natomiast cała przyszłość zależy od tego, jak sobie zorganizuję moje przyszłe życie. To jest życie - od jutra! Owo jutro co prawda nie jest mi znane, lecz w mych własnych rękach znajduje się już solidna szkatułka z kostkami domina. Ode mnie zależy, aby śmiało i szczęśliwie operować kamykami. Sześć do sześciu i zero do zera - stara rzymska zasada: *do ut des*. Trzeba wymagać od życia i ludzi, by nie oszukiwali nas podczas gry. Ale to głupstwo...

Przed chwilą podniosłam się z mego legowiska. Zachciało mi się obejrzeć dokładnie prezent Elzy Dubow. Przyszedł mi nawet do głowy dziki pomysł. Ubrałam się w jedną z moich balowych sukien i zarzuciłam na plecy szal. Krygowałam się przed lustrem i robiłam jakieś ucieszne pas w takt muzyki tanecznej. Florencja zostawiła mi swoje radio, nawet ono przyszło mi gratis, bo w prezencie. Stoi na specjalnym stoliku przy łóżku Leokadii. Och, to łóżko. Wspomnienia, wspomnienia... Ale to nic! Obecnie jestem silna. Piszę o wszystkim; co przychodzi mi do głowy. Ale takie jest właśnie życie, tylko ludzie nie chcą się do tego przyznawać. Każdy człowiek robi w swym życiu więcej głupstw niż rzeczy mądrych. Podobnie jak i ja z tym przebieraniem się. Rozebrałam się do stroju Ewy - bez listka figowego - i następnie ubrałam ze starannością wielkiej damy. Nie zapomniałam nawet o włożeniu mojego grandgorsetu. Potem pajęczynowe dessous i tak dalej... w kolorze czarnym z różowymi koroneczkami. Mogłabym skusić w takim stroju nawet jakiegoś niezbyt jeszcze zgrzybiałego świętego.

Mój gorset formuje mi figurę, podobnie jak palce wielkiego artysty nadają kształt bryłom gliny. Co prawda glina to rzecz martwa, a moje ciało już samo z siebie jakieś kształty posiada, ale ja wyszłam ze szkoły mojej przyjaciółki Leokadii: gorset to rycerski pancerz każdej szanującej się kobiety!

Ale chimera z przebieraniem się już przeszła. Rozebrałam się i dobrym poznańskim obyczajem ułożyłam wszystko na swoim miejscu. Panienczka z Żoliborza wypakowała mnie z wielką znajomością rzeczy. Co też sobie myśli taka dziewczyna? Przecież właśnie ona to i owo słyszy, tamto zaś podsłucha i w ten sposób tworzy sobie pogląd na nowe zjawisko w jej kręgu widzenia i przymusowego zainteresowania. Jakże wielka jest różnica w pojęciach i oszlifowaniach. Córeczka tutejszego dozorczy mówi do mnie: panienska, natomiast pokojówka z Żoliborza - poważnie: pani magister. Widocznie tak jej kazali. Florencja w tym nowym zestawieniu stała się panią dyrektorową.

Sama się śmieję z siebie: radca kontraktowy Ministerstwa Skarbu! Figura w szóstej grupie płac urzędników państwowych plus dodatek sto złotych miesięcznie. To podobno, jest bardzo dużo jak na stosunki urzędnicze - razem pięćset pięćdziesiąt złotych miesięcznie. Normalnie zaczyna się od dwustu dziesięciu złotych miesięcznie, po skończeniu uniwersytetu. Trzeba to wszystko brać z umiarkowaniem. Zbyt wiele powodzenia - i byłoby warto pomyśleć o jakimś pierścieniu Polikratesa.

Pierścień, pierścionek. Erna i Marysia. Nie dałam jej tego pierścionka z rubinem. Kubusiowi nawet powiedziałam wszystko na osobności i przyznał mi rację. Chyba zrozumiał, o co chodzi? W dniu ślubu był przytomny i całkiem dorzeczny. To już nie ten dawny Kubuś, chłopiec z mokrą głową. To stateczny młody obywatel ziemski, który ożenił się z miłości i według własnego gustu.

Pierścionek zamienię na inny. To znajomy jubiler Florencji. Opowiem mu, jak się rzecz przedstawia, i wybiorę jakiś inny pierścionek. Tamten jest dla nas wszystkich trefny, jak mówią starozakonni.

Już prawie zdecydowałam. Jeżeli się uda, opóźnię urzędowanie o jakiś tydzień. Wyfrunę do Gdańska, a później wpadnę do Górek, to prawie po drodze, uprzedzę, przyślą mi samochód na dworzec.

A teraz kąpiel przed spaniem, w łazience oba piecyki gazowe dobrze funkcjonują. Później łóżko i sen. Jutro rano wstąpię do kościoła Sióstr Wizytek na Krakowskim Przedmieściu. Podoba mi się wnętrze tego kościoła. Białe i czyste, ambona w kształcie dziobu łodzi, barok niezbyt wyzłocony, wstępowałam tam dzisiaj przelotnie.

Przekazałam do Grudziądza dalsze pięćset złotych, tak jak przyrzekłam. Po powrocie do Wąbrzeźna wzięłam od Zośki dwa tysiące. Pieniądze lecą. Trzeba będzie pomyśleć o rachunkach. W każdym razie dopiero: gdy się wszystko uspokoi.

Oby tylko Rabka pomogła. Właściwie trzeba było zabrać małą i pójść z nią osobiście do specjalisty. Ale cóż to mogą być za specjaliści w takim Grudziądzu? Jutro wyślę list do pani W., aby po drodze zatrzymała się z dzieckiem w Krakowie i dała porządnie zbadać jakiemuś profesorowi. Nie. Zaraz napiszę list, nie mogłabym usnąć.

Wtorek - 3 stycznia

Żoliborz przyjechał z Drezna nad ranem i po południu zadzwonili. Właściwie zaprosili na kolację i odesłali mnie później samochodem. Żoliborz to jednak bardzo dzika dzielnicą i daleko, dobrze komuś, gdy ma samochód.

Florencja od razu pochwaliła projekt wyjazdu do Gdańska. Marcin przyrzekł załatwić resztę. W każdym razie jutro stawiam się na godzinę ósmą rano w ministerstwie. Mam pójść sama, aby nie wyglądało na protekcję. Florencja nawet po zawarciu małżeństwa figurowała tam pod dawnym nazwiskiem i w ten sposób nie będzie rodzinnej zmiany warty: Jamborowa i Jamborówna.

Nie było zbyt wiele gadania, ponieważ oboje byli zmęczeni. Krótko powiedzieli:

- Całe szczęście, że ta kobieta odczepiła się od Krystyna!

Tak wyglądało na Żoliborzu wspomnienie o Ernie von Jamsborck. Całe szczęście, że odszukanie krewnych z czasów napoleońskich nie poszło w parze z jakimś większym wpadkiem życiowym naszego jedyne go brata. Zasluguje na lepszą kobietę. Florencja wypowiedziała mądre słowa:

- Nie wspominajmy od tej chwili imienia tej puste j i niedowarzone j dziewczyny. Ma świętą rację!

Środa - 4 stycznia

Godzina piątą po południu. Już jestem po restauracyjnym obiedzie i w mieszkaniu czekam na Florencję i Marcina. Wieczorem jadę do Gdańska. Już wysłałam telegram na Hundegasse.

Po Trzech Królach ma osiedlić się u mnie gospodyni, której na oczy nie widziałam. Wynalazek Leokadii, gdzieś spod Leszna, była gospodynią u jakiegoś proboszcza, który umarł przed pół rokiem. Przeszkalali ją w Górkach w ciągu całego grudnia. Niepotrzebnie rozmyślałam zatem na te tematy, jak widać, na każdym kroku przychodzę do gotowego. Prawdziwy *Schlaraffenland*. Oby tylko ta moja pierwsza w życiu gospodyni nie okazała się jakimś starym i stetryczalym grzmotem.

Florencja wspomniała przy tej okazji o zapasach w spiżarni. Właśnie dzisiaj obejrzałam sobie te istne baterie słoików i słoiczków. Można by wytrzymać jakieś mniejsze oblężenie. Ale do tego trzeba by mieć cierpliwość Robinsona Cruoe, wyliczającego skarby, znalezione na rozbitym okręcie. U mnie natomiast inaczej: jeszcze nie zgłębiłam, jak widać, wszystkich zakamarków mieszkaniowych. W dodatku wszystko moje, na zawsze, jak chcą małe dzieci. Ktoś dzwoni - pewno nasi... Nie, jeszcze nie. To tylko listonosz. Gdańsk. Pisze Elfryda, zapytuje, czy nie mogłabym wyrwać się bodaj na jeden dzień do Gdańska. A to dobre! Widocznie nasze myśli krążą po tych samych ścieżkach. List sprzed dwóch dni. Dobrze, że wysłałam telegram.

W ministerstwie wszyscy byli bardzo uprzejmi. Będę siedziała w dawnym pokoiku Florencji. A nawet powinnam napisać: zasiadłam i rezydowałam. Telefon na biurku, lecz łączy centrala. Obok pokój z urzędnikami, dwie biuralistki, maszynistka i jakiś starszy pan, podobno prowadzi kancelarię. Jedna z pań zna język niemiecki, druga francuski i angielski. W charakterze maszynistki - takie sobie kociątko z ustami wymalowanymi na czerwono. Ale całość miła i niegroźna. To są moi podwładni i wszyscy mówili mi: pani radco. Trochę tylko wystraszyłam się dyrektora departamentu: stary, siwy pan, ubrany na czarno i w sztuczkowe spodnie z zamierzchłej epoki. Duże złote spinki w mankietach założonych na okrągło. Przyjął mnie bardzo poważnie i od razu dał mi kilka zleceń. Był zdziwiony, gdy z kieszeni żakietu wyjęłam notes i ołówek i zaczęłam notować stenogram jego poleceń. Połapał się, że stenografuję, i wyrzekł kilka słów tonem mocno zdziwionym:

- Przecież pani jest magistrem ekonomii. Skądże u pani ta stenografia?

Nie przyznałam się do moich cięłych lat spędzonych w niewoli: przy remingtonie i powiedziałam chłodno, bez jakiejś afektacji.

- Podczas czterech lat studiów uniwersyteckich jest bardzo niewiele wolnego czasu, gdy się chce czegoś nauczyć. Stenografia ułatwia mi notowanie wykładów...

Starszy pan był wyraźnie zdziwiony, ale wstrzymał się od wyrażenia jakiegoś podziwu:

- A to pani... chodziła na wykłady?

Załatwiłam zlecenie gładko i od ręki. Panienczki były nieco zdziwione, a najwięcej maszynowy buziak. Po powrocie od dyrektora zaprosiłam do siebie starszą panią, o której opowiadała mi już przedtem Florencja, i od samego początku ustaliłam naszą wspólną linię postępowania:

- Nie wyobrażam sobie - powiedziałam poważnie - że wszystko umiem. Wprost przeciwnie, w obecnych warunkach muszę wszystkiego nauczyć się od początku.

Moje odezwanie się przełamało lody. To jest również magister, ale filozofii. Chemiczka w dodatku. Koło czterdziestki, Kraków, Uniwersytet Jagielloński, a zatem solidna marka. Zresztą na pewno była uprzedzona przez Florencję. Zaprosiłam ją na obiad w najbliższych dniach. Przyjęła zaproszenie.

Dam sobie radę. W biurze mam zjawić się we wtorek, dziesiątego stycznia. To będzie taki nieoficjalny urlop, którego nie potrąca mi z wakacji. Trochę za mało dni, ale trudno. W dodatku jakoś zręcznie wypadło, ponieważ pojutrze jest Trzech Króli, w sumie sześć dni, w tym jednak dwa święta. No, ale trudno, trzeba cieszyć się tym, co dają. Dzwonek, tym razem chyba już nasi.

Oliwa - 5 stycznia

Prawie cały dzień spędziłam z bratem i Heinrichem. Krystynek zostaje w Gdańsku do końca tygodnia, Heinrich wyjeżdża jutro na noc do swojej medycyny w Berlinie. Obecnie czekam w Oliwie na Elfrydę. Muzyk w Anglii. Obiad jedliśmy wszyscy razem na Hundegasse. Wilma bardzo się ucieszyła moim przybyciem. To ciekawe, gdy jestem w Gdańsku, od razu mówię po niemiecku i to nie sprawia mi żadnej subiekcji. Ale może to zbędna uwaga, bo nawet gdybym chciała, nie mogłabym mówić po polsku w tym towarzystwie.

Po południu bałaganiliśmy trochę po mieście, byliśmy z Gardenównymi w cukierni. Później Elfryda opuściła nas, interesy drzewne odwołały ją do biura. Gardenówny zazdrościły mi włoskiej podróży z Cookiem. Mentona wywoływała zachwyty. Obdarowałam wszystkich. Drobiażdżki, ale bardzo miłe. Małe kamee z dwubarwnych muszel, główki greckie, nadają się do umieszczenia w pierścionkach. Samo złoto w tym wypadku nie jest ważne.

Ciekawa jestem, co usłyszę od Elfrydy podczas rozmowy w cztery oczy, bez świadków.

Krótko rozmawiałam ze stryjkiem. Mówił o starym Grossvaterze Jungu, że to był stary i wyrafinowany kanciarz i dobrze, że go już nie ma na świecie. Nie przeszkadza w interesach. Firma idzie doskonale, zapowiada się dobry rok, kryzys się jakoś powoli, lecz systematycznie przełamuje na lepsze. Gdy wspomniałam o Berlinie, stryjek machnął tylko ręką i westchnął:

- Gott sei Dank!

Jutro na Hundegasse ciotka Elfryda urządza wieczorem przyjęcie. Mają być wszyscy, to znaczy starzy Kawczyńscy, obie rodziny Gardenów ze wszystkimi córkami oraz komplet von Hartmannów. Felicja, jej mąż, dzieci, oraz przebywająca u nich na świętach siostra notariusza z Düsseldorfu. Oprócz tego kilka innych osób, których nazwiska nic mi tnie mówią. Ponad dwadzieścia osób, Wilma będzie miała swój wielki dzień.

Ale to wszystko nie jest ważne. Właściwych wiadomości dowiem się dopiero od Elfrydy. Mamy spać razem w jej pokoju. Gdańsk opuszczę w sobotę wieczorem. Jutro wyślę do Górek telegram, niezależnie od tego spróbuję rozmówić się telefonicznie.

W gdańskiej rodzinie starym zwyczajem panuje poważny nastrój. Opowiadałam o kopii Chodowieckiego przedstawiającej naszego pradziada Martina. Przy tej okazji rozjaśniło się jakoś oblicze mojego brata i powiedział mi bardzo uprzejmie:

- Widzisz, przydało się. Teraz ty każesz zrobić w Warszawie kopię dla mnie.

Cieszę się, że ten problem nie jest już taki krwawiący. Ale w dalszym ciągu brat jest zamyślony i ma twarz ściągniętą, jakby z bólu, który jeszcze nie minął. Widocznie nie może zapomnieć, a zresztą nie wiadomo, co ich oboje łączyło... Taka kocia kochaneczka dobrze potrafi wejść za skórę, nie gorzej od kleszczy! Gdy się chce wyjąć, wchodzi jeszcze głębiej, im więcej się drapie, tym gorzej.

Dzisiaj rozmawiałam dobre pół godziny ze stryjkiem na poważne tematy gospodarcze. Podobno drzewo zapowiada się trochę lepiej, natomiast w dalszym ciągu jest źle z żytem i w

ogóle ze wsią. Po śmierci Willy Junga odzyskali już z powrotem płynność gotówkową i w dalszym ciągu mają otwarty kredyt. Akcje starego kanciarza zostały zużyte na pokrycie bankowych pożyczek, zaciągniętych przez obu stryjków na kupno majątków ziemskich. Parcelacja pomorskich folwarczków idzie na razie powoli, lecz stryjkowie liczą w tym wypadku na spokojne przeczekanie. Powoli zostanie przywrócona gospodarcza równowaga w rodzinie; lecz równocześnie stryj Józef nie bardzo- wierzy w szybki powrót dobrej passy dla majątków ziemskich. Według niego ceny zboża będą spadać w dalszym ciągu i bardziej obdłużone majątki będą wystawiane przez banki na licytację. Stryj liczy raczej na nowonabywców, którzy ulokują gotówkę w ziemi, po cenie najniższych licytacji.

Moje tysiąc dolarów stryjek zapisał w dług mojego rachunku w nowej firmie. Ciekawe, mam od stycznia tego roku płacić po pięć i pół procent rocznie od tego długu, według bieżącego kursu dolara w Gdańsku. Potraktowano mnie jako kupca. Stryj mówiąc o tym wspominał, że to dlatego, ponieważ nie wiadomo, jak i kiedy rozliczę się z rodzeństwem ze spadku. Sprawę rozliczenia z Krystynkiem z obu domów wąbrzeskich stryj pochwalił i mówił, że obie z Zośką powinnyśmy spłacić wąbrzeski dług hipoteczny naszymi dochodami ze sklepu. Stryj radził spłacić przede wszystkim części Pelasi i Krystyna. Nie ma szans na to, aby Pelasia zajmowała się sprawami sklepowymi, tak samo Krystynek. Raczej należy rozliczyć się z nimi, sprzedając domy w Grudziądzu, lub te domy odpowiednio obdłużyć, lecz to wymagałoby jeszcze dokładnego przeliczenia z ołówieczkiem w ręce.

Trzeba będzie usiąść w spokoju i pomyśleć nad tym wszystkim. Stryjek wskazywał na okazję, jaka obecnie sama wpada nam w ręce w postaci zamiarów Tuchołki kupna majątku na kresach. Doradzał urządzenie rodzinnej konferencji jeszcze w tym miesiącu i rozliczenie się z Tuchołkami per pierwszy stycznia tego roku.

Dowiedziałam się, że Michalscy kupili sobie jeszcze jeden sklep i zadłużyli się w Gdańsku na siedemdziesiąt pięć tysięcy, z pokryciem na kamienicy ciotki Katarzyny. Świat przewraca się do góry nogami! Gdzież się podziały sztywne zasady ciotki Katarzyny, która zawsze chciała posiadać domy z czystą hipoteką? Stryjek był niedawno w Katowicach, podobno Franusiom powodzi się w interesach na całego; jak się to mówi. Franuś operuje własną gotówką i nieustannie kupuje i sprzedaje różne - milionowe - obiekty. Franusiowa ma podobno żydowską głowę do interesów.

W pierwszej chwili miałam zamiar w przystępie szczerości opowiedzieć stryjkowi o dziecku, lecz się powstrzymałam. Na naszego, ojca i tak była w ostatnich czasach nagonka w rodzinie, a te sprawy raczej powinny być załatwione przez dorosłe dzieci. Szwagier się nie liczy, ponieważ nigdy nie był zbyt dyskretny w delikatnych sprawach. Krystynek ma swoje własne świeże kłopoty, a Zośka mimo wszystko nie nadawałaby się do współdziałania. Ma długi język i lubi paplać. W dodatku co wie Zośka, to wie ciotka Katarzyna, one się obecnie do siebie mocno zbliżyły. Bydgoszcz i wspólne interesy szmaciane.

Na razie Marta jest małym dzieckiem i obecnie chodzi tylko o przywrócenie jej zdrowia. A do tego ja w zupełności wystarczę. W dodatku dziecko wzięło mnie od serdecznej strony, a zatem niech to będzie jakby moje dziecko! Miałam widocznie wycucie, gdy odłożyłam na bok dwa pakiety z akcjami. Coś mi się wówczas wydawało, że mimo domów i bławatów zawsze warto mieć na boku jakąś tego rodzaju salwa-gwardię. Stało się, i dobrze się stało. Kto wie, jak to wszystko pójdzie? Może nawet w przyszłości trzeba będzie pomagać siostrze i bratu. Również z Zośką nie wiadomo. Przy jej kochliwym usposobieniu łatwo może wpaść i wyjść za mąż za jakiegoś durnia.

Krystynek przybrał pozę angielskiego gentlemana, zaraz to było widać po sposobie umeblowania się w kawalerskim mieszkaniu. Do czego było to mu potrzebne w obliczu bliskiego małżeństwa? A może chciał z tego mieszkania zrobić prezent dla swego niedoszedłego szwagra Hansa von Jamsborck? Chyba raczej nie. Diabli zresztą wiedzą, może w ten sposób chciał się go pozbyć z willi przy Tiergartenie? Mój brat, mimo swej angielskiej maski na

twarży, niewątpliwie musi mieć piekło w duszy. Tu nie chodzi o samą dziewczynę, lecz o ambicję... Nie można było jednak stawiać zbyt wielu pytań. W każdym razie podła dziewczyna, wyczekała do ostatniej chwili, dopuściła nawet do kompromitacji wobec przyjazdu rodziny z Gdańska i z Polski. Wredny kociak, widocznie mieszanek prusko-francuska wzięła górę! Właściwie: prusactwo, to lepsze wyrażenie. Co do mnie, to nie lubię tych bezczelnie cynicznych twarzy pruskich junkrów z monoklem w oku. Specjalnie drażni mnie tutejszy von Hartmann. Co, u cholery, mogła w nim widzieć Felicja? Ale nie ma złego, co by z czasem nie wyszło na dobre, lepsza i solidniejsza dla nas jest ciotka Elfryda.

Piszę o sprawach gdańskich, a mimo woli wracam myślami do mojego nowego życia w Warszawie. Pragnęłabym, aby jak najprędzej przeszły pierwsze miesiące pracy w biurze. Myślę, że już po miesiącu moja osoba spowszednieje i opatry się w ministerstwie. Zapytam się Florencji, wydaje mi się, że byłoby dobrze urządzać co tydzień brydża dla mojego nowego towarzystwa, na przykład na dwa stoliki, z kolacją. To by się opłacało i może jakoś szybciej związałoby mnie z tym nowym dyrektorem *et consortes*, których jeszcze nie znam. Na początek można by potraktować to jako pewnego rodzaju koszty organizacyjne przy zakładaniu mojego pierwszego samodzielnego bytu. I tak cała reszta przyszła mi niebywale tanio, gdyż gratis i bez proszenia się. Podobno sam lokal w śródmieściu i przy spokojnej ulicy Wojciecha Górskiego jest sporo wart, gdyby trzeba było kupić i dać odstępnę.

Stryjek powiedział mi z uśmiechem, że kto wie, czy mu się nie przydam w Warszawie, ponieważ przedtem Marcin, a nawet Florencja załatwiali mu różne sprawy, ale obecnie oboje mają głowy czym innym nabite. Gdy go pytałam, stryj odpowiedział:

- Sama zobaczysz na miejscu.

Co do kamienicy, to rzeczywiście jest obskurna. Ogromna brama wjazdowa, duże podwórze, w tyle jakieś składy i biura, ogromna, ruchliwa oficyna. Podwórko odrażające. Schody również nie za bardzo, jakieś resztki dawnych wspaniałości, ale tylko resztki. Wolalabym zamkniętą klatkę schodową z elektrycznym zamkiem przy wejściu. Ale obecnie jestem mocno zepsuta tym pańskim *l'hôtel prive* przy ulicy du Pont Vert. Zresztą zobaczymy.

Co też robi obecnie Patrycja w sanatorium w Davos i czy już o małżeństwie swojej siostry?

Muszę porozmawiać o tym z naszą generałową. Ona ma zdrowy pogląd na świat.

Ciekawa jestem, czy Marysi będzie się podobał mój prezent ślubny? Również pierścionek. Byłyśmy obie z Florencją. Zamieniono mi na inny, w zbliżonej cenie. Posiada tylko dwa kamienie, na ukos w oprawie, brylant i rubin, oba mniej więcej tej samej wielkości, naturalnie prawdziwy rubin, a nie jakieś syntetyczne oszustwa chemiczne. Ze względu na rubin oprawa złota, lecz raczej ginąca i służąca jedynie do oprawy kamieni. Dopłaciłam sto osiemdziesiąt złotych, lecz bardzo lubię Marysię, o całe niebo wolę kupować prezent dla niej niż dla tamtej diablicy.

Koniec z pisaniem, słyszę głos naszej Elfrydy. Chowam bloczek do torebki.

Trzech Króli w Gdańsku - nocą

O pisaniu nie ma mowy. Do Oliwy wróciliśmy dzisiaj bardzo późno. Grałam w brydża sześć godzin bez przerwy. Grałszy bardzo wysoko, wygrałam prawie dwieście guldenów. Niebywała rzecz, najwięcej przegrała pani Felicja, po niej ojciec Gardenówien, ten bankowy dyrektor. Ciotka Elfryda jako gospodyni prawie nie grała.. Z młodszą Elfrydą przegadałyśmy prawie całą wczorajszą noc, to znaczy parę godzin do rana. W tej chwili Elfryda kąpie się, a mnie morzy sen.

Bardzo dobrze wyglądałam w czarnym smokingowym garniturze z paryskimi tiulami pod szyją. Dopasuję ten styl do mojej sylwetki i przyzwyczaję ludzi do wiązania pojęcia czerni z moją osobą. Do biura również będę chodziła wyłącznie w ciemnych, gładkich kostiumach. Bluzki białe, z kołnierzykiem stojącym, włoska kamea w złocie, ewentualnie

bluzeczki jasnopopielate z lekkim żabotem. Lecz niezmiennie kołnierzyki, żadnych dekoltów. Tak chyba powinien wyglądać kontraktowy radca ministerialny w spódnicy?

Ale już nie mogę pisać, kleją mi się oczy. A to heca, dwieście guldenów wygranych w brydża na jednym posiedzeniu! Muszę koniecznie urządzać u siebie regularne brydże. Jestem bardzo senna, ale chcę zapisać jeszcze jedno: w podróżach schudłam o całe sześć kilo, warto było. Nie trzeba się objadać.

Sobota - 7 stycznia

Pospolita i głupia historia z tą dziwką. Elfrydzie zwierzył się ostatecznie Heinrich i dopiero taką okrężną drogą dowiedziałam się coś niecoś o historii niedoszłego małżeństwa mojego braciszka. To stało się bezpośrednio przed wyjazdem do urzędu stanu cywilnego. Wszyscy byli już ubrani i wówczas Erna oświadczyła, że cofa się i nie pojedzie. Nasz Krystynek prosząc ją uderzył w niewłaściwą nutę i wówczas Erna przy ciotce i przy swoim bracie, a co gorsza przy jakimś wujku, wyrypała:

- Ja ci się nie narzucałam z tym małżeństwem i w tych warunkach mam prawo zrobić, co mi się podoba i jak mi jest wygodnie!

Później były jakieś śmieszne, jak to określił Heinrich, próśby mego brata, coś w tym rodzaju: - Ale mi przyrzekłaś - na co Erna powiedziała mu prosto z mostu:

- Nie myśl, głupcze, że byłam dziewicą, gdy się zjawiłeś w moim życiu. Takich jak ty przepuściłam już dobre dwa tuziny, a może i więcej... - I w tym miejscu nieobliczalna dziewczyna wyrypała kilka nazwisk. - Oni również byli takimi samymi kochankami jak i ty! Cóż ty sobie myślisz? Może miałam czekać, dopóki któryś z was łaskawie się namyśli?...

Reszta była już nieważna. Erna strzeliła drzwiami i na tym się skończyło. A Krystynek zamiast natychmiast opuścić willę von Jamsborcków wdał się w jakieś niemądre rozmowy z rodziną zwariowanej panny. Opuścił willę dopiero wówczas, gdy Erna zabrała swoje walizy i w oczach wszystkich opuściła dom ciotki.

- Do widzenia! - powiedziała z szyderstwem - nie spodziewajcie się mnie zbyt szybko, doskonale poradzę sobie bez was. - Później, już we drzwiach, obróciła się i dodała, zwracając się do naszego Krystynka: - I bez ciebie, głupcze.

Gdy zadawałam dalsze pytania Elfrydzie, ta powiedziała mi od razu w pierwszych słowach:

- Cóż chcesz, wychowaliśmy się razem, prawie w jednym domu, bez przerwy... Nie pytaj...

W każdym razie Krystynka obecnie mocno absorbują. Widocznie podtykają mu pod oczy wszystkie gdańskie możliwości szybkiego ożenienia się. Nie dają mu ani chwili spokoju i doprawdy mógłby wybierać do woli, byle prędko. Gdańszczanie są zgorzeleni berlińskimi awanturami i nie mówiąc tego wyraźnie, triumfują: u nas by się coś podobnego nie mogło przydarzyć. Według mnie nie byłoby trzeba zbyt długo się namyślać: albo Elfryda, albo najstarsza Gardenówna, ta od sportu. W dodatku obie są bogate i dobrze wychowane, bez szusów. No, ale cóż? Nie można mu było powiedzieć: bądź mądry, bo to właśnie mogłoby go spłoszyć, po czym zamknąłby się w sobie jak ostryga i wówczas byłby naprawdę koniec.

Tutaj wszyscy ponadto uważają, że wplątanie się Krystynka w polityczne historie z Adolfem Hitlerem - to niebezpieczne głupstwo. Mówią, że to dobre dla tych, którzy niczego nie posiadają i pragnęliby pójść w życiu *par force*, to znaczy po trupach. A dzięki Bogu, nasz Krystynek tego nie potrzebuje, ma dość, aby urządzić się wygodnie. Gdyby był mądry, wziąłby ślub z Elfrydą i wyjechał w jakąś dłuższą podróż, na przykład z Cookiem do Egiptu, a choćby do Indii. Starczyłoby im na to pieniędzy. A później powinien usiąść kamieniem na Hundegasse i pilnować kręcenia się pieniędzy w drzewie. Z przerzuceniem jakiejś połowy kapitałów do Anglii nie byłoby również trudności.

Późnym wieczorem odjeżdżam do Mławy. Przed wyjazdem odbędę jeszcze długą rozmowę z ciotką Elfydą. Ją również napompuję, żeby wpłynęła na Krystynka. Powinien ożenić się na miejscu, w rodzinie. Powinien sam rozumieć, że to byłoby jedyne honorowe wyjście z kręgu głupstw, jakich narobił w Berlinie.

Warszawa - czwartek - 12 stycznia

Z grudniadzkiego listu wynika, że wyjechała do Rabki w wigilię Trzech Króli. To dobrze. Mam w rękach moją wspólną fotografię z małą, która jeszcze bardziej ukazuje nasze podobieństwo. Obie mamy bardzo wiele z naszego ojca, na to nie można nic poradzić, skoro jest tak, a nie inaczej. Pani W. potwierdza, że po drodze zatrzymają się w Krakowie u tego samego specjalisty, u którego mała była już czterokrotnie podczas poprzednich pobytów w Rabce. Kto wie, czy nie przejadę się osobiście do Rabki, aby zobaczyć na miejscu, jak się urządziły? Doskonała okazja byłaby na Matkę Boską, czwartek, można by to jakoś urządzić na cztery dni z niedzielą.

W biurze idealnie, już przeszły moje pierwsze trzy dni urzędowania. Starszy pan grywa w brydża, to dobrze. Ma żonę młodszą od siebie, jakaś rozwódka, pierwszy mąż oficer. Tutaj w biurze wszystko wiedzą, ciekawa jestem, co o mnie mówią. Na razie, jak dotąd, jest bardzo miło. Pracy niewiele, laba, jak mawiano na uniwerku. Przeglądam na razie różne stare akta, już załatwione, i staram się zorientować, co w ogóle należy do naszej komórki, To jest bardzo miłe, pomiędzy mną a dyrektorem nie ma żadnego naczelnika wydziału, jesteśmy zupełnie samodzielni w działaniu. Naszym zadaniem jest opiniowanie ze strony naszego ministerstwa, co jest pożyteczne, a co nie, jeżeli chodzi o różne importy zagraniczne. Dopiero obecnie rozumiem łatwość żonglowania tymi pozwoleniami przywozowymi z Anno Domini 1928 czy 1929.

Z ważniejszych rzeczy chyba to jedno, że po powrocie do domu zastałam już moją gospodynię. Sama nie wiem i nie umiem kwalifikować w tym wypadku. Coś koło czterdziestu lat. Równie dobrze mogłaby być żoną jakiegoś drobnego urzędnika czy też gospodynią na jakichś dwustu morgach poznańskich. Ręce ma nie zniszczone, imponuje tym, że jest spokojna i jakimś pośpiechem nie gra mi na nerwach. Jeżeli chodzi o właściwe kwalifikacje, te posiada, zdążyłam już zauważyć po dwóch pierwszych obiadach i kolacjach. Trudno byłoby nawet powiedzieć coś złośliwego o tym, że kiedyś w młodości mogła być ładna, ponieważ jeszcze dzisiaj przy swojej czterdziestce wygląda bardzo apetycznie. Określam to według gustu mężczyzn, panów - jak się to mówi. Podobno nawet ten poprzedni pracodawca nie umarł, a jedynie odmienił sobie gospodynię... W każdym razie moja gospodyni nie przynależy do wieku wymaganego przez prawo kanoniczne. Orientuję się w tym nawet dobrze, wobec złożenia egzaminu również i z tej gałęzi wiedzy prawniczej. Na co komu to... ale trudno, sza, to było potrzebne do egzaminu.

Niewątpliwie ksiądz proboszcz dobrodziej folgował sobie, widać to po jej pewnym sobie spojrzeniu. Dla mnie lepiej, obawiałam się, że proboszczowski egzemplarz okaże się jakąś zasuszoną tercjarką, a od tego, jak to mówią: chroń nas, Panie Boże! Stosunki nasze układają się poprawnie i na właściwej platformie. Widocznie szkoła ciotki Leokadii robi swoje. Dobrze też, że to nie jest jakaś Herod-baba. Ciekawa gra była pomiędzy nami podczas pierwszego obiadu. Obie obserwowaliśmy się wzajemnie, bardzo dyskretnie, ale z równym zaciekawieniem. Niewątpliwie dziwiła ją moja pozycja, samodzielne mieszkanie. Na razie postawiłam sprawę w ten sposób, że gospodyni ma wolną rękę. Gdy będę miała na coś specjalną ochotę, uprzedzę. Obecnie - domowe menu ma „lecieć” wyłącznie na jej twórczym dowcipie gastronomicznym.

Na wstępie pochwaliła się, że przywiozła z sobą kosz z prowiantami wiejskimi, o tym jednak powiedziano mi już wcześniej, w Górkach.

Ale to są sprawy nieważne. Gabrysia ma córeczkę, urodziła się 30 grudnia i dali jej na imię Sabina. Rodzicami chrzestnymi mają być Kubuś i Herta. Wszystko poszło dobrze, dziecko przyszło na świat w sposób naturalny, u siebie we dworze. W Starej Wsi. Na razie nie można sądzić, wszystkie małe dzieci są podobne do siebie, czerwone i jednakowo pomarszczone.

Kubuś szczęśliwy. Wszyscy są zacudowani w Marysi, teściowa i szwagierka. Pierścionek bardzo się podobał. Marysia nie oczekiwała ode mnie tak kosztownego prezentu ślubnego. Kubuś jak zwykle głupi, gdy go pytałam, co mu kupić w upominku weselnym, odpowiedział, żebym sobie zawczasu poszukała partnera na przyszłe chrzciny. Taki odważny i pewny siebie, ale wszyscy mężczyźni są jednacy. Na żart odpowiedziałam żartem, że jedynym partnerem, jakiego mam na widoku, jest wujcio Benedykt. Kubuś skrzywił się i szepnął mi:

- Przecież nie zamierzasz wyjść za niego za męża?

Dobry sobie, także przypuszczenie!

Górki wyglądają obecnie po pańsku. Widać, że gospodarze wetknęli nos w każdy szczegół. Wnętrza mocno przewietrzono i pokoje nabrały weselszego wyglądu. Starą graciarnię przetrzebiono, meble poprzestawiano. Starą jadalnię przeznaczono tylko do przyjmowania gości, ale na własny użytek wstawiono poznańskie meble do jednego z pokoi, który nazywa się małą jadalnią, w odróżnieniu od olbrzymiego pokoju stołowego z portretami przodków dawnych właścicieli. Swoją drogą to hołota, ci paryscy utracjusze, pomimo swych herbów. W skórę bić!

Stryj i Leokadia mają w dalszym ciągu bardzo hojną rękę. Kazali mi wybierać w nadmiarze gratów i różnych przedmiotów. Byłam skromna, nie chciałam niczego zabierać. Ale Leokadia wmówiła we mnie stare srebro stołowe sprzed stu lat, na razie zabrałam z sobą tylko połowę, tuzin, resztę mają mi przywieźć przy okazji. Stare srebro, mocno niemodne, ale stryjek śmiał się ze mnie i powiedział do Leokadii:

- Anna nosi na palcu szlachecki sygnet, to się jej przyda stare srebro z herbami, przecież wszystka szlachta to i tak krewni.

Śmialiśmy się - ale srebro przyjąłam. Na łyżkach i nożach herb Poraj, biała róża w czerwonym polu. Łatwo było mi to stwierdzić, ponieważ kilka portretów w sali stołowej ma wymalowany ten sam herb u góry pod ramami. Według dat się orientując, tego herbu była matka młodych utracjuszy.

Głupio mi się zrobiło, ponieważ stryjek wspaniałym gestem powiódł po portretach i powiedział do mnie na wesoło:

- Wybieraj, Anno, weź sobie kilka portretów do swojego warszawskiego mieszkania.

Z miejsca zaprotestowałam, uważałam, że należy pozostawić jadalnię w takim stanie, w jakim stryjostwo ją zastali. Nie wolno niszczyć takich pamiątek jedynie dlatego, że młode huncwoty potrzebowały w pewnym momencie gotówki. Leokadia poparła mnie. W każdym razie wzięłam kilka drobiazgów. Co prawda serwantka, którą wybrałam, nie jest, jak mi się wydaje, meblem oryginalnym, lecz może stanąć w moim salonie. Oprawa ze starego hebanu, względnie mało drzewa, a płyty ze starego szkła kryształowego. Ostały się, mimo wyniesienia na strych. Byle tylko ich nie potłukli podczas transportu do Warszawy. Wybrałam również starą szafkę z drzewa czeczotowego. Zniszczona, stała w kącie na strychu, ale ją sobie odświeżę i naprawię. Będę miała w niej nobliwe pomieszczenie na moje książki, a przecież nie warto taszczyć do Warszawy masywnego gabinetu naszego ojca. Z biblioteki wybrałam dwa niewielkie portreciki olejne, dama z czasów króla Stasia i pendant do niej, jakiś szambelan ze wstęgą i gwiazdą orderową. Niezbyt wielkie i wydawało mi się, że dobrego pędzla. Oprócz tego pięć miedziorytów z alegoriami mitologicznymi, wszystko z XVIII wieku i w oryginalnych starych angielskich oprawach. Mają mi to odstawić na ulicę

Górskiego, gdy tylko będzie okazja. Na razie zabrałam pierwszy tuzin srebra. Florencja zostawiła mi również tuzin, nowy fason. Pomiesza się stare z nowym i jakoś będzie.

W biurze ustaliłam się jako typ kobiety poważnej. Mówiłam nawet o tym, że pracuję nad doktoratem. Mówić zawsze można, trudno sprawdzić, a takie opowiadanie dodaje fasonu i otacza jakąś aureolą.

Zapowiedziała się Zośka, lecz dopiero pod koniec miesiąca. Ciekawa jestem, co powie na moje mieszkanie. Swoją drogą ma już trzydziestkę i mogłaby się uspokoić ze swoimi smarkatymi przygodami podczas podróży handlowych. To nawet nie wypała, a w dodatku nabija niepotrzebnie głowę niezdrowymi myślami i pożądaniami. Napluć na to, szkoda czasu, lepiej skupić się na interesie. A mnie się wydaje, że właśnie moja siostra ma głowę wypełnioną tylko tym wyłącznie, cała reszta istnieje u niej jako dodatek.

Napisałam już do Tuchołków, zaprosiłam do Warszawy. To jest bliżej niż Wąbrzeźno. Dodałam w liście - dla zachęcenia - że być może mogłabym mu w czym nieco pomóc, ponieważ mam już trochę stosunków i znajomości. Przyznałam się do „radcy”, lecz zamilczałam o kontraktowym radcostwie. Ludziom należy mówić najwyżej tylko połowę z tego, co by pragnęli wiedzieć. Ostatecznie taki starosta na kresach to mały królik w swoim własnym powiecie. Dobre polowania, wyżerki, ale za to moc kłopotów w urzędzie.

Do Zośki napisałam, aby przysłała mi wszystkie meble, które dostałam po naszym dziadku. Oni są kupcami, dla nich nie stanowi to żadnego wysiłku. Opakowanie, wysyłka na dworzec i napisanie awiza o załatwieniu zlecenia. Koniecznie trzeba domieszać coś naprawdę własnego do tych prezentów od obu ciotek.

Śmieszne są te stare warszawskie domy. Niby mieszkanie jak na Warszawę solidne, ale równocześnie jakieś archaizmy. Kuchnia ma dobre sześć metrów na pięć i zamiast oddzielić miejsce dla służącej w tylnej części, bliżej drzwi, przepierzenie wykonano od strony okien. Tylko tyle, że Florencja kazała wyrzucić stary piec sprzed stu lat, a na jego miejsce wstawiono dużą, nowoczesną angelkę na węgiel i gaz. Do angelki doczepiono bardzo pomysłowy piecyk do ogrzewania kuchni, pamiętano nawet o przybiciu arkusza azbestu na drewnianym przepierzeniu od strony pieca. Zlew-zmywak również już nowoczesny. Moja gospodyni ma bardzo wygodnie, metalowe łóżko z materacami, szafę na rzeczy z lustrem, stolik i dwa krzeselka. Już we własnym zakresie powiesiła nad łóżkiem obraz Pana Jezusa, to jej przecież wolno. Cała kuchnia jest wyłożona jednolicie ciemnoczerwonym linoleum.

Przedpokój jest mało efektowny. Długa kiszka, w głębi w poprzek drewniana ścianka, przepierzenie, podobnie jak cały przedpokój, obite jednolitą tapetą w kolorze złotawo-słonecznikowym. Za przepierzeniem znajdują się dwie komórki, jedna z nich, bliższa mojej sypialni, to pomieszczenie na walizy, kufry i domowy lamus. Druga część komórki, większa, ma wąskie drzwi do kuchni - to jest owo królestwo słoików i różnych darów wiejskich. Spiżarnia, ale w nie bardzo odpowiednim miejscu. U nas takie skrytki urządziła się zwykle w kuchni z bezpośrednią wentylacją z zewnątrz, z przewiewem na dwór. Gdy się trochę ustabilizuję, kupię sobie elektryczną lodówkę. Widziałam taką na Hundegasse, półtora tysiąca niemieckich marek.

Na niedzielę zaprosiłam do siebie moich warszawskich, przyjaciół. Już ustaliliśmy, że generał nigdzie nie wyjeżdża, będzie zatem pięć osób razem ze mną. Jak na ostatnie dwa dni objawiałam bardzo wiele żywotności. Do domu wpadałam, tylko na posiłki. Zmęczenie jakoś przechodzi. To wszystko zresztą były sprawy obchodzące mnie tylko pośrednio - tak to sobie wykombinowałam dzisiaj w biurze. Takie rzeczy trzeba obserwować na odległość, a nie przeżywać w sobie. Dobrze tak powiedzieć, trudniej jednak dotrzymać.

Sobota - 14 stycznia

Wczoraj otrzymałam list z Rabki. Licho, lecz jeszcze nie najgorzej. Mała ma zdaje się imieniny za pięć dni. Jest sześć Mart w kalendarzu, na wszelki wypadek wysłałam paczkę z

upominkami. Wełniana granatowa sukienka, dwie pary pończoch, różne drobiazgi i słodycze. To przecież jeszcze dziecko. Wysłałam takie rzeczy, z których i ja się cieszyłam, gdy byłam małą dziewczynką.

Dzisiaj spotkała mnie głupia historia. Oba ministerstwa są położone w pobliżu, a ponieważ wszyscy wychodzą gdzieś z biura, zatem i ja wyszłam. Na korytarzu przed pokojami departamentu mojego stryjka spotkałam... Faustyna Kruczka. Ukłonił się i przywitał w sposób całkiem poważny i możliwy. W kilka chwil później dowiedziałam się z ust stryjka, że Kruczek pracuje w jego departamencie od kilku miesięcy. Jest kontraktowym pracownikiem bez wyraźnie określonej funkcji i dostał pracę w sposób całkiem przypadkowy. Było potrzeba ludzi, dowiedział się o tych możliwościach od znajomego i zdobył się na odwagę dotarcia do samego dyrektora departamentu. Rozmowa się rozkręciła. Kruczek pochwalił się, że na poznańskim uniwerku znał pannę Annę Jambor. Może nawet mu to pomogło do zaczepienia się o posadę, chociaż Marcin wyraża się o nim na ogół pochlebnie. Nic nie mówiłam, jedynie wysłuchałam opowiadania o tym, jak to na poznańskim uniwerku prześladowali Faustyna Kruczka dlatego tylko, że pochodził z Kongresówki. Nie zaprzeczałam i niczego nie wyjaśniałam, a stryjek mówił:

- Oblali go tam w Poznaniu przy drugim czy trzecim egzaminie, ale obecnie przeniósł się na warszawski uniwersytet i jakoś sobie radzi. Bardzo jest odczytany, myśli postępowo, co prawda jest mocno czerwony, ale któż z nas nie był w młodości czerwony? To mu później przejdzie, gdy zdobędzie kawałek chleba i właściwe stanowisko...

Nie przeczytałam, wysłuchałam tyrady dyrektora departamentu bez żadnych uwag i na pozór całkiem obojętnie. A zresztą co mnie do Kruczka, każdy może mieszkać w Warszawie, miasto jest dostatecznie duże. Chyba nie odważy się ponownie narzucać mi swojej osoby, chyba już zmądrzał? Czas byłby na to.

W tym tygodniu ustaliłam się w Banku Handlowym. Zrealizowałam styczniowe kupony od papierów wartościowych i otworzyłam sobie konto czekowe. Dzisiaj wydałam prawie tysiąc złotych na wódki i różne wina. Jako stałe miejsce zakupu wybrałam Braci Pakulskich na rogu Brackiej i Chmielnej, bardzo blisko mego mieszkania. Również blisko jest do Wedla, zaraz na najbliższym narożniku. To bardzo dobry punkt do spotkań: koło Wedla czy też: u Wedla, od razu wszyscy wiedzą gdzie. Moja ulica nazywała się dawniej, za carskich czasów, ulicą Hortensji. To brzmiało bardzo dobrze, niepotrzebnie wyskoczyli z Wojciechem Górskim. Głupia mania nazywania ulic nazwiskami jakichś ludzi. O wiele więcej przemawiała mi ulica des Quatre Pieds niż jakiś Napoleon czy Wojciech Górski. No, ale trudno. I tak połowa warszawiaków mówi po dawnemu: ulica Hortensji, na przykład stróż naszej kamienicy. Moja gospodyni nim dyryguje i jak zauważyłam, wpaja w niego szacunek dla pani radcy. Tak też już mnie stróż nazywa, razem ze swoją córeczką. Nie wdaję się w to, ponieważ służba trzyma zawsze razem przeciw państwu. Zdążyłam to zauważyć w Paryżu. Niby francuska demokracja, ale w domu dwa jednolite fronty: państwo i służba, W pośrodku między nimi trwa nieustanna walka klasowa. Reszta jest nieważna, ponieważ słowa i szacunek to są tylko zwykłe dekoracje teatralne, ustawione w zależności od potrzeb obu stron.

Swoją drogą Faustynek - beczelny typek. Wkręcił się do ministerstwa, mimo że zawsze chciał wywracać do góry nogami istniejący porządek rzeczy na świecie. Zresztą gdyby nie było Faustyna Kruczka, na jego miejscu byłby tuzin innych. W Warszawie jest więcej ludzi niż posad. Z tą uwagą jedynie, że do ministerstwa powinni przyjmować kandydatów z twarzą, która nie stanowi obrazy dla lustra. A tymczasem stryj mówi: odczytany. Owszem, ale cóż z tego? To byle kto potrafi, wystarczy trochę czasu i odrobina pamięci. Mniszkównę czytała nawet kucharka w moim pierwszym mieszkaniu studenckim w Poznaniu! Grunt natomiast, aby rzeczy przeczytane umieć w swojej głowie odpowiednio ułożyć i przy okazji stosować. A tymczasem Kruczek - z Kalisza rodem - pragnie świat reformować. Mówił zawsze o burzeniu

świata i tronów, a tymczasem oświadczył się o rękę córki zamożnego kupca. Moje pieniądze miały mu widocznie pomóc w realizowaniu tych niecnolliwych zamiarów.

Tylko złość mnie bierze, nawet jeszcze dzisiaj, że taki bęcwał był w moim życiu chronologicznie pierwszym kandydatem na męża. Głupstwo - na uniwerku bardzo często przychodzą do głowy różne głupie myśli, doświadczyłam tego też w odniesieniu do siebie. Niech mu zatem wyjdzie to na zdrowie i niech snuje w myślach swoje mrzonki rewolucyjne. Ciekawa tylko jestem, jak wyglądają na przykład kobiety w życiu urzędniczyny Faustyna Kruczka. Chyba nieszczególnie. Któraż bowiem z mądrych kobiet poda rękę utopiście? Chyba jedynie w tym wypadku, gdyby chociaż zewnętrznie był do czegoś podobny, przystojny... bo to na ogół jest u kobiet decydujące. Ale koniec z tym, nie warto zapisywać bloczka Kruczkiem!

Przyjęcie wypadnie chyba dobrze. Zające, indyczka, różne frykasy godne nawet kanonika czy prałata. Moja gospodyni kocha się w jedzeniu. Tylko nie wiem, czy nagroda będzie taka sama. Cóż bowiem i czymże mogę nagrodzić - ja, panna i córka i, radca w biurze? Tylko pieniędzmi. A ksiądz proboszcz? Przed kim się spowiadają takie księżę gospodynie? Ale dość. Niech każdy czyni, na co ma ochotę, a w ten sposób będzie czynił dobrze, pod warunkiem, aby również i innym było przy tym dobrze! Tak by powiedział na pewno Epiktet, gdyby dożył naszych czasów i gdyby posiadał trypokojowe mieszkanie w Warszawie przy ulicy pięknej Hortensji. Ta bowiem, od której imienia nazwano ulicę, musiała chyba być dobra i piękna, skoro tak uczyniono.

W tym tygodniu czeka mnie napisanie mnóstwa listów. Trzeba bowiem wysłać listy na wszystkie strony świata i przyzwyczaić znajomych do mojego nowego adresu. Zamówię sobie jakiś elegancki papier listowy z odpowiednimi nagłówkami.

Niedziela - 15 stycznia

Przyjęcie udało się. Przy tej okazji dowiedziałam się, że czeka mnie moc różnych wizyt. Trzeba się będzie na to specjalnie nastroić. Jutro idziemy z Florencją do krawcowej, już ma zamówioną kolejkę na cztery suknie, dwie dla niej, dwie dla mnie. Uszyją w ciągu tygodnia. Karnawał. Nawet nie dla tańców, lecz zwyczajnie dla podtrzymania stosunków towarzyskich i zawarcia nowych znajomości. To będzie mój pierwszy prawdziwy karnawał w życiu. Generałowa przewiduje z tuzin różnych balów, w tym nawet raut na Zamku u prezydenta. Florencja doradza uszycie sukni ze srebrnej lamy, druga ma być w kolorze bławatków. Widziała podobny materiał przed kilku dniami, zaraz jutro wyfruniemy razem po zakupy.

Generałowa ma ułatwić nawiązanie stosunków towarzyskich z moim dyrektorem. Zaprosi go z żoną na obiad do siebie, później oni zaproszą mnie, zrewizytują i tak dalej. Urządzimy następnie obiad u mnie, a później wciągnę ich na listę moich stałych domowych brydżystów. Z tego wszystkiego widać, że moje biuro w ministerstwie będzie jedynie tylko dodatkiem do innych, bardzo licznych obowiązków. W dodatku to dla mnie nowość, wszystkiego trzeba będzie uczyć się od: a-b-c.

Na końcu do zanotowania jeszcze jedna wiadomość. Kamienica, w której mieszkam, posiada kilku właścicieli, ale właściwie jest, jak się wygadał generał, całkowicie w rękach mojego stryjka. Na razie nie dociekam, ale obecnie rozumiem, dlaczego stróż i administrator - już go zdążyłam poznać - są dla mnie tacy uprzejmi i z uszanowaniem. I stąd zapewne pochodzi moje mieszkanie. Mieszkał w nim poprzednio, przed Florencją, jeden z właścicieli, który wyniósł się za granicę, daleko, do Kapsztadu. Równocześnie strzyjek kilkakrotnie wspominał, że już w najbliższej przyszłości zamierza opuścić ministerstwo.

Co do mojego towarzystwa biurowego, Florencja radziła mi odczekać jakiś miesiąc lub dwa i dopiero później zaprosić ich przy jakiejś okazji na coś w rodzaju sobotniej kolacji, przed niedzielą. Sprawa niespieszna. Na razie doradzała bliższe stosunki z filozofką. Podobno pochodzi z dobrej rodziny ziemiańskiej, ale nie wypadło jej z małżeństwem. Nieszczęśliwa

miłość. Narzeczony pofrunął za grubszymi pieniędzmi. Mieszka u żonatego brata, który jest inżynierem i ma własne biuro techniczne.

A zatem jutro wyprawa do sklepów i do krawcowej!

Poniedziałek - 16 stycznia

Nie bardzo cięży mi biuro. Powiedziałam nawet bezwstydnie, że wychodzę do sklepów. Dyrektor był nieobecny, właściwie nie miałam się komu opowiadać. Jeszcze nie natknęłam się na naszego wicedyrektora, ponieważ przebywa na kuracji w Krynicy, zdążę go jeszcze poznać.

Obiad zjadłyśmy na odmianę u mnie. Bez zarzutu. Dobra szkoła, proboszczunio nie zdawał sobie sprawy, jaki skarb wypuścił z rąk. Tylko nie wiem, co o tym myśli Wikcia (ponieważ tak ją nazywam zgodnie z zaleceniami Leokadii) o pannie w trzech pokojach, samotnej i bez męża? Gdyby chociaż rozwódka! Zbyt wielki przeskok od proboszcza pod Lesznem do panny. Ale to już do mnie nie należy i o to głowa mnie nie boli.

Oba materiały według gustu Florencji, Lama w jasnym srebrnym kolorze, a jedwab w kolorze świeżo zerwanych bławatków. Obie suknie będą bardzo obcisłe, przy lamie spory dekolt z przodu i z tyłu. Florencja twierdzi, że moja figura ostatnio mocno się poprawiła, pochwaliła moje gorsety i była zachwycona ubytkiem na wadze. Dzisiaj musiałam pokazywać jej wszystkie moje stroje, mówi, że to i tamto trzeba będzie uzupełnić. Z jednej strony pochwała mój angielski styl kostiumowy, lecz równocześnie mówi, że kostiumy raczej zacierają prawdziwą kobiecość i stanowią jedynie oficjalny uniform kobiety pracującej. Ta ostatnia jednak w mym położeniu nie powinna całkowicie rezygnować z wystawienia na pokaz swojej kobiecości, a to może nastąpić jedynie w sukniach czysto kobiecych, odsłaniających dekolt, uwydatniających biust, podkreślających kobiecą linię bioder i ukazujących nogi, nogi... Podobno nawet moje nogi już nie rażą i ich kształty wyrównały się proporcjonalnie do mojej obecnej sylwetki netto, jak to dowcipnie określiła Florencja.

En passant dowiedziałam się dzisiaj, że Patrycja już wie o jej małżeństwie, jakoś przeszło bez zaburzeń. Gdy mi to mówiła, patrzyła uważnie na mnie. Jakoś wytrzymałam to spojrzenie i powiedziałam serdecznie:

- Patrycja jest bardzo miła, nigdy nie zapomnę gościnności w Paryżu oraz wspólnych podróży. - Gdy wspomniałam o gentlemaństwie pana Vladimira, Florencja zmrużyła oczy, po czym wybuchnęła śmiechem:

- Ależ, Anno! On nie liczy się przy du Pont Vert, nie warto o nim wspominać, tam ważna jest jedynie Temmi.

Niech będzie co chce, ale jeżeli o mnie chodzi, pan Krymułt zawsze będzie mi imponował, niezależnie od tego, czy się liczy w domu przy ulicy du Pont Vert, czy nie. To jest bardzo wiele, gdy ludzie nie robią z siebie wariatów i zachowują się w każdej sytuacji spokojnie i nobliwie. A sytuacja jego nie jest taka prosta i łatwa, jak by się na pozór zdawało.

Środa - 18 stycznia

Przed chwilą wróciłam z brydża od generałowej. Byłam bez Florencji - same panie. Generał tylko wpadł przywitać się, ale zaraz się wycofał. Dwa stoliki, grają bardzo wysoko, przegrałam przeszło trzydzieści złotych. Trzeba dobrze uważać i grać chłodno. Do domu odesłali mnie samochodem, było dobrze po godzinie pierwszej. Wikcia czekała, usiłowała mnie nakarmić. Śmiałam się i powiedziałam jej na wesoło, że po północy jest czas na spanie, a nie na jedzenie. W każdym razie to dobry objaw - taka obowiązkowość.

W biurze trochę nudnawo. Na razie brak poważniejszych spraw. Otrzymuję w dodatku materiał już przeżuty przez inne ministerstwa. Europa w moim drugim pokoju jest podzielona na dwie części i każda z moich koleżanek referuje poszczególne kraje, mnie dodatkowo obciążają wszystkie pozostałe części świata. Sam mechanizm załatwiania spraw jest

dziecinnie łatwy. Dyrektor uprzejmy, wypytywał mnie, jak się urządziłam w moim warszawskim mieszkaniu i czy nie żałuję Paryża. Widocznie generałowa już działa w kierunku naszego zbliżenia. Ciekawa jestem, czy byłby dla mnie tak samo uprzejmy, gdyby za mną nie stały pieniądze i koneksje krewnych? W biurze, z braku innego zajęcia, czytam ustawy i rozporządzenia naszego ministerstwa.

Jutro idziemy do pierwszej przymiarki sukien balowych. Przydałby mi się biały lis, ale na razie nakładam sobie hamulec na wydatki.

Przypuszczalnie w tym tygodniu złożę wizytę młodemu Orzechowskiemu. Najwyższy czas. Słyszałam w Górkach od Leokadii, że starsi państwo Orzechowscy będą w Warszawie, wypada jeszcze raz podziękować im za miłe towarzystwo na Posilippo. Spróbuję namówić Żoliborz na wspólną wizytę, wydaje mi się, że oni jeszcze u nich nie byli. Nie wiem, jak to bywa z wizytami, ale przecież nie trzeba koniecznie trzymać się zawsze jakichś kanonów. Orzechowscy to porządni ludzie, jedynie trudne czasy stopiły im majątek. Nie umieli powstrzymać się od wydatków i tylko w tym jest ich wina. Takich u nas jest dużo. Sztuka użycia polega na tym, żeby wydawać mniej od dochodów, tworzyć rezerwy i w ten sposób żyć spokojnie. Najlepiej - wydawać tylko połowę dochodów, drugą przeznaczać na dalszą kapitalizację i w ten sposób zwiększać pierwszą połowę. Byle tylko cierpliwie odczekać kilka lat. Naruszenie zaś równowagi oddaje wiejskich dziedziców na łup banków i różnych byłych pachciarzy.

Czwartek - 19 stycznia

Wiadomość o spodziewanym przyjeździe do Polski stryja Juliusza z Chicago nie zrobiła na mnie prawie żadnego wrażenia. Ci Amerykanie, których mniej więcej poznałam na wycieczce Cooka, byli na ogół ordynarni i pospolici. Być może eleganccy Amerykanie nie podróżują z Cookiem, ale w każdym bądź razie... Podobnie zachowywało się towarzystwo amerykańskie w kabarecie rosyjskich emigrantów. Również w opowiadaniach Mrs Maltz nie za bardzo perłowo wygląda ta Ameryka. Dużo reklamy i dużo dolarów, ale na tym właściwie wszystko się kończy. Opowiadania o „kraju wszelkich możliwości” również nie są zbyt pociągające. Nigdy dotychczas nie przychodziła mi do głowy ochota wyjazdu w tamtym kierunku, jakoś myślałam wyłącznie o Anglii, a właściwie tylko o Londynie.

W opowiadaniach Marcina - historia Juliusza Jambora wygląda nieco inaczej, niż w ustach mojego ojca i ciotki Katarzyny. Po skończeniu grudziądzkiego gimnazjum stryj Juliusz zdobył sobie paręset marek i bez żadnych cudów wsiadł na statek w Hamburgu. Przeszedł wszystkie szczeble kariery amerykańskiej, mył razem z Chińczykami talerze w obskurnych garkuchniach, później awansował na prasowacza spodni w Bostonie, a dopiero po takiej akademii nauk w USA - został w roku 1902 ostatecznie kelnerem. Ustalił się w Chicago i dwa czy trzy lata; przed wybuchem wojny światowej był już właścicielem średniej wielkości restauracji i domu czynszowego na peryferiach wielkiego miasta. Później uniósł się patriotyzmem i z wojskami Hallera zjawił się na francuskim froncie, a następnie na froncie ukraińskim w Polsce. Do domu ojca w roku 1920 „wpadł jak po ogień” i zaraz wrócił do Ameryki. Trochę późno, ponieważ tymczasem jego amerykańska żona potrafiła znaleźć sobie kochankę w osobie duchownego jakiejś amerykańskiej sekty, jednej z kilkuset istniejących tam sekt. Oboje spuścili mu majątek i stryj Juliusz musiał po raz drugi zaczynać z powrotem od zera, to znaczy od paru żołnierskich dolarów. Został naprzód agentem ubezpieczeniowym, a ostatecznie dorobił się na sprzedaży parcel budowlanych w Kalifornii. Po nauczenie pierwszą żoną nie wdał się już w dalsze małżeńskie awantury. Na tym kończą się rodzinne wiadomości o marnotrawnym stryju.

Gdy byłam jeszcze dzieckiem, nadchodziły do nas kilka razy w roku krótkie listy z drobnymi dolarami w środku, od dwóch dolarów do dziesięciu, z góry określone przez stryja jako dziecinne grosze na cukierki. Pierwszym większym gestem z jego strony było zrzeczenie

się na korzyść dzieci przypadającej na niego części spadku Marcina. Mój uniwersytet nie zrobił na amerykańskim stryjkę specjalnego wrażenia, napisał jedynie list, że cieszy się z tego, ale wyglądało to raczej na pochwałę mojej wytrwałości niż samego dyplomu.

A więc będziemy mieli w 'tym roku u siebie stryjka Juliusza z Chicago!

Piątek - 20 stycznia

Minęły te dobre czasy, gdy mogłam poleżeć dwa dni dla zdrowia w łóżku! Trudno, może jakoś w przyszłości ułożę to sobie. W biurze nic szczególnego. Czytam akta, robię na nich notatki, wtajemniczam się w różne zarządzenia i okólniki. Praca urzędnika państwowego jest nudna i polega jedynie na szorowaniu nosem po różnych teczkach i grzebaniu się w segregatorach. Jest to przelewanie z pustego w próżne i nic dziwnego, że różne typki z czasem tetryczają i wylewają swoje żółcie na tak zwanych klientów. Inni wierzą naiwnie w wielkość problemów, o które się ocierają, i z tego powodu wynikają różne życiowe nieporozumienia. Świat jest nieproporcjonalnie mały w stosunku do ilości kandydatów na wielkich ludzi. Różne niezaspokojone wielkości wyżywają się podobnie jak stare panny. Jedynie - zamiast haftować, zbierają na przykład marki pocztowe lub grywają w szachy. Na ogół wszyscy uważają się za nieszczęśliwych, narzekają i zatrują swym pesymizmem powietrze porządnym ludziom. Ale cóż się dziwić, jeżeli takie ofiary losu i niezaspokojonych ambicji - muszą zamykać się w kilkuset złotych, a słupami Herkulesa są dla nich kolejne „pierwsze” nie tylko wszystkich miesięcy w roku, ale również wszystkich lat od wstąpienia do biur, aż do... *requiescat in pace!*

Sobota - 21 stycznia

Jak w powieści. Dzisiaj zwały się równocześnie meble z Górek i z Wąbrzeźna. Zastałam tę nową graciarnię już wypakowaną ze skrzyń i ustawioną na razie w przedpokoju, który niestety nie jest hallem i sprawia wrażenie hotelowego korytarza. Nie miałam do tego dzisiaj głowy, niech sobie postoi do przyszłego tygodnia. Wiem już, jak je rozmieszczę, ale tymczasem jestem zła i pakuję się do łóżka, aby wypocząć przed jutrzejszym obiadem. W każdym razie wokół mnie ludzie myślą. Zamiast zrobić kram z wypakowaniem skrzyń w przedpokoju, zrobili to w sieni, wszystko obtarli, obchuchali, a dopiero później wnieśli do mieszkania.

Dzisiaj odwiedził mnie w biurze... pan Kruczek i sprawiał takie wrażenie, jak gdyby oczekiwał z mojej strony radości z tych odwiedzin. Przyjęłam go naturalnie bardzo zimno i odpowiadałam monosylabami na jego gadatliwą wylewność. Nie wiem, czy połapał się w sytuacji, ponieważ siedział u mnie całą godzinę. Zdążył mi opowiedzieć historię swego życia w ciągu ostatnich dwóch lat, jakby mnie to choć cokolwiek interesowało. Mężczyźni są jednakowo głupi ze swymi zwierzeniami.

Mam zepsuty dzień. Nie chce mi się nawet pisać.

Niedziela - 22 stycznia

Żona mojego, dyrektora wygląda daleko strawniej od swego męża. Nic dziwnego, gdy ktoś ma hemoroidy i siedzi w biurze na gumowej poduszce... Starożytne typy spod ciemnej gwiazdy. Dyrektor, naturalnie galileusz, dawny urzędnik podatkowy, pracował w austriackim c. i k. Namiestnictwie dla Głodomarii z przyległymi Biedami. Żona jest córką lwowskiego adwokata, ale to nie żadne mecyje, ponieważ tam w każdej kamienicy mieszkało kilku adwokatów, podobnie jak w Krakowie.

Mimo że mnie ciągnęli w tym tygodniu na dwa bale, zdecydowałam, że zacznę balowanie dopiero w przyszłym miesiącu. Na początek wybiorę oficera bal w kasynie, a później zobaczymy, co wypadnie. We wtorek będą gotowe moje obie suknie. Już mam trzy pary nowych pantofelków. To zawsze wychodzi lepiej, gdy się ma obuwie na zmianę. Trzeba

być przygotowaną na różne ewentualności. W tańcu mężczyźni zagląдают do biustu zamiast uważać na nogi. Jeżeli o mnie chodzi, nie znoszę pantofelków z przydeptanymi czubkami.

Najważniejsze, że stryjek mówił dzisiaj bardzo zdecydowanie o tym, że zamierza porzucić „nudne” ministerstwo i urządzić się inaczej. Nie powiedział jednak wyraźnie - jak.

Wczoraj otrzymałam list od Patrycji. Z pisaniem po polsku jest widocznie gorzej, ponieważ list francuski. Nic nie wspomina o ślubie siostry i ja również nie przyznałam się Florencji do tego listu.

Środa - 25 stycznia

Po kolei. Wszystkiego byłabym się spodziewała, tylko nie tego, że moim pierwszym gościem z rodziny będzie Melcia. Zjawiła się rano i zaraz z mojego mieszkania zadzwoniła do biura. Z interesami. Przespała się u mnie z poniedziałku na wtorek i miałam możliwość zaimponowania jej pokojem gościnnym oraz Wikcią. A może nawet „panną” Wikcią, ponieważ przy gościach w ten sposób honoruję moją gospodynię. Czytałam kiedyś białego kruka w postaci książeczki księdza profesora Zimmermanna pod tytułem: *Moja pani gospodyni* i od tego czasu mam wyrobione zdanie na temat księżych gospodyń. W sam raz są odpowiednie do mojego cywilnego stanu „panny radcy ministerialnego”. Ale Mela spoważniała, mówi obecnie wyłącznie o interesach, dopiero na drugim planie o rodzinie. Ciekawe. Gdy rozmowa zeszała na tematy berlińskie, moja siostra cioteczna zmarszczyła brwi i powiedziała lodowatym tonem:

- Opowiadała mi matka, Krystynek taki mądry i wdał się z byle jaką lafiryndą. Tak zawsze bywa z mężczyznami, których uważamy za solidnych i spokojnych. Byle flądra potrafi zawrócić im głowę! Winni są właściwie Gardenowie, gdyż nie umieli utrzymać chłopca w rodzinie. Byłam w zeszłym roku w Gdańsku i obejrzałam sobie dokładnie całą naszą tamtejszą rodzinę. Wszystko solidne i bogate, kupcy, a gdańscy kupcy - to nie jakieś tutejsze łachudraki...

Skąd taka mowa i takie słowa w ustach tej dawnej Melci, która tak niedawno jeszcze siusiała w majtki przed byle jakim chłopem?

Wieczorem zorganizowałam rodzinną kolację u siebie i Melcia sprawiła niespodziankę Marcinowi i Florencji, którzy również nie spodziewali się takiej odmiany. W tym jednakże wypadku Mela zachowywała się bardzo powściągliwie i bez słownika wyrazów... kłopotliwych.

Interesy bydgoskie dobrze idą, pracuje cała trójka. Mają zamiar przerzucić się do Katowic, czemu sprzeciwia się jednak ciotka, która mimo wszystko nie ma nabożeństwa do swej synowej i zapewne nie chciałaby widywać jej zbyt często. O Franusiu była mowa, że robi hurtowe interesy.

Mela jest niespożyta. Pomiędzy obiadem i kolacją zdążyła mi wszystko poprzewracać w obu pokojach. Zawołała naszego stróża i w ciągu dwóch godzin świeżo przysłane meble zostały rozłokowane. Przy tej okazji wspomniałam o moim panieńskim marzeniu w postaci francuskiej kozetki. Mela spojrzała na mnie z zaciekawieniem i odpowiedziała bez namysłu:

- Powiem matce, ona chyba nie ma żadnego sentymentu do tego mebla.

Nie nalegałam i na tym się skończyło.

W piątek rano przyjeżdża Zośka, a w sobotę rano mogę spodziewać się Piotrusia Tuchołki i pani starościny. Urodzaj na gości! Dobrze, że zaopatrzyłam się w wódeczności, ponieważ moja Melcia sama o nie zapytała i mocno przypinała się do izdebnickiego jarzębiaka. Wina natomiast nabyłam ze względu na Florencję, która lubi ciężkie, słodkie wina greckie. Podobno najlepsze można nabyć w Krakowie - u Niecia, na Placu Mariackim. Muszę o tym pomyśleć przy okazji najbliższej bytności w miasteczku Lajkonika i Trąbki Mariackiej. Trochę zezem patrzę obecnie na Galileję, ponieważ u nas w ministerstwie panuje istne zatrzęsienie galicjaków.

Podobała mi się Melcia w obecnym wydaniu. Przywiozła mi nawet różne prezenty bławatne. Uśmiecham się, to znaczy śmiałyśmy się obie z pomysłu robienia mi takich upominków. Ale Mela ma już swoje własne ambicje bławatne i powiedziała gorliwie:

- Na początku uczyła mnie Zośka, ale obecnie mam już swoje własne chody. W damskich fatalaszkach nowości mają kolosalne znaczenie, w Bydgoszczy jest duża konkurencja w tej branży. Babska oblatują wszystkie sklepiki, zanim zdecydują się na jakieś kupno. Kto nie umie zaimponować klientom prawdziwymi nowościami, ten leży razem ze swymi lagerhüterami!

Dostałam zatem w prezencie: angielski kupon na kostium, robiony u nas w Bielsku, lecz już ostemplowany angielskim znakiem fabrycznym, trzy gotowe bluzeczki oraz pół tuzina jedwabnych cudów z koroneczkami, właśnie takich, jakimi gorszyła się moja ciotka Katarzyna po moim pierwszym powrocie z Warszawy. Jak to się czasy odmieniły. W dodatku Melcia przyznała się z rozbrajającą szczerością:

- Przecież ja od ciebie pożyczałam po pięć i po dziesięć złotych, z terminem na święty nigdy.

Podobało mi się takie powiedzenie i z prawdziwą serdecznością ucałowałam ją kilkakrotnie.

Melcia paraduje w czarnych, szykownych karakułach. Podobno dostała je na gwiazdkę od Józinka, kosztowały cztery i pół tysiąca złotych. Uważam jednak, że dla mnie byłoby jeszcze za wcześnie na czarne karakuły. Może w przyszłym roku na początek kupię sobie prawdziwe foki, to wygląda równie nobliwie, lecz nie postarza tak bardzo jak karakuły. Głupio jest wychodzić wieczorem w jasnym futrze. Ale trudno się dziwić - czarne karakuły, przecież Mela jest starsza, ode mnie o przeszło dwanaście lat.

Czwartek - 26 stycznia

Suknie udały się. Wieczorem przebierałam się u siebie w domu. Krygowałam się jak zwykle przed lustrem. Nakryła mnie przy tym moja Wikcia i nie powstrzymała się od wypowiedzenia kilku słów:

- A to pewnie panienka chce się wydać za mąż w tym karnawale?

Byłam tak zaskoczona, że nie zwróciłam uwagi na ową „panienkę”, ale ostatecznie podczas kolacji zjawilo się z powrotem: pani radca. Widocznie wiejskość mojej księżej gospodyni wdepnęła na utarte ścieżki rozumowania: panna, zamożna, własne mieszkanie, kamienice, to od razu tylko wychodzić za mąż. Właśnie o tym myślę. Byłabym naprawdę głupia, po trzykroć głupia!

Piątek - 27 stycznia

Zośka nie była tak bardzo zdumiona, jak sobie wyobrażałam. Zdążyły mnie obmówić przez telefon, mam na myśli Melcię. W każdym razie siostra przywiozła mi również prezenty. Była na tyle dowcipna, że wszystko przywiozła podwójnie, dla mnie oraz dla Florencji. Nawet dla Marcina była dodatkowa trzecia paczka. Kupony na ubranie i na dwa płaszcze oraz różne popeliny na męskie koszule.

Gdy się śmiałam z bławatów, moja Zośka przypomniała mi stare niemieckie powiedzenie: *kleine Geschenke unterstulzen die Freundschaft*. Może ma rację? W każdym razie nasz stryjek i nasza najmłodsza stryjna bardzo pięknie dziękowali za pamięć. Jutro kolacja rodzinna na Żoliborzu - bez obcych. Tuchołkowie przyjadą na pewno. Telegrafowali o rannej godzinie przyjazdu, pojedzie po nich na dworzec Zośka, ponieważ ja muszę pałkować w biurze. Samochód z Żoliborza. Dla małżeństwa odstąpimy mój salon sypialny, a my obie z Zośką prześpiemy się w pokoju gościnnym.

Sobota - 28 stycznia

To bardzo miło, gdy można gościć u siebie kilka osób. Weszło. Szwagier poważny, już robi z siebie dziedzica. Świtka na opasach, kołnierzyk bobrowy, kapelusz zielony z myśliwską kitką. Nie chciał wierzyć w moje radcostwo ministerialne i odwiedził mnie w biurze. Pelasia jak Pelasia, ciepłe kluski. Roztyła się. Również wyobraża sobie, że wiejska gospodarka to kopalnia złota i kokosy. W każdym razie przestrzegałam i opowiadałam o spodziewanych trudnościach w rolnictwie. Na to wszystko szwagier zauważył:

- To będzie trudne dla tych, którzy szastają pieniędzmi i jeżdżą za granicę.

Trochę było w tym aluzji do moich podróży, chociaż zaraz poprawił się i dodał:

- Mam na myśli Monte Carlo i długie balowanie po Riwierach. Tak od czasu do czasu można wyjechać, aby coś zobaczyć, tego nie ganię, ale idzie mi o naszą arystokrację.

Najgorzej jednak, gdy się poprawia słowa już źle powiedziane, ponieważ akurat Piotruś spojrzął na moją rękę z sygnetem i zrobiło mu się trochę głupio. Ale jemu trudno dogodzić. Na przykład miał zastrzeżenie do moich dwóch nagich kobiet. Co do Makarta, to jeszcze tak bardzo nie ganił, jedynie powiedział:

- Makart? W Poznaniu wisi w Muzeum Wielkopolskim kilka takich obrazów, ale jeżeli o mnie chodzi, nie powiesiłbym takiego obrazka u siebie w domu. A co do szkicu kredką, to ta dziewczyna bardzo nieprzyzwoicie rozwalila się na tej kanapce. - Nie patrz na to, moja Pelciu. - (Gdy pisałam te słowa, wybuchałam co chwilę śmiechem!).

A Pelasia dopominała się, że w moim pokoju sypialnym nie powiesiłam żadnego obrazka świętego. Trudno widocznie wszystkim dogodzić. Trzeba by sobie w domu urządzić jakąś scenę obrotową: pokoje skromne i pokoje nieskromne. Obrazy na dwie strony, do zmiany.

Czwartek - Matki Boskiej Gromniczej

Goście już wyjechali. Wczoraj dokończyliśmy rozmów na tematy finansowe. Właściwie wszystko spadnie na głowę Zośki i w tym roku będzie musiała dobrze pokręcić tą głową, aby dotrzymać umówionych terminów wekslowych. Początkowo szwagier robił jakieś obliczenia i wypadło coś ponad sto osiemdziesiąt tysięcy, gdybyśmy mogli spłacić ich część gotówką. Wyrwałam się z innym załatwieniem: sto tysięcy gotówką do końca lutego i pięć razy po dwadzieścia tysięcy co kwartał, począwszy od najbliższego kwartału. Takie postawienie sprawy spodobało się stryjkowi Marcinowi, a Florencja później powiedziała mi w cztery oczy:

- Wasz szwagier nie wyżył się jeszcze groszowych obliczeń.

Ma rację, ale w każdym razie wszystko poszło w zgodzie i spokojnie. Żadne z nas nie wykazywało chciwości. Tuchołkowie mają pokwitować nas z kompletnego rozliczenia się z nami i od tej chwili domy w Grudziądzu oraz bławaty będą należeć wyłącznie do nas trojga z Krystynkiem. Poszło zatem zgodnie z radami stryjków i naszymi własnymi. Krystynek ostatnio jeszcze raz upoważnił mnie do działania w jego imieniu.

Dowiedzieliśmy się, że szwagier już sprzedał swoją posagową kamienicę i prawie ugodził się co do kupna majątku na kresach. Podobno sporo lasów, nie bardzo jednak mi się to podoba, byłoby lepiej, gdyby Tuchołka zdjął koronę z głowy i poradził się naszego stryjka Pawła. Stryjek dobrze zna się na ziemi i być może powstrzymałby go od kupna jakiegoś majątku, ładnego tylko na optykę. Ale cóż, kiedy szwagier zawsze był zarozumiały na punkcie własnego rozumu.

Obecnie będzie jedynie kłopot ze znalezieniem pożyczki na grudziądzkie domy. Marcin radzi porozumieć się ze stryjkiem Pawłem, może on miałby ochotę ulokowania tych stu tysięcy, ale trzeba byłoby od razu ułożyć się na dwa lata, w najgorszym wypadku ostatecznie na jakieś osiem i pół procent rocznie. Chyba nie da się taniej - nawet u stryjka?

Zośka mówiła, że szwagier zrobił z nami dobry interes, ponieważ dostanie okrągłe pieniądze. Być może złościło ją to zaokrąglenie przeze mnie do dwustu tysięcy, ale

Tuchołkowie mają dzieci, niechże zatem! Co prawda sama nie wiem, w jaki sposób spłacimy po dwóch latach te obecne sto tysięcy, ale pięć weksli upchniemy gładko z obrotów sklepowych. Byle tylko Krystynek nie zażądał kolejno spłaty swej części. To byłoby już trudniejsze i zmusiłoby nas do całkowitego wyzbycia się domów w Grudziądzu. Zostałybyśmy z Zośką tylko przy interesach wąbrzeskich.

Ostatecznie jestem zadowolona, że to wszystko już się odbyło. Weksle podpisałam lekką ręką, resztę ma załatwić nasz grudziądzki notariusz.

Tuchołkowie byli mocno zdziwieni na widok mojego gospodarstwa domowego. Szwagier kiwał głową, a Pelasia kilkakrotnie zapytywała mnie na osobności, kiedy zamierzam wyjść za mąż i za kogo. Piotruś w dodatku brał bardzo poważnie moje biuro i zadawał mi dziesiątki pytań z zakresu moich spraw urzędowych. Głupiec. Widocznie przejmuję się swoją funkcją starościńską, ma zwyczaj w rozmowie napomykać o tym i nazywać samego siebie starostą. Na przykład mówi w ten sposób: - Spotkałem generała X i ten mnie pyta: a co u was słyhać, starosto?

Widocznie głupich ludzi nie potrzeba siać, bo sami się rodzą. Ale bądź co bądź lubię naszego Piotrusia. U nich obecnie gospodaruje jakaś starsza, daleka krewna Tuchołki z Pomorza, również w randze ciotki.

Go do naszej ciotki, pani Millerowa jest bez zarzutu. Podobno w Wąbrzeźnie robi świetne wrażenie i Zośka chwali ją sobie. Bardzo dobrze.

Nie doszła do skutku moja podróż do Rabki, ale trudno. Kuracja chyba postępuje pomyślnie, w przeciwnym bowiem wypadku p. W. alarmowałaby. To rozsądna i dobra kobieta. Któregoś dnia przyszło mi do głowy, aby umieścić ją razem z dzieckiem w Wąbrzeźnie, ale to nie była dobra myśl. Jeszcze mogliby przyczepić do tej biednej małej - którąś z nas i to stworzyłoby dla dziecka niepotrzebne komplikacje.

Piątek - 3 lutego

Jutro mój pierwszy bal w Warszawie. Naturalnie w kasynie oficerskim pod opieką generałowej. Żoliborz będzie również. Przed chwilą przymierzałam obie suknie i zdecydowałam się na srebrną lamę. Szkoda, że nie mam białego lisa, no, ale trudno. W tym roku będzie porządny ścisk z gotówką. Postanowiłyśmy zagryźć zęby i przede wszystkim spłacić długi po Krystynku i weksle Tuchołków.

Jeszcze nie mam odpowiedzi z Górek w sprawie kredytu na dwa lata. Co do mnie, wolałabym wziąć kredyt od stryjka Pawła niż z Gdańska. Zobaczymy.

Niedziela - 5 lutego

Uśluchałam rad generałowej i jedynie markowałam pijaństwo. Wyszło mi to na dobre, ponieważ mimo wszystko, nawet przy bardzo niewielkiej ilości wódek, wróciłam do domu z katzenjammerem. Wytańczyłam się. Całe szczęście, że byłam w solidnym towarzystwie i nie zaproszyłam sobie głowy. Nad ranem widziałam różne sceny i znikanie z sali par. Przynajmniej co trzeci tancerz proponował mi całkiem bezwstydnie wspólne wyjście i tak dalej. W mniej lub więcej nobliwej formie... Ale wszyscy liczyli widocznie na alkoholowe zamroczenie. Mam już obecnie przedsmak warszawskiego życia. Może to i wygodne, ale w rezultacie do niczego nie prowadzi i jest równocześnie mocno ryzykowne. Higieniczne zabiegi naszej Zośki są już bezsprzecznie mądrzejsze. Pijana kobieta w objęciach mężczyzny znalezionej na balu - to jedynie dodatkowa i gratisowa prostytutka. Bardzo często w takich okazjach powstają zapewne dzieci. Rozmaite - pod względem komplikacji życiowych. W dodatku sama kobieta nic z tego nie wynosi, chyba to jedno, że jej się jakoś uda umknąć z mieszkania balowego kochanka - w sposób anonimowy. Ale zazwyczaj takie właśnie przygodne pobalowe stosunki wloką się później za kobietą jak posiew dżumy i trudno się od nich odczepić. A zatem inny styl życiowy, Anno! Bal to tylko okazja do pokazania nowych

toalet, zrobienia pożytecznych znajomości i, rzecz zrozumiała, potańczenia w granicach rozsądnych. Ale nic więcej. Pobalowe zakończenia dobre są jedynie dla kobieciełek i różnych miłosnych samarytanek, które oddawanie się mężczyznom uważają za pryncypalny obowiązek i posłannictwo kobiet.

Wszystko jednak głupstwo. Na razie zażyłam dwa proszki aspiryny i leżę w łóżku. Wieczorem w dodatku trzeba będzie pójść na pierwszego brydża do moich dyrektorstwa. Chyba trzeba będzie dać im wygrać? Ciekawa jestem, po ile grają? Pójdę w tym wypadku z prądem i powiem naiwnie: jak zwykle u państwa. Marcin mówił, że to są tacy sobie centusie galicyjscy. Ciekawa jestem, jak wygląda ich życie.

Wtorek - 7 lutego

Dyrektor był rozpromieniony. Przegrałam pięćdziesiąt cztery złote. Grałiśmy na dwa stoliki. Urzędnicze towarzystwo, ale nowe znajomości bardzo korzystne dla mnie. Przyjęcie skromne, lecz przyzwoite. Żytniówka i likiery, bez wina. Coś w rodzaju bufetu na stojąco. Trzeba będzie urządzić podobnie i u mnie. Zresztą nie wiem, zapytam Florencji, ale przyjęcie urządzę dopiero w przyszłym tygodniu. W sobotę bal ministerialny, a w niedzielę u Ziemiaków. W biurze mam już trochę zajęcia. Trzeba będzie pomyśleć również o przyjęciu dla moich biurowych kolegów, już się lekko przymawiali. Nie mam głowy do pisania.

Środa - 8 lutego

Nadszedł list z Górek. Stryj Paweł daje na dwa lata pięćdziesiąt tysięcy, reszta z Gdańska, w obu wypadkach na osiem i pół procent, płatne na szczęście z dołu i z końcem roku. Bardzo dobre warunki, jak na dzisiejsze czasy. Naturalnie natychmiast odpisałam ekspresowe listy z podziękowaniem i prosiłam o skierowanie wszystkiego do naszego notariusza w Grudziądzu. Bardzo dobrze, ponieważ obecnie jest zły czas na sprzedawanie domów. Tuchołkowie za swoją posagową kamieniczkę dostali zaledwie sześćdziesiąt pięć tysięcy gotówką, coś tam przedtem wzięli na hipotekę, nie wiem dokładnie ile, ale w każdym razie ogólnie biorąc, Pelasia wyszła na tym wszystkim znacznie lepiej od nas. Wliczając meble i wyprawę, dostała ponad trzysta tysięcy. Niech tam! Najważniejsze, że spadnie nam z głowy szwagier i po otrzymaniu gotówki będziemy z nim na ostatni glanc.

Czwartek - 9 lutego

Kto do mnie przyjechał? Ciotka Katarzyna. Wyjeżdża dopiero jutro. Całkiem inny człowiek, mówi jedynie o interesach. Nawet przybycie do Warszawy zawdzięczam również sprawom finansowym. Ale nie mam czasu do pisania. W biurze zaczynają mnie ganiać, nie nie zważając, że to karnawał. Ciotka ciągnie mnie dzisiaj do opery! Mieszkam już półtora miesiąca w Warszawie, ale jak dotychczas, nie przyszedł mi do głowy taki pomysł. Ano trudno, pójdę, poświęcę się dla rodziny. Dzisiaj obiad domowy u mnie, jutro u Marcinów.

Piątek - 10 lutego

Jestem wściekła. Ledwo wróciłyśmy z obiadu na Żoliborzu, moja gospodyni zapukała i powiedziała dwa słowa: - Pan Kruczek. - W salonie siedziałyśmy w trójkę: ciotka, Florencja i ja. Prawie paliłam się ze wstydu, a ciotka spoglądała na mnie, jakby Kruczek był moim narzeczonym. W dodatku, głupiec, zachowywał się jak kawaler po przeczytaniu stu przepisów o dobrym zachowaniu się w towarzystwie. Głupiec - głupiec. Na wszelki wypadek zapowiedziałam Wikci, że dla tego gościa nie ma mnie nigdy w domu. Oświadczyłam to bardzo energicznie i Wikcia chyba dobrze zapamiętała, gdyż powiedziała mi wieczorem:

- Chyba ten pan jest pomyłony? Gdzie też jemu do pani.

Ma rację moja gospoia. Kruczek siedział dwie godziny i zajął nam czas, który byłybyśmy wykorzystały na pożyteczne rozmowy. A tak trzeba było podejmować herbatą i

wysłuchiwać encyklopedycznych uwag na różne tematy. Nie dość, że głupi, ale jeszcze w dodatku bardzo gadatliwy. Takiej rzeczy się nie wybacza. Dla mnie to jest prawdziwie kompromitująca znajomość, obawiam się, że Kruczek w dalszym ciągu będzie narzucał się swoją osobą. Podczas herbaty lustrował wszystko, przyglądał się nawet herbowym monogramom na srebrze z Górek. Umyślnie wysuwałam moją lewą rękę z sygnetem, by go w ten sposób odstraszyć, nic nie pomagało. Gruboskórny.

Przy pożegnaniu ciotka Katarzyna, już na dworcu, powiedziała mi:

- Mela wspomniała, że tobie podoba się złocona kozetka. Jeżeli tak jest naprawdę, powiedz, a przyślę ci.

Naturalnie entuzjastycznie dziękowałam, a ciotka po swoim, twardą pomorszczyzną zapytała:

- Dziękuję tak czy dziękuję nie?

Jak to lata wyrównują wiele rzeczy i jak ludzie zmieniają się na przestrzeni bodaj kilku lat. Przecież to niespełna pięć lat od opuszczenia przeze mnie Bydgoszczy, reimingtona i mojej ciotki Katarzyny. Trzeba jeszcze inaczej sobie powiedzieć: starzejemy się i poważniejemy, moja Anno...

Był list ze Lwowa, bardzo serdeczny. Trudno jednak się rozerwać. Wszyscy zapraszają równocześnie. A tymczasem biuro, kłopoty ze spłaceniem szwagra i w perspektywie trzeci egzamin prawniczy w lipcu. Nawet to mi się przypominało razem z listami od Irenki i Emilki. Oba otrzymałam w tych dniach, niemal równocześnie, i oba właśnie z zapytaniem, kiedy wybieram się do Poznania?

Poniedziałek - 13 lutego

Bal w ministerstwie - bez wdzięku. Stare trupy we frakach i z orderami. Kilku uprzejmych partnerów do tańca, układni, nie namawiali na łóżko. Być może zwiedzili się już o moim posagu i przywdziali skórę niewiniątek, ot tak sobie na wszelki wypadek. Właściwie na taki bal można by pójść po męsku, w jakimś smokingowym garniturze.

Na balu Ziemiaków - wystawy jubilerskie. Po raz pierwszy zobaczyłam w uszach Florencji brylantowe butony. Sama Florencja była raczej poważna. Ciekawe, że wszystkie moje ciotki zaraz po ślubie nabierały takiej powagi. A może to tylko w moich oczach? Elfryda, Leokadia i Florencja - trzy śluby w jednym roku! Ja również spoważniałam, ale stało się to po moich podróżach zagranicznych. Za granicą dopiero zrozumiałam ostatecznie, że nie warto rozpraszać się dla rzeczy małych. Lepiej obyć się bez takich małych, chociażby na razie miłych rzeczy i wszystko poświęcić jakiemuś większemu celowi. A ciotka Katarzyna przypominała mi - bez ogródek i bez jakiegoś delikatnego upiększania:

- Czy pamiętasz, Anno, o tym, że w maju skończysz 25 lat?

Sama o tym dobrze wiem, nie potrzeba mi takich przypominań.

W dodatku sprawa małej Marty - we mnie to uderzyło, pominęło resztę rodzeństwa, ale tak właśnie lepiej dla dziecka.

Na balu spotkałam młodych Orzechowskich. Moja nowa kuzynka wyglądała jakoś bezbarwnie. Należy do tych kobiet, które niezależnie od tego, czy są ładne, czy brzydkie, nie zwracają na siebie uwagi. Przechodzi się koło nich bez wrażenia i potrzeba dopiero trafu czy też okazji, aby je spostrzec. Dom młodych Orzechowskich również jest bez uroku - mieszkanie przeciętnego lekarza przy ulicy Pięknej, a zatem w śródmieściu i w porządnej dzielnicy. Byłam tam niedawno z wizytą, ale poszłam raczej dla miłych rodziców Gabrysi.

Bal bez specjalnych przeżyć. Bal poważny, dla tych, którzy nie zalewają się szampanem i koniakami w bufecie. Towarzystwo raczej zamknięte. Nieznani goście, po raz pierwszy przybywający na taki bal, chodzą luzem i dobrze muszą się namęczyć, nim się do kogoś przysiądą lub przymówią. Powodzenie w tańcu również mierne i problematyczne. Nawet moje ćwierć miliona ewentualnego posagu niezbyt ważne, być może bardziej byłby

pociągający mocno odłużony majątek, lecz z dodatkiem „porządnego” nazwiska. Wszystko to bardzo bystro widzę oczyma magistra ekonomii, radcy ministerialnego, kontraktowego co prawda, ale w każdym bądź razie radcy, oraz kobiety, która nie wyczekuje w umeblowanym pokoiku na królewicza z bajki, to znaczy posiadającego na przykład rodziców z własnym, trzypokojowym mieszkaniem na Pradze lub na Woli. Ufff... Na balu sporo ładnych kobiet. Nie spłakałam się jednak z tego powodu po powrocie do domu, nie wszystkie bowiem kobiety mogą być piękne. W dodatku naprawdę piękne kobiety na pewno mają swoje własne kłopoty, właśnie związane z pięknnością. Rozważam to wszystko na zimno. Nie boli mnie serce i to właśnie pozwala mi uśmiechnąć się do życia bez goryczy. A zresztą bardzo piękne kobiety są zazwyczaj głupie. Takie pocieszenie także jest coś warte! Wydaje mi się jednak, że to świat ginący. Nowe pieniądze zbyt silnie mieszają się ze starymi długami. Plutokracja nie przejmuje jednak zalet dawnej klasy ziemiańskiej, zatrzymując natomiast w dalszym ciągu wszystkie wady: swoje własne i ziemiańskie. Szlachcic, gdy spekuluje, bardzo łatwo staje się kanałią, natomiast dorobkiewicz, z niczego - wyzłaca stare herby nowych mezaliansów w sposób na ogół śmieszny. Wygląda to - jakby naszywanie dodatkowych galonów złotych na liberii służby, odwieczny problem takich czy innych Geldhabów.

Takie różnego rodzaju refleksje. Nie zraża mnie to jednak i w przyszłym tygodniu pójdę w dalszym ciągu na dwa bale, w sobotę i w niedzielę. Na balu Ziemiań byłam w mojej nowej sukni *de bluets* po raz pierwszy. Nie żałowałam nawet, że nie miałam pelerynki z białych lisów. W tym tłoku bogactwa strojów i zatrzęsienia brylantów nawet dwadzieścia najbliźszych lisów na moich ramionach byłoby przeszło bez najmniejszego wrażenia. Na takich balach interesująca dama zaczyna się dopiero od hrabiny lub od pięciu milionów wzwyż. Jest to oklepana co prawda parafraza starego dowcipu, lecz świat jest nie tylko mały, lecz równocześnie na tym naszym świecie wszystko się nieustannie powtarza. Trudno zatem w takich warunkach o jakieś prądziectwo nowości.

Piątek - 17 lutego

Jutro u mnie brydż, również na dwa stoliki. Dziesięć osób razem ze mną. Do nie grających będą należały: generałowa i pani Jastrzębska. Małżonkowie grają, i dość mocno. Właściwie ta cała parada przeznaczona jest dla mojego dyrektora departamentu, trzeba wkręcać się w życie. Żoliborz mi pomaga, będzie podawała pokojóweczka Florencji, w koroneczkach. Górki nadesłały już nowe wiejskie delicje. Będą perliczki na gorąco w specjalnym sosie, natomiast indyczki w galarecie z owocami. Mogę spać spokojnie, przed kilku dniami powiedziałam Wikci:

- Gdy zostanę przeoryszą w jakimś bogatym klasztorze, zaraz zabiorę z sobą moją Wikcię.

Pani gospodyni nie zwątpiła o moich dobrych zamiarach, lecz odpowiedziała mocno rozbawiona:

- Pa - nien - ki byłoby szkoda do klasztoru. Bardzo dobrze, że wyznaje się na żartach.

Już jej darowuję tę „panienkę”, ponieważ tak tytułuje mnie tylko w rzadkich chwilach konfidencji. Potrafi natomiast wyjechać przy gościach mniej ważnych: jaśnie pani! Równocześnie posiada zdrowy chłopski dowcip, gdzie, komu i jak. Nie potrzebuję w tym wypadku wkładać jej do głowy różnych pouczeń. Widocznie proboszczowska szkoła nie była zła.

Kiedys rozmyślałam nad tym, która z nich byłaby lepsza: obecna Wikcia czy moja dawna Walercia? Nie umiałam się zdecydować, widocznie jestem bardzo zachłanna, ponieważ najchętniej widziałabym koło siebie obie równocześnie. Naprawdę jednak, w moich warunkach, Wikcia jest lepsza ze względu na jej wiek „prawie kanoniczny”, ma już dokładnie 42 lata, oraz na większe obycie z okazałymi przyjęciami. Poznańska Walerka nie umiałaby sobie radzić wśród tylu bogactw.

Sobota - 18 lutego

Późno - właściwie to już niedziela. Godzina druga nad ranem. Przyjęcie - klasa. Dobrze, że od razu zaopatrzyłam się w większą kolekcję trunków, nie to, to tamto. Muszę koniecznie kupić sobie nowy mebelek, bar na kółkach. Również przydałby się drugi stolik do brydża, to nie jest przecież majątek. Przed domem wyczekiwały trzy limuzyny. W kuchni Wikcia urządziła przyjęcie dla szoferów. Kazałam podać butelkę francuskiego koniaku, niech wiedzą, że nie robię różnicy pomiędzy gośćmi. Nie wiem, jak tam było, ponieważ nie mam zwyczaju zachodzenia do kuchni. Tak to sobie ułożyłam i mam zamiar święcie dotrzymać takiego właśnie fasonu. Stryjek pochwalił moje przyjęcie. Powiedział mi na boku:

- Jak widzę, nauka nie idzie w las.

Sprawiło mi to przyjemność.

Właściwie zdałaby się jadalnia, normalna jadalnia, pokój stołowy! To bardzo głupio - zasłaniać łóżko parawanem w celu uzyskania dwóch pokoi w amfiladzie. W dodatku różne reakcje na obraz Makarta. W każdym razie znana firma malarska, można zatem darować trochę nagości. Mój dyrektor był zdziwiony i powiedział coś w tym rodzaju:

- Nie sądziłem, aby obrazy Hansa Makarta znajdowały się w Polsce w prywatnym posiadaniu.

Odparłam natychmiast, uśmiechając się do mojej Florencji:

- To jest dar jednej z moich ciotek, tak się złożyło, że dwie z moich ciotek wspólnie urządziły mi moje pierwsze panieńskie mieszkanie.

Natomiast obrazek Boucherowski wywołał zachwyty. Musiałam tłumaczyć historię i opowiedziałam ją w tym wypadku nieco odmiennie niż wyglądała w rzeczywistości:

- Podczas zwiedzania muzeów paryskich zobaczyłam na ścianie taki właśnie obrazek Bouchera, a ponieważ nie jestem amerykańską milionerką, nie mogłam nabyć oryginału. Ale pod ręką byli malarze, państwo wiedzą... W Paryżu jest co najmniej dziesięć tysięcy malarzy, no i zafundowałam sobie kopię. Kopia jest cokolwiek większa od oryginału i w dodatku wstyd wyznać... ramki kosztowały mnie znacznie więcej od samego obrazka. Przesada: tylko pięćdziesiąt złotych.

Ale to nie jest ważne. Wkręcą się w świat. Może jakoś stworzę sobie własne miłe środowisko i otoczenie. Przecież i tak trzeba było urządzić się. W tym właśnie dowcip, aby dokonać tego w sposób wygodny i dla siebie odpowiedni. Filozofia życia codziennego, być może najtrudniejsza ze wszystkich filozofii!

Ale trzeba iść spać. Dzisiaj leżę cały dzień. Trzeba się szanować. Zresztą niedziela, a jutro od samego rana biuro. W dodatku stryjek ma jakiś interes w moim resorcie. Sprawa znalazła się w moim referacie, została przydzielona imiennie. Widocznie opinia w sprawie importu. Przypomniały mi się od razu bydgoskie historyjki, ponieważ sprawa dotyczy również Szwajcarii...

Koniec pieśni na dzisiaj. Dobranoc, dojrzała kobieto. Jak to śmiesznie brzmi: kobieto Anno, zabawiam się słowami. Bez westchnień jednak, moja Anno!

Czwartek - 23 lutego

Sprawa Tucholków już załatwiona. Szwagier był dzisiaj u mnie w przejeździe kilka godzin. Chyba zadowolony? Nasza trójka ma już całkiem rozwiązane ręce, siostra Pelasia została całkowicie spłacona. Kupili duży majątek, oby tylko nie za duży, ponieważ przy wpłacie trzystu tysięcy gotówką i weksłami zostało jeszcze drugie tyle różnych parszywych długów, jak to określa sam pan starosta. To nawet bardzo ciekawe, ale nierozsądne, ponieważ kupił majątek w swoim starościńskim powiecie. Radziłam mu, aby zrezygnował z urzędu, ale Piotruś uśmiechnął się do mnie chytrze i powiedział:

- Ależ to właśnie dobrze, teraz dopiero będą mnie w okolicy szanować i więcej się ze mną liczyć!

Majątek kupiono podobno na nazwisko Pelasi, ale to i tak wszystko jedno, nasza siostra w tym wypadku nie ma wiele do mówienia czy decydowania.

W każdym razie za miesiąc musimy spłacić pierwszy z pięciu weksli; dwadzieścia tysięcy złotych. To będzie dość trudne dla Zośki. W zeszłym roku spodziewaliśmy się co najmniej osiemdziesięciu tysięcy na czysto z bławatów, a wyszło niewiele więcej ponad sześćdziesiąt osiem tysięcy. Podobno w dalszym ciągu złe czasy. Co do mnie, postanowiłam w tym roku nie podejmować ani grosza z interesów sklepowych. Jakoś się obejdem, zobaczymy, co dadzą grudziądzkie domy po uregulowaniu długów. Wąbrzeźno również na razie jest zatkane z powodu spłaty Krystynka z domów. Zośka ma pobierać obecnie tysiąc złotych miesięcznie za kierowanie sklepem, a ciotka Millerowa trzysta złotych. Krystynkowi Zośka przekazuje obecnie via Gdańsk po pięćset marek miesięcznie, zobaczymy, co będzie dalej. Utrzymanie domowego gospodarstwa w Wąbrzeźnie pokrywa się z okazjnych dochodów sklepowych.

Może byłoby znacznie wygodniej sprzedać wszystko i podzielić gotówkę, a później każde z nas robiłoby, co by chciało. W tym wypadku jednak majątek uległby rozdrobnieniu, a tak Zośka ma zamiar za jakieś dwa lata, po spłacie starych długów, zaciągnąć nowe i spłacić gotówką Krystynka. Zośka ma mocną głowę do takich prowincjonalnych interesów i oblicza, że o ile obie nie zwariujemy, to za pięć lat wszystko spłacimy i staniemy się właścicielkami całego spadku po naszym ojcu, bez poważniejszych długów. Pięć lat. Dla mnie to będzie jakiś trzydziesty rok życia, dla Zośki niestety o sześć lat więcej. Jakieś dobre osiemset tysięcy złotych. Sama nie wiem. Być może taka suma w rękach obrotnych mogłaby się dwoić i troić. Nie umiem się do tego ustosunkować. Podobno najtrudniej jest zrobić pierwsze większe pieniądze, pierwszy milion. Milion złotych, niby dużo, a w rezultacie to tylko coś ponad trzydzieści tysięcy funtów angielskich lub sto tysięcy dolarów. Do milionów hrabiego Monte Christo - bardzo daleko. Właśnie w chorą niedzielę przeczytałam sobie tę romantyczną bajkę po raz drugi w życiu. Wówczas w Bydgoszczy, gdy czytałam po raz pierwszy w piątej klasie gimnazjalnej, dostawałam mocnych wypieków na twarzy i żyłam przez kilka dni w olśnieniu. Obecnie przerzucałam kartki i mówiłam sobie: jaki śmiesznie romantyczny był okres różnych Balzaków, Dumasów i Sue'ów. Opisywali rzeczy, ludzi i sprawy w taki sposób, jak pragnęli to widzieć i czytać współcześni im powieściowcy zapaleńcy. Przecież powieść wówczas dopiero wdzierała się do umysłów ludzkich, przedtem były jedynie opowiadania - raczej sposób wyrażania uczuć, a nie myśli. Dumas popychał do szaleństw, Balzak zachęcał do naśladowania w życiu tego, co napisał, a Sue rozpląmniał umysły zbrodniami, które nigdy w życiu nie zdarzały się w sposób tak bardzo skondensowany. Ludzie i czytelnicy lubią jednak takie nienormalne opowieści, chociażby irracjonalne, ponieważ w ten sposób zapominają o szarzyźnie życia i pobudzają krew do szybszego krążenia. Podobnie śmiech ułatwia - trawienie, a rycyna - strawienie.

Ale to wszystko nonsensy. Zaczęłam od obliczeń matematycznych, a zabłądziłam pomiędzy mocno zaślinione kartki popularnych powieści. Krótko mówiąc: Dumasa czytują uczniowie gimnazjalni, kandydaci na d'Artagnanów, Balzaka - akademicy, kandydaci do karier, a Suego - kucharki, kandydatki do przeżywania wielkich miłości. Właśnie od mojej pani gospodyni pożyczyłam *Żyda wiecznego tułacza*. Na razie przeczytałam pierwszy tomik, wątpię jednak, czy zdołam strawić całość. W dodatku niechlujne tłumaczenie, chyba że wystaram się o oryginał. Treść tej powieści w ogólnych zarysach jest mi znana. Nie naprowadzam mojej Wikty na to, że powieść znajduje się na kościelnym indeksie, ponieważ nie wdając się w ocenę tytułów, cenię w tym wypadku sam fakt czytania.

Tak to w najbardziej gorącym okresie karnawałowym panna z dobrym posagiem czytuje różne popularne powieści. Ale to mnie jakoś uspokaja i pomaga nawet w spaniu. Pojutrze, w

sobotę, najbardziej opisywany bal karnawałowy: Bal Latarni, na cele dobroczynne w Resursie. Podobno wszyscy mają się spotkać, cała Warszawa, to znaczy ci wszyscy, którzy zechcą wykupić drogie karty wstępu.

Sobota - 25 lutego

Po powrocie z biura powitała mnie w przedpokoju moja stara i wierna przyjaciółka marzeń. Wyzłocona kozetka francuska. Nawet odnowiona. Ucieszyłam się. Zaraz zawołałam stróża i oboje z Wikcją dokonali przemeblowania. Historyczna „leżanka” Leokadii wywędrowała do pokoju gościnnego, a jej miejsce w mojej sypialni zajęła francuska kozetka ciotki Katarzyny. Kiedyś wydawała mi się ona rzeczą nieosiągalną. Ale wówczas moje marzenia zamykały się w dwóch skromnych pokoikach z łazienką. Przewidywałam możliwość urządzenia sobie tych cudów w granicach dziesięciu tysięcy złotych. Trudno, zazwyczaj marzenia realizują się dopiero wówczas, gdy cuda przestają być cudami i redukują się do takiej czy innej gotówki.

Ale to nic. Kozetka sprawiła mi bardzo wiele przyjemności. Na razie nie bardzo harmonizuje z resztą mebli w tym pokoju, ale i w życiu naszym zdarza się również, że jakieś wspomnienia z przeszłości niezbyt pasują do aktualnej rzeczywistości. Z uśmiechem do nich wracam i nie wymieniam imion czy nazwisk. One w gruncie rzeczy są niepotrzebne, niesmak jest zazwyczaj bezimienny, czasami bywa to przypalona pieczeń, innym razem skwaśniałe wino. Ścierwo i ocet. Tak to czasami wyglądają podzwonne dla różnych wspomnień. Potwierdza się zatem, że ludzie są niewdzięczni, a specjalnie kobiety są nienasycone. Ano trudno, *per aspera ad astra*! Tylko tyle, że *aspera* są już znane, natomiast co do owych *astra*, to bardzo wiele złudzeń i niepewności. Ale właśnie jedno i drugie, razem złączone, dodaje uroku naszemu życiu.

Takie oto słowo kreślę, spoczywając na mojej już obecnie kozetce francuskiej, darze od Tante Katherine. Za kilka godzin mój ostatni bal w tym sezonie. Trzeba wypocząć, aby dobrze wyglądać. Może właśnie na tym balu spotkam mojego królewicza? W tym jednak leży trudność, że nie wiem właściwie dotychczas, jak ten królewicz miałby wyglądać. Nie wiem również, do czego miałby mi być potrzebny. Przecież mam wszystko. Nawet francuską kozetkę, owo marzenie bydgoskiej maszynistki z brudnego i odrapanego biura.

Niedziela nad ranem, a może już rano?

Królewicza nie spotkałam. Natomiast spotkałam eleganckiego pana we fraku, który niedwuznacznie powiedział mi w tańcu o godzinie trzeciej nad ranem:

- A teraz byłaby właściwa pora, abyśmy zniknęli dyskretnie z balu... Mieszkam w „Bristolu”...

Zaczynam mieć powodzenie! W Toruniu dwóch oficerków proponowało mi do spółki pięćdziesiąt złotych, a obecnie od razu „Bristol”.

Właściwie jako kobieta zmarnowałam okazję, gdyż nie przyjąłam zaproszenia. Widocznie taki jest naturalny bieg spraw balowych, a mężczyźni występują jedynie w roli rybaków, którzy zapuszczają wędkę na chybił-trafił. Uda się lub nie uda. Na ogół bowiem niełatwo jest kobiecie powiedzieć takiemu typkowi coś do słuchu, a w dzisiejszych czasach coraz trudniej jest o romantycznego *cavaliere servente*, który by na skinienie damy dziurawił gachów ostrzem swej szpady. W dodatku dzisiejsze czasy zmieniły szpady na zwykłe mordobicia z następstwami według rytuału *made by* Boziewicz, to znaczy sprawy honorowe, kończące się zazwyczaj wystrzałami korków od szampana. W dodatku lepiej nie posiadać takich *cavaliere*, obawiać by się bowiem należało raczej wystawienia przez nich rachunków, być może bardziej kłopotliwych, niż jednorazowe odwiedzenie pana we fraku w „Bristolu”.

Ale trudno, koniec z karnawałem. We wtorek wyprawiam u siebie ostatki.

Wieczorem - w tę samą niedzielę

Dzisiaj byliśmy całą paczką na późnym obiedzie w „Hotelu Europejskim”. Osiem osób, w tym dwóch dotychczas nieznanym mi panów z poselstwa szwajcarskiego. Jeden z nich ma zamieszkać od marca w dwóch pokojach na drugim piętrze willi na Żoliborzu. To nie byłoby ostatecznie takie dziwne, biorąc pod uwagę stałe ciśnienie Marcina do spraw szwajcarskich, ale równocześnie ustaliła się również dokładna data nowego wyjazdu Marcina za granicę. Tym razem już wspólnie z Florencją, do Szwajcarii. Marcin mówi o dwóch miesiącach. A zatem od przyszłej soboty zostaną sama w Warszawie i na moją głowę spadnie tysiąc różnych spraw Żoliborza, łącznie z gospodarstwem w willi oraz opieką nad kamienicą przy ulicy Górskiego. Jutro mają się spotkać u mnie stryjek i administrator kamienicy, ale stryjek mówi, że administrator jest jedynie do załatwiania drobnych spraw, grubszych muszą pilnować sami właściciele. Nie znam się na tutejszych cenach, ale ta odrapana buda sprzed stu lat musi kosztować chyba z milion złotych. Sam plac jest wart kupę pieniędzy.

Co do reminiscencji z ostatniego balu: to wszystko są nieważne głupstwa. Ostatecznie ludzie muszą sobie w jakiś sposób wypełnić czas, a nie wszyscy mogą filozofować na tematy poważne. W dodatku na świecie muszą istnieć jakieś klapy odprężające, przez które może ulatniać się nadmierna ilość energii, rozpierająca męskie byczki. A może i kobiety? Dla ludzi ubogich erotyka jest osłodą i przypuszczalnie jedynym urozmaiceniem szarego życia, a dla ludzi bogatych - łatwą realizacją bodaj najdzikszych pomysłów. Zwierzęta zaspokajają swoje żądze w sposób naturalny, *sub love*.

Środa - 1 marca

Moi goście biurowi byli zadowoleni z urządzenia im wczoraj czegoś w rodzaju podkoziółka, czyli ostatków. Sama nie wiem, jak to nazwać, ponieważ naprzód zaczęło się od podwieczorku z furą pączków i chrustu, oni tutaj nazywają to faworkami, a później koło godziny dziewiątej moja pani gospodyni podała nam bardzo dobre jedzenie. Znow dalszy ciąg wiejskich darów z Górek. Wypadło bardzo solidnie, trwało prawie do drugiej w nocy.

W biurze wszyscy mocno ziewaliśmy, co nie przeszkodziło nam wyrwać się koło południa do miasta. Posypaliśmy sobie głowę popiołem u Świętego Krzyża, zapewne w tym celu, aby nie zapomnieć w dalszym ciągu grzeszyć własną głupotą i chęciami wywyższania się nad innych. Bo właściwie - jakież są inne grzechy na tym świecie?

Małej w Rabce poprawia się powoli, lecz rabczańscy lekarze mówią, że jednak tak. Natychmiast po odebraniu listu wysłałam nowe pieniądze. Na razie to jest wszystko, co mogę zrobić dla Marty. Biedne dziecko, może i lepiej, że nieświadoma jest swego pochodzenia. Gdy czytałam list p. W., przyszło mi na myśl, czy nie byłoby lepiej przenieść ją razem z dzieckiem do jakiegoś innego miasta i otoczyć nowymi ludźmi. Trzeba będzie o tym pomyśleć. Może nawet byłoby dobrze kupić mały domek w górach. Mała spędziłaby w ten sposób swoje krytyczne lata w bardziej odpowiednim klimacie niż Grudziądz.

Co do interesów Marcina, zdałam się na doświadczenie Florencji. Przepisałam dokładnie to, co mi dostarczyła w tej sprawie, i w nagrodę uzyskałam pochwałę mojego dyrektora. Resztę załatwiała już moja koleżanka, młodsza rangą. Bardzo porządny człowiek z tej panny magister Joanny Starzeńskiej. Na pewno porządniejsza ode mnie, chociażby tylko dlatego, że bierze życie poważnie, solidnie, dokładnie, sama nie wiem, jak by należało to określić. W każdym razie wewnętrznie mocno skupiona, posiadająca swój własny kierunek życiowy, skoncentrowana na umiłowaniu historii sztuki. Jakżeż to dalekie od jej wykształceniowej chemii! Jakaś daleka krewna Chłędowskiego, tego, który pisał lukrowane dzieła o sztuce włoskiej. Różnie w życiu bywa. Ale wszystko jest w porządku, skończyła chemię, sama pracuje na siebie, siedzi za biurkiem w ministerstwie, a u siebie w domu rozkoszuje się Cinquecentem. W dodatku ofiara zawiedzionej miłości, z której zawiędłej

czterdziestoletniej postaci nawet Balzak nie zdołałby wyczarować nic więcej ponad jakiś powieściowy konwenans w rodzaju Kuzynki Bietki, jednak bez *happy endu*.

Ale bądź co bądź jest to idealny typ na przyjaciółkę do zwierzeń. Na razie nie mam jednak materiału do zwierzeń, w dodatku moja natura ma fizyczny wstręt do tego rodzaju miłosiernych pocieszeń. Nie zniosłabym ani pożałowania, ani miłosiernego współodczuwania. Taka już jestem i jest mi z tym dobrze. Wszelkiego rodzaju zwierzenia to jedynie rozpylanie własnej ambicji. To nic nie daje. Cudzy palec w naszej ranie jest na ogół zawsze brudniejszy od naszego własnego, ponieważ nawet najlepszy pocieszyciel zawsze kryje na dnie duszy myśl: dzięki ci Boże, że to nie mnie spotkało! Świat w dodatku zawsze i niezmiennie jest, był i będzie z gruntu fałszywy w swoim zakłamaniu tak zwanych dobrych obyczajów, etyki i moralności. Nie należy zbyt wierzyc i ufać ludziom. Natomiast trzeba odnosić się do nich jak do kotów i tygrysów. Ostrożnie i z uważną rezerwą.

Takie oto były moje rozważania w ciągu ostatniego tygodnia szaleństw karnawałowych i sypania na głowę religijnego popiołu. Powiedziałabym raczej inaczej: *memento vivere*, pamiętaj o tym, że żyjesz! Śmierć jako taka jest zjawiskiem zgoła obojętnym dla człowieka, obojętna w tym, czy człowiek żył dobrze, czy źle. To są jedynie spekulacje takie czy inne, ważne natomiast jest samo życie. O nim to właśnie człowiek winien pamiętać, aby dobrze i wygodnie się urządzić, to znaczy wykorzystać maksymalnie i optymalnie swoje krótkie życie. *Ars longa, vita brevis* - to nic innego, jak stwierdzenie .nienasyconej żądzy życia. Jakże zatem wykwintną winna być sztuka życia - gdyż tylko taką sztukę mam na myśli w moim wypadku - aby życie, nawet przydługie, nie wydało się jedynie takim nieważkim momentem, o którym uczą Ojcowie Kościoła.

Wyśmiano by mnie zapewne, gdybym powiedziała: pozwólcie ludziom grzeszyć, grzech bowiem jest nową sposobnością do analizowania własnego „ja”, a to znów z kolei prowadzi ludzi do oczyszczania się w żalu łez czy też w ogniu cierpienia.

No, ale na tym koniec. Niechże zatem i ja, pisząc te słowa, jeszcze raz symbolicznie schylę głowę i w sypanym corocznie popiele uznam i potwierdzę tym samym nicność mojego istnienia. Nauka stąd moralna, aby nie obnosić się po świecie z kruchym naczyniem złud i mrużyć oczy w wędrówkach po świecie w tym celu, by widzieć, nie tyle więcej widzieć, jak - lepiej widzieć!

Czwartek - 9 marca

List od Leokadii. Herta w czwartym miesiącu. Coraz więcej przybywa dzieci w naszej rodzinie. Zdrowa kobieta, rozłożysta, zdatna do rodzenia dzieci. Gdy przeczytałam tę wiadomość w liście, przyszło mi na myśl, że na świecie winna dokonywać się jakaś społeczna selekcja ludzi. Właściwy dobór naturalny - według najlepszych pobożnych życzeń i pragnień Karola Darwina o doborze gatunków. Właściwie co najmniej w trzech czwartych człowiek jest zwierzęciem, proporcja zresztą i tak bardzo pochlebna dla pozostałej jednej czwartej. Dowcip selekcyjny polegałby na lekarskim doborze gatunków, medycyna czarowałaby jakimś nowym cudownym światem, doświadczenia święciłyby orgię rozumu ludzkiego, pojętego bez hamowania ograniczeniami tradycji religijnych i społecznych.

Notuję to wszystko w biurze, Wikta tak była przejęta otrzymaniem listu od ciotki Leokadii, że rzuciła wszystko i przybiegła z nim do biura. Trudno i ganić, to tylko jakiś ultrapożyteczny parafianizm. Leokadia Jambor, dziedziczka, pani - w jej pojęciu.

Życie woła i przypomina o swojej szarości. W liście ciotki figuruje spory tasemiec różnych zleceń. Całe szczęście, że mam do pomocy sztab różnych pracowników. Trzy osoby na Żoliborzu, a dwie na ulicy Górskiego. Obecnie bowiem stróż kamienicy, w której mieszkam, traktuje mnie jakby właścicielką i codziennie całuje mi rękę, co osobiście nie jest dla mnie ani wygodne, ani przyjemne. Jedynie podnosi mnie w oczach mojej pani gospodyni.

Jest z tego dumna, że służy u takiej pani. A może ja sobie to wszystko wmawiam, może poza moimi plecami cała ta służba mówi na osobności:

- Ta głupia, młoda wydra rozpycha się, bo ma pieniądze.

Zresztą niech mówią, co chcą, dla mnie to wszystko i tak obojętne, nieważne. To właśnie fragment tej walki klasowej, z którą zawsze wyjeżdża pan Kruczek, potrzeba czy nie potrzeba. Kiedyś w Poznaniu, znudzona jego gadaniem, wypożyczyłam sobie w Bibliotece Uniwersyteckiej Kapitał Marksa po niemiecku i dość starannie przeczytałam, na pewno dokładniej i inteligentniej od Faustynka Kruczka. No i postanowiłam: gdyby w naszym kraju powstały jakieś awantury, zwijam żagle i po prostu uciekam. Przecież zawsze znajdzie się na świecie jakiś mądry i spokojny kraj? Taki - bez rewolucji. Całe szczęście w tym, że u nas do tego nie dojdzie.

Sobota - 11 marca

Goście już poszli, a ja odpoczywam po nich na kozetce ciotki Katarzyny. Prawie północ, dzisiaj rozgrywki skończyły się wcześniej. W sąsiednim pokoju krząta się moja Wikcia, służbistka, widocznie pragnie jeszcze przy sobocie, choć w nocy, doprowadzić sąsiedni pokój do porządku. Były dwa stoliki, jak zwykle. Kupiłam naturalnie drugi stolik do brydża, nie nowy ze składu, lecz okazyjnie, z poręki naszego administratora. Aby nie było czuć zbyt nowością w tym moim brydżowaniu. Stolik ma ponoć sto lat, bardzo staroświecki, ale godny, ponieważ grywał na nim jakiś ruski tajny radca stanu! Ostąła się nawet etykieta petersburskiej firmy, dostawcy dworu J. C. M. Wydaje mi się, że to wejdzie w jakiś zwyczaj, dwa brydże w miesiącu u mnie i po jednym na Żoliborzu i na Mokotowie. U mnie częściej, ponieważ takie jest prawo nowego sitka na kołku. Widocznie to potrzebne do towarzyskiej kariery w Warszawie.

Mam wrażenie, że moja Wikcia nieźle zaokrągliła swoje dochody i dlatego chwali sobie brydże i przyjęcia. Początkowo miałam zamiar wymówić sobie u niej nieprzyjmowanie napiwków od gości. Florencja wytłumaczyła mi niezręczność takiego kroku. Zniechęciłoby to do mnie jedynie mojego famulusa w spódnicy, a w rezultacie i tak by jej goście wręczali napiwki, jedynie tylko w jakiś inny, wymyślny sposób. Głupstwo, nie należy płynąć pod prąd w głupiej szklance wody odwiecznych zwyczajów. Zresztą - przecież ja sama rozdawałam w Paryżu bilety wizytowe Banku Francuskiego w cenie stu franków. Fason, niechże zatem będzie, jak jest. Nie należy reformować świata na kuchennych schodach, zostawmy to różnym Kruczkom.

Ostatecznie pomimo mocno odrapanej fasady kamienicy, w której mieszkam, czuję się nieźle w tym mieszkaniu.

Pogodziłam się, a nawet oswoiłam z tym całym kramem. Życie moje płynie spokojnie i coraz silniej zapuszczam korzenie w grunt stolicy. Zdałam sobie sprawę z różnicy pomiędzy obu narzeczami: poznańskim i warszawskim, i wybrałam coś pośredniego: język polski. Staram się unikać prowincjonalizmów, zaglądam nawet do gramatyki polskiej, i w ogóle... jak się to mówi.

Zrobiłam sobie już jakby podział pracy i zajęć, w identyczny sposób, jak tego dokonałam w pierwszym roku moich studiów uniwersyteckich, gdy regularnie latałam na angielskie komplety i krążyłam między biblioteką a ulicą Młyńską, znosząc do domu toboły potrzebnych i niepotrzebnych książek.

Meble. Bardzo przygodne towarzystwo, lecz przyzwyczałam się do nich i bardzo szybko stały się dla mnie jakąś całością. Przestały mnie razić i niejako zlały się nie tyle ze mną, ile z moim obecnym życiem. Są co prawda na oko tylko meblami, rzeczami, lecz właśnie do nich przyczepiają się różne nasze myśli i wspomnienia. Meble - to jakby pewnego rodzaju dziennik życia czy pamiętnik.

Razi mnie jedynie chodnik w kawowym kolorze, pokrywający przedpokój, w którym czuję się jak w hotelu. Kawowy kolor chodnika jest ożywiony jedynie wąziutkimi paseczkami żółtego koloru, dobranymi widocznie do słonecznikowej tapety.

W gościnnym pokoju umieściłam meble otrzymane w spadku po dziadku. Stare łóżko mahoniowe, także szafa, historyczna kozetka z pokoju Leokadii, nazywana w Poznaniu leżanką, dawny okrągły stół od garnituru, na jednej ciężkiej nodze, na podłodze stary dywan z grudziądzkiego mieszkania, różne drobiazgi.

W salonie - do czterech fotelików i dwóch foteli w czarnym drzewie z pluszem w kolorze bordo, przybyła pod ścianą z lewej strony kanapka w tym samym stylu. W kącie pod oknem stojąca lampa z abażurem, na mocnym, kręconym słupku, wykonana również w czarnym drzewie. W pokoju są dwa okna, pomiędzy nimi umieszczono wysokie lustro z tego samego garnituru mebli - z małą szafeczką, dwie poziome szufladki, tuż przy samej podłodze. W rogu pod oknem, na ukos, pod ścianą do sąsiedniego pokoju stoi stare, biedermajerskie biurczko, stanowiące przypuszczalnie własność mojej praprababki Zofii. A może prababki - panna Starzeńska mówi, że to jest oryginalny wiedeński Biedermajer z połowy ubiegłego stulecia. Na środku pokoju okrągły stół do rozciągania, na dwanaście osób, jakoś szczęśliwie zharmonizowany z czernią drzewa i bordem pluszy. Ciężka serweta z długimi frędzlami zwisa prawie do dywanu. Dobry, stary dywan - zapewne jeszcze z czasów Braunholdowskich.

Zegar w białej marmurowej oprawie, ozdobiony złożonymi liśćmi, to również co najmniej sto lat historii rodzinnej. Króluje na przekór czerniom i czerwieniom nad grudziądzkim biurczkiem-sekretarzykiem. Natomiast biurczko ze studenckiego dla mnie jeszcze prezentu starego doktora Michalskiego czeka na razie na godniejsze miejsce w jakimś pokoju mojego przyszłego większego mieszkania. Tymczasem tłoczy się w miejscu dość niefortunnym, w małej przestrzeni pokoju gościnnego.

Kompletu umeblowania w tym pokoju dopełniają dwa stare wolteriańskie fotele, każdy w innym guście i każdy obity inną materią. Jeden z nich podpira piec od strony ściany z oknami i umożliwia usadowienie się pod dość dobrymi końmi Wojciecha Kossaka z lepszych czasów, gdy jeszcze nie malował na metry kwadratowe, jak mówi złośliwie stryjek Marcin. Podobno to jest osobisty dar stryjka dla mnie i widocznie z tego powodu tyle krytyki w stosunku do malarza. Drugi wolter podpira ścianę z przeciwległej strony i stoi pomiędzy kanapką a Chodowieckim, zawieszonym na tej ścianie. Na ukos, w kącie pokoju z lewej strony drzwi, został umieszczony portret prababki Anny, oparty prawie o podłogę, gdyż o niski podnózek specjalnie do tego celu dorobiony jeszcze w Poznaniu. W ten sposób portret prababki jest z lekka podniesiony i zdaje się ona zstępować z jakiegoś jakby stopnia. Z lewej strony prababki Anny, na ścianie drzwi z przedpokoju - serwantka z Grudziądza, Stare kryształowe tafle ujęte w ciemne drzewo, wewnątrz wypełnione kilku dziesiątkami różnych miłych, pamiątkowych drobiazgów. Dzięki ciotce Magdzie niemal bez rodzinnej grabieży zostały przeniesione z dziadkowego mieszkania w takim stanie, w jakim się znajdowały za życia dziadka. Jedynie Herta wycygała ode mnie dwie porcelanowe figurki, które się jej specjalnie podobały. Nad serwantką dobry olejny portret praprababki Zofii Wildorf. Troje moich niemieckich przodków - romantyczna para: Martin i Zofia, a pośrodku między nimi równie romantyczna zjawia prababki Anny von Rosenschwerth. Można dumać o przeszłości, przekreśliwszy ku portretom oparcie wolteriańskiego fotela. Bardzo miły dla mnie kącik, nawiązywanie w myślach starej, mało znanej mi przeszłości do nowej, równie nie znanej mi - przyszłości. Nieraz już rozmyślałam nad tym, w jakich mieszkaniach i w jakich pokojach te trzy portrety zawisną w przyszłości, i czy do nich przyłączy się jakiś dalszy portret Anny Jambor z XX wieku. Nie wiadomo, na świecie wszystko może się zdarzyć, nawet tutaj w Warszawie istnieje ulica Świętokrzyska, przy której - w sklepach - wydają sobie nieustannie *rendez-vous* portrety wszystkich epok, obojga płci. Najbardziej dumne portrety mężczyzn i najbardziej uśmiechnięte portrety mocno wydekoltowanych, pięknych kobiet. Niejeden z tych

portretów był zastawem miłości, oddawanej w mniej lub bardziej wieczne posiadanie. Minęły lata, ludzie pomarli, a portrety poniewierają się obecnie w brudnych i zakurzonych sklepikach żydowskich antykwariuszy lub znieważają swoje oczy patrzeniem na intruzów, którzy kupowali majątki razem z galeriami przodków. Przykład: Górki.

W drugim pokoju - salon do spania, jak się o nim wyrażam w sposób z lekka kpiący i wesoły. Również dwa okna, jak w salonie, lecz odmiennie rozmieszczone, obok siebie, przedzielone jedynie jakimś filarkiem architektonicznym od strony ulicy, a od strony pokoju ujęte we wspólną ramę okienną. Z lewej strony okien - francuska kozetka, w drugim narożniku przy oknie, w rogu na ukos, stara garniturowa toaletka z pokoju Leokadii. Tuż pod oknem również znany z historii mego życia okrągły stolik i cztery foteliki, nad stołem niesymetrycznie zawieszony żyrandol z różowymi abażurkami. Pod ścianą naprzeciw drzwi od salonu umieszczono szafę z lustrem, przy tej samej ścianie łóżko, które od strony ściany przedpokoju odgradza jedynie mały stoliczek nocny. Komódka z Grudziądza, fotelik, a nad komódką moja kopia Boucherowskiej dziewczyny. Łóżko, podobnie jak niegdyś, osłonięte parawanem, odcinającym je od reszty pokoju jakby zamkniętym narożnikiem. Właściwie taki parawan, odstawiony cokolwiek od łóżka, nie osłania go całkowicie, zaznaczając jedynie, że za nim znajduje się szerokie francuskie łóżo, ustawione głową do ściany i z dostępem z obu stron. Naturalnie łóżko kobiety. Tylko kobiety. W tym właśnie tkwi figlarna pointa takiego parawanu i łóżka, ustawionego w podobny sposób. Dywan w pokoju wykwintny. Wzdłuż łóżka, od strony stolika, komódki i fotelika, biały puszysty niedźwiedź.

W obu pokojach piece ustawione są w kątach, na tej samej ścianie wewnętrznej, drzwiczki do palenia szczęśliwie od strony przedpokoju. Olbrzymie piece, smoki, spalają dużo opału, utrzymanie znośnej temperatury wymaga kilkakrotnego dokładania w ciągu dnia.

Salon - to osiem metrów na sześć, sypialnia nieco mniejsza, siedem na sześć. Pięć metrów do sufitu. Trochę marzną, nic dziwnego, że postawili mi wolteriański fotel tuż pod piecem. Stróż pociesza mnie, że w lecie pokoje są - przyjemnie chłodne. Słaba to pociecha!

Makart znalazł swoje nowe miejsce, tym razem, z daleka od łóżka, w lewym kącie sypialni, pod oknem. Króluje nad jednym z boków francuskiej kozetki. Oprócz tego wiszą tu nowe dla mnie obrazy. Na ścianie, pomiędzy szafą a łóżkiem, dobre w tonie kwiaty, pastele Wyczółkowskiego. Natomiast drugi z nowych dla mnie obrazów, umieszczony na ścianie pomiędzy piecem i drzwiami do salonu, to dużych rozmiarów i w ciężkiej złoczonej ramie bukiet mimoz, włożony do chińskiego wazonu, umieszczonego na stole, przykrytym haftem Richelieu w kolorze złotawym. Nie przepadam za mimozą, ani w kształcie samego kwiatu, ani w formie mdławego symbolu uczuciowej i przewrażliwionej delikatności. Ale trudno, musi tak zostać, ponieważ w tym miejscu powieszono obraz jako dar serdeczności. Może kiedyś, gdy się wszystko przetrze i uspokoi, poprzewieszam obrazy.

Koniec na dzisiaj. Wpół do drugiej. Marzę o lecie. W pokoju istotnie chłodnawo. Cisza. Lecz nie jestem już całkowicie samotna. Stary zegar wydzwania godziny i kwadrans w dwóch tonacjach. Niby dyskretnie, lecz dostatecznie, aby przypomnieć: nie jesteś samotna, moja Anno, ja czuwam w pobliżu.

Chłodno. Pójdę chyba do łazienki i zrobię sobie ciepłą kąpiel. Gazowy piecyk to dobry wynalazek. A potem położę się do łóżka. Już uprzedziłam Wikcię, aby mnie nie budziła i czekała na dzwonek chociażby do samego południa. Była co prawda zgorziona i prawie na języku miała przypomnienie o kościele, ale zmilczała. Powiedziała jedynie:

- Tak, dzisiaj byli goście, panią jest zmęczona.

A ja miałam zamiar powiedzieć jej:

- Kościół? Jutro niedziela, niechże zatem moja Wikcia zostanie w kościele na dwóch mszach, za siebie i za mnie.

Ale równie zmilczałam, dla miłej zgody, a zresztą w moich ustach zabrzmiałoby to jako głupie i niepotrzebne szyderstwo. Nie warto się wygłupiać. Ale dość tego, łazienka, a później

w objęcia Morfeusza. Całe szczęście, że Zeus zaprzestał głupich kawałów z wędrownkami po świecie. Byk, łabędź, złoty deszcz i inne cuda mitologiczne. Jakie to wszystko głupie, lecz równocześnie lekkie i wesołe. Bogowie i boginie - to było w każdym razie lepsze od tercjarek i dewotek.

Niedziela - 12 marca

Wstałam późno i zamiast do kościoła poszłam prosiutko do Lourse'a. Przysiadłam się do jakichś samotnych pań i dla zabicia czasu poprosiłam o tygodniki. Kelner przyniósł mi kilka mocno już wystrzępionych magazynów zagranicznych. Zaraz na wstępie wpadł mi do ręki zeszlóroczny sierpniowy numer kanadyjskiego tygodnika, poświęconego artystom filmowym i sztuce kinematograficznej. Spodobała mi się sylwetka takiej sobie miernej zapewne artystki, Aline Mac Mahon, *personifies all stenographers*. Mniej więcej moja sylwetka, w czarnym kostiumie z głębokim wycięciem, klapy w rodzaju smokingowym, żakiet zapięty na jeden guzik, całość niezbyt wcięta, rękawy gładkie, z dwoma guziczkami. Spódniczka długa, mocno za kolana, lecz niezbyt obcisła. Ilustracja niewyraźna, w dodatku egzemplarz wytarty i mocno sfatygowany. Bluzeczka raczej gładka, niewątpliwie biała i z matowego jedwabiu. W bluzeczce nieznaczące wycięcie, jedynie z zaznaczeniem, zarysowaniem wcięcia w dół. W lewej klapie jakiś mało wpadający w oczy fidrygałek, wygląda na zrobiony z materiału. Na głowie coś w rodzaju ciemnego toczka owalnego do pół czoła, przypuszczalnie stonowanego z kolorem kostiumu. Łódeczki na francuskim obcasie, podobne przywiozłam sobie z Paryża. Na prawej ręce, zwieszony do przodu łbem, srebrny lis. W tej samej ręce, pod lisem, na wąskim uchwycie torebka w fasonie kopertowym.

Kelnerowi dołożyłam dodatkową złotówkę napiwku, a kanadyjski magazyn wsunęłam do torebki i przyniosłam do domu. Po obiedzie umieściłam się wygodnie w fotelu i przejrzałam numer od deski do deski. Przyszło mi na myśl, że my w naszym kraju żyjemy bardzo biednie i pospolicie. Na przykład w Paryżu byle jaka midinetka stwarza wokół siebie swój własny, wesoły światek i żyje całą pełnią oddechu. Brakuje jej co prawda sporo pieniędzy do szczęścia, ale równocześnie przerzuca wieczorem na bulwarach sterty różnych fatalaszków, szalików itp., wybierze czasami jakiś bardzo skromniutki, za kilkanaście franków, lecz za to umie cieszyć się za pełne sto franków! U nas jest zgoła inaczej. Wydamy sto złotych na jakieś głupstwo i później obnaszamy przez kilka dni z rzędu swoje niezadowolenie. Przynajmniej połowa z otaczających nas osób wygląda w taki sposób, jak gdyby im przed godziną wymordowano całą rodzinę lub jak by przed godziną spaliło im się całe mieszkanie ze wszystkim. Dowcipy są ciężkie, koniecznie tłuste i ordynarne. Brak wykwintu, na każdym kroku kłamstwo, podlane jedynie sosem konwencjonalnej obłudy. Niewesołe jest nasze życie w tym oślim ogródku krętych uliczek, mam naturalnie na myśli idee, a nie prawdziwe ulice. Te ostatnie są jedynie brudne, odrapane oraz mocno śmierdzące na peryferiach miasta, jak zresztą zapewne na całym świecie. Ale cóż? - przecież trudno byłoby skrapiać ulice chypre'em czy oubigantem? Takie polewanie również by nie pomogło wobec samego faktu ruder i tłumu ludzi, którym się źle powodzi. Perfumy to tylko idee, rudery natomiast to rzeczywistość.

W każdym razie zrobię sobie kostium w stylu sylwetki Miss Aline Mac Mahon. Właściwie to nie jest zapewne jej pomysł, a jedynie jakiegoś filmowego kostiumologa...

W niedzielę imieniny gdańskiego stryjka, chętnie pojechałabym, ale w tej chwili nie mam dość sił, by spędzić dwie noce w pociągu. Trudno z biurem - gdyby chodziło o jakiś urlop. Na odmianę obecnie mam dużo do czynienia z wicedyrektorem naszego departamentu. Sztywny jegomość, podobno rozwodnik. Figura w piątej grupie płac, a zadziera nosa do góry, jak by już był wiceministrem. Prawnik, również austriacka Galileja z doktoratem. Nudny, wysoki, chudy i nadęty. Drobiazgowy, to najgorsze dla mnie! Tytułuje mnie magistrem, często wzywa do siebie przez woźnego, który puka, wchodzi do mojego pokoju i mówi

ceremonialnym głosem: - Pan wicedyrektor prosi. - Szkoda, że nie każe woźnemu nazywać się wicedyrektorem departamentu. W wieku czterdziestu pięciu lat nie gra w brydża, nikt w biurze nie umie wyliczyć jego słabostek i wad. Ogólnie mówi się jedynie: to jest bałwan. Biurokrata w piątej randze, z uposażeniem siedmuset złotych miesięcznie, plus dalsze dwieście złotych różnych obrywków. Wysiaduje fotel w dawnym gabinecie stryjka Marcina. Trzeba mu wszystko tłumaczyć podwójnie, raz w wersji normalnej, na próbę, czy zrozumie, a później zaraz w wersji pogryzionej i przeżutej, ze wszystkimi paragrafami, bo tylko to może strawić. W każdym razie figura w rodzaju tamy czy wodospadu pomiędzy mną a dyrektorem departamentu. Ten przynajmniej grywa w karty i od czasu do czasu powie coś wesołego. Widocznie pomagają mu w tym nadmuchane poduszki gumowe. U siebie w mieszkaniu ma również na gabinetowym fotelu taką poduszczkę. W nocy na pewno kładą mu do łóżka termofor wypełniony gorącą wodą. Żona nie ma z niego wiele pociechy.

Okazało się, że sprawa mojego stryjka była specjalnie ważna i skomplikowana. Jeszcze dzisiaj wertują ją na wszystkie strony, lecz to sprawa murowana. Zresztą przeszła już gładko przez Centralną Komisję Przywózową i na tym zasadniczo koniec. Mój dyrektor również „jest” w tej sprawie, a jedynie ten chudy strach na wróble kręcił nosem.

Siedzę sama w domu. Wikta wywędrowała do kościoła na jakieś wieczorne nabożeństwo i rozkoszuje się samotnością. Nigdzie dzisiaj nie wyjdę. Przed chwilą nie podniosłam słuchawki telefonicznej, pewnie komuś była potrzebna zapasowa dama do brydża. Czasami trzeba się trochę zbuntować, ludzie więcej cenią.

Ale na tym koniec z pisaniem. Zabiorę się lepiej do wertowania któregoś z trzech tomów o Paryżu.

Poniedziałek - 13 marca

Coś się pokręciło u nas i zabrakło w biurze stenografki. Szukano po wszystkich kątach i w chwili gdy byłam w gabinecie naszego dyrektora, właśnie żądano od niego pomocy. U nas z porządną stenografią jest bardzo krucho, ponieważ lichy płacą. Naturalnie od razu wyraziłam gotowość udania się z bloczkiem na konferencję. Sprawy dość poufne, z dziedziny projektów do nowego traktatu handlowego z Jugosławią. Trzy godziny tkwiłam na konferencji, jedyna kobieta w otoczeniu dziewięciu przeważnie starszych panów z różnych ministerstw. Konferencja u nas w skarbie, przewodniczył sam minister. Od razu na samym wstępie uprzedzono wszystkich obecnych, że w zastępstwie etatowego stenografa jego funkcję wypełni dzisiaj - pani magister Anna Jambor, radca ministerialny. Jakoś tym razem zagubili nawet kontraktowość, a pan minister był łaskaw przypomnieć sobie stonowanym szeptem: - Bratanica naszego doktora Jambora. - Wszystko poszło dobrze, później chciano przydzielić mi maszynistkę do podyktowania, lecz podziękowałam i sama usiadłam przy remingtonie. Również poszło szybko, czysto i bez poprawek, tylko że na obiad wróciłam z biura dopiero po godzinie ósmej wieczorem. W tym czasie woźny przyniósł mi dwie bułki z szynką i szklankę herbaty.

Jestem porządnie zmęczona, taka konferencja niszczy nerwy - duże napięcie i te mocno chaotyczne wypowiedzi uczestników. Ale poszło, to najważniejsze.

Dzisiaj nadszedł list ze Lwowa, przejrzałam go jedynie pobieżnie. Bite cztery stroniczki, odpowiedź Kazi na życzenia imienninowe. Kończę, jestem wypompowana.

Środa - 15 marca

Moja sława rozeszła się wśród dyrektorów, którzy właśnie dzisiaj mieli konferencję u ministra. Mój dyrektor powiedział mi jedynie ogólnikowo, że urzędowy stenograf ma zwykle różne niemądre fanaberie i klóci się ze wszystkimi. Dobrze wyszłam na tym, że typkowi przywidziało się nie przyjść tego dnia do biura. Ponadto dopiero dzisiaj zorientowali się, że nie zostałam specjalnie zaprzysiężona jako stenograf, i na gwałt wzywali mnie do gabinetu

ministra, gdzie wymalowałam mój podpis na odpowiednim dokumencie z datą poniedziałkową. Gafa, w każdym razie nie moja.

Nie proponowano mi wynagrodzenia, widocznie mój dyrektor uprzedził co do mojego majątku, ponieważ tylko mnie honorowano i dziękowano.

Poza tym nic nowego. Od dnia dzisiejszego zabrałam się w sposób poważny do wertowania skryptów, poprzednio przeczytałam je podobnie jak romans powieściowy. Może i dokładnie, lecz bez zainteresowania. Do biura zabieram kodeksy i procedurę, w sam raz odpowiednie miejsce do studiowania rzeczy ponurych. Prawo nie bardzo mi odpowiada, ale właśnie dlatego trzeba je poznać. Może się przydać. *Wer den Dichter...* A ja obecnie mam do czynienia przeważnie tylko z prawnikami. Miejscowi prawnicy usiłują mnie przekonać, że jestem głupia i nie znam okólników, a moi klienci starają się oszukiwać mnie w sposób gruboskórny, naiwny i ordynarny. Nie dają się, kieruję się własnym dowcipem i przede wszystkim spokojem. Nigdy nie strzelam decyzjami na poczekaniu, a raczej lubię przespać każde ważniejsze zapytanie. Odpowiadam dopiero na drugi dzień, po starannym namyśle i przewertowaniu paragrafów. Nie przekładam spraw na odległe terminy i w ten sposób nie piętrzą się u mnie teczki z aktami.

Krawcowa szyje mi obecnie dwa nowe kostiumy, czarny a la Miss Mac Mahon i jasnopopielaty. Materiały - wiadomo skąd. Dopiero obecnie oceniam rodzinne bławaty. Panna Starzeńska namawiała mnie dzisiaj na kino, ale wymówiłam się. Szkoda na to czasu, zasadniczo wszystkie filmy są jednakie. Zawsze ktoś kogoś kocha, a ktoś nie, pośrodku jest jakaś akcja i na tym koniec. Wszystko na jedno kopyto, z tym że amerykańskie filmy mają dodatkowo posmak tajemniczości i większej ekscentryczności. Prawo operowania silnymi kontrastami, w tym właśnie leży zniekształcenie życia i przesada akcji filmowej. Wydaje mi się, że tylko teatr uwydatnia w pełni psychologię charakterów, natomiast na białym płótnie dokonuje się jedynie igraszka ruchów. Doczepienie mowy do obrazów świetlnych nie zmieniło w niczym martwoty filmu. Teatr żyje, a film w dalszym ciągu pozostał psychologicznie martwy. Ciekawe: teatr sprawia wrażenie kościoła - skupia ludzi, trzyma ich w jakimś poważnym napięciu, nawet w wypadku komedii. Natomiast kino jest tylko kinem. Obrazy migają na ekranie przed naszymi oczami - a my podobnie jak przed budą jarmarczną, odwijamy cukierki z papierków i łączymy w jedno: błyskotliwość oglądanych obrazów i zaspokajanie podniebienia.

Żoliborzanie jakoś milczą. Zaledwie dwa krótkie listy z Lozanny, oba raczej z interesami do załatwienia, a zatem jakby listy nie do mnie osobiście. Za to przyjemność częstych rozmówek ze stróżem i administratorem. Ten ostatni to stary wyżeracz od różnych sądowych szwindli, nic dziwnego, były komornik sądowy, jeszcze z czasów rosyjskich. Obecnie pływa w administrowaniu kilku domami.

Sobota - 18 marca

Druga partia rozmów. Zabrano mnie z kolei do ministerstwa przemysłu i handlu. Tam był co prawda ich stenograf, ale nasi panowie pragnęli widocznie mieć swoje własne stenogramy. Dwadzieścia jeden osób razem ze mną, w tym pięć osób od nas, mój dyrektor również. Tym razem byłam już w moim urzędowym charakterze, ale w dalszym ciągu prawie niema i z bloczkiem do stenografii. W poniedziałek rano mamy przedłożyć naszemu ministrowi nasz własny odpis stenogramu. Niedobrze, ponieważ trzeba będzie jutro posiedzieć kilka godzin przy maszynie do pisania. Mogłabym sprowadzić maszynę z Żoliborza, ale nie chcę przyzwyczajać naszych panów do takiego stanu rzeczy. Nie bardzo mi się uśmiecha ta niedzielna wyprawa do biura, ale trudno, może w ten sposób zwrócę uwagę na „kontraktowego” radcę. Prawie dziesiąta godzina. Wikta skarży się na moje biuro, ja chyba również. W dodatku wszystko wypada mi w niezbyt dogodnym okresie. Trudno - życie nie jest romanssem.

Niedziela - 19 marca

Noc, noc. Przed południem w ministerstwie skończyłam o godzinie trzeciej i zaraz oddałam materiały sekretarzowi ministra. Jak oni pracują! Podobno ten dygnitarz, mowa o ministrze, przesiaduje w biurze - niedziela w niedzielę - a codziennie do późna w nocy. Głupstwo, ja nie zdobyłabym się na coś podobnego. Chyba dla przyszłej kariery, bo inaczej trudno to zrozumieć. W biurze dopadła mnie telefonem Wirewiczowa. Nowy telefon, w tym wypadku mój do Wikci, gdyż na dole przed ministerstwem czekał już na mnie samochód. Ponieważ wychodziliśmy razem, mój nowy znajomy, sekretarz ministra, uklonił się specjalnie nisko. Widocznie nawet on nie jest przyzwyczajony na co dzień do packardów.

Obiad, rozmowy, coś w rodzaju podwieczorku, a później brydż do dwunastej w nocy, przepełniony jedynie kolacją. Bogato, całe szczęście, przegrałam tylko dwadzieścia siedem złotych. Poznałam sławnego Wieniawę, lecz wbrew plotkom zachowywał się zupełnie możliwie, chociaż z cokolwiek rubasznymi kawałami. Dalszy ciąg frontowych historii, ale raczej poważnie, widocznie liczy się z domem. Z naszą generałową zachowuje się ostrożnie, jak ze święconym jajkiem, widocznie boi się jej bezpośredniego języka. Prawie nie grał w brydża i opuścił nas przed kolacją. Powiedział, że wzywają, go obowiązki służbowe. Może Dziadek potrzebował go do szczęścia przy niedzieli i dlatego Wieniawa nie zalał morduchny? Tak mówił generał, lecz Wirewiczowa utrzymywała się przy „Adrii”. Podobno Wieniawa zakochał się i stąd być może pochodzi jego przemijająca przyzwoitość. Diabeł wie.

Moi protektorzy widocznie dlatego sprowadzili mnie do siebie, abym z bliska obejrzała sobie tę osobliwość nocnych lokali warszawskich. Nie zrobił na mnie specjalnego wrażenia. Oficer, jak inni, lekko przygarbiony, mina ułana-zdobywcy, któremu i tak wszystko jedno, jedna awantura więcej czy mniej. Nie wyobrażam go sobie jako wojennego zabijaki, raczej w roli miłego żołnierza-samochwały przy kieliszku, w dobrej kompanii. W każdym razie jest w typie mogącym się podobać kobietom. A tobie, Anno? Sama nie wiem, chyba nie. Nie mam przekonania do mężczyzn, którzy podchodzą do kobiet jak taran do średniowiecznych bram miejskich. Te tarany były w dodatku - o ile wierzyć można - zaopatrzone na końcu głowicami w kształcie głów baranich. Nomen - omen.

Nie znoszę pewności siebie, być może dlatego, że osobiście miałam i mam w dalszym ciągu bardzo wiele wątpliwości i nieśmiałych wahań. Czyny odważam raczej na wadze aptekarskiej i nie bombarduję otoczenia z kolubryn pewnej siebie bezczelności. Ale każdy z nas ma swój własny styl życia i każdy chadza po świecie w swój własny sposób. Ludzie nieśmiali mają nawet gorzej w życiu, ponieważ bardzo często odpychają ich i spychają do rowu ludzie, którzy idą przebojem, po trupach. Albo po tuzinie głębszych w „Adrii” czy „Oazie”.

Spać, jestem piekielnie znużona, wzięłam do ręki ołówek jedynie po to, aby jakoś ochłonać z dymu i atmosfery jedzenia i picia w gościnnym domu mojej warszawskiej opiekunki. Jutro rano - znów biuro.

Czwartek - 23 marca

Piszę w biurze. Wczoraj po południu zwalili się do mnie samochodem: Leokadia, stryjek Paweł i ciotka Magda. Zabawią do soboty. Czekam mnóstwo różnych wizyt i chodzenia. Nie chcieli samotności willi na Żoliborzu i umieścili się u mnie. Strykowie w moim pokoju, a ja z ciotką Magdą w gościnnym. Ciotka w łóżku, ja na dawnej kanapie Leokadii. Wczoraj było dużo gadania do późnej nocy. Wikcia rozpromieniona, wysadza się, a obie ciotki badają na wszystkie strony moje panięskie gospodarstwo.

Czeka mnie kilka dni różnych atrakcji. Oni przewidują, że stryj Juliusz ściągnie do Polski już na Święta Wielkanocne. Jego listy nie są wyraźne, stryj pisze tylko ogólnikowo, wspomina nawet o różnych interesach. Bądź tu z tego mądry!

Kończę, gdyż właśnie: pan wicedyrektor prosi. Bałwan.

Niedziela - 26 marca

Goście odjechali dzisiaj w południe. Chyba byli zadowoleni? Połowa zasługi w tym mojej pani gospodyni. Trzeba było widzieć i posłuchać: jasnie pani z Górek - to znaczy Leokadia w ustach mojej Wikty.

W piątek byliśmy na „Madame Butterfly”, a wczoraj na mokotowskim obiadku, który zaczął się o trzeciej po południu, a skończył dobrze po północy. Zbyt wiele tych obiadków i kolacji, a za mało czasu dla siebie. Kierat towarzyski. Tym razem wygrałam przeszło pięćdziesiąt złotych. Było mi to nie na rękę, ponieważ uraziłam mojego dyrektora. Ale on wpatrywał się w biust mojej ciotki, był tym razem bez żony i stąd pochodziło wykolejenie galicyjskiego biurokraty. W każdym razie Leokadia w roli mojej ciotki - prawdziwy szyk. Dopiero rok po ślubie, ale oboje znakomicie dopasowani do siebie, jak by żyli z sobą „pół wieku”. Dobrali się jak w korcu maku.

Ciotka Magda jakaś smutna. Obecnie gospodaruje na resztówce z pięciuset morgów w tym właśnie Rosenau, polskim Różankowie, które było zaczątkiem fortuny stryjka Pawła. Podobno ten kawałek ziemi ma pozostać niesprzedany, być może ciotka rezerwuje te morgi dla dzieci Hertty. W dodatku na głowie ciotki pozostają w dalszym ciągu brodnickie handle zbożowe. Przede mną uskarżała się na osamotnienie. - Wszyscy się poženili - mówiła - a ja jedna zostałam na wsi.

Chodziły mi po głowie myśli, aby panią W. z dzieckiem umieścić u ciotki w Różankowie, ale nie mogłam się przełamać. Trzeba byłoby zwierzyć się całej trójce, jakoś nie szło, nie było odpowiedniej chwili i właściwego nastroju. Na to będzie jeszcze zawsze czas, grunt, by mała nabrała zdrowia. Może nawet byłoby rozsądniejsze kupno małego domku w jakimś podgórskim miasteczku, Jordanowie czy Makowie?

Leokadia nie mogła zrozumieć mojego pędu do składania dwóch ostatnich egzaminów prawniczych. Ja czasami również nie mogę tego zrozumieć. Dążę jednak do tego chociażby w tym celu, aby móc powiedzieć naszym prawnikom przy okazji: - Ja również mam dyplom prawniczy! - Boi oni wszyscy w ministerstwie jakoś z niedowierzaniem słuchają opowieści o ekonomicznej magisterce. Nawet poznański Taylor nie przemawia im do wyobraźni, to są przeważnie krakowscy doktorzy praw. Problem funta pierza i funta ołowiu. Ołów naturalnie - prawo.

Dzisiaj zapowiada się spokojna niedziela. Jak dotychczas, obiad spożyłam w spokoju i wyprawiłam moją gospodynię do kina. Zagustowała w filmach i później zdaje mi relację, co widziała. Mnie interesuje, jak ona to wszystko pojmuje. Bardzo oryginalne podejście do różnych zagadnień, które prawie zawsze mają jakąś niezwykłą nowość dla Wikty. Ciekawa jestem, jak to było naprawdę z tym proboszczem, ale tego nigdy się nie dowiem. Takie typy nie zwierzają się, w dodatku z obu stron nie byłoby śmiałości - pytać i opowiadać.

Na razie korzystam z ciszy i wieczorem zabiorę się do lektury skryptów. Nauka prawa podobna jest do pewnej gry, o której opowiada Kipling. Gra polega na zapamiętywaniu różnych przedmiotów, ukazywanych na kilka sekund, w dużej ilości i dużej różnorodności, a następnie nakrywanych serwetą. Chodzi o ćwiczenie w sensie pamięciowym. Sąd, głusi sędziowie, obie tak zwane strony, koło nich obrońcy zjednani pieniędzmi, pomiędzy tym wszystkim na stole sędziowskim krzyż, kałamarz, dzwonek, akta, oraz zasadniczy podział ról. Wysoki sąd w togach i na podwyższeniu, a cała reszta stygnąca w uszanowaniu i na stojąco. Jedyna troska dla stron w tym, aby nie włożyć ręki do kieszeni w momencie zwracania się do sądu. Przy drzwiach tkwi woźny w mundurze z żółtymi guzikami, a na widowni teatralna martwota głupców, którzy chodzą do sądu, by przysłuchiwać się cudzym sprawom i zdobyć sobie doświadczenie w oszukiwaniu i wyłgiwaniu się różnym paragrafom. Adwokaci i sędziowie, różne walety i różnej maści i ciężaru gatunkowego króliki. Czasami podłubywanie

palcem w nosie, naturalnie w sposób dyskretny, pomaga w myśleniu. I zaraz wyskakuje z ust sędownika jakiś utajony paragraf lub mało znane a dwuznaczne orzeczenie Sądu Najwyższego. Od razu konsternacja, czasami nie wierzą na słowo adwokatowi i „Wysoki Sąd” udaje się na naradę. A tam, już na osobności, wzywa się co mądrzejszych w kodeksie, świętym, bo obowiązującym - mężów prawa. Potem sąd wkracza na salę, woźny ogłasza sakramentalne słowa: - Sąd idzie - wszyscy powstają, po czym odbywa się kolejny akt pieniactwa czy też wybielenia złodzieja, gwałciciela lub mordercy. Bierze w tym udział trzeci czynnik - pan prokurator - którego bardzo trudno przekonać, gdy się uprze. Ten ostatni ma do dyspozycji całą władzę państwową, oskarżony zaś jedynie łut własnego szczęścia i wielką niewiadomą w postaci prawniczego dowcipu swego obrońcy. Bardzo to jest nierówna gra.

A zatem kuj, Anno, paragrafy i ćwicz swój umysł w zręcznej ekwilibryście kilku tysiącami pozycji, tytułów i tak dalej. Dobry prawnik pamięta nawet numery „Dziennika Ustaw”. To wszystko znakomicie pomaga w ustalaniu obiektywnej prawdy.

Bierz się, Anno, do procedury, trzeba ją pojąć na wylot, aby się nie dać zaskoczyć i pokonać jakiegoś molowi prawniczemu. A takie mole są zazwyczaj niezwykle żywotne, mimo że nieraz przez całe życie grzebią się tylko w tandecie upadku swoich bliźnich. Chociaż niejednokrotnie i wzloty ludzkie stają przed sądami. Ale prawo państwowe zawsze jest silniejsze od sprawiedliwości obiektywnej. Prawo bowiem tworzą tylko ludzie, natomiast sprawiedliwość stoi zazwyczaj ponad ludźmi i ich pojęciami. Nie chciałabym w tym miejscu napisać: poza ludźmi. Byłaby to zbyt gorzka prawda, stwierdzająca dziwną nieudolność ludzkiego pokolenia.

Zmęczyłam się pisaniem. Wstaję, aby naparzyć mocnej kawy. Golnę sobie również kieliszek dobrego koniaku. A później już tylko skrypty...

Sobota - 1 kwietnia

W biurze doręczono mi niesmaczną pocztówkę. Ordynarny rysunek przesadnie wystrojonej kobiety, podpis: strojnisia oraz dodatkowy wierszyk z częstochowskimi rymami. W moich studenckich czasach uważano wysyłanie takich pocztówek na „prymaprylis” za głupi kawał. Sprzedawano je w Poznaniu w papeteriach przy ulicy Wodnej. W sam raz dzielnica dla takich pocztówek. Tuż w pobliżu jest słynna ulica Butelska, gdzie spacerują dziewczęta, które z powodu swego złego wyglądu nie mogą łowić durniów na Placu Wolności.

Obracałam w rękach kartkę i od razu przyszło mi na myśl, że jedynym człowiekiem w Warszawie, który mógł przysłać mi taką pocztówkę, jest chyba Faustyn Kruczek. Może się mylę, ale w każdym razie dużo przemawia za nim jako autorem tego niesmacznego kawału. W dodatku listonosz zostawił tę obrzydliwość w drugim pokoju podczas mojej nieobecności. Wszyscy ją na pewno obejrzeliby dokładnie. Naturalnie nie wyszłam z fasonu i powiedziałam wesoło:

- Wiem, kto to zrobił, ale tej osoby nie stać na nic innego.

A równocześnie pomyślałam sobie, że kartka z takim drukiem kosztuje na pewno mniej od kilku róż, na które go zapewne nie stać. To - Kruczek.

Postawiłam nawet kartkę przed sobą na biurku, oparłam o kałamarz i mówiłam wszystkim, którzy mnie tego dnia odwiedzili:

- To jest prezent od takiego wała, którego oblali na egzaminach.

W każdym razie było mi przykro. Mam zamiar położyć tę pocztówkę na stole w momencie, gdy Kruczkowi przyjdzie kiedyś ochota do ponowienia odwiedzin w biurze. W pierwszej chwili pomyślałam nawet o tym, aby go w krótkiej drodze utracić w departamencie mojego stryjka, ale to nie byłoby mądre, taki typ mógłby dopuścić się jakiegoś szaleństwa lub doprowadzić do skandalu.

Poza tym nic nowego. Nudno. Wieczorem sobotni brydż na Mokotowie. Będą, jak zwykle, ci sami partnerzy. Może zwabią kogoś nowego do ozdoby, to wchodzi w skład zwykłego repertuaru. Przeszkadzają mi w czytaniu skryptów, ale trudno.

Dzisiaj był list z Rabki. Na fotografii widać weselsze już dziecko. To - moja siostra. Tyle lat ode mnie młodsza i tak różne okoliczności, ale to jest moja siostra! Zajęłam się nią i odnajduję w sobie - lepszą Annę.

Niedziela - 2 kwietnia

Ekspresowy list z Gdańska. Stryj Juliusz wylądował już tam przed kilku dniami. Nawet z Anglii przyplłynął statkiem! List od ciotki Elfydy, obaj stryjkowie tylko się dopisali. Na razie amerykański stryjek utknął w Gdańsku, Szykuje się zjazd rodzinny w Górkach. Ciotka wyraźnie pisze o tym. Gdańsk zamierza zjechać już w Wielką Środę i zostaną cały tydzień. Później stryjek zwali się prawdopodobnie do Warszawy. Na rychły powrót Marcina i Florencji nie zanoszą się. W okresie świąt zamierzają odwiedzić Paryż. Ciekawa jestem, jak to będzie wyglądać w domu przy ulicy Zielonego Mostu? Obaj panowie pozostają podobno w wielkiej przyjaźni, pan Krymułt wielokrotnie to wobec mnie podkreślał. A może to tylko dyplomacja? Życie ludzkie jest niezwykle dziwne. Może nie zamieszkają w tym domu? Głupstwo - na pewno zamieszkają.

Dzisiaj siedziałam samotnie na przedstawieniu „Toski” w operze. Bardzo melodyjna opera, ale zbyt tragiczna. Po co tyle trupów? Wróciłam do domu w smutnym nastroju. Wczorajszy brydż był apatyczny, partnerzy młócili słomę, a w ręku mieli karty.

Czwartek - 6 kwietnia

Znaleziono mi dodatkowe zajęcie. Przydzielono mnie z ramienia ministerstwa do Komisji Traktatów Handlowych. Jak się z grubsza orientuję, chodzi o państwa bałkańskie. Mam otrzymywać różne projekty do opiniowania w charakterze referenta sprawozdawczego. Przybliży mnie to do poważniejszych zagadnień, a mój dyrektor stał się w ostatnich dniach bardzo uprzejmy, komplementujący w staroświeckim stylu. Widocznie to wpływ mokotowskich protektorów. W sobotę mój pierwszy występ w nowym charakterze. Posiedzenia odbywają się na przemian w ministerstwie przemysłu i handlu oraz spraw zagranicznych. Mój dyrektor wspomina, że w tym charakterze jest bardzo łatwo o wyjazd za granicę. Obecnie jest okres zawierania różnych nowych umów zagranicznych. Kto wie, może coś z tego wypadnie?

Niedziela - 9 kwietnia

Stara historia z bloczkiem w sobotnie popołudnie, a na drugi dzień zmarnowana niedziela przy remingtonie. Dzisiaj byłam na obiedzie u mojego dyrektora. Sami moi. Gospodarze, nasz wicedyrektor i ja. Takie sobie skromne przyjęcie, ledwo że z koniakami i likierami, lecz bez wina. Obiad jak w rodzinie, niedzielny obiad. Kura nazwana pulardą, zakąski z zimnego mięsa, desery z owoców, czarna kawa i likier. Nawet brydża nie złożyliśmy, ponieważ pan „wice” nie jest uczony w trzynastu kartach. Przyjrzałam się, jak wygląda Galicja w kieszonkowym wydaniu. Po obiedzie wybraliśmy się do „Europejskiej”, gdzie od razu na wstępie natknęliśmy się na generałową, która powiedziała mi bez żadnych ogródek:

- Jak widzę, Anno, wkręcasz się w swoje ministerstwo?

Wieczór spędziliśmy u mnie. Zaprosiłam całe towarzystwo i nawet dziwię się, że moja Wikcia potrafiła tak wiele wyczarować na poczekaniu. Jakoś poszło. Było siedem osób. Zupełnie przygodna para: prokurator Grabowski - generałowa mówi, że to człowiek z karierą. W jego towarzystwie jakaś donna, niezbyt dla mnie wyraźna, podobno adwokatka, zabraliśmy ich z „Europy”.

Kolacja była zimna, ratowały jedynie frykasy z Górek i dobre wina. Złożyła się partia brydżowa. Graliśmy tylko przy jednym stoliku, mój nowy znajomy, pan Grabowski, dyrektor, generałowa i ja. Nasz wicedyrektor zabawiał pozostałe dwie panie. Gra była wysoka i trudna, Grabowski grał bardzo odważnie.

Ta niedziela nie należała do najłatwiejszych. W ministerstwie zjawiłam się już o siódmej, maszynopis oddałam koło pierwszej i musiałam dobrze siebie poganiać, by się zjawić na dyrektorskim obiadku o drugiej, odświeżona i odpowiednio ubrana. Jestem porządnie zmęczona. Dzięki odezwaniu się generałowej - stanęło na tym, że urywam się z biura już w środę w południe i wracam dopiero w środę rano po świętach. Generałowa nazywa to polskim urlopem. Moi panowie mają wszystko załatwić, aby było dobrze. Zresztą podczas świąt i tak wszystko staje, każdy myśli, aby się wymigać od urzędowania i zwiąć z Warszawy, o ile może.

Jutro spotykamy się w południe u Lourse'a, generałowa i ta adwokatka. Generałowa szepnęła mi na ucho, że prokurator ma bardzo przystojną żonę, ale chodzi na brydże właśnie z damą swego serca. Trochę było mi głupio, ale cóż to mnie ostatecznie obchodzi. Przecież mogę przyjmować u siebie w domu, kogo zechcę. Znajomi moich znajomych są również moimi znajomymi. W dodatku to są znajomi z poręki mojej protektorki, której bardzo wiele zawdzięczam. Mokotów również przyjmuje.

Bardzo podobał się obraz Makarta. Mojemu „wice” podobało się mieszkanie, nie spodziewał się takiej całości. Wspomniałam przy nim kilkakrotnie o naszych kamienicach. Gdy w dodatku po wiedziałam: - Stryj Marcin obarczył mnie nawet „tą” kamienicą i codziennie zabierają mi dużo czasu rozmówki ze stróżem i administratorem - brzmiało to bardzo chęlnie.

A zatem już tylko trzy dni. Odpocznę sobie na wsi - cały tydzień.

Poniedziałek - 10 kwietnia

List z Górek. Pytają, kiedy przyjadę. Zaraz wysłałam telegram. Do nich na wieś trudno się dodzwonić, nawet w dzień, telegram pewniejszy. Moja nowa znajoma w dalszym ciągu jakaś niewyraźna. Spóźniła się i generałowa zdążyła opowiedzieć mi o niej wszystko, co sama wie. Zamożna, ze znanej warszawskiej rodziny. Opiekuje się nią brat matki, bardzo bogaty. Najciekawsze, że ona sarna jest właścicielką dwóch kamienic w Warszawie, a mieszka w pensjonacie. Nie urządziła sobie mieszkania i prowadzi nadal cygańskie życie studenckie, jak to określiła Wirewiczowa. Podobno kocha się w panu Grabowskim, który nie posiada majątku, lecz robi karierę polityczną. Poza tym, panna jest trochę zwariowana, z lekka trzaśnięta. Erotyczna, lubi pikantne opowiadania. Bez wyraźnej linii życiowej, sama nie wie, czego chce.

Z tym „chcieniem” to sprawa niebezpieczna. Słowa generałowej mocno zapadły w moją duszę, przecież i ja sama nie wiem, czego chcę i do czego zdążam. A na pewno nie do> kuchni, nie do dzieci i nie do szydełkowych robótek! To bardzo głupi podział na mężczyzn i kobiety oraz bardzo’ głupia opowieść o Adamowym żebrze. Od razu widać, że biblijni literaci byli mężczyznami i mocno nadużyli swego pisarskiego monopolu dla pogębienia rodu niewieściego. Potem takie bzdurstwa wrosły w mentalność świata i pojęć ludzkich i oto mamy żalosne skutki podziału. Mitologia - nonsensów.

Sama nie wie, czego chce? Dobre sobie! Bardzo łatwo tak powiedzieć, dobrze przynajmniej, że generałowa wie, czego chce. Ale zaczęła dawno temu, gdzieś w Krakowie, i od bardzo skromnych warunków. Wygrała wielki los na loterii życia, ponieważ akurat jej przyszedł wówczas mąż przyczepił się do idei legionowej i zrobił na tym karierę, o której na pewno nigdy nie marzył. A potem wszystko poszło już łatwo. Najgorszy jest start, później człowiek albo rozbija sobie głowę, albo dobiega czy dojeżdża, do mety. Czasami nawet sam

nie zdaje sobie sprawy z tego, jak łatwo mu to poszło. A meta to *happy end*, podobnie jak w kinie.

Ale czego tutaj chcieć.

Pod koniec naszej babskiej randki napatoczył się sam pan generał. Bardziej mu pasuje mundur niż cywilne ubranie. Wyświeżony i wymasowany, prosto od fryzjera. Zostaliśmy w trójkę, ponieważ adwokatka wywiała. Na nową randkę z panem Grabowskim. Skorzystałam z tego sam na sam i gorąco zapraszałam na wiosenne święta do Górek. Uczyniłam to samorzutnie, ale wydaje mi się, że zrobiłam po myśli naszych krewnych. Niczego na pewno nie przyrzekali, ale byli zadowoleni z zaproszenia. Skłamałam i mówiłam, że ciotka Leokadia specjalnie przypominała mi o tym zaproszeniu. Nic strasznego, ponieważ obie panie kilkakrotnie opowiadały mi o wzajemnej sympatii. Generałowa twierdzi, że obaj moi starsi stryjkwowie znaleźli sobie żony - pierwsza klasa.

Mają zadzwonić do nas na wieś najpóźniej w piątek w południe. Przyjadą naturalnie samochodem, z dziećmi, a zatem na kilka dni. Będzie bardzo wesoło. Zabieram z sobą Wikcię, przyda się na wsi, sama się o to przymawiała, mieszkania przypilnuje stróż.

Wtorek - 11 kwietnia

Dzisiaj przypętał się do mnie w biurze pan Kruczek. Przyjął go zimno. Przybył złożyć mi życzenia świąteczne (?), dostał urlop i jedzie do swego rodzinnego Kalisza. A cóż mnie to obchodzi? Dopytywał się o termin powrotu mojego stryjka.

Wikta również cieszy się z tego, że zabieram ją na wieś. Niewdzięczna, ponieważ powiedziała:

- Jaka dobra jaśnie pani, że o mnie pamiętała!

Ale to było westchnienie do mojej ciotki, a nie do mnie. Trudno się dziwić, to księża gospodynii, aktualnie zatrudniona u... panny radcy ministerialnego.

Środa - 12 kwietnia

Przed chwilą była u mnie generałowa. Wpadła, by mnie zawiadomić, że przyjadą na pewno późnym wieczorem w Wielki Piątek, całą rodziną z dziećmi. Podobno generał czynił różne wywiady u znajomych, okazuje się, że jest możliwość doczepienia mnie do grupy naszych przedstawicieli, którzy mają wyjechać w końcu maja na pertraktacje handlowe do Belgradu. To nie byłoby od rzeczy! Trzeba będzie przypilnować naszego generała, aby pochodził w tej sprawie. Mogłabym się przejechać, taki wyjazd odświeża i dodaje - powiedzmy - znaczenia. Wolałabym co prawda inny, ciekawszy kraj, ale trudno wybierać. Na razie jedziemy na wieś, moja Wikcia niecierpliwi się, obawia się spóźnić na pociąg!

Wielki Piątek

Stary dwór w Górkach wypełniony gośćmi. Nieoczekiwanie równocześnie ze mną zjawił się Michał z Kazią. Oboje w dalszym ciągu bez dzieci. Herta ze starszym dzieckiem u Maksia w Starej Wsi, doktora Kunickiego zatrzymał grudziądzki szpital. Być może przyjedzie, ale dopiero w niedzielę rano. Gdańsk w komplecie. Zośka zjawi się jutro w południe. Od mojego brata wiadomości jedynie przez Heinricha. Jakoś przebolewał awanturę z Erną. U nich w Berlinie obecnie „wielkie dni”, ale Heinrich nie miesza się do niczego i myśli jedynie o skończeniu medycyny. Na specjalizację zamierza wyjechać do Wiednia, upatrzył sobie choroby gardła.

Mieszkam z Elfydą w małym pokoiku na pięterku, z oknem w stronę ogrodu. Bardzo miły pokój, ściany wytapetowane w pionowe paseczki w kolorze bładoniebieskim. Mebelki lakierowane na biało. Przypomina mi się mój pokój na podobnej górcie w Działdowie. Gdańscy stryjostwo są mocno honorowani.

Amerykanin nie robi na mnie specjalnego wrażenia. Taki sobie pan w średnim wieku, z kompletnie łysą i świecąca się czaszką, okulary w mocnej, czarnej oprawie. Pali dużo cygar. Milczy i nie zwierza się ze swych przeżyć. Robi wrażenie skupionego, pomimo uśmiechu stale przyklejonego do twarzy. Gładko wygolony, z cerą brzoskwiniową, wypielęgnowany. W typie stryjków Jamborów. Na prezenty nie wysadził się specjalnie, jeżeli chodzi o dowcip. Panie otrzymały torebki krokodylowe, a panowie takie same portfele i portmonetki. Tylko że w torebkach znalazłyśmy różne drobiazgi toaletowe, perfumy, pomadki do ust, wieczne pióra, puderniczki z szylkretu itp. Najważniejsze jednak, że stryj Juliusz nie rozpycha się wzorem uczestników ze znanej mi włoskiej wycieczki Cooka. Sprawia wrażenie dobrze odżywionego pastora anglikańskiego, spotykałam takich na Riwierze.

Ze mną rozmawia poważnie, traktuje mnie raczej jak mężczyznę, w każdym razie: Jambora! Dopytywał się o moje biuro i zamiary na przyszłość. Ale wszystko dotyczyło wyłącznie warunków mojej pracy, a nie ewentualnego małżeństwa. Wiedział dokładnie o moich podróżach zagranicznych. On również wybiera się do Francji i Anglii, ale dopiero po obejrzeniu sobie kraju rodzinnego. W Polsce zamierza zostać do końca maja. Mówił o Zakopanem, które zawsze było marzeniem jego życia. Nasłuchiwał się różnych opowiadań o Tatrach, ponieważ obraca się akurat w towarzystwie emigrantów z naszych gór. W jego opowiadaniach pojawiają się wspomnienia ze służby w armii gen. Hallera.

Koniec z pisaniem. W tej chwili zajechał przed dwór jakiś samochód. Trzeba zejść na dół, powitać nowych gości.

Wieczorem

Przyjechała generałowa z całą rodziną. Generał w mundurze, widocznie dla dodania fasonu czy splendoru wiejskim świętom. Wirewiczowa stara się rozruszać naszego zagranicznego gościa. Dobrze, że przywiozłam z sobą Wiknę. Pisanie - niemożliwe.

Niedziela - 23 kwietnia

Dzisiaj znowu miałam harówkę w ministerstwie. Już wiem na pewno, że w drugiej połowie maja wyjeżdżamy do Belgradu. Pobyt potrwa przypuszczalnie dwa tygodnie. Stryjek umieścił się u mnie. Twierdzi, że na Żoliborzu byłoby mu smutno. Zamieszka tam dopiero po przyjeździe naszych szwajcarskich podróżnych. To już niedługo, urlop stryjka kończy się ostatniego kwietnia, ale do biura dopiero po trzecim maja. Wracają w przyszłą niedzielę. Zagraniczne listy są bardzo suche. Jedynie serdeczne zakończenia, nic więcej. Stryj Juliusz zwiedza dokumentnie Warszawę, ja się śmieję, że kamień po kamieniu. Przypominam sobie mój własny szal zwiedzania Paryża w ostatnim tygodniu pobytu. Kubek w kubek to samo. W dodatku amator teatrów. Chodzimy w trójkę z generałową, zawsze cała łoża, bez obcego towarzystwa.

Wczoraj był brydż u mnie, z panem Grabowskim. Cokolwiek dziwne, że nie złożył dotychczas wizyty z żoną, wydaje mi się, że powinien był to uczynić. Trochę głupia sytuacja ze względu na możliwość spotkania gdzieś w towarzystwie urzędowej żony. Podobno ma zostać ministrem.

Stryjek gra w brydża jak automat. Prawie nie namyśla się i trzeba dobrze uważać, ponieważ stryjek strzela licytacjami jak z karabinu maszynowego. Pierwszy raz spotykam się z taką szybkością. W dodatku stryjek nie wykazuje najmniejszej nerwowości, nie przejmuje się grą. Gra chłodno.

Wobec nieustalonej godziny wyjścia z biura obiad zjadłam u siebie. Stryjek przebywa solo na Mokotowie, a ja korzystam z jego nieobecności i trochę bazgrzę w bloczku.

Wieczorem idziemy całą bandą do opery, trzeba będzie się odpowiednio wysztafirować.

Dziwne, że wiadomość o wyjeździe do Belgradu przyjął bez najmniejszego wrażenia. Trzeba będzie pomyśleć o doborze toalet - i znowu nieoczekiwane wydatki. Zośka narzekała

na brak gotówki. Przrzekłam jej, że osobiście powstrzymam się w tym roku od wyciągania pieniędzy. Sprzedam trochę papierów. Trudno.

Święta były poważne i na ogół spokojne. Wujek Benedykt przyjechał naturalnie do Starej Wsi i przy tej okazji zapowiedział wizytę u mnie w Warszawie. W dalszym ciągu cieszę się jego admiracją. Mogłabym bardzo łatwo zawrócić mu głowę w sposób poważny i wyjść za niego. Byłby spory majątek, ale równocześnie powtórzyłaby się historia z Braunholdem, tylko że w bardzo eleganckim wydaniu.

Wizyt na wsi nie warto chyba opisywać. Codziennie wieczorem byłam porządnie wymęczona i z prawdziwą przyjemnością kładłyśmy się do łóżek. Z Zośką niewiele się ugadałam, siostra dziwnie zgaszona, narzeka, że ma dużo pracy. Po raz pierwszy zastanawiała się nad tym, czy nie byłoby lepiej wszystko sprzedać, długi spłacić, podzielić do reszty spadek i żyć sobie spokojnie z procentów. W gładki sposób można by stworzyć życie bez kłopotów i trudów. Musiałam ją przekonywać i wzywać na pomoc młodszą Elfrydę. Ta od razu powiedziała nam:

- Dobrze, ale czym wypełnicie sobie czas? Bezczynność znudzi się wam raz dwa, a później byłoby już trudno odbudowywać dochodowy majątek.

Ma rację, oni tam w Gdańsku inaczej myślą, im kupiectwo i interesy mocno weszły w krew i w kręgosłup.

Na strychu w Górkach znalazłam zdobycz. Zbiór książek przetrwał dobre sto lat z górą i dopiero dzięki Annie Jambor doczekał się światła bożego! Kilkaset starych książek, niektóre z nich na pewno bardzo cenne. Polskie książki z siedemnastego i osiemnastego wieku wyrzucono na strych zapomnieniu i myszom. Zapakowali wszystko do skrzyń i już przysłali mi do Warszawy. Czeczotową szafkę awansowałam z przedpokoju do salonu i obecnie stoi po prawej stronie mojego sekretarzyka, pod ścianą rozdzielającą oba pokoje frontowe. Moja fantazja zaimponowała stryjkowi Juliuszowi, pomagał mi w układaniu książek.

Ale czas myśleć o wyprawie do opery. Godzina szósta. Mają przysłać po mnie samochód. Muszę się nabić w jakąś bardzo efektowną toaletę na intencję stryjka. Po operze pójdziemy przypuszczalnie na kolację do jakiejś modnej restauracji. Może do „Adrii”? Dzisiaj inicjatywa leży w rękach Ameryki.

Wtorek - 25 kwietnia

List ekspresowy od Krystynka. Wzywa mnie bodaj na krótko do Berlina, ponieważ - jak pisze - stoi przed poważnymi zmianami w swym życiu. Początkowo przyszła mi na myśl historia z tymi głupimi „vonami” oraz Erna, ale dałam list do przeczytania stryjkowi Juliuszowi i sprawa się wyjaśniła. Krystynek przyjechał na jeden dzień do Gdańska i widział się z naszym amerykańskim stryjkiem. Elfryda wspominała mi również o tym pobycie, ale ogólnikowo i nie zwróciłam na to uwagi. Otóż Krystynek zamierzał już wówczas wyjechać z Niemiec i po prostu wyemigrować na stałe z Europy. Wypytywał stryjka z grubsza o warunki życia w Ameryce i możliwości zatrudnienia. Trzeba będzie jechać. W środę mamy święto Trzeciego Maja, jakoś pójdzie. Dwie noce w pociągu, ale przynajmniej jedna noc w Berlinie. W biurze urwę tylko jeden dzień. Byle tylko nie uderzyło nas z gotówką, mamy i tak dość kłopotów ze splątami Tuchołków.

Ze stryjkiem w dalszym ciągu regularnie codziennie w teatrze. Widocznie syci się przedstawieniami na zapas, mówi, że całe lata czekał na taką okazję. Jakoś stryjek mi nie zawadza. Tylko składa się niedobrze, ponieważ w środę wracają Marcin i Florencja. Nie będą podczas pierwszych rozmów, ale to głupstwo - i tak by rozmawiali beze mnie.

Jutro wyślę list do Berlina. Jak to dobrze, że paryscy znajomi ozdobili mój paszport jednorocznym przedłużeniem i wizami. To prawdziwe głupstwo z tymi granicami i paszportami. Najgorsza forma niewolnictwa. W ogóle granice państwowe są niepotrzebne, to prawdziwa hańba ludzkości. Na co komu potrzebne jest państwo? Chyba tylko dla polityków,

którzy w ten sposób stwarzają sobie warunki do egzystowania dla samych siebie! Kiedyś w przyszłości to wszystko znudzi się ludziom i wówczas przepędzą na cztery wiatry polityków i generałów. Strata czasu i pieniędzy, a dla normalnych i zdrowych na umyśle ludzi stałe okradanie nas z połowy co najmniej dochodów.

Czwartek - 27 kwietnia

Mój dyrektor w sposób wielce tajemniczy zawiadomił mnie, że od 1 maja mają zamianować mnie etatowym urzędnikiem państwowym. Wyobrażał sobie, że wyskoczę ze skóry na tę wiadomość. Przyjęłam to z chłodną uprzejmością i zmusiłam się, aby dołożyć do tego coś w rodzaju podziękowania dla niego osobiście. Wspomniałam o zamierzonym wyjeździe za dwa dni do Berlina. Początkowo zatrwożył się i musiałam go solennie zapewnić, że w czwartek rano będę na pewno w biurze. Urzędnicza dusza tkwi w tym dyrektorskim ciele!

Piszę w biurze, tuż po rozmowie z moją władzą. Trudny dzień, dzisiaj znów wystoję się po południu u krawcowej, a wieczorem normalnie, teatr ze stryjkiem. „Pygmalion” Bernarda Shawa.

Wczoraj sprzedałam w obcym banku anonimowo pakiet drobnych akcji. Dostałam za nie osiem tysięcy trzysta, o pięćset złotych więcej niż Zośka w roku ubiegłym. Musi mi to wystarczyć do końca roku. Tysiąc złotych wysłałam do Rabki, a sześć tysięcy wpłaciłam na moje konto w banku. Pieniądze lecą, trzeba będzie jakoś się ograniczyć. Ale jak? Przed chwilą zestawiałam wydatki miesięczne, wypisałam nawet na karteczce papieru: mieszkanie - 200, służba - Wikcia i pomoc stróża - 140, jedzenie - 300, pozostałe wydatki: gaz, światło, telefon, powiedzmy 100, razem 740 złotych, ale to tylko tak na papierze, w rzeczywistości wydaję co najmniej tysiąc złotych miesięcznie na samo utrzymanie domu, nawet przy zasilaniu spiżarni przez Górki. Z biura tylko 550 złotych miesięcznie, a i tak tego zarobku wszyscy mi zazdroszczą. Wydaję dużo, bardzo dużo pieniędzy, a mimo to liczę się na każdym kroku. Stryjek Juliusz przelicza wszystko na dolary i wydaję mu się tanio, nic dziwnego, gdy za dolara dostaję prawie dziewięć złotych. Ciekawe: stryjek pośredniczy w Chicago w transakcjach domami i parcelami, a mieszka w hotelu. Mówi, że tak jest mu wygodnie, nie potrzebuje myśleć o gratach i każdej chwili może zmienić sobie dowolnie mieszkanie według gustu i chwilowej fantazji. Inny styl życia, nie do pomyślenia u nas i wobec stanu naszych hoteli, które obliczone są jedynie na jednorazowe obdarcie gościa ze skóry. Samochody stryjek zmienia kilka razy do roku i twierdzi, że to należy również do warunków powodzenia w jego zawodzie. Klienci patrzą na samochód pośrednika i wysnuwają z tego wnioski, jak mu się powodzi. Na ogół w Ameryce nie ma zwyczaju ułatwiania kariery początkującym - to już dawniej wyczytałam w *Listach z podróży do Ameryki* Sienkiewicza. Czasy widocznie niewiele się zmieniły, skoro dzisiaj to samo potwierdza mój stryjek. Każdy pamięta o swoim własnym trudnym początku *businessu* i nie spieszy się z podawaniem ręki innym.

Początek jest bardzo trudny. Najdłużej trwa odłożenie do banku pierwszego tysiąca dolarów. Ale równocześnie stryjek bardzo jest za tym, aby Krystynek wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Zna dobrze stan naszych interesów oraz wysokość spadku po ojcu. Co do mnie, jest zdania, abym zajęła się raczej sprawami handlowymi i uzyskała jakieś dobre przedstawicielstwo zagraniczne.

Już mi zrobili popielaty kostium w tegorocznym guście żurnali angielskich oraz ową kreację z kanadyjskiego magazynu filmowego. Do zagranicznej wycieczki na pewno przyjdzie mi dołożyć.

O tegorocznych wakacjach nawet nie myślę, zbyt wiele rzeczy skotłowało się na raz. Czasami doprawdy żałuję beztroskich lat studiów w Poznaniu. Obecnie bardzo chętnie zamieniłabym warszawski luksus na jakiś skromny pokój z łazienką w Krakowie. Mogłabym w ten sposób spokojnie dokończyć prawo, a nawet później przycupnąć w ciszy na dwa dalsze

lata. Doktorat - to nie byłoby złe dla mojej przyszłości. Ale nie można robić zawodu rodzinie i stryjkowi Marcinowi, który ułożył moje obecne życie. Sama zresztą tego pragnęłam - i rozmyślałam o tym głośno.

A tymczasem za kilka dni skończę dwadzieścia pięć lat! W Poznaniu uczyłam moją pełnoletność w roku 1929 otwarciem konta w banku. Stare dzieje, gdy to wspominam, wydaje mi się, że odczytuję karty powieści o losach jakiejś obcej mi dziewczyny. Widocznie zawsze po upływie lat człowiek podchodzi do własnej przeszłości jak do obcych przeżyć. Pięć lat temu zaledwie nieśmiało rysowały się w moich myślach jakieś zamiary. Największym problemem było wydostanie się od ciotki Katarzyny!

Ale znów - pan dyrektor prosi. Woźny mówi to z miną tajemniczą.

Wróciłam. Naturalnie - z „Pygmaliona” nici. O godzinie wpół do szóstej posiedzenie. Konferencja z bloczkiem w ręce w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Psiakrew! Trzeba dzwonić do domu i uprzedzić stryja. Tym razem ani mi w głowie pałkowanie przy remingtonie. Zamówię sobie maszynistkę, chociażby na całą dzisiejszą noc. Podyktuję, wystarczy, to przecież byłoby głupstwo, aby z uniwersyteckim wykształceniem tkwić przy maszynie do pisania!

Dobrze, że wczoraj zamówiłam sobie sleeping do Berlina. Kto wie, co wypadnie jutro, a w sobotę będzie urwanie głowy wobec pochodu pierwszomajowego. Zapowiadają się jakieś demonstracje i trzeba będzie dobrze uważać na ulicy. Najlepiej z dala od wszystkiego. To w niczym nie pomaga, a w dodatku mocno podkopuje ustrój, który jaki taki, taki taki, ale w każdym razie chroni nam to, co posiadamy.

Sobota - 29 kwietnia

Stryjek poszedł po raz drugi na „Pygmaliona” razem z generałową, którą zdołał namówić. Jakoś się wymówiłam, mam dzięki temu trochę czasu dla siebie. Po „Pygmalionie” kolacja w restauracji, murowana druga godzina w nocy. Za godzinę wezmę kąpiel, a obecnie wypoczywam na kanapie.

Dużo nowości. W istocie dzisiaj rano doręczyli mi w biurze nominację z ważnością od pierwszego. Dziękowałam i z powodu wyjazdu do Berlina odłożyłam oblewanie do przyszłej soboty. Trzeba będzie naradzić się, co urządzić i kogo zaprosić. Nominację wręczono mi bardzo uroczyście o godzinie dziewiątej rano i od razu dokonano zaprzysiężenia nowego dygnitarza państwowego. Naturalnie zaraz zadzwoniłam na Mokotów i kwadrans rozmowy telefonicznej dokonał tego, co było wałkowane od kilku tygodni. Spotkałyśmy się, jak zwykle, w „Europejskiej” i zdecydowałam się na „ten” Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Po powrocie z kawiarni odwiedziłam mojego dyrektora i prosiłam go o wprowadzenie mnie do Koła ministerialnego. Bardzo się ucieszył i powiedział, że postępuję bardzo rozważnie i widocznie mam zamiar utrwalić się w naszym ministerstwie. Dodał, że Marcin był bardzo czynnym członkiem ich Koła, o czym nawet nie wiedziałam, ponieważ moje rozmowy ze stryjkiem na te tematy dotychczas nie miały miejsca. Nasz generał również jest szyszką w tej organizacji. Generałowa mówiła, że obecnie zanosi się na duże zmiany w rządzie i mają zamiar na miejsce Prystora wysunąć jednego z braci Jędrzejewiczów. Znajomi od stolika brydzowego na Mokotowie. Na razie jednak nic pewnego, tylko że już się o tym mówi. Podobno szukają kandydatów, ale jakoś nikt nie leci na to stanowisko, na ministra nawet owszem, ale nie na premiera.

Gdy pokazałam moją nominację z dużą pieczęcią, stryjek Juliusz kiwał głową i powiedział bardzo szczerze:

- Na co ci to wszystko, Anno? To przecież nie daje pieniędzy i nie stwarza dobrobytu. Papierek i nic więcej, dla mnie ma wartość nie większą od opakowania tabliczki czekolady. Tylko dolar jest jedyną nominacją życiową na dobrobyt. Ale urzędnik państwowy? U nas w Ameryce taka nominacja stwarzałaby przynajmniej możliwość wyciągnięcia z tego porządnej

kupki dolarów. Ale u was? Pięćset pięćdziesiąt złotych - to za ledwie sześćdziesiąt dolarów, akurat tyle zarabia u nas chłopiec na posyłki w porządnym biurze. Ja ci mówię, Anno...

I od tego miejsca stryjek rozpoczął swój zwykły odczyt o *businessie*, o handlu i potędze dolara.

W każdym razie dobrze zrobiłam z tym zadeklarowaniem się do prorządowej organizacji. Jeżeli już zostałam państwowym funkcjonariuszem, to należało postawić wyraźną kropkę nad „i”. Nie zaszkodzi, a pomoże. Czytałam niedawno bardzo ciekawy esej, w którym autor dowodzi, że najlepszymi biskupami byli ci, którzy nie wierzyli w Pana Boga. Trochę za odważne, jak na nasze czasy, ale to było napisane po francusku i nie przeznaczone do obrażania uszu w bogoojczyźnianej Polsce. Co prawda mnie jest bardzo daleko do biskupa, ale skądże brać przykład, jeżeli nie z góry? Polityka jest mi całkiem obojętna, ale nie jest mi obojętny system, który zapewnia spokój i posiadanie tego, co mam. W dodatku system, który może pomnożyć mi osobiście to, co już mam. Bardzo cenne, niezbyt kłopotliwe, nie wymaga ją cudów. Raz do roku wybory władz i od czasu do czasu odczyty w miłym gronie na aktualne tematy, na miejscu, u nas w ministerstwie.

Koniec z pisaniem, woda już gotowa w wannie. Trzeba się śpieszyć, czeka mnie kolacja z teatrowiczami. Dzwonili, zmienili plany i zamiast do restauracji - do Anny Jambor przy ulicy Hortensji, inaczej: Wojciecha Górskiego.

Poniedziałek - 1 maja

Nocą jadę razem ze stryjkiem Juliuszem do Berlina. Sam się przymówił na tę podróż, powiedział, że to niedaleko i że nudziłoby mu się samemu w Warszawie. Może nawet lepiej, może Krystynek posłucha tym razem kogoś poważniejszego? Żoliborz wraca dopiero w czwartek w nocy, nadesłali nowy telegram, tym razem z Wiednia.

Sobota - 6 maja - w nocy

Straciłam ochotę do pisania. Piszę, ponieważ boli mnie głowa i nie mogę spać. Dokładnie za tydzień wyjazd do Belgradu. Naprawdę nie chce mi się jechać, ale trzeba. Mają wystawić mi nowy paszport, urzędowy, ze specjalnymi wizami. Nie wspomniałam o moim paryskim paszporcie, bo i po co?

Z Berlinem głupstwo. Krystynek głupi. Stryj Juliusz kładł mu do głowy, jak łopatą, ale nic nie pomogło. W środę po południu zjawił się w Berlinie gdański stryjek z bankowym Gardenem i również tkali mu rozum do głowy. Nic nie pomogło. Brat jedzie za kilkanaście dni do Ameryki, ale na placówkę dyplomatyczną. Jakiś tam zapasowy attache w Waszyngtonie, sam nie wie dokładnie, co będzie robił. Nowy rząd niemiecki zmienia obecnie ludzi na placówkach zagranicznych. Pewnie nasz Krystynek zostanie przy tej okazji niemieckim obywatelem. To wszystko głupstwo, razem z nowym nazwiskiem Krystynka. Przeprowadził wszystkie formalności i nazywa się obecnie: Christian von Jamsborck. Podobno wydał kupę pieniędzy na różne metryki i dokumenty, ale dopiął swego. Obecnie szaleje razem ze swoim niedoszłym szwagrem. Ten ostatni gra mi na nerwach ze swoją głupią miną pruskiego junkra i monoklem w oku. Awantura z siostrą w niczym nie osłabiła przyjaźni. Teraz obaj jadą na placówki zagraniczne, Hans - do Argentyny. Bydlak, ma denerwujący sposób mówienia, mówi mi obecnie: kuzynko. Obaj wmawiali we mnie nowe nazwisko, wykręciłam się dość dyplomatycznie, mówiąc, że i tak niedługo wyjdę za mąż, a zatem nazwisko jest dla mnie sprawą obojętną.

Na wszystkie perswazje obu stryjków Krystyn odpowiadał jak katarynka.

- Obecnie w Ameryce jest kryzys dolarowy i nowy krach ze złotem, lepiej zatem jechać tam w charakterze urzędnika dyplomatycznego.

Ale to nie przeszkodzi mojemu bratu domagać się od nas pieniędzy!

Na razie gdański stryjek przekaże Krystynkowi do Waszyngtonu tysiąc dolarów, za trzy miesiące następny tysiąc. Oba tysiące za moją poręką, poczciwy stryjek od razu powiedział Krystynkowi, że mamy sporo kłopotów ze spłatą Tuchołków. Ale co to jego obchodzi!

Niemiecki Hans „von” ma zamiar zrobić majątek w Argentynie. Nie wiem tylko, w jaki sposób można zrobić pieniądze na placówce zagranicznej. Pan Garden wspominał z przekąsem, gdy byliśmy sami, że takim typom pieniądze i szczęście lezie do rąk w sposób nieprzytomny.

- Ożeni się ze setką tysięcy argentyńskich krów i od razu stanie się milionerem. Na owo „von” jeszcze w dalszym ciągu łapią się ludzie w Argentynie i w Ameryce Południowej.

Może ma rację doktor Garden?

Na razie jednak obaj „vonowie” w brązowych mundurach są stale zajęci: nowe bogi germańskie ich absorbują. Co do mnie, to raczej zatrzymałabym się na gdańskim obywatelstwie i wyjechałabym do Chicago ze stryjkiem Juliuszem. Ale na upartych braci nie ma żadnej rady. Ta cała heca z niemieckim Mussolinim wygląda dziwnie na hura i po burszowsku. Mundury, pochody, orkiestry i nieustanne gadanie. Widziałam z dość bliska tego Führera. Jechał w odkrytym samochodzie, w towarzystwie kilkunastu innych samochodów. Kopia Mussoliniego. Na tego ostatniego prawie nie zwróciłam uwagi we Włoszech. Widocznie Cook nie uznał włoskiego dyktatora za dostatecznie interesującą pozycję podróżniczą i ograniczył się jedynie do ułatwienia wycieczki w celu zobaczenia papieża.

Natomiast Heinrich robi solidne wrażenie. Nie interesuje się w najmniejszym stopniu polityką. Marzy już obecnie o uzyskaniu miejsca w nowojorskim instytucie Rockefellera po odbyciu praktyki w Wiedniu. Bardzo to wszystko nie jest na rękę jego ojcu, ale nasz gdański stryjek rozumie pęd do nauki Heinricha i nie zawiązuje mu drogi życiowej interesami firmy drzewnej.

Wtorek - 9 maja

Krótką nowina: pana Faustyna Kruczka przytknęli w dniu pochodu pierwszomajowego. Wmieszal się do walki z policją, naturalnie policja zwyciężyła, jak zwykle na całym świecie. Historię opowiedział mi Marcin, który ma słabość do uczonego wymoczek i obecnie stara się o wydobycie go z aresztu i zatuszowanie całej sprawy. Wyleją go z posady w ministerstwie, ale i tak los obejdzie się bardzo łagodnie z wariatem. Stryjek znajdzie mu prywatną posadę i wetknie pewnie do ręki parę setek. Dziwna polityka, ale to wszystko jest właśnie w stylu naszego Marcina, który krótko przed wyjazdem za granicę dał na przykład anonimowo trzysta złotych na MOPR. Powiedział mi przy tej okazji, że to jest największe głupstwo, iż nasz rząd tak samo jak endecja czuje zoologiczną nienawiść do komunizmu. Komuniści przeszli w Polsce do podziemia i obecnie drążą grunt w podobny sposób jak woda, która drobnymi szczelinami przenika wszędzie. We właściwym a dogodnym czasie taka właśnie podskórna woda komunistyczna może przyprawić nas o wybuch rewolucji. We Francji postępują mądrze, tam pozwalają komunistom działać jawnie i mając ich na oku, osłabiają tym samym ich potencjał, leżący w konspiracji.

Co do mnie, to stryj uśmieł się serdecznie, gdy wspomniałam o wstąpieniu do BBWR, i wypytywał w komicznie poważny sposób, jak obecnie zamierzam kontynuować moją karierę ministerialną. Według niego ja zaczęłam od razu od tego, na czym właściwie kobiety kończą swoje urzędnicze kariery. Zgadzam się ze stryjkiem i nie rozsądza mnie chorobliwa ambicja. Na co mi potrzebna właściwie kariera czy stanowisko urzędnicze? Obecnie jestem pod wpływem stryja Juliusza: *business* i jego prorok, dolar amerykański! Ale w gruncie rzeczy Marcin był zadowolony z mojej samodzielności i decyzji.

Środa - 10 maja

Nieoczekiwany przyjazd dziedziców z Górek. Bardzo miło. Przyjechali samochodem i umieścili się na Żoliborzu.

Czwartek - 11 maja

Przyjechał wujcio Benedykt. Kwiaty, czekoladki, drobne prezenty. Dzisiaj wieczorem z fundacji wujcia - całą paczką w „Bristolu”, właśnie stamtąd wróciłam przed chwilą.

Piątek - 12 maja

Marcin dopiął swego. Pana Kruczka wypuścili z aresztu. Stryj wysłał go na swój koszt do Zakopanego, aby ochłonał po denerwującym przeżyciu. Dla mnie to wszystko jest nieprzyjemne, ponieważ Kruczek przyczepił się do stryjka opowiadając mu o Poznaniu.

Dzisiaj doręczono mi służbowy paszport zagraniczny. Jedziemy na Wiedeń i Budapeszt. W ostatniej chwili doczepiono do ekipy wicedyrektora naszego departamentu. Nie wiadomo po co, ale trudno. Jeden więcej galicyjski doktor obojga praw, jak oni się tam wywodzą ze swoich uniwersytetów...

W podróż biorę dwie spore walizy i nesaser. Czekają mnie bite dwa tygodnie. Tymczasem mój trzeci egzamin prawniczy w polu. Psiakrew! Bardzo rzadko wypisuję to ponętne męskie powiedzonko, ale jakoś mi z tym lżej. Nawet w tym wypadku nie stenografuję. Zabiorę z sobą paczkę skryptów najgorszych do strawienia. Może?

Sobota - 13 maja - w biurze

Masz, babo, placek! Nad ranem zbudziła mnie Zośka. Też miała kiedy się wybrać. Zostaje kilka dni. Stryjek będzie miał towarzystwo. Przynajmniej dobrze, że Zośka przyjechała bez żadnych kłopotów. Jakoś w Wąbrzeźnie wszystko kręci się w sposób normalny. Pieniądze naoliwiają tryby życia i nie dopuszczają do rdzewienia. Natomiast szczęście pełni rolę sprężyny w zegarku, a dowcip jest jakby owym włosem, który aczkolwiek wiotki i misterny, decyduje jednak o wszystkim. Co do wąbrzeskiego zegara, to masywny jest i solidny, na starą modę z wagami, a takie rzadko się psują.

Mam chwilę wytchnienia w biurze, ponieważ zostawiam prawie czyste biurko, bez zaległości, a mój personel również jest nakręcony i działa bez zarzutu. Obaj dyrektorzy wywiali gdzieś na miasto, a przez mój pokój przewaliła się już fala znajomych gryziółków i biurowych siusiumajtków. Wszyscy naturalnie winszowali, dziwowali się, no i rzecz prosta - każdy mi zazdrościł, jedni cicho, inni głośno.

Ostatecznie z naszego ministerstwa jadą trzy osoby, z przemysłu i handlu cztery osoby oraz jacyś dwaj panowie bez określonego przydziału, podobno doradcy z kół handlowych. Marcin mówił całkiem otwarcie, że jadą na rządowy koszt załatwić w Jugosławii swoje własne interesy. Dowódca naszej wyprawy zabiera z sobą siostrę żony. Jeszcze jej nie widziałam, napatrzę się jednak do woli, ponieważ będziemy dzielić przedział w sleepingu. Tylko nie wiem, dlaczego to siostra żony, a nie sama żona? Ale to i tak obojętne. Siostra nie siostra, dobrze już znam takie siostry w naszym ministerstwie...

To wszystko jest zgrana paczka, wszyscy się znają i należą do jednej ferajny, stały komplet do jeżdżenia za granicę, z wyjątkiem naszego „wice”, którego nie wiadomo dlaczego tym razem wysyłają. Ciekawa jestem, jak to będzie z kwestią mieszkania, mówili, że nasze poselstwo miało postarać się o porządny pensjonat. Zobaczymy. Co do mnie, mam zamieszkać osobno, w gościnie u jednego z urzędników naszego poselstwa. Jego żona należy do rodziny siostry naszego generała, krewna jej męża. Ręka rękę myje. Generał dla nich w Warszawie, oni dla mnie w Belgradzie. Zobaczymy.

Na razie kończę. Nic mnie już nie trzyma w biurze, będę mogła całkiem spokojnie opuścić wcześniej ten przybytek.

Niestety, za godzinę wraca do biura nasz dyrektor, pragnie mnie widzieć, właśnie telefonował z miasta.

Ciekawa jestem, jak wygląda ta wydra, czyli siostra żony naszego dowódcy. Ciekawa jestem, czy taka „siostra” mieści się również w rachunku urzędowych kosztów naszej wyprawy. To przecież nie jest trudne do zrobienia, zawsze bowiem taki „fisz” dostaje coś ciepłą rączką na tak zwane dodatkowe koszty. A zresztą diabli mi do tego. Na wszelki wypadek zabieram dwie studolarówki. Tym razem bez żadnego trudu i bez łamania sobie głowy. Przecież nie będą nas rewidowali! Zawsze lepiej mieć z sobą pieniądze. Generałowa wspominała o tym, że - w wypadku wypadku - będzie można pożyczyć sobie u naszych w poselstwie, ale to jakoś nie wypada. Lepiej chodzić własnymi drogami, to pewniejsze i przyjemniejsze. W dodatku - dla kobiety.

Telefon naszego dyrektora zatrzymał mnie, gdy już byłam ubrana i gotowa do wyjścia. Ma mi powiedzieć coś ważnego - jeszcze przed wyjazdem. Te galicjaki mają specjalne zdolności do nadawania sobie tonu, każdemu z nich wydaje się, że tylko on jeden jest mądry i najmądrzejszy. Nadęte dziadostwo i sakramenckie centusie, najgorszy gatunek to właśnie krakowiacy! No, trudno - w każdym razie nie wyszłabym za mąż za jakiegoś galicjaka...

Już. Wróciłam do mojego pokoiku. W moim biurze pusto. Usiadłam i wzięłam do ręki ołówek, by ochłonać. A to głupie bęcwały! Mój starszy galicjak zaczął opowieść od tego, że to jest tylko taka przyjacielska i koleżeńska rozmowa ze mną. W końcu dowiedziałam się, że nasz „wice” rozwodzi się, sądziłam, że już rozwodnik.

A co mnie, do licha ciężkiego, to wszystko obchodzi? Słuchałam wywodów dość zimno, lecz wstrzymałam się od jakichś konkretnych wypowiedzi. W drugiej połowie tej arabskiej historii - dowiedziałam się, że nasz wicedyrektorek... jest na najlepszej drodze do kariery, że... reprezentuje dobry materiał na męża... i tak dalej. Sytuacja prosta, jak drut. Co do kariery, to jedna grupa wyżej ode mnie i coś tam więcej dodatku. Akurat mnie czarować urzędniczą karierą! Szkoda, że nie było pod ręką naszego amerykańskiego stryjka, ten byłby mu coś powiedział na temat naszych dygnitarzy - za trzy grosze.

Jakoś się rozstaliśmy. Z uśmiechami. Galicyjski doktor upajał się własnymi słowami i patrzył w sufit, ja na przemian przyglądałam się opowiadaczowi oraz końcom moich paryskich pantofelków, które przywiozła mi Florencja. Głupstwo. Wicedyrektorek może ożenić się z siostrą naszego wiceministra, to mu lafirynda zmaże w posagu „wicka”, a może coś przyniesie gotóweczką w pończosze, o ile sobie odkładała. Mogę mu gratisowo pośredniczyć, ponieważ obie pojedziemy we wspólnym przedziale.

A to dobre! Dałam jednak do poznania mojemu dyrektorowi, że na razie nie ustaliłam jeszcze swych planów na najbliższą przyszłość. Powiedziałam, że namawiają mnie do wyjazdu za granicę i do całkowitego zlikwidowania interesów w Polsce. Stary zrobił wielkie oczy, widocznie nigdy w życiu nie przychodziły mu na myśl podobne pomysły czy możliwości. Mówiłam:

- Zasadniczo nic nie zatrzymuje mnie w Polsce, a na szerszym świecie można by się jakoś lepiej i weselej urządzić.

Nie zrozumiał tego, widocznie jest zbyt tępy, natomiast entuzjasmował się: moim mieszkaniem, moim majątkiem, moją samodzielnością, moimi znajomościami i moją rodziną. I wszystko - tak od razu rzucać?

Rozmowę zakończyłam na wesoło, mówiąc, że to wszystko można sobie też odtworzyć czy stworzyć gdziekolwiek za granicą, według własnego wyboru i dowcipu. I tego nie pojął. Mężczyznom na ogół wydaje się zawsze, że wystarczy położyć się do góry brzuchem pod drzewem własnej zarozumiałości i całkiem zwyczajnie otworzyć usta na to, by bogate i wygodne partie małżeńskie same wpadały im do buzi. Głupstwo. Małżeństwo z wymacerowanym wymoczkim. To samo można by uzyskać z takim sobie wujciem Benedyktem lub ze starym doktorem z Poznania, ale z dodatkiem o całe niebo lepszego

wychowania, o reszcie już nie wspominając. Lepszy bowiem jest już całkiem stary mężczyzna niż zblazowany średniolatek. Tamci nie mieliby chimer, ten zaś usiłowałby zgrywać się z nawrotami młodości. Powinni sprzedawać protezy umysłowe dla wicedyrektorów departamentów ministerialnych. Takim powinno być wolno poślubić jedynie stare wyranżerowane pudła.

Co do mnie, myślę nadzwyczaj szybko, życie zaostrzyło we mnie instynkt spostrzegawczy i zabezpieczający. Głupiec. Kręcił nawet koło tego, aby wysondować u mnie, co myślę na temat rozwodów. Oni jeżdżą obecnie na wileńskim koniku prawosławnym. Prawosławni rozwodnicy. Jak dalej tak pójdzie, to wyznanie prawosławne mocno podskoczy w urzędowych statystykach ludnościowych! Trzeba było wmówić w profesora Nadobnika inny temat dyplomowy: wpływ rozwodów w Polsce na fluktuacje wyznaniowe. Zawsze byłoby to wdzięczniejsze niż moja statystyka śmiertelności...

Ale dość tego. Co do mnie, to jeszcze nie wyjechałam z Warszawy, a już pragnęłabym, aby te dwa tygodnie przeleciały jak najprędzej.

Kto wie, czy nie rzucę tego kramu po powrocie. To właściwie nic nie daje, jedynie przywiązuje do biurka, szpargałów urzędowych itp. Bzdury, dobre dla kogoś, kto musi zarabiać na życie tylko w takim charakterze, bo nic innego nie potrafi. Ale koniec, już się uspokoiłam. Do domu. Dzisiaj u mnie galowy obiad pożegnalny, pewnie z dziesięć osób.

W pociągu

W nowym bloczku - pierwsze słowa. Moja towarzyszka sama wybrała dolne łóżko, tym lepiej. W chwili obecnej wyszła z przedziału, a ja notuję krótko. Taka sobie, w nieokreślonym wieku, może źle utrzymana trzydziestka, może dobrze pielęgnowana czterdziestka, brak pod ręką pana Balzaka od tych specjalności. Wieczór w dodatku i słabe światło w przedziale. W każdym razie niska, z obfitym bufetem. Dwóch zgłodniałych nawet mężczyzn mogłoby się równocześnie pożywić. Twarz raczej blada, mało przypudrowana, bez jakiegoś charakterystycznego wyrazu. Różnie bywa, czasami właśnie takie są najgorsze, nigdy nie wiadomo. Koniec z pisaniem, zamykam torebkę. „Wice” słodki jak lukrecja, usiłuje się mną opiekować! Był zdziwiony, gdy przybyłam z moim towarzystwem w pełni gali i pod dobrym gazem. Trzy samochody, jedenaście osób. Spotkaliśmy go przed dworcem, gdy nadjechaliśmy. Pięć wiechci róż w bibułkach i sześć pudełek Wedla. Próbował utrzymać się przy moim boku i robić coś w rodzaju *compagnona*, ale jakoś mu się nie udawało, moja rodzinka zepchnęła go na dalszy plan. Wujek z Chicago, z cygarem w ustach i zatrząsieniem różnych paczuszek. Dobranoc, Anno!

Wiedeń - niedziela

Towarzystwo się rozlaźło, każdy na własną rękę, z punktem zbornym na dworcu. Za dużo wrażeń. Z autokaru obejrzałam sobie miasto. Smutne. Widocznie stary cesarz dodawał mu uroku. Dobrobytu nie widać, za to dużo czcigodnych murków, jak by powiedział imć pan Zagłoba. Raczej bieda. Najważniejsze, że zdołałam urwać się mojemu kandydatowi na opiekuna. Wyszedł z wagonu razem z wiceministrem i to było mi na rękę. Uciekłam. Skinęłam na tragarza, bagaż, przechowalnia i hyc przed dworzec. W taksówczkę i koniec. Obecnie wypoczywam po zwiedzeniu miasta, siedzę w małej kawiarence i przyglądam się niedzielnemu ludkowi. Podobnie jak u nas w Warszawie, ci, co chodzą do kawiarni, zawsze są wystrojeni i zadowoleni z siebie. Głupie miny są takie same na całym świecie.

Poniedziałek - 15 maja

Belgrad. Na samym wstępie mocne: psiakrew. A tymczasem trzeba zęby zacisnąć i nie można położyć się do łóżka, jak za dobrych poznańskich czasów. Cały dzień wypełniony, ani jednej wolnej godziny. Podobno tak ma być przez całe dwa tygodnie. Nie wierzę w to, zwykle

mydlenie oczu gorliwością na pokaz. Kobieta ma gorzej w życiu. Mężczyzna gdy dostanie kataru, to kicha, obwija się szalikami, kładzie do łóżka i pije ziółka. Wszyscy troskliwie dopytują się o jego cenne zdrowie. Ale to głupstwo. Godzina jedenasta. Boli mnie głowa i krzyże. Ze snem będzie źle.

Notuję bardzo krótko. Wiceminister i siostra jego żony - naturalnie w gościnie u naszego pana posła. Męskie towarzystwo z naszej trupy wędrownej umieściło się w wiedeńskim pensjonacie, prowadzonym przez austriacką baronową, a jedynaczka, to znaczy ja, w gościnie u attache handlowego, którego żona jest krewną Wirewiczów. Bardzo gościnni ludzie. Koło niego właśnie będzie kręciła się nasza zagraniczna afera. Podobno wzajemne obroty z każdym rokiem spadają i właśnie my mamy je ożywić i naprawić. Obie strony liczą na nas.

Bardzo miły pokój. Naturalnie stara serbska egzotyka. Dwoje, służby, kucharka i pokojówka, kraj taniej pracy i braku pracy. Wnętrza w stylu serbskich wyszywanek. Nie pasjonuję się sztuką stosowaną, regionalną i kilimami, nie przemawia to do mojej wyobraźni. Takie rzeczy opatrują się po kilku miesiącach. Z haftami również ostrożnie, nie za wiele.

Moja gospodyni bardzo miła, kumoszka żywcem przeniesiona z kanapy w dużej „Ziemiańskiej”. Pan domu wygląda na spryciarza, to dobrze. Na dworcu było trochę oficjalności, ale jakoś przeszło, bez specjalnego bólu. Mój wicedyrektor plasował się na pierwszym miejscu podczas zdjęć. Pchła na końcu szpilki. Obiadem podjął nas pan poseł u siebie w prywatnym mieszkaniu, kolację zjadłam w małym gronie u moich gospodarzy. Wszystko byłoby jakoś, gdyby nie moja głupia kobiecość... nie w porę.

Wtorek - 16 maja

Prawie cały dzień spokojny. Impet pierwszego dnia nie trwał długo. Odpoczynek. Główne fisze konferowały w zaciszu apartamentów poselstwa przy Milosa Velikog 4, a drobne plotki miały wolne. Nie znaczy to, żebym mogła sobie poleżeć, ponieważ już podczas śniadania zjawił się u nas nasz „wice” i trzeba było później oprowadzać przyjezdną małpę po terenie miejscowego zoologu. Dopiero po obiedzie odczepiłam się od niego. Przymówił się bowiem i moi gospodarze zaprosili go na obiad. Nudny, szkoda opisywać.

Belgrad to takie sobie małe miasteczko.

W przyszłym tygodniu, od 25 do 27 będzie obradował w Raguzie światowy kongres Penclubu. To dosyć daleko, prawie czterysta kilometrów, i na pewno nic z tego dla mnie nie wypadnie. Szkoda, przy okazji można by obejrzeć sobie to ciekawe miasto. Może i najciekawsze na terenie tego naprędce skleconego królestwa. Ale trudno. Belgrad, co prawda, również jest bardzo starym miastem, w czasach rzymskich nazywał się: Singidunum.

Co do reszty, to zostałam dostatecznie uświadomiona już w naszej Warszawie. Oni mają również ujemny bilans handlowy i sprowadzają z zagranicy materiały wełniane i bawełniane, wszelkiego rodzaju maszyny, urządzenia elektryczne, aparaty, nawet mało skomplikowane, towary żelazne, tabor i urządzenia kolejowe, w końcu takie artykuły, jak węgiel, żelazo, jedwabie. Wywóz reprezentują: drzewo, jaja, pszenica, świnie, miedź, bydło rogate, chmiel, mięso, cement, owoce świeże oraz śliwki suszone. Stosunki handlowe z Włochami, Austrią, Czechosłowacją, Niemcami, Węgrami, Anglią, Francją i Stanami Zjednoczonymi. Z nami bardzo słabe. Nasz import od nich wynosił w latach: 1928 - niecałe jedenaście milionów złotych, w roku 1929 - siedem i pół, w roku 1930 - pięć i pół, w roku 1931 - sześć, w zeszłym roku nieco lepiej, gdyż siedem milionów i czterysta tysięcy złotych. W tych samych latach nasz eksport do nich również zmalał: z 25 milionów w roku 1928 - do niespełna 12 milionów w roku ubiegłym.

Notuję to wszystko jak sztubak szkolne wypracowanie, ponieważ akurat dla zapamiętania czy przypomnienia rozdano nam dzisiaj coś w rodzaju biuletynu informacyjnego w tym celu, aby równo i jednakowo informować naszych partnerów o

dalszych możliwościach wzajemnego powiększenia wymiany handlowej. Podobno u nich te - cyfry wyglądają inaczej, ponieważ pomiędzy Belgradem i Warszawą kręca się po drodze różni komisanci, oszuści i celni aferzyści. W wielu wypadkach zatarte jest pochodzenie kraju, tak w eksporcie, jak w imporcie. Falszywe deklaracje celne i wędrowka już nie tyle martwych dusz, ile treści deklaracji celnych - zacierają prawdziwy obraz. A nasza kochana Jugosławia to przecież tylko miniaturowy dalszy ciąg - carskich łapówek i chciwej na prowizję rządowej biurokracji. Nowe państwo, nowe apetyty i szybszy bieg różnych machlojek. Niesławnej pamięci Czyczykow, zdublowany w swej jugosłowiańskiej postaci, nie tyle nad modrym, ile nad silnie podobno dzisiaj ufortyfikowanym Dunajem.

Nam chodzi o to, aby jak najwięcej wywieźć i aby za ten wywóz otrzymać walutę, chociażby nawet niezbyt silną. Co wywieźć - to dopiero pytanie.

Chyba skończę na tym moje dzisiejsze zwierzenia wobec bloczka do stenografii. Wypada jednak dodać, że kwiaty w Belgradzie prawie nic nie kosztują i mój potencjalny adorator niezbyt zrujnował się na róże dla mnie. Brak mu jednak kindersztuby i popełnił nietakt: nie przyniósł kwiatów dla mojej gospodyni. Widocznie woły zdarzają się pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Poprosiłam pokojówkę o flakon, po czym umieściłam w nim moje róże i postawiłam je w pokoju stołowym ze słowami:

- Dziękujemy panu, dyrektorze, za piękne kwiaty dla nas.

To naturalnie było przeznaczone dla moich gospodarzy, ponieważ ministerialny samochówek nie połapał się w sytuacji. On rozumie jedynie treść tych okólników, które sam płodzi, a z innymi przepisami jest już znacznie gorzej.

Jeszcze jedno: język serbski jest łatwy do opanowania, naturalnie z wyjątkiem słów specjalnych. Jakoś idzie ze służbą, nasza pokojówka również połapała już wiele polskich słów. Zobaczymy, jak jutro pójdą rozmowy z Serbami. Mój gospodarz zapewnia, że stara gwardia urzędnicza mówi po niemiecku i po rosyjsku, ale młode lewki szczebioczą już tylko po francusku. To edukacja wiedeńskich „Maximów” oraz francuskich lupanarów, ale na jedno wychodzi, grunt, że można się rozmówić. Zobaczymy, zobaczymy...

Środa - 17 maja

Okresowa chandra kobieca już przeminęła. Dzisiaj była w dalszym ciągu laba. Pierwsze posiedzenie zostało wyznaczone dopiero na jutro po południu. W dużym gronie. Mam polecenie zastenografować możliwie jak najwięcej. Tylko dwóch naszych panów mówi po rosyjsku, jeden bubek z Ministerstwa Przemysłu i Handlu oraz jeden z zabranych przez nas doradców handlowych. Z francuskim gorzej, wszyscy mówią słabo, z wyjątkiem delegata z MSZ. Podobno ustalono, że na ogólnej konferencji wstępnej każda ze stron będzie mówiła własnym językiem, a co nie będzie zrozumiałe, to przetłumaczą specjaliści tłumacze, mój gospodarz i jakiś serbski urzędnik, mający Polkę za żonę. A ja z bloczkiem. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Tylko tyle, że po konferencji czeka mnie dodatkowa praca: protokół czy też jakiś rodzaj wyczerpującego sprawozdania. Ale już mi przydzielono maszynistkę z poselstwa, nie mam zamiaru własnoręcznie stukać na maszynie. Magister ekonomii i etatowy radca ministerialny nie powinien robić brudnej konkurencji aniołkom od remingtona.

A teraz ciekawsze sprawy. Dzisiaj bujałyśmy po mieście z moją gospodynią. Nie taka ona głupia, jak się wydawało na pierwszy rzut oka. Umie chodzić koło interesów i zdaje się, że jej głowa dorabia to, na co nie wystarcza pensja jej męża, mimo pozornej taniości w Belgradzie. Kobięciatko z główką na karku, umieszczoną we właściwym miejscu. Mąż również jest już handlowo oszlifowany. Tutaj panuje taki układ sił, że poseł myśli tylko o karierze, jego żona o salonach, natomiast moi gospodarze rozmyślają wyłącznie o interesach.

Wyszywanek na pewno nie kupię, poza dwoma tuzinami drobnych prezentów. Dla siebie osobiście trzeba będzie rozejrzeć się za czymś realniejszym. Nowa znajoma namawia mnie na początek, bym kupiła coś w rodzaju futrzanej bekieszy, ze skórą na wierzchu. Tak

zwana kibić - co za śmieszne wyrażenie z Sienkiewicza? - obcisła do figury, natomiast spódnica mocno kloszowa, obszerna i sfałdowana. Nie żałują skórek. Raczej do kostek niż do kolan. Barany miękkie, w kolorze srebrnym, takich u nas się nie widuje, kołnierz i odpowiednia czapka albo z tych samych serbskich baranów, tylko bardziej skręconych, albo prawdziwe popielato-srebrne karakuły. Bekiesza na nasze warunki bardzo tania, natomiast kołnierz i generalska czapka bardzo drogie, prawie tyle, co sama bekiesza. To - jakby guziki w cenie ubrania, a to dobre!

W dwóch składach futrzarskich obejrzeni bystrym okiem moją figurkę - chyba fi-gu-rę, moja Anno? - i mają przysłać nam do wyboru kilka takich kreacji. Obecnie u nich ogórkowy sezon i niskie ceny.

Z biżuterii - nic specjalnie pociągającego. Tutejsze kobiety kochają się w barbarzyńsko ciężkich klejnotach, Żydówki w perłach i ruskich kokosznikach, wyszywanych perłami, a Serbki dodatkowo w ciężkim złocie. Obwieszają się złotymi cekinami, nie ma przesady w opowiadaniach. Oglądałyśmy również biżuterię w guście paryskim, ale wszystko w cenie powyżej tysiąca dolarów. W tym kierunku trudno z zakupami. Może byłoby cokolwiek łatwiej dla pewnych dam, ale podobno jest silna konkurencja... Nie pretenduję, być może dlatego, że posiadam własne dobra materialne oraz wszystkie pierwsze i ostatnie dni w miesiącu przechodzą mi gładko, bez zmyru spłacania rat za meble, suknie i tak dalej.

Dzisiaj już jakoś weselej patrzyłam na świat. Nawet mój głupek ruszył dowcipem i powiedział mi familiarnie:

- Dzisiaj jest pani weselsza, pani Anno.

Głupie gadanie. Odpowiedziałam mu słodko-cierpko:

- Bolały mnie zęby, panie... dyrektorze.

Nie połapał się - uwierzył.

Czwartek

Ciężki dzień. Pięć godzin w dymie i gwarze, ponad dwadzieścia osób. Później trzy godziny dyktowania w biurze. Do domu wróciłam dobrze po północy. Bardzo uprzejmi gospodarze czekali na mnie z kolacją. Obecnie już prawie druga godzina, ale jutro spotkanie dopiero o dziesiątej. Moją pracę zostawiłam w dużej kopercie w poselstwie, doręczyłam ją dyżurnemu urzędnikowi. Dla fasonu oblakowałam pięciu pieczęciami i wycisnęłam na nich herb rodziny von Rosenschwerth. Zaadresowałam do naszego wiceministra.

Piątek

Moja nocna praca chwyciła. Nie spodziewano się takiego pośpiechu. Wydaje mi się, że z całego towarzystwa tylko ja jedna wykonałam wczoraj coś pozytywnego. Trochę inaczej patrzam na mnie. *Inter caecos monoculus rex est*. Przysłowie sprawdza się na mnie. Wydaje mi się, że jeszcze trochę wprawy, a przy następnej okazji zagranicznej mogłabym za gotowe pieniądze sprzedać kilku naszych panów. Na przykład gdyby mnie wysłano do Abisynii, byłaby szansa sprzedania ich w charakterze eunuchów do haremu jego cesarskiej mości.

Dzisiaj od południa laba po wczorajszym wysiłku. Mój „wicek” opowiada, że u góry toczą się jakieś poufne rozmowy, ale to wszystko głupstwo. Ta cała góra, nasza i miejscowa, po wczorajszej konferencji obradowała podobno dalej w jakimś zakonspirowanym kabarecie: tylko dla znawców. W związku z tym odwołano dzisiejszą konferencję.

Siostra żony prawie niewidoczna, chodzi własnymi ścieżkami, a w niedzielę wyjeżdża do Dubrownika. Krzyżyk na drogę. Myślałam, że to jakaś ministerialna wydra, a tymczasem zwykły domowy kulfon rodzinny. Podobno panna - mimo obszernego biustu.

Kuśnierze już przysłali swoje kreacje do naszego mieszkania. Każdy po pół tuzina. Nie spieszy mi się, moja gospodyni radzi przetrzymać ich do czasu, gdy sami się przypominą. Jak ona dobrze zna tutejsze stosunki! Mogłaby służyć w poselstwie jako doradca handlowy. Na

razie mam jej zabrać do Warszawy jakąś paczkę. Można, a nawet trzeba. Rewizji celnych prawie nie było. Jakieś formalne pytania i na tym koniec. Gorzej podobno jest na naszej granicy, ale i z tym można sobie jakoś poradzić. Gotóweczką. Kropka. Nie piszemy nic więcej. Nic dziwnego, że później statystyki są zamużone drobnymi niedokładnościami...

Dzisiaj poznałam jegomościa nazwiskiem: Gregor Zajlicz. Poliglota w wieku nieokreślonym, podobno Serb, mocno podobny do Żyda, moja gospodyni mówi, że z jego serbstwem to tylko zmiana koniunkturalna. Dawniej podobno nazywał się inaczej. Robił interesy w cesarskim Wiedniu. Jego ojczyzną jest zapewne całe wybrzeże Morza Śródziemnego, po prostu Lewantyńczyk, a to już samo mówi za siebie. Spryciarz. Dobra pięćdziesiątka, orli nos, krucze włosy, z lekka skręcone oraz przyprószone siwizną na skroniach, palące oczy, pięciokaratowy soliter na palcu w grubym złocie. Mocno wypomadowany. Poza tym wizytowy czarny garnitur z lakierkami, nieskazitelna biel kołnierzyka i mankietów. Chytraść i pewność siebie. Lew, który zostawia drobne kości dla hien, wlokących się w jego królewskim orszaku. Handluje wszystkim, byle zarobek wyrażał się w grubych cyfrach. Wydaje mi się, że u niego nie byłoby trudno o decyzję sprzątnięcia kogoś niewygodnego. Fachowców w tym kierunku podobno tutaj nie brakuje. Wszystko noże i rewolwery. Oni mają to po swoich królach.

W każdym razie znajomość do zrobienia jakiegoś interesu. Ciekawa jestem, co wymyśli mój gospodarz?

Sobota - wieczorem

Jutro w niedzielę wycieczka. Jedzie całe towarzystwo, polskie i serbskie czy belgradzkie, sama nie wiem, jak określić tych ostatnich. Serbscy urzędnicy lub po prostu biurokraci, dobrzy dla wszystkich kolejnych panowań. Trzydzieści kilometrów od Belgradu jakieś ruiny, obiekty do zwiedzenia i majówkowy obiad u jakiegoś arystokraty, który zabawia się polityką. Podobno posiada już nasze ordery i firmuje w swojej ojczyźnie serbskie sympatie dla Polski. Pan Gregor Zajlicz jedzie również, moja gospodyni mówi wyraźnie, że oni wszyscy siedzą u niego w kieszeni.

Poniedziałek - wieczorem

Wczoraj nie napisałam ani jednego zdania. Zatkąło mnie, ponieważ kandydat nie wytrzymał i korzystając z rozgardiaszu wycieczkowego, oświadczył mi się na niedzielnej wycieczce, prawie w stylu powieściowym. Orzeszkowa - Rodziewiczówna - Helena Mniszek, wszystkiego było po trochu.

Stało się to na tarasie z kamiennymi ławami, pamiętającymi zapewne bardzo stare czasy tureckie. Naturalnie do kamiennych ław przybyło moje kamienne serce. Nic z tego. Powiedziałam mu zimno, bez najmniejszego uśmiechu, że dzielą nas różnice upodobań. Mówiłam o tym, że mam zamiłowanie do wsi i prawdopodobnie wyjdę za mąż tylko na wieś. Głupio to wyglądało, całkiem tak, jak by się dobierało na przykład męża do koloru obicia na meblach w salonie. Ale rzekło się i trudno było się wycofać. Przekonywałam go naturalnie, że ma upodobanie w ministerstwie i że przy jego zdolnościach czeka go kariera. Odciągnęłam go w ten sposób od wypowiedzenia słów o gotowości porzucenia dla mnie biura i osiedlenia się na wsi - naturalnie w ramach moich możliwości majątkowych albo też przy pomocy mojej wiejskiej rodziny. Wszystko odbyło się grzecznie. Ubranie konkurenta było znośne, w kawowym kolorze - którego nie lubię! - spodnie jaśniejsze od marynarki, w rodzaju flaneli wełnianej. Jasny krawat z perłą! Panama całkiem nowa, widocznie już miejscowy zakup zagraniczny, przeschmuglowany z Włoch. Nawet pierścionek na palcu, widocznie na wszelki wypadek, to znaczy murowana pewność siebie.

Jakoś kwaśno mu było. Potraktowałam z początku całą rzecz poważnie i solidnie, nie wytrzymałam jednak i pod koniec, gdy ugłaskałam już jego ambicję, puściłam jakby próbny

balon i zwróciłam jego uwagę na pannę Klarę, siostrę żony naszego szefa. Nic nie odrzekł, uśmiechnął się jedynie jakoś boleśnie i rzekł mi dopiero po dobrej chwili:

- To jest inaczej, aniżeli pani sobie wyobraża, pani Anno.

Widocznie źle utrafiłam z tą siostrą, ale prawdy dowiem się dopiero w Warszawie. Koniec opowieści - koniec przygody. Humoreskę zachowałam na sam koniec. Gospodarz wspomniął mi dzisiaj podczas obiadu, że już szykują dla nas jugosłowiańskie orderzy. Jeszcze do niczego nie doszło, a już orderzy! Ale cóż robić, to są tylko Bałkany...

Czwartek - 25 maja

Trzy pracowite dni. Posiedzenia, konferencje, stenogramy, obiady oficjalne, przedstawienia w operze, wspólna kolacja w restauracji na koszt naszego poselstwa. Wszystko dla mnie nieważne.

Zdecydowałam, że oprócz mojej bekieszy zakupię taką samą dla Leokadii. Myślałam również o Florencji, ale to nie jest w jej guście. Bekiesza to wieś, polowania i sanna. Figura wiejskiej ciotki jest mi znana. Leokadia dużo dla mnie zrobiła, a z prezentami dla niej było zawsze krucho. Dobry pomysł.

Wstępne rozmowy z panem Zajliczem. Co w Warszawie dla niego, co dla mnie w Belgradzie. Moim gospodarzom wspomniałam o Gdańsku, Paryżu i Szwajcarii oraz o Chicago. Naturalnie ogólnie, to znaczy bez nazwisk, ale: drzewo, chemia i kredyty, to znaczy Gdańsk i Londyn, Paryż i Genewa. Od razu wyglądało, że nie wypadłam sroce spod ogona. Co prawda pan Zajlicz z lekka przymrużył oczy, gdy wspomniałam o bliskim stażu mojego braciszka w niemieckiej ambasadzie w Waszyngtonie. Nie uszło to mojej uwagi i z mojej strony odwdzięczyłam się lekkim wydęciem warg. Zagadał - facet jest ma poziomie. Nie posiada żony, podobno utrzymuje jakąś miejscową tancerkę.

Chyba coś z tego wypadnie.

Tymczasem nasz pobyt przedłuży się podobno o dalszy tydzień. Obie strony zbierają dodatkowe materiały. Dużo ochoty, mało możliwości, konkurencja cen światowych, nasze ceny są zbyt wysokie przy zasadniczych pozycjach towarowych. Na razie telefony i szyfrowane depesze w obu kierunkach. Mam moc roboty.

Sobota - 27 maja

Jutro majówka - każdy na własną rękę. Podobno nasi panowie porobili już kobiece znajomości, również każdy na własną rękę. Mój „wice” bardzo uprzejmy, lecz milczący. Widocznie w samotności przeżywa czy też przeżuwa przegraną. To znacznie gorsze od przegranej w brydża. Brydż - to parę złotych, a odmowa małżeństwa - to coś w rodzaju suszy czy gradu dla rolnika. Zawiedzione nadzieje i przekreślone marzenia.

Już mam obie bekiesze. Jedną przewiozę gładko, drugą wcisnę któremuś z panów. Zresztą zobaczę, jak to będzie z powrotnymi tobołami. Wydaje mi się jednak, że nie będzie dużych zbytków, ponieważ diety zagraniczne wyliczono nam bardzo skąpo, a nie wszyscy pomyśleli o zabranii czegoś więcej. Wydałam już jedną setkę oraz trochę biurowych dinarów. Prawda, że utrzymanie nic mnie nie kosztuje, trudno będzie nawet myśleć o jakimś rewanżu na miejscu, wypadnie odłożyć to do warszawskich okazji.

Majówka na wsi. Tym razem prywatna impreza: pana Zajlicza. W towarzystwie - jego przyjaciółki, wczesnym rankiem, a powrót przed wieczorem, ze względu na występy taneczne *mademoiselle*... W tym kraju można pozwolić sobie na cokolwiek, to do niczego nie zobowiązuje.

Niedziela

Było bardzo miło. Francuzka z Paryża. Bałkańska stolica jako przystanek na drodze kariery życiowej. O ile jakiś Zajlicz się z nią nie ożeni, na starość wyląduje albo z dwoma

kotami na paryskim poddaszu, albo w jakimś zamtuzie na bliskim wschodzie. Belgrad leży akurat na połowie drogi. Co do mnie: *bonne chance*, miła dziewczyno. Tak jej wypadło akurat w życiu: kabaret, a nie uniwersytet z ekonomią polityczną. Dla jednych kariera z ołówkiem w ręce, dla innych szpagat na deskach teatralnych. Zwykła loteria i nic więcej. Co do *gaspardin Gregora*, jutro czy pojutrze weźmie na utrzymanie nową *mademoiselle*, ponieważ taki jest zwyczaj w jego sferze. Tutaj w dodatku bogactwo mierzy się według stopy życiowej utrzymanek. Gdzie indziej również to samo, może tylko w innym wydaniu. Oni tutaj „w Belgradach” żyją dopiero w epoce Balzaka.

Oprócz mnie na majówce byli również moi gospodarze, wszystko zostało zorganizowane bardzo nobliwie.

Wtorek - 30 maja

Wczoraj nadszedł list z Warszawy. Na Żoliborzu zjawili się paryscy goście: Mrs Maltz i Elza Dubow. Zośka do dzisiejszego dnia zabawia się ze stryjkiem Juliuszem, na Górskiego. A to się dziewczyna nabaluje za wszystkie czasy! Nazwisko Mrs Maltz przypomniało mi uliczkę des Quatre Pieds i lakiery. W kilka godzin później odbyłam konferencję z Zajliczem, owszem, interesują się chemikaliami. Mają stosunki z niemiecką chemią, próbują obecnie ze Szwajcarią, ale jakoś nic nie wychodzi ze względów walutowych. Nie zgłębiałam tego. Natychmiast usiadłam przy maszynie do pisania i wystukałam obszerny list do Warszawy. Naturalnie pocztą lotniczą, sama odwiozłam na główną pocztę.

Piątek - 2 czerwca

Dotychczas nie mam żadnej wiadomości z Warszawy. Zajlicz dopytywał się. Mówiłam ogólnie. Dzisiaj dopiero zdałam sobie sprawę z głupoty mego postępowania w Paryżu. Głupia koza z niedobrze jeszcze wyschniętym dyplomem! Przecież w pierwszym rządzie, chociażby z grzeczności, należało zwiedzić dokładnie fabrykę. Wystarczyło przejść ogród do końca.

Sobota - 3 czerwca

Równocześnie list lotniczy i opóźniona depesza. Ogólne wytyczne postępowania od Mrs Maltz, dotyczące powierzenia komuś generalnego przedstawicielstwa na Jugosławię, a może nawet na resztę Bałkanów, oraz wiadomość, że natychmiast w czwartek zadyrgowała telegraficznie wysyłkę z Paryża dwóch kompletów prospektów i próbek - pocztą lotniczą.

Jutro rocznica śmierci naszego ojca.

Niedziela - 4 czerwca

Pracowita niedziela, dzisiaj prawie cały dzień spędziłam w biurze naszego poselstwa. Harowałam jak dziki osioł. Inni spali. Cośkolwiek uzgodniono i zaparafowano wstępną punktację dodatkowej umowy. Wszystko jakby wygniecione i mocno wypocone. Wszystko z trudem. We wtorek ostatnia wspólna konferencja i ostatnia możliwość zmian i poprawek. Stosy materiałów i załączników. Koledzy splukani do grosza, już pobrali zaliczki z kasy poselstwa. Pożyczyłam czterdzieści dolarów dyrektorowi z Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Chyba dobrze umieściłam? W ogóle mam zamiar przenieść się do nich. W naszym ministerstwie lodowe góry, a na ich szczycie jedynie śpiący rycerze w guście mojego odpalonego konkurenta. Właśnie o nim powiedział mój dłużnik: - Po co wyście go zabrali? On nam przeszkadza.

Nakupiłam już masę duperelek prezentowych. Taki zwyczaj, każdemu jakiś drobiazg, pudełeczko lub serwetkę, trzeba o tym pamiętać. Jestem skonana.

Mają bardzo ładne wyroby ze srebra, stare sztuki sprzed dwustu lat, ale bardzo drogie. Na razie - nie na moją kieszeń. Trzeba obejść się samym smakiem.

Środa - 7 czerwca

Dzień całkowicie dla mnie. Rano nadeszła spora paka z Paryża. Trzydzieści kilogramów. Mój gospodarz pomagał mi w załatwieniu formalności celnych, próbki usiłowano oclić. Nie chodziło o samo cło, lecz o zwłokę kilku dni na urządzie celnym. Łapóweczka - dziesięć dolarów.

Po południu kilka godzin konferowania z panem Zajliczem w obecności mojego gospodarza. Rozmowy w mieszkaniu Lewantyńczyka. Wschodni luksus. Tureckie wnętrza. Bogactwo dywanów i brązów. Naturalnie męskie przyjęcie. Zakąski i koniak. Mój występ na czarno w stylu Miss Mac Mahon. Wydaje mi się, że coś chwyci. Śmieszne, że dwa rządy nie mogły się dogadać, a na marginesie zwąchali się: polska ekonomistka z mokrą głową i kosmopolita finansowy. Jestem trochę podekscytowana, nie idzie mi dzisiaj pisanie.

Czwartek - 8 czerwca

Oficjalna wizyta w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Dwie godziny, łącznie z lampką wina, przesada, dużo koniaków francuskich i jedzenie na stojąco. Przedtem wręczenie przez ministra pudełeczek z orderami i ozdobnych laurek. Dla dziewięciu osób - cztery ordery. Dwa dla Ministerstwa Przemysłu i Handlu, jeden najwyższy - na szyję dla naszego szefa, oraz skromniejszy dla... mnie. Mój dyrektor miał głupią minę. Niby wieszował, ale nieszczerze. W dodatku Serby znały się na zwyczajach i łącznie z pudełeczkiem itd. doręczyły mi na boku wielki bukiet róż. Taki sam otrzymała żona naszego posła - po cóż ona tam poszła? - „siostry żony”... jakoś nie zaproszono.

Zauważyłam, że nasz Zajlicz był jakby u siebie w domu. Pewno jemu zawdzięczam urzędniczą błyskotkę. Nie wiem, co zrobię z tym fantem, najlepiej będzie, gdy umieszczę ją w mojej serwantce ze starą porcelaną. Ale z „wickiem” to istna opera, jak mówią u nas w Wąbrzeźnie.

Piątek - 9 czerwca

Prawie dogadałam się z Zajliczem. Podobno ma możliwości gwarancji bankowych, a tylko o to właśnie chodzi „Czterem Kamieniom”. Ceny są niższe od niemieckich. A może odgrywają rolę również inne względy, ponieważ chemiczne przedstawicielstwa niemieckich firm ma w ręku jakiś konkurent Zajlicza. Wieczorem odjazd do Budapesztu. Sobota jako odpoczynek po trudach, przerwa w podróży, natomiast już w poniedziałek nad ranem w Warszawie. We wtorek biuro i - pokonywanie różnych zazdrości. Te cztery ordery dla dziewięciu osób - to kamień obrazy i kij w mrowisku. Nawet na moich gospodarzach zrobiło wrażenie. Podobno nasi dwaj eksperci, czy raczej prywatni finansiści w roli doradców, również zrobili na boku jakieś interesy, ale cichutko i poufnie. Dogadali się znacznie szybciej. Gospodyni puściła nieco farby i wspominała coś jakby o materiałach dla przemysłu zbrojeniowego. Ale niezbyt dokładnie, rzecz zrozumiała, pewnie i dla nich coś z tego skapnęło.

Późnym wieczorem

I znów w sleepingu. Wspólnie z „siostrą”. Ostatecznie wszystkie kobiety na świecie są siostrami. Na dworcu miłe pożegnanie. Pan Zajlicz z bukietem i pudełkiem pomadek.

Budapeszt - sobota

O mieście napiszę chyba w Warszawie. Obecnie mam inne kłopoty. Bekieszę dla Leokadii przewiezie mi ten dyrektor od pożyczki. Gorzej z pakietem moich belgradzkich gospodarzy. Koronki i koronki, a na to jest wysokie cło. Mam trochę tremy. Wszyscy dla mnie są słodcy, jedynie mój... naburmuszony i ponury, z miną pogrzebową.

Wiedeń - niedziela

Już cztery cła, w porządku, nawet nie pytają.

Warszawa - poniedziałek

Dzięki Bogu, już z powrotem w domu. U siebie w domu! Moi goście wywiali do Zakopanego. Zośka baluje, zrobiła sobie urlop. Podobno szaleją. Napisała mi w krótkim liście, że musi dotrzymać towarzystwa stryjkowi i że należy się jej dłuższy urlop po tylu latach harówki. Właściwie - to ma rację!

List z Rabki i kilka fotografii. Przebiegłam pobieżnie. Mała w dobrej formie, po wakacjach będzie mogła wrócić do szkoły. Zobaczymy. Jutro rozmowy z Żoliborzem, dzisiaj zdążyłam jedynie przywitać się z paryskimi kuzynkami. Obie panie są bardzo miłe, ale zachowują się poważnie. Godnie i z dystynkcją. W niedzielę urządzam u siebie obiad z pompą. Już zapowiedziałam Wikcie, żeby wyszła z siebie i dokonała sztuki artystycznej. Jutro do biura.

Z koronkami całkiem dobrze. Niepotrzebnie się przejmowałam. Gładko. Jutro czeka mnie biuro i naburmuszony wiceszef. Pewnie już zdążył wypłakać się w mankiet swemu swatowi. Ale ja na to wszystko gwizdę!

Wtorek - 13 czerwca

W biurze dokładnie - jak sobie wyobrażałam. Głupie miny i zazdrość. Udawałam, że tego nie dostrzegam, i starałam się patrzeć ponad głowami, bezosobowo. Dostaliśmy urlopy, bardzo szczerze, bo cały tydzień. O dziesiątej przyjął nas minister, gratulował mi orderu, mój „wice” miał niezbyt życzliwą minę. Galileja nie zdążyła go wypolerować, mimo doktorskiego dyplomu. Porowaty, dziury zaklejone tylko z lekka wazeliną. Ale to głupstwo, najważniejszy jest urlop, od poniedziałku.

Środa - 14 czerwca

Do biura zadzwoniłam, że jestem chora. Poszło gładko - mój dyrektor zapytywał jedynie, czy nic poważnego. Odpowiedziałam, że to tylko zaziębienie po podróży, ale najwyżej kwestia dwóch dni. Gładko przeszło mi przez usta kłamstwo o zaziębieniu. Położyłam się do łóżka i wypoczywałam. Miałam kolejne odwiedziny całego Żoliborza w komplecie oraz generałostwa, ale przyjmowałam w sposób francuski z osiemnastego wieku, to znaczy w łóżku i w koronkach.

Order umieściłam w serwantce. A dyplom zwinęłam w trąbkę i związałam wstążeczką z pudełka pomadek, wręzonego mi przez pana Zajlicza na dworcu belgradzkim. Czekoladkami częstowałam moich gości i dopiero gdy w pudle przejrzało dno, zobaczyliśmy reklamę wiedeńskiej firmy cukierniczej. Order przyjęli wszyscy z humorem. Wybuchnęli też śmiechem, gdy udało mi się powiedzenie, że na to nie ma rady... w hotelach przyklejają na walizkach reklamowe nalepki, a ministerstwa wręczają ordery. Z odpalonego konkurenta wyśmiewaliśmy się razem, ale po chwili już zapomnieliśmy o nim.

Postanowiłam. W biurze zjawię się dopiero w sobotę. Przecież można chyba chorować, jeżeli posiada się order Korony Jugosłowiańskiej?

Z naszego ministerstwa zaproszę na niedzielny obiad państwa Jastrzębskich, mojego dyrektora z żoną, no i naturalnie odpalonego amatora na małżeństwo. Wypada, jeżeli będzie taktowny, wymówi się. W ogniu Mokotowa przywlecze się naturalnie Grabowski z panną Ireną, nie szkodzi. Można by zaprosić również szefa naszej wycieczki do Jugosławii, ale trudno, ponieważ dotychczas znamy się jedynie z biura. Dyrektor z przemysłu, wdowiec - może? W każdym razie przewiózł mi bez bólu bekieszę dla Leokadii. Kiedy odda dolary? Razem dziesięć osób, cztery z Żoliborza. Jutro zadzwonię do Górek, wyglądałoby bardzo reprezentacyjnie. Machną się samochodem, dla nich drobiazg. Dla zręczności wspomnę o

państwu Orzechowskich. Gorzej - już osiemnaście osób. Trochę za mało do tego są moje dwa salony, gościnny do pucu, trudno go liczyć. A jednak dla szanującego się gospodarstwa jest konieczny potrzebny duży, normalny pokój stołowy z kredensem! Trudno, to przecież moje - jak to powiedzieć? - ano: panieńskie gospodarstwo, pendant do kawalerskiego.

Dla pamięci warto zanotować: paryskie prezenty, ciotka Temmi i obie kuzynki, Patrycja i Elza. Japoński surowy jedwab cheszucza w ilości co najmniej na dwa kostiumy, butelka wytwornych perfum oraz komplet z czarnej wężowej skórki: pantofelki, torebka i rękawiczki. Powiedziano mi przy tej okazji, że to w związku z tegorocznymi imieninami. Świętej Anny dopiero w końcu lipca, ale dokładne daty są przecież bez znaczenia. Od pana Krymułta ukłony i francuskie wydanie Forsytów w ozdobnej oprawie skórkowej, ze złoceniami. Od dzieci ucałowania w liście Patrycji. To wszystko jest bardzo miłe. Bardzo serdeczne. Człowiek nie czuje się osamotniony.

Z Wąbrzeźna również paczka. Kupiecka paczka, przywieziona przez siostrę i nie doręczona mi przed wyjazdem za granicę. Nie zdążyłam jeszcze obejrzeć, zobojętniałam na wąbrzeskie bławaty.

Czwartek

Wszystko po kolei. Górki przyjadą już w sobotę po południu. W sumie pięć osób, razem z Gabrysią. Maksiu gdzieś poza domem, interesy. Gorzej, ponieważ państwo Orzechowscy, a zatem i młodzi z Warszawy. Dwadzieścia jeden osób. Trudno z miejscem, Wikcia mówi, że podoła. Spiżarnia pełna. Jutro znów pęknie z tysiąc złotych na wina i koniaki. Ale koniecznie, ponieważ francuscy goście. To i tak kropla w morzu wobec pawilonu przy rue du Pont Vert. Chyba oprócz pokojówki z Żoliborza wezmę kelnera z „Europejskiej”? Takiego na przykład z językiem francuskim. Chyba tak.

Psiakrew, w istocie mieszkanie jest za mało. Nadające się jedynie dla skromnej panny, bez towarzyskich znajomości. Dla jakiejś bidusi, która nikogo nie przyjmuje u siebie i pozwala się jedynie zapraszać do solidnych domów małżeńskich. Naturalnie wieczorne wizyty - dyskretne - nie liczą się w tym zestawieniu.

Jutro polecę do krawcowej. Przynajmniej kostium z cheszuczy, naturalnie sportowy, i byle szybko, jeszcze przed egzaminami. Tym razem na pewno w ostatnim terminie przedwakacyjnym. Ile przeszkód! Ile na głowie różnych rzeczy! Biuro, stosunki towarzyskie, stosunki rodzinne. Wąbrzeźno, egzamin, dobrze, że przynajmniej spokój z kochankami. Głupstwo. A głupstwa rodzą się jedynie z braku konkretnego zajęcia, w okresach nudy i nadmiaru czasu.

Zaproszenia załatwiłam już telefonicznie. Naturalnie niezależnie od tego dzisiaj wczesnym rankiem przyleciała generałowa, zaniepokojona moją chorobą. Zaśmiewaliśmy się z „wicka”. Przyjaciółka jest zdania, że to zwykły urzędniczek, którego przez omyłkę umieszczono w ministerstwie. Siedział cicho., nikomu się nie stawiał, na początku kłaniał się wszystkim układowie i tak prawem bezwładności wywindował się do piątej grupy. Błady wymoczek, w tym określeniu jesteśmy zgodne. Było bardzo, miło, zjadliśmy resztę pomadek z Belgradu.

Sama nie byłabym wpadła na taki koncept. Trzeba będzie zaprosić osobno mój personel biurowy. Ale to tylko pięć osób, w jakąś sobotę, po powrocie z Poznania. Podobno z powodu orderu, generałowa mówi, że taki zwyczaj. Nie sądziłam. Zdziwiłam się również, gdy powiedziała mi, że „na listopada” udekorują mnie zapewne krzyżem zasługi. To również taki zwyczaj, że ordery dostaje się zazwyczaj seriami. Jest jeszcze trochę miejsca w serwantce! Ja tam zapatruję się na to z kupieckiego punktu widzenia. *Titel ohne Mittel*, chwała Bogu, że te *Mittel* posiadam!

Z Belgradu były dzisiaj dwie pocztówki, moi gospodarze oraz pan Zajlicz. Sprawa lakierów na razie utknęła. Widocznie serbski kosmopolita bada grunt na własnym terenie.

Pani Maltz mówi, że to samo przyjdzie, trzeba odczekać. Florencja wspominała, że na pewno coś skapnie mi z tego interesu, ponieważ Marcin osądził, że ta rzecz ma ręce i nogi. A zatem czekać!

Z niedzieli na poniedziałek

Godzina druga w nocy. Już dobrze świta. Boli mnie głowa. W moim salonie do spania - stryjostwo, a ja w pokoju gościnnym. Nie mogę spać, mimo że zażyłam dwa luminale. Leokadia powiedziała, że przyjęcie udało się. Ucieszyła się z bekieszy, takich u nas nie ma. Wymoczek mocno się urzynał i po pijanemu oświadczył mi się po raz drugi, tym razem w przytomności moich ciotek. A to dobre! Byłam sama również w różowym humorze, ale nie wyszłam z fasonu i powiedziałam wesoło:

- Ależ, dyrektorze, myśmy już tę sprawę załatwili w Belgradzie.

Na takie dictum mój były konkurent spojrział na mnie wylewnym wzrokiem urzędnika w sztok i zapytał:

- Załatwili? A czy dobrze odłożono do akt?

Po czym szofer Marcina odwiózł go delikatnie do domu, osobiście rozebrał i położył do łóżka. To była bardzo wesoła heca. Ale boli mnie głowa, na odmianę spróbuję bromuralu.

W poniedziałek - wieczorem

Już po gościach. Pod komendą ciotki Leokadii służba fruwała i już do obiadu mieszkanie było wylizane. Jutro wczesnym rankiem do Poznania. Jakoś ból głowy przechodzi, jestem tylko ociężała, widocznie zbyt wiele kropnęłam sobie syropu Gabaila. Po prostu nalałam do dużego kieliszka od wina i...

Śniadanie jedliśmy późno, prawie o dziesiątej, to znaczy stryjek i ja, ponieważ z Leokadii ranny ptaszek wiejski. Po obiedzie zdążyła komenderować mną u krawcowej, stelefonowała się nawet z Wirewiczową! Jeszcze jeden kostium, z Zośczynej paczki.

Ostatecznie pomogło, gdy stryjek nalał rai spory kieliszek ostrego koniaku i powiedział:

- Nie należy rozwadniać trunków. W tym wypadku może pomóc jedynie koniak, duży koniak, prosit.

A zatem jutro Poznań, tchnienie mojej szczenięcej młodości. Cieszę się więcej niż przed wyjazdem do Belgradu! Dzisiaj był list z Zakopanego. Amerykański stryjek pełen jest wigoru, chodzi po górach, wieczorem grywają w karty. Mieszkają w „Ruczaju”, podobno bardzo wygodnie i dobre jedzenie.

Niedziela - 25 czerwca

Godzina jedenasta wieczorem. Kilka godzin temu wróciłam z Poznania. Ledwo zdążyłam się rozebrać, a już przysłano po mnie auto. Kolacja na Żoliborzu, ale bez odsiadania. Nowości. Ciotka Temmi rozejrzała się w Warszawie i przyszło jej do głowy konkurować z jakimś niemieckim „Lutzem” czy coś podobnego. Proponowała mi rzucenie ministerstwa i objęcie generalnego przedstawicielstwa ich wyrobów na Polskę. Skład konsygnacyjny, kredyt, dogodne warunki. Szczęście pcha się samo do rąk. Oni widocznie potrzebują eksportu, ponieważ rozwijają się, a w samej Francji jest ścisk z konkurencjami. Stryjek radzi nie rzucać biura, lecz robić obie rzeczy równocześnie. Nie wiem, czy potrafię - mimo rodzinnej tradycji kupieckiej. Z odpowiedzią nic pilnego, panie zostają w Polsce do końca lipca, a może i dłużej - w planie miesiąc w Krynicy.

Psiakrew z moim egzaminem, ale trudno, jestem uparta. Mam już wyznaczony termin, dwudziestego dziewiątego lipca w sobotę. Będę zdawała, nie cofnę się. Przecież normalnie studenci cały rok zajmują się czym innym, a dopiero w ostatnich tygodniach kupują skrypty. Co do mnie, to z grubsza znam cały materiał, wiem przynajmniej, o co rzecz idzie.

O Poznaniu chyba innym razem. Dzisiaj nie mam głowy do pisania. Mrs Maltz zabiła mi klina do głowy. Z Belgradu żadnych wiadomości. Właściwie prawie żadnych, ponieważ trudno zaliczyć do nich uprzejmy list pana Zajlicza, że bada teren i możliwości. W dodatku list po francusku, wcale niehandlowy, na welinowym papierze i z wyłożonymi brzegami. Pachnący - perfumami. Cóż robić, człowiek Wschodu.

W czwartek imieniny stryjka Pawła. Jedziemy wszyscy, dwa cadillaki, Mokotów i Żoliborz, trzeba francuskim krewnym pokazać rodzinne majątki w Polsce. Wyjeżdżamy w środę po obiedzie, w piątek już z powrotem w biurze. Trudno.

Środa - w biurze

Praca jakoś się jeszcze nie rozkręciła. Dyrektorek kwaśno-słodki, wicedyrektorek wyraźnie mnie unika. Widocznie wspomnienie po niedzielnym urznięciu się. Na to nie poradzę, wspomnień nie można wymazać z pamięci. Zresztą za dwie godziny przyjedzie po mnie cadillac z Mokotowa. Furda wszystko! Stryjkowi wiozę w prezencie serbskie drobiazgi skórzane ze złoceniami. Właściwie nie serbskie, a tureckie z - Jugosławii. Dzisiaj rano otrzymałam czterdzieści dolarów, dużo uprzejmości, no i naturalnie wiecheć czerwonych i białych róż, które obecnie wędną z gorąca tuż przed moim nosem, w jakimś wazonie dostarczonym przez naszego woźnego. Bardzo miły jegomość, ma znacznie więcej ogłady niż nasze skarbowe gryziopórki. Zgadało się o tym i owym, owszem z Galicji, ale z wiedeńskim uniwersytetem. Rodzice mieszkali od stu lat w Wiedniu i dziedzicznie zajmowali się urzędniczą biurokracją. Gładki pan w starszym wieku. Łysy, z brzuszkiem, maniery bez zarzutu. Na palcu stary sygnet. Dobra znajomość - rozmowa skończyła się na opowieściach brydżowych. W każdym razie naprzód trzeba będzie zmontować zaproszenie go na Żoliborz, a dopiero później ulica Górskiego. Właściwie skończę z panem Górskim i wrócę do dawnej nazwy. Hortensja - to brzmi jakoś gładziej. Wojciech Górski - to stada młodych bydlątek, które wyprawiają czasami dzikie awantury na naszej uliczce.

Dobrze, że nie zapraszałam tego pana na niedzielne przyjęcie, rzeczywiście nie wypadało tak od razu. Dotychczas stryjek również go nie zaprasza, mimo że pracują w tym samym ministerstwie. Ale dla mnie bardzo sympatyczny. Zobaczymy.

Co do „wicka”, to najlepiej zastosować chłód, rozjaśniony uśmiechem uprzejmości.

W tym tygodniu będę miała sporo zajęcia z krawcową.

Piątek - 30 czerwca

Bardzo nieprzyjemna data. Za miesiąc mój egzamin. Trudno. Jutro nasze panie wyjeżdżają na cały miesiąc do Krynicy. Paryżanki robią sobie wakacyjną labę. Podobno bardzo poważnie myślą o kuracji. Pan Krymuł również, podobnie jak stryjek, w roli słomianego wdowca. Patrycja z dziećmi na wakacjach w Bretanii, z angielską nauczycielką i pokojówką. *Grand chic*. Mimo wszystko Patrycja ma smutne życie. Ze zdrowiem natomiast w tym roku znacznie lepiej. Ale Szwajcaria to jedynie zastrzyk na dwa lata, a może tylko na jeden rok?

Po powrocie z imienin stryjka Pawła od razu zabrałam się do nauki. Po wyjeździe pań będę miała kompletny spokój. Generałowa ma zamiar wyjechać do Żegiestowa, ale dopiero w połowie lipca. Warszawa wyludnia się. Starsi państwo Orzechowscy również przed wyjazdem, ostatnio oderwali się już od choroby włoskiej i studiują fiordy. Na razie w literaturze i w prospektach, ale tam sezon dopiero później, w końcu sierpnia.

Zrobiłam głupstwo i zaprosiłam moje biuro na przyjęcie do siebie jutro wieczorem. Zbiegło mi się to z zegnaniem naszych pań na dworcu, ale może jakoś wybrnę. Nie pomyślałam o tym, a później trudno już było wycofywać się z zaproszenia. W dodatku nie chciałam robić zbyt wielkiej rozpiętości w czasie pomiędzy pierwszym przyjęciem dla dygnitarzy, o którym już wiedzieli. W każdym razie zadysponowałam Wikcie, aby to było coś

w rodzaju kawalerskiego przyjęcia. Śmiała się i powiedziała mi, że nie zna się na takich przyjęciach. Już miałam na języku zapytanie, czyżby jej były proboszcz nie był kawalerem, ale powstrzymałam się w porę. Naturalnie dla moich jutrzejszych gości mam również drobne prezenty, zakupione w Belgradzie. Oczekałam z nimi do przyjęcia. Najważniejsze, że odwalę grzecznościowy numer. Stryjek radził, aby na czas wizyty moich biurowców wyjąć order z serwantki i włożyć go do szuflady sekretarzyka. Chyba tak. Ksiądz nie powinien wyśmiewać się z kościoła.

W niedzielę wstanę z łóżka dopiero w południe na obiad. Jestem porządnie zmęczona tym tygodniem. Poznaniem - również, ponieważ latałam na wszystkie możliwe wykłady. Oblatywałam również stare kąty. Ale jakoś nie mam ochoty do ponownego przeżycia tego na kartkach mojego bloczka.

W Górkach było bardzo miło. Duży zjazd - pół powiatu. Wujcio Benedykt jako stała pozycja wszystkich rodzinnych zjazdów imieninowych, a z Gdańska obie Elfrydy i państwo Kawczyńscy. Stryj Józef w Anglii - w interesach drzewnych. Jakie to dziwne! Przecież te Górki to problem z początku zaledwie zeszłego roku, a stryjek i Leokadia zdążyli już mocno wrócić w tamtejszy wiejski grunt. W tym roku dopiero pierwsze własne zniwa, a nowi właściciele całkowicie dopasowali się do okolicy. Na stryju ani trochę nie poznać dawnego bogatego gburza z Pomorza. Spoważniał i nabrał jakby eleganckiej godności i pewności siebie. Maksiu również. Typowy wiejski szlachcic. Zrozumiałe, że nie wspominałam o ostatnim szaleństwie mojego brata. Stale przebywałam z Elfrydą i jak zwykle dzieliłyśmy wspólny pokój. Ciotkę Elfrydę umieszczono razem z babcią Kawczyńską - również w Górkach, mimo że o nią upominała się Marysia Cielecka. Ale obie panie przyjechały razem, to i nocowały razem. Z Grudziądza zjawiała się Herta z mężem i córeczką. Gabrysia stale ze Sabcią, bo tak ją nazywają. Naturalnie Marysia - już w ciąży. Szybko poszło. Głupstwo, zaraz po ślubie obkładają się dziećmi. Widocznie biorą przykład z krów, na wsi nie wolno próżnować jałówkom. Problem z powieści francuskiej: pani nie chce dziecka - widocznie nie dotarł jeszcze do polskiej wsi. O chłopach nie mówię, ponieważ tam każde dziecko, o ile się uchowa, to nowa para rąk roboczych, ale w naszej sferze można by z mniejszym pośpiechem i w dodatku niepotrzebne rozdrobnienie majątków.

Co do Marysi, to również murowana córka. Jak bym już wiedziała! Naturalnie Gabrysia w roli przyszłej matki chrzestnej. Przymówiłam się na drugą matkę, gdyby były bliźniaczki... Wszyscy się śmiali z mojej gotowości, ale Kubuś był zachwycony, sam nie wpadł na myśl o takich możliwościach.

O moim bracie nie było mowy, nie padło ani jedno słowo. Z Berlina nadszedł telegram jedynie od Heinricha, uważny, jak zwykle. Pod telegramem z Londynu podpisali się obaj szwagrowie, z dodatkiem, z rodziną Garden. Bardzo fair, to się chwali. Co do stryjka Juliusza, to było już dawniej uzgodnione, że się nie zjawi. Nadesłał obszerny list. Pisze, że Zośka pilnuje go na każdym kroku. Ale to był tylko żart, w zakończeniu listu sama Zośka dopisała, że trzeba pilnować stryjka, ponieważ podobają mu się wszystkie piękne kobiety. To już dobrze, że wszystkie, a jeszcze lepiej, że tylko ładne. Zazwyczaj bowiem właśnie owe niezbyt piękne kobiety wchodzą w życie mężczyzn, podobnie jak pospolite drzazgi za paznokcie. Piękne natomiast zazwyczaj niezbyt sobie cenią zabiegi tylko jednego mężczyzny i fruują lekko myśląco ze swymi wdziękami. Upajają się własną pięknnością, mniej czasu poświęcają wysłuchiowaniu zachwyty i nie chwytają się każdej możliwości złapania mężczyzny. W dodatku problem Amerykanina. Podobno stryjek ma już swoje sto tysięcy, a to na nasze pieniądze jest prawie milion. To już coś znaczy!

Skorzystałam z okazji samochodowej i przywiozłam sobie trochę nowych zdobyczy. Zakurzone miniatury i parę obrazków, porzuconych i zapomnianych na strychu w Górkach. Oczyszczy się to, okurzy i szlacheckie bractwo z osiemnastego wieku przyjrzy się życiu naszego kupieckiego wieku ze ścian moich pokoików. Razem trzydzieści cztery sztuki. Wstyd

przyznać, że buszowałam w nieobecności Gabrysi, wczesnym rankiem, gdy inni jeszcze spali, ona byłaby niewątpliwie również zgłosiła ochotę okurzenia miniatur. Obrazki oddam do odświeżenia temu samemu mistrzowi, który oprawiał kopię Bouchera. Na Krakowskim Przedmieściu.

Leokadia jeszcze niezdecydowana co do wyjazdu na kurację. Jej jakoś trudno rozstawać się ze wsią. Może Krynica, ale później. Wzięła ją ta wieś i na serio przejęła się rolą dziedziczki. Właściwie w ich okolicy zamieszkują przeważnie snoby z herbami, stryjostwo mogłoby sobie więc ostatecznie wymalować na karecie herbową bramę z rycerzem tych tam niemieckich „vonów” spod Stralsundu czy Szczecina... Ale nie wypada na razie o tym mówić i wspominać, skoro sami tego nie poruszają. Jamborowska farba na tym dziedzictwie w Górkach jest jeszcze zbyt świeża, niech zatem trochę przeschnie, kilka lat nie robi różnicy, a tymczasem gdy do Sabci dojdzie jakiś Sabiniusz, wówczas sam Maksiu rozejrzy się w niemieckich herbarzach. Samo przyjdzie...

Jutro w biurze napiszę list do Heinricha z zapytaniem, czy nasz brat już wyjechał. Nic nie pisze. Pisał tylko wówczas, gdy miał do mnie interes: - siostrze, przyjeżdż - a ja głupia w te dyrdy zaraz jechałam. Biedna Elfryda, ona jeszcze się durzy w tym niewdzięczniku! A latka lecą, nie wypominając, jest o rok starsza ode mnie. Prawdziwa niemiecka kobieta, aż przyjemność bierze, gdy się na nią patrzy. Figura, śnieżnobiałe i równiutkie zęby, wspaniałe włosy. Mogłaby rodzić dzieci bez najmniejszego zmęczenia. Jamborów, chłopców i dziewczęta. Mocne i zdrowe dzieci, tego jestem pewna. A tymczasem w pobliżu tylko niewyraźny jeszcze Heinrich, raczej z mikroskopem niż z dziewczyną czy żoną, oraz Maksiu Jambor ze Sabcią. Za sto lat jakiś angielski Garden odnajdzie na strychu zapomniane listy i fotografie z dawnych lat i powie przy okazji, jakby od niechcenia: - Patrzcie, jakiś nasz krewny, nazwiskiem Jambor, mieszkał kiedyś w Gdańsku. - A dla wnuczki Sabci, gdy wyjdzie za męża, nazwisko męża prababki będzie jedynie pustym dźwiękiem. To może śmieszne, ale prawdziwe, osobiście przywiązałam się do mojego nazwiska! Nawet - gdybym wyszła za męża, moje nowe nazwisko będzie dla mnie tylko jakimś pobocznym dodatkiem. Tak myślę.

Czwartek - 6 lipca

Pańszczyzna biurowych stosunków koleżeńskich już odwalona. Jakoś się udało, bez zgrzytów. Nastroju nie było, ot tak sobie, pół na pół. Moi najbliżsi koledzy biurowi, z wyjątkiem panny Starzeńskiej, zachowywali się początkowo jak na cenzurowanym. Dopiero koniak rozkręcił humorki. Kancelista od registratury zjawił się, nie wiadomo dlaczego, z żoną, oboje wystrojeni jak do kościoła. Niemiecko-angielskie *vis a vis* panny Starzeńskiej takie sobie, panna w wieku trzydziestu pięciu lat, bez najmniejszego wdzięku. Natomiast buziak od remingtona - w naszym wypadku nawet od underwooda - ubrał się jak na dansing w ostatnim dniu kursów u Sobiszewskiego. Grunt, że to już przeszło. Głupie wrażenie, ale mój zagraniczny order oglądali jak chłopci jakiś nowy różaniec na wsi przed kościołem. Z uszanowaniem.

Z ważnych wydarzeń tyle, że od szesnastego lipca dali mi miesięczny urlop. To wszystko w związku z tym, że jestem już etatowym funkcjonariuszem państwowym, a nie kontraktowym. Bardzo dobrze. W sobotę po południu wyjadę do Poznania. Tam będę miała kompletny spokój. Dwa studenckie tygodnie. Zamieszkam na Wyspiańskiego. Doktora nie będzie, tym lepiej. Michalscy urządzili sobie rodzinne wakacje nad morzem w Jastrzębiej Górze, dziadek przyłączył się do kompanii. Dostałam list od doktora w tej sprawie, przedtem wszystko było już w projekcie. Naturalnie na tapczanie w gabinecie z książkami, podobnie jak przed laty w okresie Pewuki. Szczęśliwe to były lata!

Niedawno przypomniałam sobie wszystko będąc w Poznaniu. Obleciałam całe miasteczko. Widziałam wszystko. Gospodarstwa Emilki i Irenki. Mój były gospodarz dumny

z dziecka. Już nie wynajmują pokoiku, ponieważ w banku podwyższyli mu pensję o sto złotych. Problem większego *Lebensraumu* dla dziecka, któremu wszystko wolno! Walerka w dalszym ciągu stoi na posterunku. Namawiali mnie, abym skorzystała z gościny u nich. W moim dawnym pokoiku króluje obecnie pan Henryk, aktualnie spłacają raty za meble gabinetowe. Swarzędzkie to meble, masywne, ciemne i na wygląd solidne. W szafie książki, jakich dawniej nie było, ale tomiki Karola Maya schowane przed oczami gości.

Mąż Irenki już z doktoratem, oboje na wyjeździe. Daleka droga - Wilno, gdzie mieszka jego rodzina. Irenka jeszcze poważniejsza. Kto by się tego spodziewał po owej pustej studentce, którą poznałam w pierwszych miesiącach moich studiów. Ale widocznie w życiu czasami taki prztyczek w nos pomaga. Dobrze, że pomógł, ponieważ Irenkę zawsze uważałam za człowieka wartościowego. Już kilka lat upłynęło od tej przygody. Obecnie patrzę na te sprawy zgoła inaczej, z perspektywy lat. Prosta to była i odwieczna mimikra, naśladowanie innych towarzyszek ze wspólnej sypialni w klasztornej internacie. Fala bystrej wody porywa i topi, a cóż dopiero mówić o fali młodej krwi, wzburzonej imaginacją, opowiadaniem i sztuczną klauzurą zakłamania. W każdym razie stary aptekarz kupił jedynaczkę dochodową kamienicę w tym dalekim Wilnie, która ma stać się podstawą egzystencji gimnazjalnego profesora i Irenki, na razie w roli aplikantki sądowej. W okresie moich odwiedzin oboje byli w trakcie układania projektów umeblowania przyszłego mieszkania w Wilnie.

Stary doktor był ucieszony, jak zwykle. Wymówki, że mało piszę. Czy ja wiem? Czasami wydaje mi się, że odnosi się do mnie jak do własnej córki czy synowej, w każdym razie do bliskiej i miłej mu krewnej. Innym razem na odmianę niemal odgaduję jego myśli w rodzaju doktora Fausta. Trudno. Małgorzata to również stary i odwieczny problem, nawet bez Mefista i bez szkatułki z klejnotami. I bez majestatycznego cynika Goethego. Po prostu zwykły problem ciała i krwi, barwne dekoracje dorobiła już później ludzka poezja.

Byłam również u kupców na Starym Rynku. Czytają gazety, i od razu wieszali mi... orderu. Wyczytali w gazecie notatkę o naszej wyprawie po jugosłowiańskie złote runo. O omyłce nie mogło być mowy, ponieważ, jak mówili, na świecie może być tylko jedna Anna Jambor. Byłam u nich na kolacji, nie puścili i nie darowali. Uehonorowali nawet węgierskim winem!

Cóż jeszcze? Tuchołkowie spłacani są punktualnie, interes idzie bez wstrząsów. Szwagier był dwa dni w Warszawie podczas mojego pobytu w Belgradzie, ale u niego bez zmian. Starosta - dziedzic. Taki sobie mysikrólik w powiększeniu, któremu wszyscy się kłaniają. Urzędnicy, bo muszą, kupcy, bo potrzebują, no i Żydzi. Sąsiedzi zapraszają na ucztę i polowania z kartami, podczas których nie wypada przecież ograć swego starosty. Zwykły problem, żelazny repertuar małomiasteczkowych komedii, które jedynie mieszkańcy takiego powiatowego królestwa biorą za prawdziwą monetę. W każdym razie okazja do zebrania waluty i byle tylko we właściwym czasie czmychnąć na przykład do Warszawy, to jeszcze byłoby warto. W przeciwnym razie grozi obrośnięcie mchem, na który byle jakie kozy wchodzi i posikują. Naturalnie z radości. Poza tym problem primaballeriny, póki młoda, i...

Był również nowy list od *gaspadin* Zajlicza. Tym razem z francuskim nagłówkiem, normalne pismo firmy kupieckiej. Sytuacja została już dostatecznie wyjaśniona. Do listu dołączona jest kopia pisma do paryskiej fabryki, podająca, że Mr Zajlicz osobiście zjawi się w Paryżu w końcu sierpnia. Równocześnie nadszedł list od mojego belgradzkiego gospodarza, potwierdzenie, że istotnie nasz Lewantyńczyk ma ochotę zrobić interes. Zapewnienia, że oboje z żoną wspólnie dopilnują... Oba pisma przesłałam Mrs. Maltz w Krynicy, w kupiectwie bowiem czytuje się handlowe listy nawet w wannie z gazowaną kąpielą. W dodatku ciotka Temmi!

Natomiast Florencja skrewiła czy zleniwiła. Przysłała tylko list do Marcina. Ale dość już pisania. Muszę rozmówić się jeszcze z moją Wikcją. Urlop. Do wyboru: albo wyjazd pod

Leszno, do krewnych, albo pobyt w Górkach. Leokadia naprowadziła mnie na taką myśl. Zobaczymy, co wybierze.

Przed zaśnięciem.

Ciekawe. Naturalnie: Górki. Krewni pod Leszmem to tylko krewni, natomiast pobyt na wsi u pani dziedziczki to atrakcja. Niby chwali sobie służbę u mnie, ale gdyby ciotka tylko szepnęła, zaraz by mnie porzuciła. Ale trudno, nie należy wymagać od ludzi zbyt wiele. Trzeba przyjmować ich takimi, jacy są w swojej naturalnej postaci.

Nieporządnie myślę. O najważniejszym bowiem zapomniałam. Wyjazd Ireny do Wilna to kłopoty z uczęszczaniem mojego indeksu na czwarty rok prawa w Poznaniu. Poważny kłopot, bo skąd tak od razu wyczarować siostrę samarytankę do tej usługi?

Niedziela - 9 lipca

Nie mam o czym pisać. Utonęłam całkowicie w skryptach, czytam, robię wyciągi. Zamknęłam się i Wikta informuje wszystkich o mojej nieobecności w mieszkaniu. Zresztą w sobotę wyjazd do Poznania. Moja pani gospodyni mocno przejęta wyjazdem do Górek. Mieszkanie zostanie pod opieką argusowego oka naszego dozorca. Podczas mojej nieobecności ciotka Leokadia z oddalenia dyrygowała mieszkaniem i dopiero obecnie dowiedziałam się, że na jej rozkaz przysłano z Wąbrzeźna materiał w paski jasnopopielate i seledynowe. Wszystkim moim gratom do siedzenia i leżenia zafundowano jednolite pokrowce. To się nazywa gospodarność! Ujrzałam je dopiero wówczas, gdy te gospodarcze cuda przyniesiono mi do mieszkania, łącznie z rachunkiem za szycie. Przyznaję w pokorze, że podobna myśl nigdy nie byłaby powstała w mej głowie! I kto mną dyryguje? Leokadia. Nic dziwnego, że dla Wiktorii ja jestem tylko kimś, a może nawet czymś na marginesie Górek. To przecież głupie. Dla tej kategorii ludzi nawet najbardziej obdłużone morgi na wsi więcej znaczą niż dziesięć kamienic w mieście. Specjalny gatunek. Ziemia jest trwałą pożywką dla konserwatyzmu, natomiast okrągly i z natury swojej wiecznie toczący się w obrocie pieniądź kupiecki oscyluje zdecydowanie ku ruchliwemu kosmopolityzmowi.

Sobota - 15 lipca - w biurze

Wyjeżdżam cichutko, incognito, z walizą naładowaną skryptami. Bardzo skromnie, po wczesnym obiedzie. Pojutrze wczesnym rankiem wyjedzie również Wikta do swoich wymarzonych Górek. Na pewno wszystko będzie ją cieszyło, nawet mała Sabcia na nocniku. Wnuczka jaśnie pani dziedziczki z Górek, tak to się uformuje w jej umyśle.

Sobota - 29 lipca

Wyprzęgåłam ze studenckiego kieratu dokładnie koło południa. Poszłam na pierwszy ogień. Dostatecznie. Nie oczekiwałam więcej. W sam raz. Właściwie palnęłam kilka niepotrzebnych zdań. Już po usłyszeniu wyniku egzaminu. Ale o tym nie warto wspominać. Profesor Bossowski jakoś bez entuzjazmu powiedział:

- Po pani spodziewałem się głębszego opanowania przedmiotu.

Niepotrzebnie wyrwałam się, że prawo karne nie leży w sferze moich szczegółowych zainteresowań naukowych. Profesor spojrział na mnie w jakiś dziwny sposób, niezyczliwy, i dodał:

- Ale prawo karne wchodzi w skład pewnego kompleksu, który prawnik musi znać i opanować.

Całe szczęście, że nie wdałam się w dyskusję na temat owego „musi”, no i na tym się skończyło.

Mam wrażenie, że Bossowskiemu nie podobało się jedno moje zdanie. Naprzód odpowiedziałam według sakralnie ustalonej formułki odpowiedzi dla studentów, a później

całkiem niepotrzebnie wymknęło mi się powiedzenie, że każdy niemal przepis, zwłaszcza prawa karnego, zależy od specyficznych warunków danej epoki.

- Jak pani to rozumie? - padło pytanie.

Nie wiem, czy mądrze odpowiedziałam, ale wyglądało to tak: W pewnej epoce uznawane było jako słuszne państwowe prawo palenia żywcem heretyków na stosach, natomiast rewolucje i liberalizm przekreśliły to prawo, a nawet dokonały więcej, ponieważ potępiły inkwizycję.

- To chyba nie należy do zagadnienia - odrzekł profesor Bossowski i przeszedł od razu do jakiegoś innego, stereotypowego pytania ze sztuby prawa karnego.

Tak to bywa z prawem na naszym uniwerku: filozofia prawa zaledwie liżnięta w nagłówkach, teoria - według ustalonej treści w podręcznikach, a reszta jako balast do użytku aktualnego sądownictwa. Suche formułki prawne, formalizm w stosowaniu, czyli prawny automat do zabijania człowieka w człowieku. Niby dążenie do wykrywania prawdy obiektywnej, wskrzeszanie snów o rzymskiej sprawiedliwości przed krzesłem pretora, a w gruncie rzeczy, zależnie od okoliczności i przypadku, zwycięża jeden ze sprytniejszych: sędzia lub adwokat. Ofiara, strona, jest bez znaczenia.

To wszystko było niepotrzebne. Równie głupie z mojej strony było odezwanie się, że zamierzam w najbliższym czasie wyjechać na stałe za granicę. Było to w związku z zapytaniem, czy to ja brałam udział w delegacji handlowej do Jugosławii. Trudno było zaprzeczyć, czytają gazety, nazwisko Jambor jest łatwe do zapamiętania. W dodatku rzadki wypadek wysyłania kobiet. Emilka dopowiedziała mi resztę:

- Belfry nie lubią studentów, którzy nie mieszkają w Poznaniu. Jakoś wybaczą nawet niechodzenie na wykłady, ale dla poznaniaków posada w Warszawie to najcięższy kamień obrazy. W dodatku w ministerstwie! Okoliczność, skąd pochodzi profesor, nie ma znaczenia, Poznań to Poznań.

A może przenieść się do Warszawy? Tam od czasu do czasu mogłabym pokazywać się na wykładach. Na miejscu, to może byłby i doping? Na razie trzeba przespać ten problem. Mam czas do października. Przede mną całe dwa tygodnie całkowitej wolności. Będę mogła robić, co zechcę. Zacznę od tego, że jutro prześpię się do południa, a o czwartej będę już w pociągu do Warszawy. Było mi dobrze w mieszkaniu starego doktora Michalskiego, jego gospodyni adorowała mnie od rana do wieczora. Dogadzała mi. Słyszała o moim gospodarstwie od ciotki Leokadii, która kiedyś zawadziła o Poznań i korzystała również z gościny przy ulicy Wyspiańskiego.

Przed snem warto jeszcze coś zanotować, w spokoju i bez złości. *Sine ira et studio*, jak to w swoim czasie powiedział Tacyt.

Któregoś dnia wstąpiłam do małego Dobskiego i usiadłam w kąciku, jakoś bokiem do przejścia. Zagłębiłam się w lekturze starego tygodnika i z monotonnego szumu kawiarnianego zbudził mnie dopiero jakiś głos znany mi z przeszłości. Nie podniosłam głowy, jedynie w pamięci odtworzyłam jego pochodzenie:

- Nie warto siadać - mówił ten głos - tutaj nie ma dzisiaj nikogo, chodźmy lepiej do innej budy.

Spojrzałam dyskretnie. Mówiącym był niewątpliwie tak zwany pan Jerzy. Partnerką - dama w średnim wieku, o przelewających się kształtach. Degrengolada. Dama była mocno wymalowana i miała moc zmarszczek w tych miejscach, gdzie powieki schodzą się i rozchodzą od strony skroni. Spojrzałam tylko na jeden mały moment i zaraz spuściłam oczy. Na palcach pulchnych, lecz krótkich i grubych, zobaczyłam wystawę pierścionków. Jakoś dziwnie zrobiło mi się koło serca oraz, jak to mówią u nas w miasteczku, w dołku. Para przedelfilowała uroczyście w stronę otwartych drzwi i cień przeszłości rozpląnął się z powrotem w niewiadomym czy obojętnym. Koniec opowieści.

Muszę jednak przyznać, że było mi głupio, było mi przykro, ponieważ jadąc do Poznania, przeżywałam w pociągu wszystkie wspomnienia z galerii mojego uniwerku.

Ale dość już wspomnień. Z byłymi kochankami rzecz ma się podobnie, jak ze starymi filmami, zapomina się o nich. Zbyt wiele wszyscy wymagamy od życia i od innych ludzi. W życiu bywa podobnie jak w restauracjach. Naprzód talerze i półmiski bywają uroczyście wnoszone wśród pompy na pięknie przystrojoną salę i stawiane na śnieżnobiałych obrusach wśród kwiatów. Po biesiadzie natomiast goście wstają od stołu i znowu giną w tłumie ulicznym. Natomiast talerze wracają do kuchni, gdzie resztki zmiatają do kubłów z pomyjami, a same talerze poddają splukiwaniom wody.

Wydaje mi się, że w tych dniach zakończył się u mnie jakiś określony okres, a rozpoczął nowy, dla którego nie umiałabym znaleźć nazwy. Nic się co prawda nie zmieniło, jednakże wiele rzeczy jest innych, moje myśli stały się inne. W tym właśnie tkwi sedno sprawy. Chociażby wówczas, gdy po powrocie z Paryża stanęłam w mieszkaniu urządzonym mi tak hojnie przez ciotki, które przedtem były moimi przyjaciółkami. Miałam wówczas jakieś pragnienia, jakieś bliskie cele, w dodatku łatwe i przeważnie realizowane. Obecnie mam wiele rzeczy, takich czy innych, ale brak mi jakiegoś wyraźnego celu. Mąż i dziecko, problem kobiety. Chyba - nie dla mnie. Nie pociąga mnie ani jedno, ani drugie. Stanęłam na drodze życia.

Nie mogę zasnąć. Ale to nic! Wstanę i wyszukam sobie coś silnego na sen. Przecież sąsiedni gabinet doktora stoi otworem? Idę. Teraz chyba zasnę: adalina.

Niedziela - 30 lipca

Siedzę w wagonie restauracyjnym i wyglądam przez okno. Upał. Nikt mnie nie żegnał na dworcu. Poznań był o tym czasie wyludniony, upał, wszyscy wywiali za miasto w stronę lasów i zieleni. Po adalinie boli mnie głowa, widocznie kropnęłam sobie zbyt wiele na raz. Trzy pastylki. No, ale przeszło, grunt, że zasnęłam. Ciekawa jestem, co też się tam nazbierało w Warszawie w ciągu tych dwóch tygodni. Nowiny i listy. Panie pewno jeszcze w Krynicy, przy wyjeździe była mowa o czterech tygodniach, ale pewnie zrobi się sześć. A może kuzynka Elza nie wytrzymała w naszej perle uzdrowisk?

Warszawa -- wieczorem

Natychmiast po wylądowaniu na Hortensji zadzwoniłam na Żoliborz. Stryj Marcin odpowiedział mi, że nie wychodził z domu, ponieważ oczekiwał mego powrotu właśnie dzisiaj. W tej chwili czekam na przyjazd stryjka, mamy pojechać na kolację do jakiejś drewnianej budy na drodze wilanowskiej. Taka sobie warszawska chimera czy moda, ale trudno. Tymczasem przede mną leży spora kupka listów i pocztówek. Nazbierało się. Zgodnie z poleceniem nie odsyłano mi do Poznania. Zła jestem na tę niepotrzebną wyprawę do Wilanowa. Przecież kurczęta z sałatą można dostać na miejscu w Warszawie. Ale ludzie mają samochody i razem z nimi dodatkowe kaprysy.

Nocą

Godzina pierwsza, nie mogę spać. Obecnie mam głowę nabitą listami oraz projektami stryjka. Że też ludzie posiadają niespokojne natury, nie mogą usiedzieć w miejscu i zawsze muszą stwarzać myślowe łamigłówki!

Stryjek radzi jechać do Krynicy i asystować francuskim kuzynkom. Jakie tam francuskie, takie sobie rosyjskie i żydowskie, ni w pięć, ni w dziewięć, tylko że uplasowały się akurat we Francji. Florencja, no i ostatecznie Patrycja to są wyjątki gramatyczne, do których czuję zresztą osobisty pociąg. Ale ciotka Temmi, czyli inaczej Tamara, to tylko zwykły handlarz i geszefciarz w spódnicy. Obnosi jako rodzaj deseru życiowego swoją romantyczną przygodę z drugim mężem, owym panem Maltz. Co do Elzy - to nie warto pisać.

Właściwie nie wiem, co ona robi na świecie, mam jednak wrażenie, że niezależnie od zwariowanego snobizmu obraca kapitałami na pewno równie zręcznie jak jej papa Dubow w Genewie. Nie darmo właśnie na nią sypnął się spadek po szwajcarskiej babce. Ale to wszystko dla mojej sprawy obojętne. Stryjek natomiast jest zdania, że powinniśmy kręcić się w orbicie tych znajomych, którzy mają pieniądze. Podobno *das Geld ist rund, es rollt*, zawsze trochę tego złota zostaje w rękach tego, kto je dostaje do ręki lub chociażby o nie się ociera. Projekt stryjka jest gładki i nieskomplikowany. Był mocno zgorzony, że nie zadałam sobie trudu i nie przeszłam się ścieżką ogrodową na tyły fabryki przy ulicy Czterech Kamieni. Podobno było warto, ponieważ to jest pokazowa fabryka, jak na przykład u nas Wedel na Pradze. Ostatecznie wolałabym czekoladki aniżeli farby anilinowe i lakiery „jaśniejsze od słońca”. Głupota reklamarska, ale stryjek jest zdania, że z tego można wykręcić grubsze pieniądze. W dodatku tylko na początku trzeba przyłożyć się do organizacji, a później można by takie przedstawicielstwo odstąpić za udział lub, jeszcze lepiej, za jakąś okrągłą sumkę. Może stryjek ma rację, w takim razie trzeba pojechać do Krynicy i adorować krewne z Paryża.

W dodatku w Krynicy zjazd Jamborów ze wszystkimi naleciałościami rodzinnymi. Od trzech dni Leokadia, od dwóch tygodni Franuś z samochodem i z żoną, wujek Kowalski z Julcią, ale ten ostatni osobno i na boku. Podobno tylko Franuś z nim rozmawia, reszta poprzestaje na ukłonach. Ciekawa jestem, jak wybrnął z tą Julcią? Ale tego nie ma w listach. Generałowa nie w Żegiestowie, lecz razem z mężem i dziećmi w Iwoniczu. Podobno coś dolega generałowi jeszcze z dawnych czasów. Stryjek Józef wrócił już z Londynu, natomiast jest kartka pocztowa od młodszej Elfrydy, pojechała z Gardenami do szwedzkich Sopot pod Sztokholmem: Saltjebaden.

Równocześnie wiadomość od Marcina o pogrzebie starego doktora Baumana. Umarł w Truskawcu, przysłali telegram, ale stryjek nie mógł urwać się tego dnia z ministerstwa. Muszę napisać obszerny list do Kazi, dla niej to bardzo bolesna strata, ponieważ jest rodzinna i bardzo przywiązana do swego ojca. Tuchołka bawił krótko w Warszawie, załatwiał swoje sprawy w ministerstwie, Marcin mu trochę pomagał. Zapraszają do siebie na wieś, w okresie świąt Bożego Narodzenia, u nich podobno urządzają wspaniałe polowania. Mają dużo śniegu. Wielkie zjazdy ziemiańskie i podobno serdeczne okolice, jak to określał nasz szwagierek. Naturalnie Pelasia znowu przy nadziei, przyrzuci nową Tucbołkównę na świat w końcu listopada. Murowana córuchna, chociaż Piotruś zaklinał się, że tym, razem na pewno będzie chłopak. Za głupi on na to.

W Starej Wsi nareszcie zdecydowali się na spędzenie sześciu tygodni w Szwecji i Norwegii. Oboje starsi państwo Orzechowscy, wujcio Benedykt i młodsza pani Orzechowska z Warszawy. Lekarz wykręcił się z tej eskapady. Chyba nudna trasa, wszystkie fiordy są do siebie podobne, a jedynie nazwy są rozmaite. Gdy chodziłam do gimnazjum, zawsze gorszyłam nauczyciela geografii, ponieważ wybrzeże Norwegii rysowałam w sposób uproszczony, malując małe ząbki, takie, jakie wycina się kółeczkiem w ciastkach.

A zatem jutro wieczorem w stronę Krynicy. Gdzieś na początku tygodnia ściagną tam również stryjek Juliusz i Zośka. Ta - labuje, ale wybaczam jej, ponieważ tyle lat nie miała porządnych wakacji. Co prawda dla fasonu namawiałam ją przed rokiem również na paryską wyprawę, ale sama w to wówczas nie wierzyłam. Zbyt dalekie i egzotyczne dla Zośki. W dodatku jej notoryczne erotyki z kalendarzykiem wyjazdów handlowych do Łodzi i Bielska, dopasowywanych raczej do jej kobiecości niż do bławatego kupiectwa. Ale to nie jest ważne, skoro umie pogodzić jedno z drugim. W dodatku na straży bławatów - skarb w postaci ciotki Millerowej. To chyba już wszystko.

Tym razem jednak - po drodze do Krynicy - Rabka. Koniecznie. Muszę zresztą nie tylko obejrzeć małą na własne oczy, ale trzeba będzie również rozmówić się z jej ciotką. Wówczas w Grudziądzu mówiłyśmy wyłącznie o chorobie małej, a nie o niej samej. Same pieniądze nie

rozwiązują jeszcze całości problemu. Trzeba będzie nadać temu jakąś trwalszą formę. Tak, ale sama nie wiem, jak z tego wybrnąć. Niewątpliwie wina naszego ojca. Do niego należało ustalenie losu dziecka. Falszywy wstyd. W sposób zimny podchodzę obecnie do tego zagadnienia. Wstyd nie był na miejscu. Wczuwam się w rolę tego dziecka, gdy dorośnie. Marta. I tylko tyle. W dodatku w latach szkolnych będzie wypytywanie się nauczycieli o nazwisko ojca i matki. Głupie, ale niemniej realne i prawdziwe. Niedokończona sprawa, a takie zawsze złe są i przykre. Opowiadania pani Woźniakowej o słowach naszego ojca, że jego córka Anna jest z całej rodziny najmądrzejsza czy najrozsądniejsza, to były tylko słowa.

Piszę nieporządnie. Piszę, a myślę o czymś innym. Lakiery firmy Maltz w Warszawie, następnie w Krakowie, w Katowicach i w Poznaniu. Patrzą już oczami stryjka Marcina. To się udziela... Lakiery, sklepy reklamowe z wystawami. Na wystawach różne przedmioty stare i zużyte, odświeżone i pomalowane jedynie w połowie lakierami firmy Maltz. Stare łóżka żelazne, stare stołki kuchenne, stare pudełka, wszystko tylko w połowie odnowione w różnych kolorach, i równocześnie nakręcona reklama w gazetach. Firma Maltz, firma francuska, paryskie lakiery, jaśniejsze od słońca, po przemalowaniu ładniejsze od nowych, no i naturalnie pod spodem: Generalny przedstawiciel na Polskę A. Jambor lub jak stryjek doradza: Magister A. Jambor, to ostatnie bardziej pasuje do lakierów. W wyobraźni stryjka - kolejki przed sklepami i tłum agentów, podróżujących i wyczekujących w poczekalni generalnego przedstawicielstwa. Lokal? Chociażby przy ulicy Górskiego. Od stycznia zwalnia się sąsiednie mieszkanie na tym samym pięttrze, co moje, i jakieś składy w podwórzu. Stryjek już je dla mnie zarezerwował. Nawet o tym nie wiedziałam, mimo że jestem w tej kamienicy kimś w rodzaju wicekróla. Administrator - kanciarz, w każdym razie stryjek lepiej pilnuje go z odległości Żoliborza niż ja na miejscu w domu. Człowiek obrotny, być może przydałby się w lakierach. Szkoda tylko, że tak mało wiem o lakierach. Głupstwo zrobiłam w Paryżu, a obecnie trzeba będzie odrabiać to wobec Mrs Maltz. Nigdy nie wiadomo. To, że w Belgradzie wpadłam na pomysł z Paryżem, było jedynie szczęśliwym przypadkiem, wygraną na loterii, a nie rezultatem jakiegoś rozumnego postępowania. Nie wiadomo, jak się rozkręca sprawy z Zajliczem, ale właśnie moja orientacja w Belgradzie zwróciła na mnie uwagę paryskich lakierników.

W tym całym interesie tylko jedno mnie złości. Przecież ostatecznie nie jestem biedna, a stryjkowie traktują mnie jak rodzinnego beniaminka. W Gdańsku wymalowali mi w debecie tysiąc dolarów, nie upominają się, Górki urządziły nam pożyczki na spłatę Tuchołków, a obecnie Marcin uśmiechnął się przy kurczętach i powiedział dowcipnie:

- Gdy ci będzie potrzeba gotówki, Anno, to jakoś urządzimy.

Kiedy ja nareszcie oderwę się od tego protekcyjnego pępka rodzinnego? Najlepiej byłoby wszystko zlikwidować i wynieść się w jakieś dalekie i nieznanne. Wówczas nastąpiłaby próba sił i próba sprytu Anny Jambor wśród obcych pokrzyw i ostów. A tymczasem tutaj na fiołeczka wszyscy chuchają i dmuchają.

Z Belgradu był list od moich gospodarzy. Jacy oni uważni, nie przegapili świętej Anny. Z finansowych spraw: zabieram z sobą do Krynicy trzy tysiące. Zobaczą, jak wypadnie w Rabce.

Z mojego paszportu do wszystkich krajów europejskich z wyjątkiem Rosji Sowieckiej i Litwy... nici. Niedługo skończy się roczny termin jego ważności. Stryjek pociesza mnie, że może wystarać się dla mnie o taki sam paszport na miejscu w Warszawie. Przy deserze wyśmiewaliśmy się oboje z jugosłowiańskiej błyskotki.

Zapytywałam stryjka, co myśli o lakierach w ręku Zajlicza. Odpowiedział, że wyobraża sobie z tego źródła ładne kilka tysięcy prowizji dla mnie. Gdy wspomniałam, że przecież przyszłe przedstawicielstwo na Polskę już jest dla mnie dużo warte, stryjek mówił, że to są dwa różne interesy, a w handlu każdy interes rozpatruje się osobno: a zatem w rękach *gaspadin* Zajlicza spoczywa i dla mnie jakaś poważniejsza prowizja z Paryża za znalezienie

dobrego agenta, o co nie jest łatwo w tamtych stronach, a od pana Zajlicza dla moich gospodarzy za skontaktowanie go z moimi (?) lakierami. Bo chyba nie o moją osobę w tym wypadku chodziło.

Co do samej wyprawy belgradzkiej, stryjek powiedział, że wynik jest prawie nieważny, minimalny. Chodziło w tym wypadku o ruch w interesie, myśmy pojechali do nich, za kilka miesięcy oni przyjadą do nas. Podobno w projekcie jest zaproszenie nas na jakieś przyjęcie do jugosłowiańskiego poselstwa w Warszawie. Obiadek lub kolacyjka. Trzeba będzie pójść z orderem, by im zrobić przyjemność. Tak mówił stryjek. Ani myślę. Wystarczy, że pokazuję go gościom. Już wyjęłam go z szuflady biurka i umieściłam efektownie obok wyłoczonej filiżanki z końca XVIII wieku. Podobno rzadki okaz, pochodzący z naszego Korca, filiżanka do czekolady - dla szlachciców z wąsami. Połowa górnej części filiżanki przykryta, a tylko na brzeżku jest otwór do picia. Aby się wąsy mościcielów nie zamoczyły. Tak mi tłumaczono, tylko że z większym uszanowaniem. Zabytek ze Starej Wsi, prezent Gabrysi. Dobrze, że trafił w moje ręce, a nie umieszczono go u starozakonnych Kunsthandlerów na ulicy Świętokrzyskiej. Tam również można nabyć, za niewielką zresztą gotówkę, portrety cudzych przodków oraz sygnety z herbami do wyboru, do koloru lub mierzone według pasowania złota na palcu.

Moje ostatnie łupy miniatur ze strychu, a raczej ze staroświeckiego kufra na strychu w Górkach, już znajdują się w rękach specjalisty. Mistrz ramiarski z Krakowskiego Przedmieścia nie podjął się tego zamówienia i skierował mnie do innego kolegi. Przed wyjazdem zaniósłam dwie paczuski, niedaleko, na Bracką. Nowy mistrz nazywa się; Ciesielski czy też Cieśliński. Rzeczywiście artysta, mimo że to jest tylko sklep z ramami. Pytał, czy nie zechciałabym sprzedać, ma amatorów. Dobry sobie. Zrobiłam wielce zgorzonia minę i musiał przeproszać. Był wyraźnie speszony. Ale całość dopiero w połowie września, ponieważ takie rzeczy robi osobiście, a był właśnie na wyjeździe, wakacje. Nie spieszy mi się ostatecznie. Powieszę w okolicach mojego sekretarzyka pod oknem. Taki kącik z miniaturami bardzo ładnie wygląda. Nowe rzeczy to nuworysze, ze starymi rzeczami jakoś różnie w życiu. Zmieniłam ostatnio poglądy. Stare rzeczy dodają w życiu otuchy, nowe czuć zawsze lakierem. Tfu, przepisałam się. Lakiery! Ale trudno, każdy z ludzi ma dwa oblicza, jedno takie, jakiego wymaga świat, życie, otoczenie, po prostu przymusowe warunki życia. Drugie oblicze natomiast jest osobistą własnością człowieka. To świat jego myśli, tych, których się nie wypowiada. Moje drugie oblicze tkwi na razie, jak jedwabnik w oprzędzie, w bloczkach do zwierzeń.

Jutro rano zadzwonię do panny Starzeńskiej i umówię się z nią na pół czarnej. Przecież może wyskoczyć z ministerstwa, nie gwałt, teraz i tak są pustki w biurach, ponieważ klienci przebywają na wakacjach. Zapewne psy na mnie wieszają. Zobaczymy - posłyszemy.

Marcinowi nie przyznałam się, że jadę do Rabki, wyglądałoby jakoś dziwnie. Mówiłam jedynie ogólnie, że mam zamiar wstąpić do Krakowa na dwa-trzy dni i rozejrzeć się, jak by wyglądał mój czwarty rok prawa w Krakowie. To przecież porządny stary uniwersytet z tradycją. Uniwersytet Poznański - to brzmi jakoś dziwnie kuso, Jagielloński ciągnie - jak się to mówi - swoją dostojną historią.

Poniedziałek w południe

Już po (rozmowie z panną S. Naturalnie - jak przewidziałam. Galicyjski konkurent rozpuścił fałszywą, że wybieram się za męża i że znalazłam sobie - za granicą! - bardzo bogatego, ale bardzo starego właściciela ziemskiego. Wyglądało tak, że tabetyk. W biurze wierzą i zaraz dodali, że ja zawsze dęłam nos w górę. Głupcy i niewdzięczni, ale pożyczają ode mnie do pierwszego to umieli. Zresztą gwizdzą na to. Szkoda, że nie mogą obić mordy temu wicewymoczkowi z krainy krakowskich centusiów!

Jadę na noc, źle, ponieważ bez sleepingu.

Obiad zjadłam u Salisa. Ścisk, nie wiadomo dlaczego akurat tutaj tłoczą się ludzie. Jedni jedzą, a drudzy już kłócą się o miejsca, na których jeszcze siedzą inni. Niby czysto, a jednak brudno i dla mnie jakoś nieapetycznie, jakby w szpitalu. Niby jedzenie dobre i zdrowe. Lokal obskurny i całkowicie pozbawiony wdzięku. Stary Salis stoi przy kasie i pilnuje argusowym okiem gości i kelnerów. Buda. Pomimo to lokal leży bardzo blisko mojej uliczki i jak by to powiedzieć, pod ręką czy też pod nosem, gdy się człowiekowi nie chce myśleć, dokąd pójść. W każdym razie warto wpaść tam od czasu do czasu, aby ocenić różnicę pomiędzy publiczną garkuchnią, a porządnym jedzeniem u siebie w domu. Niech żyje moja Wiktorია!

Obecnie siedzę w pustym mieszkaniu i straszają mnie zjawy mebli w pokrowcach. Bo tak czyniły nasze babki i prababki. Po powrocie Wikci każe je wyprać, może w ten sposób tracą sklepową sztywność świeżo nakrochmalonego materiału. Także pomysł. Gdy wypiorą, to jeszcze lepiej nakrochmalą. To przecież ich duma.

Gońco i parno. Zdałyby się francuskie żaluzje w oknach od frontu. Idealny właściciel spełniłby takie życzenie lokatorki, ale jak tutaj powiedzieć o tym własnemu stryjkowi? Przecież trzeba by sprawić jednakowe żaluzje do wszystkich okien w kamienicy. Głupstwo, myślę i rozumiem jak dziecko. Lepiej przestanę pisać i położę się na mojej kanapce z Bydgoszczy. Kto na niej siadywał w charakterze pierwszego właściciela? Nigdy tego nie docieknę, chyba w drodze jakiegoś seansu spirytystycznego. A ja przecież, po swojemu, nie wierzę w duchy i tym podobne bajdy.

Wśród wielu listów brak wiadomości od Hemricha. Pewnie obaj wyjechali, mój Krystynek do Ameryki, a Heinrich na jakieś studenckie wakacje z plecakiem i kijem w ręce, jak to w Niemczech praktykują.

Czwartek - w pociągu

Upał. Obrzydliwe gońco. Południe. Siedzę w pociągu na bocznej linii z Chabówki do Nowego Sącza. Ludzie rzadko nią jeżdżą, a Pan Bóg i władze o niej chyba zapomnieli. Wiejskie kobiety z tobołami oraz górale, ale wyglądają mniej malowniczo niż w Zakopanem. Późnym wieczorem dotrę do Krynicy, naturalnie będzie się nazywało, że z Krakowa.

Mała dobrze wygląda. Bardzo się ucieszyła. Patrzyła na mnie jasnymi oczami i mówiła mi z wielką serdecznością: ciociu Aniu. Doprawdy wolałabym, aby mówiła po prostu: Aniu, Anno, ale na to nie ma rady.

Dotychczas mało myślałam o tym, że matka Marty przybyła do Grudziądza jako mała dziewczynka. Stryjeczny brat jej matki wychowywał dziecko przez kilka lat, ale później zmarł i kilkunastoletnia Jadzia została u wdowy. Problem pani Woźnikowej, która poświęciła swoje życie wychowaniu dziewczynki. Później spotkał ją zawód i rozczarowanie.

Wstyd o tym pisać. Ale opowiadanie było nacechowane taką smutną powagą i tak zwięzłe, że przejęłam się serdecznie. Omal nie rozplakałam się. Spostrzegła to pani W. i od razu przerwała. Zamilkła, ale wystarczyło kilku słów. O tym, że znajomość zaczęła się niewinnie w cukierni i w kinie, a później od razu po tygodniu było spojenie podczas kolacji - i koniec. To samo spotkać mogło, w przeszłości, również mnie samą. W dodatku spotkało - w innych okolicznościach, bardziej niesamowitych. Lecz mniej tragicznych. Dokładnie w trzy lata później. Ale pierwsza noc w Grudziądzu zrodziła noce następne, a w chwili gdy Jadzia zwierzyła się swojej opiekunce, już było za późno. W dodatku ludzie nie byli wówczas tak rozwydrzeni i perfidni. Na świecie zjawilo się dziecko, a Benon Jambor podszedł do zagadnienia w sposób chwiejny.

Mała przyszła na świat w grudniu 1925 roku, a w dwa lata później umarła jej matka. Ojciec małej po urodzeniu dziecka zachodził do mieszkania pani Woźnikowej. Jakaż to była sytuacja, niezrozumiała dla mnie. Podobno rozmawiano tam o naszych stosunkach rodzinnych... jeszcze za życia Jadwigi Kalatówny! W jakichś dwudziestych szóstych i siódmych latach. W roku mojej matury. I w roku następnym, tak trudnym dla mnie! Dopiero

obecnie rozumiem moje oddalenie od domu rodzinnego i pozostawienie mnie w dalszym ciągu u ciotki Katarzyny. Trzy czy cztery lata różnicy pomiędzy młodą kochanką a najmłodszą córką. Problem wdowca, ojciec przekraczał w tym czasie pięćdziesiątkę. Podobne zagadnienie zjawilo się również nie tyle w moim życiu, co w opowiadaniu Leokadii o Braunholdzie. Cóż? Doprawdy nie umiem sobie na to odpowiedzieć.

Siedzę samotnie w przedziale drugiej klasy, który na tej bocznej linii jest zbędnym anachronizmem. Duszno, zanosi się chyba na burzę. Pociąg wlecze się z górki na górkę, lokomotywa sapie i z trudem pokonuje różnice poziomów. Pochodzi chyba z czasów królowy Wandy.

Staram się wczuć w sytuację. Psiakrew! Wydaje mi się, że ta nieznana mi Jadwiga zamartwiała się. Niewątpliwie rozpaczala, gdy było już za późno, To nie był problem Zośki Jambor, która pojechała na drugi koniec Polski i za pieniądze pozbyła się kłopotu w sposób elegancki i stosunkowo łatwy. To była dziewczyna chodząca do kościoła i szanująca pierwsze piątki w miesiącu. Widzę to wszystko i niemal dźwięczą mi w uszach słowa Jadwigi, które padały wówczas w próżnię serca pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Nie umiem inaczej napisać o moim ojcu. A równocześnie zdaję sobie sprawę, że wypowiedzi mojego rodzeństwa w sprawie małej Marty byłyby jednakowo zimne i obojętne. Co najwyżej każde z nich po swojemu określiłoby wysokość kwoty pieniężnej. Na drugi dzień zapomnieliby o tym, a być może kiedyś, po roku czy dwóch, żalowałoby wydania głupich kilku tysięcy złotych. Być może nie mówiliby o tym, lecz tak myśleli. Tak postąpiłby Tuchołka, a razem z nim Pelasia, mimo że sama jest matką dziewczynek. Krystynek machnąłby ręką, pieniądze potraktowałby jako odczepne, wysokość kwoty zależałaby od jego humoru czy okoliczności. Być może powiedziałby przy tym jakieś głupstwo, które by zabolalo. Zośka. Niby ma dobre serce, lecz nie wiem, w jakim kręgu to serce działa w sposób serdeczny i bezinteresowny. Kolejno - ja. Na pewno gdzieś w głębi mojej istoty czai się myśl, że lepiej, gdyby to wszystko nie było się wydarzyło. Ale nie wiem, nie jestem pewna. Przecież do każdego dziecka, nawet obcego, można się przywiązać.

A moja mała z taką ufnością podbiegła ku mnie. Ciocia! Było dużo serca w tym okrzyku i trudno było nań nie odpowiedzieć serdecznie.

Problem nieszczeroci - niesłuchanie trudny. Po śmierci ojca powiedziano małej, że umarł wujek, ten wujek, który ich odwiedzał i przysyłał pieniądze. Mała dziewczynka nie znała przecież swej matki. Dwa latka. W tym wieku dzieci zaledwie chodzą, lecz nie zachowują jeszcze na przyszłość swoich wspomnień.

Zmęczyło mnie pisanie. Wagon w dodatku trzęsie niemiłosiernie. Jakaś nowa stacja. Limanowa. Przez okno podano mi wodę w kolorze żółtym. Cytrynowa. Ciepła. Spróbowałam, lecz nie mogłam jej wypić. Podobno; już jest połowa drogi do Sącza. Spróbuję podrzemać.

Burza. Obudziłam się. Biją pioruny. Ściemniło się, lecz pociąg jedzie dalej według planu. Tylko że odsunęłam się od okna w kąt wagonu przy drzwiach. Ciekawe. Podobno nie ma wypadku, żeby piorun uderzył w jadący pociąg. Z fizyką nie byłam za pan brat.

W Krynicy

Rozmowy były na razie krótkie. Przyjechałam prawie w nocy. Spodziewano się mnie i zarezerwowano mi pokój. Sama mieszkam. Czuję zmęczenie, kolacji prawie nie tknęłam, mimo że zaimprovizowali mi ją w pokoju. Rozlokowanie w pokojach ciekawe. Obie ciotki w jednym pokoju. Florencja z Elzą, a ciotka Temmi osobno. Co też tam w Paryżu porabia Mr Koki? Zapewne obsikuje kanapy i bierze w skórę od służby. A może powierzono go specjalnej opiece pana Krymułta? Na razie nic więcej.

Sobota - 5 sierpnia

Już prawie połowa mojego urlopu, ponieważ trudno nazywać urlopem poznańskie obkuvanie się przed egzaminem. Dzisiaj w nocy przyjeżdża Marcin, a jutro nasi zakopiańscy turyści. Pomimo braku mężczyzn idziemy całą kobiecą paczką na wieczorny dancing. Jakoś nie zadawano mi pytań, skąd przyjechałam. Pogoda trochę się odmieniła, codziennie pada.

Niedziela - wieczorem

Tak się złożyło, że rano poszłam z ciotką Elfrydą do kościoła. Sama mi to zaproponowała. Stryjek przyjechał późno i jeszcze spał. Florencja *ditto*. Po kościele ciotka wróciła do pensjonatu, a ja skoczyłam napić się kryniczanki. W pijalni nie było towarzystwa, lecz na samym wstępie natknęłam się na grudziądzkiego wujka z panią Julią. Nie było rady. Przywitaliśmy się w trójkę: z widzenia już się znałyśmy, podjęłam inicjatywę. Wujek uśmiechnął się, po czym pokręciliśmy się po pijalni, a wkrótce później włączyliśmy się w nurt krynickiego deptaku. Szło mi bardzo gładko. Cóż mnie ostatecznie obchodzi rodzinne czy towarzyskie siekiery wojenne? Zresztą Krynica to nie Grudziądz, wolno zatem i pani Julii Murskiej przyjechać na kurację. Co prawda dobrze, że nasi mnie nie spotkali, ale chyba jedna Leokadia i Marcin, reszcie bowiem pani Julia jest niewiele znana.

Tak - nic nowego. W południe wspólny obiad, a po obiedzie całkiem niepotrzebnie skleiły się dwa komplety brydżowe. Ciotka Temmi i ja oraz jakieś małżeństwo z Warszawy. Pan w nieokreślonym wieku, tytułując go prezesem. Elza kibicowała z Marcinem, a obie ciotki grały do spółki z jakimiś panami, których prawie nie znam.. Florencję podobno głowa bolała i pokazała się w towarzystwie dopiero wieczorem. Całe szczęście, że do kolacji się skończyło. Obecnie jest trochę ciszy, ponieważ za trzy godziny jedziemy całą paczką na dworzec po stryjka Juliusza z Zośką. Właściwie naprawdę tylko po stryjka, gdyby chodziło o dokładność. Z pokojami ciasno, mój pokój zajmie stryj, a obie z Zośką mamy umieścić się w małym pokoiku, piętro wyżej, pod niebem. Ale to nie jest ważne, nie chcemy rozbijać się na dwa pensjonaty. Gorzej tylko, wspólny pokój z Zośką - to nocny młynek do gadania. Zwierzenia bez końca. Coraz bardziej oddalam się od mojego rodzeństwa. Krystynek prawie stracony. Pelasia daleko i prawie już obca, a Zośka nudna.

Poniedziałek - wieczorem.

Wszystko już na nowych torach. Stryjek z Chicago wniósł do naszego towarzystwa niespokojność myśli i czynów. Niebywale żywotny. Wszędzie by chciał być i wszystko widzieć. O spokojnym posiedzeniu nie ma mowy. Nawet Mrs Maltz rozruszała się. Na dzisiejszym dancingu tańczyła, naturalnie z Amerykaninem. Gdy oni rozmawiają po angielsku, rozumiem tylko, w połowie. Stryjek mówi przez nos i jakoś inaczej. Dialekt amerykański, przed którym ostrzegał mnie mój poznański nauczyciel. Ale bądź co bądź nie sprzedano by mnie już nawet w takim dialekcie. Kuzynki z Paryża twierdzą, że mam zdolności językowe. O dziwo, nawet Leokadia umie trochę po angielsku, jeszcze z dawnych niemieckich czasów, gdy pomagała Braunholdowi w korespondencji.

Dzisiejszy dzień zmęczył mnie. Ale nie Zośkę, która jeszcze obecnie młóci w karty razem ze stryjkiem. Pomimo że już jest dobrze po północy. Wywinęłam się. Skorzystałam z rozgardiaszu. Dzisiaj tak trochę w grubszych zarysach rozmawiałam z Mrs Maltz. Wypytywała o szczegóły w sprawie osoby pana Zajlicza.

Marcin wyjechał wieczorem z powrotem do Warszawy. Nasz pobyt przedłużony do czwartku w związku z amerykańskim stryjkiem. Dokładnie dwudziestego obie kuzynki wracają do Paryża. Ze stryjkiem Juliuszem niewyraźnie, ponieważ zapraszają go na rue du Pont Vert. Stryjkowi w to graj, mówi że podoba mu się nic-nie-robienie. Wierzę mocno. Opowiada, że gdyby miał milion dolarów, to podzieliłby go na dziesięć równych części i wydałby je z fasonem po sto tysięcy rocznie. Później przestawiłby się na wydanie reszty w sposób spokojny, do końca życia. Mowa o pozostałościach z miliona, w postaci jakichś

procentów w ciągu pierwszych dziesięciu lat. Naturalnie z zastrzeżeniem, aby tymczasem diabli nie wzięli stryjkowi tego miliona, o co w Ameryce nie jest trudno! Bank i akcje to możliwość bankructwa, a zakopywanie złota w ogródku to miła perspektywa dla gangsterów, którzy o wszystkim wiedzą i o wszystkim się dowiedzą. Ale to tylko urojenia amerykańskiego stryjka. Całe szczęście, że jego ambicje nie przekraczają miliona, i dzięki Bogu, że w ogóle istnieje w nim świadomość możliwości wydawania pieniędzy. Mrs Maltz zapytała z miejsca:

- A gdyby zamiast miliona dolarów znalazło się dziesięć milionów?

Stryjek roześmiał się hałaśliwie i odpowiedział bardzo dowcipnie, że w niczym by to nie zmieniło jego projektów, zamiast po sto tysięcy - wydawałby po milionie dolarów rocznie. A więc nie chodziło mu o ilość wydawanych dolarów, lecz o fantazję w wydawaniu, a to stwarza już zgoła inny obraz charakteru stryjka Juliusza, na jego korzyść.

Mój urlop w Krynicy wypada jakoś nieszczególnie. W miłym harmiderze, lecz bardzo niespokojnie. Przydałby mi się jakiś miesiąc zeszłorocznej Mentony. No, ale trudno. Zajlicz napisał do Paryża nowy list, że zjawi się tam dokładnie pomiędzy piątym i dziesiątym września. Zośka napiera się, abym sobie z góry umówiła prowizję od interesu z Zajliczem. Myślę raczej, że nie. Temmi to przecież rodzona ciotka Florencji i Patrycji. Oczekam, ostatecznie nie liczę specjalnie na te pieniądze, nie spieszy mi się zatem. I tak to będzie dla mnie tylko jakiś złoty Handkuss, nic więcej. Moja siostra myśli w dalszym ciągu wąbrzeskimi kategoriami.

Wtorek - 8 sierpnia

Cały dzień dzisiejszy wypełnili nam Fransiowie. Ona naturalnie w pretensjach, bogactwo ją rozpycha. Franuś wesoły, sypie dowcipami jak z rękawa. Nawet się nie spodziewałam, że babsztyl umie dość dobrze po francusku, kto wie, czy nie lepiej ode mnie. Maniery bez zarzutu, jedynie geldhabowskie porywy, ale stosunkowo znów nie takie straszne. Elza mówi, że u nich we Francji kręci się sporo takich typów. Naturalnie cudzoziemcy, ponieważ rodowici Francuzi mają raczej zmysł do chowania pieniędzy, na początku do pończochy, a potem dopiero lokują je w rencie. Jutro jedziemy całą paczką na wycieczkę do Żegiestowa, bardzo oryginalnie, ponieważ fiakrami. Tutaj obowiązuje taka nazwa.

Środa - 9 sierpnia

Rano pogoda niespecjalna, ale jedziemy.

Czwartek - 10 sierpnia

Wczorajszy dzień był zmarnowany. Popadywało i na odmianę, gdy nasze towarzystwo klęło, ukazywało się słońce i poprawiały się humory. Dzisiaj wszyscy zaspali, ja wyrwałam się jak ranny ptaszek i popijam „Jana z Zuberkiem”, jak należy, podgrzanego, przez rurkę. Notuję krótko:

Tak się złożyło, że po drodze utknęliśmy w jakiejś obskurnej karczmie i każdy zabawiał się, jak umiał. Mnie przyparła w samotności Elza i ni stąd, ni zowąd zapytała mnie po swojemu obcesowo, czy wiem, w jaki sposób zrobił karierę Wirewicz. Naturalnie zmrużyłam oczy i głęboko zapuściłam firanki moich rzęs, by pokryć zakłopotanie. Dość płynnie jednak szepnęłam:

- Wiem - i równie szybko usłyszałam drugie pytanie, czy wiem wszystko? Czy wiem - o skrzyniach z roku 1920 i epilogu z roku 1926. Nie mam pojęcia, skąd przyszło mi na usta takie objawienie, ale powiedziałam śmiało:

- Tak, ale te sprawy zostały już definitywnie „zakłajstrowane” i utonęły w... niepamięci...

Elza przyjrzała mi się bardzo osobiście, ale na tym się skończyło. Trzeba będzie zapytać przy okazji Marcina, bez wplątywania w to kogokolwiek.

Dlaczego Elza postawiła właśnie mnie takie pytanie? Ma przecież bliższą drogę do Florencji, swojej krewnej. Nie umiem na to odpowiedzieć.

Sobota - 12 sierpnia

Warszawa. Nareszcie mam trochę spokoju. Zośka odjechała do Wąbrzeźna dzisiaj wczesnym rankiem. Odetchnęłam. Stryjek żegna nas również i jedzie razem z paniami do Paryża. Mówi o statku w końcu września, ale nikt z nas w to nie wierzy. A niechże się bawi!

W chwili obecnej mam trochę spokoju i rozkoszuję się samotnością. Dopiero jutro wieczorem wraca moja Wiktoria. Leokadia zapowiedziała, że wyprawi ją do Warszawy z jakimiś nowymi pakami, samochodem ciężarowym. Dalsza spuścizna po dawnych dziedzicach z Górek, ciotka mówi, że trzeba stary dwór odczyścić i odgracić.

Stryjek wywiał gdzieś na brydża, którego urządził ów prezes, poznany przez nas w Krynicy. Nie ma obawy, ponieważ stryjek gra uważnie i bije partnerów szybkością decyzji. Wygrywa prawie stale. Ma inny styl, nieuchwytny dla nas. Nie poszłam, ponieważ oni grają bardzo wysoko, taki brydż jest gorszy od pokera.

Pokrowce zdjęto już z mebli i mieszkanie wróciło do dawnego wyglądu. Z gospodarstwem trochę kulawo, ponieważ rodzina stróżów nadaje się jedynie do sprzątnięcia, i w dodatku pod czyjąś komendą. Nie mam zdrowia ani ochoty do tego. Śniadaniem zajmuje się córka stróża, resztę urządzamy sobie poza domem.

Warto uwiecznić w moich bazgrołach, że podczas obiadu w Żegiestowie spotkaliśmy się z grudziądzkim wujkiem. Tak się złożyło, że dopiero w Żegiestowie, a nie w Krynicy. Przywitania były całkiem naturalne, tylko jedna Leokadia jakoś na początku mrużyła oczy. Powiedziała mi później, że taka znajomość nie będzie wygodna w przyszłości w Grudziądzu, ale trudno. Natomiast Franusio wie bez żadnych wahań, oni zresztą zawsze bardzo dobrze żyli z Janem Kowalskim. Julcia również bez zarzutu, zachowywała się bardzo powściągliwie. Kto wie nawet, czy nie będzie z niej kiedyś moja następna ciotka? Co prawda nie wytrzymuje porównania z Kazią, na to jednak nie ma rady. Starsi panowie na ogół zawsze żenią się z długoletnimi kochankami lub takimiż gospodyniami czy nawet kucharkami. To ostatnie jest jeszcze gorsze od pierwszego, zwłaszcza dla rodziny. Bo nigdy nie wiadomo, co lepiej zrobić, odtrącić, czyli nie uznać, czy od razu rzucić się na szyć. A decydować trzeba się z miejsca i w pierwszym dniu, ponieważ im później, tym gorzej. Później powstają niesnaski i gorycze. Zresztą co mnie do tego? Julcia Murska to taka sobie dobra maszyna z obrazkową urodą oraz reprezentacyjną figurą. Leokadia, bez jej rozumu. Dobra w kasie sklepowej, jeszcze lepsza zapewne w łóżku. Poprzedni mąż nieważny, dzieci również, to wszystko już tylko jakieś wspomnienie, zatarte dla niej zresztą przez czas. U takich typów wspomnienia pierze się w wodzie zapomnienia, podobnie jak brudną bieliznę. Znakomitym mydłem w tym wypadku jest dobrobyt, a wydrowatość równie dobrze zastępuje sodę. Można dosypać zamiast chlorku trochę bezwstydnego lubieżności, a dawne doświadczenia erotyczne potraktować jako farbkę, która... uszlachetnia.

Julcia zatem to taka sobie Julcia, która akurat jest w erotycznym typie wujka Jana i tyle. Po cóż zatem wujek miałby się z kimś czy czymś liczyć? I tak nie zapisze mi swoich grudziądzkich kamienic, a zatem całkiem obojętne, czy majątek po jego śmierci dostanie się Julci, czy jakiejś innej Małgorzacie. Może nawet lepiej, że to będzie imiennie Julia Murska, niżby to miał być jakiś inny kociak, na przykład... Stefcia.

Jutro niedziela, zapowiedziałam stryjkowi, aby mnie nie budził i nie oczekiwał, że mu przyniosę śniadanie pod brodę do łóżka. Koło jedenastej wydobanę go z łóżka i pójdziemy gdzieś na śniadanie w mieście. Niedziela - nie ma potrzeby się spieszyć.

Za trzy dni do biura. Niestety.

Poniedziałek - 14 sierpnia

Moja perła wróciła z wakacji i już objęła rządy nad moim panieńskim gospodarstwem. Panieńskim - tak to określił dzisiaj mój stryjek podczas kolacji. Dzisiaj bowiem była u mnie skromna kolacja dla całego Żoliborza, popisowy jednak numer dla Wikci, stęsknionej do działalności po Górkach! Jutro funduje stryjek przyjęcie u Langnera, w środę po raz ostatni u mnie nieskromna kolacja dla tłumu gości, a w ostatni wieczór wystawne przyjęcie na Żoliborzu. W ten sposób program zostanie całkowicie wyczerpany, w piątek wieczorem koniec wywczasów zagranicznych gości. Stryjek jedzie z paniami do Paryża.

Sobota - 19 sierpnia

Spokój. Co prawda Wikta powiedziała mi dzisiaj przy obiedzie: - Będzie nam obecnie smutno - ale miała widocznie samą siebie na myśli. Ona lubi ruch i przepada za przyjęciami. Widocznie „proboszcz mojej gospodyni” lubił podejmować gości wytwornym jedzeniem. Cóż mu jednak brakowało? Przecież tak czy inaczej kawaler, a miał podobno ponad sześćset morgów dobrej ziemi, tuż przy plebanii. Życ i nie umierać. Cóż więcej miał do roboty? Pracy niewiele, a przyjemności według życzenia, bez ograniczeń...

W biurze nijako, bez wrażeń. Odczepili się ode mnie, zresztą u nas trwa jeszcze okres wakacyjny. Postanowiłam zapraszać moich dyrektorów i bractwo brydżowe tylko jeden raz w miesiącu. Już nawet lansowałam ustalenie ostatniej soboty w każdym miesiącu. Jedzenie u mnie dobre, a w takim towarzystwie zawsze mają odłożone pięćdziesiąt czy sto złotych na niespodzianki brydżowe. Gra zresztą na ogół jest wyrównana i nie ma specjalnych odchyłeń. Już zapowiedziałam mojej Wikci przyjęcie w przyszłą sobotę. Ale na tym będzie koniec, pozostałe soboty trzeba będzie rezerwować dla Mokotowa i Żoliborza. W dalszym ciągu urzędnicze soboty, ale na to nie ma rady.

Na razie odpoczywam. Zaczęłam czytać francuskie tłumaczenie Forsytów. Mam wrażenie, że panem Krymułtem przy wyborze tego podarunku dla mnie kierowała raczej bogata oprawa, a nie sama treść. Co do lektury, postanowiłam czytać obecnie wyłącznie francuskie książki i częściowo angielskie. Utrudni mi to czytanie, przeczytam znacznie mniej, lecz w zamian zyskam na językach. To i tak nie ma najmniejszego sensu połykać codziennie nową książkę. Tak czyni podobno Zośka, ale cóż ona ma czynić z wieczorami po zamknięciu kasy? Książkę należy przeżyć, nie wystarczy samo tylko przeczytanie. W dodatku nie warto czytać w nieskończoność wszystkiego, co przypadkiem tylko wpada w ręce. Do książek należy podchodzić raczej z nieufnością i niedowierzaniem, traktować je jako coś w rodzaju potencjalnych kochanków. Przecież i tak nie oddajemy się wszystkim mężczyznom, którzy się nam podobają! Nigdy bowiem w jednym mężczyźnie nie odnajdujemy całości naszych zainteresowań.

Nie chce mi się już więcej pisać. Kąpiel, łóżko i spanie. Przedtem jakaś lekka kolacja, omlet z konfiturami i nieosłodzona herbata. Gdyby chodziło o konfitury, to dzięki Górkom mogłabym wytrzymać oblężenie. Reszty pak ze wsi jeszcze nie zdążono rozpakować. Gorzej byłoby z trunkami, tych nie posiadam na miarę Portosa.

Niedziela - 27 sierpnia

W tygodniu był list od Krystynka. Dojechał szczęśliwie i na razie jest bardzo zadowolony. Głupio, ponieważ mój brat po raz pierwszy napisał do mnie list po niemiecku. Bardzo głupio i na razie mu nie odpiszę.

Wczorajsze przyjęcie u mnie mimo wystawności było nudne. Wikta przygotowała zbyt wiele zarcia, muszę ją w przyszłości powstrzymać od takiej przesady. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że moim przyjęciom brakuje jakichś atrakcyjności. Jedzenie to jeszcze nie wszystko! Wolałabym mniej wystawności w jedzeniu, za to więcej dowcipnych powiedzeń. Tymczasem u mnie na przyjęciach - jedzenie i młócka przy brydżu.

Środa - 6 września

Wczoraj zjawili się w Warszawie obaj stryjkwie, Józef i Paweł, gdańskim samochodem. Interesy. Długie narady na Żoliborzu, gdzie zresztą się umieścili. Nie pytam.

Był list z Grudziądza. Mała chodzi do szkoły - zdrowa. Prowadzę bardzo spokojny tryb życia. Biuro, codziennie tylko jedna godzina w „Ziemiańskiej”, ostatnio pod rząd byłam dwa razy w kinie, na filmach amerykańskich. Staram się prowadzić unormowany tryb życia. Przecież niczego mi nie brakuje, chyba tylko męża, jak to powiedział ostatnio nasz administrator. Odpowiedziałam mu półzartem, że właśnie dlatego niczego mi nie brakuje, ponieważ nie mam kłopotów z mężem! Popatrzył na mnie dosyć dziwnie. Trudno było jednak podtrzymać rozmowę na ten temat. To warszawski cwaniak kuty na wszystkie cztery nogi oraz posiadający na podorędziu cały worek innych podków, na wszelki wypadek.

Dzisiaj obejrzałam sobie lokale w naszej kamienicy, te które zwolnią się od stycznia. Takie sobie, mam czas.

Niedziela

Psiakość, na odmianę: kość słoniowa, to lepiej brzmi, niż moje zwyczajowe: psiakrew. Leżę - wiadomo dlaczego. Nic mi się nie chce, ani czytać, ani pisać. Mam ochotę gadać, może nawet wyklócić się z kimś, ale nie mam nikogo w pobliżu. Żoliborz wyjechał w odwiedzinę do jakichś dalekich kuzynów Florencji pod Radzyniem, gdzieś koło Włodawy, nad Bugiem. Oni mówią o odwiedzeniu w czasie świąt Bożego Narodzenia naszego szwagra, nawet Górki się tam wybierają. Stryjek pewnie ciekaw jest majątków pana starosty. Co do mnie, to jeszcze nie wiem. Wołałabym polowania u wujka Benedykta, byłaby znakomita okazja do ustrojenia się w moją serbską bekieszę. W Galicji nazywają to inaczej: świtka. Wiktoria poszła na nieszpory. Ludzie, którzy chodzą na nieszpory, są bardzo szczęśliwi. Wystarczają im nieszpory. Ja - nie. Właściwie dlatego nie jestem szczęśliwa.

Ukształtował się ze mnie jakiś nowy twór, chodzący własnymi ścieżkami, zamiast na przykład wzorem innych przebywać przestrzenie życiowe w zatłoczonym po brzegi tramwaju jedynie dlatego, że to wypada szybciej czy taniej. Własna ścieżka - to krytycyzm, zrozumiałe, tramwaj - to życiowy oportunizm.

Wszystko to jednak nie jest u mnie wynikiem jakiejś nudy czy snobizmu życiowego. Bynajmniej. We mnie jedynie tkwi głęboko świadomość tego, że życie jest krótkie. Towarzyszy jej pragnienie, aby tego życia nie zmarnować w sposób pospolity. Aby go użyć w sposób przyjemny. Ale równocześnie to wszystko jest bardzo ściśle spojone z niepewnościami i wahaniem. Można bowiem wybrać jakąś rzecz czy ideę spośród kilku rzeczy czy myśli, gorzej jednak, gdy człowiek staje wobec bezmiaru różnych możliwości. Lub wobec pustki. Chwila również o niczym nie stanowi i trudno życie nasze budować jedynie z różnych chwil, po kolei, ale tylko chwil...

Człowiek pragnąłby różnorodność takich zdradliwych chwil zamienić w system jakiejś permanentnie trwającej i pociągającej idei, która by stworzyła i utrwaliła szczęście w jego życiu. Ale szczęście właśnie dlatego jest szczęściem, że każdy z nas nieustannie waha się w jego imiennym określeniu i zwykle je pojmuje w swój własny, nieobliczalny w skutkach sposób. Jest ono zatem zależne od nieustannych złudzeń, Rozczarowania zaś na drodze ku szczęściu są przystankami pomiędzy jedną złudą a następną. I na to wszystko nie ma rady. Życie nasze jest nieustanną wędrówką pomiędzy realizmem otoczenia a abstrakcją metafizycznego myślenia.

Ale pokój rozmyślaniom. Dobrej nocy, Anno! Staraj się wyzwolić z niepewności życiowych. Nie rozmyślaj o szczęściu, nie filozofuj i poddaj się życiowemu dyktatowi swojej gospodyni. Są bowiem w życiu przemijające czy też powtarzające się okresy powodzenia dla bryzółów z groszkiem i poonfrytkami. Inne nazywają się zrazami nelsonskimi. Ze wszystkich należy się kolejno cieszyć i nie stawiać życiu zbyt wygórowanych żądań. Co najwyżej

świeżej serwetki pod ręką oraz klucza, który otwiera drzwi wygodnych możliwości w życiu, to znaczy pieniędzy, dobrobytu. Reszta w miarę, podobnie jak sól, pieprz, papryka oraz sos kabulski, to znaczy z wielkim umiarkowaniem. Nawet filozofia w gruncie rzeczy do tych ostatnich przypraw należy, mimo swej monumentalnej powagi. Sam majestat o niczym nie stanowi, posągi bohaterów są wewnątrz puste. Dusze ich zazwyczaj również.

Następna niedziela

Piszę w odstępach tygodniowych, co niedzielę. Wczoraj był brydż na Mokotowie. Dwóch ministrów, taki sobie teatralny repertuar. Goście mili, gospodarze czarujący. Poznaje coraz to nowych ludzi. Moje obecne życie jak w zegarku. Doba ma dwadzieścia cztery godziny, z których bardzo wiele poświęcam sobie samej. Nie mogę narzekać. W biurze bez atrakcji. Udaję, że nie dostrzegam różnych drobnych spraw i sprawek. Ułatwiam nawet i pomagam bezinteresownie. Nie wierzę w to, że milion składa się z groszy. Ludzie muszą z czegoś żyć. Każdy z nas trzyma w ręku jakieś sitko i stara się złapać na nie swoje powodzenie. Oczka sitka są rozmaite, małe i duże. W dodatku im mniejsze są oczka, tym siatko jest z delikatniejszego materiału. Różnica pojęć czyli skali dążeń. Na drobną i delikatną siatkę nikt nie złowi rekina. O milionie mowa jest w tym wypadku. Do tego trzeba mocnej, sieci o wielkich okach, które by przepuściły płotki, a zatrzymały sumy. Niechże zatem moi biurowi koledzy łowią płotki, które są im potrzebne do codziennego szczęścia. Woźny za skontaktowanie klienta ze mną pobiera opłatę dwóch złotych, a na mojego dyrektora wyznaczona jest cena pięciu złotych. O ile klient chce zaraz i bez czekania. Dalsze opłaty, już w cztery oczy, nie wchodzą w skład niniejszego opowiadania, są to bowiem sprawy dyskrecjonalne. Tymczasem zaś, jeżeli o mnie chodzi, trzymam się starej, rzymskiej maksymy: *leo non captat muscam*.

Wtorek - 19 września

Obszerna korespondencja z Paryża. Interes z Zajliczem ukończony. W moich rękach znajduje się kopia umowy. Równocześnie oficjalne zawiadomienie na blankiecie firmowym, że zgodnie z porozumieniem ze mną - którego nie było! - mam otrzymać w pierwszym roku pięć procent od kwot netto uzyskanych przez Quatre Pieds od pana Zajlicza, a po dwa procent rocznie w trzech latach następnych. Umowę zawarto bowiem na okres czteroletni, a dzięki gwarancjom bankowym, dostarczonym przez niego, sprawa dostaw nie będzie przedstawiała żadnych trudności. W Belgradzie pod kontrolą bankową zostanie uruchomiony skład fabryczny w ramach zapotrzebowania, które ustalili się praktycznie w ciągu pierwszego roku.

Marcin określa możliwości pierwszego roku na jakieś trzysta tysięcy franków, podobno Niemcy eksportują obecnie do Jugosławii lakiery wartości ćwierć miliona franków szwajcarskich rocznie. W dodatku są perspektywy na popsucie się niemieckiego eksportu w tym dziale. Francuzi konkurują ceną, Szwajcarzy są za drodzy. Naturalnie na wszystko uważna ciotka Temmi zapytuje w liście, czy zatrzymałam w dalszym ciągu moje konto w paryskim banku. Naturalnie, pamiętam o nim, rezerwa na wszelki wypadek, gdyby wypadła jakaś podróż - sto pięćdziesiąt dolarów - ale w każdym razie już jakiś ugruntowany zaczątek zagranicznego konta. Rzecz zrozumiała, że w dalszym ciągu wpłaty w dolarach, jakoś nie mam zaufania do franka. Wpływy stryjka Juliusza: dolar i tylko dolar USA! Pięć procent od trzystu tysięcy franków to już coś znaczy. Bez trudu. Belgradzka kwatery z adresu Mokotowa, poznanie Zajlicza dzięki tej kwaterze, no i skojarzenie uliczki Czterech Kamieni z panem Zajliczem. Kupiectwo nie jest ciężkim zawodem, polega jedynie na myśleniu oraz na odrobinie szczęścia i dowcipu.

Ale równocześnie z załatwieniem sprawy Zajlicza i na marginesie przesłanej mi do wiadomości kopii umowy ze mną zapytanie, na razie Mrs Maltz, czy się już zdecydowałam na oderwanie od ministerstwa i zajęcie się ich lakierami w Polsce. Trudno tak od razu z

miejsca odpisać, stryjek radził jednak nie zwlekać i zdecydować się najdalej w ciągu tygodnia. Florencja bardzo popiera, Marcin radzi nie rzucać ministerstwa, a jedynie organizować na razie w sposób anonimowy. Przyrzeka pomoc.

Stryjek Juliusz wierzy tak mocno w potęgę dolara, że i ja uwierzyłam - pomimo ostatnich krachów ze złotem. Według stryjka to są jedynie giełdowe machinacje kilkunastu największych miliarderów amerykańskich, którzy pragną nowych przegrupowań majątkowych. Kurs akcji został sztucznie wywindowany w górę przed okresem kryzysu z roku 1930, wyłącznie dla celów spekulacyjnych, później wszystko runęło. Podobno bardzo często ci, którzy grają na giełdzie, ryzykują całym majątkiem. Na szalę jednorazowych spekulacji rzucają cały posiadany majątek, poważniejsza obniżka papierów czyni ich od razu nędzarami. O kursie natomiast akcji decyduje niewielka liczba ludzi, którzy mogą pozwolić sobie na przetrzymanie każdej bessy, by móc w wypadku krachu spekulować na wykupienie w odpowiednim czasie walorów - poniżej ich rzeczywistej, faktycznej wartości.

Sobota - 23 września

Wczoraj nadeszły spore paczki z prospektami. Awizują próbki. Równocześnie list od stryjka Juliusza, odjeżdża definitywnie francuskim statkiem, trzeciego października. Popiera sprawę lakierów.

A zatem już nieprędko zobaczymy naszego stryjka Juliusza Jambora! Obie z Zośką otrzymałyśmy od niego w pożegnalnym upominku identyczne pierścionki: po dwa brylanty, w środku prawdziwe szafiry. Właściwie to są męskie pierścionki, ale stryjek wmawiał w nas, że jako kupcom przystoją nam właśnie takie. Brylanty, każdy po karacie, czystej wody, bogaty prezent. Trzy ciotki dostały bardzo gustowne bransoletki, bracia szpilki do krawatów z perłami, wszystko przywiezione przez stryjka z Ameryki. Dla Pelasi stryjek zostawił zegarek na złotej bransoletce. Krystynek nic nie dostał i stryjek powiedział:

- Zobaczą ja waszego przyjemniaczka zapewne wcześniej od was. Do mojego Chicago droga prowadzi przez Nowy Jork, w najgorszym razie odszukam go w tej jego niemieckiej ambasadzie w Waszyngtonie. - I, o dziwo, dodał, nieoczekiwanie dla nas: - Psiakrew!

A zatem amerykański stryjek przyjechał, pochodził po Warszawie, narobił szumu w górach i znowu rozplynał się w oddaleniu. Przeminał. Ja tymczasem utonęłam w studiowaniu prospektów des Quatre Pieds. W dodatku na odmianę sobotnie przyjęcie w tym miesiącu byłam zmuszona przełożyć na jutro, ponieważ goście z Żoliborza nie mogli dzisiaj. Wypadła im jakaś ważna handlowa impreza gdzie indziej. Przełożyłam, ku zgorszeniu i niezadowoleniu mojej pani gospodyni, prawie w ostatniej chwili.

W poniedziałek - nad ranem

Łykam aspirynę i nic nie pomaga. Nie mogę pić wódki i nie znoszę mieszaniny. A tymczasem gospodyni musi, ponieważ taki niemądry zwyczaj. Przyjęcie było bardzo huczne. Ostatni stolik zlikwidował się dopiero koło godziny pół do trzeciej. Na przyjęciu byli obaj moi szefowie, żona dyrektora wypytywała mnie na boku, czy to prawda, że Mokotów chce wydać mnie za jakiegoś generała. Baba zmieniła front i powiedziała mi poufnie, że bardzo dobrze zrobiłam, odmawiając ręki w Belgradzie. Podobno żona naszego „wice” to była bardzo ordynarna kobieta. Obecnie wychodzi za mąż za jakiegoś restauratora, posiadającego jedynie grubsze pieniądze.

Boli mnie głowa, dobrze, że do biura pójde dopiero w południe. Nie mam w domu żadnego środka nasennego. W swoim czasie, gdy wróciłam z Poznania, zezłościłam się i wyrzuciłam niepotrzebnie adalinę, zabraną z apteczki doktora Michalskiego. A może by skończyć z wydawaniem tych przyjęć? Ale to niemożliwe, ponieważ Florencja właśnie wczoraj wyraźnie wspominała, że im jest potrzebny taki pewnego rodzaju neutralny grunt, to

znaczy przyjęcia u mnie. W dodatku te rzeczy już się jak by nakręciły i weszły w zwyczaj wśród pewnej grupy naszych znajomych.

Wieczorem

W południe natknęłam się w „Europie” na samotnego Marcina. W kilku zdaniach wspomniałam o mojej dziwnej rozmowie z Elzą, stryjek wyraźnie zmieszał się, nic mi mai razie nie odpowiedział. Jakby na zamówienie nowa fala gości przyniosła naszego kochanego generała. Marcin zdążył mi tylko szepnąć:

- Na miły Bóg, o tym nikomu, wpadnę do ciebie wieczorem; porozmawiamy.

Stryjek trzy razy kazał mi powtarzać rozmowę z Elzą. Ustalał wszystkie słowa. Żuł, żuł, widać było, że nie jest zadowolony z takiego obrotu sprawy, ale pohamował się i zrneł jedynie jakieś stonowane: wariatka.

Mam zatem zapomnieć, nikogo o to nie pytać, na wszelkie pytania udawać naiwną.

W roku dwudziestym Wirewicz był w dalszym ciągu kapitanem. Koledzy przeskakiwali go, dopiero po zakończeniu kampanii zdał jakąś łaskawą (określenie Marcina) maturę, po czym Zagórski od razu wepchnął go do szkoły sztabu głównego. Majorskie sznury sztabowe obnosił bardzo długo, utknął razem ze swoim protektorem w przemyśle zbrojeniowym, na razie w ministerstwie. Rok 1926 wprowadził zamieszanie w jego karierze, ciągnano go na różne przesłuchania, usuwano na boczny tor. Później nagle przeskoczył dwie gwiazdki, prawie w ciągu jednego roku został pułkownikiem i generałem. Sprawa Zagórskiego - kamień w wodę. Początkowo lansowano pogłoskę o ucieczce generała za granicę. Później nagle nabrano wody w usta i sprawa przycichła. Jak było - obojętne. Ciekawe szczegóły. Młody oficer austriackiego sztabu generalnego kierował przed wojną wywiadem na południu Rosji. Podobno miał w Odessie razurę, w której obsługiwał carskich dygnitarzy. Skąd naszemu znajomemu do takich znajomości? Hmm... Wirewicz od razu na początku 1919 roku znalazł się w ochotniczej dywizji generała Zagórskiego, przeszedł w niej północną kampanię. Zagórski poszedł po roku 1920 w odставку - na życzenie Piłsudskiego, Wirewicz natomiast kończy szkołę sztabu. Po ustąpieniu Piłsudskiego obaj pracują w przemyśle zbrojeniowym. Jaka była rola ich obu - o tym mam zapomnieć. Bez bliższego wyjaśnienia również, skąd zaginiony generał dowiedział się o sprawie skrzyń ukrytych w grobowcach pod klasztorem bazylianów we Włodzimierzu Wołyńskim. Podobno samochód ze skrzyniami eskortował do Warszawy kapitan Wirewicz. Oddał do rąk wyznaczonych, na tym skończyło się w jego opowiadaniach. Dopiero w roku 1925 uchylił się rąbek tajemnic, gdy w Amsterdamie pojawiły się nagle większe partie szmaragdów i rubinów ze starymi szlifami. W tym właśnie utonęła tajemnica zaginięcia generała - po przywiezieniu go z wileńskiego więzienia na Antokolu do Belwederu. No cóż, coś niby tajemnica stanu, jakaś polska wersja dwudziestowieczna w rodzaju mistyfikacji dokonanej na kardynale i królowej... Nasz znajomy chyba w tym wypadku w roli drobnej płotki. Ale naprzód milczenie i odставка, a później nagle - mnóstwo nowych gwiazdek.

Gdy Marcin zakończył swoje skąpe wyjaśnienia, zapadło między nami milczenie. Ale nie zadawałam głupich pytań: dlaczego i dlaczego. Staralam się przyjąć te nowości w sposób dojrzały.

A więc Prusacy zrabowali jedynie część skarbów koronnych w momencie zajęcia Krakowa po upadku powstania Kościuszkowskiego w roku 1794. Kto przewiózł skrzynie z Krakowa i kto ukrył je w podziemiach klasztoru? W jaki sposób dowiedziano się o nich w roku 1920? Wywieziono je w obawie przed bolszewikami. Podobno złoto stopiono natychmiast po przywiezieniu skrzyń do Warszawy i wylupaniu kamieni z klejnotów. Miało też być kilka skrzyń ze starymi papierami.

Prawie nikt nie wie o tym w Warszawie. Prawie... Co należy rozumieć pod tym słowem? I skąd o tym Elza? Wypada z tego wszystkiego, że nasz generał zrobił karierę... na skrzyniach.

W zakończeniu Marcin odesłał mnie do trzeciego tomu zbioru pamiętników historycznych Juliana Ursyna Niemcewicza. Więcej wie ode mnie: podobno właśnie u mnie znajdują się egzemplarze tych pamiętników, przywiezione z Górek. Hmm.

Swoją drogą, co oni zrobili naprawdę z Zagórskim? Kiedyś w Poznaniu zgadało się i o tych sprawach. Stary doktor Michalski powiedział po cichu i zniżonym głosem, że chodziło o jakieś tajemnice. Marszałek kazał sprowadzić Zagórskiego do Warszawy, poszło od słowa do słowa, generał nie wytrzymał obelg i podobno uderzył... w twarz. Świadcami rozmowy byli: Beck i Wenda. Ten pierwszy miał na pieńku z Zagórskim i podejrzewał generała o to, że utracił go w Paryżu na stanowisku polskiego attache wojskowego, podobno były tam bardzo brudne sprawy. Zagórski - mówił doktor - był postacią znaną i cenioną jako szef sztabu I brygady Legionów, walczył przeciw Austriakom pod Rarańczą i przeciw Niemcom pod Kaniowem, a jego stanowisko było wyraźne i zdecydowane, natomiast inni zachowywali się w tych czasach... mętnie.

Dobrze, dobrze, ale skąd do tego wszystkiego Elza? W dodatku takie tajemnice. Marcin powiedział mi dziwnie tajemniczo:

- To są sprawy, w których zbędne są jakieś najbardziej uroczyste przysięgi.

Zrozumiałam dobrze. A więc zapomnijmy... i nie wracajmy do tego.

Marcin uśmiechnął się jeszcze do mnie, ale jakby bez entuzjazmu.

- Zawsze jest lepiej, gdy się wie tylko trochę prawdy - powiedział - Lżej przychodzi kłamstwo, gdy zapytają...

Wtorek - 26 września

Do Paryża wysłałam uprzejmy list z prośbą o padanie warunków zorganizowania przeze mnie ich generalnego przedstawicielstwa na Polskę. Florencja poprawiała moją francuszczyznę: pięć błędów w liście. Natomiast w angielskim liście do ciotki Temmi tylko dwa. Co do reszty, dopisałam już w prywatnym liście do Mrs Maltz, że okoliczności są jej przecież znane, łącznie z naszymi polskimi możliwościami. Na Pomorze i Śląsk nie ma co liczyć, ponieważ tam panują wszechwładnie niemieckie lakiery, stryjek Józef mówił, że nie warto nawet ruszać tych dzielnic, a raczej byłoby dobrze porozumieć się z tamtejszymi przedstawicielami firm niemieckich co do podziału terenów. W dodatku na Pomorzu zainteresowane są gdańskie banki.

Stosunki w biurze jakby się polepszyły. Dla mojego dyrektora zawsze coś znaczyłam z moimi stosunkami, a na „wicka” nie warto zwracać zbytnio uwagi.

Czwartek - 28 września

Stryjek codziennie nawiązuje do sprawy organizowania lakierów. To chyba dopiero od Nowego Roku, ale radzi rozejrzeć się za detalami już obecnie.

Sobota - 30 września

Tygodniowe młócenie słomy, czyli brydż na Mokotowie. Nic nowego, tym razem karty skończyły się wcześniej, już około północy odesłali mnie samochodem do domu. Jutrzejszy dzień poświęcam całkowicie samotnemu *dolce far niente*, to znaczy, że całkiem zwyczajnie Wikta nie będzie reagować na dzwonki w drzwiach. Przecież można to urządzić. Kto ma naprawdę interes, to i tak przyjdzie po raz drugi, w innym terminie. Wódki dzisiaj nie piłam, jakoś mi się udawało manewrowanie kieliszkiem.

Niedziela - 8 października

Zamiast na Żoliborz powędrowałam wczoraj na przedstawienie operowe. Szkoda, że amerykański stryjek już wyjechał. „Tosca”. Melodyjna opera, zwykły problem życiowy. Kobiety lubią wybierać śmierć jako rozwiązanie swoich zawodów miłosnych. Być może w tym wypadku był odruch jakiegoś bohaterstwa, ale opowieść pochodzi z czasów dawnych, odmiennych niż dzisiejsze. Obecnie przeżywa się takie sceny tylko w teatrze. Sensu opeery szukałam jedynie w wymowie melodii, wypowiadającej uczucia ludzkie.

Studiowałam dzisiaj Niemcewicza. Rzeczywiście. Opisy klejnotów, równocześnie wspominki różnych grabieży. Wykazy dygnitarzy polskich, którzy ocierali się o te sprawy. Brak jednak najważniejszej informacji - kto zabrał. Ogólna informacja, że... insygnia królewskie znikły w roku 1794, korona Chrobrego, moskiewska i szwedzka, z dodatkiem, że „już może sprzysięgła na nas ręką stopione zostały”... Już na lustracji w r. 1733 stwierdzono brak licznych klejnotów, w tym „potężnego diamentu o wadze 95 karatów i wartości pół miliona czerwonych złotych”. O ile przypominam sobie, któryś z królów saskich kochał się w brylantach, pewnie ten pierwszy, kochanek wszystkich kobiet, jakie mu się spodobały!

Westchnienie Niemcewicza w końcu, że więcej może od klejnotów należy żałować rękopisów i dyplomatów, nic dziwnego, przecież właśnie Niemcewicz przez całe życie grzebał się w materiałach historycznych. Marcin mówił, że ci, którzy zagarnęli w roku 1920... „skrzynie”, na pewno nie popełnili tak grubej nieostrożności, by puszczać w świat papiery. Ma rację. To byłoby zbyt ryzykowne, cena równocześnie zbyt niska do osiągnięcia. Skąd Marcin zna się na tych sprawach? Gładko wyliczył mi kilkanaście adresów największych antykwariatów świata.

Ano, lepiej zapomnieć. Nie należy mnożyć nerwowości w swoich myślach. To nic nie daje, zresztą to sprawy dla mnie obce. Koniec.

Środa - 11 października

Dwie rzeczy zbiegły się w tym dniu. Mój mistrz od ram zawiesił u mnie nareszcie miniatury. Odnowienie kosztowało mnie czterysta złotych, ale ściany zyskały na tych damach, rycerzach oraz orderowych szambelanach z osiemnastego wieku. Pan Ciesielski zaofiarował się z osobistą pomocą w tym kierunku i trzeba przyznać, że zrobił to fachowo i gustownie. Podobało mi się i wychyliłam z nim dwa porządne sztagany dobrego koniaku, aby oblać ozdobienie ścian w moim mieszkaniu. Bardzo: miły człowiek. Drugim wydarzeniem były listy z Paryża. Ciekawe sprawy. Dla pana Zajlicza wysokie ceny lakierów i bardzo wysokie prowizje, natomiast dla mnie znacznie niższe ceny na towary, ale również i znacznie niższe prowizje. Stryjek i Florencja śmiali się z mojego zdziwienia i tłumaczyli mi ekonomię polityczną we właściwy sposób. Mówili, że Jugosławia leży na Bałkanach i że ci, którzy zechcą używać lakierów i emalii, to i tak zapłacą wyższe ceny, natomiast według ich pojęcia Polska, leży na granicy Wschodu i Zachodu. Jakaś brama przechodnia dla zagranicznych eksportów. Zapotrzebowanie u nas jest bardzo sztywne, mała elastyczność w cyrkulacji pieniężnej, a z powodu stosunkowo niewielkiego oddalenia od Zachodu istnieje ścieranie się różnych konkurencji. Marcin bardzo dowcipnie określił nasze możliwości:

- Kupujemy podobno towary „trochę dobre i trochę tanie, w rezultacie źle na tym wychodzimy, ponieważ tylko najdroższe towary są w istocie najtańsze ze względu na ich trwałość.

Ciekawie to wszystko wygląda. Od cen brutto - do trzydziestu procent rabatu dla hurtowników, zależnie od kupowanych przez nich ilości, natomiast dla przedstawiciela, to znaczy dla mnie, fakturowanie z pięćdziesięcioprocentowym rabatem, w czym rozumie się cena brutto loco Warszawa z zapłaconym cłem. W granicach zatem plus minus tych dwudziestu procent zamykają się moje przyszłe koszty handlowe, podatki, prowizja agentów podróżujących oraz mój własny zarobek jako przedstawiciela. W każdym zatem stu tysiącach sprzedanych mi po cenie brutto mieści się zarobek trzydziestu tysięcy dla hurtowników oraz

dwudziestu tysięcy brutto dla mnie. Nie wiadomo, ile z tych dwudziestu tysięcy uszczkną podróżujący i moje własne koszty handlowe, a ile zostanie dla mnie. Stryjek mówi o pięciu tysiącach w pierwszym roku. W dodatku ilość tych „set tysięcy” jako bardzo wielka niewiadoma...

Za kilka dni wyślę do Paryża podpisaną przeze mnie kopię umowy. Kupieckie małżeństwo na trzy lata. Odnowienie łatwe, wszystko bowiem w rodzinie. Reszta warunków gładka, otwarty rachunek do pół miliona franków. Zakredytowanie przez „Cztery Kamienie” wyższej kwoty wymagałoby dodatkowej gwarancji bankowej. Z mojej strony potrzeba jedynie rozkręcenia organizacji oraz gotówki na zapłacenie pierwszych dwóch lub trzech należności celnych.

Piątek - w biurze

Nigdy nie wiadomo. Wczoraj prawie w nocy zwalili się do mnie młodzi Michalscy. Trzeba było wstawać z łóżka, asystować podczas kolacji oraz odstąpić małżeństwu moje łóżko w salonie. Widzę, że mój pokój gościnny jest bardzo miły i przytulny. Trzeba byłoby jedynie zawiesić jakąś grubszą portierę na oknie do zasuwania na noc. Może nowe, weselsze tapety? Może nawet taki mniejszy pokój do spania byłby przyjemniejszy od frontowej, zimnej landary.

W każdym, razie goście. Przy gościach najważniejsza jest data odjazdu. Mówiło się o kilku dniach. Na pewno zrobi się z tego cały tydzień! Na razie jestem ciemna, nie wyjaśni mi celu tego niespodziewanego przyjazdu do Warszawy. Przepadnie w każdym razie moje spokojne czytanie. Dzisiaj po południu wybierają się z wizytą do Marcinów. Chyba trzeba będzie im asystować.

Dzisiaj wysłałam list do Paryża z potwierdzeniem zgody na warunki, Interes ma się rozkręcić od Nowego Roku. Pośpieszyłam się z listem, Florencja mówiła, że tak wypada wobec ich *beau geste* w sprawie Zajlicza. Przecież tamto prawie za darmo, bo i jakież był w tym mój udział?

Dzisiaj po drodze do biura spotkałam Faustyna Kruczka. Nie zauważył mnie, leciał z teczką, widocznie już gdzieś pracuje. Woskowa figurka z gabinetu moich wspomnień.

Wieczorem - w domu

Michalscy zazdroszczą mi obu historii z Paryżem. Józinek pewno jest bardziej szczerzy od Meli. Ale ona zawsze była zachłanna. Józinek ma pewnego rodzaju miękkość po swoim ojcu, natomiast Mela - siekiera po matce. Kupiecka rodzina. Chcieliby wszystko zagarnąć pod siebie. Podobno wybierają się do Tuchołków. Krzyżyk na drogę, byle prędej! Początkowo byłam przekonana, że to podróż w interesach handlowych, a tymczasem to tylko jakieś dodatkowe wakacje. Widocznie już się dorobili.

W dniu dzisiejszym wszystko zaczynam od: podobno. A zatem podobno wujek Kowalski jest pełen zachwyty dla mnie. Julcia też. Pozdrowienia i ucałowania od nich. Michalscy zdążyli już być w Grudziądzu. Ostatnie „podobno”: wujek przeprowadza rozwód Julci. Julcia dobija zatem do portu z bogatym małżeństwem. Ciekawa jestem, co dadzą w zamian Murskiemu? Podobno ślub już w okresie Bożego Narodzenia, o ile adwokaci zdążą. Chyba tak prędko - to niemożliwe? Naturalnie tylko Murski jest jakby winien rozkładowi w małżeństwie, tak ustalono w aktach adwokackich. Julcia to brylant pierwszej wody, łąza dziewicy. Nowa ciotka. Nowy ślub, na który trzeba będzie pojechać. Nowy kłopot z prezentem.

Sobota - 14 października

Wydałam rodzinne przyjęcie u siebie. Dziesięć osób, oprócz mnie. Tym razem bez moich dyrektorów, ale z kompletem pana Grabowskiego. Prezes z Krynicy z żoną, po raz

pierwszy u mnie, oraz kolega Marcina, również dyrektor departamentu, wdowiec, z córką odrobinę starszą ode mnie. Taki sobie masywny kwiatusek z czarnymi oczami i ciemnymi włosami, bez wdzięku. Zbyt długi nos i zbyt wielkie usta z mięsistymi wargami. Ubrana bez zarzutu. Podobno zamożna po swoim wujku ze wsi. Panna na wydaniu, tak mi szepnęła generałowa, murowane pół miliona gotówką. Z tym moim dyrektorem z Belgradu - jakoś nie chwyciło, Marcin z nim uprzejmie, lecz z daleka. Powiedział mi jedynie bardzo krótko:

- On jest z innej parafii.

Przyjęcie udane. Michalscy zadowoleni. Koniecznie pokój stołowy! Generałowa śmiała się z moich kłopotów. Jej mąż kazał sobie pokazać umowę z Paryżem. Oceniał, że pierwszy rok powinien przynieść mi dwadzieścia tysięcy na czysto. Wspomniał o możliwościach umieszczenia zamówień w jego ministerstwie. Był w cywilnym ubraniu, elegancki, owszem, ale przyzwyczaiłam się do jego sylwetki w mundurze. Jakoś mu z tym więcej do twarzy niż w nowiuteńkim zresztą ubraniu granatowym w paseczki.

Melcia bez zarzutu. W ostatnich czasach jakoś wyszlachetniała, w dodatku nabiła się w dobrze skrojoną suknię wieczorową. Po kolacji zamiast brydża stryj Marcin zaprosił całe towarzystwo do kabaretu. Program obliczony wyłącznie na podniecanie starszych panów do miłosnych ekscesów. Nie piłam zbyt wiele, za to przypatrywałam się towarzystwu. W ogóle kabarety są przeznaczone tylko dla mężczyzn. Kobieta jest tam tylko towarem. Porządna i szanująca się kobieta może być widzem, ale musi na zimno utrzymać się w takim charakterze, o ile nie chce być również tylko ciałem kobiecym. Zaszкодził mi jednak kabaretowy szaszłyk, ale wszyscy jedli, trzeba było zatem i mnie. Trzecia godzina. To już przecież niedziela. Obiad u Marcinów, chwała Bogu, dopiero po południu, będzie można się trochę przespać. Również chwała Bogu, że moi goście wyjeżdżają jutro na wieś do Tuchołków. Wysłali telegram. W powrotnej drodze mają zawadzić o Warszawę, ale już tylko w przejeździe, na krótko. Z przyjemnością zapłaciłabym cenę tego szaszłyka, by go móc... zwy-mio-to-wać!

Z czytania nici. W dodatku, mimo wszystko, w gruncie rzeczy Melcia się nie zmieniała. Tylko że nie opowiada już o przeżyciach ze swymi kochankami. Natomiast zapytała mnie wręcz o moich chłopców. Cóż to za głupie wyrażenie: chłopcy. Pomięłam zapytanie uśmiechem i rzekłam jedynie, że nie mam czasu na takie głupstwa; ponieważ jestem pochłonięta interesami. Chciała jednak wiedzieć dokładnie, w każdym razie skończyłam rozmowę utwierdzając ją w przeświadczeniu, że rzuciłam się na spekulacje. Mówiłam ogólnie i tajemniczo:

- Przecież w Warszawie jest tyle możliwości.

Poniedziałek - 16 października

Nie odprowadzałam gości na dworzec, ponieważ w naszym Klubie wystawili moją kandydaturę na członka zarządu Koła i musiałam odsiedzieć przeszło godzinę. Bardzo miły referat, gładki prelegent. Same wybory to była już tylko kilkuminutowa formalność. Przeszło - beznamiętnie. Zostałam członkiem zarządu, wielkiej pociechy nie będą mieli ze mnie, ale oni tego nie wymagają. Im chodzi jedynie o nazwisko, resztę sami robią. Bardzo wygodnie dla członków.

Środa - 18 października

Stryjek przyniósł dzisiaj wiadomość, że podano mnie do krzyża zasługi... w srebrnym wykonaniu. Z humorem to potraktował i zaraz dodał:

- Chyba się zbyt nie przepracowujesz w ministerstwie, Anno?

W tym momencie siedziałyśmy obie z Florencją na kanapce w dużej „Ziemiańskiej”. Na deser do tych wiadomości stryjek przyniósł nam kilogramowe pudełko czekoladek Wedlowskich. Otworzyłyśmy i wkrótce nasz stolik obsiedli znajomi. Zlecieli się jak muchy do miodu. Zjedli nam wszystkie czekoladki. Przy sąsiednim stoliku siedział Ildefons Gałczyński.

Zawsze jest w takim nastroju, nieprzytomny, nie z tego świata i pochylony nad filiżanką czarnej kawy. Włosy wzburzone. Coś notował na bibułce do wycierania ust. Kawiarniane poezje. Podobno pisze obecnie coś wielkiego. Nie wierzę w te wszystkie kawiarniane twórczości. Talent niekoniecznie trzeba topić w kubelkach czarnej kawy i karafkach z wódką. No, ale cóż? Na artystów nie ma rady. To są dzikie konie, którym nie opłaca się zakładać wędzidła. Zbyt kopia. Dlatego ludzie pozostawiają ich w spokoju i patrzą na nich z miłosiernym pobłażaniem. Poeci to jakby krnąbrne dzieci, którym nie pomaga nawet stawianie w kącie. A zresztą obecnie mamy tylu artystów! Bardzo praktyczny zawód, który zwalnia na przykład od golenia się, zmieniania kołnierzyków. I od płacenia za kawy. W ogóle...

Niedziela - 22 października

Nie mogę właściwie narzekać. Mam wszystko, ponieważ nie jestem biedna. Jestem zdrowa. Umiem powstrzymać się na ogół od głupstw, nie jestem obciążona jakimś niezdrowym weltszmerzem, nie jestem histeryczką. Tylko czasami ogarnia mnie jakaś chandra, ale na to nie ma lekarstwa. To zresztą przemija. Znowu powraca. Przyplęwa, odpływa. Być może wypełniam sobie życie czymś mniej wartościowym czy mniej interesującym? Brydź, bywanie i przyjmowanie gości? Tak robią wszyscy. Czymś przecież trzeba sobie życie wypełnić. Trudno siedzieć w domu i stawiać permanentne pasjansy. To dobre na starość, gdy w towarzystwie dobrze nagrzanego pieca myśli się o wygodnych pantoflach, rumianku i dobrym trawieniu. Na prowadzenie - zamiast tego wszystkiego - na przykład salonu artystycznego - nie ma u nas w Warszawie dobrego klimatu. Takie salony zresztą żyją dzisiaj już tylko we wspomnieniach powieściowych. Nasze towarzystwa mocno zwyrodniały w popolitości brydża i kanapek w „Ziemiańskiej”. W innych krajach jest zapewne to samo, różne są jedynie nazwy kawiarni.

A zresztą niedługo porwą mnie w swoje objęcia francuskie lakiery. Emalie. - Może jeszcze jakieś dalsze rodzaje kupieckiej działalności?

Piątek - 27 października

Właśnie dzisiaj pani Woźnikowa przysłała mi nowe zdjęcia małej. Zdrowa. Krótko zatem dopiszę: to był chyba jedyny jasny czyn w moim życiu!

Niedziela - 6 listopada

We wtorek zaprosili się do mnie goście. Ktoś przy moim stoliku brydżowym powiedział zgoła nieoczekiwanie:

- Północ, dzień Wszystkich Świętych, praktycznie dwa dni wolne od pracy, przynajmniej człowiek wypocznie.

Około godziny drugiej pożegnałam ostatnich gości, a przedtem jeszcze uzgodniłam z moim dyrektorem dwa dni urlopu. Wiktoria zabrała się do sprzątanego pobojuwiska po gościach, a ja zlewałam się wodą w łazience.

Po kąpieli przestudiowałam rozkład jazdy i bardzo wczesnym rankiem siedziałam już w pociągu zdążającym do mojego miasteczka rodzinnego. Wylądowałam w nim koło południa i spadłam całkiem nieoczekiwanie w połowie świątecznego obiadu. Tego samego dnia po południu uklęknęłam na grobie moich rodziców i próbowałam przypomnieć sobie ciche słowa modlitwy dziecka. Klęczałam z pochyloną głową i szepcząc zdrowaśki czułam, że łyżką kapią mi z oczu. Ulżyło mi. Widocznie nie jestem zła, tylko kapryśna. Wieczorem Zośka i pani Millerowa usiłowały mnie zainteresować sklepem, cyframi i bławatami. Chciały otwierać sklep i domagały się, abym osobiście wybrała dla siebie jakieś materiały. Zamknęłam się w sobie i patrzyłam podczas kolacji na moje towarzyszki jakby na jakieś świeżo poznane osoby.

- Co tobie brakuje, Aniu? - dopytywała się pani Millerowa.. A Zośka powtarzała kilkakrotnie:

- Może masz jakieś kłopoty?

W Dzień Zaduszny pojechaliśmy razem z siostrą na grób naszego dziadka Jambora do Grudziądza. Później Zośka poleciała z jakimś interesem do Bussów, a ja skorzystałam z wolnej godziny i spędziłam ją u mojej małej siostrzyczki.

To wszystko jest zbyt trudne do opisanie. Możliwe chyba tylko dla poety, który ma do dyspozycji talent i wszystkie możliwości artystyczne.

W domu naszego dziadka nie zastałam nikogo, cała rodzina Herty wybrała się na grób matki i dziadków do Różankowa. Później Zośka odjechała do domu, a ja wsiadłam do gdańskiego pociągu. Tam również zdziwiono się mojemu niespodziewanemu przyjazdowi. W Gdańsku spędziłam cały dzień, spokojnie i bez zmęczenia, zwykły powszedni dzień w szanującym się domu kupieckim.

Wczoraj rano zjawiłam się w biurze, niemal prosto z dworca. W domu zdążyłam się jedynie umyć i przebrać. Teraz wypoczywam i wykorzystuję niedzielę w całkowitej ciszy.

Właściwie mocno dzisiaj żałuję, że po jakimś roku spędzonym w Poznaniu nie wyniosłam się gdzieś dalej, na przykład do Paryża. Inaczej byłoby się ukształtowało moje życie i być może inaczej byłyby się ukształtowała Anna Jambor... nie mieszkając naturalnie w pawilonie przy rue du Pont Vert. To nie byłoby potrzebne. W dodatku po śmierci dziadka mogłam przeforsować takie pragnienie, taką zachciankę. Stała mi jednak wówczas na przeszkodzie jakaś pospolita kupiecka systematyczność i chęć dokończenia tego, co się już zaczęło.

Życie moje w Poznaniu było szare i mdłe. Pomimo późniejszej wygody, czy wesołości nawet, w domu starego doktora, a później w tym wypielęgnowanym mieszkaniu Leokadii.

Tak się jednak ustaliło, że na ogół nie człowiek stwarza sobie warunki życiowe, a wprost przeciwnie, otoczenie i warunki życiowe kształtują człowieka, niczym wątłą roślinkę. Mowa naturalnie o zwyczajnych ludziach.

Niepotrzebnie zostałam wówczas w Polsce i niepotrzebnie utkwiałam na uniwersytecie poznańskim. Można było inaczej!

Ale cóż, kiedy mądre refleksje przychodzą zazwyczaj za późno...

Dzień pobytu w Gdańsku nasunął mi mnóstwo spostrzeżeń. Dobrze scharakteryzowała to młodsza Elfryda: nie warto myśleć o celach bardzo dalekich! Bardzo daleki cel to również i śmierć, a kto wie, czy myśląc o celach odległych, nie myślimy właśnie o śmierci jako tej czy innej przeszkodzie w działaniu? Jakże bowiem źle czuje się człowiek, gdy zaczyna mu się lepiej powodzić, właśnie w obliczu śmierci, czasami tuż przed samą śmiercią.

Ostatnio w Gdańsku zaczęłam rozumieć nawet tego Grossvater Willy Junga, na którym wszyscy psy wieszali. Spotkały go przecież liczne zawody w życiu. Jedna córka zmarła, zięć muzyk nie udał się, a druga córka sprzeciwiła się jego woli. Pragnął wydać jedyną wnuczkę za mąż i w ten sposób przedłużyć istnienie firmy drzewnej: Jung und Garden. Nic z tego nie wypadło. Sprowadził nawet do Gdańska dalekiego i zubożałego chłopca jedynie w tym celu, żeby firmie wychować następnego dziedzica i kierownika. By przetrwało dzieło jego życia...

Warszawa - w końcu listopada

Życie nasze jest bardzo wątłe. W dodatku każdy z nas obchodzi się z własnym życiem jak z kruchym kryształem i nieustannie chroni je przed wyimaginowanym rozbiciem. Chuchają i broni je przed wszystkimi. Nawet przed samym sobą. Zwierzęta są w lepszym od nas położeniu, ponieważ idą szturmem przez życie. Nie oglądają się w tył i nie cofają przed przeszkodami. Albo łamią przeszkody, albo giną na nich. A tam wszędzie, gdzie człowiek wychodzi poza granice kruchości swoich myśli czy pojęć, nie wytrzymuje konkurencji zwierząt. Inteligencja bowiem niszczy w nas zwierzęcą siłę i zwierzęcy instynkt życia. Poeci

nie skaczą o tycze na cztery metry w górę. Ludzki atleta zawsze jest synonimem umysłowej głupoty. Albo jedno, albo drugie. W dodatku człowiek ulega przeznaczeniu w znacznie głębszym stopniu niż zwierzęta. Zwierzęta tylko giną, człowiek pragnie żyć nieśmiertelnie. Zwierzęta gaszą wodą pragnienie, człowiek marzy o eliksirze życia, Ale o tym bardzo trudno pisać!

Zaledwie półtora roku temu cieszyliśmy się wszyscy z małżeństwa stryjka Pawła z Leokadią. A tymczasem stryj Paweł spadł z konia i zabił się na miejscu. Na prostej wiejskiej drodze konia spłoszył przypadkowy motocykl. I koniec. Smutna jest taka śmierć z przypadku i bez możliwości wypowiedzenia choćby kilku ostatnich słów. Nawet w modlitwach naszych znajdujemy słowa: Od nagłej i niespodziewanej śmierci wybaw nas, Panie!

Pogrzeb odbył się przed tygodniem. Oba dni były słoneczne. Dzień śmierci i dzień pogrzebu. Śmierć jest niewątpliwie smutnym dokończeniem naszego życia. Myśl o życiu przyszłym w niczym nie zmienia istoty samej śmierci. To na jedno wychodzi: pocieszenie czy oszustwo. Nie wiem. Czasami wierzę i bardzo często nie wierzę. Każdy z nas przechodzi takie wahania. Wiara podnosi, niedostatek wiedzy poniża. W pośrodku jest każdy z nas, człowiek, człowiek słaby.

Ale to wszystko jest za mądre dla mnie na dzisiaj. Leokadia? Osiwiała w momencie, gdy przyniesiono do dworu zwłoki nieżyjącego męża. Drugi mąż. A może w ogóle jedyny mąż? Kto to wie? Z Leokadią jest teraz niedobrze. Wstrząs nerwowy, przeżycie było zbyt silne.

Stryj Paweł.. Ubył mi poważny opiekun. Gdańsk to tylko pieniądze. Żoliborz to dowcip życia, ale właśnie zmarły stryj Paweł był w moich oczach symbolem powagi życiowej.

Stryj Józef (był na pogrzebie) radzi koniecznie rzucić ministerstwo i zająć się kupiectwem, jak przystało w naszej rodzinie.

W kilka dni później

Nie stawiam nawet dat na moich obecnych notatkach. Głęboko odczułam śmierć stryjka. Biedna Leokadia. Na razie została w Górkach, ale stale przy niej czuwa pielęgniarka. Wkrótce ma przyjechać ciotka Magda. Mówi się o jakimś sanatorium. Florencja doradza Mentonę. Kto wie, czy nie pojedzie z nią ciotka Magda.

Urwały się nasze brydże. Nie urządziłam nawet zwykłego sobotniego przyjęcia. Imieniny Florencji obchodziliśmy w bardzo szczupłym gronie. Z obcych byli tylko państwo Orzechowscy oraz generałowa bez męża. Wirewicz znów w Paryżu. Jakieś konferencje w przemyśle zbrojeniowym, nie znam się na tym. Podobno sprzedajemy za granicą nasze wyroby. Kto je kupuje? Nie pytam. Sami nie mówią na te tematy. Marcin również w przededniu wyjazdu. Ministerstwo nie ma zbyt wiele z niego!

Ofiarowywałam się z odwiedzeniem Leokadii w święto Matki Boskiej, ale mi odradzono. Leokadia zaprosiła do siebie jedynie ciotkę Magdę.

Biuro odrabiam jak pańszczyznę. W dodatku zwaliło się sporo roboty i wymagają ode mnie cudów. Co to wszystko mnie obchodzi? Czy nie szkoda na to życia? Cudze bzdury, które załatwiam bez najmniejszego przekonania i zainteresowania. Lakiery w zawieszeniu. Nie mam do tego głowy, na razie również i „Cztery Kamienie” milczą.

Leokadia nie skończyła jeszcze pięćdziesięciu lat. Jak ona sobie urządzi dalsze życie? Czy pozostanie na gospodarstwie w Górkach? A może wróci do swojej poznańskiej kamienicy? Chyba nie, ponieważ wspomnienia dobrych czasów bywają gorsze od tygrysów. Pożerają ludzi na raty. A może namawiać ją na Warszawę? Jakieś wspólne mieszkanie. Ale czy znów problem siostry miłosierdzia? Chyba nie nadają się do tego. Za trudne dla mnie, ja i tak biję się nieustannie z własnymi myślami.

Święto Matki Boskiej

Dobrze się złożyło. Leżę. Okazało się, że Florencja wyjechała razem z Marcinem, ale wracają za tydzień. Interesy. Stryjek jakoś znieruchomiał i zrobił się tajemniczy, Florencja z uśmiechem napomyka o zamiarze wyniesienia się na stałe za granicę.

Co do mnie samej, nie mam obecnie żadnych zamiarów i żadnych pragnień. Obojętnieję. Staram się nawet nie wplątywać w dłuższe rozmowy z ludźmi. W biurze tłumaczą to żalobą po stryju. Ubieram się jedynie w ciemne kolory. Równocześnie oddalam się jakby od kobiecości. Dziwne zdanie, jednak istotne i prawdziwe. Do zbliżającego się karnawału odnoszę się bez najmniejszego zainteresowania. Będę miała gładką wymówkę.

Wieczorem

Popołudniowy gość, panna Starzeńska z biura. Przyszła mnie pocieszać. Przy tej okazji dopytywała się w sposób dyskretny o sprawy rodzinne. Co robi Marcin i czy to prawda, że zamierzają zamieszkać w Lozannie wspólnie ze starym generałem. Okazuje się, że moja koleżanka wie znacznie więcej ode mnie o rodzinie Florencji. Słuchałam w sposób grzeczny. Wspominałam o moim zmęczeniu. Gość doradzał, abym wystarała się o urlop i wyjechała gdzieś daleko, przynajmniej na cały miesiąc. Gdzieś w zupełnie nowe otoczenie. Według panny Starzeńskiej to odmładza, wskrzesza ochotę do życia. Podobno nie byłoby trudno o taki urlop. Wystarczy świadectwo lekarskie.

Wspominałam o moich zamiarach porzucenia biura, panna Starzeńska raczej odradzała. Być może inna na jej miejscu byłaby mnie pchała do tego licząc na zajęcie mojego pokoiku. Ale - nie. Oceniałam życzliwość koleżanki, było mi miło i zatrzymałam ją na podwieczorku. Z tego zrobiły się różne gadania i skończyło się dopiero po kolacji. Ona również nie ma słodkiego życia, w dodatku główną podstawą jej egzystencji jest właśnie owo starsze referendarstwo w ministerstwie.

W godzinie zwierzeń wspominała mi trochę o wydarzeniach z jej własnego życia. Epizody nieważne, nie warto ich opisywać. Natomiast pełne smutku było jej przyznanie się do tego, że bardzo często obracanie się między ludźmi przyprawia ją o nastrój podobny do duszenia się. Widocznie życie i ludzie dobrze dali się jej we znaki.

Sobota - 9 grudnia

Listy ze wszystkich stron. Zapraszają na święta. Sama nie wiem, gdzie pojadę. Najchętniej pojechałabym gdzieś w nieznaną, skromniutko ubrana w moje stare lisy, do jakiegoś pensjonatu w cenie dziesięciu złotych dziennie. Jakiś mały i spokojny pokoik na poddaszu. Dziwne myśli i dziwne pragnienia. Dobrze jednak, że właśnie takie myśli odszukuję u siebie!

Niedziela - 10 grudnia

Skromny obiad na Mokotowie. Skromny, bo spokojny, tylko we dwie z dziećmi. Spokojne rady. Wspomnienie o tym, jak to niegdyś zjawiłam się w tym naprawdę gościnnym domu i подарowano mi pierwszy paryski szlafroczek. Jakże dawno! Rozmowa na tematy finansowe. Jaki wielki jest mój majątek? Właściwie sama nie wiem, pewnie jakieś trzysta tysięcy złotych. Ani dużo, ani mało. Dowiedziałam się przy tej okazji, że generał prowadzi z Marcinem jakieś wspólne interesy, Marcin pomaga mu za granicą. Brak bliższych danych, które nie są również znane i generałowej, widocznie nawiązała rozmowę, aby się czegoś ode mnie dowiedzieć. W każdym razie to są grubsze interesy. Na nazwisko generałowej zostały już zakupione na Pradze dwie czynszowe kamienice. Podobno stare i obskurne, ale bardzo pakowne i tanie, ponieważ przynoszą prawie dziesięć procent rocznie. Marcin w istocie ma zamiar porzucić Warszawę i osiedlić się na stałe w Szwajcarii. Podobno posiadanie własnego domu w Bazylei znakomicie ułatwi mu naturalizację. A zatem aż tak daleko sięgają zamiary

Marcina i Florencji. Dopiero obecnie zrozumiałam, dlaczego wynajęto drugie piętro na Żoliborzu dyplomacie ze szwajcarskiego poselstwa.

Rozmowa była bardzo serdeczna. Równocześnie poważna i nacechowana dużą dozą życzliwości. Ja przecież nie mam nikogo w pobliżu, z kim mogłabym rozmawiać na życiowe tematy. Gdańsk w dziwny sposób przygniata mnie swoim wielkim kupiectwem, wobec którego nasze wąbrzeskie bławaty są tylko małym kramikiem. Łatwiej bowiem wyobrazić sobie w herbie kupkę drzewa eksportowego, okrągłaki czy pokłady kolejowe, niż sztuczkę sukna i skrzyżowane nad nią dwa kupieckie łokcie. W tych warunkach nie palę się nawet do moich przyszłych lakierów. Generałowa wspominała rozsądnie, że interes należy rozkręcić, a później pozbyć się go za jakąś okrągłą sumkę. Kto wie, czy to nie mądra rada. Co do mnie, uśmiechałyby mi się jakieś hurtowe interesy, bez pakowania towaru w małe paczki i odprowadzania klientów w lansadach aż na ulicę. To zajęcie w sam raz dla ciotki Millerowej, łącznie z argusowym szpiegowaniem ekspedientów. Ona doskonale to potrafi przy zachowaniu we wszystkich okazjach swej słodziutkiej miny...

Poza tym jutro walę do specjalisty. Świadczenie lekarskie i miesięczny urlop. Generałowa wbijała mi w głowę, żeby nie wyjeżdżać z prośbą o bezpłatny urlop. Mówiła, że to nie byłoby rozsądne, ponieważ nigdy nie warto szastać pieniędzmi. Ludzie nie lubią mieć w swym otoczeniu innych ludzi z pieniędzmi, podczas gdy oni sami nie mogą związać początku miesiąca z końcem. Urzędnicy. Biuraliści i centusie galicyjscy, którzy opanowali nasze ministerstwo i w ogóle większość warszawskich biur. Taki sam najazd na Kongresówkę jak w swoim czasie, tuż po wojnie, na nasze Pomorze. Ale co mi do tego! Osobiście czuję się, jak bym była jakimś międzydzielnicowym pojęciem.

Ludzi z głębi Rosji również nie lubię. Niby bardzo serdeczni i wylewni, w towarzystwie do rany przyłoż, lecz w gruncie rzeczy jedynie węższą interesy. Wszędzie się wciskają i wszędzie popierają swoich. Również problem niełatwy do pokonania. I ustawiczne powoływanie się na owe wspomnienia: a u nas było! Z opowiadań tych wynika, że w carskiej Rosji był raj, tylko żyć - nie umierać. Wszystkim naraz dobrze się powodziło i wszyscy posiadali majątki. Pieniądze leżały na ulicy, tylko było brać. A zabawy! Dopiero w naszych czasach bieda i nędza. - Nie lubię tych lamentów, w których nie ma nawet połowy prawdy. Według mnie ci, którym naprawdę się tam powodziło, milczą i nie obnoszą się z żałami. Było, nie ma, trudno. Tak ja bym pojmowała te rzeczy.

Poniedziałek - 11 grudnia

Już mam świadczenie. Napisali mi w nim, że stan mojego zdrowia wymaga co najmniej sześciotygodniowej kuracji. Jutro pochodzę z moją sprawą w ministerstwie. Profesor był bardzo grzeczny, równie dobrze mógł mnie zbadać przez telefon, a honorarium można by mu odesłać przez stróża lub wpłacić na konto w PKO. Sześćdziesiąt złotych, nie rozumiem dlaczego sześćdziesiąt, a nie na przykład pięćdziesiąt lub siedemdziesiąt. No, ale to są już tajemnice eskulapów. A propos Wikty. Była mocno zmartwiona, że mam zamiar wyjechać z Warszawy na kilka tygodni.

- Ale panią nie jest naprawdę chora? Bo ja staram się panię dogadzać. A starszej pani to szkoda, zamartwi się, biedaczka, była tak bardzo przywiązana do pana!

I Wikta rozplakała się.

Wtorek - 12 grudnia

Na razie choruję i nie chodzę do biura. Dzisiaj pokazałam się w biurze na kilka godzin, napisałam podanie o urlop i załączyłam świadczenie mojego specjalisty. Odpocznę sobie w domu kilka dni. Kupiłam kilka nowości francuskich. Nie chce mi się pisać.

Sobota - 16 grudnia

Wczoraj przeżyłam popołudniowe odwiedziny naszego ministerialnego lekarza. Taki sobie starszy pan w okularach o złotej oprawie. Urzędowy lekarz, pocziwy omnibus, jak by to określił doktor Michalski. Na serio przejął się moją chorobą i opukiwał mnie na wszystkie strony. W końcu przyznał, że należy mi się dłuższy odpoczynek, i przelicytował powagę profesorską. Mówił o konieczności dwumiesięcznej kuracji, naturalnie bez zająknięcia wymienił Krynice. Odsyłał mnie do dalszego specjalisty - chorób kobiecych, podał nawet adres. Widocznie lekarze podają sobie pacjentów z rączki do rączki. Tytułował mnie panią radcą. Widocznie mu to imponowało. Wiedział o wszystkich plotkach naszego grajdołka, o naszych brydżach, o moich orderach, widocznie ktoś wspominał mu o moim sposobie życia, ponieważ z zaciekawieniem rozglądał się po salonach. Ledwo powstrzymałam się od zaproszenia go na kolację. Stał kilka chwil przed portretem mojej prababki Anny, a później tłum miniatur zawieszony na ścianie obok biurka mącił mu myśli podczas wypisywania recepty. Takie sobie lekarstwa, nie zaszkodzą i nie pomogą. Tradycyjna Waleriana i passiflora oraz gorzki ulepek, który nazywa się: Sir. colae comp., wszystko dobrze mi znane jeszcze z czasów zamieszkiwania u ciotki Katarzyny. Ale wówczas przechodziłam jakieś podlotkowe *Herzschmerzen*, a dzisiaj?

Starszy pan powiedział mi na zakończenie coś w rodzaju konwencjonalnego komplementu. Pojechał na znanym koniku doradzania małżeństw niezamężnym kobietom. Widocznie taka jest już pospolita melodia lekarska, gdy nic innego nie umieją znaleźć u swego kobiecego pacjenta. Prawdopodobnie męskie osobniki słyszą identyczne zalecenia.

Niedziela - 17 grudnia

Zośka zwała się dzisiaj do mnie.

Środa - 20 grudnia

Jedziemy razem na wieś do Tuchołów. Nie bardzo mi to odpowiada, ale trudno. Z biura dzisiaj rano woźny przyniósł mi w kopercie papierek. Dali mi dwumiesięczny urlop, poczynając od 19 grudnia. Formaliści, ale normalny płatny urlop zdrowotny. Zobaczymy, co będzie dalej, na razie jadę z Zośką do naszej siostry. Woźny składał mi przy okazji życzenia świąteczne. Obdarowałam go butelką Winkelhausena i wetknęłam do ręki trzy srebrne dziesięciozłotówki. Pocałował mnie w rękę i był mocno wzruszony. Pan Franciszek Skoczek, bardzo porządny woźny. Zośka zazdrości mi mojej serbskiej bekieszy. Nie zabieram drugiego futra, nie warto tłuc się z bagażami. Dzisiaj w nocy wracają Marcin i Florencja.

Czwartek - 21 grudnia

Jedziemy samochodem. W cztery osoby razem z Żoliborzem. Irytuje mnie Marcin, zamknął się w sobie i nic nie mówi. Zapytałam go obcesowo o nowości, ale wykręcił się, że jeszcze nic nie wiadomo. Florencja - to samo z uśmiechem. I to był mój ideał! Oddaliśmy się od siebie. Od Maksia była wiadomość telefoniczna, że stan nerwowy Leokadii nie uległ jeszcze poprawie i unika wszelkich wizyt, zwłaszcza przypominających jej zmarłego męża. Pragnie spokoju i samotności. Marcin jest płytki, powiedział mi jakoś zdawkowo, że o wypadki nie jest trudno i wszyscy musimy być na nie przygotowani. Zabolalo mnie serce, ponieważ prawie zneglizował moje bóle i wspomnienia o stryjkę Pawle. Oni tam na Żoliborzu nie lubią wspominać o śmierci i nigdy nie rozmawiają o chorobach. Gdy opowiadałam o mojej chorobie i uzyskaniu dwumiesięcznego urlopu, oboje roześmieli się jak puste dzieciaki i nic mi nie odpowiedzieli. Z tego wszystkiego widzę, że nawet w wielkim mieście może grozić człowiekowi pustynia czterech ścian własnego mieszkania. W dodatku samotność zakłócana różnymi wspomnieniami, a te są jeszcze gorsze od samotności.

Ale to nic, grunt, że wyjeżdżam. Wyjazd to zawsze jakaś odmiana. A po powrocie czekają mnie moje lakiery i emalie. Marcin przypomniał mi o nich niemal zaraz po powrocie.

Jakże śmiesznie napisałam: moje lakiery i emalie. To chyba zwykła zachłanność kupiecka, wywodząca stale owo: moje i moje, Najwyższy czas byłby oderwać się od owych: moje, ja i ja, i porzucić drogę różnych egotyzmów!

Niedziela - 7 stycznia

Już w Nowym Roku 1934. Zapisywanie wrażeń było rzeczą niemożliwą. Dwie wioski pana starosty kresowego w istocie są położone bardzo daleko, na końcu świata. Za Horyniem, niespełna pięćdziesiąt kilometrów od granicy bolszewickiej. Resztki jakiegoś dużego klucza, z którego został jedynie na wpół zrujnowany pałac i resztki dwóch dawnych folwarków. Pałac ma pewno ze trzydzieści dużych pokoi i nie ma mowy o odbudowaniu go w całości. Zamieszkałych jest tylko osiem pokoi oraz w połowie do porządku doprowadzona sala balowa. Ruina, ale fuchy wielkopańskie i tytułowanie jaśniepaństwem co trzy słowa. Majątek leży na granicy dwóch światów. Z jednej strony ludność miejscowa w rozdrobnionych gospodarstwach, z nadmiarem rąk roboczych, nędzą, z drugiej - osadnicza ziemia polskich żołnierzy. Nowe domki i wojenne jakby gospodarowanie. Trochę z kozactwa i trochę z uporu żołnierskiego. Podobno mają twarde życie. Ale nie o tym chciałam napisać.

Rodzinne zdanie o majątku Piotrusia jest ustalone. Stryjek Paweł zdążył tam być przed śmiercią i radził, aby areal ziemi okroić co najmniej do połowy, rozparcelować, a dopiero na jakiejś resztówce pięciuset morgów ornej ziemi - gospodarować. Stryj mówił, aby w dodatku mocno zacisnąć zęby i poświęcić kilka lat na uporządkowanie tej resztówki. Wówczas mogłaby ona dawać czysty dochód, znacznie przewyższający obecne półtora tysiąca zdewastowanych morgów. No, ale cóż, szwagier leci na ilość i fascynuje się zniszczonym pałacem, ośrodkiem dawnej sławy czy bogactwa właścicieli sprzed stu pięćdziesięciu lat. Chimeryczne mrzonki. Najgorsze, gdy do gospodarki na wsi biorą się różne gryzypiórki z miasta. Nawet Tuchołkowie z Pomorza, mimo że sami wyszli z ziemi, tylko że dawno. To inna rasa niż nasze Jambory! Dobrze jeszcze, że nie mają fumów z podrózami zagranicznymi. Marcin mówi, że takie życie to tylko wegetacja i dorabianie miejscowych kupców żydowskich. Być może, ale ja się na tym nie znam, nie moja branża.

Co do reszty, to ze względu na naszą świeżą żałobę rodzinną Boże Narodzenie upłynęło nam raczej w nastroju poważnym. Nie warto opisywać detali. To było dobre dla studentki, która przed byle czym stawała w zachwycie i z buzią rozwartą z podziwu, jak cielę przed pierwszymi w jego życiu malowanymi wrotami.

Poprzedni właściciele opuścili ten dom, dwór czy resztki pałacu jak w obliczu pożaru. Również i tu na ścianach stołowego pokoju wiszą portrety wąsatych i podgolonych szlachciców obok francuskich fraczków z perukami. Dużo tych portretów, we dwa rzędy na ścianach ze czerniałego dębu. W tym wypadku nie próbowałam jednak zabierać ich do siebie, do Warszawy. Głupi Tuchołka wyobraża sobie, że to jego przodkowie. Snobizm, głupota czy wprost jakieś otumanienie. Poza tym dom jest wypełniony dziećmi. Ciocia na posterunku, nie wiem gdzie ją wygrzebali, ale w każdym razie jest to urzędująca ciocia, a dziatki mówią jej nawet: babciu.

Sąsiedzi - owszem. Staroświeckie towarzystwo, ale młodzież jakaś bez wdzięku. Wszędzie odległości po kilkanaście kilometrów. Imponują sobie końmi, sankami i liberią na furmanach. Złocene guziki i herby. Rozmówki heraldyczne, przy czym krąg zainteresowania - w promieniu stu kilometrów. Do Lublina daleko, w tamtym kierunku nie jeżdżą, a Warszawa u nich w roli Peterburka w ustach pani Telimeny. W rozmowach sporo wspomnień z Żytomierza, Berdyczowa, Kijowa i Odessy. Polowania, wilki, kuligi na sankach, głębokie śniegi i popis świata sprzed kilkudziesięciu lat. Zainteresowania w promieniu najbliższego miasteczka powiatowego, ważne rozmowy o przygodach w dwóch restauracjach tegoż miasteczka. Wspólna atrakcja w postaci tych samych Mortków i Szłomów, którzy pożyczają pieniądze podobno na dwa i trzy procent miesięcznie! Do kościoła równe dwie mile, ale to i

tak nazywa się tutaj: blisko. Mam wrażenie, że nasza Polska jeszcze w te kąty tak naprawdę nie dotarła. W dodatku tutaj starosta nie jest zbyt ważny. Pierwsze skrzypce w powiecie znajdują się w rękach prezesa Związku Ziemian i jakiegoś dziekana, który jest równocześnie papieskim podkomorzym. Taki prezes bardzo często wpada do naszego szwagra i mówi po prostu: - Sąsiedzie, każcie mi załatwić to i to, tak i tak. - No i starosta Tuchołka załatwia. Sprzeciwiać się nie warto, bo do wojewody daleko, a Warszawa w tamtych stronach jest mityczna. Marcin określił, że to jest rodzaj gubernialnego miasta NN z Martwych dusz Gogola. Jedynie inna dekoracja, świat pomniejszony do wielkości powiatu, ale ludzie podobni, niemal ciż sami.

Po drodze Marcin opowiadał nam różne ambaje. Jakiemuś wariatowi na urlopie nudziło się w swoim majątku i na oczekaniu wyfantazjował przed laty powieściową scenkę rodzajową. Zapraszał gości z dalekich stron do swego pałacyku z XVIII wieku i aranżował przed pijanymi oczami makabrę własnego pomysłu. Umieszczał ich w pokojach gościnnych obok starej sali portretowej. O północy gości budziły grobowe głosy, nic dziwnego, że brali w ręce lichtarze ze świecami i otwierali drzwi do sali. Półprzytomne oczy zwabionych w ten sposób gości, osłabione w dodatku aptecznymi blekotami dolewanych im do wina podczas wystawnych kolacji, oglądały niecodzienne widowisko.

Wszystko zostało wykorzystane przez półgłówka-reżysera. Pianie kogutów, granie starych kurantów w zegarze, włączenie łańcuchów po podłodze, księżycowa poświata, zapalone świece na stole, przy którym siedział tuzin szkieletów wykonywających manekinowe ruchy piszczelami rąk. U szczytu takiego bukietu truposzów, pod olbrzymim portretem swego pradziada, prezydował pan domu, dokładnie ucharakteryzowany na wzór swego kasztelańskiego przodka sprzed dwustu lat, w delii i z buzdyanem w ręce. On to właśnie przemawiał grobowym głosem do swych nocnych gości, zwabionych do sali portretowej. Nad jego głową, o tym czasie tkwiły już jedynie puste ramy portretowe.

Reakcja pijanych czy też mało przytomnych gości była rozmaita. Jedni głupieli, drudzy mdleli na oczekaniu. Na drugi dzień wmawiano w nich sensne widziadła, opowiadano im niestworzone historie o duchach, które straszą w pałacu. Historie były praktykowane przed wojną, jeszcze za życia starego dziedzica. Podczas wojny rzecz poszła w niepamięć, dopiero syn hrabiego wznowił nocne przedstawienia. Przeciągnął jednak strunę. Urządził wiejski teatr przed spitym do nieprzytomności pułkownikiem od ułanów. Krewki oficer sięgnął po pistolet i wykropił cały magazynek do ludzkiej głowy, która spoczywała na tacy przed ukostiumowanym figlarzem. Głowa podobno miała szyderczy uśmiech, ruszała oczami, a po wystrzeleniu magazynku przez oficera otworzyła usta i wypluła w jego kierunku wszystkie kule. W rezultacie nerwy pułkownika nie wytrzymały, zemdłał zwyczajnie i spokojnie, jak wszyscy inni przed nim. Rzecz zrozumiała, że poprzednio postarano się o odpowiednią wymianę kul.

Sprawa skończyła się procesami. Oficer popadł w rozstrój nerwowy, coś niecoś prawdy dociekło do jego uszu. Wyzwał na pojedynek kpiarza, powstała chryja, oficer chciał się rąbać pałaszami aż do skutku, półwariat chciał się tylko strzelać na dziesięć kroków ze staroświeckich pistoletów, również do skutku. Sprawa się rozbabrała, obie strony nawymyślały sobie, sekundanci też znaleźli powód do obrazy; historia trafiła do sądów. Ostatecznie zwariowany panek kropnął sobie w łeb w Monte Carlo, pałac zniszczał do reszty, w końcu jacyś dalecy krewni sprzedali cały kram, by zatrzeć wspomnienia po głupich kawałach z ucztą szkieletów.

Taki to pałac i taki majątek na kresach - kupił Piotruś Tuchołka z Pomorza.

A zresztą, psiakrew, co mnie to wszystko obchodzi? Moja droga życiowa wydziera się w innym kierunku. Wschodnie kresy i tak nie są terenem dla mnie, tylko tyle, że moja siostra Pelasia jest obecnie dla mnie całkiem stracona. Wsiąkła w wieś i utonęła w tamtejszym szarym kolorycie. Może dopiero jej dzieci wyfruną kiedyś w przyszłości w prawdziwy świat i

może dopiero im uda się porzucić tamte nieciekawe strony. Jasia i Małgosia już się uczą po trochu. Mają nauczycielkę na miejscu. Jakaś ofiara losu, która przybyła w tamte strony z przeludnionego miasteczka, gdzieś aż spod Stanisławowa. Moja chrześniaczka poważna, zamyślona i z małą dozą dzieciństwa, jak na jej cztery latka. O najmłodszej nie warto mówić. Ale koniec z kresami.

W Sylwestra byliśmy na balu u pana prezesa. Dom z luksusami, pomimo że majątek mocno obdłużony. Na polowanie nie pojechałam. Wymówiłam się i odpoczywałam. Próbowałam szperać w bibliotece, ale rudera zimna i wszystko zbyt zakurzone. W jednym z rogów mocno zacieka, zamiast naprawić dach, podstawiają na wodę stare garnki. Plamy na suficie, czuć pleśń. Drugiego stycznia odjechalśmy. Marcinowie odstawili mnie do Lublina, a tam znów ja przesiadłam się do lwowskiego pociągu. Wróciłam do Warszawy wczoraj rano. I oto leżę na mojej francuskiej kozetce i usiłuję zebrać myśli o tym, co przeżyłam.

Właściwie nic nie przeżyłam. Wyjechałam z Warszawy i powróciłam do niej z powrotem. Obejrzałam sobie dworskie gospodarstwo na wschodzie i spędziłam trzy miłe dni we Lwowie.

Michałowie w dalszym ciągu bez dzieci. Wspominali o zamiarze wzięcia na wychowanie jakiegoś dziecka. Nie dopytywałam się o bliższe szczegóły. Tym razem nie olśniła mnie myśl przekazania im mojej Marty. Nie byłaby to dobra droga. Siostrę mogę sama wychować, zresztą na rozwiązywanie tego problemu nie nadszedł jeszcze właściwy czas. Natomiast we Lwowie zjawiała się u mnie myśl, aby małej przekazać cały majątek - w wypadku mojej śmierci. Trzeba o tym pomyśleć. Obecnie po śmierci stryjka zaczęłam rozważać sprawy przyszłe w sposób niezwykle zimny, to znaczy wkalkulowując wszystkie możliwości, nawet własną śmierć. Postanowiłam podczas pierwszej mojej bytności w Grudziądzu złożyć u naszego notariusza zalakowaną kopertę z takim pismem, bez ujawniania mu treści.

Odkręciłam się od naszego brydżowego towarzystwa. Dzisiejszą niedzielę mam całkowicie dla siebie.

Z Górek wiadomości. Tamtejsza gospodyni pisała do mojej Wikty, a swojej przyjaciółki, że „pani” wyjeżdża na dłuższą kurację do Miłowodów pod Poznaniem. Sanatorium, słyszałam o nim. A może tak i mnie do tych Miłowodów? Nie wiem. Na razie nigdzie się nie spieszę. Mogłabym również pojechać do Mentony i na starym szlaku towarzyszyć obecnie Patrycji. Ale chyba nie to ostatnie, ponieważ daleko i w dodatku nie widzę w najbliższej perspektywie żadnych większych pieniędzy.

Właśnie wczoraj wieczorem zamknęłam rachunki mojego pierwszego roku w Warszawie. Prawie dziewiętnaście tysięcy mimo stryjków i mimo zaopatrywania mnie w wiktuały z Górek. Z tamtych stron napisała również obszerny list - Gabrysia. Leokadia już się prawie uspokoiła, pozostał jej jedynie tik koło lewego oka oraz siwe włosy. Gabrysia pisze, że jeszcze nie jest odpowiednia pora na odwiedzinę, oboje z Maksiem uważają, że specjalnie ja budziłabym u Leokadii wspomnienia, których powinna unikać. Gabrysia pisze w sposób tuzinkowy, że czas leczy wszystko. Może ma i rację, ale ona jest młoda, a Leokadię spotkał cios w innym wieku i w momencie najmniej oczekiwanym.

A teraz cyfry. Nie wliczyłam do nich pięciu i pół tysiąca na chorobę małej i jesienne miesiące w Grudziądzu. Również bez pozycji prezentów, ale te równoważą się z nadwyżką w upominkach, które kolejno sama otrzymałam. Urzędowanie w ministerstwie przyniosło mi koło siedmiu tysięcy, sprzedaż drobnych akcji osiem trzysta, a kupony za rok 1933 - niecałe pięć tysięcy. Razem dwadzieścia tysięcy, ponieważ przed wyjazdem na wieś pożyczyłam od Marcina tysiąc złotych, a przedtem naciągnęłam Zośkę na dwa tysiące. Nic nie mówiła - przysłała.

W zakończeniu pozostają nieuregulowane paryskie długi u gdańskiego stryjka. Nie spieszy mi się, niech mi dopisują procenty.

Wczoraj podjęłam styczniowe kupony od akcji, niewiele tego, 2 375 złotych, ale zaraz oddałam dług na Żoliborzu, a końcówkę dołożyłam do kupki, którą przyniósł mi do domu nasz woźny ministerialny. To będzie na pokrycie wydatków w styczniu. Na razie mam zatem cztery banknoty po pięćset złotych oraz jakąś mizerię na książeczce PKO. W Poznaniu leży co prawda na moim koncie okrągłe dziesięć tysięcy złotych. Po otrzymaniu z Grudziądza dziadkowego legatu podjęłam końcówkę z procentów, resztę jednak zostawiłam. Niech to będzie dla mnie jakaś żelazna rezerwa! Taki jest mój cały płynny majątek w okresie rozpoczynania nowego roku. Rok 1934. Co mi ten rok przyniesie? Chyba nie „dobrego męża”, jak mi tego życzyła Wikta po powrocie od Tuchołków. Głupie życzenie, w jej pojęciu mądre. Mąż w dawnym rozumieniu, jako podpora i treść życia żony.

Mam urlop do 19 lutego. Sama nie wiem, jak go wykorzystać. Na razie w tym tygodniu wpadnę na dwa dni do Poznania. Moja Emilka ma kłopoty z indeksem. Trzeba będzie to wyprostować i jakoś urządzić. Właściwie na co mi się przyda ten drugi dyplom? Przecież nie oprawię go w złote ramki i nie zawieszę obok miniatur, znalezionych na strychu w Górkach.

O karnawale nie myślę. To nie ma najmniejszego sensu prezentować nagość z przodu i z tyłu na pokaz w bufecie i na sali balowej. Może w przyszłym roku. Obecnie, niezależnie nawet od żałoby po stryju, nie mam humoru do takich głupstw. W każdym razie gdzieś wyjadę.

W kwietniu Zośka spłaca ostatnie dwadzieścia tysięcy Tuchołkom i będzie nam jakoś lżej. Pozostanie na karku tylko Krystyn oraz sto tysięcy u stryjków - połowa już u Maksia? - ale to już nie jest takie straszne.

Życie nasze składa się tylko z cyfr i różnych myśli. Ludzie biedni myślą o tym, jak wyżyć do najbliższego pierwszego, przed ludźmi bogatymi snuje się nieustanne widmo kłopotów najbliższego roku. Natomiast myśli błędzą po naszych ścieżkach, podobnie jak reflektory po niebie. Nigdy nie wiadomo, kiedy nas oświecą, a kiedy pogrązą w ciemnościach. W pierwszym przypadku światło niejednokrotnie oślepią, w drugim ciemność nabija nam guzy na czole. Albo dzieje się jeszcze gorzej... Ale wróćmy do cyfr.

Tuchołkowie dostaną od nas jeszcze czterdzieści tysięcy, stryjkom należy się do końca tego roku sto tysięcy plus dziewięć tysięcy procentów za rok bieżący. Razem sto pięćdziesiąt tysięcy długów. Cały majątek przedstawiał wartość dziewięćset tysięcy z dochodem około trzydziestu pięciu tysięcy z domów i osiemdziesięciu tysięcy z bławatów. Te ostatnie zostały obecnie pomniejszone o pensje Zośki i pani Millerowej oraz koszt utrzymania wąbrzeskiego domu, razem około dwudziestu tysięcy. A zatem w saldzie siedemset pięćdziesiąt tysięcy z rocznym dochodem około dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy złotych. O ile lokatorzy zapłacą komorne w terminie i o ile bławaty dopiszą. Od dziś za rok zostaniemy z długami plus minus w wysokości sześćdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy, przy zbliżonym dochodzie. Naturalnie o ile Krystynek i ja nie wyciągniemy zbyt wiele z naszego wspólnego majątku. Już mi to wszystko obrzydło. Takie wspólne gospodarstwo do niczego nie prowadzi i zabija we mnie przedsiębiorczość. W dodatku jedno drugiemu patrzy na ręce z niechęcią, gdy podejmuje pieniądze z takiej wspólnej kasy. A zatem lakiery! W tych warunkach trzeba samemu myśleć o znalezieniu środków na przebrnięcie najbliższego roku. Rodzinna chciwość przeszkadza nam w sprzedaniu domów. Podobno pierwszy dom rodzi drugi, a dwa następne jeszcze szybciej rodzą trzeci. Jakoś tego nie widzę u nas, a równocześnie poznałam ostatnio ludzi, o których się mówi, że posiadają w Warszawie po kilkanaście kamienic.

Jutro czekają mnie rozmowy handlowe. Mam obejrzeć mały sklepik na Nowym Świecie. Podobno ciupka, ale w dobrym punkcie. To ma być placówka mojej pierwszej w życiu firmy kupieckiej. Równocześnie już wmawiają we mnie od razu kilku pracowników. Lokal na magazyny w podwórzu oczekuje na towary, a sąsiadowi na moim piętrze przedłużono dzierżawę tylko na jeden kwartał. Przede mną zatem stoi to wszystko, co potrafię sobie sama zorganizować!

Poniedziałek - 8 stycznia

Obejrzałam lokal sklepowy. Na razie jeszcze sklepik z cukierkami, ale tylko do końca miesiąca. Rzeczywiście mała ciupka od ulicy, natomiast duży pokój i kuchnia od podwórza. Również i wyjście na to podwórze. Stara rudera. Brudno, ale punkt ruchliwy. Bardziej dogadzałyby mi przeciwna strona ulicy, ale trudno. Pośrednik powiedział mi sentencjonalnie, że klienci umieją znaleźć każdy sklep, który jest im potrzebny. Komorne pięćset złotych miesięcznie i za cały rok z góry, mimo że lokal zwolni się dopiero od pierwszego lutego. Przynajmniej dwa tygodnie roboty dla malarzy. Dla pośrednika równy tysiąc złotych, drugi dla administratora rudery. Właściciele poza nawiasem wszystkich kombinacji, ponieważ hipotecznie są mocno rozdrobnieni i całość rządów spoczywa w rękach administratora. Administrator naszej kamienicy skontaktował się z lokalem - niby po znajomości itp. Honorowo. Mieszkam już w naszej kochanej Warszawie cały rok i wszystkiemu wierzę...

Byłyśmy obie z Florencją. Ona ma więcej sprytu handlowego ode mnie. Tego się po niej nie spodziewałam, przyznaję pokornie. A w swoim czasie stawiałam ją sobie jako wzór damy salonowej! Ale to było bardzo dawno, gdy bydgoskiej biuralistce niewiele było potrzeba do olśnienia. Dzisiejsze damy posiadają własne konta w bankach i nie potrzebują przysyłać kochankom do uregulowania rachunków od dostawców, jak się o tym czytuje u Balzaka.

Wstyd mi było przed Florencją przyznać się do nieposiadania dostatecznej ilości gotówki. Dotrzymałam jednak placu i zdobyłam się na szybką decyzję. Krótko powiedziałam administratorowi:

- Dzisiaj wieczorem proszę przygotować brulion kontraktu dzierżawnego, jutro w południe oddam go panu z moimi uwagami. Podpisać możemy jutro po południu, pieniądze przy podpisaniu.

Osiem tysięcy złotych! Pomimo to zaprosiłam moją „ciotkę Florencję” na kawę i rozmawiałam z nią o wszystkim, tylko nie o jutrzejszych tysiącach. Sprzedam część akcji.

A zatem postawiłam już pierwszy krok na mojej drodze kupieckiej. Przed godziną rozmawiałam telefonicznie z Marcinem. Dopytywał się o to, jak sobie wyobrażam dalszy ciąg. Bez namysłu odpowiedziałam, że to będzie spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, powiedzmy z kapitałem dwudziestu tysięcy złotych i obowiązkiem włożenia dalszych dwudziestu tysięcy w określonym terminie.

- Pięknie - zapytał Marcin - a pozostali wspólnicy?

Roześmiałam się do słuchawki telefonicznej i wyrecytowałam:

- Powiedzmy: Florencja i ty, generałowa i jej mąż...

- Co? - wykrzyknął głośno stryjek - my?...

- Tak - potwierdziłam - ale nie obawiaj się, to będą tylko takie symboliczne udziały po tysiącu złotych. Dla sądu handlowego potrzebni są wspólnicy, ale po miesiącu będziecie mogli mi te udziały odsprzedać.

- A ile nam dasz? - dopytywał się ironicznie Marcin.

- Akurat tyle, ile będą warte, to znaczy - tysiąc złotych i porządną kolację z winem, ale u mnie w domu - zastrzegłam się. - Nie mogę obecnie włóczyć się po lokalach, przecież w charakterze radcy ministerialnego jestem chora i przebywam na kuracji.

Dowcip udał się, ale tuż po odłożeniu słuchawki opadłam z sił. Nie trwało to jednak długo. Sprawę załatwiłam po męsku, powiedziałam kilkakrotnie: - psiarew - i to mi ulżyło. Później dla wzmocnienia samopoczucia kropnęłam sobie duży kieliszek od wina, naturalnie wypełniony koniakiem, a nie lemoniadą. I oto teraz spisałam wydarzenia dnia dzisiejszego. *Das Geld ist rund, es muss rollen* - tak to sobie wytłumaczyłam. Zaczynam zatem pierwsze w moim życiu kupiectwo już przy pomocy swoich własnych pieniędzy!

Wtorek - 9 stycznia

Za dziesięć tysięcy BGK dostałam dziewięć tysięcy sto pięćdziesiąt złotych. Kontrakt dzierżawny mam już u siebie w biurku. Jutro rano wyjeżdżam do Poznania. W projekcie mam Wąbrzeźno. Tym razem nie śpieszy mi się, nie gonią mnie żadne terminy. Jestem panią własnego czasu. Zawzięłam się. Do diabła z ministerstwem! Szkoda czasu na codzienne przedpołudniowe sitzbady w ponurym pokoiku o wymiarze trzy na cztery i z oknem wychodzącym na nieciekawe podwórko. Gdybym musiała, to co innego, ale nie muszę.

Środa - 10 stycznia

Doktor w Bydgoszczy. Króluję na razie sama, ale tylko do jutra. W każdym razie na ulicy Wyspiańskiego czuję się lepiej niż u siebie w Warszawie. Tutaj nawet dawne wspomnienia mnie nie prześladowają. Czas przysypał je popiołem zapomnienia. Nie wszystko co prawda, lecz wiele z nich. Widocznie moje myśli są wypełnione czym innym, moimi przyszłymi interesami. Kupiectwem. Dziwię się, że przyjmuję je ze sporą dozą spokoju, mimo pewnej niecierpliwości, jak to wszystko wypadnie.

U Emilki i Henryka zjawilo się obecnie kilka obrazków na ścianach. Nigdy mi to nie przyszło na myśl. Przy najbliższej bytności w Górkach wybiorę coś dla nich ze zbiorów na strychu. Zabrałam tylko miniatury, wzgardziłam dużymi ramami, na które nie mam u siebie odpowiednich ścian. Gospodyni doktora dopytywała się o zdrowie Leokadii. Mówi, że stary doktor mocno przejął się wypadkiem, chciał nawet zaraz jechać. O śmierci i pogrzebie stryjka Pawła dowiedział się dopiero później, przypadkowo, od znajomych ziemian, ponieważ wypadek z koniem i motocyklem stał się głośny.

Mam kłopot z podpisami na uniwerku. Muszę utkwic co najmniej na tydzień w Poznaniu i sama sobie poradzić. Nie bardzo mi się uśmiecha chodzenie na wykłady, ale nie ma innej rady.

U Dobskiego marazm. Można byłoby powtórzyć słowa wypowiedziane przez „pewnego pana”: - Chodźmy stąd do innej budy, tutaj nie ma nikogo. - Poszłam razem z Emilką, ale nic nie wysiedziałyśmy na kanapce. Tylko tyle, że musiałam mojego Dobskiego odsiedzieć u nich na kolacji. U nich w dalszym ciągu rządzi Walerka Permus, ale spoważniała i nabrała godności prawdziwej gospodyni.

A teraz chodźmy spać, moja Anno. Jutro czeka ciebie pracowity dzień w murach twego dzieciennego uniwerku. Niewiele on ci na razie pomógł w życiu, pozwolił jedynie na szersze rozwarcie oczu i dostrzeżenie, że w życiu jest coś więcej oprócz śniadań, obiadów i kolacji. Oprócz tego niewiele ciebie na nim nauczono, musiały w tym pomagać kolejno Florencja i Leokadia oraz kilka tuzinów różnego rodzaju krewnych i znajomych. Wszyscy bez wyjątku... nawet tych paru bubków z tak zwanego rodzaju męskiego.

Ale obecnie spać. Buzia mi się rozdziera właśnie w tym momencie, gdy pisanie przychodzi mi łatwo i lekko. Ale trudno, trzeba iść spać, trzeba uszanować bezweralną okazję.

Piątek - 12 stycznia

Pracowite dwa dni. W porównaniu z ministerstwem - harówka. Nie wiem nawet, czy wyrwę się z Poznania przed przyszłą sobotą. Kilka głupich podpisów w indeksie i tyle kłaniania się belfrom. Ale świat należy do ludzi, którzy potrafią zacisnąć zęby i powstrzymać się od zbędnych wynurzeń. To by zresztą nic nie pomogło, ponieważ taki belfer mógłby gładko powiedzieć: - Ja muszę wymagać, a student jest zobowiązany poddać się różnym regulaminom. - Nie dlatego, że te regulaminy są mądre, lecz dlatego, że obowiązują... W dodatku to ostatni rok studiów, za kilka miesięcy tacy nowi magistrowie, po uzyskaniu dyplomów, machną ręką na uniwersytet i na naukę. Dla belfrów zatem jest to ostatnia możliwość pokazania swojej nadętej ważności.

W niedzielę rano przyjeżdża do Poznania - Mela. Z interesami, po drodze do Katowic i Bielska. Stary kupiecki szlak bławatników. Specjalnie przerywa podróż, aby mnie zobaczyć. Całe szczęście, że powodzi im się dobrze. Staremu doktorowi nie bardzo się widzi taki obrót i taka odmiana. Nie lubi przerzucania się z jednej ostateczności w drugą, w granicach rażących. Naprzód było lenistwo i nieróbstwo, a później od razu zjawiała się żądza działania i dążenie do szybkiego wzbogacenia się. W dodatku kramarstwo nigdy nie leżało w krainie jego gustów. Doktor Michalski obawia się też, aby Józinków nie poniosło, by ich to nagle bogactwo nie... rozsadziło. Zobaczmy, pomówimy z Melą.

Sobota - 13 stycznia

Naturalnie wieczorem brydż. Ostatnia pociecha przeciętności i ucieczka wiernych przed nudą dnia powszedniego. Dla mnie towarzyska pańszczyzna, ale trzeba i wypada zrobić doktorowi tę przyjemność. Stary nasz przyjaciel kazał przygotować okazałe przyjęcie, będąc murowane dwa stoliki. Przeciągnie się co najmniej do godziny drugiej w nocy. Murowane, ale trudno!

Piszę rano. Na wykładzie procedury cywilnej. Nudny belfer i nudny przedmiot. Nie zostanę adwokatem. Nie dla mnie. Zbyt długie aplikacje, zestarzałabym się na nich. Co prawda i prawo może przydać się w życiu. Przynajmniej innym językiem będę mogła rozmawiać z adwokatami, gdy ich będę kiedyś potrzebować. Nie owiną mnie, jak to mówią, dookoła palca.

Po wykładzie pójde do Fangrata. Obecnie siedzę naturalnie w pierwszej ławce i trzymam ołówek w ręce. Wszyscy zapewne myślą, że notuję treść wykładu. Profesor Stelmachowski. Wygląda na piłę z drobnymi ząbkami. Jeżeli się obetnę na egzaminie, to chyba tylko u niego. Ohanowicz wygląda możliwie. Bardziej życiowy. Ożenił się ze studentką. Dokładny, lecz myśli syntetycznie i nie łapie na szczegóły. U Sułkowskiego wystarczy samo myślenie i trochę pamięci. Jedna tylko procedura cywilna to rzecz mądra i niewdzięczna już w swoim założeniu. Naturalnie potrzebna w życiu, lecz jeszcze lepiej obywać się bez niej, to znaczy bez sądów. Kupcy bogacą się na obrotach, a nie na procesach. Procesują się jedynie kanciarze. Co do mnie, to uważam, że z góry należy postawić sobie jakąś granicę procesowania się. Należy wytypować wysokość kwoty, o którą warto się procesować. Każdy proces to niepotrzebne zużywanie energii i zdrowia, które można lepiej wykorzystać i w tym samym czasie zarobić nawet więcej na czym innym, niż na włączeniu się po sądach. Pewnego razu klarowałam moje poglądy na ten temat Marcinowi, ale ten, jak zwykle, zbył mnie żartem i powiedział w końcu sentencjonalnie:

- Trzeba pozwolić żyć adwokatom, to są nasi najlepsi partnerzy do brydża.
Ach, te brydże, najbliższy już dzisiaj wieczorem!

Wtorek - 16 stycznia

Na jutro po południu mam wyznaczony termin rozmówki ze Sułkowskim. Trzeba będzie wybrać temat dla mojej pracy magisterskiej. Wydaje mi się, że najłatwiej z prawa handlowego. Może dlatego, że w ostatnich dniach mocno wodziłam nosem po stronicach Kodeksu Handlowego. Szukałam natchnienia dla mojej przyszłej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Mogłabym z tego działu składać kolokwium już dzisiaj i zaraz.

O brydżu nie warto pisać. Towarzystwo liche, takie sobie. Zamożni nawet ludzie, lecz całkowicie pozbawieni wdzięku. Grają w brydża podobnie, jak nasi sąsiedzi w miasteczku rodzinnym w niedzielnego skata. Tylko tyle, że nikt z nich nie zdjął marynarki i nie grał w spodniach i w szelkach na koszulę. W Warszawie przy brydżu licytuje się nie tylko karty, lecz obmawia przy tym cały świat. Tutaj w Poznaniu obowiązują tylko kara i szlemiki.

Melę można określić w jednym zdaniu. Dawniej oddawała się różnym „chłopom” ciekawa swojej rozlążającej się kobiecości, obecnie oddałaby się bez namysłu każdemu, kto by

jej dostarczył pomysłu do jakiegoś nowego interesu. Naturalnie nie wtajemniczałam jej w moje obecne stosunki i zamiary handlowe. Byłam jedynie wdzięcznym słuchaczem do godziny pierwszej w nocy, to znaczy do odjazdu katowickiego pociągu. Tak nawet wypadło, że trzeba będzie po drodze wstąpić do Bydgoszczy, nie tyle dla Meli i ciotki, co dla podtrzymania dobrych stosunków z rodziną. Ta część rodziny jest mi obojętna, ale trudno, Zośka utrzymuje z nimi dość ożywione stosunki. Nie umiała dobrać sobie innego towarzystwa. A może raczej nie miała innych możliwości? Dla Wąbrzeźna Bydgoszcz to największe miasto w pobliżu. Grudziądz jest wypełniony jedynie wojskiem, a Toruń urzędnikami.

Stary doktor w dalszym ciągu bardzo miły i rodzinny, ale starzeje się w oczach. Posmutniał. Jego lokatorki są nudne. Właściwie głupie, mogłaby się któraś za niego wydać. Ale czy on zechciałby? Leokadia. Otóż to właśnie. Ale obecnie to dla nas wszystkich sprawa bardzo żałosna. W każdym razie - według mnie - w położeniu doktora Michalskiego każda żona byłaby dla niego odpowiednia, byle dobra i łagodna. Starość potrzebuje w pobliżu kogoś do wygadania się.

Czwartek - 28 stycznia

Ze Sułkowskim załatwiłam. Belfrów można nabrać. Wmówiłam w niego moje zainteresowanie dla prawa handlowego. Zamiast odpowiadać na pytania, sama je zadawałam. Eksploatowałam je do swego użytku praktycznego. Praca dyplomowa zatem - z zakresu spółek akcyjnych, spółek z ograniczoną odpowiedzialnością itp. W sam raz dla mnie. Całe szczęście, że tylko w cyrku można spotkać odgadywaczy myśli! Udało mi się fuksem, jak to mówią. Taki temat do opracowania nie będzie niebezpieczny.

W Poznaniu zostaję do końca tygodnia. Obokolęduję wszystkie wykłady. Aby jak najbardziej rzucać się belfrom w oczy. Dzisiaj idę z Emilką do opery. Poznania używam w miarę. Mieszkałam tu bite cztery lata, lecz poznałam nieznaczną ilość ludzi. Kręciłam się w małym kółku, nie znam nie tylko wielu ulic, ale nawet całych dzielnic. Mój świat nie przekraczał zasadniczo granic czterech rynków: Wildeckiego, Łazarskiego, Jeżyckiego i Sapieżyńskiego. Sołacz znam jedynie z okolic parku. W pośrodku tego oślego ogródka leżał Plac Wolności i wszystko, co było potrzebne studentce. Kilka kawiarni, biblioteka, uliczne corso do tak zwanej *minady*, to znaczy do obnoszenia strojów. Mowa o Placu Wolności na odcinku od księgarni św. Wojciecha mniej więcej do ulicy Gwarnej. Ale to nic. To były tylko cztery lata, które z powodu swej głupoty prześlągałam w Poznaniu, a nie w Paryżu. Stało się. Mogłabym co prawda i obecnie wynająć sobie pokój w pobliżu Sorbony, ale na taką ekstrawagancję jestem już za stara. I zbyt wyrafinowana, nie chcę napisać: zbyt mądra.

Sobota - rano

Zbudził mnie telegram z Warszawy. Od Florencji. Pociągiem popołudniowym przyjeżdżają: Leokadia i ciotka Magda. Na noc zatrzymują się w hotelu, jutro rano - w dalszą podróż do Miłowodów. Telegram był adresowany do doktora, lecz wyraźna wzmianka: Leokadia chciałyby zobaczyć się z Anną. Muszę zostać. Obecnie czekam na zamówione telefony do Bydgoszczy i Wąbrzeźna. Popsuję im plany rodzinne, ale trudno.

Jestem przejęta jutrzejszym spotkaniem z Leokadią. Ostatni raz rozmawiałyśmy tuż po pogrzebie. Ciotka Magda? Zobaczymy. Miłowody - to nerwy. Tacy sobie łagodni wariaci i nic nikomu nie szkodzące leczenie wodą. Tak opowiada doktor Michalski.

Wieczorem

Leokadia uspokojona. W łagodnym usposobieniu. Ale to już nie ta dawna Leokadia, pełna życia i werwy. Srebrne włosy pomimo niestarej w dalszym ciągu twarzy. Ale twarz pozbawiona uśmiechu. Smutna. Ciotka Magda poświęciła się i zostanie w Miłowodach cały

miesiąc. Leokadia... kilka miesięcy, jeszcze nic nie wiadomo. W każdym razie co najmniej trzy miesiące. W Warszawie panie były u kilku specjalistów. Radzą naprzód dłuższy odpoczynek w sanatorium, a później zmianę otoczenia, wyjazd za granicę. Ciotka Magda to dobra kobieta. Podczas powitania Leokadia uśmiechnęła się do mnie, ale poprzez jej sztuczny uśmiech przebijał głęboki smutek. I uśmiech zgasł równie szybko, jak się pojawił.

- I cóż, Anno - powiedziała - niedobrze jest ze mną. - Zaraz po tych słowach popadła znowu w stan zubożenia. Odpowiada tylko monosylabami. Podobno to są normalne objawy jej nerwowej choroby. Objawy naturalne dla lekarza. A cóż nam z tego przyjdzie? W dodatku dla lekarza każdy chory jest królikiem doświadczalnym.

Panie zatrzymały się w „Continentalu”, jutro rano jedziemy we czworo do tych Miłowodów. Dyrektorem sanatorium jest dobry znajomy naszego przyjaciela z ulicy Wyspiańskiego. Pojedziemy wynajętym samochodem, niedaleko, trzydzieści kilometrów. Nie było wiele rozmów. Kolację spożyliśmy na dole w restauracji hotelowej, tak zadysponowała ciotka Magda. Mieszkanie doktora - to wspomnienia.

Niedziela - wieczorem

Już jesteśmy z powrotem w Poznaniu. Jutro rano jadę do Bydgoszczy. Leokadia dobrze umieszczona. Stary doktor oddał ją w dobre ręce doktora Łazarewicza. Spokojny zakład. Przyrzekłam, że przyjadę z odwiedzinami za trzy lub cztery tygodnie. Obie panie już wiedziały o moich nowych projektach życiowych. Ciotka Magda reagowała na nie w sposób rzeczowy i chłodny, natomiast Leokadia podjęła rozmowę:

- Czy dobrze zastanowiłaś się, Anno? Podobno chcesz rzucić ministerstwo? A może lepiej byłoby urządzić się spokojniej i bez nabijania sobie głowy kłopotami?

Ale tuż po wypowiedzeniu tych słów Leokadia urwała, zamyśliła się, a my we troje, doktor był z nami podczas tej rozmowy, nie podtrzymaliśmy tematu. Doktor zagadał o czym innym, zrozumiałam, że to nie jest właściwy temat dla naszej chorej.

Z ciotką Magdą rozmawiałam krótko i tylko w chwili, gdy Leokadia udała się do łazienki. Ciotka wiedziała o tym, że prawie już spłaciłyśmy Tuchołków. Sama zaczęła rozmowę na tematy pieniężne i powiedziała bardzo serdecznie:

- Nie martwcie się o te pięćdziesiąt tysięcy pożyczone wam przez nieboszczyka Pawła. Mogą zostać w dalszym ciągu. Gdańsk również nie potrzebuje chwilowo pieniędzy. Gdyby ci było potrzeba trochę gotówki na te twoje farby, to my ci to jakoś urządzimy. Umów się telefonicznie z Maksiem albo jeszcze lepiej przyjedź na wieś. Wszyscy się ucieszą. Oni teraz siedzą kamieniem na wsi i nigdzie się nie ruszają, ponieważ mają pełne ręce roboty. Maksiu nie jest w stanie zastąpić ojca we wszystkim. Za dużo mają rozpoczętych interesów. A mnie czeka również ciężka praca, na Pomorzu zostały dwie kolonie, przeszło sześćset morgów, jest o czym myśleć dla jednej kobiety. Muszę ci wyznać, moja Anno, że do tych Miłowodów nie jadę wyłącznie dla Leokadii, mnie również potrzeba trochę wypoczynku. Nie pamiętam nawet, kiedy miałam wakacje.

No i tyle. Przebrnęłam przez to moje pierwsze spotkanie z Leokadią. Na ulicy Matejki nie byłyśmy, jakby jej nie było. To są sprawy na razie niebezpieczne dla mojej Leokadii. Moja Leokadia! Trudno, przywiązałam się do niej. Obecnie jest dla mnie raczej ciotką, a nie tylko przyjaciółką. Jakże to dziwnie zmienia się w naszym życiu.

Wtorek - w Bydgoszczy

Jutro rano do Wąbrzeźna. Zośka uprzedzona telefonicznie. Rodzinne urzędówki już odwaliłam. Łącznie z wczorajszą kolacją „Pod Orłem”. Taki to jest ich nowy styl życia. Józio (!), tak go obecnie nazywają, twierdzi, że kupiec musi utrzymywać stosunki z ludźmi. Nie bardzo rozumiem, co ma do tego restauracja, no ale trudno. Józio ma obecnie swój własny, mocno odmienny styl życia. Obdarowali mnie nawet prezentami. Józio trzema metrami

angielskiego marengo na kostium, Mela jedwabiem na dwie suknie, a ciotka Katarzyna trzema kompletami bielizny damskiej, takimi samymi, co to ongiś... Florencja kupiła biurowemu Kopciuszkowi. Trzeba będzie pamiętać o rewanzach. Pewnie przyjdzie wybrać w naszym wąbrzeskim sklepiku tuzin jedwabnych krawatów dla... Józia. Bo też trochę dziwne, gdy gęsi czynią sobie prezent z owsa. Ale to głupstwo, a prezenty zawsze się przydadzą.

Naturalnie trzeba było rozmawiać o moich lakierach. Okazało się, że Mela już wie o nich. Nie podobały jej się, obstawała za pozostaniem i skoncentrowaniem się na bławatach. Natomiast według Józinka to może być dobry interes. On sam wolałby podróżować z lakierami niż na przykład z tym, co sprzedaje w swych sklepach. Ciotka zajęła stanowisko zgoła inne i wyrabiała po swojemu:

- Nie dziwię się Annie, przecież Zośka może lada chwila wyjść za mąż i szwagier zaraz będzie rozmyślał nad tym, w jaki sposób wypchnąć ją z interesu. A tak Anna urządzi się na swoim i rozdzielenie majątku pójdzie gładko. To będzie już tylko kwestia spłacenia... w gotówce.

W każdym razie zatkało mnie. Zośka - małżeństwo - szwagier? Nigdy o tym nie myślałam i powoli przyzwyczaiłam się widzieć w naszej Zośce materiał jedynie na starą pannę, z lewą uliczką erotyczną. Widocznie, kto to wie? Te eskapady z wesołym stryjkiem Juliuszem. Kto wie, jak tam było, może Zośka poznała jakiegoś faceta, jak to mówią, w Galicji. W Zakopanem o to nie trudno. W każdym razie ciotka zabiła mi porządnego klina do głowy.

Poza tym wszystko inne normalnie. Kupiec Józef Michałski dojrzał właśnie do zbudowania sobie własnej willi. Plac kupiony, gotówka odłożona w banku, naturalnie nie wszystka, ale w dostatecznej ilości, aby w tym roku, jeszcze przed nadejściem zimy, urządzić się już we własnym domu. Właśnie dzisiaj, po obiedzie, zawieźli mnie oboje na plac przyszłej budowy i z dumą pokazywali: tu stanie willa, tam będzie ogród, w tym miejscu wybudujemy sobie garaż. Własny samochód ma nastąpić w drugim punkcie programu, dopiero po wybudowaniu „wilki”, jak oni określają swój przyszły dom.

W samym mieszkaniu bardzo wiele zmian. Pokój stołowy nowiuteńki, w stylu Chippendale, wyrobu miejscowej fabryki Braci Tews. Owszem, bardzo gustowny, nawet przy wymienieniu ceny sześciu tysięcy, jakie miał kosztować. A zatem życiowy obrót o pełne 180 stopni! Ależ ciotka zabiła mi klina do głowy!

Wąbrzeźno - środa - wieczorem

Trudno pisać. Już z góry mogę przewidzieć, że wszystkie godziny będę miała wypełnione towarzystwem po brzegi. Na razie nie było mowy o interesach.

Grudziądz - sobota - 27 stycznia

Wyrwałam się do Grudziądza na kilka godzin pod pozorem, że pragnę poradzić się naszego adwokata w sprawie mojej warszawskiej firmy. Mała jest bardzo miła. Dla pani Woźnikowej zabrałam z naszego sklepu materiał na kostium i płaszcz. Dla Marty wybrałyśmy różne drobiazgi już na miejscu w Grudziądzu.

To jednak przykre. Mała wyciąga do mnie rączki normalnie, jak to czynią grzeczne dzieci wobec tych ciotek, które kochają. Siostra. Niedobrze urządził to nasz ojciec. Właściwie nawet nie urządził, a utrudnił i mocno skomplikował. W dodatku nie można tego obecnie wyprowadzić na normalne, porządne i ludzkie tory. Na razie zatem muszą wystarczyć pieniądze i moja serdeczność. Zośka nie nadaje się do podzielenia ze mną troski o Martę. W dodatku może tak jest lepiej dla małej?

Zapytywałam naszego notariusza o zwyczaje testamentowe. Stary przyjaciel naszej rodziny spojrział na mnie zdziwiony i z miejsca zareplikował:

- Ależ, pani Anno! Skądże takie myśli w głowie? Wyjdzie pani za mąż, zjawią się dzieci i takie troski odpadną. Obejdzie się bez testamentów. O testamentach rozmyślają jedynie ludzie starzy i chorzy. Ale pani?

Tylko tyle, że upewniłam się: wobec zasadniczego podziału spadku po naszym ojcu mogę rozporządzić całym moim mieniem w sposób dowolny, bez potrzeby liczenia się z kimkolwiek z rodzeństwa. Najbardziej zręczną formą byłoby własnoręczne napisanie testamentu z datą i złożenie go do wiernych rąk notariusza lub na depozyt sądowy. Trzeba będzie tak zrobić. To chyba jedyny przyzwoity sposób zabezpieczenia Marty na wypadek mojej śmierci. Wszystko bowiem jest na łasce przypadku lub inaczej mówiąc czy myśląc - przyszłość nasza wiadoma jest tylko samemu Panu Bogu.

Obiad zjadłam w mieszkaniu Marty. Nie mogłam inaczej. Obecnie czekam na dworcu. Wykręciłam się i nikt mnie nie odprowadzał. U Kunickich byłam bardzo krótko. Zatrzymywali mnie i wmusili we mnie podwieczorek. Od nich dzwoniłam do wujka Kowalskiego. Przynależałam, że odwiedzę następnym razem. Usłyszałam przez telefon zaproszenie wujka: - Ale na nasz ślub musisz koniecznie przyjechać. - Ma to się stać w okresie świąt wielkanocnych. Słyszałam to zresztą już od naszego notariusza, który wszystko wie. Życzyłam wszystkiego dobrego i załączyłam dla pani Julii... ucałowania. Jakoś poszło. Ale oto zapowiadają mój pociąg.

Wtorek - 30 stycznia

Jutro rano jadę z Zośką do Poznania. Ona jedzie dalej do Katowic i Bielska, stamtąd do Łodzi. Za dziesięć dni odwiedzi mnie w Warszawie. Jutro wieczorem o ósmej będę u siebie w domu. W moim własnym mieszkaniu. Ostatnie trzy tygodnie dokuczyły mi. Z projektowanego tygodnia zrobiły się trzy! Ale na razie nie sposób pisać.

Właściwie po co Zośka jedzie w tych dniach do Katowic? Pojutrze pierwszego, w piątek święto Matki Boskiej, później sobota i niedziela. Wiadomo. Ale w każdym razie dobrze, ponieważ przypuszczenia ciotki Katarzyny były nieistotne. Zośka nie zamierza wyjść za mąż. Zachnęła się:

- Mąż? Mąż to dzieci, a ja i tak... - Zrobiła nawet ruch ręką i prawie pokazała mi palcem na czoło... z czego się ucieszyłam.

Sobota - 3 lutego

Od poniedziałku do mojego sklepu wejda murarze i stolarze. Śmieszna stara rudera. Z podwórza wchodzi się do wielkiej kuchni, z której jest wejście na wprost drzwi do sklepu od frontu, a w prawo do małego pokoju z zakratowanym oknem wychodzącym na brudne podwórko. Właściwie zbyt wiele zaszczytu na miano pokoiku. Po prostu ciupka, wąska kiszka, brudna i ciemna. Ale zapewniają mnie, że to tylko kwestia murarzy, stolarza i malarza. Podobno cuda można zrobić z tych ubikacji. Zwykła przesada rzemieślników w celu zachęcenia klienta do większych wydatków. Ale ja to wszystko przyjmuję zimno i nie objawiam zapału. Mnie nie są potrzebne cuda, tylko zwykły, porządnie wyglądający sklep. W małym lokaliku obok naprawiają pióra wieczne i sprzedają różne małe drobiazgi. Co jest na podwórku, gdzie stoją dwie oficyny i prowadzi droga na drugie podwórze - nie wiem. Nie zgłębiłam jeszcze dokładnie tej dżungli handlowej rudery przy starej uliczce Nowy Świat. Dom jest mocno stary, pamiętający nie tylko dobre, jak tutaj mówią, ruskie czasy, lecz zapewne jeszcze lepsze dla miasta Warszawy - polskie czasy szlacheckie. Front domu imponujący, fasada w stylu Księstwa Warszawskiego, ale równie odrapana jak podwórze. Oficyny zapewne już nowszego pochodzenia, wystawione w miejscu dawnych oficyn dla służby. Druga oficyna wygląda na przeróbkę jakiegoś budynku gospodarczego. Tyle na razie. Mniej więcej za miesiąc znudzone oczy warszawiaków zobaczą zamiast dawnego sklepiku z

cukierkami nowoczesny sklep z francuskimi lakierami. Czekają mnie dwa lub trzy tygodnie uwijania się.

Z Wąbrzeźna przywiozłam sobie dziesięć tysięcy gotówką. Zośka trochę krzywiła się, lecz dała.

Niedziela - 4 lutego

Żoliborzanie na obiedzie u mnie. Przyjechali razem ze swoim szwajcarskim lokatorem. Bardzo pociągający typ z niemieckiej Szwajcarii, rodem z Bazylei. Mają tam wspólnych znajomych. Handlowy radca poselstwa. Doskonale. Chociaż nie uprzedziłam Wikty, złożyła doskonałe menu. Dobrze, że mam kogoś pod ręką, co myśli za mnie w tych sprawach. Całe szczęście, że koniaki i wino były w domu.

Przyjęcie skończyło się koło godziny szóstej. Później ciągnęli mnie do łoża na operę, ale wymówiłam się. Od jutra harówka z urządzaniem sklepu. Ale na razie mam odrobinę spokoju i czasu dla siebie. Ciekawe. Przed chwilą pomyślałam, że moje pisanie pomaga mi w koncentrowaniu myśli. Na przykład w chwili obecnej. Gdybym po wyjściu gości zaczęła rozmyślać o wszystkim, rozbolełaby mnie głowa. Wszystkie myśli zjawiałyby się na raz, a takie zwariowane kino zawsze przyprawia mnie o ból głowy. A tak po wyjściu gości zażyłam dwie aspiryny i ułożyłam się cichutko na kozetce. Przedzemałam kilka godzin, a obecnie zmęczenie jakoś mnie odeszło. Mogę pisać - z ochotą.

Wąbrzeźno to problem. Kopalnia złota, która daje bogate plony bez zbytecznego wysiłku. Samo się kręci, byle tylko z nikim na miejscu nie zadrzeć i ze wszystkimi utrzymywać jak najlepsze stosunki.

Nasza Zośka doskonale nadaje się do tego wszystkiego. Ma duszę kumoszki. Wszystko to sobie jakoś rozsądnie urządziła. Ostatnio powiedziała mi w przystępie szczerości:

- Cóż ty sobie myślisz, Anno? Życie w Wąbrzeźnie jest zgoła inne niż życie w Warszawie, Łodzi czy Katowicach. Trzeba umieć żyć na co dzień w naszym miasteczku, a równocześnie zbytecznie nie wyróżniać się w tych „Warszawach”, gdy się tam wyjedzie na niedzielę lub w interesach. Które życie jest lepsze? Głupie pytanie. Można mówić tylko o konieczności dostosowania się, tutaj w ten sposób, a gdzie indziej w inny sposób! Przynajmniej w tym jest pociecha, że zawsze można wyjechać, i... jakoś sobie odmienić, tu czy tam!

Więcej nie potrzebowała mi Zośka dopowiadać. Siostra. Ale szczerość nasza zatrzymuje się zawsze jakby w pół drogi. Każda z nas żyje własnym życiem. Zośka ma już w dodatku trzydzieści dwa lata. Ostatnio w przystępie wesołości zapytałam:

- A jak tam z higieną?

Ale moja Zośka spojrzała na mnie jakoś dziwnie i powiedziała zgoła nieoczekiwanie:

- Lata lecą i człowiek zamiast mądrzeć głupiej w dalszym ciągu. - I zagadała.

Zawsze tak bywa, gdy ludzie stawiają pytania, których nie należy wypowiadać. Zośka jest jednak lepsza ode mnie, ponieważ nie pyta mnie nigdy o moich kochanków.

Niespodziewana dla mnie i miła nowina, że kwietniowy kurs Tuchołków został spłacony przez Zośkę zaraz po Nowym Roku. Właściciele kursu zaproponowali listownie dziewiętnaście tysięcy i Zośka skwapliwie wykorzystała okazję. Swoją drogą tysiąc złotych to niezły dochód. Dwadzieścia procent w stosunku rocznym - właściciele tego kursu patrzą widocznie na świat oczyma lichwiarzy, którzy dobrze dawali się im we znaki w tych kresowych wioskach.

A zatem Tuchołkowie już są poza burtą naszego Jamborowego stateczku kupieckiego! Odbili na małym kutrze, na własne ryzyko i ku swojej własnej już przyszłości. Jakaś złośliwość dyktuje mi w tym miejscu poprawkę: wcale nie mały to stateczek, a raczej wielce pretensjonalny statek, ale cóż? Z dziurawym dnem.

Tylko ja w dalszym ciągu tkwię, a w moim nowym interesie utkwi też Zośka z dwoma udziałami po tysiąc złotych. Już mi je nawet doręczyła. Mówiła, że to na szczęście i powodzenie mojego interesu - ma podobno szczęśliwą rękę.

Rzeczywiście ma. Jeden z wieczorów poświęciliśmy na przewertowanie różnych cyfr i zestawień. Buchalteria to naturalnie w tym wypadku jedynie kulisy ustawione jako ochrona przed władzami skarbowymi. Cokolwiek inaczej wygląda w rzeczywistości, niż ja to zestawiałam sobie przed miesiącem. Krystynek splecony całkowicie z domów wąbrzeskich, które obecnie tylko do nas dwóch należą. Siedzi na tych domach jeszcze trzydzieści tysięcy miejscowego banku, ale z wygodnym oprocentowaniem. Wartość domów sięga obecnie dwustu tysięcy złotych. A zatem ta pozycja to już prawie po sto tysięcy złotych dla każdej z nas! Żelazna rezerwa, jak to określa Zośka.

We wspólnym jeszcze majątku z bratem są domy w Grudziądzu, obecna ich wartość wynosi około trzystu pięćdziesięciu tysięcy netto. Oficjalna wartość towarów według ksiąg handlowych wynosiła per ostatni grudnia - 315 875,31 złotych. Na boku około stu tysięcy. Urządzenia sklepowe w dalszym ciągu czterdzieści tysięcy, pomniejszone przez dwa odpisy roczne po dziesięć procent za lata 1932 i 1933. Saldo dłużników i wierzycieli - na naszą korzyść 51 922,58 złotych. Gdańsk i Górki jako wierzyciele - razem sto tysięcy, płatne z odsetkami w grudniu, ponadto osobno dwa tysiące dolarów dostarczone bratu przez Gdańsk. Na każde z nas wypadłoby zatem około ćwierć miliona. To już coś znaczy. Dla Krystynka - mniej gdańskie dolary.

Zośka marzy o tym, aby brata spłacić, i zostałybyśmy tylko we dwie na całości Jamborowych domów i bławatów. W powrót brata do Europy nie wierzy. Mówi, że Krystynek, gdy obejrzy sobie dokładniej Amerykę, to nabierze innych myśli i odcepi się od dyplomacji. W dodatku z tym połamanym nazwiskiem, wyrażenie Zośki... Ale w Ameryce grunt to dolary. Obie wyczekujemy na obszerniejszy list od stryjka Juliusza. Pisał tylko ogólnikowo, że nasz brat marnotrawny urządził się... jak inni. Łamiemy sobie głowę nad rozgryzieniem tych słów, ale ani rusz. Gdańsk również milczy na ten temat, mimo że ciotka Elfryda powiedziała mi ostatnio:

- Mamy tam naszych korespondentów i znajomych, dowiemy się...

W każdym razie wygrzebałyśmy się. A właściwie dokonała tego sama Zośka. Ja w niczym nie przyczyniłam się do odplątanania od naszego szwagra, z wyjątkiem podpisania się na pięciu wekslach. To było ważne pociągnięcie dla nas obu, ponieważ Piotruś jako Piotruś to może i miły, ale Tuchołka jako wspólnik do interesu to przeszkoda. Zbyt drobiazgowy zawalidroga, jak to określiła Zośka. A kupiec winien być elastyczny.

Na razie rozpoczynam mój interes z dziesięcioma tysiącami, które wzięłam z mojego rachunku w bławatach, oraz z dwoma tysiącami, które wcisnęła mi Zośka razem ze swoim udziałem w lakierach. Jeszcze firma nie została założona, a już wydałam osiem tysięcy na komorne i około dwóch na zaliczki dla rzemieślników. Ale kontrakt lokalowy na trzy lata. Taki sklepik zawsze można dobrze sprzedać. Nie ma w tym żadnego ryzyka. Florencja mówi, że miałam szczęście, zwykle bowiem trzeba bulić poważne odstępne. Fuks.

Co do udziałów, to odrobinę inaczej: Florencja dwa tysiące i generałowa dwa tysiące. Panowie wycofali się, twierdząc, że to nie jest ich branża. Rozumiem we właściwy sposób: nie chcą figurować w rejestrach handlowych. A zatem cztery kobiety - trzy razy Jambor i raz generałowa. Generał chodzi obecnie prawie zawsze w cywilu i tytułują go prezesem. Żona natomiast w dalszym ciągu - generałowa, widocznie przyzwyczajenie jest silniejsze od wszystkiego innego. Wirewiczowa zawsze się przyda, na pieniądze nie leci, ma dość własnych, już spokojnych, w banku i w domach. Florencja to dalszy ciąg uliczki Czterech Kamieni, ze względu na ciotkę Tamarę. W niej zawsze będzie tkwić instynkt petersburskiego bankiera Bendera. Amerykańska Temmi to tylko cienki pokost na ruskiej mieszaninie

Benderów z Dubowymi. To było bardzo zręczne, że sama od razu wpadłam na dowcip i zaproponowałam udział. Marcin powiedział odważnie przy obu paniach:

- Anna robi się z każdym dniem coraz więcej kupcem i coraz mniej kobietą.
- Dlaczego ty, Anno, nie rozmyślasz nad tegorocznym karnawalem? - dodała

generalowa.

Ani mi w głowie, trzeba naprzód wypłynąć na jakieś głębsze wody, nie zaryć się już na samym początku w jakimś piasku. Zresztą nie mam w tej chwili do tego najmniejszego pociągu. Oficjalnie jestem chora, najbliżsi wiedzą, jak wyglądają moje sprawy.

Do Paryża już wysłałyśmy listy w sprawie lakierów. Obecnie oczekuję na nadesłanie faktur pro forma celem starania się o pozwolenia przywozowe. Naturalnie z pewną korekturą, ponieważ Temmi wpadła ostatnio na genialny wynalazek: mają mi fakturować z rabatem 45% zamiast 50%, jak to było uzgodnione w naszej korespondencji. Mają przysłać w tej sprawie nowe papiery, stare zniszczymy. Różnicę będą wpłacać na moje paryskie konto jako prowizję płatną we Francji. Bardzo dowcipnie. Taką informację przywiózł mi Marcin po powrocie z ostatniej podróży zagranicznej. Jak oni o wszystkim myślą! Świat składa się zatem istotnie z drobiazgów i właśnie one są ważne. Trzeba tylko umieć z tych małych kamyczków układać życiową mozaiką w sposób dogodny dla siebie. Tysiące możliwości dla ludzi obdarzonych dowcipem.

Pierwsza partia ma reprezentować wartość brutto trzystu tysięcy franków, wyślą w dwóch partiach, w odległości czterech tygodni każda. Z pozwoleniami nie będzie chyba większych trudności. Z Francją posiadamy dogodną umowę handlową. A z resztą... Cło zapłaci bank, otworzymy kredyt pod zastaw towarowy u nas na miejscu, przy ulicy Hortensji. Nasz administrator już odnawia trzy duże ubikacje parterowe w podwórzu na parterze oraz dwie piwnice. Na razie nie widzę najmniejszej chmurki na horyzoncie, ale w dalszym ciągu jestem czujna i podejrzliwa. Słyszałam, jak kiedyś nasz ojciec rozmawiał ze znajomymi w Wąbrzeźnie: - Nie lubię interesów, w których wszystko idzie jak po maśle. Takie interesy są najgorsze, ponieważ nigdy nie można przewidzieć, z której strony spadnie cegła na głowę!

W przyszły poniedziałek podpiszemy u notariusza umowę pomiędzy współniczkami. Same kobiety. Ciekawa jestem, jak to będzie z personelem naszej firmy. Ale na to jeszcze czas. Statut spółki mam już w głowie, naturalnie w grubszych zarysach. Odpowiedzialność współników w podwójnej wysokości udziałów, to znaczy łącznie tylko do czterdziestu tysięcy złotych. Chyba wystarczy. Nasza stara wąbrzeska firma bławatna jest w dalszym ciągu prowadzona jako jawna firma kupiecka z pełną odpowiedzialnością w wysokości całego majątku. Ale tam jest całkiem inna sytuacja i warunki. Firmę Benona Jambora prowadzą w dalszym ciągu spadkobiercy, dzieci, na dawnych wzorach. W przyszłości przekształcimy nasze bławaty również w innym stylu, oddzielimy je od domów i reszty.

Forma naszej spółki daje wielką elastyczność. Można będzie własne kapitały lokować w spółce jako oprocentowane pożyczki. To pozwoli na zmniejszenie kredytu w bankach, w zależności od posiadanych przeze mnie przyszłych kapitałów. Jako przedmiot handlu wpisujemy prawdopodobnie hurtowy i detaliczny handel artykułami drogowymi i chemicznymi oraz przedstawicielstwa zagraniczne. Może uda się przeforsowanie takiego właśnie brzmienia firmy. Co do reszty, to mam już własną koncepcję. Firma otrzyma nazwę: „Sol”. Natychmiast po podpisaniu aktu i zarejestrowaniu spółki w sądzie zgłoszę zastrzeżenia wzorów opakowania, na początek według wzorów des Quatre Pieds, a później mam już pomysł własnego opakowania detalicznego: żółte duże słońce z grubymi promieniami na niebieskim tle, a pośrodku napis: „Sol”. Polska nazwa: „Słońce” - niestety już jest wykorzystana i zastrzeżona. Ale to na razie muzyka przyszłości. Obecnie pójdzie francuskie opakowanie: Madame Maltz i monsieur Crymoult...

Aha! Nadeszła kartka z Mentony od Patrycji. Towarzyskie pinderencje, tylko że w tym wypadku dla mnie miłe i serdeczne. Mam moc korespondencji do załatwienia. Dotychczas nie

odpisałam na kilka listów z Belgradu, w tym aż trzy grzecznościowe od Mr Zajlicza. Pisze, że „nasz” wspólny interes ma „rozkwitnąć” dopiero na wiosnę, która stanowi sezon dla lakierów, farb, emalii i tym podobnego bractwa chemicznego. Z listu widać, że doskonale zdaje sobie sprawę z naszych rodzinnych powiązań z paryskimi lakierami. Pisząc te słowa, właściwie dopiero w tej chwili pomyślałam, że przecież Mis Maltz jest rodzoną ciotką mojej ciotki, żony mego rodzzonego stryjka! Tak jakoś zawsze przeżywałam sprawy żoliborskie *al pari*, na równej stopie, że nie przyzwyczyłam się do Florencji jako do mojej ciotki. Na ogół widzę ciotkę już nawet w Leokadii, ale najwięcej w gdańskiej Elfrydzie. A Florencja? Pusta. Ale bądź co bądź rue du Pont Vert to przecież bliska rodzina. Może i nie rodzina dla mnie osobiście, ale w każdym razie nie są obcy i nie tylko dobrzy znajomi. Na pewno będę się tam czuła pewniej podczas następnej wizyty aniżeli w miesiącach mojej podyplomowej wycieczki. Nic dziwnego, że Temmi mówi mi po imieniu i każe nazywać się ciotką. Ciotka to pojęcie bardzo rozciągliwe, ale na ogół pożyteczne. Ciotka, lecz nie wspominajmy o tym w tej chwili. Zdążyłam już przywiązać się do małej Marty bez względu na to, jak było i co jeszcze będzie.

Bo oto podczas wypisywania tych moich dzisiejszych *pêle-mêle* przyszło mi na myśl, że ktoś kiedyś mógłby mi wmawiać Martę jako moją własną córkę nieślubną. Śmieszna myśl, niemniej tak właśnie mi się pomyślało. Dziecko zawsze można zapisać w aktach tak, jak to jest komuś wygodnie.

Ale chyba koniec na dzisiaj. Uspokoiliam się, pisząc to wszystko, co napisałam. Jakże ten czas leci. Właśnie spojrzałam na datę w kalendarzu: 4 luty. Za dwa tygodnie kończy się mój urlop. Ale i to już sprawa ułożona. W przyszły wtorek wyjadę z Warszawy i umieszczę się na dwa tygodnie w Miłowodach. Stamtąd wyślę świadectwo lekarskie, a Florencja załatwi przedłużenie urlopu. Nowy miesiąc. A później, nie chcąc przeciągać struny, wniosę podanie o udzielenie mi bezpłatnego urlopu rocznego. To zawsze można i z tym chyba nie będzie większych przeszkód. Umotywowanie zawsze się znajdzie. *Fiat!*

Wtorek - 6 lutego

W kawiarni natknęłam się na obu moich dyrektorów. Trochę mówiłam o Krynicy, lecz bez wzajemnego entuzjazmu. Wspominałam również o wyjeździe do Miłowodów, nie znali tej miejscowości, musiałam im tłumaczyć. Obaj spojrzeli na siebie, a dyrektor powiedział jakoś bezosobowo:

- No to w takim razie nie wróci pani tak prędko do naszego ministerstwa?

Nasz „wice” jakiś odęty. Nie zgłębiałam. Na pomoc przyszła mi panna Irena „od Grabowskiego”, która zjawiała się jak na zamówienie. Zaczęła trzepać trzy po trzy i po kwadransie nasze towarzystwo rozleciało się. Panowie powędrowali do biura, ponieważ to było w południe, a panna Irena na jakąś rozprawę do sądu. Widocznie niezbyt jeszcze wrosłam w to nasze ministerstwo. To bardzo dobrze, prędzej zapomną. Nie będzie dziury w urzędniczym niebku. Zresztą zamalujemy to wszystko francuskimi lakierami.

Sobota - rano

Zośka już w Warszawie. Dzisiaj rodzinny obiad, jutro małe przyjęcie dla gości. Kilkanaście osób. Stryj Marcin ma przyprowadzić jakichś panów, którzy mogą przydać mi się w przyszłości. Tym razem nie prosiłam nikogo z mojego ministerstwa. Podobno nie ma być brydża, ponieważ większość gości wybiera się na jakiś bal.

Poniedziałek - rano

Po południu podpisujemy umowę spółkową. Resztę w sądzie załatwi już kancelaria rejenta. Ja mam czternaście udziałów po dwa tysiące, w tym lokal w wysokości sześciu tysięcy, a w gotówce osiem. Trzy wspólniczki, każda po dwa udziały. Razem dwadzieścia

tysięcy. Rachunki za przebudowę lokalu obciążają już nową spółkę. Lampkę wina w restauracji, u Langnera, funduje Marcin w charakterze ojca chrzestnego. Jutro rano jedziemy obie z Zośką na imieniny ciotki Katarzyny do Bydgoszczy. Jedziemy wczesnym rano, aby zdążyć na przyjęcie. Stamtąd na dwa tygodnie do Leokadii. Robotników nie ma potrzeby pilnować, ponieważ to są ludzie naszego administratora z ulicy Hortensji. On ich już osobiście przypilnuje, jest w tym częściowo zainteresowany.

Gdy się radziłam Florencji, co kupić w prezencie ciotce Katarzynie, odpowiedziała bez namysłu: - Flakon perfum! - Wybuchnęłam śmiechem, gdyż przypominałam sobie opowiadanie ciotki o perfumach przywożonych przez Marcina. Kupiliśmy krokodylową torbę w kolorze czarnym, z połączonym zamkiem. Dwieście pięćdziesiąt złotych okrągło, ani złotówek taniej, no ale trudno. Nigdy tego nie zapomnę, że ciotka w momencie, gdy decydował się mój wyjazd na uniwersytet, zmieniła front i odniosła się do moich ówczesnych marzeń w sposób poważny i zachęcający. Zośka kupi na miejscu kwiaty, coś większego, może palmę.

Wszystko załatwiłam. Jedną tylko Wikta powiedziała mi przed godziną:

- Panienska znów wyjeżdża, a ja zostaję sama.

Na gwiazdkę zafunduję sobie jakiś nowszy typ radia, a Wikcie wstawię moje. Widocznie nie wystarczają jej już same nieszpory. Moja gospodyni lubi ruch i gości w domowym interesie. Ja na przykład przepadałabym za spokojem, gdyby to było tak można...

W pociągu

Środa po południu. Popielec. Ciotka dobrze wycyrklowała w tym roku z imieninami, akurat w same ostatki. Jadę do Poznania. Przenocuję. Jutro pokręcę się po Poznaniu, wstąpię na uniwersytet, w piątek rano wyjadę do sanatorium. Imieniny? Moc gości. Bogate fiske. Franusiowie z Katowic. Nagła miłość rodzinna. Żarcie obfite, za obfite nawet. Moc prezentów. Józio wieczorem w nowiutkim fraku z bardzo długimi połami. Śmieszny. Rozmowy o bydgoskich balach. Ciotka miła. Wyserdeczniała, wyszczuplała i niemal straciła swoją dawną kostyczność. Pieniądze są potęgą. Zmieniają ludzi. Bardzo często nawet z grubian - robią czarujących ludzi. Widocznie ludzie dlatego jedynie są ponurzy, że niezadowoleni z życia.

Wieczorem

Źle trafiłam. Doktor Michalski chory. Nie przyjechał na imieniny do Bydgoszczy i przysłał jedynie telegraficzne życzenia. Zaziębił się, kaszle i leży w łóżku. Mówi, że to nic poważnego i że samo przejdzie. Gospodyni mocno przejęta. Sama nie wiem, ale prosił, aby nie alarmować rodziny. Pokazywał mi list od doktora Łazarewicza z Miłowodów, treść optymistyczna, ale kuracja rozwlecze się na długie miesiące. Chodzi o to, aby nie dopuścić do trwałego poddania się depresji. Radzi odbycie dłuższej podróży zagranicznej - Leokadii grozi melancholia. Należy za wszelką cenę obudzić w niej zainteresowanie dla świata. Potrzeba jej jakichś silniejszych wrażeń i przeżyć.

Czwartek - 15 lutego

Dzisiaj była słoneczna pogoda i obleciałam cały Poznań. A jednak to dla mnie obce miasto. Już zdążyłam wsiąknąć w Warszawę. Gdy siedziałam na wykładzie prawa cywilnego, wydawało mi się, że jestem tutaj całkiem obcym człowiekiem, który jedynie przypadkowo, z ciekawości zabłądził w tym mieście na jakiś wykład. A przecież do chwili obecnej jestem zwyczajną studentką poznańskiego uniwersytetu. Widocznie moje myśli biegną szybciej od wydarzeń w moim życiu.

Stary doktor na moją intencję wstał dzisiaj do obiadu. Ogolił się. Zburczałam go za takie ekstrawagancje i natychmiast po obiedzie kazałam mu się rozebrać i wpakowałam go do łóżka. Zagroziłam, że napiszę do Bydgoszczy.

Jutro jadę pociągiem do Obornik, a stamtąd zakładowymi końmi do sanatorium. Już są uprzedzeni.

Niedziela - 18 lutego

Spokojny zakład. Zamieszkałam w bardzo miłym pokoju. Bez towarzyszk, to dobrze. Obecnie w sanatorium jest słaby sezon, dzięki temu mamy opieki ponad potrzebę. Oglądają nas kilka razy dziennie. Obawiam się tylko, aby nie wmówili we mnie jakiejś choroby, lekarze potrafią to bez wielkiego wysiłku.

Leokadia smutna. Ciotka Magda poważna i skupiona. Dotrzymuję im towarzystwa, ale gdy jestem z nimi, nie umiem stworzyć nastroju pustej wesołości, chociaż widzieliby to chętnie tutejsi lekarze. Oczywiście dla dobra chorych ciotek. Czasami, gdy powiem-jakiś żart czy coś w tym rodzaju, ciotka Magda patrzy na mnie zdziwiona, a Leokadia spogląda na mnie boleśnie, jak by ją to raziło.

Do Warszawy wysłałam w poleconym liście zaświadczenie o pobycie w sanatorium. O resztę niech się już martwi Florencja. Ciotka Magda również doznała poważnego wstrząsu nerwowego. Nic dziwnego, całe swoje życie spędziła ze swym bratem Pawłem. Wychowała mu dzieci, pomagała w gromadzeniu majątku.

W Poznaniu usiadłam na małą godzinkę u Dobskiego i całkiem przypadkowo przeglądałam kieszonkowy kalendarzyk. W ten dzień było akurat Faustyna. Sama siedziałam na kanapce, przede mną była czarna kawa i talerzyk z ciastkami. Faustyn to wspomnienie Kruczka, Faustyna Kruczka. Marcin twierdzi niezmiennie, że ten encyklopedysta zajdzie jeszcze kiedyś bardzo wysoko. Podobno myśli krytycznie i syntetycznie, mimo że go oblewają podczas uniwersyteckich egzaminów. Ciekawe, że ów Kruczek stale mi się płacze w myślach. Nic dziwnego, pierwszy w życiu konkurent, pierwszy na serio, po owych bydgoskich ściskaniach w kinie i w parku. W życiu każdy z nas idzie jakby po schodkach w górę. Każda z przygód to jakiś nowy stopień. Dobrze jeszcze, gdy można sobie od czasu do czasu usiąść i wypocząć.

Piątek

Dzisiaj upłynął tydzień od mojego przyjazdu. Z Warszawy nie mam żadnych wiadomości. Jedyne Zośka przysłała mi zdawkową kartkę. Spokój. Leokadia przyzwyczyła się do mojej obecności. Przed południem spacerujemy w parku. Na razie mamy słoneczną pogodę. Nie rozmawiamy o przeszłości. Ja nie opowiadam o lakierach. Czasami spacerujemy całą godzinę i żadna z nas nie czyni pierwszego kroku w celu nawiązania rozmowy. Zresztą jako kuracjuszkom sporo czasu zajmują nam różne zabiegi. Tutaj osądzono, że jestem zbyt tłusta, i wmawiają we mnie, że należy zamienić tkankę tłuszczową na mięśnie. Masaże, czasem dość męczące. Pozwalają mi jedynie na bardzo łagodną lekturę. Wręczyli mi Trylogię, a zabrali kilka francuskich tomików, które z sobą przywiozłam. Zwyczajnie zabrali, a zamiast tego przynieśli Sienkiewicza. Później mam czytać Pana Tadeusza. Dobrzy sobie. Ale nie oponuję i naginam się do sanatoryjnego reżymu. Podobno nic mi nie jest, ale chcą mi wzmocnić system nerwowy. Przynajmniej nie wmawiają we mnie bajd o konieczności wyjścia za mąż, jak to czynił warszawski specjalista i jego ministerialny księżyc. Wikta nie byłaby zadowolona z mojego menu. Nie miałyby pola do popisów gastronomicznych. Dużo owoców, surówki, bez zup, mięso siekane, tylko cielęcina i drób, wszystko gotowane na parze, wieczorem pół litra z lekka podgrzanego kefiru. Żadnych sznycli, wszystkie tłustości raz na zawsze wyklęte. O bryzolu z groszkiem lub pieczarkami - ani marzyć!

To dopiero pierwszy tydzień. Podobno nie wypuszczą mnie stąd wcześniej niż za miesiąc. Ładny kwiatek, już pisałam o tym do Warszawy. Czekam na odpowiedź. Dobrze, że zostawiłam u notariusza pełnomocnictwo do działania na nazwisko Florencji. Na razie nie myślę o niczym, poddałam się kuracji, skończyłam już nawet pierwszy tom *Ogniem i mieczem*. Przeczytałam z zainteresowaniem i o dziwo - spokojnie. Obie moje ciotki mają już za sobą zakładową lekturę Nr 1, a obecnie czytają *Lalkę* Prusa.

Prawdziwych i niebezpiecznych wariatów u nas nie ma. Są jedynie ludzie zmęczeni życiem i przejściami. Przeważnie inteligencja, głównie urzędnicza, trochę ziemian, większość kobiet. Spokojne ramy kuracyjne, bez błyskotliwej wystawy kurortowej, jaka cechuje naszą Krynice. Pomimo że położone blisko Poznania, nasze sanatorium jest odsunięte od odgłosów wielkiego miasta, jakby za siedmiu górami i rzekami. Wieści nie przenikają do nas, gazety również. Tępią przemycanie „Ikaca”, czyli krakowskiego kurierka. Zlewają nas obficie wodą...

Środa - ostatni luty

Bardzo krótki list z Warszawy. Ministerstwo załatwione, remont lokalu postępuje naprzód bez mojej pomocy, pozwolenia przywozowe również. Życzą mi dobrych wyników kuracji, dopytują się, czy nam czego nie potrzeba.

Czwartek - 1 marca

Wysłałam długi i serdeczny list z życzeniami do Kazi. W spokojnym tonie. Otrzymałam wiadomość od mojej Wiktorii. Nie myślałam, że napisze bardzo do rzeczy. Naturalnie o sprawach swego fachu. Górki, a raczej obecnie Stara Wieś nadsyłają w dalszym ciągu wiktuały, nadmiar przekazuje na Żoliborz. Trudno, pisze głównie o tym, co stanowi treść jej życiowych zainteresowań.

Sobota - 3 marca

Dzisiaj opuściła nas ciotka Magda. Wraca do swego Różankowa. Zadowolona z pobytu. Na uboczu serdecznie ze mną rozmawiała i poleciła mi opiekę nad Leokadią. Ja zostaję do osiemnastego, przed moim wyjazdem mają przysłać kogoś z bliskich pod pozorem kuracji. Leokadia nie może zostać sama. Dobrzy ludzie, dobre serca.

Zajęłam miejsce ciotki Magdy i dzisiaj spędzę noc w pokoju razem z Leokadią. Koniec z pisanem. Bloczek schowam głęboko w walizce, tak trzeba. Skończyłam już *Potop*.

Poniedziałek - 12 marca

Dzisiaj po południu zjawiała się u nas Herta. Od razu na wstępie oświadczyła:

- Ciotka Magda cuda opowiadała o tutejszym systemie leczenia.

Ja wyjeżdżam w piątek rano.

W pociągu

Leokadia odrobinę się ożywiła. Poczciwa Herta. Jeszcze nie wiadomo, jak wybrną ze świętami. Leokadia zostaje w sanatorium do końca kwietnia. Później Krynica, ale jeszcze nie pewnego. Doktor Łazarewicz doradza jakieś łagodne Włochy. Może nad północnymi jeziorami.

Warszawa - niedziela - wieczorem

Niedobrze. W Poznaniu nocowałam w hotelu. Na Wyspiańskiego szpital. Doktor poważnie chory. Zastałam obie panie z Bydgoszczy. Chory ożywił się, gdy mnie zobaczył, wyrzucono mnie jednak z pokoju, ponieważ zaczął kaprysić jak małe dziecko. Na drugi dzień rozmawiałam z nim prawie godzinę, rano, gdy gorączka opadła. Obawiają się zapalenia płuc.

Wczoraj cichutko odjechałam do Warszawy. Prawie bez pożegnania, ponieważ chory spał. Przyniosłam mu tylko kilka róż i włożyłam do flakonu na stoliku obok łóżka. Jestem naprawdę zmartwiona. Stary doktor dawał mi dobre i spokojne rady. Człowiek bezpretensjonalny i pełen naturalności. Spłakałam się, właśnie w Warszawie, po przyjeździe do domu.

Jutro pójmę do biura. Zobaczmę, co robić dalej. Nie jestem zdecydowana ani w prawo, ani w lewo. Marcina nie ma w Warszawie, wyjechał do Gdańska w sprawach swego ministerstwa. Florencji nie ma co się radzić. W sklepiku podobno już robią stolarskie wykończenia. Florencja śmieje się i mówi, że już niewiele zostało z tych dziesięciu tysięcy, które zostawiłam u niej przed wyjazdem do Miłowodów. Ciekawe. Nie umiem zająć stanowiska, jeszcze tam nie byłam. Nie dopytywałam się o szczegóły, ponieważ rozmawialiśmy podczas obiadu, na którym był ich sąsiad z piętra. Jutro rano mają mi zadzwonić do biura. Umówimy się i spotkamy w „naszym” lokalu, to znaczy Florencja, generałowa i ja. Trzy wspólniczki! No, ale trudno, przecież i tak to całe moje lakiernicze królestwo spadło mi jak manna z nieba. Ciekawa jestem, jak wygląda całość po remoncie. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że pomimo wszystko te trzy ciupki mają w sumie koło. 120 metrów kwadratowych podłogi! Podobno wszystko jest obecnie podobne do ludzi, jak się to mówi.

Po powrocie do domu przeczytałam uważnie kontrakt najmu. Wówczas podpisałam go nerwowo, przejęta i rozgorączkowana samym faktem pierwszego wystrzału na kupieckim froncie. Obecnie uświadomiłam sobie, że jestem związana umową nie na trzy, lecz na cztery lata, ponieważ mogę wypowiedzieć dopiero po upływie trzech lat, to znaczy w grudniu 1936 roku na rok z góry. Ale zawsze i niezmiennie trzeba będzie płacić komorne za rok z góry, najpóźniej do końca stycznia. Za to właściciele realności nie mogą wypowiedzieć mi lokalu pod żadnym pretekstem. Właściwie jest to z mojej strony zobowiązanie na dwadzieścia cztery tysiące złotych. Tak wygląda to praktycznie. Jutro zobaczmę wszystko na własne oczy. W każdym razie Zośka ma lepsze oko ode mnie, a podobno była zadowolona. Grunt, aby interes chwycił od samego początku. Lepiej nawet otworzyć później, ale już na pewnych podstawach.

Kupiectwo jest jedną z silniejszych namiętności ludzkich. Ostatecznie na świecie zawsze trzeba coś robić, nawet gdy się próżnuje.

Któregoś dnia w Miłowodach Leokadia powiedziała mi nieoczekiwanie:

- Podobno radzą wszyscy, lekarze i rodzina, abym wyjechała gdzieś dalej, w inny świat, w inne otoczenie. Dobrze byłoby, abyśmy wyjechały razem. Ja na starość pragnęłabym coś więcej zobaczyć, a ty, Anno, masz przed sobą jeszcze wiele lat. Praca? Czy warto? Do czego to prowadzi? Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy zdali wiejskie gospodarstwa na Maksia i naśladowali Orzechowskich? Czy to koniecznie trzeba zostawić po sobie grube miliony? Do czego to prowadzi? Co się z tego ma? Śmierć i tak wszystko przekreśla.

Byłabym wolała, gdyby się wówczas rozplakała, normalnie rozbeczała. Ale moja ciotka nie znalazła łez w oczach.

Cóż miałam robić. Przynależam Leokadii, że wyjedziemy razem, opowiedziałam jeszcze raz dokładnie o wycieczce z Cookiem oraz o pobycie przy ulicy du Pont Vert.

- Wszakże to są obecnie nasi krewni - powiedziała Leokadia. - A co do kosztów, to ja i tak niewiele wydaję na siebie. Górki to wytrzymają - dodała jakby z żalem czy przekąsem - cóż zresztą znaczą pieniądze? Zapraszam cię, Anno, w gościnę, przecież to i tak wszystko jedno, czy ugoszczę cię w Górkach, czy w Wenecji.

A później ożywiła się odrobinę i poczęła wypytywać się o wartość naszych bławatów i realności.

- Powiedzmy: trzysta tysięcy dla mnie - odpowiedziałam krótko, a Leokadia popatrzyła na mnie i zakończyła rozmowę w taki sposób:

- To znaczy po dwa tysiące złotych miesięcznie do końca życia, gdyby się kupiło porządne, spokojne papiery lub gdyby się wetknęło gotówkę, podobnie jak ja, w dom. To przecież, Anno, nie ma sensu wysiadywać w brudnym pokoiku i znosić cudze humorki. A ile ci płacą w tym ministerstwie? Pięćset złotych? W każdym razie przychodzisz do domu na obiad, nie masz apetytu, irytujesz się i jesteś do wieczora zmęczona. W przerwach brydż, nawet gdy ci się nie chce któregoś dnia trzymać kart w rękach, oraz głupie gadania w kawiarniach. Ot... takie jest twoje życie, Anno. Nie warto. Szkoda zdrowia. Szkoda życia.

Ale w godzinę później moja biedna Leokadia wpadła znów w zobojętnienie i usiadła w fotelu tyłem do okna. Owinęła się pledem, nogi ułożyła przed sobą na krzeselku. Ja gadałam w dalszym ciągu, lecz moja ciotka nie była już na tym świecie. Patrzyła przed siebie bezmyślnymi oczami. Później odwiedził nas lekarz i zaaplikował środek nasenny. A mnie nawymyślał.

Jutro czeka mnie pójście do biura po przerwie trzymiesięcznej. Pójdę bez entuzjazmu. Biuro - to nonsens XX wieku.

Wtorek - 20 marca

Piszę w biurze. Wczoraj wieczorem byłam poważnie zmęczona. Sklep, lokal, korespondencja z Paryża, towar w drodze, pozwolenia pokręcone. Wszystko na raz. W dodatku Marcin wrócił z Gdańska i do naszych interesów wplątał jakieś nowe sprawy. Tym razem znacznie większe, szwajcarskie, i w ogóle sprawę wyniesienia się z Polski. Nawet mnie do tego namawiał.

Nie mam głowy do opisywania lokalu. Z grubsza wszystko jest gotowe i można powiedzieć, że wejdę do mojego przedsiębiorstwa w podobny sposób, jak w swoim czasie weszłam do mieszkania przy ulicy Hortensji. Ale nie przejmuję się tym wszystkim, ponieważ, jak widzę, to są i tak tylko jakieś drobne okruszki spadające z wielkiego stołu moich stryjków. Robią mi różne prezenty, podobnie jak się ma rzecz z sukienkami dla lalek, które robią różne babcie i ciocie. Okruszki!

Cóż znaczą dla nich pieniądze? Wczoraj Marcin bez zmruczenia oczu zapłacił sześć setek za kolację dla pięciu osób.

- Była skromniutka kolacja - powiedział, gdy mnie odwozili do domu. Głowa bolała mnie do rana, a tymczasem trzeba było wstać, ubrać się i zjawić w biurze punktualnie o ósmej.

Za szybkie tempo dla mnie, nie jestem do tego nerwowo przygotowana. Parafianka, jak o mnie mówi czasami Marcin. W ten sposób prezentuje mnie różnym nowym znajomym, którzy nieraz, patrzą na mnie w istocie jak na jakąś panienczkę z wiejskiego dworku.

Sobota - 24 marca

Wczoraj byłam na pogrzebie starego doktora. Umarł we wtorek wieczorem. Nie opanowali zapalenia płuc. Koniec. Zryczałam się. Nocowałam u Emilki, nie byłabym w stanie przeżyć nocy na ulicy Wyspiańskiego. Bardzo ciężkie przejście dla mnie. Doktor traktował mnie ostatnio jak swoją córkę. Lubił rozmawiać ze mną. Dodawał mi otuchy, nasycił optymizmem, tępił we mnie pesymizm. On to pierwszy zachęcał mnie do porzucenia kobiecego bajronizmu, on pierwszy demaskował u mnie skłonności do niepotrzebnych analiz i cierpiętnictwa. Był moim starym przyjacielem. A ja, głupia, zachowywałam się jak jakaś domorosła Zuzanna, podglądana w kąpielni przez starców. Jaka głupia! Na świecie bardzo często przechodzi się obok prawdziwych przyjaciół i miesza ich bezmyślnie z tłumem gapiów.

Moje wspomnienia o doktorze zawsze pozostaną jasne. Dopiero obecnie, po jego śmierci rozumiem, że nie zawsze rzucanie się na szyję i miłe słówka stanowią o szczerości przyjaźni.

Jakaż wielka jest różnica pomiędzy nim a naszym Józinkiem czy też Józiem!

Nie mogę pisać. Znow się zryczę. Sklep? Co mi tam sklep. Leokadii nie zawiadomili o pogrzebie. Podobno tak sobie życzył stary doktor. Obawiał się, że wiadomość o jego śmierci pogorszyłaby i tak niewesoły stan zdrowia naszej chorej. Rozmawiałam już o tym telefonicznie z Maksiem, oni tak urządzają, że Leokadia nie zatrzyma się w Poznaniu. Wyślą ze Starej Wsi samochód, a Leokadii powiedzą, że doktor wyjechał z Poznania. Pojadą na Grudziądz, przez Toruń. Święta u Kunickich w Grudziądzu. Pewnie i ja się tam wybiorę. Zaprosili również Zośkę. Zresztą w tym tygodniu przyjeżdżają do Warszawy Maksiu i Gabrysia.

Wtorek - 27 marca

Nareszcie rozmówiłam się rozsądnie z Marcinem. Stało na tym, że wezmę tegoroczny urlop wypoczynkowy już na kwiecień. Później, w końcu kwietnia, wniosę podanie o udzielenie mi bezpłatnego rocznego urlopu. To podobno zawsze można. Załatwi generałowa, ona ma tam możliwości. Dzisiaj w południe przyjechali do nas Maksiowie, zostają do czwartku. Umieścili się u mnie. Chyba jednak urządzę sobie sypialnię w obecnym pokoju gościnnym. Dawno już o tym myślę, ale nie mam głowy do przeprowadzenia potrzebnych zmian. Już i tak mam dosyć remontów na Nowym Świecie.

Ciekawa jestem, co powiedzą w ministerstwie? Wszystkiego się spodziewają, ale nie tego. Choroba chorobą, ale trudno będąc chorą włóczyć się po lokalach. To jakoś nie uchodzi, wytwarza się głupia sytuacja. Jako powód mam napisać w podaniu: konieczność załatwienia spraw rodzinnych oraz zamiar doktoryzowania się. To ostatnie wynalazł Marcin, sama nie wiem, czy tak napisać. Niby to ładnie brzmi i ponętne, ale osobiście nie mam ochoty do takiego kwiatuszka stylistycznej blagi. Zobaczą zresztą, gdy będę miała przed sobą czysty arkusz papieru i pióro.

Święta cichutko na miejscu w Warszawie. Ciotka Leokadia inaczej zadysponowała. Dni wielkanocne spędzi u siebie w Górkach, do towarzystwa zaprosiła sobie jedynie ciotkę Magdę. Rozumiem ją doskonale. Zjazd w Grudziądzu odłożony na dwa tygodnie.

Piątek - 30 marca

Nastrój świąteczny, żadnej pracy i jedynie składanie sobie życzeń. Naturalnie nikomu nie zwierzałam się z moich zamiarów. Ogólnikowo tylko powiedziałam dyrektorowi, że przypuszczalnie święta spędzę na wsi u krewnych,

Maksiowie nie byli krępujący. Chodzili własnymi drogami. Dziękowali mi za opiekę nad ciotką Leokadią, tak jak by z mojej strony była to jakaś ofiara. Mnie również pomogły Miłowody. Straciłam pięć kilo, obecnie ważę niespełna 72 kilogramy netto, w sam raz. Trzeba będzie przypilnować moją Wiknę, aby nie wykarmiła mnie na wiejskiego prosiaka. Przecież nawet bardzo dobre rzeczy można jeść w małych ilościach, nie potrzeba od razu obżerać się jedynie dlatego, że coś jest dobre i smakuje. Zależy to jedynie od silnego postanowienia, w gruncie rzeczy zatem ode mnie samej.

Dobre było i paradne, gdy panna Starzeńska powiedziała z radością:

- Jak to dobrze, że pani bierze urlop w kwietniu, przynajmniej nie będą robić mi kwestii o urlop w sierpniu.

Każdy człowiek zawsze wychodzi z własnego egoizmu.

Mokotów wydał obiad w środę, byli młodzi Orzechowscy.

Niedziela - 1 kwietnia

Obiad na Żoliborzu, kolacja u mnie. Pierwszy dzień świąteczny tylko w rodzinie. Kilka rozmów na poważniejsze tematy. Bardzo wiele o Szwajcarii. Naturalnie zamiar kupienia posiadłości, ale w żadnym wypadku nie zamieszkanie w domu starego generała w Lozannie.

Jakaś inna miejscowość. Dzień jutrzejszy » gościnie u Wirewiczów na Mokotowie. Marcinowie nie przepadają za świętami wielkanocnymi, mówią, że to są święta obżarstwa, w przeciwieństwie do prawdziwych świąt rodzinnych, jakie uznają w okresie Bożego Narodzenia. Natomiast Mokotów obchodzi Wielkanoc zawsze w sposób hałaśliwy, z tłumem gości zmieniających się od rana do wieczora.

Pierwszy transport lakierów ma nadejść już za kilka dni. Sam sklep - jak sklep. Frontowy pokój to reklamowa sprzedaż detaliczna ze starym dowcipem. Połowa drewnianego krzeselka emaliowana na lustro, a druga połowa ohydnie brudna i zniszczona. Kiedyś w Paryżu gapiłam się na wystawę z takimi właśnie trickami! Gdyby to było w Poznaniu, wsadziłabym w okno wystawowe dodatkowo szklaną klatkę z kolonią białych myszek, ot tak ze trzydzieści sztuk. Widywałam taką odpustową reklamę w jednym z okien wystawowych drogerii przy ulicy Szkolnej w Poznaniu, polecającą truciznę na szczury! Albo w tym samym Poznaniu wystawiono kiedyś na wystawie przy ulicy Nowej olbrzymi słoć wypełniony różnymi kulkami. Słoć był urzędowo opieczętowany przez notariusza, a w ciągu miesiąca kupujący w tym sklepie otrzymywali przy kasie numerowane kartki, na których mieli możliwość wypisania swego nazwiska z adresem i podaniem przybliżonej ilości kulek znajdujących się w słoju. Głupstwo reklamowe pozostawało pod ścisłą kontrolą notariusza! Zdobywca konkursu z kulkami miał otrzymać tysiąc złotych gotówką, było też dziesięć nagród pocieszenia po sto złotych, do wybrania w towarze. Kto wie, czy i ja w moim sklepie nie urządzę takich tricków, na przykład z premią dla każdego tysięcznego kupującego: flakon perfum za dwadzieścia lub trzydzieści złotych. Tanio, ponieważ tysiąc klientów w lakierach to przypuszczalnie plus minus dziesięć tysięcy złotych, czyli dwa lub trzy grosze na klienta. Ale, Anno, czy nie szkoda bloczka na takie bzdury? Czy nie lepiej wyspać się przed jutrzejszym Mokotowem? Ale właśnie w tej chwili wpadłam w trans opisywania lakierów.

Dwa tylne pokoiki od podwórza zmieniły kompletnie wygląd. Z dawnej brudnej kuchni ani śladu. Wprawiono nowe drzwi, zabezpieczone z obu stron blachą, umieszczono normalne okno. mocno okratowane, podobnie jak okno w sąsiednim pokoju. Sklep frontowy jest stosunkowo mały, niespełna sześć na sześć. Dawna kuchnia ma sześć na osiem, pokoik pięć na osiem. Oba tylne pokoje przedzielone są drewnianymi przepierzeniami, oszklonymi u góry. W dawnej kuchni, na lewo od wejścia ze sklepu - mała komórka dwa na dwa, klozet i umywalnia, dawni lokatorzy chodzili z tak zwaną potrzebą aż do pierwszej oficyny. Wesołego alleluja - w zimie lub pod parasolem, gdy padał deszcz. Podobno przedtem chodzili na pierwsze piętro, ale pokłócili się z właścicielami mieszkania i... zostało po staremu!

W sieni domu zostały wybite drzwi, w podobny sposób jak do mojego sąsiada z reperacją wiecznych, piór. Tylko że jego drzwi lichutkie, pozał się Boże, a nasze z obu stron obite są porządnie blachą i z elegancką tabliczką: „Sol”, s. z o.o. w Warszawie. Właśnie przez te drzwi wchodzi się do małego przedpokoiku o wymiarze trzy na pięć, w którym będzie królował nasz przyszły woźny firmowy. Szkoda, że nie nasz Skoczek z ministerstwa, ale cóż? Ani mi w głowie proponować mu zmianę posady. Zresztą, kto go tam wie? Panna Starzeńska twierdzi, że on zarabia więcej od radcy ministerialnego, no i sam honor...

Za przepierzeniem, również ze szkłem pod sufitem, mały kantorek czy gabinet, co kto woli, pięć na pięć. Pod oknem biurko amerykańskie ze światłem z lewej strony, dwa równe fotele z obu stron biurka, dla kierownika firmy i dla przyszłych klientów, na prawo od drzwi okrągły stół ze szklaną taflą i trzy fotele z niklowanych rur. Ostatni krzyk mody. Z lewej strony drzwi - emaliowany piec żeliwny firmy Herzfeld i Victorious, z naszego pomorskiego Grudziądza, w kolorze czerwono-wiśniowo-brązowym. Taki sam piec stoi w prawym kącie przy drzwiach, w pokoju sklepowym. W dawnej kuchni bez pieca. Ten typ pieców ogrzewa większe przestrzenie, podobno dwa piece mają wystarczyć całkowicie w naszych warunkach. Początkowo Florencja przysłała z Żoliborza stary dywan do gabinetu, ale na drugi dzień nasza rada zdecydowała, że dywan nie pasuje do nowoczesnych mebli, i została zakupiona

odpowiednia ilość metrów chodnika w kolorze kawowym, które przycięto dokładnie do wymiarów podłogi i zszyto w jedną całość. Ściany tego pokoju są pomalowane na kolor matowego słonecznika aż do linii sufitu, który nareszcie po stu latach doczekał się porządnie wygipsowanej bieli. Do kompletu należy normalna szafa żaluzjowa typu amerykańskiego. W suficie matowa tafla szklana, czworokątna, wielkości jednego metra kwadratowego, przymocowana do sufitu niklowanymi wspornikami na rogach. Metalu prawie nie widać, światło czyste, nierażące. Dwa aparaty telefoniczne, do przełączania, w sklepie i w gabinecie. Wszystkie części drewniane na razie w stanie surowym, do nadejścia rodzinnych lakierów i emalii. Na wszystko trzeba uważać, ponieważ konkurencja mogłaby ogłosić, że wnętrza sklepu „Sol” zostały pomalowane lakierami „Blitz” czy innymi. No i byłaby zaraz wesoła heca reklamowa. Trzy do zera na niekorzyść firmy „Sol”.

Wnętrze lokalu sklepowego niezwykle proste w wykonaniu. Po lewej stronie, wzdłuż ściany lada, najwyżej pół metra szeroka, w głębi wypukłość kasy. Za ladą cała ściana wzdłuż, do wysokości dwóch metrów, obudowana półkami różnego wymiaru, lecz całość niezwykle dobrze zharmonizowana. Tafle szklane, a w głębi odpowiedniej wielkości płytki lustrzane. Lakier i emalie odbijają się będą w nieskończoność w tym lustrzanym wnętrzu kasetonów półkowych.

Całość chyba dobra - projektował osobiście Marcin. Ma obycie, opatrzył się za granicą, przecież jego „Ciba” to dostawca tysięcy różnych sklepów na całym świecie. Podłoga w sklepie wyłożona została jednolicie piastowską gumą w kolorze ciemnopopielatym. Ściana prawa od wejścia doskonale wyprawiona, jak mówili malarze - pod obraz. Mają na niej wymalować pionowe pasy w różnych kolorach. Będzie to żywa i realna reklama naszych wyrobów. Światło w suficie identyczne jak w kantorku, wyroby solidnej warszawskiej firmy Marciniaka. To chyba wszystko. Z maszyną do pisania marki „Efka”, arytmetrem szwedzkiej firmy „Odhner”, rowerem reklamowym na trzech kółkach z pudłem na paczki, niemieckiej firmy „Wanderer”, z wykupionym świadectwem przemysłowym oraz tp. drobiazgami: całość złotych 14 752 i 98 groszy. Podobno tanio. Podobno wszystko bardzo ładne. Brak jeszcze szyldu, który robi nasz przyszły potencjalny klient na emalii do drzewa: „Manitius”, brak również kryształowej szyby okiennej, którą wstawią na samym końcu, po wyjęciu obecnego starego grata, posztukowanego na wszystkie strony. Sam szyld jest niesłychanie prosty, pochyłe, kaligraficzne litery napisu „Sol”, a pod spodem mniejsze: Lakier i emalie. Szyld zawiesimy na samym końcu, już po wypełnieniu składu towarami. Robią się jeszcze różne półki do składziku na Hortensji. Z malarzami będzie to kosztować około pięciu tysięcy złotych. Wszystko razem około dwudziestu, plus lokal sześć i dwa, około trzech tysięcy różnych drobnych kosztów oraz pięć za otwarcie wygodnych drzwi celnych - razem trzydzieści sześć tysięcy złotych wydanych jeszcze przed otwarciem interesu. W dniu otwarcia pięknie trochę butelek koniaku podczas „lampki wina”, pięćset złotych dla księdza proboszcza, który pobłogosławi nam przedsięwzięcie, bo taki jest zwyczaj. Ogłoszenia w prasie. Murowane czterdzieści tysięcy złotych. W tym siedzi już osiemnaście tysięcy moich własnych, sześć moich wspólniczek, dziesięć wzięłam na krótki dystans od Marcina. Braknie mi około pięciu tysięcy, obecnie siedzę prawie bez gotówki. Jakoś trzeba będzie to urządzić, gdy mnie przyciśnie. Pożyczę od Maksia, sam mi się ofiarowywał.

Ale ostatecznie dobrnęłam. „Cztery Kamienie” zaoferowały się z dłuższym kredytem. Cło zapłaci bank. Zresztą ten sam bank zmięknie, gdy zobaczy urządzony interes i gdy w jakiś sposób doskoczę do większej gotówki i spłacę kredyt. Wówczas porozmawiamy. Otwarcie ostatecznie w czwartek, 19 kwietnia w południe. Zaprosiłam Gdańsk, chyba przyjadą?

Personel mam również. Od osiemnastego. Ja wrócę z Grudziądza chyba już we wtorek. Ludzie nie bardzo są z mego wyboru. Jednego podróżującego dostarczył nasz administrator z Hortensji, drugi zgłosił się do stryjka Marcina w charakterze klienta, w ministerstwie,

kasjerkę dała generałowa, woźny jest rodzonym bratem portiera z Żoliborza, młodszą ekspedientkę poleciła nam fryzjerka, a co do starszej - to jeszcze na razie nic nie wiadomo. Obecnie szukamy perły, która by została kimś w rodzaju mojego alter ego, znała się na lakierach trochę lepiej ode mnie i prowadziła cały kram z buchalterią. Obaj podróżujący są na prowizji, pozostali tylko na pensji. Ale na tym koniec. Czuję się mocno wypompowana i straciłam ochotę do pisania.

Środa - 4 kwietnia

Już po świętach obżarstwa i pijaństwa oraz objeżdżania różnych znajomych. To jednak bardzo przyjemnie, gdy nie trzeba wstawać rano na określoną godzinę i przy śniadaniu od razu myśleć o tym, co się dzisiaj zdarzy w biurze, czyli tak zwanej budzie! Moja Wiktoria znów jest niepokieszona. Mówi mi niemal codziennie:

- A gdzie panienka obecnie wyjedzie?

Nagle przestałam być dla niej panią, a stałam się znowu panienką. W tym słowie brzmi nuta wiejskiej panienki. Może to nawet i przyjemnie? Przecież panienka to nie pani, taka panienka - to młodość... Ładna młodość, dwadzieścia sześć lat, niedługo będzie już z hakiem I. W tym wieku inne kobiety mają już kilkoro dzieci u kolan. W dodatku świat, na który patrzę teraz oczyma mojego wieku, stracił już dla mnie urok życia, smak życia, barwę życia, zapach życia. To wszystko już przeminęło i każdy z nas został włożony do jakiegoś pudełeczka. Życie sardynek. Jedna koło drugiej. Brutalne - głupstwo. Ponury obraz życia przeciętnego. Tyle że mam zapewniony dach nad głową i trochę pieniędzy. Nie potrzebuję odkładać po kilkanaście złotych miesięcznie, aby kupić sobie jakąś sukienkę czy nową torebkę. Nie klęę, gdy mi się spuści oczko pończochy, i kupuję od razu kilka par u znanego Fuchsa na rogu Marszałkowskiej. Bembergi, pięć zer, lub przeszmułowane z Francji bez cła - u różnych typów, którzy docierają z takim towarem nawet do biur w naszym ministerstwie.

Południe, a ja jeszcze leżę w łóżku. Mój zwykły kobiecy dzień. Wyjdę na świat dopiero pojutrze. Dlaczego mam sobie żałować? Nigdzie mi się nie śpieszy i nikt mnie nie pogania. Wszyscy są zmęczeni świętami i kurują się u siebie w domu.

Tak, życie jest krótkie, nie warto obchodzić się z nim jak z kruchym kryształem. *C'est entendu...* Życie przemija, kwiat przemija i schnie. Dlaczego sobie żałować? W tej chwili oddałabym się pierwszemu lepszemu mężczyźnie, byle nie był stary, byle był ogolony i nie odrażającej powierzchowności, i byle przedstawił mi świadectwo lekarskie sprzed pół godziny, że jest zdrowy. Sprzed pół godziny, ponieważ na dłużej nie warto kredytować mężczyznom.

Kruczkowi jednak bym się nie oddała. Z moich byłych kochanków chyba jedynie panu J. Temu typkowi z Działdowa chyba również - nie. Zbyt wiele w tym czasie było kucht u niego. A kuchty to, wiadomo, w przerwach pomiędzy „panami” miewają sporo strażaków i dzielnych wojaków.

Czwartek - 5 kwietnia

Nadszedł list z Poznania. Jakiś nie znany mi notariusz Cichowicz pisze, że pojutrze, to znaczy w sobotę, odbędzie się otwarcie testamentu po ś.p. dr Michalskim. Nastąpi to w jego kancelarii, punktualnie o godzinie jedenastej przed południem. Punktualnie? Właśnie, że nie pojedę. Nie mam ochoty na spotkania rodzinne. I tak zobaczę ich wszystkich w przyszłym tygodniu w Grudziądzu. Mela, ciotka i ten głupi Józio, w momencie gdy nie umie rozmawiać o niczym innym, tylko o swojej przyszej willi. Ale może i nie. W Poznaniu wszyscy ich znają jak łyse konie i jedynie w Bydgoszczy mogą zadawać szyku i zadzierać nosa do góry. W dodatku bławaty i różne damskie fidrygałki. Wypytywaliby się szczegółowo o moje lakiery i emalie, zazdrościliby mi po raz trzeci, a mnie to wszystko i tak wychodzi gardłem. Jeszcze nie otwarłam sklepu, a już mam wszystkiego dość! Nie pojedę. W Grudziądzu utoną

w tłumie Jamborów i moje własne sprawy pomieszają się z innymi. Nie będą już jakąś sensacją.

Moje warszawskie współpracownicy znacznie więcej interesują się lakierami. Obie rozmawiają o przyszłych interesach tak namiętnie, jak by chodziło o ich własną egzystencję życiową. Dla jednej chyba na szpilki do włosów, a dla drugiej na pieprz do potraw. A mnie również nie jest to gwałtem potrzebne. Ale trudno, gdy zaczęłam, trzeba kończyć, stare Jamborowe prawo! Nie wiem, jak się do takich spraw ustosunkowywali von Jamsborckowie, ale na pewno również z uporem. „Von”? Co też porabia mój braciszek? Czy zmądrzał? Czy Ameryka wpłynie na niego w sposób dodatni? Z listów wynika, że nasz stryjek Juliusz machnął na niego ręką. Ich drogi nie zejdą się.

Sobota - 7 kwietnia

Przed chwilą wróciłam z Żoliborza. Brydź nie mógł się jakoś rozkręcić i skończyliśmy jeszcze przed północą. Generał odwiózł mnie do domu. Ciągnęli mnie dalej do jakiejś knajpy, ale odmówiłam. W nieważnym towarzystwie, dla samej knajpy, a więc po co? Jako powód podałam ból głowy. Jutro, a raczej dzisiaj - niedziela - obiad u mnie przy Hortensji o wpół do trzeciej.

Za tydzień zjazd rodzinny w Grudziądzu. Tuchołkowie pewnie nie przyjadą, z listów wynika, że Pelasia znów niezadługo zostanie matką. Takie jest życie. Ale ona to były tylko ciepłe kluski, nawet przed ślubem.

Brydź był wybitnie w rodzinie, a zatem nudny. Nie dokończyliśmy nawet partii. Mówiono tylko w kółko Macieju o świętach, które przeszły, i o konieczności wkręcenia Leokadii z powrotem w świat rodzinny. Naturalnie ma ona wyjechać za granicę. Mówi się o pobycie do końca roku. Ciekawe, z kim ostatecznie wyjedzie? Samej nie puszcza. To bardzo ładnie, że myślą o niej. Biedna, wypełniła sobie pustkę życiową naszym stryjkiem Pawłem i po jego śmierci znalazła się w próżni. A ta ostatnia może skończyć się dla niej śmiercią lub co gorzej - szaleństwem. Melancholia jest trudniejsza do wyleczenia niż pospolite wariactwo z wybuchami furii.

Warto byłoby zgasić światło, ale wspominam - wynurzenia sprzed tygodnia. Duszne rojenia, zrodzone z samotności i w warunkach pędu ludzkiego do towarzystwa. Ale przeszło, a zatem już jest dobrze. Czas jednak działa i po przypływach burzy krwi następują kolejne odpływy. Pogoda. *C'est la vie!*

Kruczkowi jednak nie oddałabym się. Pokraka fizyczna. Bez garbu i nie kulawy, a jednak pokraka. Podobno garbusy są niezwykle namiętni. Tak samo gruzlicy. Ale cóż mnie to obchodzi? Wybór garbusa to problem wyspy bezludnej lub perwersyjna ciekawość. A tak źle jeszcze ze mną i koło mnie nie jest!

Bazgrzę. A zatem najlepszym mężem byłby oficer marynarki. Cieszyłabym się na jego powroty do domu, cieszyłabym się również na samotność, gdyby wyjeżdżał. Ale to na nic. Podobnie, jak w restauracji, na ogół ludzie nie lubią wyczekiwać zbyt długo na podawanie potraw. Z restauracją bardzo trafne porównanie: nikt w nich nie wysiaduje bez potrzeby, zje i idzie dalej. W małżeństwie trudno o takie udogodnienia, zwłaszcza dla kobiety. Zarząd domem, a później dziecinne kamienie u nóg. Z miejsca następuje unieszkodliwienie kobiety. Dzieci należą do niej, mąż przeważnie należy do siebie samego.

Niedziela - 8 kwietnia

Nie wiadomo dlaczego, Florencja wyciągnęła mnie dzisiaj z łóżka i kazała oglądać nasz sklep. Już jest prawie gotowy. Wszystko wymalowane, można by otwierać nawet jutro. Brak jedynie szyldu, ale i ten przywiozą we wtorek i zaraz zamocują nad frontem. Odmalowali już nawet odpowiedni prostokąt muru nad oknem wystawowym i nad drzwiami do sklepu. Cały front kamienicy brudny, ciemny, z poprzetrącanymi gzymsami, i jedynie ów niewielki

prostokąt świeżo wymalowany i zwracający powszechną uwagę swoją nieskazitelną bielą. W oknie i w drzwiach zapuszczone story z żółtego materiału, przysłanego z... Wąbrzeźna. Litery napisu mają być niebieskie. Nawet i to oglądałyśmy z Florencją. Zawiozła mnie do „Manitusa”, który będzie w przyszłości odbiorcą na nasze lakiery. Zasadniczo fabryka zabawek dzieciennych oraz różnych upominków z drzewa. Wszystkie wyroby „na cacy” wylakierowane, prawdziwy artysta w swoim zakresie. Mały warsztat, ale podobno kopalnia złota. Sam osobiście wybierał sobie farby w naszym królestwie przy ulicy Hortensji. Tamten interes jest już również gotowy i przygotowany do sprzedaży. Magazyny, cło załatwione. Główne zapasy towarowe są złożone w ostatnim pomieszczeniu, które jest specjalnie zamykane przez bank. Towarowy zastaw bankowy w naszym magazynie. Otwiera urzędnik na każde nasze wezwanie, po załatwieniu formalności z uregulowaniem odpowiedniej kwoty. W tym tygodniu przebiją podłogę i połączą w ten sposób środkową izbę magazynu bezpośrednio z piwnicami. Samodzielne królestwo. Podobno te magazyny już same w sobie warte są kupę pieniędzy, z powodu położenia w centrum miasta.

Ale wszystkie te rzeczy opisuję bez entuzjazmu. Mimo że stryjek Marcin powiedział mi podczas obiadu:

- Wkrótce wyjedziemy, Anno, i pragnęlibyśmy zostawić ciebie na warszawskim gospodarstwie w sposób urządzony i całkowicie zabezpieczony. Interes będzie się sam kręcił, wymaga jedynie doglądania - od czasu do czasu - bez potrzeby jednak nieustannego tkwienia w sklepie. Gdy się rozkręci, zawsze będzie można dobrze sprzedać lub wydzierżawić. Poza tym zostawiamy ci również inne interesy. Ale nie obawiaj się - dodał - żadnego łamania sobie głowy. Równie dobrze będzie można zawiadywać tym siedząc na kanapce w „Europejskiej”.

Warto wspomnieć, że sąsiednie mieszkanie na moim piętrze przy Hortensji również się remontuje i odnawia. Zasięgają moich rad, mówią o życzeniach, napomykają o tym, że powinnam zamienić moje obecne na tamto. Sama nie wiem, może nawet to zrobię. Może byłoby lepiej obecne mieszkanie powiększyć jedynie o sąsiedni pokój? Trzeba by tylko przebić ścianę i wprawić drzwi. Ale mam czas decydować, gdy będzie gotowe. Przebić ścianę zawsze będzie można. Na razie brałam udział w dobieraniu koloru ścian i tapet. Dzisiaj żartem domagałam się urządzenia w tym mieszkaniu centralnego ogrzewania. Wszyscy się ze mnie śmiali, mówili mi o dziejowej roli kominków. Ale to głupstwo!

Na obiedzie byli młodzi Orzechowscy. Stosunki z nimi - takie sobie. Raczej dla Maksia, bo dla mnie oboje są bardzo nudni. Córki profesorów uniwersytetu zawsze są takie. Szwagier Maksia również nudny. Powolny, pozuje na Anglika i cedzi słowa między zębami. Zbyt jest dla mnie dystygowany, wszystko bierze przez bibułkę, aby się nie zabrudzić. Mam na myśli słowa. Lekarz? Nigdy bym się u niego nie leczyła. Skąd się taki wziął w rodzinie? Przecież Gabrysia jest całkiem do rzeczy!

W każdym razie to wielce zastanawiające: pan doktor Orzechowski wysupłał dzisiaj coś w rodzaju dowcipu:

- Najlepiej byłoby, gdyby z panią Jamborową pojechała za granicę... panna Anna.

Roześmiałam się w charakterze dobrze wychowanej i czarującej gospodyni:

- A lakiery?

W odpowiedzi usłyszałam, że Florencja popiera młodego lekarza:

- Do zrobienia. My również jesteśmy tego zdania. Lakiery - to jedynie kwestia doboru jakiegoś zaufanego kierownika. Ktoś z nas zawsze go dopilnuje. Ukraść jest zresztą coraz trudniej w wieku kartotek magazynowych i buchalterii, „rąbnięcie” zaś jednodniowego utargu jest zasadniczo bez większego znaczenia dla właściciela firmy.

Na tym zakończyły się dzisiejsze rozmowy o interesach, ponieważ każdy z gości zaczął wychwalać inne cuda zagraniczne. Zdania były podzielone, stanęło jednak na wybrzeżu jeziora Lugano, po stronie szwajcarskiej.

Wtorek - 10 kwietnia

Miałam dzisiaj po południu ciekawe odwiedziny. We własnej osobie zjawił się u mnie stary pan Imroth. Nigdy nie spodziewałam się takich odwiedzin. Dotychczas jakoś bezmyślnie przechodziłam koło znanego składu farb i lakierów. Sąsiad, kilkanaście domów bliżej Alei Jerozolimskich. Bogaty sklep, podobno ma kilka filii w Warszawie, stare tradycje farbiarskie. Przed rokiem kupowałam jakiś drobiazg w tym składzie, atmosfera przesycona branżą.

Zjawił się w porze popołudniowej, nobliwie, koło piątej. Ułożony, stary kupiec. Trochę po swojemu *brusque*, ale przyjął zaproszenie i napiliśmy się w zgodzie czarnej kawy. Nalał sobie koniaku, wzgardził likierem Baczewskiego. Wybrał nawet jubileuszowego Winkelhausena zamiast porządnego francuza. Ale rozstaliśmy się nie za bardzo... Ani w przyjaźni, ani we wrogości. Dowiedział się o charakterze mojej firmy i wszystko spenetrował. Nie było zbyt trudno, ponieważ „Manitius” umocował litery już wczoraj przed wieczorem. Resztę zdobył od administratora, ponieważ mniej więcej wiedział o wielu rzeczach, nawet o kredycie celnym w banku. Dopytywał się o ceny i zręcznie, ogródkami dowiadywał się o moje zamiary. W zakończeniu otwarcie zaproponował mi powierzenie mu wyłączności na Warszawę. Rozumiał przez to całą Kongresówkę, to znaczy tyle, ile obejmują jego podróżyjacy.

W dodatku Mrs Maltz odwiedziła go podczas bytności w Warszawie w rewanżu za jego odwiedziny w Paryżu przed dwoma laty. Do porozumienia jednak nie doszło, ponieważ „Cztery Kamienie” dawały trochę mniej, niż on żądał. W dodatku stawiały żądania wyłączności i to przypuszczalnie było powodem niedojścia do skutku interesu. Po trochu dowiedziałam się, że właśnie ja uzyskałam tyle opustu, ile stary farbiarz domagał się od Paryża.

Rozmowa nie doprowadziła do niczego, każde z nas pójdzie własną drogą, tylko że on ma przewagę zaprowadzonego rynku i półwieczną tradycję w Warszawie, gdzie słowo Imroth znaczy: farby. Ja co najwyżej mogę psuć mu interesy niższymi cenami. Stary kupiec od razu powiedział, nie od rzeczy:

- Ja mam składy wypełnione również innymi towarami, po brzegi. Klienci przyzwyczaili się do starego Imrotha, malarzom daję na kredyt, mam ich wszystkich w garści. „Manitius”? Ile on bierze emalii? Za grosze. I cóż z tego, że artysta? Tutaj chodzi o obrót, o wielką... masę.

I zaraz stary kupiec nalał sobie jeszcze jeden kieliszek koniaku - mam już bar na kółkach - i powiedział mi prosto z mostu:

- A pani zna się na lakierach? Rozumiem, rodzinne lakiery, sklep urządziła francuska firma Maltz, wszystko rozumiem. Pani ma pilnować interesu. Jest pani magistrem i pracuje w Ministerstwie Skarbu. Radca. I to wie stary Imroth! Owszem, sklep jest piękny, lakiery dobre, ale do zrobienia interesu to jeszcze mało. No cóż, magister to zapewne chemia, ale od chemii do sprzedawania lakierów bardzo daleka droga.

Roześmieliśmy się oboje, nie protestowałam.

- Jakoś to będzie - powiedziałam - przecież pan nie będzie mnie zwalczał?

Stary kupiec uśmiechnął się i powiedział otwarcie, bez żadnych osłonek:

- Zaraz po otwarciu sklepu przez panią obniżę ceny dla moich odbiorców hurtowych i dla malarzy. Nie ruszę cen detalicznych, na razie tylko hurt... a później zobaczymy.

Roześmieliśmy się ponownie. Później kupiec wyszedł i w mieszkaniu pozostał po nim jedynie zapach cygara. Przed wyjściem obejrzał uważnie moje miniatury z Górek, a przed niemiecką damą w bieli - skłonił głowę, w ogóle zachowywał się jak wujaszek z operetki.

Po wyjściu gościa ubrałam się i pojechałam na Żoliborz. Stryjek wysłuchał uważnie opowiadania, po czym rzekł:

- Tegoroczny sezon wiosenny i tak jest już prawie stracony. Sklep otworzymy dopiero po pierwszym maju. Po świętach i tak ludzie są bez pieniędzy i będą mieli inne sprawy na głowie. Imroth mówił o odsprzedawcach i rzemieślnikach? Wiesz co, Anno, mam dobry pomysł, pójdziemy całkowicie na metodę naszych paryskich przyjaciół. Będziemy reklamować na wszystkie strony: nasze lakiery i emalie są tak dobre, że każdy może sam u siebie w domu lakierować, co tylko zechce! Bez pomocy malarzy, bez odnoszenia do warsztatu, sam u siebie w domu! Ludziska złapią się na tę możliwość własnoręcznego pacykowania. Stary farbiarz dostanie szału, gdy zaraz pierwszego dnia zobaczy taką reklamę w oknie sklepu, w gazetach, i gdy usłyszy ją w radio. Każdemu klientowi wetknijemy do ręki broszurkę pouczającą, w jaki sposób nawet dzieci mogą lakierować meble. Broszurkę wydrukujemy w cichości w Gdańsku, to kwestia kilku dni. Rysunek: dziewczynka z pędzlem w ręce lakieruje meble w dzieciennym pokoju. Kupimy partię pędzli i sprzedamy je w cenie kosztu wszystkim nabywającym u nas puszki z lakierem! To będzie kawał.

I Marcin wybuchnął śmiechem.

Sklep otworzymy zatem dopiero od maja. Tymczasem mój personel będzie zapoznawał się z interesami przedsiębiorstwa. W tych dniach był list z Belgradu. Pan Zajlicz - jak zwykle bardzo uważny, dopytuje się, jak mi idą kolorowe interesy. Dowcipny... Do Grudziądza wyjedziemy w piątek, zapewne samochodem.

Czwartek - 12 kwietnia

List z Poznania - od notariusza. Kopia testamentu starego doktora. Jestem tak wzruszona, że nie mam dzisiaj głowy do pisania. Legaty dla mnie - prawdziwy testament dziwaka. Mieszkanie ma pozostać w stanie nietkniętym w ciągu pięciu lat od daty jego śmierci. Mam być jedyną użytkowniczką tego mieszkania. Testament zawiera pokwitowanie z odbioru komornego. Po upływie tego terminu mam przejąć na własność całą zawartość mieszkania, meble i w ogóle wszystko, co się w tym mieszkaniu znajdowało w dniu zgonu. Ponadto otrzymuję specjalny legat, złożony już w banku na moje nazwisko jeszcze za życia starego doktora: dwadzieścia dwa tysiące złotych w akcjach Banku Polskiego. To jest osobna i poufna pozycja między mną a notariuszem. Akcje zostały zdeponowane na moje nazwisko w okresie, gdy zamieszkiwałam w mieszkaniu starego doktora, w momencie przygotowywania się do trzeciego egzaminu prawniczego. Prawie przed rokiem. Notariusz pisze o sierpniu, wówczas doktor wrócił znad morza. Mnie już nie było w Poznaniu. Rozminęliśmy się. Egzamin zdawałam w ostatnich dniach lipca, gdy doktor przebywał nad morzem z Melą i całym bagażem dzieciennym. Akcje to już nawet nie testament, a wprost darowizna. Ciepłą ręką, jak się to mówi. Tak wygląda z pisma notariusza. Tylko tyle, że dowiedziałam się o tym dopiero po śmierci ofiarodawcy. Co na to powie Mela? Lub zachłanna ciotka Katarzyna! Chyba nic nie powie, ponieważ i tak będzie dużo kramu o mieszkaniu i meble.

Popłakałam się, gdy czytałam. Prawdziwy testament dziwaka. Pięć lat mieszkania w Poznaniu - do mojej dyspozycji.

- „...może się zdarzyć, że pani Anna Jambor nie będzie korzystała w tym okresie z mojego mieszkania. Ale ponieważ zawsze wspominała na miłe chwile spędzone w tym domu, który porównywała z domem rodzinnym... proszę Ją, aby w tym punkcie wola moja nie została zmieniona. Wykluczam z góry możliwość zrezygnowania przez panią Annę Jambor z tego legatu na rzecz mojego syna czy na rzecz kogokolwiek innego. Wyobrażam sobie, że moje mieszkanie będzie stanowiło dla niej schronienie w tych wszystkich okresach życiowych, gdy zapragnie samotności. Wówczas - mniemam - bodaj krótka Jej gościna w tym mieszkaniu natchnie Ją innymi, spokojniejszymi myślami i zwróci Jej myśli ku Istocie Najwyższej, w którą ja, stary doktor Michalski, głęboko wierzę. Oby zyskiwała w tych

ścianach nową dozę optymizmu do walki z życiem i oby leczyła w ten sposób Swoje wątpliwości życiowe...

Mieszkanie ma pozostać w stanie niezmienionym. Trzy pokoiki, wynajmowane przeze mnie dotychczas, mają być w dalszym ciągu wynajmowane osobom godnym, które by nie zakłócały spokoju mojego mieszkania. Dochód z tego źródła ma stanowić źródło utrzymania dla mojej wieloletniej gosposi. Po upływie pięciu lat wejdzie ona w posiadanie pięciu tysięcy złotych, złożonych dla niej osobno w depozycie bankowym.

Mojego spadkobiercę w osobie jedynego syna Józefa proszę, aby podporządkował się .mojej ostatniej woli. Wykonawcą tego testamentu czynię mojego długoletniego przyjaciela, notariusza... z którym siedziałem długie lata na ławie szkolnej..."

Gdy pokazałam odpis testamentu i list poznańskiego notariusza, mój stryjek Marcin ujął mnie za ramiona i powiedział:

- Od razu wiedziałem, że tak będzie, stary Michalski był w tobie zacudowany. Podobała mu się dziewczyna - tak powiedział mi kiedyś przy spotkaniu - która nie lata za chłopakami. Poważna, solidna i mądra dziewczyna, tak zawsze mówił stary doktor.

A co do mieszkania, to będzie brzydki kawał z naszą Katarzyną, ona zawsze była chciwa na pieniądze i meble. Czy pamiętacie testament dziadka Jambora?

Moim pierwszym odruchem było zrzec się spadku dotyczącego mieszkania i mebli. W dodatku stary doktor wyraźnie wymienił, które z przedmiotów mogą zabrać jego naturalni spadkobiercy, to znaczy Józinek z dziećmi. Dotyczyło to prawie wyłącznie obrazów i fotografii przedstawiających członków rodziny doktora, jego rodziców. W liście notariusza wyczytałam wyraźną notatkę: „Te rzeczy zostały już zabrane przez p. Józefa Michalskiego, mieszkanie zaś i umeblowanie zostały przeze mnie w dostateczny sposób zabezpieczone. Spisy i klucze znajdują się u mnie na przechowaniu”.

Marcin mówił, że mój zamiar zrzeczenia się mieszkania byłby chimerą, ponieważ na to nie zgodziłby się w żadnym wypadku wykonawca testamentu. Ponadto w razie zrzeczenia się przeze mnie, umeblowanie - po upływie pewnego okresu czasu - przeszłoby na własność państwa. W istocie testament dziwaka, przypominający powieść Juliusza Verne. Tylko że śmierć tamtego była sfingowana, a my widzieliśmy doktora Michalskiego w trumnie i odprowadziliśmy go na wieczny odpoczynek.

Będzie chryja z ciotką. Kto wie, czy tym razem nie na amen? Na razie jestem otumaniona. Do notariusza napisałam, że zjawię się u niego najwcześniej dwudziestego kwietnia. Jutro rano jedziemy samochodem do Grudziądza - ja, Florencja i Marcin. Doprawdy straciłam głowę. Po doktorze spodziewałam się paru drobiazgów, ale takiego kompletu - nigdy!

Zresztą na miejscu w Poznaniu rozejrzę się.

Poznań - środa - 18 kwietnia

Przyjechałam dzień wcześniej. Maksiu z żoną i dzieckiem oraz ja mieszkaliśmy u Kunickich, reszta w „Królewskim Dworze”. Zośka wpadła tylko na jeden dzień, na samym końcu, ponieważ w niedzielę po południu.

Bydgoszcz pogniwana na amen. Wobec tego wszystkiego, co usłyszałam od Zośki, nie ma nawet mowy, abym wycofała się ze spadku. Ciotka Katarzyna wyraźnie wyrępała:

- Tam na pewno musiało być „coś” między nimi, stary Michalski nie byłby robił takich ceregieli ze spadkiem. Nam tylko trochę gratów i stare fotografie rodzinne, a jej - całe umeblowanie i gratisowe komorne za pięć lat. Wariat! Moglibyśmy... uznać testament za nieważny, ponieważ człowiek przy zdrowych zmysłach nie zapisuje mebli całkiem obcej dziewczynie!

Koniec, koniec, drogi nasze rozeszły się.

Poza tym wydarzenia. W poniedziałek wujek Kowalski poślubił nareszcie swoją Julcię. W protestanckiej kirsze, z rodziny byłam tylko ja! Sam ślub osobliwy, pastor przynajmniej pół godziny gadał na temat nierozzerwalności małżeństwa. Ten sam pastor uczestniczył niedawno w historiach rozwodowych pani Julii Murskiej. Ale to nie jest ważne. Dość, że figurowałam jako jedyny członek rodziny. Bydgoszczy nie było, pomimo że oni zawsze obcałowywali się z Janem Kowalskim. Zgodnie z radą Marcina ograniczyłam się jedynie do ofiarowania kwiatów. Przyznam się, że do ostatniej chwili nie wierzyłam w ten ślub. Nader mile mnie podejmowali śniadaniem, uczyty weselnej nie było. Bardzo rozsądnie w takich warunkach. Jakoś się wyrównało, ubyla dla mnie Bydgoszcz, przybył Grudziądz wujka Kowalskiego. Odpływy i przypływy stosunków rodzinnych. *Panta rei!* Zośka nie chciała pójść ani do kirchy, ani na przyjęcie, mimo że bardzo chciwie wypytywała mnie później o szczegóły.

Wczoraj złożyłam mój testament u grudziądzkiego notariusza. Trudno sobie wyobrazić ogrom zdumienia. Wszystko bez wyjątku zapisałam mojej Marcie, nie ujawniając powodu takiego kroku. Notariusza obowiązuje tajemnica. Kopia testamentu zostanie złożona w sądzie. Aby utrudnić matactwa na wypadek mojej śmierci i zgłoszenie pretensji przez Tucholków, zapisałam każdemu z rodzeństwa równo po pięć tysięcy złotych. W ten sposób stępiłam prawnicze ostrze jakichś późniejszych sporów. W pierwszej chwili notariuszowi przyszło widocznie na myśl, że zapisuję majątek mojej córce nieślubnej, widziałam to po błysku w jego oczach. Już po dokonanej akcie miał zamiar porozmawiać na ten temat i zaczął nawet coś w tym rodzaju:

- A czy... mnie się wydaje... czy pani nie miałaby nic przeciwko temu, abyśmy porozmawiali?

Ale jakoś zgasiałam go chłodem i wykręciłam się od dalszej rozmowy, mówiąc grzecznie:

- Może innym razem, panie mecenasie.

Przyjaciół ojca i całej naszej rodziny. Jeszcze z dziadkowych czasów niemieckich. Poza tym od lat prowadzi wszystkie nasze sprawy hipoteczne. Więcej przyjaciel rodziny niż zwykły tylko notariusz.

Prócz tego zmiany. Kolosalne zmiany. Gdzieś w połowie maja wyjeżdżam razem z Leokadią za granicę. Termin wyjazdu znany, lecz termin powrotu nawet w przybliżeniu nie ustalony. O wszystkim była mowa, tylko nie o tym. Tak chciała Leokadia. Finansową stronę imprezy w całości załatwiają Górki.

Cóż napisać więcej? Dzisiejszą kolację zjadłam już w moim własnym mieszkaniu przy ulicy Wyspiańskiego. Trudno nawet to wszystko opisać. Kazałam posłać sobie po dawnemu, w gabinecie. Dziwna rzecz. Nie odczuwam lęku, który zwykle towarzyszy ludziom mieszkającym w domu, gdzie przed niedawnym czasem chowano właściciela. Wydaje mi się, że stary mój przyjaciel tylko gdzieś wyjechał, na przykład na kurację do Krynicy. Jak zwykle, co roku. Tylko że pisząc te słowa mam łzy w oczach.

Nie oglądałam nawet mieszkania, podobno w porządku, nic nie zostało ruszone, nic nie przesunięto i nie zmieniono, zostało tak, jak w momencie śmierci. Stara gospodyni ucieszyła się z mojego widoku. Pocałowała mnie kilka razy w rękę i mówiła bez przerwy ze łzami w oczach:

- Panienska powinna rzucić „tę Warszawę” i przenieść się na stałe do nas. Przecież panienska ma tutaj gotowe swoje mieszkanie. A pani Leokadia?

Przy tych słowach gospodyni rozplakała się na dobre i rozpoczęła nie kończące się wspomnienia o „dobrych i wesołych czasach”, gdy obie razem zamieszkiwałyśmy u starego doktora.

A co do reszty, to chyba to jedno - ciotka Katarzyna powiedziała wyraźnie:

- Noga moja nie postanie w tym mieszkaniu!

Ludzie są dziwni. W każdym z nas mieszka anioł i szatan. Na przemian każdy z nas jest dobry i zły.

Józinek zdobył się na szeroki gest i na uboczu, ukradkiem, wręczył gosposi swego zmarłego ojca pięćsetzłotowy banknot. Niby od siebie. Ale pod warunkiem, że nie zdradzi go przed Melą i teściową. Wszystko pomieszane z sobą, mądre i głupie.

Na dworze leje deszcz. Nic dziwnego, że u mnie senny nastrój.

Czwartek - 19 kwietnia

Na uniwersytecie - całkiem przypadkowo natknęłam się na pana J. Przywitaliśmy się, usiedliśmy nawet obok siebie na wykładzie Ohanowicza. Później poszliśmy do Fangrata. Różne myśli. On w dalszym ciągu z tą starszą damą. Widziałam ich wieczorem u Dobskiego. Tym razem p. J. uklonił mi się. Dama wygląda - nieźle. Trochę schudła i jakoś wyszlachetniała. Przyglądałam się dyskretnie, lecz z ciekawością. U Fangrata była rozmowa o tym i owym. Oboje stoimy przed egzaminami. On ma zdawać w końcu lipca, tak sobie postanowił. Jeszcze nie ma napisanej pracy dyplomowej. Po dawnemu tkwi w banku, lecz od września ma przyrzeczoną aplikację w Toruniu. Żartem zapytałam o historie małżeńskie. Młody człowiek ożywił się i powiedział prawie szczerze i naturalnie:

- W tym roku, na pewno w tym roku, podczas Bożego Narodzenia.

A jednak stara miłość! Może tylko stare postanowienia? Cokolwiek dziwnie to wygląda w zestawieniu z tą starszą damą o śladach dawnej urody, ale trudno, może to również jakaś higiena. Może ucieczka przed czymś gorszym, przed wielu innymi kobietami? I - przed jakimi. A zresztą to jego sprawa. Lata, lata... Kiedy to było? W roku 1929... Głupie wspomnienia, nieważne, bo bardzo dawne. Później były inne, świeższe, sprzed dwóch lat, moje własne... Głupstwo, jedno i drugie! Kamyki rzucane do wody zapomnienia.

Nie sądziłam, aby taka rozmowa była tak łatwa. Pytania o to, co zrobiłam, ale jakieś zdawkowe, grzecznościowe. Słyszał wiele, naturalnie od bankowego kolegi i od Emilki. Pan Henryk, mój były gospodarz, posuwa się w swojej bankowej karierze, podobno ma zostać prokurentem.

Taki sobie. Dobrze zbudowany. Przeciętą urodą męską. Spokojna, bez nadzwyczajności, lecz i bez felerów. Twarz, jedna z tych, które raczej pociągają. O kim mowa? Pan Jerzy.

Piątek - 20 kwietnia

Chodzę na wykłady. Sama nie wiem, po co. W tym roku i tak z egzaminu nici. Ale przynajmniej dokończę z wykładami i uzyskam tak zwane absolutorium. W południe byłam po raz drugi u Fangrata z panem J. Poszliśmy w sposób naturalny, bez żadnego umawiania się. Nie wytrzymałam - i zapytałam:

- A co to jest za dama?

Odpowiedź była jakaś niewyraźna, coś w tym guście:

- Wdowa po architekcie, bezdzietna, ale to nic poważnego, pani Anno. Moje zamiary ulokowałam gdzie indziej, w Toruniu, jak pani wie.

Ciekawe: pan, pani, to bardzo dobrze, nigdy nie było inaczej. Z wyjątkiem pewnej nocy... ale rano wyrównało się z powrotem. Ciekawa jestem, jak to było z Leokadią? Sama nie wiem, co robić dzisiaj po południu. Chyba odwiedzę Emilkę?

Wieczorem

Owszem, Emilka. Poszliśmy nawet do kina, ponieważ Henryk tkwi nad bilansami. Po kinie zaciągnęłam ją do siebie - jakże to śmiesznie brzmi - i pokazywałam jej moje nowe królestwo. Zdziwienie. Opowiadałam o testamencie, nie chciała wierzyć. Przy tej okazji obejrzałyśmy razem mieszkanie. Wszystko na miejscu. Spis przedmiotów, umeblowanie, ba, nawet spis książek, sporządzony przez kancelarię notariusza. Przyjdzie mi zapłacić od tego

wszystkiego podatek spadkowy, ale zapewniają mnie, że to nie przeniesie czterech tysięcy złotych. Zawartość mieszkania jest warta dziesięciokrotnie więcej. Emilka chodziła po mieszkaniu i oglądała wszystko z drobiazgowością handlarza starzyzną.

Ale nie o tym chciałam napisać. Boli mnie głowa i jestem zła. Obudziły się we mnie różne myśli. Niechże pozwolę sobie nawet na luksus szczerości: rozbudziły się we mnie różne pożądania.

Trudno, nie poradzę. Teraz wpakuję się do wanny z gorącą wodą. Właśnie gospodyni woła:

- Panienko, kąpiel gotowa.

Obecnie mam dwa mieszkania i dwie gospodynie. Mieszkam w dwóch miastach. Ale mimo wszystko boli mnie głowa. I krzyże. I w ogóle czuję się źle.

No, ale trudno, przecież nie wyjdę z mieszkania i nie poszukam sobie... kawałka męczyzny. A już sądziłam, że to się we mnie uspokoiło. Nie, tylko się przycisnęło. Najgorzej zacząć. Problem - pijaka. A może napisać: psiakrew! Ale co mi to pomoże? Ostatecznie...

Sobota - 21 kwietnia

To samo niewygodne mieszkanie, co przed dwoma laty. Godzina. Prawie tuż po obiedzie. W jasny dzień. Naturalnie ostrożności. Po drodze - drogeria. Podwójne ostrożności, z mojej strony brutalne odepchnięcie. Stało się. Ostatecznie świat się nie zawalił i pioruny we mnie nie uderzyły. Jutro to samo, o godzinie jedenastej przed południem. Dał słowo honoru, że nie zobaczy się ze swoją damą do czasu mojego wyjazdu z Poznania. Czy dotrzyma? Nie wiem. Nie wierzę. Słowo - prostytutki. A zresztą? To tylko takie głupie gadanie. Gadanie pensjonarki. Zastrzeżenia dla dodania sobie fasonu.

Prosto do domu i kąpiel. Gorąca woda. Jakże błogo wyciągam się obecnie na tapczanie. Trzeba będzie urządzić sobie w tym mieszkaniu jakąś małą garderobę. Parę sukien i trochę bielizny. Gospodyni już zapytywała:

- Kiedy panienka sprowadzi do nas swoje rzeczy? Z tej... Warszawy?

Ale to wszystko głupstwo. Obecnie koniec z programem na dzień jutrzejszy. Jutro...

Niedziela - 22 kwietnia

Owszem. Trochę dłużej niż wczoraj. Ale mieszkanie diabło niewygodne. Na Wyspiańskiego nie chcę, w hotelu chyba gorzej, w dodatku jakieś ryzyko spotkań. A poza tym nie wiadomo, co będzie dalej. Zagraniczna podróż, Leokadia?

Późnym wieczorem

Jestem zła. Głupie konwenanse. Ale nie było sensu zostać na noc w tym kawalerskim pokoiku. Niewygodnie i w ogóle głupio. W dodatku sytuacja wobec gospodyni.

Poniedziałek

Na wykładzie wpadłam na pomysł. Wręcz zapytałam, czy mógłby w banku otrzymać urlop na kilka dni, powiedzmy na tydzień. Usłyszałam odpowiedź:

- Chyba tak.

A po chwili pan Jerzy dodał:

- A dlaczego?

Ostatecznie wieczorem jedziemy do Zakopanego. Koniec kwietnia. Pies z kulawą nogą. Były jakieś tam dasy, pieniądze i tak dalej. Powiedziałam, że wygrałam na loterii dwa tysiące, jakoś uwierzył, nie bronił się zbytnio. Jedziemy. Głupio napiszę, ale właśnie napiszę, co myślę: będę miała na wyłączną własność, w ciągu pełnego tygodnia... męskie zwierzę. W dość sympatycznym wydaniu. Na zapas. W dodatku, jak na zamówienie, do niedzieli

murowany kalendarzyk. Można będzie nawet... Nawet lepiej, niż się spodziewałam. Pełne dwa tygodnie urlopu z banku. Jakoś ich obełgał.

Pozostaje mi jeszcze napisać list do Warszawy. Ale z tym gładko. Mówili mi przecież w Grudziądzu: odpocznij sobie, sklep nie jest pilny. Zresztą zobaczymy!

Zakopane - czwartek - 26 kwietnia

Eleganckie dwa pokoje. Porządna łazienka, wspólna weranda. Oprócz nas w pensjonacie tylko trzy osoby. Jakieś małżeństwo w średnim wieku i starsza pani, wszystko Galicja. Nie ma z kim zasiadać do stołu. Puchy. Dzierżawczyni pensjonatu nieobecna, rządzi „coś” w rodzaju gospodyni czy kucharki. Wygodnie. Raczej nie pokazujemy się razem. Bez zbytniego afiszowania się, pensjonat na uboczu. Nie jesteśmy nawet zameldowani. Tak zdecydowała gospodyni. Pewno historia z podatkami. Program rozwija się spokojnie. Dania dzienne i dania nocne. Może nawet Zośka ma rację: raz w miesiącu - od razu w ciągu kilku dni. U mnie trochę gorzej... raz w roku!

Trudno to wszystko opisywać. Nie warto. Właściwie z mojej strony robię pewne doświadczenia. Przekonam się, jak to wygląda na dłuższą metę, powiedzmy tydzień. Jakaś miniatura amerykańskiego małżeństwa koleżeńkiego. W Szwecji podobno nikogo to nie razi, narzeczeni żyją z sobą. Gdy takie pożycie nie wytrzymuje próby miesiący, rozchodzą się z uśmiechem jeszcze przed ślubem, bez komplikacji z rozwodami.

Niedziela

Przyśpieszyło się, nic dziwnego. Ale to dobrze. Jestem unieruchomiona przynajmniej na dwa dni. Pan J. zachowuje się bez zarzutu. Wyprawiłam go na dwa dni do Morskiego Oka. Wszystko dobrze, bez zbytniego zbliżania się, bez poufalenia się.

Wtorek - 1 maja

Doświadczyłam czegoś w rodzaju lekkiego gwałtu, to znaczy tym razem wbrew mojej woli. Trochę to dziwne. Nawet bardzo dziwne. Uległam, ponieważ przyszło mi na myśl, że właśnie taki jest los wszystkich kobiet zamężnych. Oddają się bez względu na to, czy mają ochotę. Ciekawe. W dodatku w moich dzisiejszych warunkach... Robię doświadczenia. W każdym razie nie jestem jeszcze gotowa do małżeństwa. Po prostu nie jestem do tego myślowo przygotowana.

Środa

To samo. Powtórzenie dnia wczorajszego. W dodatku w sposób nieco brutalny. Ciekawe. Ulegam i temu - studiuje sytuację. Opowieść o eleganckich i łagodnych mężczyznach jest zwykłą bujdą na resorach. W każdym razie dzisiaj kończy się dziewięć dni naszego pobytu w Zakopanem. Co tam mówią o mnie w Warszawie? Dwa dni temu napisałam do nich list. Pewnie określają mnie niezbyt pochlebnie. Przecież w połowie miesiąca mam wyjechać za granicę. A tu już drugi maja? Ale wyjadę nieodwołalnie w sobotę. Choćby... nie wiem co!

Piątek - 4 maja

Wczoraj otrzymałam telegram z Warszawy: Anno rzucaj zakopiański pomysł z kalendarza otwarcie sklepu dziesiątego wracaj całujemy wyjazd za granicę dwudziestego Leokadia i Florencja.

Jutro wyjadę na pewno. Już wykupiłam miejsce w sleepingu. Nabyłam również okazjnie złoty męski zegarek na rękę. Bardzo elegancki. Widocznie komuś zabrakło pieniędzy w Zakopanem. Tissot, zegarmistrz uzupełnił nowym paskiem skórzany. To będzie prezent dla pana Jerzego. Trzysta złotych.

Dzisiaj ostatnia noc. Nie wiem, jak to nazwać. W każdym razie to była pierwsza moja eskapada w życiu. Bo o tamtych nie warto wspominać. Małe epizodziki. Studiowałam. Człowiek jest nadzwyczaj osobliwym stworzeniem. Mężczyzna rozbustwia się - kobieta chłodnieje. A może się mylę? Może właśnie jest na odwrót, a jedynie ja doświadczam inaczej? W każdym razie już wiem, jak to wygląda, na przykład po ślubie. Taka podróż poślubna do Zakopanego to przecież normalna droga życiowa wielu tanich małżeństw. Tylko że zaoszczędziłam sobie zmęczenia i przesytu. Obecnie, gdy mam dość - wyjeżdżam, bo tak chcę. W prawdziwym małżeństwie nie mogłabym powiedzieć: wyjeżdżam jutro. Byłabym przyczepiona do tego jakiegoś męża i przypuszczalnie musiałabym odczekać do wypowiedzenia przez niego takich słów: - Jutro jedziemy do domu. - A w tym domu...

Ciekawe, ciekawe. Kiedyś, gdy popełnię jakieś małżeństwo... wspomnę o tych kilkunastu dniach. Może to mi pomoże, a może zaszkodzi. Nie wiadomo zresztą, kto będzie partnerem w moim przyszłym małżeństwie. Miłość, może małżeństwo z miłości. Ale pytanie: czy inaczej wyciągają się ręce do miłostnego uścisku w małżeństwie z miłości? Nie wiem. Nie umiem sobie tego wyobrazić. Nie umiem marzyć. Tymczasem uważam to wszystko za bujną rozhuśtaną jedynie przez poetów i przez ich wiersze miłosne. Czyżbym aż tak mocno była zdemoralizowana? Ależ to śmieszne! Przecież to mój pierwszy wybryk w życiu. Wybryk? Głupstwo. Niech każdy robi to, co mu w danej chwili dogadza. A mnie dogadza właśnie dzisiaj: moja ostatnia noc z tym kochaneczkiem przywiezionym z Poznania do Zakopanego.

Co do miłości, to urojenie. Ludzie zawsze pragną wyzłocić swoje pospolite czyny. Niby poezje, ale wszyscy jednak idą do łóżka. Gdzież tutaj poezja? Człowiek mądry szuka w tym jedynie techniki dobrego zaspokojenia, cała reszta... to jedynie barwne opakowanie naszych pożądań. Nic więcej!

Niedziela - 6 maja

Dojeżdżamy do Warszawy. Otwarłam torebkę, aby napisać jedno zdanie, kilka słów: w sam czas wyjechałam z Zakopanego. Ostatnia noc nie spełniła pokładanych w niej życzeń. W mężczyźnie leżą ograniczone możliwości techniczne. I o tym się przekonałam, jedno zatem doświadczenie więcej!

Wieczorem

Leokadia zjawiała się w Warszawie krótko po moim wyjeździe z Grudziądza i zamieszkała u mnie przy Hortensji. Ustaliła się w pokoju gościnnym. Kompletna zmiana. Teatry, nawet dwa brydże. W tym jeden w moim mieszkaniu, z licznymi gośćmi. Odrobinę ożywiona, ubrana w jasne kolory. Działa widocznie lektura Prentice Mulforda... Rozmawia bardzo chętnie o bliskiej podróży.

Trochę mi nakiwali za tajemnicze wagary. Tak je określiła Florencja. Wszystko przyjęłam śmiechem, jestem w doskonałym humorze. Czuję się podobnie jak psiak, gdy skorzysta z nieuwagi i wymknie się z domu do ogrodu. Naprzód obleci wszystkie kąty, wyszczeka się do woli i wytarza w trawie, niepomny na to, że właśnie poprzedniego dnia wykąpano go pięknie i uczesano. Czasami nawet zgubi kokardkę, ale w końcu wraca do domu i w rozbrajający sposób powie miną, jakby oczekiwał nagrody: oto jestem z powrotem, cieszcie się ze mnie, do następnego razu. Ano, pojedziemy za granicę, to zawsze warto. Powszedni dzień w Warszawie jest przeraźliwie nudny i pospolity, niedziela mało co lepsza...

Poniedziałek

Dzisiaj obejrzałam sobie niejaką pannę Beatę Walczak. Koło czterdziestki, bez urody. Twarz, zasadniczo martwa, ożywia się jednak i jak by jaśnieje, gdy rozmowa schodzi na kupieckie tematy. Handlowy uśmiech w dobrym stylu. Uprzejmość - bez uniżoności. Przed rokiem była buchalterką u Imrotha, owego farbiarza, który złożył mi wizytę przed moim

wyjazdem do Grudziądza. Rzeszło się o sto złotych. Pracowała u niego czternaście lat i w końcu zażądała sześciuset złotych miesięcznie. Odmówił. Odeszła. Nie zatrzymywał jej. Ostatni rok pracowała w banku, wypowiedziała przed miesiącem, ale mogłaby odejść wcześniej, nawet zaraz. Zna wszystko w branży. Przypadkiem dowiedziała się od kogoś ze swoich byłych kolegów o otwarciu konkurencji - i zjawiła się u mnie. To znaczy naprzód u Leokadii, ponieważ akurat ją zastała w mieszkaniu przy ulicy Hortensji, później rozmawiała z Florencją. Ma już głosy obu pań, mój chyba również, przyjąłem ją od czerwca. Naturalnie sześćset złotych, bez zmrużenia oczu, a nawet moje własne słowa:

- Co będzie dalej, zobaczymy, pensja pani zależy od rozwoju firmy.

Panna Beata wyszła ode mnie z kontraktem w ręce po półgodzinnej rozmowie. Dosyć osobliwy ten kontrakt, ponieważ bez zastrzeżenia jakiegoś próbnego okresu. Tak mi doradził już poprzednio Marcin, a on ma sporo dowcipu życiowego. Co prawda drażnił mnie przy tej okazji panem Faustynem, ale wiem, że to były żarty, ponieważ stryjek znalazł mu jakąś posadkę w Krakowie, gdzie mój wielce nieudany kolega usiłuje obecnie zdawać egzaminy prawnicze na trzecim z kolei uniwersytecie.

W czwartek poświęcenie interesu. Dzisiaj oglądałam reklamy: „Nasze lakiery schną pod pędzlem!” - oraz: „Każdy może wszystko emaliować sam u siebie w domu!” Gruba przesada.

O całości mego przedsiębiorstwa można by napisać już gruby tom, mimo że interes nie został jeszcze otwarty. Na razie okno i drzwi są zasłonięte gustownymi firankami, a w oknie wystawowym figuruje napis: otwarcie wkrótce. Akcja gazeciarska nakręcona, ulotki reklamowe już wydrukowano w Gdańsku, przedstawienie z rozpoczęciem sprzedaży dwudziestego maja. Akurat w dniu naszego wyjazdu za granicę. Wszystko pięknie - ładnie, ale Florencja już dzisiaj ostrzegła mnie:

- My ci tutaj rozkręcimy interesy, ale w końcu roku zwiewamy z Warszawy. Licz się z tym, że na twoją głowę spadnie wówczas komplet naszych warszawskich spraw.

Ładna perspektywa, ale trudno. Marcin mówi, że pracują tylko drobni kupcy, handlowcy w wielkim stylu przeglądają jedynie korespondencję, rozmawiają, przeważnie u siebie w domu. Interes prowadzą oficjaliści, obcy ludzie, za pieniądze, byle umieć tylko dozorować ich i instruować. Dobrze tak mówić Marciniowi!

Z ministerstwa już mam papierek: jednoroczny bezpłatny urlop dla załatwienia spraw rodzinnych. Hmmm... Przysłali do domu w końcu kwietnia.

Środa

Jutro poświęcenie lokalu. Dwadzieścia osób przy lampce wina na Nowym Świecie, wieczorem luksusowe przyjęcie w domu, Górki, jak zwykle. W dodatku już zdecydowano beze mnie: Wiktoria pomoże w gospodarstwie na wsi, powróci do Warszawy, gdy będzie mi potrzebna. Dozór nad mieszkaniem w rękach rodziny naszego dozorczy. Gospodyni naturalnie cieszy się i obcałowuje po rękach „swoją” Leokadię. Czy ja wiem? Dobrze i to, ponieważ kilkakrotnie już rozmyślałam, jak urządzić tę sprawę. Kłopot spadł mi z głowy.

Co do pieniędzy, na razie zadłużam się u Marcina. Bank Polski złożyłam już na depozyt. Równocześnie otworzyłam sobie otwarty depozyt dla moich akcji i umieściłam na nim wszystkie moje papiery. Akcje starego doktora nie miały odciętych kuponów za zeszły rok i zainkasowałam z tego tytułu trzy półroczne oprocentowania w kwocie 2 640 złotych. Na razie jednak nie rozliczam się z krewnymi, zrobię to po powrocie. Oni mają obecnie pieniądze jak lodu.

Był list od Krystynka, taki sobie, niewyraźny. Pisze, że ma dużo roboty. Jest zadowolony, podróżuje po Stanach. O stryjku Juliuszu wcale nie wspomina, mimo że w spisie miast wlicza również Chicago. Zośka jest spodziewana jutro rano.

Piątek - 11 maja

Bez zgrzytów. Obficie. Wszystko się udało. Dokonałam aktu kurtuazyjnego i zaprosiłam również pana Imrotha. Nie przyszedł, jedynie wieczorem przysłał na ulicę Hortensji wiązaną róż herbacianych. Z biletem, ale bez żadnej treści. Ani dobrze, ani źle. W każdym razie przywoicie z obu stron.

Dzisiaj po południu Leokadia wyjechała do Poznania. Zamieszka na Wyspiańskiego, sama to podniosła. Chodzi o interesy jej kamienicy. Zdaje się, że z Wyspiańskiego zrobi się coś w rodzaju *pied-à-terre* dla naszej rodziny, ponieważ nawet Zośka przymówiła się o korzystanie.

Jedziemy przez Paryż, gdzie zatrzymamy się kilka dni. Mnie w krótkiej drodze przedłużyli paszport do końca urlopu w ministerstwie, to znaczy do końca kwietnia 1935 roku. Mój stary paszport z czasów pierwszej wyprawy zagranicznej.

Może i dobrze, że przyjrzę się pierwszemu dniu mojego czy też naszego interesu. Florencję to bawi, a generałowa będzie miała pewnego rodzaju punkt w śródmieściu do wpadania „na pięć minut” i składania różnych paczuszek. Przed sobą samą mogę się przyznać, że mnie to wszystko nie bawi. Nie mam we krwi takiego kramarstwa. Raczej znajdowałabym wyzycie w grze na giełdzie. Różnica kilku dni czy kilku godzin - i po wszystkim! Albo dużo, albo nic. Wielki zysk i wielka strata. Natomiast takie detaliczne interesy z podliczaniem codziennej kasy z groszami to nie dla mnie. Mam wrażenie, że kiedyś ustalę się w domach. Dwa porządne domy w Warszawie i koniec. Dwa domy - dwa miliony?

Na razie nie myślę o niczym. Jakoś się odprężyłam. Każde nowe doświadczenie uspokaja. Ciekawa jestem, jak wypadną nasze zagraniczne wojaże. Właściwie jedziemy bez specjalnie określonego celu. Francja, Szwajcaria i Włochy. Równie dobrze mogłybyśmy zboczyć do Chicago. Kto wie?

Co do Zakopanego, nie żałuję. W sumie wypadło mi to niezwykle tanio. Parę porządnych kiecek w magazynie „Goussain” kosztowałyby znacznie więcej.

Piszę, bo akurat dzisiaj mam ochotę do pisania. Jutro nie będzie czasu, ponieważ nasza paczka idzie razem do owego prezesa, którego poznaliśmy ostatnio w Krynicy.

Małżeństwo? Na razie chyba nie. Nie czuję się na siłach, aby podporządkować się czyjejs woli czy choćby tylko czyjemuś widzimisię. A na odwrotność nie ma co liczyć. Wyobrażam sobie, że wyzycie erotyczne w małżeństwie polega raczej na obustronnych brutalnościach. Kompromisy są rzadsze. W dodatku z natury rzeczy każdy kompromis jest ustępstwem. Nie wszystkie desery są dobre, smaczne i pożądane. W dodatku zdaje się, że posiadam naturę chłodną, raczej męską niż kobiecą. Nie znoszę na przykład mizdrzenia się, rozkrochmalania, rozanielania, cackania. Ciuciu i ciuciu... dwa gołąbki na dachu bawią się ocieraniem łebków o szyjki. Dość tego miałam w moich smarkatych latach, gdy różne wyrostki ścisnęły mnie w ciemnych kinach. To było dobre dla odprężenia wyobraźni w siedemnastych i osiemnastych latach. A zresztą zawsze piekielny strach wisiał nad każdą z nas w postaci bocianiego zjawiska. Byłyśmy głupie, ale trudno, żeby wówczas było inaczej, skoro starsi wmawiali w nas takie głupie pojęcia. Zresztą to samo zdarzyło się również i później, przykład - Zośka lub, co gorzej, Irenka.

Bardzo chłodno i ordynarnie kształtuję sobie mój światopogląd w tej sprawie. Rozkrochmalanie się potrzebne jest mężczyznom, kobiety skłania niekiedy do większej uległości w momencie męskich szturmów. Ale w moim wypadku to zbędne, ponieważ i tak same fakty poprzedzone są u mnie dużą pobudliwością nerwową, reszta natomiast jest spełniana już na zimno. Mogłabym napisać w tym miejscu: z cynicznym wyrachowaniem.

Wszystko to wypisuję nie wiadomo po co i dlaczego. Chyba dla upewnienia się i podkreślenia, że nie grozi mi oddanie się windziarzowi w jakimś zagranicznym hotelu. Przecież namiętności nigdy nie przyciskają człowieka w tak nagły sposób, jak inne czynności fizjologiczne. O ile pamiętam, to w naszym rodzeństwie tylko jeden Krystynek miał

skłonności do robienia... w majtki. Był z tym poważny kłopot dla sióstr. Przeżywałam te wypadki jako osobistą kompromitację.

Koniec z pisaniem. Prawie ósma. Jeszcze zdążę do kina.

Sobota

Skończyło się jakoś wcześniej. Takie sobie młócenie słomy towarzyskiej i okazja do zaprezentowania nowej sukni z czarnego błyszczącego jedwabiu z matowymi tiulami. Ostatnia kreacja wykonana pod nadzorem Florencji. I to była moja mistrzyni życia! Taka sobie dobra czy mądra jak tysiąc innych. Może nawet nadaje się bardziej na kochankę czy przyjaciółkę. Ostatnio gdy na nią patrzę, zjawia się koło niej stale wizja jej siostry.

Niedziela - 13 maja

Od rana leje deszcz bez przerwy. W południe dzwoniła Florencja i pytała, jak daleko posunęłam moje przygotowania do podróży. Miała na myśli stroje. Nie chcę zabierać zbyt wiele. Zresztą gdy wróci Leokadia, poproszę ją o zrobienie przeglądu i dokonanie wyboru. Ona zna się na tym lepiej ode mnie. Do strojów odnosi się ze znajomością rzeczy, Florencja natomiast - z lekkomyślną fantazją.

Jutro rano tknę się do Wąbrzeźna - imieniny Zośki. Jadę bez prezentu, powiem, że przywiozę zza granicy. Może nie zdecydowałabym się na wyjazd, ale Zośka zadzwoniła i było jakoś głupio wyłgiwać się przez telefon. Telefon to czasami głupi wynalazek. Niby nie widzi się rozmówcy i można by mu pokazać język, ale głos zdradza. Timbre głosu.

Czytam. Sięgnęłam do osobliwych książek, znalezionych po śmierci ojca w jego szafie bibliotecznej. Wybrałam coś bardziej możliwego: *Liebe im Orient*, trzy tomy, właśnie skończyłam dwa: *Der duftende Garten des Scheik Nefzau* i *Anangaranda, die Bühne des Liebesgottes*, z przedmową Hansa Heinza Ewersa, autora *Ahaune*.

Przejrzałam dość uważnie. Ciekawe, ponieważ właśnie w tym tomie znalazłam wetkniętą jakby, zakładkę, małą, lilipucią książeczkę w wydaniu Mortkowicza: Pieśń nad pieśniami. Również i to przeczytałam, może nawet uważniej niż tomy niemieckiego tłumaczenia. Jakież to wszystko jest dyszące żądzą, niczym nie poskromioną i nie ujarzmioną! I czymże kończy biblijny król Salomon swoje pieśni miłosne?

„Winnicę miał Salomon w Baalhamon, którą winnicę najął stróżom, aby każdy przynosił za owoc tysiąc srebrników.

Ale winnica moja, którą mam, jest przede mną. Miej sobie tysiąc srebrników, Salomonie, a dwieście ci, którzy strzegą owocu jej.

O ty, który mieszkasz w ogrodach! - przyjaciele słuchają głosu twego: ozwijże się.

Pośpiesz się, miły mój! a bądź podobnym sarnie albo młodemu jelonkowi na górach ziół wonnych”.

Nie wierzę w to, co mi niegdyś opowiadano w szkole. To nie są jakieś sakralne alegorie, lecz poezja miłosna Wschodu, zabłąkana przypadkiem do historii żydowskiego narodu. Żydzi, pragnąc utrzymać się na powierzchni lotnych piasków bramy przechodniej, jaką była ich Palestyna, do legend dorzucali legendy nie trzymając się w tym żadnej miary. I oto w taki sposób znalazły się tam wersety przepojone wyrafinowaną chucią, możliwą w tej formie jedynie u ludów Wschodu. Później, już w epoce ustalania się tekstów, przepisywaczom starych dziejów żal było wyrzucać z ustnej czy piśmiennej tradycji strofy bardzo popularne wśród ludu i w ten sposób miłosne poezje znalazły się wśród spuścizny legend religijnych.

Namiętność i żądza. Wszystkie systemy operują zasadniczo zbyt wątpliwymi możliwościami. To tak, jak by ktoś usiłował utrzymać kilka kilogramów rtęci, owego przysłowiowego żywego srebra, w papierowej torebce. Być może udałoby się to na krótką metę i w stanie idealnego spokoju. Ale w żyłach naszych płynie żywa krew, która wszystko burzy, choćby nawet za cenę zniszczenia nas samych!

Właśnie w tym miesiącu skończyłam dwadzieścia sześć lat. W warunkach naszego wieku to już dawna dobra trzydziestka. Naturalnie, po wyłączeniu dziubutków, siusiumajtków i kociaków. Tego rodzaju kobiet skarłowaciałych, które wylegują się w garsonierach na kształt pinczerków, psiapsiusiów i pekińczyków. Pomiędzy pudełkami czekoladek i perfum. Żyjących adresami krawcowych i fryzjerek, zastanawiających się nad rodzajem koronek do nocnej czy porannej bielizny. W przerwach pocieszających się z byle kim, byle tylko jakoś przetasować karty nudnego pożycia z tym mężczyzną... który za to wszystko płaci.

Ale dość pesymizmu na dzisiaj. Stary doktor miał rację. Od razu natknęłam się na lepsze myśli. Co prawda zbyt po męsku sięgnęłam po owoce z ogrodu szejka Nefzaui, ale przynajmniej skutecznie. Cóż zresztą miałam czynić?

Do spowiedzi przecież nie pójde. I na tej drodze nie będę starała się uzyskać rozwiązania kwadratury koła. Onanizm księży leczy pokutą i zdrowaśkami, stosunki pozamałżeńskie nie są do darowania, ponieważ nie mieszczą się w ustalonych i drukowanych kanonach religijnych. Naturalnie co kraj, to obyczaj. Na Wschodzie, wyczytałam dzisiaj, gdy kobieta kładzie się twarzą do ziemi i w ten sposób oddaje się mężczyźnie, zasługuje się bóstwom hinduskim, ponieważ naśladuje w tym... świętą krowę. A zresztą spowiedź to nie jakieś znaki czy symbole magiczne. Trzeba przyjąć wszystko lub wszystko odrzucić. Nie można wybierać. Zbyt święte to jest dla nas, ludzi przeciętnych! Nie mogłabym szczerze powiedzieć: żałuję tego, co czyniłam, ponieważ to, co czyniłam, było mi właśnie miłe i przyjemne. Być może nawet pożyteczne. Nie mogę również powiedzieć: nie będę czyniła tego więcej, ponieważ chłodno wnioskując, wiem, że nie dotrzymam. Ponieważ nie jestem w stanie dotrzymać, gdyż jestem człowiekiem żyjącym.

Właśnie ktoś z naszego wczorajszego eleganckiego towarzystwa powiedział wyraźnie:

- Małżeństwo bezdzietne to nic innego jak społecznie i towarzysko koncesjonowany nierząd. - I miał rację. A zresztą? Pozostawiam to do rozstrzygnięcia pewnemu męskiemu kociakowi, który folgował sobie na Helu z dwiema rodzonymi siostrami. On się chyba lepiej orientował w labiryntach niekoncesjonowanej erotyki. Ale nie było akurat pod ręką mądrej oślicy Balaama, natomiast były... dobrze zaopatrzone drogerie.

Ale czas na mnie. Trzeba pomyśleć nad jutrzejszą podróżą do Wąbrzeźna. Zośka. Przecież nie urządzi mi w poznańskim mieszkaniu schadzek ze swoimi przyjaciółmi? Nie wiem, a z drugiej strony trudno o tym mówić. Tabu. Niech zatem stanie się, co się ma stać. Nie warto stawiać w myślach zbyt wielu przeszkód własnej i cudzej przyszłości. A może właśnie takie myśli ściągają ku nam przyszłe fakty? Podobnie jak wysokie wieże - pioruny. Na całe szczęście żyjemy w epoce piorunochronów!

Milczmy zatem, a do przyszłości podchodzimy zawsze z optymizmem. Tylko nie z takim, jak Wolterowski Kandyd. Nie warto. W dwudziestym wieku na ogół ludzie są już znacznie rozsądniejsi.

Czwartek - 17 maja

Dzisiaj po południu wróciłam do Warszawy. Zdążyłam już obejrzeć nasz sklep. „Na cacy”. Piątka z plusem. Rzymska! Zaraz po przyjeździe do domu dopadli mnie telefonem. Wszyscy czworo, razem z Marcinem, oglądaliśmy sklep. Florencja ma nową zabawkę. Cieszy się i mówi, że będzie miała jakieś zajęcie. Marcin się zaśmiewa, generałowa jest również rozweselona. Mówią o tym, że nasz sklep spłata porządnego figla staremu warszawskiemu farbiarzowi. Podobno jest oburzony, że przyjęliśmy jego byłą buchalterkę. Nie dziwię się, to było pierwszorzędne świństwo w cenie tylko stu złotych. Warto było. Ale Imroth postąpiłby tak samo. Panna Beata zwolniła się wcześniej z banku i zamiast pojechać na urlop, już od połowy miesiąca stanęła na posterunku. Proponowałam, żeby jej przyrzec jakiś procent od sprzedaży. Wstrzymali mnie, mówią, że co najwyżej można by przy okazji dać jej do

zrozumienia, że o ile interes rozwinie się, to może liczyć na jeden procent od sprzedaży w sklepie, ale dopiero od Nowego Roku. Niech i tak będzie.

Leokadia również wróciła już z Poznania, ale na razie utkwiała w Górkach. W Warszawie zjawi się dopiero w poniedziałek po południu, samochodem, z bagażami. Diabli wiedzą, ile tego weźmie, będzie kłopot w pociągu, hotelach i na cle. W Paryżu jedziemy prosto na rue du Pont Vert. Mają przysłać samochód na dworzec. Był list od Temmi. Marcin mówi, że w jesieni odwiedzą nas. To znaczy przyjadą tam, gdzie się ustalimy. Przewidują, że wystarczy nam dwa miesiące wożowania rzemiennym dyszlem, a właściwie kolejowym dyszlem, a później przyklapniemy gdzieś na dłużej. O pieniądzach dotąd nie było mowy, pewnie sobie załatwili przez Gdańsk. Nie moja w tym głowa, tak mi powiedzieli. O szczegóły nie pytałam. Po raz pierwszy jadę w taką podróż. Na cudzy rachunek. Ale to wszystko jedno, moja rodzinka ma więcej pieniędzy ode mnie. Niechże zatem wydają! W dodatku będę przywiązana do Leokadii i wszystkie kłopoty podróżnicze spadną na moją głowę. Zobaczmy...

Imienin u Zośki nie warto opisywać. Z Bydgoszczy był jedynie Józio. Przyjechał, tłumaczył się gęsto, że Wojtuś zachorował i obie panie czuwają nad nim. Przesada, panie pilnują sklepów, a dziecka służące.

- Nie szkluj - powiedziała mu przy mnie solenizantka. - Ciotka nagadała głupstw, a teraz trudno odrobić. Nie myśl, że my, to znaczy Anna, bierzemy to wszystko tak tragicznie, wiemy, ciotka Katarzyna musiała po swoim się wygadać.

Młody Michalski grzeczny, początkowo próbował poważnie i patrzył cokolwiek spod czoła, ale potem nie wytrzymał i po paru kieliszkach koniaku puścił farbę. Później na osobności starał się mnie zastrzelić powiedzeniem, że i tak im jest wszystko jedno z mieszkaniem, ponieważ mają zamiar sprzedać dom przy ulicy Wyspiańskiego i skoncentrować się tylko w Bydgoszczy. Od razu znalazłam odpowiedź:

- Obecnie domy są tanie, wstrzymajcie się, stryj Marcin przepowiada, że w przyszłym roku będzie można uzyskać wyższe ceny.

Nie wiem, czy uwierzył, ale w każdym razie zainteresował się moimi słowami, oni uważają, że Marcin ma smykałkę do interesów.

Przyszło mi również na myśl, aby sprzedać dom w Grudziądzu i kupić dom starego doktora. Można by ostatecznie sprzedać ten mniejszy dom, a resztę jakoś dopożyczyć. Ale nie warto byłoby dla chimery wygodzenia młodemu Michalskiemu czynić zaburzenia w naszych interesach. I tak mamy sporo kłopotów ze spłacaniem starych długów. Zresztą to jest głupie gadanie, domu tak prędko nie sprzedadzą. Wbiłam jednak w głowę Zośce, aby pilnowała tej sprawy i gdyby kręcili się nabywcy, zawiadomiła mnie o tym. Siostra zadowolona, ponieważ nie domagałam się pieniędzy. Ona nic nie wie o akcjach Banku Polskiego, Żoliborz nie rozgłosi, notariusz tym bardziej.

Przywiozłam sobie trochę szmat z rodzinnego sklepu. Na jutro mam wyznaczoną godzinę u krawcowej. Chyba zrobi. Dwa kostiumy, oba popielate, jasny z cienkiej gabardyny, ciemniejszy z grubszego macco. Oba zrobię według mody angielskiej, gdzieś na pograniczu męskiego stylu.

Ale zakończyłam! Wszystkiego po trochu. Groch z kapustą. Mimo wszystko jestem kobietą, ponieważ zawsze zbaczam na szmatki. Zresztą sama nie wiem, czy byłabym z życia więcej zadowolona, gdybym była mężczyzną. Chyba - nie. Kobieta to zawsze jest coś więcej od mężczyzny. Więcej w życiu może. Sama nie wiem, na czym to w istocie polega, ale tak jest - i to mi wystarcza.

A teraz kąpiel i spanie. Trzeba odespać nocne krewnych rozmowy. Oj, ta Zośka! Nie mówi co prawda na „te” tematy, ale można się domyślać, że urządziła sobie życie w sposób dowcipny. Kiedyś, jeszcze w Poznaniu, uraziłam ją, gdy trzepała o różnych metodach

higienicznych, i zamilkła wówczas, jak słowik na świętego Wita. Trudno. Lepiej jednak nie wskrzeszać tamtych rozmów...

Piątek - 18 maja

Marcin namawiał mnie dzisiaj, żebym pojechała na niedzielę do Górek. Mówił, że to byłoby nawet bardzo do rzeczy. Zrozumiałam to jako aluzję do gratisowej podróży. Głupstwo. Nie pojadę. Wykręciłam się, że nie byłoby dobrze płatać się tam właśnie w okresie przygotowań do podróży. Wyjeżdżamy ostatecznie i nieodwołalnie w czwartek wieczorem, już są zamówione sleepingi. W sobotę rano Paryż. Po raz drugi w moim życiu, a właściwie po raz trzeci, licząc w to powrót z Mentony. Kostiumy mają być gotowe w środę po południu.

Dzisiaj napisałam długi list do Grudziądza. Jutro wyślę pieniądze, tysiąc złotych, na wakacje małej w Rabce. W sierpniu upoważnię bank do wysyłania po dwieście złotych miesięcznie.

Już zrobiłam zastrzeżenie w banku, aby aż do odwołania nie przysyłali mi do domu żadnej korespondencji. Od samego początku rozłączyłam oba konta. Moje prywatne konto nie ma żadnej łączności z kontem firmy „Sol”, na tym ostatnim figuruje symboliczny tysiąc złotych. Równocześnie z kwotą dwustu złotych zostało otwarte konto czekowe w Pocztovej Kasie Oszczędności.

Ciąży mi te dziesięć tysięcy złotych, wzięte od Marcina. To jakoś głupio. Wyjeżdżam przed otwarciem interesu. Jutro sprzedam dalsze dziesięć tysięcy BGK. Oddam. Tak będzie lepiej. Nie będzie się nazywało, że nie posiadam własnej gotówki!

Dzisiaj po południu byłam w kinie. O śmiesznej porze, od piątej do siódmej. Później posiedziałam z godzinkę na górze w „Ziemiańskiej”, ale nic nie wysiedziałam. Nie budzę zainteresowania u kawiarnianych mężczyzn. Nie rzucają się na mnie, widocznie nie ma nic we mnie, co by ich kokietowało czy rozpałało. Może jestem zbyt poważna? Może się zresztą opatrzyłam, widzą mnie prawie codziennie i przyzwyczaili się do mego widoku. Każda kawiarnia ma swoich stałych gości i ci obrzucają ciekawym okiem tylko świeżych przybyszów. Widzą w nich kandydatów na ewentualnych stałych bywalców i nic dziwnego, że zapytują sami siebie: co to za jedna, jaka ona jest? Na ulicy czasami oglądają się za mną różne szczeniaki, przeważnie w akademickich czapkach. Widocznie oczekują zachęty, aby dobrze ubrana kobieta zaprosiła ich naprzód na kawę z ciastkami do cukierni, później do kina, tam jest ciemno, dogodny teren do manewrowania palcami, a na końcu, co Bóg zdarzy... Albo u niej, albo w hoteliku zapłaconym przez damę, w ostateczności gdzieś na Pradze, w studenckim pokoiku. Różnie bywa na świecie, nie jestem głupia i doskonale zdaję sobie sprawę, jak toczy się życie u różnych kobiet, gdy przychodzą na nie chwile pożądania. Nie wszystkie analizują życie i nie wszystkie odważają detale na gramy. Tylko tyle, że na ogół o takich rzeczach nie pisze się w powieściach, jedynie czasami „demihetery” zwierają się sobie przy pół czarnej na kanapce u Lourse'a lub na Mazowieckiej. Lub pospolicie - w kłozecie kawiarnianym, taki odwieczny zwyczaj od czasów, gdy powstały kawiarnie. O tym również nie piszą w powieściach, ponieważ nie wypada!

Dzisiaj rano, jeszcze w łóżku, wczytałam się w *Słówka* Boya. Pradziejwiczę wydanie krakowskie, oprawione w skórę ze złoceniami. Kiedyś wpadło mi w oczy, gdy przechodziłam Świętokrzyską. Otóż wyczytałam i zapamiętałam zakończenie jednego z wierszyków:

Powiedz, mój Strózu aniele,
Czy to zuchwalstwem zbyt dużem
Marzyć, choć czasem, w niedzielę,
Szczęście anioła ze stróżem?...

Początek zaś wierszyka jest taki:

Chciałbym przy pani... uchnie
Być takim skromnym amantem,
Co go się wpuszcza przez kuchnię,
Zanim się go puści kantem.

Całość wierszyka nazwana została: „Madrygałem spod ciemnej gwiazdy”. Chyba zabiorę w drogę Słówka? Będzie to moja jedyna lektura w języku polskim.

Sobota - 19 maja

Przed chwilą zjadłam u siebie obiad. Wiktoria dogadza mi, ale już jest myślami w Górkach. Ludzie ze wsi zawsze ciągną do wsi. Zwłaszcza tacy jak moja Wikta. Być może nawet, że nie zechce wrócić później na ulicę Hortensji. Ale nie warto myśleć w końcu maja o tym, co będzie na Gwiazdkę.

Mam kilka godzin czasu, ponieważ o wpół do ósmej przyjadą po mnie. Jedziemy do znajomych na brydża. Kolacja, a później podobno trzy stoliki do rana. Warszawa przeżywa obecnie epokę brydżową. W każdym domu brydżowanie. Nie bardzo mi się uśmiecha taka zmarnowana noc, ale trzeba. Byłam w dobrym humorze i przyrzekłam Marcinowi. Oddałam mu dziesięć tysięcy, a w procencie przyniosłam trzy krawaty, ale demonstracyjnie w torebce warszawskiej firmy. Z góry się zastrzegłam: - Nie myśl, że przywiozłam je z Wąbrzeźna! - Marcin wyśmiewał się ze mnie, lecz zaprosił na kawę, jak zwykle w południe, do „Europejskiej”, spotkaliśmy Florencję i Marcin od razu pochwalił się:

- Anna oddała mi wszystkie długi przed wyjazdem za granicę, podobnie jak to czynią Chińczycy w okresie Nowego Roku. A może ty, Anno, nie masz zamiaru wrócić do Warszawy w tym roku?

Bardzo dobrze zrobiłam. Za BGK dostałam 9420 złotych, resztę dołożyłam. Moje panie zdecydowały dzisiaj, że sklep zostanie otwarty dopiero pierwszego czerwca. Nasi podróżujący już rozpoczęli swoją działalność od połowy miesiąca, chodzi w tym wypadku o sprzedaż detaliczną. Ale to wszystko już na głowie Florencji. Ona dogadała się również w szczegółach z panną Beatą, Akurat dobre imię do interesu z farbami. Panna Beata.

Z pieniędzmi u mnie bardzo krucho. Gdy zapłacę w środę krawcową, nie zostanie mi nawet owa pięćsetka, którą symbolicznie wywozi każdy za granicę. No, ale na wszelki wypadek mam trochę własnych dolarów w paryskim banku. Ciekawa jestem, jak to będzie z wydawaniem pieniędzy.

A teraz położę się na dwie godzinki. O szóstej zbudzi mnie Wikta i zacznę nabijać się w grandgorset i czarną toaletę wieczorową. Tak kazała Florencja.

Odsunę nakrycie z łóżka i położę się całkowicie obnażona na prześcieradle. Pod głowę tylko jasiek. W ten sposób doskonale się wypoczywa. Odzież, a nawet bielizna przeszkadzają w śnie. Nie lubię pidżam, jakoś tamują ruchy. Wikta gorszy się na mój widok. Nie dziwię się jej. Na wsi mocno zasłaniają rzeczy niepotrzebne, natomiast odsłaniają potrzebne... Kaśki nie noszą przecież dessous. Bronią dostępu tylko do piersi. - A zresztą u nas nie znają się na potrzebnych detalach życiowych. Francuska pokojówka zawsze była wzywana do zmywania pleców gąbką. Patrycja dziwiła się mojej ówczesnej wstrzeźliwości czy też parafiańskiemu wstydomi. Powinnam napisać: wstydlivości.

Jutro śpię do samego południa. Już zapowiedziałam, aby mnie nie budzono, chyba gdyby zapowiadali przez radio koniec świata! Z ciekawości wolałabym przeżyć to na jawie niż we śnie. Byłam się tylko nie urzęna!

Niedziela - 20 maja

Przygoda, a raczej możliwość przygody. Przyjęcie, kolacja, dwadzieścia parę osób. Tylko jeden stolik brydżowy, skończył się dość szybko, koło pierwszej. Później, co kto chciał i na co miał ochotę. Ustalili się poker. Kilka osób wyszło wcześniej, wśród nich i ja. Było koło drugiej. Moi krewni zostali i byli tak zemocjonowani grą, że mnie nie zatrzymywali. Znajomy, nowy znajomy, dopiero - z tego wieczoru. Taki sobie, w wieku czterdziestu lat. Brunet, nawet w moim typie. Elegancki, obyty, tytułowali go inżynierem. Z Krakowa. Poznałam go podczas kolacji, posadzili nas koło siebie. Wyszedł razem ze mną. Ofiarował się z odwiezieniem do domu. Przyznaję, byłam lekko zaproszona, ale ostatecznie wiedziałam, co robię, nie byłam pijana. W taksówce, jechaliśmy z dalekiego Boernerowa, zaczęły się historie w stylu bydgoskim. Przciskania i pocałunki. Taksówka jechała wolno, jakby na zamówienie. Z mojej strony była jakaś przyjemna bierność, ale jeszcze w granicach możliwości. Ręce znajomego interesowały się na razie tylko pierściami. Wieczorowa suknia była mocno wycięta, płaszcz łatwo rozchylić...

Stanęliśmy przed bramą mojego domu. Gość wysiadł, zapłacił taksarza jednym ruchem. Taksówka odjechała, a my oboje stanęliśmy przed bramą. Przycisnęłam ręką guzik od dzwonka, mój towarzysz nie zęgnął się. Gdy posłyszałam w bramie kroki naszego stróża, wyciągnęłam do przygodnego znajomego rękę i powiedziałam:

- Żegnam pana, panie inżynierze.
- Ach - usłyszałam szept - czyż pani zostawi mnie dzisiaj na ulicy?
- A mój mąż? - odpowiedziałam pośpiesznie.

W tej chwili stróż otworzył bramę i wpuścił mnie do środka. Nie oglądałam się.

Na górze u siebie szybko zrzuciłam wieczorowy strój damy i stanęłam pod prysznicem. Raczej chłodny prysznic; tak sobie pomyślałam w pierwszej chwili. Później okryłam się prześcieradłem kąpielowym i przygotowałam normalną kąpiel w wannie. Poprzez otwarte drzwi do pokoju słyszałam bicie zegara. Trzecia godzina. W dalszym ciągu stałam owinięta prześcieradłem frotte i przyglądałam się, jak woda wypełnia wannę. Wlałam całą butelkę „leśnej wody”. Zapach odurzył mnie. Zrobiło mi się niedobrze. W ostatniej chwili zdążyłam pochylić się nad muszlą klozetową. Silnie wymiotowałam. Ulżyło mi. W łazience było gorąco. Usiadłam na krzeselku, przedtem zakręciłam kran od piecyka gazowego. Po chwili uspokoiłam się i weszłam do wanny. Staralam się jedynie zwalczyć senność i siedząc w wannie po szyję, przypominałam sobie krynickie czasy, gdy w śmieszny sposób określano długość czasu trwania kąpeli: na przykład 14 minut. Obudził mnie z tych rozmyślań odgłos bicia jakiejś godziny. Ostatnim wysiłkiem świadomości wywlekłam się z wanny. Stanęłam boso na korkowym dywaniku i kilka chwil otrząsałam się z wody. Nie wpadłam na pomysł otarcia się ręcznikiem, nie narzuciłam nawet na siebie wiszącego na ścianie płaszcza kąpielowego. Nie zgasiłam światła w łazience. Zostawiłam po drodze otwarte drzwi do łazienki i do pokoju. Położyłam się w poprzek, a może po prostu upadłam na łóżko. W tej samej pozycji obudziłam się około godziny pierwszej w południe.

Wikta była zgorziona. Prawie czyniła mi wymówki. Nie odpowiadałam. Dzień rozpoczęłam od nowej kąpeli, tym razem już normalnej. Dziwna rzecz - nie bolała mnie głowa. Widocznie wymioty działają lepiej od sztucznych lekarstw. Na obiad zjadłam niewiele. Po obiedzie Wikta poszła do kościoła, a ja położyłam się z powrotem do łóżka. Tym razem porządnie, w jedwabnej pidżamie, liczyłam się bowiem z perspektywą jakiejś wizyty. Nikt nie przyszedł. Bardzo dobrze. Spałam do dziewiątej. Lekka kolacja. Wikta w dalszym ciągu mocno zgorziona, trudno. I obecnie, gdy opisałam to wszystko w stylu prawie telegraficznym, zamyśliłam się, przyszedły refleksje:

Mogło być inaczej. Byłabym znalazła się w rękach podchmielonego, lecz nie pijanego gościa, który mógł robić ze mną, co by chciał. W tej chwili ciarki mnie przechodzą, gdy liczę dni... Dziesięć dni... i w ogóle. W tych wypadkach nigdy nie wiadomo! Męska kukułka jest

zawsze wielką i tajemniczą niewiadomą. Nie chciałabym przeżywać skrobanki! W dodatku - podróż.

A były dwa momenty, gdy żałowałam, że nie mogłam zabrać sobie tego mężczyzny. Przed bramą, gdy kwestia stróża jako niewygodnego świadka uniemożliwiła mi zaproszenie gościa na górę do mieszkania, a później, już w łazience, gdy czekałam na kąpiel. Żałowałam. Byłam zła. Przyszło mi nawet na myśl, że przecież mogliśmy się schronić do jakiegoś hotelu. Ładnie byłabym wyglądała. Sprawa nieznajomości mężczyzny nie grała w tych dwóch momentach żadnej roli, być może zachęcała...

Obecnie doszłam na własnej skórze, jak to bywa w życiu z kobietami. Zwyczajnie, w chwili pożądań zjawia się pod ręką jakiś przygodny mężczyzna. Znajomy czy nieznajomy - to jest obojętne, burza krwi zawsze bowiem wyprzedza rozsądek.

Wnioski: trzeba unikać upijania się. Trzeba w tym zachować umiar. Nie warto. Niebezpiecznie. Nie należy tego składnika życiowego zostawiać na otwartej karcie niespodzianek czy przypadkowości. Nie należy kupować sikawki wówczas, gdy się dom pali. Bardzo trywialne, wulgarnie porównanie, ale trudno. Dowcipy z kalendarza są bardzo często prawdziwe, mimo że wyświechtane.

Na razie podróż, to znaczy wyżywanie się we wrażeniach, widokach i kalejdoskopie odmienności zagranicznych. Nieustający film, bez konieczności tkwienia w fotelu, z możliwością powtarzania wrażeń. W kinie nie można krzyknąć: wróć, w podróży zawsze można zatrzymać się kilka dni w miejscowości, gdzie się nam podoba.

Ale później, po powrocie, moja Anno, trzeba będzie pomyśleć o zdrowym postawieniu problemu. Albo małżeństwo, albo ustalony jeden partner. Życiowy program Leokadii z czasów, gdy nie była jeszcze moją ciotką. Coś w rodzaju pana Jerzego, pilnowanego uważnie, aby utrzymał się tylko przy mnie jednej. Kochanek - na wezwanie. Naturalnie i odwrotność w tym wypadku, konieczność nawet, wynikająca ze zwykłej natury rzeczy. Wzajemność praw. Zaczynam to wszystko rozumieć. Lepiej, że już obecnie, niż gdyby to miało nastąpić później, dopiero po wielu rozczarowaniach, jak mi to w swoim czasie opowiadała Leokadia. *Liaison*. W każdym razie cośkolwiek mniej od małżeństwa, lecz o całe niebo lepsze od perspektywy przygód mojej ostatniej nocy. Naturalnie bez dozy kochliwości i bez naturalizmu z powieści i życia Gabrieli Zapolskiej. Przy mojej chłonnej naturze nie nadają się na romantyczną kochankę. Nie rozumiem altanek i ławeczek w parku, oceniam w doskonałym stopniu wygodne łóżce. Może to również cynizm, ale trudno, tak jest.

A może jednak małżeństwo? Nie wiem. Jak dotychczas nie czuję w sobie dostatecznej siły do złączenia mego całego życia z cudzym życiem bez reszty. Trzeba byłoby przestawić się na całkiem odmienny styl życiowy. To się tylko tak mówi. Każda kobieta wlecze się zasadniczo tylko w ogonie kompleksu życiowego swego męża. Poza tym trudno, niezwykle trudno w małżeństwie ustrzec się przed wzajemnym ujarzmianiem. Miłość? Może być sympatia, przyjaźń, później wzajemne uszanowanie cudzego ja. Może jakieś wspólne - my? Nie wiem. Nie umiem sobie tego wyobrazić.

Na razie dziękuję Bogu, że wczoraj, a raczej dzisiaj - uchroniłam się od przygody. Bo przecież taka przygoda nie byłaby czymś lepszym od mojej pierwszej w życiu przygody w Bydgoszczy. Z tą tylko różnicą, że tamta Anna była głupią i niedoświadczoną biuralistką, cieleciem czy wręcz głupim stworzeniem. A dzisiaj?

A zatem w życiu rozsądnej, niegłupiej kobiety te sprawy nie powinny zaskakiwać jej, powinny być przez nią samą uporządkowane. A teraz spać. Wyspać się i dobrze wyglądać, gdy przyjedzie ciotka Leokadia. Murowane, że Wikta naskarzy!

Poniedziałek

Wikta nie naskarzyła. Podczas obiadu sama opowiedziałam Leokadii o tym, że urznęłam się na przyjęciu u prezesostwa i że miałam tylko tyle przytomności, aby otworzyć

sobie drzwi od mieszkania, wykąpać się i... za mnie dokończyła Wikta, przy której to celowo opowiadałam:

- No i panienska zostawiła wodę w wannie i światło w łazience. Mogło stać się nieszczęście.

Okazuje się, że czasami jest lepiej, gdy się ma w domu kontrolerów. Jakoś w ostatniej chwili człowiek reflektuje się, dobrze się zatem stało, jak się stało.

Dzisiaj kolacja na Żoliborzu. Leokadia przyjechała sama do Warszawy i odesłała samochód z powrotem. Młodzi Maksiowie zjawią się u nas w czwartek przed obiadem, aby pożegnać Leokadię. W tej chwili wyszła na miasto załatwiać jakieś sprawunki. Mamy spotkać się o wpół do szóstej w sklepie na Nowym Świecie. Ja sama tkwiłam tam dzisiaj całe przedpołudnie, aż do przyjazdu Leokadii. Do domu sprowadził mnie telefon. W interesie panna Beata dunderuje, jak się to mówi. Zdaje się, że urodziła się tylko do sklepu i komenderowania ludźmi. Przychodzi jej to łatwo, będzie z niej pociecha. Mieszka trochę daleko, przy ulicy Freta, razem ze starą ciotką, w dwóch pokojach z widokiem na ogród, jak opowiadała. Tak się jakoś zgadało, ponieważ wnioskując z nazwiska: Walczak, myślałam, że pochodzi z Poznańskiego. Nic podobnego, warszawiacy od niepamiętnych czasów. Przynajmniej od stu lat, dalej nie zna historii rodzinnych. Na Freta mieszkają przeszło pół wieku, zawsze w tym samym mieszkaniu.

Tym razem nie odczuwam *Reisefieber*, mimo że Leokadia powiedziała mi wyraźnie: - Wrócimy najwcześniej na Boże Narodzenie. - Miła perspektywa. Ale ostatecznie tyle ludzi wędruje po świecie bez żadnej przyczyny, tylko dlatego, aby jakoś wypełnić czas. Za trzy dni odjazd, ale po dawnemu siedzę głęboko w fotelu, a nogi zadarłam do góry i ułożyłam na brzegu stołu. Po amerykańsku i po męsku, co kto woli. Nieprzyzwoicie. Bardzo nad tym boleje moja Wikta, mówi, że „takie coś” widzi po raz pierwszy w życiu. Ale mnie z tym wygodnie! W dalszym ciągu zwierzam się przed bloczkiem, to mój najwierniejszy przyjaciel, ponieważ nie krytykuje, nie rzuca gromów i nie wymyśla. Co najwyżej wyśmiewa się później z tego, co napiszę. Słowa bowiem zapisane zachęcają do odczytywania ich po raz drugi i któryś tam z rzędu. Później następują refleksje i albo człowiek żałuje, że coś napisał, albo co gorzej, że zrobił czy przeżył. W dodatku w życiu nie można faktów przekreślić lub wymazać ich gumą, jak się to czyni z zapiskami!

Leokadia zabiera dwie potężne walizy skórzane z masywnymi okuciami z mosiądzu, nesoser, małą walizeczkę podróżną, ceratowe pudło na kapelusze i drobiazgi oraz dużą torbę skórzaną, w której dopiero mieści się średnich rozmiarów torebka krokodylowa. Wydawało mi się, że to bardzo wiele, ale i moje drobiazgi wypełniły dwie walizy, podobne pudło ceratowe, nesoser i skórzaną torbę z błyskawicznym zamkiem. Nie pomieścimy się z tym wszystkim w jednej zagranicznej dorożce. Dużo jest tego, bardzo dużo. W dodatku trzeba się liczyć z kupowaniem po drodze. Trzeba będzie upychać lub sprawiać sobie jakieś nowe walizy. No, ale pół roku, nawet dłużej!

Czas na mnie, piąta. Całe szczęście, że wyjeżdżamy bez ceregieli, po angielsku, bez kramu z wizytami pożegnalnymi. Paszporty mamy upstrzone wizami na stałe pobyty: Niemcy Francja, Szwajcaria i Włochy. Przejazdowa wiza belgijska. Nie będzie kłopotów po drodze. Jutro ostatnie poprawki u krawcowej. Nie wiem, po co dałam sobie zrobić brązowe skórzane półbuciki sportowe u szewca z mojego podwórka sklepowego. Podobno specjalista, ale przecież jedziemy do Paryża. Różne głupstwa robi się w życiu - można by napisać sentymentalnie. - Na razie nie umiem zdobyć się na inne romantyzmy, pomimo że jadę na dłuższy pobyt do Włoch. Ale pobyt w hotelach i podziwianie plenerów, takich czy innych, to jeszcze nie poezja, nawet nie pęd ku niej. Życie składa się z szeregu różnych materializmów, cała reszta to już tylko idealistyczne sztukaterie...

Wtorek

Machnęłam ręką na wszystko. Niech robią, co chcą. Wczoraj podczas kolacji obie ciotki uradziły, że mam się przenieść na drugą stronę piętra, do owego świeżo wyremontowanego mieszkania. Trzy pokoje od frontu, to znaczy gabinet, salon i stołowy, sypialnia i pokój gościnny od podwórza, kuchnia i dalsze ubikacje na końcu długiego korytarza i z drugim wyjściem na podwórze, akurat na klatkę schodową, przy której znajduje się wejście do naszych magazynów z farbami. Niech robią, co chcą. W dodatku ciotka Leokadia powiedziała arbitralnie:

- Naturalnie, to obecne mieszkanie to tylko takie sobie kawalerskie *pied-à-terre*, kuchnia niewygodna, jądanie w salonie. Po powrocie trzeba będzie wydać Annę za męża, to i mieszkanie będzie potrzebne inne, z rozkładem.

Wikta zostanie w Warszawie do końca miesiąca. Pod komendą Żoliborza urządzają mi nowe mieszkanie. Cóż miałam robić? Śmiałam się, ale zbytnio nie dziękowałam za owe słowa: po powrocie trzeba będzie Annę wydać za męża. Jak one sobie to wyobrażają? Naturalnie od razu zapytałam:

- A może za wujcia Benedykta?

Na co nikt inny, jak właśnie Florencja powiedziała mi całkiem zdecydowanie:

- Bardzo dobra partia, moja Anno, czterdzieści włók pod Kutnem to nie bagatela.

A stryjek dodał:

- I grubsza forsa w banku!

Nie wyobrażam sobie małżeństwa z takim starszym panem, z kozią bródką a la kardynał Richelieu. Pierwsza noc poślubna? Ależ nie, to przecież absurd! Czy taki pan, taki... mąż, mógłby jeszcze popęlić... dziecko? Ale ostatecznie, niekoniecznie... on. Cóż to za głupie myśli chodzą mi po głowie! Najwyższy czas, aby wyjechać z Warszawy i wypełnić sobie głowę innymi myślami.

Dwadzieścia sześć lat i prawie siedemdziesiąt lat. Ależ to byłoby głupstwo. Tylko że dochodowe głupstwo. Za czterdzieści włók można by nabyć nawet siedemnastolatka, prosto z internatu klasztornego. W dodatku za cenę małżeństwa!

Środa

Oba kostiumy leżą dobrze. W jasnym była jeszcze jakaś nieznaczna poprawka pod prawą pachą, błąd dostrzegły doświadczone oczy Leokadii. Odeślą jutro rano. Jestem zadowolona z mojego nowego szlafroka. W typie męskim, z małym wcięciem w pasie. Dość obcisły, lecz fałdy, pomimo dużego założenia z przodu, nie pogrubiają figury. Puszysta angora w kolorze czarnym, podbicie z karmazynowego jedwabiu. Na jedwabiu wyszycie tym samym kolorem nici, na szerokim pasie u dołu, prawie do kolan. Szlafrok do kostek, długi, ciepły, dobry na chłodne noce. Wyobrażam sobie, że przyda się na jakieś werandowania nad jeziorami.

Mężczyznom lepiej. Na głowie mają jedynie tuzin garniturów i dwa tuziny krawatów.

Dzisiaj po południu dokonałyśmy wizji lokalnej w moim przyszłym apartamencie.

Wikta była wniebowzięta. Powiększy się jej królestwo. Osobny pokój dla niej. Osobne wejście i możliwość większego komenderowania rodziną stróżowską. Nawet składami na dole, ponieważ nimi też się interesuje! Wspomniała o możliwości przyszłej pokojówki: gdy „nasza panienska” wyjdzie za męża, po powrocie z obcych krajów.

Potakiwałam wszystkiemu. Wszyscy obok mnie ustawiali w myślach i słowach meble, dywany. A gdy czegoś zabraknie, to Florencja pojedzie do Górek i wybierze. Tam są stopy różnych zabytkowych mebli. To samo z obrazami. Podobno tak mówił za życia stryjek Paweł: - Gdy nasza Anna wyjdzie za męża, to się jej to wszystko może przydać.

Jednym słowem: Alicja w krainie czarów! Zobaczymy zatem, jak to wszystko będzie wyglądać. W każdym razie śmieszne są te stare domy. Ów boczny korytarz jest bardzo długi, od drzwi kuchni do przyszłego pokoju stołowego - dobre dwadzieścia metrów, przy

szerokości trzech metrów. Po drodze z lewej strony łazienka, pokój gościnny, jeszcze raz łazienka, mały pokój z wąskim oknem, pokój dla Wikty, dopiero w końcu duża kuchnia oraz wyjście do innej klatki schodowej, tej od podwórza. Pośrodku korytarza, za pokojem gościnnym, szklane przepierzenie z drzwiami wahadłowymi. No, ale bardzo proszę - jak by to powiedzieli w Poznaniu - zobaczymy. Komorne tylko dwieście sześćdziesiąt złotych. Podobno niedrogo. Zastrzegłam się żartem, że będę płacić dopiero od miesiąca, gdy naprawdę zamieszkać. Marcin mówi, że bogactwo polega właśnie na tym, aby nie dusić pieniędzy pod sobą, lecz wydawać je w sposób dla siebie miły i wygodny. Może ma rację? To bardzo wygodna filozofia życiowa!

Jutro rano przyjeżdża Zośka, ona również pragnie pożegnać nas przed wyjazdem.

Wieczorem Leokadia weszła nieoczekiwanie do mojego pokoju i usiadła na brzegu łóżka pochodzącego ze spadku po starym dziadku Jamborze. Widocznie cokolwiek więcej dotarło do niej z niedzielnej historii, ponieważ dopytywała się, kto mnie odwoził do domu z przyjęcia u prezesa. Jakoś nie wychodziło, w końcu powiedziałam jej szczerze:

- Podwiózł mnie prosto do mieszkania... i wyobrażał sobie, że go „ugoszczę” u siebie w domu. Ale powiedziałam mu, że na górze jest mąż, to go zatkało, tymczasem stróż zamknął mu bramę przed nosem, no i... skończyło się.

Leokadia przyglądała mi się uważnie, gdy to mówiłam. Jak by chciała stawiać dalsze pytania. Obawiając się ich, powiedziałam otwarcie:

- Naturalnie różnie bywało u mnie w życiu, ale doprawdy tym razem nic nie było. Całe szczęście nawet, ponieważ porządnie się urzęnałam i w jakiś kwadrans później... No, ale dobrze się stało.

Leokadia milczała. Przyjrzała mi się tylko badawczo po raz drugi, a w końcu powiedziała jakoś bezosobowo:

- No tak, w życiu różnie bywa, trzeba uważać. My, kobiety, jesteśmy nieustannie wystawione na różne niemiłe okoliczności i niespodzianki. - Pocałowała mnie w czoło, policzek i poszła do swojego pokoju.

A teraz pewnie będzie koniec z pisaniem na kilka dni. Jutro ten bloczek dołożę do innych bloczków i schowani głęboko do jednej z waliz, które pozostają w domu. Aby nikt do nich nie włożył swego zbyt ciekawego nosa. Trzeba się wyspać. Sleeping - to nie jest łóżko w domu. Jutro o tym czasie będziemy już w drodze. Za miesiąc zapewne gdzieś we Włoszech.

Jakoś się uspokoiłam. Nie analizuję dalekich celów i nie staram się zgłębić rzeczy wielkich czy niezrozumiałych. Zadowolam się najbliższymi dniami. Nie warto. Lepiej zasypiać spokojnym i głębokim snem. Podobno ludzie sprawiedliwi tak sypiają. Kalendarzowy nonsens. Ludzie sprawiedliwi tym bardziej wypełnieni są niepokojem czy aby naprawdę są sprawiedliwi. Głupstwo.

Szczęście w życiu polega na spokoju. Nawet namiętności należy przeżywać spokojnie, raczej z odrobiną flegmy. Po obiedzie nie należy się gimnastykować. Idzie mi o myśli, a nie szwedzkie wykrętasy. Trzeba wybierać spokojne jeziora, zasłonięte od burz. Trzeba różne rzeczy z góry przewidywać i układać sobie programy życiowe na najbliższe dwa tygodnie. Nie należy pożądać rzeczy, których nie zna się nawet z treści czy nazwy. Należy zwalniać na zakrętach i patrzeć pod nogi. Nie należy chodzić po ulicach życia z zamkniętymi oczami. Trzeba nieustannie czuwać, lecz bez przesady. Należy... Ależ piszę głupstwa!

Czas kończyć wywody. Przez drzwi słyszę bicie starego jamborowskiego zegara. Północ. Tak, to prawda. Nadmiar myśli nie prowadzi do niczego dobrego. Niepotrzebnie spała człowieka. Stanowi dla niego przeszkodę w życiu, w dodatku podwójną, gdy się jest kobietą. Ponieważ każda kobieta, niezależnie od tego, że jest człowiekiem, jest ponadto - kobietą. Tego nie mogą pojąć mężczyźni, oni natomiast są tylko samcami i nie posiadają nawet świadomości i rozeznania, kim są...

Mężczyźni. W dawnych wiekach kolejno pachnęli ambrawą, piżmem, w naszych czasach używają chypsu lub l'houbigantu. Niektórzy zlewają się lawendą, wytworniejsi zatrzymują się na dobrej starej wodzie kolońskiej: Johann Maria Farina, *gegenüber dem Dom*. Na przestrzeni wieków i tysiącleci kobiety przewijały się w ich życiu w różnych postaciach: od kobiety jaskiniowej do współczesnego kiciusia biurowego. W pośrodku były greckie bachantki i Aspazja, Diotyma - nauczycielka miłości z czasów Sokratesa, królowa Dydona z opowieści o Kartaginie i tak dalej. Bywały wykwintne królowe Nawarry, jako odpowiedniki Króla-Galanta, czy też pospolite wydania Katarzyn Drugich. W nowszych czasach zabłysnęła George Sand, a po przebrnięciu zeszłego wieku wyłoniła się kobieta w swej nowej postaci. Opuściła muzealne miejsce w salonach i spaceruje dziś po ulicach wielkich miast pieszo i bez *dame de compagnie*. Wyzwoliła się z ram błyskotliwego niewolnictwa, zerwała z tradycją czcigodnych matron. Zdobyła uprawnienia dla lat czterdziestych i pięćdziesiątych - nowy świat po zakończeniu wojny światowej. Przewietrzenie pojęć. Skrócono suknie i nie zamiata się już ulic szczoteczkowymi obszyciami długich sukien. Zreformowano nawet majtki damskie i odrzucono przedwieczny rozporek z przodu! Halki bez wykrochmalonych falban. Szczoteczka do zębów i opaski higieniczne. Otwieranie okien w sypialni na oścież, dla przewietrzenia. Tego wszystkiego nie było przed stu laty, w balzakowskich czasach. Postęp! Słówka Boya - zamiast kantyczek.

Ale w dalszym ciągu pozostał ten sam problem namiętności, mimo że w innym opakowaniu. Ci sami ludzie, te same historie, te same historie. A teraz: dobranoc, moja Warszawko, gdy do ciebie powrócę za pół roku, będę zapewne ta sama, ale nie taka sama.

CZEŚĆ DRUGA

NOWE PODRÓŻE

Czerwiec-grudzień 1934

Paryż - środa - 30 maja

Wyleguję się. Sama podróż odbyła się normalnie, bez specjalnych wrażeń. Dwie noce w sleepingu, a w ciągu środkowego dnia takie sobie rozmówki w tym samym przedziale zamienionym na salonik. Bez obcego towarzystwa, bez obcych twarzy zmieniających się co kilka stacji.

Ale to nieważne. Ważne tylko to, że przed niespełną tygodniem - państwo Krymułowie rozeszli się na dobre. Bardzo spokojnie. Po panu Włodzimierzu nie ma już nawet śladu przy ulicy du Pont Vert. Pokoje stoją puste, meble zabrano przed kilku dniami. Nawet majątek został już podzielony. Posesję przepołowiono, ogród skrócono o jedną trzecią. Część od ulicy du Pont Vert łącznie z pawilonem kupiła ciotka Temmi, cała reszta łącznie z fabryką i wszystkimi interesami chemicznymi ma należeć do przyszłego towarzystwa akcyjnego z kapitałem dwóch milionów franków francuskich. Rozliczenia zostały już prawie dokonane. Ciotka Temmi - pięćdziesiąt procent, pan Krymuł i Patrycja po dwadzieścia, a pozostałe dziesięć procent w rękach... Elzy Dubow! Ta ostatnio ponadto w roli finansisty lokującego swe kapitały w spółce akcyjnej. Bardzo wygodne, ponieważ na pewno na wysoki procent. Temmi, pan Krymuł i Elza w roli „administratorów”, podobno z pensjami po sto tysięcy franków rocznie. Jedynie Patrycja bez żadnej funkcji w nowej firmie.

Dzieci również podzielone. Serż w angielskiej szkole pod Londynem, ale wakacje zastrzeżone u matki lub w rodzinie matki. Ksenia u matki. Formalności rozwodowe przeprowadzono w szybkim tempie, ponieważ pan Włodzimierz zerwał z dawną przyjaciółką i podobno zamierza ożenić się po raz drugi. Ale Temmi powiedziała nam, to znaczy Leokadii i mnie, że ta druga żona ma być całkiem możliwa, ze sfery, dobrze wychowana, i... młoda. Podobno dwadzieścia lat. Wszystko w połączeniu ze słowem: podobno. Na razie Temmi

wspomniała ogólnikowo o tym, że to jest córka paryskiego aptekarza, spokrewniona ze wsią przez matkę, która pochodzi z porządnej rodziny francuskiej. Coś w rodzaju zubożałej arystokracji. Pierwszy megalians w postaci małżeństwa z paryskim aptekarzem, drugi w postaci niezbyt sobie młodego rozwodnika, przecież pan Krymułt jest starszy od naszego Marcina. No, ale zobaczymy, ponieważ pani Maltz ma nadzieję na utrzymywanie stosunków z przyszłą panią Crymoult Nr 2.

Wszystko tak gładko, że się wierzyć nie chce. A w Warszawie o tym nie było mowy, ani słóweczka! Ale to stare zwyczaje. Po byłym mężu ani śladu. Zabrał sobie nawet lokaja i obchodzimy się na razie bez tego rekwizytu z dawnych czasów. Na jego miejsce druga pokojówka, wyłącznie do usług Temmi. Jakoś idzie. Leokadia zajęła mój dawny pokój, a właściwie pokój Florencji, mnie umieszczono w gościnnym pokoju Elzy. Bardzo miły, tylko... w odległości kilkunastu metrów przed oknami rosną już stalowe szkielety przyszłego domu czynszowego od frontu ulicy Zielonego Mostu. Cztery piętra po wybudowaniu porządnie zasłonią front pawilonu. Ciotka Temmi mówi, że to jej nie przeszkadza, ponieważ i tak okna mieszkalnych pokoi na pierwszym i drugim piętrze wychodzą na ogród. Nowy dom ma zostać wykończony ze średnim luksusem. Już mają kandydata na parterowe mieszkanie, jakiś znajomy lekarz. Na trzecim i czwartym piętrze - z windą! - mają być apartamenty po dwa pokoje z łazienką i hallem. Takie sobie garsoniery dla osób zamożnych i nie prowadzących własnego gospodarstwa domowego.

Mam możliwość pisania, ponieważ zostałam sama w domu. Wszystkie trzy panie wywiały do Paryża, razem z małą Ksenią. Wychowawczyni ma dzisiaj wolne popołudnie, ta sama Angielka, co przed dwoma laty.

Ciotka Temmi mówi, że bardzo dobrze się stało z naszym przyjazdem w okresie zmian rodzinnych. Goście, to znaczy my obie z Leokadią, mają rozproszyć niepotrzebne myśli u Patrycji. W pierwszej chwili, gdy stanęłam wobec tych nagłych zmian, pomyślałam sobie: gdyby Marcin był wolny, mógłby obecnie ożenić się z matką swych dzieci. Ale trwało to tylko moment, dalej nie analizowałam. Zaskoczenie rozejściem się państwa Krymułtów było zbyt silne.

Ksenia bardzo miła. Do mnie od razu poskoczyła: - Ciocia Anna! - W stosunku do Leokadii jest bardzo ułożona, ale mówi stale: Madame. Z rozmową jakoś sobie radzimy. Mrs Maltz mówi doskonale po niemiecku. Wspólne życie domowe jest znacznie bardziej dopasowane niż przed dwoma laty. Co prawda to jeszcze nie Gdańsk z Gardenami, ale bądź co bądź znacznie gładziej niż podczas mojego pierwszego pobytu. Gdańsk - to jednak zgoła co innego. Jakieś prostsze linie życiowe, a tutaj w Paryżu sporo różnych esów floresów.

Pytanie, kto odziedziczy po Mrs Maltz. Chyba oboje razem, Serż i Ksenia? Ale to jeszcze bardzo daleko, na razie pani dyrektor w swoim żywiole, doskonale wygląda. Pan Krymułt - w roli technicznego kierownika fabryki.

Zdażyłam już powysyłać kartki pocztowe na wszystkie strony świata, również do pana Zajlicza w Belgradzie. Jutro wspólnie z Leokadią i pod wodzą Mrs Maltz mamy szczegółowo zwiedzić wszystkie zakamarki fabryki lakierów. Spotkamy zapewne również dyrektora technicznego. Chyba starczy mi dowcipu życiowego, aby się przywitać z nim bez najmniejszego zmrużenia oczu. Od razu nawet wręcę mu upominek z Polski. Od dawna już przygotowałam ten prezent. Herbarz Niesieckiego sprzed dwustu lat. Dobrze podniszczony, ale to podobno rzadkie, lwowskie wydanie z roku 1728.

Na granicy nie oglądano zawartości naszych waliz. Właściwie granicę niemiecką przespałyśmy i dopiero francuscy celnicy wymądrzali się niemal nad każdą sztuką. Głupota. Gdy ktoś chce przewieźć coś przez granicę, to i tak przewiezie! Zapłaciłyśmy na przykład horendalne cło od czekoladek Wedla. Co prawda było tego sporo, dwa duże pudła po trzy kilo, ale przecież wiadomo, że wiozłyśmy nie na handel. No - trudno. Widocznie republika francuska nie mogłaby bez tego wyżyć i gotowa zbankrutować. A wielka szkoda, ponieważ

cesarz lub chociażby król znakomicie dodawałby Paryżowi szyku. A prezydent to tylko więzień Pałacu Elizejskiego - do otwierania wystaw, przyjmowania zagranicznych królów i innych prezydentów. Cechy krawieckie i fryzjerskie winny w Paryżu zamawiać wiele mszy na intencję powrotu na tron Napoleonów i Burbonów. Monarchiści obu odłamów powinni się jeszcze więcej żenić między sobą i zjednoczyć wysiłki w kierunku restauracji monarchii. Zaraz byłby większy ruch w interesie. Starzy arystokraci prowadziliby na dwór różne pożenione z nimi midinetki, a niestare jeszcze wdowy po żydowskich kapitalistach poślubiłyby na gwałt co młodszych arystokratów, tuż po opuszczeniu przez nich kolegów, św. Ludwika i innych.

Jutro przy okazji zapytam, jak idą interesy z panem Zajliczem. To będzie rewanż za powiedzenie Mrs Maltz, gdy po obejrzeniu fotografii naszych wewnątrz sklepowych i biurowych powiedziała zbyt porywczo:

- Dobrze, bardzo dobrze, ale dlaczego tak długo zwlekaliście z otwarciem interesu?

Bardzo ciekawa jestem, jak się ułożyły belgradzkie interesy. Przecież jedno z drugim nie ma żadnego związku. Warszawska spółka czterech pań to tylko warszawskie lakiery, natomiast Belgrad to mój bardzo osobisty interes, bez potrzeby dzielenia się z kimkolwiek. Tak długo już kręcą swoje lakiery w Paryżu, a jakoś nie umieli znaleźć zbytu na Bałkanach. Moja szczęśliwa ręka otworzyła im nowe rynki zbytu. Żadna zatem łaska, jak to się na początku wydawało. Obustronny business. W piśmie firmowym wyraźnie jest napisane: pięć procent prowizji w pierwszym roku, w następnych po dwa. Zobaczymy, od zeszłej jesieni upłynęło już przeszło pół roku.

Ale koniec z pisaniem. W dodatku upał, a z otwieraniem okna w moim pokoju trochę gorzej. Kurz z budowy. Umieszczę się raczej na ławeczce w ogrodzie. Ciekawy pomysł z taką budową.

Business. Patrycja mówi, że do Paryża nie zdążyła się specjalnie przywiązać. Była mowa również o Szwajcarii, ale Patrycja nie ma też zbyt dużego przywiązania ani do starego generała, ani do jego zwariowanej teściowej. Babka Wieroczka ma podobno swoje chimery i humory, i potrafi dobrze zatruć życie, mimo swej „słodziutkości”, jak to określa jej paryska wnuczka. Z Patrycją rozmawiam po polsku, naturalnie gdy jesteśmy same. Mała Ksenia nie umie po polsku. Patrycja mówi, że nie warto uczyć, ponieważ później takie dwie mowy stale plątałyby się w jej pojęciach i utrudniały życie w przyszłości. Ciekawe poglądy. Natomiast mała szczebiocze po angielsku równie dobrze, jak po francusku. Od nowego roku szkolnego przybędzie jej dodatkowo język włoski.

Kseni przywiozłam w prezencie dwie zakopiańskie lalki. Wybierałam je wspólnie z panem J. To dziwne, nie myślę o nim wcale. Było i przeszło. Jakby dobry obiad zjedzony przed tygodniem. Wspomina się go kilka dni, później takie drobiazgi zacierają się w naszej pamięci. Głupie porównanie, ale nie umiem zdobyć się na lepsze.

W tym tygodniu czekają mnie dwie stare paryskie wizyty. Trzeba będzie pójść, w ubiegłych latach wymienialiśmy okolicznościowe listy. Są niezwykle uważni, w zeszłym roku przysłali mi nawet imienninowe życzenia.

Koniec z pisaniem. Już wróciłam z ogrodu i obecnie wyciągam się na francuskim łożu „kuzynki” Elzy. Tutaj nikt nie umiał mi powiedzieć, gdzie się ona w tej chwili obraca. Podobno podróżuje, ale już dawniej ofiarowała się z gością w swojej willi w Cannes, co obecnie potwierdziły obie panie. Może skorzystamy. Była przecież u nas w Polsce i gościliśmy ją, jak umieliśmy. Podobno obie z Mrs Maltz czuły się u nas bardzo dobrze i jeszcze dzisiaj Temmi wspomina miłe krynickie czasy. Jeszcze jedno. Pokazywano nam listy od stryjka Juliusza z Chicago. Podobno spędzali wspólnie bardzo przyjemne wieczory z naszym stryjkiem. Mieszkał u nich. Ciekawa jestem, czy czuł się dobrze w obliczu nadmiaru nagości na kopii obrazu Fragonarda? Zdaje się, że rozochocił się już w Polsce? Coś niecoś opowiadała mi ostatnio Zośka...

Czwartek - 31 maja

Jutro pierwszego czerwca. Piątek. Czy one otworzą sklep w piątek? Chyba tak, choćby na złość staremu farbiarzowi. Mrs Maltz uśmiechnęła się, gdy jej opowiadałam o wizycie pana Imrotha. Powiedziała krótko:

- Stary kupiec i zbyt zrutynizowany. Ziemia się nie obraca w jego sklepie. Stoi w miejscu i jedynie obrasta mchem przyzwyczajenia. Zadowolona jestem, że moje lakiery nie znalazły się w jego rękach. Namyślałby się nad każdą puszką i nad każdą cyfrą.

A po chwili dodała:

- To był bardzo dobry nabytek z tego monsieur Zajlicza. My mu załatwiamy w Paryżu trochę... innych spraw. Obrotny Lewantyńczyk, tylko trzeba uważać przy podawaniu ręki... tacy potrafią ukraść kilka palców, gdy się nie uważa. - I roześmiała się szeroko, jak to potrafią tylko Amerykanki.

- A wiesz, Anno, gdy dobijaliśmy z nim interesu, asystowaliśmy przy kupowaniu przez pana Zajlicza olbrzymiego brylantu: czternaście karatów. Do czego to podobne? Co komu przyjdzie z takiego... kawałka? No, targował się mocno, ale po kilku dniach kupił! Głowiliśmy się wszyscy nad przeznaczeniem tak dużego kamienia, ale bez rezultatu. Kupił, zabrał, wywiózł.

Podobno moja prowizja za pierwsze pół roku już została wpłacona przez Mrs Maltz osobiście na moje konto. Nie dopytywałam się. Natomiast Temmi od razu zapytała, ile wydałam na urządzenie interesu. Przesadziłam i podałam cyfrę pięćdziesiąt tysięcy. Pomysł ze spółką z ograniczoną odpowiedzialnością zyskał uznanie. Ciotka Temmi jest również za oddzieleniem firmy od osobistego majątku. Oni przechodzą obecnie na anonimową spółkę akcyjną, tam jeszcze bardziej zacierają się osobowości właścicieli. Jutro sprawdzę w banku, ile przyrosło na moim koncie.

Z panem Krymułem - to osobny rozdział. Bardzo miłe dziękował za Niesieckiego, nie spodziewał się upominku w tym guście. Promieniał. Poza tym - odmłodził. Do dawnej elegancji chłodnego Anglika dodał obecnie coś w rodzaju francuskiego lwa salonowego. Kwiatek w butonierce. Gdy weszliśmy do jego gabinetu, jeszcze przed powitaniem pozbył się białego płaszcza laboratoryjnego. Przywitanie było w dawnym, dobrym guście. Dalszy ciąg również... Pomiędzy godziną czwartą a piątą służący przyniósł nam dwa wielkie bukiety róż. Dla Leokadii i dla mnie. Uważający. To bardzo przyjemnie. Tak być powinno.

Sobota - 2 czerwca

Śmieszne, ale prawdziwe. Dzisiaj po południu byliśmy z Leokadią na drugiej serii *Nędzników* Victora Hugo. Co prawda grali to aż do znudzenia w Warszawie, ale do Górek film nie dotarł. Ja również nie byłam na nim. Poszliśmy, a moja Leokadia zryczała się na poczekaniu, gdy zobaczyła końcową scenę śmierci starego galernika. Owszem, film jest dobrze zrobiony, ale to jeszcze nie powód, by płakać. Pewno będę zmuszona towarzyszyć Leokadii na pierwszą serię, ponieważ przy mnie dopytywała się bileterki, gdzie grają. Służyłam za tłumaczkę, ponieważ Francuzi na co dzień mówią odrębnym narzeczem. Łączą poszczególne słowa z sobą, a robią przerwy dla przełknięcia powietrza w miejscach nieoczekiwanych. Trzeba się dobrze wsłuchać, później jakoś idzie, gdy się połapie, w czym dowcip.

Już się skończył nasz pierwszy tydzień w Paryżu. Następny ciotka poświęca na szczegółowe zwiedzanie Paryża. Okazało się, że w ostatnich tygodniach przestudiowała w Górkach plan miasta Paryża i kilka opisów muzeów, zabytków itp. Wzgardziła moim pomysłem obejrzenia Paryża z autokaru, mówi, że dokona tego z własnym wykazem i przy pomocy znanej książeczki z planami dzielnic miasta. Owszem, może. Trudno. Nawet na pewno tego dokonamy. Może i ja coś na tym skorzystam? Chociaż dla mnie najłatwiejsza

okazja poznania Paryża w całości już przeminęła. Istniała tylko jedna - w postaci kilku lat studiów w Paryżu. Ale trudno. Obecnie trzeba będzie jednak oblecieć „cały Paryż” w ciągu tygodnia, po łóbkach. Całe szczęście, że Leokadię to bawi. W dalszym ciągu jest smutna, ale interesuje się wszystkim, a to już znaczny stopień do wyjścia z chorobowego impasu.

Bez pana Krymułta i bez jego denerwującego lokaja atmosfera w pawilonie jest znacznie swobodniejsza. Na ogół nic się nie zmieniło, jedynie ubyło dwóch ludzi, którzy nadawali otoczeniu pewien sztuczny ton. Lokaj z powagą i swymi tradycjami głupich ceremonii i jego pan tolerujący to wszystko. Mrs Maltz pomimo swej raczej męskiej oschłości potrafi również się rozkrochmalić i jakoś urodzinnic. W każdym razie panuje lżejsza atmosfera. Nawet Ksenia już kilka razy jadła z nami na dole. Naturalnie ze swoją wychowawczynią. Bardzo porządne stworzenie z tej panny Kory. Pamiętałam o niej i przywiozłam zakopiańską szkatułkę z rzeźbami w starym stylu. Od razu z angielskim napisem, wykonanym również w Zakopanem. Bardzo mile przyjęła tego rodzaju dowód pamięci. Mała Ksenia była również zadowolona i ucałowała mnie serdecznie:

- To bardzo dobrze, ciociu, że pamiętałaś o mojej Korze.

Dni płyną. Na razie nie mamy żadnego programu. Nawet nie mówi się o tym. W każdym razie sytuacja jest wyjaśniona i wyraźnie określona. Ciotka - jako właścicielka ziemiska, co zawsze imponuje za granicą. A ja ostatecznie już nie w roli studentki po dyplomie, lecz jako młoda dama, na stanowisku i z majątkiem. Nawet pan Krymułt zdołał to ocenić i dopytywał się grzecznie, jak się czuję w skórze *fonctionnaire d'etat*.

Pieniądze. Pan Zajlicz spisał się, na moim koncie przybyło dokładnie 926 dolarów. Pół roku. Trudno pytać o detale, wiem tylko tyle, że prowizja została obliczona za pół roku. Liczyłam to na wszystkie sposoby i w końcu doliczyłam się - przy kursie 35 złotych za sto franków i po 5,30 za dolara - coś koło 285 tysięcy franków obrotu w belgradzkich lakierach. Okazało się, że albo mój stryjek Marcin słabo przewidywał, albo *monsieur* Zajlicz okazał się zręczniejszym handlowcem. Podobno rozkręca lakiery również w sąsiednich krajach, ale to już poza moją umową, która objęła jedynie Jugosławię. Oby go tylko nie uziemili, ponieważ w Bułgarii była niedawno rewolucja. Widzę obecnie, że myślę z wielkim zainteresowaniem o moich warszawskich lakierach. Może właśnie dlatego, że tak nagle odjechałam.

Niedziela - 3 czerwca

Stelefonowałyśmy się i pomimo niedzieli byłyśmy we trzy z wizytą u znajomych radcostwa. W ambasadzie bez poważniejszych zmian. W dalszym ciągu to samo, małe, milutkie mieszkanie. Kamienica we francuskim Paryżu, lecz po przestąpieniu progów mieszkania od razu kawałek Polski. Na ścianach przybyły dwa nowe obrazki. Bardzo kolorowe, olejne, z nieznanym mi podpisem: Tadeusz Korpala. Podobno krakowianin, przyjaciel z młodości. Bardzo kolorowe, lecz miłe. Dużo w nich światła i radości, malowane odważnie, bez liczenia się z ołówkiem i detalami. Wielka różnica w porównaniu z pocztówkowo ulizanym Tondosem.

Było bardzo przyjemnie. Starym obyczajem z wizyty zrobiła się kolacja. Jakoś staramy się wszyscy rozruszać Patrycję, która robi się coraz bardziej ociężała. A to podobno niedobrze, tak twierdzą specjaliści, w jej płucnych dolegliwościach. Mam wrażenie, że obecnie, po wytarciu ze swego pobliza kredowego koła nakreślonego przez stylowe chimery jej byłego męża, Patrycja odżyje. Przecież nie jest jeszcze stara i mogłaby sobie urządzić życie jakoś ciekawiej.

Wtorek - 5 czerwca

Elza Dubow znalazła się w Cannes. Mrs Maltz rozmawiała z nią telefonicznie. Gorąco zaprasza do siebie. Jeszcze nic nie wiadomo, ponieważ obie z Leokadią zwiedzamy Paryż

pracowicie i systematycznie. W Leokadii jest sporo zacięcia na prawdziwą turystkę. Wszystko ogląda dokładnie.

Środa - 6 czerwca

Przyjęcie u nas było bardzo miłe. Bez ceremonialnego skrępowania, zwyczajnie przyzwoita kolacja, obiad - jak oni tutaj nazywają - w zamożnym domu. Podawała pokojówka, bez lokajskich cudów. Rozmowy bardzo naturalne, po francusku, ze względu na ciotkę Temmi.

Sobota - 9 czerwca

Życie nasze płynie powoli, bez zdenerwowania właściwego podróżom. Nie śpieszymy się. Wyobrażamy sobie, że zamieszkałyśmy na stałe w Paryżu. Z takim właśnie powiedzeniem wyrwała się dzisiaj moja ciotka Leokadia. Dobra sobie. Ale ostatecznie mnie jest wszystko jedno. Zawsze trzeba gdzieś żyć, na to, aby gdzieś odrobić porcję dnia - zjeść śniadanie, obiad i kolację. Tutaj w Paryżu nie mają przynajmniej kłopotu z kolacjami, ponieważ jadają je tylko od czasu do czasu, gdy wracają na przykład z teatru. Za to mają po dwa śniadania, jedno w domu, drugie przeważnie w restauracji, w południe.

Dzisiaj nadeszły pierwsze listy z Polski. Równocześnie z Żoliborza i ze Starej Wsi. Z Warszawy od razu dwie wiadomości. Marcin opuszcza ministerstwo już od lipca. Ostatnio stryjek przyjaźnił się z premierem Jędrzejewiczem, którego, jak wiem z gazet, zastąpił jakiś pan Kozłowski. Jeszcze przed naszym wyjazdem mówiono o kombinacjach ministerialnych z naszym Marcinem, ale widocznie nic z tego nie wypadło. Na razie Marcinowie pozostaną w Warszawie do końca lipca, ponieważ Florencja pisze wyraźnie: „Na sierpień jedziemy do Krynicy, a dalej sami nie wiemy, gdzie i kiedy”.

W liście opis pierwszego i drugiego dnia sprzedaży w naszym sklepie. W piątek - zł 2874,75, a w sobotę - zł 2991,15. Ładnie. W dodatku nasi podróżujący nadesłali już pierwsze zamówienia z prowincji. Podobno niewysokie sumy, widocznie kupcy pragną obejrzeć towar. A zatem interes kręci się beze mnie, to znaczy bez „głównej właścicielki”. Mrs Maltz powiedziała, że pierwsze dni nie są ważne i nie mogą stanowić żadnej podstawy do wyciągnięcia wniosków. Po prostu mogła to być tylko zwykła ludzka ciekawość obejrzenia nowego sklepu oraz zastosowanie odmiennej reklamy. W każdym razie mam dobrą rękę do interesów, przykład z *gaspadin* Zajliczem. Głowię się nad tym, dla kogo nabył w Paryżu brylant o tak barbarzyńsko wielkim ciężarze. Chyba dobry na końcowy wisior do jakiegoś naszyjnika, bo trudno wyobrazić sobie tego rodzaju „fasolę” na palcu. Chociaż... Nigdy nie wiadomo, na co kobiety mają ochotę. W takim razie jak wygląda ta ofiara, której pan Zajlicz ofiarował przynętę w tej cenie? Poważna to cena, prawie majątek, chociaż z drugiej strony również bardzo osobliwy obiekt męski w tym wypadku. W każdym razie udało mi się zainteresować takiego Lewantyńczyka paryskimi lakierami, a to już coś znaczy.

A zatem koniec z karierami urzędniczymi w naszej rodzinie, wyłączając z tego interesu naszego Krystynka. Ale to wyjątek, jeśli przypomnieć sobie historię „vonów”. Zdaje się, że on również jest już stracony dla nas. Nowe wydanie przodka Martina sprzed stu lat, tylko że dążącego w innym kierunku geograficznym. Ameryka - ucieczka wszystkich niezadowolonych z naszej części świata! A zresztą co do mnie, to już odwykłam od naszego jedyne go braciszka.

Powiedziałam dzisiaj Leokadii:

- Czuję się jak pokojowy piesek, który urwie się z rzemyka lub łańcucha.

Na takie powiedzenie w ciotce obudziła się nareszcie moja dawna Leokadia, sąsiadka z czasu wędrowki po poznańskich pokojach umeblowanych, i powiedziała serdecznie:

- Z pieskami... ostrożnie, moja Anno.

Roześmiałyśmy się obie. Siedziałyśmy właśnie na krzeselkach, wystawionych przed jakąś kawiarenką, i jakiś typ o męskiej, pałacowej urodzie południowca świdrował nas obie pożądliwymi spojrzeniami. Roześmiałyśmy się tak wesoło, że widocznie uliczny adorator wziął nasz śmiech jako zachętę. Uczynił niezdecydowany ruch w naszą stronę, ale zgasła go Leokadia, mówiąc głośno po polsku:

- Popatrz, Anno, oto jest ów legendarny piesek, który również się urwał nie tyle ze sznurka, co z choinki.

Skończyło się na tym, ponieważ alfons, półalfons czy tylko przygodny łowca kobiet zreflektował się, że jesteśmy cudzoziemkami, i od razu stracił zainteresowanie w stosunku do nas. *Un peu pour rire* - jak by to można określić.

Czwartek - 14 czerwca

Olbrzymie nagłówki w gazetach: wizyta Adolfa Hitlera u Mussoliniego w Wenecji. Dobrze, że nie pojechaliśmy wprost do Włoch. Takie wizyty przeszkadzają turystom. Mrs Maltz mówi, że Hitler przyprawi świat o wielkie nieszczęście. To samo powiedział kiedyś Marcin, mimo że nasz waleczny wojak z Mokotowa zachwycał się Hitlerem. W dodatku obie koszule są w ponurych kolorach, co to będzie, gdy położą się do wspólnego łóżka? Zdanie - Mrs Maltz.

Sobota - 16 czerwca

Dzisiaj nad ranem przyjechał do Paryża całkiem niespodziewanie brat Wieroczki. Płaton Dubow. Rodzony wujek Temmi, Rosjanin w skórze długoletniego obywatela szwajcarskiego. Starszy pan koło osiemdziesiątki, może nawet więcej. Kalwińska godność, przyjęta po szwajcarskiej żonie, mimo że ta pochodziła z żydowskiej rodziny. Podwójna ortodoksja - tak sobie pomyślałam, gdy go zobaczyłam. Sztynny, szczupły, siwy pan z bródką, prawdziwy dyrektor banku. Finansista. Stale mieszka w Genewie. Jego najmłodszą córką jest właśnie Elza, którą szwajcarska babka wyposażyła z krzywdą dla innych dzieci. Po raz pierwszy spotykam się z takim egzemplarzem. Zaprezentowano mnie: bratanica Marcina, Anna. Słyszał już o mnie i o wszystkim był doskonale poinformowany. Wiedział również o kobiecych gościach w pawilonie przy ulicy du Pont Vert i wprost z dworca zajechał do hotelu. Wiedział również o moim udziale w handlu lakierami. W dodatku od razu oświadczył:

- Gdy ostatnio rozmawiałem z doktorem Martinem, ustaliliśmy, że w tym roku osiedli się na stałe w Szwajcarii.

Tak to bywa na świecie, czasami dowiadujemy się przypadkiem od obcych ludzi o najbliższych wypadkach z naszego bezpośredniego otoczenia. Czasami obcy wiedzą więcej niż bliscy krewni!

Bardzo miło, ale sztywnie. Po kalwińsku. Szwajcaria to kraj ludzi poważnych, bez uśmiechu, jak by o tym można sądzić po *monsieur* Dubowie. W stosunku do Leokadii bardzo uprzejmie, lecz bez najmniejszego zainteresowania, bankowa uprzejmość, uśmiech bezmyślny. Automatyczny, z przyzwyczajenia.

Wtorek - 19 czerwca

Ustalono, że w piątek wieczorem jedziemy w trójkę do Cannes. Patrycja zostanie tydzień, później wraca do Paryża i wybierze się z dziećmi na szkolne wakacje nad morze do Normandii.

Podobno odbyły się jakieś ważne rozmowy rodzinne. Pan Dubów odjechał wczoraj z powrotem do Genewy. Na pożegnanie przysłał nam kwiaty i zaprosił nas na coś w rodzaju małego przyjęcia w restauracji. Nobliwie, w osobnym gabinecie. Zapraszał do siebie, ofiarowywał się poradzić nam w wyborze miejscowości nad jeziorem Lugano. Stwierdziłam, że starszy pan nie robi żadnych różnic. Traktuje wszystkich bez wyjątku jednako, chłodno,

bez najmniejszej afektacji. Zimny typ. Rybi. Kto by się tego spodziewał po Rosjaninie z urodzenia. Podobno dobra stara rodzina szlachecka Dubowów. Ale to już bardzo dawno i pięćdziesiąt pięć lat przecierania się po zimnym świecie szwajcarskich cyfr dokonało swego. Patrycja mówiła, że siedemdziesiąt siedem lat, a nie osiemdziesiąt. To ostatecznie wychodzi i tak na jedno i to samo.

Podobno wszystkie grubsze transakcje fabryki lakierów i w ogóle wszystkie interesy rodzinne idą przez ręce Płatona Dubowa. Mają jeszcze silne powiązania ze światowym bankiem Eibenschutzów w Nowym Jorku, ale słyszałam o tym przelotnie w jednym zdaniu.

A więc pojutrze w dalszą drogę. Równiutki miesiąc w Paryżu. Co do mnie oswoiłam się z miastem. Zdobyłam sobie jakąś kierunkową orientację i nie czuję się już piłeczką, toczącą się bezmyślnie po jakichś przypadkowych torach. Wydaje mi się, że Paryż należy oglądać wielokrotnie, z przerwami i w różnych okresach. Dopiero wówczas widzi się perspektywy i horyzonty. Natomiast przy dłuższych pobytach oko nasze i myśli przyzwyczajają się do kolorytu i przestajemy rozróżniać odmienności, zatracamy wrażliwość odczuwania. Taka na przykład ulica paryska. Ta sama ulica ma odmienny wygląd o różnych porach dnia. O nocy nie mam najmniejszego wyobrażenia, ponieważ chodzenie za dnia wymęcza nas w dostateczny sposób. W dodatku odleglejsze dzielnice w porze wieczornej były dla nas obu jako kobiet wykluczone, wyklęte. Trzeba byłoby mieć odpowiednie męskie towarzystwo z miejscowych, raczej Francuzów niż cudzoziemców. Ta strona zatem paryskiego życia pozostała dla nas całkowicie nieznana. Ale to nie jest ważne, przedmieścia nie decydują o charakterze miasta. Lata tworzą legendy, a do legend przywiązują się ludzie. Treść kamienna to jedynie dekoracja tej legendy, która z latami narasta i obrasta reklamą bałwochwalstwa takiego czy innego. W ten sposób powstają pomniki samochwalców d'Artagnanów. Przedmieścia natomiast decydują tylko o rewolucjach. W okresie jednakże pokoju mieszkaniac bodaj najbrudniejszego przedmieścia, gdy znajdzie się w historycznym centrum, stąpa po nim z uszanowaniem, zachowuje się jak w kościele. To jednak, w okresie buntu, nie przeszkadza motłochowi palić i niszczyć rzeczy bodaj najświętszych. Wszystko to w równym stopniu składa się na historię świata i ludzi.

Kiedy znów zobaczymy to miasto? Być może w powrotnej drodze, o ile na szlaku nie stanie nam jakiś Wiedeń czy inna miejscowość turystyczna, ponieważ moja Leokadia chciałaby być wszędzie. Pragnęłaby odrobić wszystkie lata, które już się nie wróć! A zatem Cannes i willa Elzy Dubow. Lazurowe wybrzeże, tylko że obecnie tam za ciepło, upały. Może pojedą tam kiedyś w zimie?

Czwartek - 21 czerwca

Na pożegnanie Mrs Maltz zaprosiła nas do owego, sprzed dwu lat, rosyjskiego kabaretu.

W toalecie w dalszym ciągu urzęduje rosyjska hrabina, tylko że z kolei inna.

Nieustający dyżur carskich hrabin. Obecna jest nawet z pochodzenia oryginalną księżną, lecz mimo to rzuca się zwyczajową dawną dziesięciofrankówkę na czarno lakierowaną tacę.

Automaty z gumowymi preparatami w dalszym ciągu wiszą koło umywalni.

Program występów co prawda nieco zmieniony, dekoracje w innym guście, bardziej jaskrawe w kolorach, lecz w dalszym ciągu wszechwładnie panuje rozlewna nuta Wołgi.

Wszystko jest pomieszane razem. Wyrzutki społeczeństwa i wszyscy, których stać na wyrzucenie w jeden wieczór kilkuset franków. Bardzo tanio, nawet w warunkach rzucania szczątków własnej ojczyzny na pośmiewisko błaznów.

Prawdziwej Francji nie widziałam w tym lokalu. Ona nie chodzi na takie występki. W milczeniu obserwuje cyrk osobliwości. Posyła jedynie policjantów dla pilnowania, aby się zbyt nie zabijano. Ale to nie chroni przed niespodziankami. Przed niespełna miesiącem właśnie w tym lokalu była strzelanina o kobietę. Dwa trupy. Dramat rozegrał się gdzieś w zakamarkach kabaretu pomiędzy „artystami”. Zdradzony kochanek zabił konkurenta i

„swoją” kobietę. Podobno była to zwykła ścierka za pieniądze, a mordercą był alfons. No i mordercy-alfonsowi właśnie to przeszkadzało, że kochanka zaczęła go zdradzać z miłości. Bardzo ciemne są zaufki ludzkich pomyłek. Opowiedziano mi tę historię, bo to również Wchodzi w zakres odwiedzania takiego lokalu, jako jedna z jego osobliwości.

W taki to sposób zakończyliśmy z Leokadią nasz pierwszy miesiąc pobytu za granicą.

A zatem żegnaj, Paryżu, do następnego przyjazdu. Wyobrażam sobie, że to miasto zawsze będzie dla mnie interesujące i pociągające. Krótkie pobyty uniemożliwiają opatrzenie się i zobojętnienie. Za każdym nowym przyjazdem zawsze z radością witać będę Paryż, jeszcze długo z równym zaciekawieniem będę przyglądać się z okna wagonu podmiejskim miasteczkom i peryferiom stolicy świata. A później, tuż po wyjściu z dworca, znów będzie oszałamiać mnie ulica paryska, ta sama, lecz za każdym razem i każdego dnia umiejąca zadziwić czymś nowym. To jest Paryż. Bo taki jest Paryż.

U nas nie ma takiego zjawiska. W Warszawie, po wyplątaniu się z dworca, wita nas jedynie „Bar pod setką” i sąsiadujący z nim „Żywiec”. Poza tym dwa ludzkie strumienie, przelewające się w pośpiechu po obu stronach Marszałkowskiej. Kilka restauracji, kilka kawiarenek, kilka kin i kilkadziesiąt sklepów i sklepików. Wszystko razem wzięte - mało ciekawe. Tłum uliczny przeciętny i ozdobiony jedynie z rzadka jakąś ładniejszą buzią i strojnieszszą toaletą. Na jezdni pomieszane jest u nas wszystko razem. Konie, wozy i wózki, odrapane auta, taksówki bez wdzięku i mocno niesforny tłum ludzki, przez który przebija się ten nasz, słaby w rzeczywistości, ruch kołowy. Sklepy również, bez większego wdzięku, brak pomysłowości. Zmierzch Hersego, trochę odnowionej autentyczności, lecz na uboczu, u Wedla, bardzo rzadkie sklepy w rodzaju Braci Pakulskich, no i chyba, gdzieś na boku, świeżo wylakierowany nowy sklepik firmy... „Sol”. Ten ostatni z taniutkim dowcipem lakierowanego w połowie krzeselka kuchennego. W przyszłości zapewne panna Beata wpakuje do okna wystawowego stolik nocny lub kredens kuchenny tak wylakierowany. Ale to wszystko głupstwo.

Mógłby ktoś zarzucić, że z polskiego przyzwyczajenia nauczyłam się ganić swoje własne i chwalać zagranicę. Ale tyle tutaj osobliwości, o których trudno marzyć w naszej Warszawie, czy naszym, powiedzmy... Wąbrzeźnie. Natknęłam się któregoś dnia na olbrzymi sklep przeznaczony wyłącznie do sprzedaży tego wszystkiego, co zakupują podróżnicy udający się do zamorskich krajów. Tysiąc, a może i kilka tysięcy różnorodnych przedmiotów, których przeznaczenie nieznane jest zwykłemu śmiertelnikowi. Równocześnie w tym samym sklepie mieści się jakby reklamowa wystawa tego wszystkiego, co podróżnicy mogą przywieźć do Francji z dalekich wypraw. Obok znajdują się gabloty z fotografiami krajów egzotycznych. W dodatku sklep z tradycją kilkudziesięcioletnią. Wyposażenia podróżnicze zmieniają się z latami, zasięg artykułów zwiększa się z każdym nowym rokiem, sklep jednak pozostaje w dalszym ciągu niezmienny. Nad wejściem do sklepu wisi stary szyld z wyblakłym złotem, pamiętający chyba czasy jeszcze Komuny Paryskiej. Przetrwiał, a wystawy w szerniałych ramach w dalszym ciągu budzą zainteresowanie nie tylko dzieciaków kilku kolejnych pokoleń paryskich, ale również i etranżerów. Nawet takich, którzy nigdy w życiu nie pojedą do Konga czy Indochin. U nas w Warszawie są również stare sklepiki z wiekową tradycją. Do takich należy zapewne spleśniały ze starości sklepik z parasolami w pobliżu narożnika Jerozolimskiej, na prawo w stronę Placu Zbawiciela. Ale sklepik jest maciupieńki, a problem inny niż w Paryżu. Parasole. Zwykły, pospolity problem życia codziennego. Tego typu sklepików jest w Paryżu mnóstwo, tysiące małych ciupek, nie wiadomo czasami, z jakim przeznaczeniem.

Cannes - niedziela - 24 czerwca

Gościna nieco artystyczna. Może dlatego z wdziękiem. Pomimo pięciopokojowego apartamentu, jak się to tutaj nazywa, Elza nie ma pokoju gościnnego. Sypialnię odstąpiła

Leokadii i Patrycji, a my we dwie umieściliśmy się w sposób nieco prymitywny w malarskiej pracowni naszej gospodyni. Elza jest bardzo naturalna, mimo swego odrobinę narwanego stosunku do świata. Mówi, że stara się być niezależnym człowiekiem, ale te wszystkie opowiadania sprowadzają się w gruncie rzeczy do chęci znalezienia wobec samej siebie jakiegoś uzasadnienia dla prowadzonego przez nią mocno wędrownego trybu życia. Dzisiaj tu, a jutro gdzie indziej, ot tak, po prostu dla fantazji czy też nieobliczalnego przypadku. Tego rodzaju cyganeria nie przeszkadza jej jednak obracać z powodzeniem różnymi sprawami finansowymi. Jest równocześnie agentką swego ojca Płatona, tak twierdzi z przekazem Patrycja. Wszystko to pochodzi, jak sobie tłumaczę, z przymieszki wiecznie niespokojnej krwi żydowskiej, bowiem i stary Dubow we wczesnej młodości mocno wsiąkł w żydowską rodzinę swej szwajcarskiej żony. Ich kalwinizm jest świeżej daty i poszczególni członkowie szwajcarskiego odłamu rodziny Benderów do dzisiejszego dnia pozostali wierni murom synagogi. A zresztą żydowska ortodoksja jest również jakimś swoistego gatunku kalwinizmem w stosunku do ciemnej masy żydowskiej diaspory. Równie dobra jak inne, taka sobie hermetycznie zamknięta arystokracja żydowska, ponieważ trudno inaczej podejść do zagadnienia najwyższej warstwy wśród ortodoksów żydowskich. Mają w dodatku wiekowe powiązania na całym świecie, od razu to widać z towarzyskiego wypolerowania Elzy.

Trochę zatem po studencku, sporo artyzmu, ale odmiana interesująca. Nawet Leokadii się podoba. Dziwne. Patrycja na tle gospodarstwa w willi Elzy Dubow zmienia się. Ujawniają się w niej jakieś dalekie błyski pochodzenia z rodziny Benderów, w znacznie większym stopniu aniżeli w samej Tamarze, która była przecież rodzoną córką owego petersburskiego Natana Bendera. Widocznie pewne rysy występują dopiero w dalszych pokoleniach. W dodatku bardzo ciekawy objaw. Patrycja staje się coraz o ciężalsza, natomiast we Florencji perli się jakaś gaskonada dowcipu i błyskotliwej energii. Jest w tym podobna do swej kuzynki Elzy. Ten sam gatunek, podczas gdy ciotka Tamara zdążyła przyswoić sobie wiele amerykańizmów. Pomimo krótkiego pożycia ze swoim drugim mężem dopasowała się do stylu Nowego Świata. Czuje się w nim dobrze i już kilkakrotnie słyszałam, jak zdecydowanie podkreśla swój amerykańizm. Mówi nawet wręcz o swoim amerykańskim patriotyzmie.

Obserwuję to wszystko, ponieważ dawnymi czasy przychodziły mi do głowy różne myśli. Przecież i my zostaliśmy zmieszani wszyscy razem, Niemcy i Polacy. Przodek Martin ożenił się z gdańsko-grudziądzką Zofią Wildorf, a później dopiero trzy pokolenia polskich kobiet dokonały przemiany w naszej rodzinie. Prababka Kaczmarkówna, babka Kawczyńska i matka Kowalska. Ilość krwi niemieckiej spadała, narastała natomiast polskość ze strony matki oraz babek. Zakończenie wojny światowej zdecydowało ostatecznie o polskim charakterze Jamborów. Pomimo że stryj Paweł ożenił się również z Niemką, ale rychła śmierć pierwszej żony utrudniła mu ponowne wrośnięcie w niemieczynę. Inaczej było w Gdańsku. Stryj Józef wsiąkł z powrotem w niemieckość Gardenów i stał się gdańszczaninem. Widocznie działa w tym kierunku otoczenie i środowisko. Przykład z naszym Krystynkiem. Gdyby poszedł normalnie na politechnikę w Warszawie lub Lwowie, inaczej byłoby się ukształtowało jego dalsze życie. Po dyplomie stryj Marcin byłby go umieścił gdzieś blisko siebie, w przemyśle zbrojeniowym. Mokotów roztoczyłby nad nim opiekę i na pewno byłby się spokojnie ożenił i wrósł w jakiś świątek Warszawy czy Radomia. Ale dość rozmyślań na te tematy.

Szofer ten sam. Rosjanin, tylko że zestarzał się. Kucharka została przywieziona z Genewy. Obca - dla Cannes. Za to mocno przywiązana do swej pani. Ogrodnik pełni skomplikowane funkcje ogrodnika, portiera i w ogóle *Tausendkünstlera* do wszystkiego. Żonaty, dwoje dzieci, mieszkają w osobnym domku w głębi ogrodu, razem z szoferem i gospodynią. Na pierwszym piętrze angielskie małżeństwo. Nic bliższego. Brak wzajemnego zainteresowania. Nie rozgryzłam tego problemu.

Leokadia czuje się dobrze, całkiem nie wspomina o Polsce.

Wtorek - 26 czerwca

List z Warszawy. Dwadzieścia dni czerwca przyniosło prawie trzydzieści tysięcy obrotu w sklepie i kilkanaście tysięcy u naszych podróżujących. Nie zrobiło to na mnie wrażenia. Pierwsze śliwki zawsze są niedojrzałe. Mieszkanie podobno już z grubsza urządzone. Dawne zajął jakiś nowy lokator, nie piszą o nim nic bliższego, tylko tyle, że... już mieszka. Ta wiadomość również bez wrażenia dla mnie, do końca roku jeszcze bardzo daleko, Warszawa dla mnie na biegunie.

Robimy dalsze wycieczki samochodowe. Jutro na przykład jedziemy na cały dzień do Nizy. Elza dotrzymuje nam towarzystwa. Jest bardzo gorąco mimo wiatru od morza. Tyle że powietrze czyste i niebo błękitne, bez najmniejszej chmurki.

Czwartek - 28 czerwca

Pojutrze odjeżdża Patrycja. Spędziłyśmy razem bardzo miłe dni. Leokadia ożywiona, ma tysiące zamiarów i pomysłów. Były serdeczne listy ze Starej Wsi, od Maksiów i od państwa Orzechowskich. Dopytują się o nasze projekty, przewidują spotkanie we Włoszech. Na razie nie umiemy im odpowiedzieć.

Piątek - 29 czerwca

Odwiedzili nas znajomi Elzy. Anglicy. Zgadało się o Biarritz. Leokadia nadstawiała uszu, ale zainteresowała się dopiero Tulużą, Pirenejami i Lourdes. Ta ostatnia możliwość mocno utknęła w jej myślach: Lourdes?

Sobota - 30 czerwca

Odprowadziłyśmy do pociągu Patrycję. Żegnając się mówiła, że dzięki nam spędziła w Cannes miły tydzień. Wspominała przy tej okazji nasz wspólnie spędzony miesiąc w Mentonie. O wycieczce z Cookiem powiedziała bardzo krótko:

- Stare, wytarte szlaki, w dodatku zbyt nerwowy pośpiech, nie warto.

Ostatecznie stanęło na tym, że w poniedziałek wczesnym rankiem przerzucimy się do Marsylii. Elza odsyła nas samochodem. Ofiarowywała nam samochód na okres dwóch tygodni, ale nie miałoby sensu włączyć się ciężkim wozem w naszych warunkach. Zaczęło się od tego, że namawiałyśmy Elzę na wspólny wjazd, bez określonego celu, w stronę Pirenejów, ale kuzynka świeżo wróciła z jakiejś tajemniczej wycieczki i obecnie ma przed sobą perspektywę wyjazdu do ojca w Szwajcarii. Pomimo swojej artystycznej natury nie zapomina jednak o businessie. Nieodrodna córka rodu Benderów. Ta cała cyganeria Elzy Dubow to nawet być może jedynie piękne ramy dla powiększających się kont czekowych. Ale to już jej sprawa osobista. W każdym razie - Patrycja jedynie wydaje pieniądze. Elza Dubow natomiast równocześnie gromadzi je i wydaje.

Właśnie dzisiaj przychwyciła mnie na zapisywaniu notatek w bloczku. Tak sobie mimo woli spojrzała przez ramię, gdy siedziałam w ogrodzie. W pierwszej chwili myślała, że to bloczek do notowania wydatków, i od tego zaczęła się nasza niespodziewana rozmowa. Była zdziwiona stenograficzną formą dzienniczka. Dość zręcznie wspomniała, że jedna z jej przyjaciółek praktykuje pisanie czegoś w rodzaju miniatur na temat przeżyć ze swymi kolejnymi kochankami czy przyjaciółmi. Francuskie bowiem słowo: *ami* ma bardzo wielostronne znaczenie, od tytułu znanej powieści Maupassanta począwszy, aż do oznaczenia kogoś życzliwego w formie przymiotnikowej. Mieści się w tym nawet polskie określenie: ty kochasiu. Podobno miniaturki są ilustrowane wlepianymi fotografiami. Każdy kochanek zamyka się w osobnym kajecie. Nietrudno było się domyślić, że nie kto inny, jak właśnie ona sama, Elza Dubow, stworzyła tego rodzaju formę utrwalania własnych refleksji, bo na pewno nie tylko o same fakty tu idzie. Nie pytałam o szczegóły i tylko, jak zwykle, starałam się nie wypaść z roli czarującej słuchaczki.

Dobrze, że nie urządzamy naszej wycieczki samochodem do końca. Marsylia to jedynie taka sobie przechadzka. Jutro korzystamy z jakiegoś interesu Elzy w Monaco i wybieramy się tam na cały dzień. Wrócimy wieczorem, w każdym razie przed północą. Zwiedzimy akwarium i przypuszczalnie przyjrzymy się głupocie zielonych stołów z kulką ruletki.

Dzisiaj kupiliśmy sobie na miejscu w Cannes dwie idealnie lekkie walizki z cienkiej, lecz mocnej fibry amerykańskiej. Bagaże zostawimy u Elzy, a wyjedziemy jedynie z minimalnym zapasem garderoby. Zabierzemy tylko tyle, ile zmieści się do tych właśnie dwóch walizek. Jedziemy bez neseserów, prawdziwie po studencku. Leokadia powiedziała z humorem:

- Od czasu do czasu wsiądziemy do wagonu trzeciej klasy, aby nareszcie zobaczyć prawdziwą Francję i prawdziwych Francuzów.

Dobrze, zobaczymy, ale jak to będzie wyglądać w praktyce?

A teraz spać. Właśnie zwolniła się łazienka. Kąpałyśmy się w kolejności: Leokadia, Elza, a na końcu ja, ponieważ chciałam dokończyć spisywania moich gryzmołów. Ciekawe, że dopiero w Cannes przychwycono mnie na moich stenogramach. W dodatku Elza. Mówiła, że w Anglii przed stu laty odtworzono zaszyfrowany dziennik jakiegoś dżentelmena z okresu pokromwelowskiego. Podobno kilka tomów szczerzej i bezpośrednioj prawdy, nie maskowanej jakimikolwiek względami, nawet w odniesieniu autora do samego siebie. Podobno znajduje się tam jakaś makabra w pewnym szczególe z życia tego faceta. Wspomina on, że podczas zwiedzania grobów królewskich nie powstrzymał się od objęcia trupa jakiejś królowej i ucałowania jej oblicza. Nawet jeżeli ten angielski milord sprzed trzystu lat tego naprawdę nie zrobił, to już samo wypisanie czegoś podobnego na kartach pamiętnika stanowi rys charakterystyczny dla owych czasów i ludzi podówczas żyjących. Zainteresowałam się autorem. Samuel Pepys. Spróbuję zapytać się w marsylskich księgarniach. Zobaczymy.

Środa - Arles - 4 lipca

Marsylię zwiedziłyśmy pod kierunkiem rosyjskiego szofera. Fachowo, bez włączenia się po niepotrzebnych zakątkach. Kupiliśmy sobie dwa skórzane płaszcze podróżne i dwa cieniutkie angielskie płaszcze z kapiszonami, z impregnowanego jedwabiu. Podobno nieprzemakalne. Skórzane płaszcze są wykonane z jelonka o miękkości reniferowej rękawiczki. Mój w kolorze ciemnej rezedy, Leokadii w kolorze brązowo-wiśniowym. Jedwabie w kolorze jasnobżowym i jasnopopielatym. Leokadia, zachęcona moimi warszawskimi półbucikami sportowymi, kupiła sobie również coś w tym rodzaju, jednakże znacznie lżejsze od moich. Jedziemy przecież w góry. Pireneje są podobno wyższe od naszych Tatr, sprawdzimy osobiście na miejscu.

Jako lekturę na drogę kupiłam książeczkę Hipolita Taine'a pod tytułem: *Voyage aux Pyrenees*. Nabyłam dwa wydania, na cienkim papierze i w małym, niemal kieszonkowym formacie, oraz drugi, masywny egzemplarz z ilustracjami Dorego. Ten drugi poleciłam od razu wysłać pod moim warszawskim adresem. Po cóż włączyć się z ciężarami?

Jadąc pociągami będę sobie łamać głowę nad francuskimi opisami, ponieważ już pobieżne przejście tej książeczki otwarło mi oczy na moje „suchoty” językowe. Ale właśnie dlatego trzeba się przedrzeć do wyrazów trudniejszych. Znajomość języka nie ogranicza się jedynie do rozmowy z portierami i kelnerami czy ekspedientkami w magazynach, tam się dopiero zaczyna. W Paryżu zaciągnęłam któregoś ranka Leokadię do Hal, moją ciotkę zdziwiły stopy różnorakich artykułów, mnie zachwyciły typy przekupek.

Utknęłyśmy zatem w Arles. Miasteczko jest silnie uprzemysłowione, pomimo swego folkloru i powabów niemal średniowiecza. Ocalały stare uliczki. Mocno kolorowe, słońce oświetla wszystko w jakimś piekielnie skoncentrowanym nasileniu. Konny wehikuł zabrał nas z dworca i powiózł na dalekie przedmieście do czegoś w rodzaju kamiennej oberży. Inny świat. Dorożkarz od razu powiedział:

- Nasi, to znaczy Francuzi, mieszkają w „Hotelu Paryskim”, ale cudzoziemcom potrzeba czegoś innego. - I zawiózł nas do takiej właśnie oberży, obrośniętej bluszczem i z ogródkiem, pełnym stolików pod kolorowymi parasolami. Na wszelki wypadek wynajęliśmy pokój z dwoma łózkami, zawsze bezpieczniej razem. Ale jak dotychczas, jeszcze nas nie zarżnęli i mamy zamiar pozostać tutaj do jutra. Miło. Tanio. Spokój. Oberżysta więcej rozmawia z gośćmi, niż pilnuje kuchni. Szpikuje nas anegdotami o holenderskim impresjoniście nazwiskiem Van Gogh. W mieście pokazują nam różne spuścizny po tym malarzu, ale nie mam zaufania do ich oryginalności, ponieważ przy oferowaniu wystawiają zbyt niskie ceny. Zresztą to są zbyt kolorowe bohomazy, na których słońce wysła coś w rodzaju kreskowanych promieni. Trochę jest bujdy w tych opowiadaniach. Sam krajobraz wielce malowniczy. Ludzie jacyś odmienni, różne gatunki win, które szybko wchodzą w nogi. Trzeba ostrożnie z tutejszymi winami, lepiej pić je z wodą. A oni piją je właśnie jak wodę. Nic dziwnego, że ten holenderski malarz rysował słońce z promieniami...

Bawimy się jak studenci na wakacjach. Umyślnie piszę: studenci, ponieważ zasadniczo po świecie wólczą się jedynie studenci, a nie studentki. Mężczyźni przeżywają przygody, kobiety zaś spotykają przygody, i stąd ta różnica. Młodzież żeńska na ogół dość wstrzemięźliwie wędruje po kraju, nawet w wydaniu harcerskim. Ale to ostatnie było dla mnie zbyt nudne, ponieważ obracało się w sztywnych ramach z góry określonych przepisów, zastrzeżeń, przykazań i tym podobnych, zbyt idealnie pojętych drutów kolczastych. Harcerstwo u mnie nie chwyciło na stałe. Tylko do piątej klasy.

Jutro jedziemy do Avignonu, pod wieczór na odmianę autobusem. Z polecenia „Białego Konia” umieścimy się w innej, tego samego typu oberży - pod wezwaniem „Złotej Podkowy”.

Avignon - piątek - 6 lipca

Aż głowa boli od tego wszystkiego. W charakterze przewodnika syn naszego oberżysty. Sama nie wiem, jak to nazwać, ale w istocie mimo nowoczesnych domów w centrum miasta i kominów fabrycznych na przedmieściach świat się nie zmienił od czasów d'Artagnanów i Portosów. O Aramisach nie wspominam, ponieważ ten typ wygląda dzisiaj zgoła inaczej. Mocni w krzyżach, widocznie w tych okolicach wszyscy pochodzą z twardych chłopów, szlachta natomiast po dawnemu patrzy na konsystorze i fiolety. Mówię jedynie o zwyczajnych, miejscowych labusiach ze zwykłej mąki.

Na niedzielę jedziemy do Carcassone. To już daleko, przeszło dwieście kilometrów. Wspomnienia papieżstwa nie zrobiły na nas żadnego wrażenia. W murach widziałyśmy więcej wspomnień rycerstwa niż wojującego duchowieństwa. Zresztą wówczas jedno pokrywało się z drugim.

Carcassone - poniedziałek - 9 lipca

Średniowiecze przemawia do nas niemą wymową murów. Właściwie to są dwa miasta, przedzielone rzeką. Mieszkamy w dolnym mieście i zadzieramy nos w górę, aby jeszcze więcej odczuć swoją nicość wobec górnego miasta murów obronnych ze starą warownią. Podobno niektóre baszty sięgają VII wieku.

Jedziemy w istocie rzemiennym dyszlem. Tym razem zatrzymałyśmy się w hotelu z łazienkami i gorącą wodą w kranie. „Hotel Lyoński”. W oberżach podawano nam dzbanki z gorącą wodą w różnych figlarnych porach dnia, na przykład o godzinie piątej rano. Tym razem wyspałyśmy się w europejskim luksusie, na porządnych materacach. W Arles natomiast spałyśmy na siennikach wypchanych tamtejszym pachnącym sianem.

Mury i mury. Królestwo dla malarzy. „Leica” w robocie. Mamy spory zapas filmów, a zatem pstrykamy, czy potrzeba, czy nie. Na razie nie wiemy, czy zdjęcia się udały, chowamy rolki do walizki. Już mamy pewnie ze sto pięćdziesiąt zdjęć. Nieźle. Jak szaleć - to szaleć.

Tuluza - czwartek - 12 lipca

Zamówiliśmy na pojutrze wieczorem podwójny pokój w Lourdes, przez nasz hotel, tak nam doradzono. W niedzielę zawsze bywają duże zjazdy. Na razie kończymy drugi dzień oglądania tutejszych zabytków. Cieszymy się, że nie mamy w pobliżu Cooka. Oni szaleliby z datami i opowiadaniem historycznymi. Baedekery bardzo chętnie wskrzeszają przeszłość, gdy tylko można na tym dobrze zarobić. Mieszkamy w „Hotelu Paryskim”. Jutro późnym wieczorem dotrzemy do Tarbes, wjedziemy już tym samym w rejon Górnych Pirenejów.

Tarbes - sobota - po południu

Upał. Leokadia usnęła. Obie jesteśmy już mocno zmęczone zwiedzaniem zabytków. To się może przejeść. W zbyt silnym tempie. Historia przeszło tysiąca lat oglądana w zabytkach kamiennych z różnych epok. W dodatku bardzo trudno to wszystko uchwycić i zatrzymać w pamięci. Leokadia kupuje wszędzie miejscowe przewodniki i podkreśla w nich rzeczy przez nas oglądane czy, inaczej mówiąc, spenetrowane. Na marginesach bazgrze nawet notatki.

Dzisiaj przeżyliśmy oficjalne święto Trzeciej Republiki Francuskiej właśnie w takim małym mieście departamentalnym. Parada wszystkiego, co można pokazać w takim sobie podtatrzańskim Nowym Targu, ale powiedzmy... z krakowskimi zabytkami historycznymi. Cztery razy większy Nowy Targ we francuskim wydaniu i z katedrą z XIII wieku. Hałaśliwa uroczystość, pompa, mocno kolorowo ubrana publiczność z gór. W dodatku słońce prażące bezlitośnie pomimo lekkiego przewiewu od gór. Bez tego wiatru można by zwariować w tych stronach.

Kończę, ponieważ warto się zdrzemnąć. Za trzy godziny mają nas obudzić, jedziemy autokarem do stolicy pobożności. Tak mi się to jakoś lekko napisało. Ale trudno wymazać, samo przekreślenie nie wystarczy. Napisałam, ponieważ tak pomyślałam. A myśli nie można wymazać z pamięci, a zatem niech pozostaną również i słowa zapisane w bloczku. W hoteliku mówią, że dobrze zrobiliśmy z zamówieniem pokoju w Lourdes.

Lourdes - poniedziałek - 16 lipca

Przeżyliśmy Lourdes - trudno inaczej napisać. Można wierzyć lub nie wierzyć, ale będąc w Lourdes, nie można napisać normalnie: zwiedziłem Lourdes, zwiedziłem katedrę i przyglądałem się tłumom zgromadzonym na uroczystej procesji. Takie wydarzenia przeżywa się, nawet gdy się nie wierzy. Nam zaś, wychowanym w przywiązaniu do Boga i religii, uginają się mimo woli kolana, a wargi szepczą modlitwę wyuczoną przez nasze matki.

Nie umiem więcej napisać, nie chcę nawet pisać więcej, ponieważ pragnę zachować uczucia małej Anny, gdy po raz pierwszy zjawiła się w kościele, w białej długiej sukni komunikantki, z mirtem na jasnej główce uczesanej ręką kochającej matki. Och, to było bardzo dawno i właśnie dzisiaj przypomniały mi się te chwile, radosne pomimo łez wzruszenia, które cisnęły się wówczas do moich oczu. Takie właśnie pozostanie w mojej pamięci Lourdes.

Wtorek - 17 lipca

Małe wycieczki w pobliskie góry. Czekamy na czwartkowy ranek, aby się włączyć do wycieczki autokarowej. Odrzekałyśmy się od Cooka, a obecnie wpadamy na odmianę w ręce francuskiego towarzystwa. Ale wprost nie sposób byłoby zmontować te wszystkie przejazdy na własną rękę. *Ambarras de lichesse*. Może kiedyś w przyszłości, podczas zwiedzania Pirenejów po raz drugi, będzie można już na własną rękę urządzić sobie jakieś romantyczne wędrówki, od jednej karczmy pirenejskiej do drugiej, ale w naszych warunkach jest na to niestety jeszcze za wcześnie. Do turystyki trzeba wprawiać się powoli, krok za krokiem, nie można, a nawet podobno nie wolno brać naraz zbyt silnych dawek. W dodatku samotne wędrówki kobiece nie są praktykowane w tych stronach.

A zatem dziesięć dni za tysiąc dwieście franków, naturalnie od osoby. *Tout compris*, podobno łącznie z napiwkami, ale co do tych ostatnich, to nie bardzo wierzymy i będziemy dawać w miarę grzeczności usługujących. Zresztą tutaj trudno wydać na coś więcej, ponieważ podają sporo jedzenia przy nieodmiennym winie. Tylko że nie podają już owego przysłowiowego pół litra *vin populair*, a jakoś dyskretniej, po ćwiartce w karafeczce.

Na razie wspólnie z Leokadią studiuje kolorowy prospekt, który nam doręczono po zapłaceniu należności.

Z Taine'em bardzo ciężko. Treść zrozumiałam, lecz nie zdołałam ocenić finezji języka twórcy tych wspomnień o wycieczce w Pireneje. Po powrocie do domu rozejrzę się za polskim tłumaczeniem, nie wątpię, że tego dokonano. Ponadto książkowa rzecz jest dość stara. Taine nie przewidział dróg i autokarów i wypełnił swoje Pireneje wspomnieniami barwnej przeszłości historycznej. My zaś staniemy tylko wobec potężnego masywu dzikich gór, wśród których z rzadka spotkamy się z niedobitkami barwnego ludzkiego folkloru. Do niego głównie przemówiła historia, my staniemy wobec przyrody.

Dzisiaj kupiliśmy różne drobiazgi turystyczne. Między innymi zapas filmów na trzysta zdjęć, dwa cienkie swetry wełniane z rękawami, rękawiczki i podkolanówki wełniane oraz również dessous w takim samym wykonaniu. Dla fasonu laski z dębczaków z zakrzywioną rękojeścią, na kształt rączki do męskich parasoli. Berety włóczkowe z czerwonym pomponem do góry, bo taka tutaj moda. Pytali nas o walizki, o ich wymiar. Gdy określiliśmy nasze, jakoś nic nie mówili. Widocznie Anglicy więcej zabierają. Autokar na 28 osób.

Środa - 18 lipca

W Pau znajdziemy się wieczorem 30 lipca. Tymczasem dzisiaj spokojny dzień, ponieważ wczoraj po południu Leokadia dowiedziała się o wycieczce z polskimi księżmi i była wieczorem u spowiedzi. Wczesnym rankiem wyszła na mszę świętą oraz na jakieś specjalne nabożeństwo. Nie wzięłam w tym udziału, niedziela wstrząsnęła mną dostatecznie, nie czuję się na siłach, aby przeżywać takie emocje ponownie. W dodatku to wszystko jest dziwne, ponieważ tuż obok serdecznej nici wzruszeniowej ciągnie się jakiś ciemny ogon nawarstwień tego wszystkiego, co pierwszemu przeczy w sposób zasadniczy. Równocześnie czyta się reportaże podróżników o jakichś innych miejscach cudownych - w ramach wierzeń islamu i buddyizmu. Wszędzie zatem na całym świecie są te same miary cudowności i cudów, pomimo odmiennych form pojęciowych i wierzeniowych. Mówi się co prawda, że sama silna wiara uzdrawia, ale i to jest tylko serdeczne nawarstwienie pojęć odziedziczonych z wychowaniem. Trudno, Lourdes tutaj i w wielu miejscach na świecie, gdziekolwiek... Problem człowieka, który pragnie wierzyć, ponieważ marzy o tym, że z wiarą będzie mu lepiej.

O tym wszystkim można pisać tylko serdecznie lub nie należy pisać wcale. Może nawet w sercach zatwardziałych ateistów drgają jakieś nuty głębsze, nie umieją jedynie tego wyznaczyć i przetłumaczyć na język dla nich zrozumiały. Może nawet w wyższym stopniu nie umieją, niż nie chcą. Może nie obudziło się w nich pragnienie, nie nadszedł jakiś właściwy moment olśnienia. Różnie bowiem bywa w świecie... Nie umiem o tym pisać.

Wracam zatem do szarych spraw życia codziennego. Oto przed godziną, wałęsając się po miasteczku, kupiłam sobie w jakimś małym sklepiku z różnymi starymi gratami doskonałą Zeissowską lornetkę. Czteryście franków - przyda się.

Dopisuję późnym wieczorem. Leokadia dowiedziała się o ciekawych grotach z naciekami i naturalnie pojechałyśmy tam specjalnie wynajętym samochodem. Wróciłam porządnie zmęczona, krótko przed kolacją. W mojej ciotce mieszka jakiś niespożyty duch turystyczny. Przed rozpoczęciem podróży wydawało się nam wszystkim, że ona dojedzie tylko do miejsca przeznaczenia i położy się na werandzie owinięta szalami, a tymczasem jest zgoła inaczej.

Czwartek - 19 lipca

Piąta rano. Wyjeżdżamy za pół godziny. Pogoda. Portier zapewniał, że utrzyma się do końca miesiąca. Oby. Nie ma pod ręką królowej Nawarry i byłby z nami marny los, gdyby lało. A w górach nigdy nie wiadomo. Leokadia pobiegła jeszcze do kościoła, chyba zamknięty. Ja przyglądam się towarzystwu, które się zbiera. Podobno bilety wykupiło tylko dwadzieścia osób. Większość kobiet, jak dotychczas, ale trudno się zorientować, ponieważ z podróżnymi pomieszani są różni odprowadzający. Już odebrali nasze walizki. Przykleili na nich kartki z numerami i na tym koniec. Na razie stoję w moim płaszczu skórkowym i na szyi mam zawieszony dwa spore ciężarki, „Leikę” i „Zeissa”. W rękach, a raczej na lewej ręce zwieszają się nasze dwie laski podróżnicze. Piszę te słowa na parapecie okiennym. Od góry chłodny podmuch. Ale właśnie taki ranny podmuch zmienia się koło południa w żywe piekło. Koniec z pisaniem, trzeba będzie na postoju schować bloczek do walizki. Lepiej przyglądać się ludziom, oto weszło nowe towarzystwo. Małżeństwo i młoda panienka, chyba w okresie matury. Angolicy. Niepotrzebnie byłoby podsłuchiwać, można to ocenić już z daleka. To są ludzie z innej planety, owej podtrzymywanej przez dwa herbowe lwy brytyjskie. Robią grzeczność innym ludziom, że ich tolerują w swoim pobliżu.

Niedziela - 22 lipca

Nie ma mowy o pisaniu. Do widzenia, bloczku, za tydzień zobaczymy się w Pau.

Ze wszystkich miejscowości, jakie zobaczyliśmy w Pirenejach, najsłynniejszą i najbardziej znaną jest Cirque de Gavarnie. Jest to półkolista amfiteatr, składający się z trzech kolejnych tarasów skalnych, których ściany wznoszą się pionowo na wysokość od 1200 do 1700 metrów. Szczyty o kształtach czworokątnych, które panują nad całością, nadając jej charakter nieporównanego majestatu.

Pau - poniedziałek - 30 lipca

Koniec podróży był dla mnie niezwykle męczący. No, ale trudno, odwaliłyśmy wszystkie numery podróżniczego repertuaru. Można by jeszcze skoczyć do Andorry, ponieważ obecnie otwarto wygodną komunikację z Aix-les-Termes i można tam dojechać w wygodnym autokarze Towarzystwa Kolejowego. Ale to już byłoby ponad nasze siły, zbyt szybkie tempo i zbyt wiele wrażeń wzrokowych. W niektórych miejscowościach w istocie utrzymało się sielankowe życie na kanwie obyczajów z epoki średniowiecza.

Dzisiaj zwiedzałyśmy zamek i oba muzea. Naprawdę trzeba zwolnić tempo. Jutro rano spokojnie, osobowym pociągiem wyjedziemy do Biarritz. Powoli, sto kilometrów. Nie śpieszy się nam. Co do Biarritz, nie mamy jeszcze żadnych projektów. Na razie rozkoszujemy się dwoma osobnymi pokojami i łazienką. W drodze kilkakrotnie spałyśmy w dość prymitywnych warunkach górskich schronisk. W dwóch ogólnych salach, tyle że bez koedukacji.

Nie czuję się na siłach, aby tak na poczekaniu opisać wrażenia z tych dziesięciu dni. Na razie utrwalam sobie w pamięci czasy Henryka IV i królowej Małgorzaty. Właśnie dzisiaj odczytuję, po raz nie wiem który, strony opisu Hipolita Taine'a dotyczące Pau. Sama zapytałam w zamku o żółtawy pancerz, który służył za kolebkę Henrykowi Czwartemu. Interesowały mnie meble i pozostałości po Joannie d'Albret, która była kobietą jedynie dlatego, że rodziła dzieci. Pytałam o wszystko i zdumiewałam starszyczków w zamku sporą ilością wiadomości o wielkich czasach Pau. Szukałam śladów przeszłości w uliczkach, przyglądałam się ludziom i ich kolorowej odmienności. Bardzo wiele zmieniło się od czasów romantycznych wędrówek wielkiego historyka sztuki, ale nawet to, co jeszcze pozostało, starczy ludziom na wiele lat.

Mój powieściowy przewodnik podróżował po Pirenejach w powozie. Był szczęśliwy. Budził wspomnienia historyczne z uspienia wieków. Wyciągał na światło dzienne drobne sprawy rycerskie wielkiego króla. Oddał je pamięci ludzi współczesnych nie w kształcie jakiejś ciężkiej kobyły naukowej, ale w napisanych z humorem opowiadaniach, adresowanych do swego przyjaciela. Przybliżył to wszystko do naszych czasów, pozwolił nam rozumieć historię Pirenejów z okresu, gdy na tych ziemiach pulsowało prawdziwe, wypełnione namiętnością bez granic życie ludzi, którzy na pewno się nie nudzili. Z gołymi rękami szturmowali zamki, te same, które my dzisiaj bombardujemy aparatami fotograficznymi.

Zdjęcia. Czyniliśmy to w sposób bezmyślny i bez zastanowienia, w prawo, w lewo i we wszystkich kierunkach. Na zmianę, Leokadia mnie, ja Leokadię. Część tych zdjęć zostanie w różnych krajach wlepiona do albumów, reszta zniszczy się przez noszenie w torebkach czy portfelach. Innymi znów będą bawiły się dzieci. Trudno, taki właśnie jest los wszystkiego na tym świecie.

Cieszę się na Biarritz. Spokój. Plaża. Łagodne spacerunki. Z opowiadań w autokarze znamy już to wszystko, co w najbliższych dniach zobaczymy na własne oczy.

Biarritz - wtorek - 31 lipca

Na poste restante odebrałyśmy we wspólnej kopercie korespondencję z kraju. Via Paryż i Cannes. W Paryżu zbierali listy i włożyli je do koperty. A Elza tylko preadresowała. Nic ważnego. Zośka wybiera się na sierpień do Zakopanego. W lipcu ciotka Millerowa leczyła się w Ciechocinku. Listy z Gdańska, obie Elfrydy wyjeżdżają również na sierpień do swojego Saltjöbaden pod Sztokholmem. Stare przyzwyczajenia, gdy się znudzą miejscowe Sopoty. Według mnie, nie warto jeździć dwa razy w to samo miejsce.

Umieściłyśmy się w sposób oryginalny. Nasze i tak skromne bagaże zostawiłyśmy na dworcu i poszłyśmy w stronę plaży, która w tutejszym wydaniu nazywa się w sposób napuszony: „La Grande Plage”. Zjadłyśmy obiad, obejrzałyśmy sobie z bliska luksus hotelu „Du Palais”, ale zdecydowałyśmy, że z naszymi studenckimi bagażami i bez odpowiednich strojów nie byłoby warto umieszczać się w podobnych warunkach. Błądziłyśmy sobie po miasteczku, które tutaj jest właściwie doczepione tylko do plaży. Około godziny czwartej wstąpiłyśmy na lody do małej cukierenki i w niej to właśnie znalazłyśmy na stoliku kilka biletów reklamowych z adresami pensjonatów. Mamy w tym kierunku doświadczenie i nie dajemy się już łapać na dworcu różnym wysłannikom hotelowym w wyłożonych czapkach.

Pension de famille mieści się przy Avenue de la Ville d'Iver i nazywa się „Villa les Orangers”, willa pod drzewami pomarańczowymi. Średni komfort, ale stale ciepła woda i łazienki. Dwa małe pokoiki połączone wspólną werandką. Zdrabniam, ponieważ ta weranda jest naprawdę mała. Reszta możliwa, coś na pograniczu luksusu, jednakże bez hałaśliwej wytworności jakiegoś „Grand Palais”.

Dzień jutrzejszy trzeba będzie rozpocząć od zakupu kostiumów plażowych. Skromnie zresztą, gdyż nie na długo. Leokadia mówi o dwóch tygodniach, nazywa to odpoczynkiem, ponieważ marzy o włoskim wachlarzu od Wenecji do Taorminy. Mówi, że to się jej należy, ponieważ czekała na to całe życie. Jest mocno ożywiona, rozmawiamy jedynie o dniu bieżącym, żadnych nawrotów do przeszłości.

A teraz spać. Od jutra kąpielowe wakacje nad morzem, które w tych stronach jest jakies dziwnie surowe i natarczywe. Brak lazurów kolorów z Cannes i Mentony, brak przejrzystości spod Neapolu. Ale i do tamtych lazurów dobijemy.

O moich imieninach w tym roku pamiętała jedynie Leokadia, Być może inne życzenia podążyły pod paryskim adresem.

Czwartek - 2 sierpnia

Pędzimy bardzo skromniutki żywot. Wczoraj było coś w rodzaju burzy. Gdy się nieco uspokoiło, wyszliśmy na spacer i z wysokiego brzegu przyglądałyśmy się niespokojnemu Atlantykwowi. Biskaje, olbrzymia zatoka znana ze swej nieobliczalnej dzikości. Olbrzymie fale z wściekłością podbiegały ku brzegom i zdawało się nam, że lada moment zaleją wszystko. Ciemnozielone kolosy obrzeżone bryzgami skotłowanej piany. Nad niebem wisały ciemne chmury, prawie czarne w swoim granacie, a jedynie gdzieś dołami, na przecięciu się wód z horyzontem, znaczyły się jasne smugi światła. Szkoda, że okna naszych pokojów skierowane są w stronę przeciwną morzu, na jakiś maleńki ogród okolony murkiem, za którym wyrastają mury sąsiedniej willi. Nazwa: „Les Orangers” jest raczej tylko pustym dźwiękiem. Nie pomyślałyśmy w pierwszej chwili o możliwościach wynajęcia sobie mieszkania z widokiem na morze. Będziemy o tym pamiętać w najbliższej przyszłości.

W Biarritz wielki szyk. Ludzie wykrochmaleni, baby mocno postrojone. Kilka rodzajów kuracjuszy, od ludzi z ograniczonymi zasobami aż do luksusowych wozów z murzyńskimi szoferami w błyszczącej liberii. Sporo Anglików. Dotychczas jakoś nie spotkałyśmy naszych, to znaczy z Polski. Ale na pewno natkniemy się i na takich. W naszym pensjonacie jakoś niezbyt szczególnie z polskością. Pokojówka zwierzyła się nam dzisiaj przy śniadaniu, że jacyś Polonais nacięli jej patrona w ubiegłym roku. Nic dziwnego, że żądano od nas zapłaty za cały tydzień z góry. W dodatku patron jest wielce pretensjonalny, nazywa się „de” Laborde i stale paraduje z czerwoną tasiemką w butonierce. Szkoda, że nie zabrałam moich orderów, zwłaszcza Korona Jugosłowiańska wygląda bardzo efektownie. Ale to są głupstwa. Każda z nas mogłaby kupić sobie na własność taką willę „Les Orangers”, ale żadna nie umiałaby zabrać się do takiego interesu z pokojami i jedzeniem. Może Leokadia? Ale chyba w przeszłości, obecna Leokadia na pewno nie. Podobno są tutaj pensjonaty nagminnie odwiedzane przez polską publiczność, ale nie miałyby najmniejszego sensu pchać się z powrotem w takie otoczenie, dość mamy tego na miejscu w domu.

Sobota - 4 sierpnia

Na plaży natknęłyśmy się na rozbawione towarzystwo, posługujące się językiem polskim. Takie sobie. Niezachęcające, ponieważ hałaśliwe. Zachwycali się jak u siebie w domu. Lichy bilet wizytowy dla polskiego języka.

Dzisiaj w przejściu *monsieur* de Laborde dopytywał się, czy zdecydowałyśmy się na dłuższy pobyt. Być może był zdziwiony, że zjawiłyśmy się u niego z tak małymi walizkami. Z Francuzami nie warto zbyt delikatnie. Odezwała się we mnie kropla niemieckiej krwi i powiedziałam mu z pańska, chłodno i lekceważąco:

- Bagaże zostawiłyśmy u krewnych w Cannes, którzy posiadają tam własną willę, a w Biarritz zjawiłyśmy się jedynie w sposób przypadkowy, dla odpoczynku po dłuższej podróży autokarowej w Pireneje. Właściwym celem naszej podróży są Włochy, a nie Biarritz. Tutaj zjawiłyśmy się z prostej ciekawości, jak wygląda ziemia na pograniczu Francji i Hiszpanii. Sądzę, że zostaniemy przypuszczalnie do połowy sierpnia, zresztą niech pan zapyta o to moją ciotkę...

Miłe stosunekczki. Na pewno inne narodowości również nacinają właścicieli hoteli, ale widocznie czynią to w sposób znacznie dowcipniejszy, nasi natomiast... jak nasi...

Jeszcze na temat wstążeczek w butonierkach. Zbyt wiele jest tutaj odznaczonych. Widocznie Republika rozdaje swoje ordery z okazji wszystkich jubileuszów rodzinnych, imienin i urodzin. Skąd na przykład taki pan Laborde? Hotelarz i z orderem? Może w ten sposób jakiś dygnitarz zapłacił mu rachunek? Ale to nie są rzeczy ważne, zapisałam jedynie dlatego, aby się uspokoić. Najlepiej byłoby posiadać paszport amerykański, wówczas można by napluć na dywan pod stopami pana de Laborde. Jeszcze by się grzecznie uklonił i pobiegł do kiosku po świeżą gumę do żucia. Ciekawe, że chamstwo ma uznane prawo obywatelstwa na całym świecie, o ile jest modnie ubrane i ma grubszą forszę do wydania.

Na lody chodzimy do włoskiej „Gelaterii”, to jest światowy monopol wszystkich Italiańców.

Przy stole niezbyt ciekawe towarzystwo. Jakieś poważne i nieskłonne do zawierania amicycji. Po wieczornym obiedzie niektórzy zasiadają do gry w szachy. Także pomysł. My ubieramy się w nasze skóry i wychodzimy na spacer nad morze. Nie mamy toalet, trudno zatem marzyć o pójściu do jakiegoś wieczorowego lokalu. O dziesiątej śpimy. To znaczy każda z nas układa się na łóżku we własnym pokoju i marzy o czym innym. Leokadia studiuje już naprzód Włochy z niemieckich Baedekerów, które kupiła po drodze, a ja gryzmołę w moim bloczku.

W drodze nie napotkaliśmy ciekawszych towarzyszy. Każdy był zajęty sobą i stosunki nasze ograniczały się jedynie do rozmowy o pogodzie spodziewanej w dniu następnym. Każdy chodził własnymi drogami, na ogół wszyscy patrzyli więcej na góry niż na sąsiadów. Małżeńska para przebywająca w podróży poślubnej nie rozstawała się z sobą i odpowiadała na pytania obcych w sposób nieprzytomny, jak ludzie niepotrzebnie obudzeni w nocy przez jakiś omyłkowy telefon. Czasami nawet niezbyt uprzejmie, przypadkiem byli to bowiem Francuzi. Angielskie małżeństwo z córeczką, w którym pokładałam nadzieję - dla konwersacji - zawiedli. *Splendid isolation*. Chłodni i nieprzystępni, w jakimś wydaniu profesorskim.

Pana Tartarina z Tarasconu również nie spotkałyśmy. Widocznie dotrzymuje wierności Alpom i nie kusi się o zdobywanie Pic du Midi: Lejkinów po drodze nie zauważyłyśmy. Widocznie już wydali wszystkie pieniądze lub mają kłopoty paszportowe w swojej ruskiej ojczyźnie i nie mogą wyjeżdżać obecnie za granicę. Zamiast tego przewijał się przed naszymi oczami przebogaty folklor tutejszej ludności, dla której nie istnieją jeszcze zdobycze nie tylko XX wieku, lecz bałabym się napisać: XIX wieku. Bogate i kolorowe strony, równocześnie bardzo ubogie. Domki kryte mchem i także dachy umocnione kamieniami. Jednoizbowe, z podłogą z udeptanej gliny, paleniska bez komina z dymem wędrującym wesoło w górę ku niebu przez otwór w dachu. Czarne, okopcone wnętrza, kobiety stare i o pomarszczonych, chyba stuletnich policzkach. Wiedźmy spod ołówka Goyi. Pireneje. Ale warto było zobaczyć to wszystko na własne oczy, ponieważ ani pocztówki, ani nawet kinematograf nie są w stanie oddać wiernie, jak jest naprawdę w tych dzikich górach. Trzeba zobaczyć na własne oczy. Pocztówkowe widoczki są martwe i zastygłe w swej niemocie, a taśmie filmowej brak wiatru górskiego. Brak ludzi z bliska, ludzi żywych, ludzi w akcji. Trzeba osobiście zjawić się w sercu gór i przeżyć tydzień lub dwa. Pireneje w dodatku. W naszych Tatrach jest jakaś dziwna sielankowość krajobrazu, natomiast w Pirenejach dzikości pierwotnej natury nie złagodziły nawet kolejki i spacerowe autostrady, biegnące na wysokości prawie trzech tysięcy metrów. W dodatku pas tej samochodowej kultury materialnej jest bardzo wątłutki, tuż obok panuje niczym nie hamowana dzikość. Olbrzymie zwały masywów górskich pogrążone są w wiecznym śniegu. Amfiteatry Cyrku Gavarnie - w istocie kamienny cyrk, przytłaczający ogromem nagromadzonych granitów. Człowiek czuje się pyłkiem wobec tego morza bloków kamiennych. Warto było pospacerować z dębczakiem w ręce.

Jutro jedziemy do San Sebastian autokarem już od samego rana, wrócimy późnym wieczorem. Wszystko załatwi jedno otwarcie sakiewki, czyli portfelu. Przejazdy, jedzenie, bilety do łóż, podobno warto wydać więcej, aby wygodniej i lepiej obejrzeć sobie walki byków. Jutro wyjeżdża do San Sebastian połowa Biarritz - lekka przesada południowca z agencji autokarowej. W każdym razie droga to jest ekskursja, ponieważ zdecydowałyśmy się dopiero dzisiaj rano i trzeba było grubo nadpłacić. Od dwóch dni o niczym się nie mówi w naszym pensjonacie, tylko o Corridas de Toros.

Wtorek - 7 sierpnia

Upał, piekielnie prażące, niemal prostopadłe słońce. Barwne tłumy w jakimś roznamiętnionym rytmie hałasów, wrzasku i dzikich okrzyków. Pot ludzki pomieszany z silnymi perfumami. Tłum żujący i gryzący cukierki. Mdły zapach krwi. Podłe koniki picadorów przybrane w pozłótkowe szychy kolorowej tandety. Niemal kościelny ceremoniał pochodu bandy artystów od byków. Powietrze przepojone już naprzód żądzą krwi. Taka rzecz może zdarzyć się tylko w Hiszpanii - pod palącym niebem, które przyprawia o szal.

Patrzyłam bez specjalnego entuzjazmu. Trybuny nabite mnóstwem ludzi, nie było mowy o wcześniejszym opuszczeniu widowiska. Pierwsza właściwie przygoda z okresu naszych dotychczasowych wojażów. Przed nami o dwa rzędy niżej - znajoma Francuzeczka z podróży poślubnej. Nie wytrzymała. Wymiotowała silnie, przechyliwszy się w stronę męża. Biedak, wystrojony z elegancją paryskiego fryzjera. Kremowe spodnie. Nieprzyjemna sytuacja. Ale wszyscy byli mocno zemocjonowani i nie zwracali na to uwagi. Drobiazg. Życiowa miniaturka.

W drugim akcie - niezręczność toreadora została z miejsca osądzona przez gorącą publiczność. Na piasek posypało się wszystko. Co kto miał w ręce. A krzyki! Gdyby ta publiczność miała możliwość, rozszarpałaby chyba nieszczęsnego mistrza od byków. W dodatku ostatecznie zabił tego byka, ale w sposób niezręczny. Podobno to było niezgodne z artystycznymi wymaganiami hiszpańskiej publiczności.

Koniec. Widowisko nie dla mnie. To samo mówiła Leokadia. Tylko tyle, że obejrzałyśmy sobie północny kraniec Hiszpanii. Inny kraj, inni ludzie. Kraina Basków. Podobno po obu stronach Pirenejów mieszka ten sam szczep górski, ale każde z wydań, francuskie i hiszpańskie, jest w innym gatunku, w innym stylu. Mam wrażenie, że po tamtej stronie Pirenejów bardziej gorąca krew płynie w żyłach mieszkańców. Coś niecoś doczytałam się o tym w moich Taine'owskich lekturach.

Dzisiaj nadeszła druga paczka listów przez Paryż, tym razem już wprost, bez pośrednictwa Elzy.

Środa - 8 sierpnia

Pogoda psuje się. Zapowiadają trzydniówkę. Ale to i tak nie wpłynie na nasze zamiary. Wyjeżdżamy piętnastego wieczorem, prościutko do Avignonu, jednym tchem. A później przesiadka do Cannes. Już napisałyśmy odpowiednie listy, do Paryża i do Elzy. W programie dwa dni w Cannes, a później kierunek na Włochy.

Czwartek - 9 sierpnia

Pierwsze rozmowy z krajanami. Dwóch starszych panów. Obaj z Warszawy. Ale tak sobie, bez wielkiego entuzjazmu. Od razu widać, że znajomość na tropach poszukiwania łatwych kobiet. Obaj w wieku ponad pięćdziesiąt lat. Owszem, przesiedzieliśmy wspólnie dwie godziny na tarasie, ale na tym był właściwie koniec. Takie sobie spokojne egzemplarze męskie. Rozmowy nieciekawe, obaj adwokaci, bez żon. Poszukiwanie kobiet aż biło w oczy. Taksowanie oczami i wyczekiwanie na rozwój sytuacji. Leokadia uprzejma na swój sposób, ja z lekka drwiąca. Od razu na wstępie mało dowcipne pytanie:

- A co panie robią w Warszawie?

Leokadia roześmiała się rozbawiona i odpowiedziała, że absolutnie nic nie robi. Ja przyznałam się do tego, że pracuję... w lakierach. Obaj wiedzieli o istnieniu wystawy na Nowym Świecie z trickami reklamowymi. Wyobrazili sobie, że jestem pracowniczką tej firmy... Dobrzy sobie. Nie prostowałam, bo i w jakim celu? Bawiłam się sytuacją, brałam ją na wesoło. Po odsiedzeniu godzinki przy muzyce nie zamknęłyśmy się jednak z nimi w jednym czy dwóch pokojach, co byłoby zapewne dogadzało naszym rodakom. Za to uraczyłyśmy ich opowiadaniem o Pirenejach, w których się obie zakochałyśmy. Zawiodłyśmy nadzieje wakacyjnych wdowców, nie odgadłyśmy ani rusz ich ukrytych życzeń.

Błazny wyobraziły sobie, że warszawianki w tym tylko celu jeżdżą do Biarritz, aby ucinąć sobie romanse z podtatusiałymi i mocno wyłysiałymi don Juanami *made in Poland*. Po powrocie do pensjonatu zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Leokadia powiedziała:

- Widzisz, Anno, tacy właśnie są mężczyźni. Należy ich stale pilnować. Gdy się ich spuści z oczu, zaraz wchodzą w szkodę.

Ze swojej strony nic nie dodałam, miałam na języku: - A szkody są z tego zadowolone. - Prawie ugryzłam się w język.

Sobota - 11 sierpnia

Dzisiaj montują się dwa stoliki brydżowe. Zobaczymy, co z tego będzie. *Monsieur patron* wyobraża sobie być może, że to nas zatrzyma w willi „Pod Pomarańczami”? Głupi, tylko że obecnie już ugrzeczniony. Któregoś dnia próbował zabawiać nas rozmową i wyszło z tego, że przed dwudziestu laty był na froncie i zaraz na początku wojny dostał się do niewoli. W obozie jeńców, gdzieś pod Hamburgiem, nauczył się trochę po niemiecku i z tego był od razu powód do radości. Wyobraził sobie, że jesteśmy, obie z Leokadią, Niemkami z pochodzenia, które jedynie powojenne losy uczyniły Polkami. Popisał się znajomością sprawy, że polskie nazwiska kończą się na „ski”, i mało brakowało, aby nas nie przeproszał za to, że wziął nas początkowo za... Polki. Słuchałyśmy tego wszystkiego raczej z grzeczności niż z ochoty. Nic nie dodawałyśmy ze swej strony i niczego nie prostowałyśmy. Pan Laborde był jakby odmieniony. Zatopił się w niemieckich wspomnieniach koślawiąc niemożliwie język niemiecki.

I oto z poręki pana Laborde wynikły dla nas brydżowe perspektywy. Przecież będziemy mogły się każdej chwili wycofać. Na towarzystwie specjalnie nam nie zależy, i tak za cztery dni pojedziemy w nowy świat i zamieszkamy wśród innych ludzi.

Nie jesteśmy jeszcze zdecydowane, w jakim tempie będziemy zwiedzać Włochy. Teraz niezbyt dogodna pora. Gorąco. Ale wszędzie na południu jest obecnie to samo.

Niedziela - 12 sierpnia

Brydż tylko w obrębie gości naszego *pension de famille*. Jakoś się uzbierało. Z góry zastrzegłyśmy się do rozmiarów tylko czterech robków. Karty ustaliły podział na dwie partie. Ja grałam z jakąś Dunką w średnim wieku oraz dwoma Francuzami. W drugiej partii była Leokadia z żoną jednego z moich Francuzów, jakaś samotna paryżanka, lecz z narodowością nieodcyfrowaną, oraz pan, nazywany markizem. Poliglota, mówiący nawet trochę po rosyjsku. Zdaje się, że partner od paryżanki, ale *liaison* utrzymywane jest bardzo dyskretnie. Szczupła paryżanka w wieku bliżej nieokreślonym, jednakże już po czterdzieście. Włosy w kolorze rudawym, lecz zręcznie stonowanym z całością sylwetki.

Mogłaby z powodzeniem zagrać w filmie rolę damy z towarzystwa. Jaka jest w rzeczywistości, trudno odgadnąć. Oboje nie są hałaśliwi, uprzejmi i nikomu nie wchodzą w paradę. Zajmują na tym samym piętrze podobne dwa pokoiki, jak nasze, również połączone taką samą werandką. Kto ich tam wie, skąd i z jakim programem życiowym. Może to niebieskie ptaki, a może stanowią tylko jakąś przelotną parę od dwóch nie znających się w komplecie par?

Moja duńska partnerka z językiem niemieckim. Dziwna rzecz, ucieszyła się, gdy stwierdziłyśmy obopólną znajomość tego języka. Szkoda, że dopiero pod koniec naszego pobytu. Żona kupca z Kopenhagi, handlują srebrem stołowym. Żonaty Francuz - inżynier, pracuje w kolejach. Drugi partner - miejski urzędnik z Lyonu. W każdym razie goście nie z towarzystwa Królowej Małgorzaty i rozmówki przy brydżu były mocno odmienne od renesansowego dzieła z Cauterets...

Reszta była również mocno przyzwoita. Przegrałam koło stu franków, Leokadia wygrała czterdzieści dwa. Seans zakończył się zresztą jeszcze przed północą. Podano nam czarną

kawę, jak zwykle na żądanie, to znaczy z dopłatą w rachunku. Hotelowi Francuzi żyją z kredką w ręce, nawet gdy na co dzień obnaszają czerwone wstążeczki w butonierkach. Zresztą nasze rodzinie panusie w Krynicy czy Zakopanem potrafią *idem*.

Dzisiaj po południu byliśmy na wycieczce samochodowej w pobliskim Hendaye. Z naszą nową znajomą, bardzo miłą i towarzyską osobą. Umie się pośmiać, umie również być poważna. Używa sobie z niemieckim językiem. Właściwie gadają obie, Leokadia i ona, ja raczej słucham. Napiłyśmy się tamtejszego likieru, specjalność słynna na cały świat. Kupiłyśmy trzy butelki, powieziemy w prezencie dla Elzy, która owszem, nie odmawia, gdy częstują.

Na plaży dzisiaj nie byliśmy. Ledwo zdążyłyśmy na ostatnią mszę. Zaspałyśmy, a pokojówka nas nie budziła, na nasze wyraźne życzenie. Dopiero koło południa wypogodziło się, pogoda była w sam raz na samochodową wycieczkę. Mamy przed sobą trzy dni plażowania. Cóż, kiedy morze jest tutaj niesłychanie dzikie i nieposkromione w swojej wściekłości. Trzeba się dobrze pilnować, fale biją mocno i czasami zbijają z nóg, gdy zapomnieć i nie stanąć dość silnie.

Wtorek - 14 sierpnia

Kopenhaga namówiła nas na wycieczkę rybackim kutrem. Poświęciliśmy temu całe dzisiejsze przedpołudnie. Owszem, było bardzo uroczo, ale mało bezpiecznie. Nasze morze koło Helu to dziecinna sadzawka. Huštało i kołysało na wszystkie strony. Co do mnie, byłam rada, gdy wylądowałyśmy z powrotem w porcie rybackim. Dunka była w swoim żywiole, okazało się, że jest córką marynarza. Matka pochodzi ze starej rodziny żeglarzy, ojciec, marynarz, ożenił się z córką swego kapitana. Sklep ze srebrami był już na finiszu rodzinnym, po wzbogaceniu się na morzu i po wyjściu za mąż. Z Dunką wymieniliśmy adresy, wszystko może zdarzyć się na świecie. Zobaczymy. Co prawda łatwiej nam do Kopenhagi niż naszej znajomej do Warszawy. Namawiałyśmy na Targi Poznańskie i na Targi Wschodnie, wszystko z polskiego patriotyzmu.

Wieczory poświęcamy obecnie na opisywanie ołówkiem naszych zdjęć z podróży. Jest tego cała masa. Jeden komplet zdjęć dla mnie, zapakuję to wszystko w paczkę, gdy wrócimy do Cannes, i wyślę do Warszawy z innymi rzeczami zakupionymi w drodze. W podróży bardzo często całkiem bezmyślnie kupujemy albumy, widoczki, przewodniki, a później już u siebie w domu dziwimy się, na co komu to było potrzebne. Doświadczałam już tego podczas mojej pierwszej podróży, lecz i obecnie powtórzyło się to samo. . W każdym razie „Leica” i „Zeiss” oddały nam wielkie usługi.

Środa - 15 sierpnia

Południe. Wszyscy są zadowoleni. My, że byliśmy dwa tygodnie w Biarritz i że już dzisiaj odjeżdżamy. *Monsieur de Laborde*, że bez zmużenia oczu zapłaciłyśmy końcowy rachunek ze wszystkimi dopłatami. Ciotka Leokadia nie przeglądała cyfr złożyła rachunek w czworo i nie patrząc zapytała, ile wynosi końcówka. Służba otrzymała napiwki podwójnej wysokości.

Dalszy program nieco zmieniony, jutro po południu lądujemy w Nimes. Wyczytałyśmy o osobliwościach tego miasta i jednogłośnie uchwaliliśmy poświęcić na ten cel jeden dzień. Dopiero w piątek po południu lub wieczorem wyruszymy w dalszą drogę.

Nimes - piątek - 17 sierpnia

Utknęłyśmy. Moc rzeczy do zwiedzania, starczyłoby nawet na cały tydzień. Oblatujemy wszystko po łebkach. Tuż obok starożytności mieści się nowoczesne miasto, podobno koło stu tysięcy mieszkańców. W dalszą drogę udamy się jutro, dniem, szkoda zarywać nocy. Do Elzy wysłałyśmy z drogi uspokajający telegram.

Cannes - niedziela - 19 sierpnia

Dopiero obecnie czujemy zmęczenie po tych wszystkich eskapadach, „sztrapacach”, jak by powiedzieli na naszym Pomorzu. Z przyjemnością przebrałyśmy się w jakieś bardziej kobiece szatki. Nic dziwnego, że w Biarritz nie miałyśmy powodzenia. Już się nam sprzykrzyły stroje podróżne, mimo że z musu kupiłyśmy sobie to i owo. Bagaże rosną. Wydałyśmy furę pieniędzy, na razie jednak o niczym nie myślimy i wylegujemy się w chłodnym cieniu ogródka Elzy Dubow.

Zastałyśmy nowe listy z domu. Tym razem - pierwszy list od „panny Beaty od lakierów”, wetknięty do listu Florencji. Głupia, nie umie pisać o niczym innym, tylko o lakierach. Jakby z dumą pisze, że sortyment naszego sklepiku rozszerzył się, a pan Imroth podobno zgrzyta ze złości zębami. Naturalnie stary kupiec zgrzyta protezami, a panna Beata wypełnia sobie swoją staropanieńską duszę uczuciem nasyczonej zemsty. Ale to dopiero trzeci miesiąc, a w handlu nigdy nie wiadomo, co jutro wyskoczy. Prawie pięćdziesiąt tysięcy utargu sklepowego w lipcu i około trzydziestu tysięcy - przez agentów na prowincji. Kto by to powiedział. Ale w sklepiku panny Beaty kupują nie tylko amatorzy na własnoręczne pomalowanie stołków i łóżeczek dziecinnych. Być może panna Walczak odciąga od Imrotha po trochu malarzy. Byle tylko nie dawała im na kredyt, ponieważ powstałby nowy Imroth z nową kredą, nie tyle malarską, co kredytową. Doskonale rozumiem, że majstrowie wolą kupić to i tamto w nowym sklepie, a Imrothowski kredyt zostaje w dalszym ciągu kredą. Co do mnie, to wolałabym jakoś ułożyć się ze starym kupcem. Taka wojna do niczego nie prowadzi. W dodatku niedobrze się stało, można było poszukać i ostatecznie kupić jakiś lokal na Marszałkowskiej. Tylko że na odcinku od Alei do Królewskiej nie można było wetknąć nawet szpilki, wszystko obsadzone i mocno przeludnione. Właściwie tylko do Kredytowej, ponieważ koniec Marszałkowskiej blisko Królewskiej jest bez wartości. Był do kupienia co prawda mały sklepik tuż obok „Żywca”, ale bardzo drogo i bez zaplecza magazynowego. Goła, mała ciupka, tylko od ulicy. Doskonały punkt, ale interes nie był możliwy do sforsowania ze zdrowym rozsądkiem, samo odstępné sześć tysięcy dolarów.

W tej chwili przyszło mi na myśl, że z Warszawy wyjechałyśmy 24 maja, w przyszłym tygodniu skończą się zatem nasze pierwsze trzy miesiące pobytu za granicą. Prawie połowa drogi, jeżeli czas można nazwać drogą. Ale ku czemu... ku śmierci?

Elza twierdzi bardzo rozsądnie, że należałoby zwolnić tempo podróży i wrażeń. Doradza spokojny miesiąc gdzieś nad jeziorami szwajcarskimi, od strony Włoch, nawet owo Lugano, o którym była mowa w Paryżu. Dzisiaj jeszcze nie wiemy, dokąd pojedziemy. Na razie wylegujemy się na leżakach i słuchamy opowiadań Elzy o jej podróżach. Nasza gospodyni ma fenomenalną pamięć, sypie nazwami miast i uliczek. Zna wszystko na południu Francji, Śmiała się z naszych zachwyty nad autokarową drogą wśród Pirenejów. Podobno z kijem w ręce i w mocno podkutych buciarach można zobaczyć znacznie więcej interesujących partii górskich. Co do mnie, to jednak wolę wygodne autokary. Człowiek nie męczy się pokonywaniem odległości i nie martwi się tym, czy aby znajdzie po drodze wolne miejsce do spania. Nie wyobrażam sobie noclegu w jakiejś górskiej chacie. Elza podobno nocowała również w takich warunkach i nie zjedli jej. Ale na pewno miała... towarzystwo.

Pierwsza część naszej podróży udała się. Co do mnie, to istotnie utknęłabym na jakiś spokojny miesiąc w uroczym zakątku nad jeziorami. Ale z Leokadią nigdy nie wiadomo. Ostatnio ulega porywom, łatwo zapala się do jakichś pomysłów, które chce natychmiast realizować.

Na razie zostajemy kilka dni w Cannes. Nawet sama Leokadia mówi, że trzeba odpocząć przed następnymi zwiedzaniem. Obecnie studiuje przewodniki po Florencji. Potwierdza się powieść Taine'a o kilku rodzajach podróżników. O tych, którzy naprzód studiują to, co mają nazajutrz oglądać, a dopiero później zwiedzają wszystko ze spokojem i

zadowoleniem, że niczego nie przeoczą. Co do mnie, doświadczyłam już zmęczenia takim stylem zwiedzania. Cenię raczej niespodzianki w miejscach najmniej oczekiwanych. To bardzo przyjemnie błądzić po wąskich uliczkach i nagle stanąć wobec koronkowych murów jakiejś katedry sprzed tysiąca lat. Wyrasta taka niespodzianka, jakby w bajce, i stajemy od razu oszołomieni myślą, w jaki tajemniczy sposób wieki ustrzegły ją od pogrążenia się w nicość ruin.

Dzisiaj spokojna niedziela. Elza nie ciągnie na brydża, domu jej nie odwiedzają hałaśliwi goście z przypadku. Mówi, że uważa Cannes za oazę spokoju, w której chowa się czasami, jak królik z bajki. Na miejscu stara się nie mieć znajomych. W Genewie ma coś w rodzaju garsoniery, jak to sama nazwała. We własnej kamienicy czynszowej, w centrum miasta, tylko dwa pokoje z hallem i łazienką, bez służby. Przychodnia sprzątaczką. Pomimo willi ojca nie mieszka u niego podczas swoich pobytów w Genewie.

Opowiadałam o testamencie starego doktora. Nawet jej, Elzie Dubow, kosmopolitce i obieżyświatowi, zaimponowała taka myśl przywiązania mnie na okres kilku lat do jego mieszkania. Według niej było w tym znacznie więcej fantazji niż w zwykłym na przykład zapisaniu całej kamienicy.

Wtorek - 21 sierpnia

Siedzimy w dalszym ciągu w gościnnym domu Elzy Dubow. Właściwie Doubow, ponieważ ojciec Płaton po osiedleniu się w Szwajcarii uzupełnił sobie nazwisko dodatkową literą, podobnie jak pan Krymułt (albo Crymoult).

Niby się nam tutaj nie nudzi, mamy tuż pod nosem, w zasięgu łatwym do pokonania - kilkanaście najpiękniejszych plaż światowych, a nieustannie tkwimy w różnych prospektach i przewodnikach. Na przykład dzisiaj wyskoczyło zagadnienie kilkudniowej wycieczki. Partia górską na północ lub odrobienie morskiej wycieczki z Nizy do Ajaccio, to znaczy na Korsykę, łącznie z objechaniem wyspy dookoła w ciągu kilku dni, znów autokarem. W dodatku podróż morska od dziewiątej wieczorem do wpół do siódmej rano. Na upartego problem tylko dwóch nocy i jednego dnia, aby obejrzeć z bliska dom, w którym przyszedł na świat... kochanek pani Walewskiej.

Gdy wypisywałam sobie z prospektu P.L.M. możliwości autokarowe, przyszło mi na myśl, że na przykład kosztem dwóch tysięcy złotych miesięcznie można by urządzić sobie życie w nieustannych podróżach. Prawie dwieście franków dziennie. W granicach skromnych, lecz niemniej już wygodnych można by nieustannie podróżować. W tym miejscu pytanie, w jakim celu ludzie zamożni rozbijają sobie głowy w pogoni za dalszym pomnażaniem majątków? Dwa tysiące złotych miesięcznie to akurat osiem procent rocznie od trzystu tysięcy złotych, które już posiadam. Po prostu spokojna lokata w porządnym domu lub jakieś murowane papiery państwowe w rodzaju Banku Polskiego. Lub jeszcze lepiej: hipoteka na cudzym domu, wyższy nawet procent, zabezpieczenie pewne, jeżeli na dobrym numerze. Bez kłopotu. Gdy dłużnik nie płaci, zawsze można sprzedać mu dom na licytacji i dojść do swoich pieniędzy. Powiedzmy: pół roku w podróżach, a pół roku po miesięcznym pobycie w różnych miejscowościach. Miesiąc tak, miesiąc inaczej. Problem.

Kwestia znudzenia. Pierwszy rok gładko, a później różne „Petit-Grand-Hotele” i pensjonaty „Pod Drzewami Pomarańczowymi” wyłaziłyby nosem. *Słówka* Boya umiem już na pamięć a nawet Taine może się przejeść ze swymi breweriami o Pirenejach.

W tych okresach można by powracać do kraju i odwiedzać najbliższą rodzinę. Każdego roku można by liczyć na dwutygodniową radość w Wąbrzeźnie, Gdańsku, Grudziądzu, Starej Wsi, Górkach, choćby pod Kutnem u wujcia Benedykta, we Lwowie u Michasiów czy nawet na wsi u pana starosty Tuchołki... o ile tymczasem nie zrobią go przez pomyłkę wicewojewodą. Po takiej corocznej rundzie rodzinnej - nabierałabym ochoty do następnych wyjazdów zagranicznych...

Podobno w taki sposób kończą swoje życie starsze Angielki, wyposażone w jakieś średnie renty. Tysiąc funtów rocznego dochodu nie należy tam do rzadkości, to objaw podobno dość często spotykany.

W dodatku częstsze podróże zaostrzyłyby we mnie siódmy zmysł wygodnego urządzania się. Taka umiejętność przychodzi dopiero z czasem.

Zmęczyłam się pisaniem. Tępo idzie. Upał. Nawet mimo Lazurowego Wybrzeża i sławnego na cały świat Cannes. Koniec. Czego się napić? Soku z pomarańczy czy też z grejpfruta? Chyba to drugie, tutejsze pomarańcze są zbyt słodkie. Lekko ocukrzę.

Środa - 22 sierpnia

Spacerowałyśmy dwie godziny po Croisettes, ale nie natknęłyśmy się na znajomych z Polski. Sporo polskiej mowy po drodze, ale wszystko ludzie obcy. Oczekujemy na listy z domu, zwłaszcza Leokadia. Podczas ostatniej bytności w Marsylii zostawiłam w księgarni zamówienie na pamiętniki Samuela Pepysa, owego Anglika sprzed trzystu lat. Obecnie przezornie przysłano mi pewnego rodzaju wyciągi czy skróty tego dzieła w dwóch sporych tomach. Księgarnia pisze, że może dostarczyć w ciągu dwóch tygodni komplet w ośmiu tomach. Chyba zatrzymam się na tym, co mi już przysłano. I tak sporo się natrudzę, nim to wszystko przeczytam. W dodatku, ten, kto skracał, na pewno wybrał momenty najbardziej esencjonalne, nie warto byłoby grzebać się w drugorzędnych detalach. Ja sama, gdybym kiedyś powzięła zamiar przepisania moich stenogramów, wyrzuciłabym z nich przynajmniej połowę. W tym miejscu notuję pytanie dla mnie samej: co bym wyrzuciła? W jakim stopniu starałabym się ubrać Annę Jambor w białą szatę niewiniątka? Głupstwa, głupstwa...

Na razie studiuje życiorys tego osobliwego dżentelmena. Pisał również pewnego rodzaju szyfrem, zbliżonym do stenografii. Kolega zatem po fachu, lecz żyjący w odmiennych warunkach. Żona była Francuzką z pochodzenia, z hugonockiej rodziny, która schroniła się do Anglii. Tomy zabieram w każdym razie do Włoch. Obie moje panie były zdziwione wyborem takiej właśnie lektury. Elza, jak się okazało, przeglądała jedynie kompletne wydanie tych pamiętników.

Dzisiaj wieczorem starałam się przetłumaczyć Elzie kilka strofek ze *Słówek* Boya. Niełatwe zadanie, szło bardzo kulawo, ale i z tego, co zdołałam ubrać we francuskie słowa, można było się pośmiać. W ten sposób polski tłumacz literatury francuskiej doczekał się w Cannes przetłumaczenia *Słówek* na francuski.

Piątek - 24 sierpnia

Odmówiłam wzięcia udziału w korsykańskiej wyprawie. Zbuntowałam się. Pojechały obie entuzjastki, a ja sama zostałam na gospodarstwie. Elza chciała ładować swój duży samochód na statek, ale jakoś wytłumaczyłyśmy jej kłopot i trudności z takim bagażem. Będzie to czwarta podróż Elzy w tamte strony, ostatnia miała miejsce przed sześciu laty. Również własnym wozem, tylko że mniejszych rozmiarów, jakąś sportową angielską marką. Dyskretny uśmiech upewnił mnie, że to było bez szofera...

A zatem wczoraj wieczorem kiwałam z mola chusteczką i w ten sposób zostałam sama. Dałam nawet samorzutnie urlop naszemu szoferowi aż do powrotu obu pań z Korsyki, co ma nastąpić w poniedziałek rano. W programie objeżdżanie wysepki w ciągu trzech dni - na trasie prawie pięciuset kilometrów. Prix du Circuit, jak to się nazywa w narzeczu autokarowym. Dwieście dziesięć od osoby, gołe przejazdy, reszta według gustu i osobistej fantazji podróżników.

Osobiście nie zapieram się i na pewno kiedyś przy okazji popcham się stateczkiem na wyspę kochanka pani Walewskiej, ale tym razem nie miałam ochoty. Ostatnio przed miesiącem dokuczyły mi Pireneje, obecnie zatem wypoczywam, jak to czynią wszystkie szanujące się kobiety. Doczytałam się w Pepysie - czytam na wrywki, gdzie się karta

otworzy - że takie dni jego żony nie uchodziły nawet jego uwagi. W ogóle czytam nieporządnie, chaotycznie i korzystam z małego kieszonkowego słowniczka angielsko-niemieckiego. W ten sposób angielski Pepys dociera do mnie poprzez moją niemczyznę. W podobny sposób wybieramy się do Włoch z Leokadią. Nie pomyślałyśmy o słowniczkach w Polsce i dopiero w Nicei zaopatrzyłyśmy się w słowniczki niemieckie małego formatu. Wspaniałe wydanie włoskich: Fratelli Treves z Mediolanu. Prawie tysiąc stron na cieniutkiej bibułce, całość grubości dwóch centymetrów, książeczka w formacie trochę większym od połowy pocztówki. Zobaczymy zresztą na miejscu, w jakim stopniu posiadamy zdolności językowe. Elza mówi po włosku bez zajknięcia, miękko i płynnie. Nic dziwnego, to jest prawdziwa kosmopolitka ze szwajcarskim paszportem. Bardzo dobry paszport, może nawet lepszy od amerykańskiego paszportu pani Maltz. Amerykanom się kłaniają, lecz nimi gardzą. Szwajcarów - szanują. Zdołali wyrobić sobie opinię ludzi spokojnych i rzetelnych. A - my? Lepiej nie wspominać. Trochę lepiej od rosyjskiej hołoty emigranckiej, która poniewiera się po świecie z Nansenowskimi paszportami, ale również w tej samej klasie etranżerów. Klasa amerykańska i angielska, wspólna klasa wszystkich Skandynawów plus Dania i Holandia, klasa południowców z odróżnieniem mieszkańców lewantyńskich typu *monsieur* Zajlicz, specjalna klasa germańska (*tedesco*), oraz klasa bałkańska, obejmująca wszystkie niespodzianki i kłopoty dla francuskiej policji. Od książąt aż do złodziejasków kieszonkowych. Oprócz tego dwa pojęcia: własni kolorowi i obcy kolorowi. To znaczy ludność zamieszkująca kolonie francuskie oraz podobna ludność z angielskich kolonii, reszta się nie liczy. Z tymi kolorowymi zresztą niewiele kłopotu. Trochę służby z Algieru, wojska kolonialne z najwyższym stopniem porucznika dla takiego kolorowego wojaka oraz indyjscy nababowie z grubszą forszą, pociecha dla *demimonde'u* i dla sfory różnego rodzaju dostawców francuskich. I oto bramy Francji otwarte dla przyjezdnych z całego świata. Moc policji, karty *d'Identite Etrangers* w cenie 68 franków i podobno brutalny nadzór nad tymi wszystkimi, którym, na nieszczęście, wyczerpały się fundusze. I oto Francja, od strony tylnego podwórka.

Rzecz prosta, że ja osobiście nie stykam się z tym wszystkim. Dla takich jak ja Francja jest z rewerencją, ponieważ oczekuje po nas, że rozslawimy po świecie „Grand Hotele” i historię doczepioną do słupków milowych na szlakach turystycznych. Ale zbyt wielka jest rozpiętość pomiędzy historią przeszłości a francuską rzeczywistością dnia powszedniego. Podobnie zresztą jak na całym świecie. Znajomość tych tematów posiadam jedynie w wyniku rozmów, ponieważ i o tym się rozmawia. To nam szkodzi. Nam, to znaczy tym wszystkim, którzy wyjeżdżając z Polski za granicę, pragnęliby natrafić na atmosferę życzliwości. O jakimś szacunku nie marzę. Ale - cóż? Pokazanie naszego paszportu z miejsca tonuje uśmiech nawet na twarzy portierów hotelowych. Najlepiej zatem, o ile można, nie pokazywać paszportu, a zamiast tego zaczynać od napiwków. Reszty nie zauważać. Dobrze, ale to jest męczące. Wszystko pozostaje na granicy niebieskich ptaków, którzy nacięli *monsieur* de Laborde'a. Napiwki przyzwoitych ludzi z Polski nie są w stanie zrównoważyć czy osłabić opinii i powszechnego wrażenia. A w gazetach każdego niemal dnia: *les cambrioleuis polonais...* jak gdyby to był chleb powszedni dla wychodźców z Polski. Na pewno Arabowie czy nawet Włosi i Hiszpanie daleko dzielniej operują nożem, ale o nich pisze się *petitem* i z wyrozumiałością. To jakby swoi nożowcy. A Polacy - obcy przybysze. Tacy są Francuzi na co dzień, bez maski salonowej.

W Paryżu pan Krymułt opowiadał nam o pewnym wydarzeniu z ostatnich czasów. Syn jakiegoś szejka, księcia, czy czegoś takiego, dosłużył się pierwszego paska oficerskiego. Miał pieniądze, nawiązał łatwy stosunek z jakąś mężatką, żoną innego oficera, ale już Francuza. W pewnym momencie kobiecie znudził się stosunek z dzikusiem, odmówiła i w rezultacie kolorowy wdarł się do mieszkania swej byłej kochanki i obciął jej głowę... nożem kuchennym. Ale podobno nic mu nie zrobili, po cichu odesłali z powrotem do ojca, na którym republice aktualnie zależało.

Dobrze, że nie pojechałam w tych dniach na wyprawę korsykańską. W dodatku taki mały stateczek zawsze porządnie kołysze. Jak widzę, przeżywam mój pierwszy dzień samotności w niezwykłym spokoju i w pogodnym usposobieniu. Piszę te słowa w chłodzie, na leżaku pod drzewem. W cieniu. Dzisiejszy dzień jest niezwykle łagodny. Osobiście pragnęłabym ustalić taki właśnie rodzaj mojego osobistego życia: pogodny w uśmiechu, chłodny w swojej treści i równocześnie ciepły w szczegółach. Bez wstrząsów i bez głębokich przeżyć czy przemian. Nie warto. To szarpie nerwy. Przybliża ku nam kłótniwą starość i wypełnia ją później złymi wspomnieniami. A wspomnienia człowieka szczęśliwego i zadowolonego z życia nie powinny być wypełnione nerwowym przewrażliwieniem. Spokój duszy i chłód przeżyć. Przyjemność w namiętnościach; bez pozerającego człowieka niepokoju żądz.

Czy aby nie pożądam zbyt wiele? Pragnęłabym stworzyć sobie dni przyjemne, bez niespokojnych nocy. Czas to wszystko okaże, lata następne rok po roku zrealizują, potwierdzą lub temu zaprzeczą.

Tymczasem dobrze, gdy pod ręką jest dzbanek z sokiem gorzkiego, lecz zimnego grejpfruta, który przezorna szwajcarska Wikta mojej kuzynki Elzy podstawiła mi pod rękę obok mojego leżaka. Zamiast tego dobrego wina, które spijał święty Marcin w starofrancuskiej legendzie.

Wypiję zatem kwaśnym płynem za zdrowie tego wszystkiego, co jest przyjemne w życiu. Pytanie: co? Ale i na to znajdzie się oportunistyczna odpowiedź: przyjemne jest to, co dla nas w danej chwili ma moc czarowną, co się nam podoba, reszta - to już sprawy nieważne. Szczęście - chwili, zwykły los człowieka.

Sobota - 25 sierpnia

List od Gabrysi. Z upoważnienia Leokadii otwarłam. Nic ważnego. U nich wszystko po staremu. Maksiu zagoniony, państwo Orzechowscy zamierzają spędzić wrzesień w Montecatini. Niewiele wiem o tej miejscowości, podobno koło Florencji, włoska Mekka kurortowa naszych ziomków. Z tego wynika, że po drodze o nią zawadzimy.

Poza tym kartka z Ajaccio. Bardzo szybko nadeszła, nic dziwnego, pocztą lotniczą. Głupstwo w wysłaniu takiej pocztówki. Widok domu Napoleona, znany już skądinąd. Figuruje na prospektach jako główna atrakcja tej wyspy, równoległe z opowieściami o bandytach, którzy tam uchodzą za regionalnych bohaterów narodowych. Ponadto zapewne jako jedna z dwudziestu takich widokówek, które Leokadia wysyła z każdej miejscowości do krewnych i znajomych. Hurtem i z przyzwyczajenia.

Nasz szofer zjawił się, widocznie nudzi mu się na urlopie. Namawiał mnie na wycieczkę do kasyna. Ani mi w głowie, byłam tam dwa razy, moje zapotrzebowanie zostało na razie pokryte. Polacy są tam nieciekawi. Osobiście nie rzucam sztonów na zielone sukno, nie znajduję w tym przyjemności. Goście kładą w kasynie jakiś głupi żeton na kwadrat numeru i wytrzeszczają oczy: który numer wyjdzie? Każdemu się zdaje, że właśnie tym razem wygra. A krupierzy patrzą na to wszystko z pogardą wywyższonego krzeselka i z satysfakcją zgarniają stopy żetonów ze wszystkich pól, kratek, aby później postawić przed kilku zaledwie graczami małe kupki jałmużny, którą kasyno pozwala wygrywać naiwniakom jako przynętę do dalszej gry. A równocześnie książkę Monaco spokojnie łapie nowe potwory morskie do swego ukoronowanego akwarium.

Odmówiłam. Za to przejdę się pieszo, późnym wieczorem, po promenadzie. Chłodny wiatr od morza pociąga mnie więcej niż spocone dreszczyki przy zielonym stole. W dodatku tutejszy chłód pod koniec sierpnia jest niezwykle łagodny.

Niedziela - 26 sierpnia

Obudziłam się wczesnym rankiem i całkiem nieoczekiwanie moje oczy natknęły się na scenę całowania się szofera i szwajcarskiej gospodyni. Była chyba godzina czwarta rano. Widok z okna w stronę domku w głębi ogrodu. *Sub love*. Ale cóż mnie to obchodzi? Widocznie oboje tego potrzebują. Taka sobie stateczna kobieta, o ile wiem, kalwinka i z większą skłonnością do języka niemieckiego. Były carski oficer, obecnie w randze szofera zamożnej, chociaż trochę nerwowej czy zwariowanej Elzy Dubow. Gospodyni była w stroju raczej nocnym. Ale noce tutaj są niezwykle łagodne. Szofer mieszka w domku, nad garażem, gospodyni w suterynie, koło kuchni.

Na scenę patrzyłam przez okno zasłonięte jedynie na sztorc ustawioną żaluzją. Pomyślałam: każdy konsumuje to, co ma pod ręką. Może dlatego nawet nie pojechałam na wycieczkę samochodową, jak to sobie nad ranem planowałam, po przebudzeniu się. Nie żałuję, wypoczywam. Jutro rano i tak wrócą moje opiekunki i znów porwie mnie w swoje objęcia towarzyski kierat.

Za to byłam w kościele. Przyznaję, że z ciekawości, a nie z pobożności. Na bardzo późnej mszy. Niby wszędzie ta sama religia, jednakże jakieś obce, dodatkowe zwyczaje, kościelne ceremonie...

O kąpieli w morzu nie było jeszcze mowy. Po południu trochę spacerowałam po Cannes. Po tym normalnym mieście francuskim, które jedynie zazębione jest o kurort tysiącem interesów handlowych. Powoli i bez specjalnych zachwytów. Usiadłam na krzeselku przed małą kawiarenką i uczyłam się odróżniać napływowych gości od miejscowych Francuzów. Bardzo łatwo, tylko trzeba się temu przyglądać w spokoju.

Śmieszy mnie idylla oglądana przez szczeliny w żaluzji. Widocznie mam szczęście do tego rodzaju widoczków. Szofer niemłody, dama jego serca, obiekt namiętności, o kilkanaście lat młodsza. Po szwajcarsku imponująca, o obfitych kształtach. Jędrna. Nie zawsze widać sprawdza się powieściowe przysłowie, że wilki nie żerują we własnej parafii. Zda się - z Sienkiewicza? Ciekawa jestem, czy Elza jest świadoma stanu rzeczy. A co mnie do...

Na razie wgłębiam się w pamiętniki Samuela Pepysa. Interesujący jegomość, choć miejscami nudny i powtarzający się. Ciekawa jestem, co by potomni za trzysta lat powiedzieli o moich zeszytach ze stenogramami? W dodatku dwujęzycznymi. Praktykuję w dalszym ciągu ten zwyczaj, aby nie wyjść z wprawy. W związku z tym moja polszczyzna jest miejscami dość chropawa, nie nadająca się zapewne do nagrody na literackim konkursie. Może jednak zasłużyłabym na jakieś małe wyróżnienie? Nie za formę literacką, a być może za otwartą bezczelność, za bezpośredniość.

Wtorek - 28 sierpnia

Sto nowych zdjęć. Poniedziałek był poświęcony odpoczynkowi i opowiadaniom. Zwariowany kalejdoskop wrażeń. Wmawiały we mnie, że powinnam żałować, iż nie pojechałam. Naturalnie niewdzięczni Francuzi w korsykańskiej odmianie nie wmurowali w „dom” Napoleona w Ajaccio pamiątkowej tablicy dla twórczyni jego wielkości miłosnej w osobie naszej Marii Walewskiej. Jedynie dzięki tej kobiecie przeszedł on do historii jako ktoś więcej niż zwykły rozbójnik korsykański w randze cesarza czy generała Buonaparte. Mógł pójść na emeryturę przed klapą generalną, puścić w trąbę austriacką Marię Ludwikę, podobnie jak przedtem puścił Józefinę, a następnie kupić sobie jakieś większe dobra w Polsce i dokończyć żywota w spokoju i dobrobycie. W ogóle były tylko trzy porządne kobiety w jego życiu. Jakaś międzynarodowa artystka, której nie znam z nazwiska, może słynna panna Mars? Józefina, która go z grubsza obciosowała, oraz na końcu kariery nasza pani Walewska. Wyobrażam sobie, że z Napoleona nie zawsze był czuły kochanek. Gwałtowność górowała nad czułościami. Brutalność zastępowała sentymenty. Goniec z wiadomościami wojskowymi zawsze miał dostęp do jego sypialni. Mameluk Rustan stał na straży miłostek, w turbanie i z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Był zapewne niezłe uzbrojony. Może również był czymś

czy kimś w rodzaju powiernika z *Listów perskich*? Bardzo być może, ponieważ władca nie folgował sobie w kobiecościach. Brał, gdy mu było potrzeba. Deser na szlaku wypraw. Pieniądze miał. Ponadto władzę, która wszystko łamała. W dodatku czar, nimb czy coś w tym rodzaju. Charakternik, podobno rzucał uroki. Tak, jak to uwiecznił nasz Żeromski w *Sulkowskim*. A dopiero później wszystko wyłocila legenda historii, zawsze bardziej skłonna do wznoszenia pomników niż do odbrązowywania. Kończę, ponieważ czuję, że przeze mnie przemawia wnuczka pruskiego oficera, który brał udział w pokonaniu Napoleona. Jakiś inny być może przodek ze strony rodziny niemieckich babek kłaniał się w pas temu samemu cesarzowi Napoleonowi w skórze szlachcica von Rosenschwertha na zjeździe w Erfurcie. Ale na wojnach bywa rozmaicie, nie ma wiecznych przyjaźni.

Dzisiejszy dzień był poświęcony również sprawom bankowym. Z Gdańska nadeszły przekazy dla Leokadii i zamieniałyśmy je na podróżnicze liry *signora* Mussoliniego. Drobiazgowo przepisy walutowe i celne. Jutro jedziemy w dalszą drogę. Łądujemy na razie we Florencji, a tam rozejrzemy się. Spróbujemy rozmówić się telefonicznie z Montecatini, ponieważ Gabrysia podała stały adres rodziców w tym kurorcie. Po sposobie, w jaki moja ciotka wypytywała się naszej wszędobylskiej i wszystko znającej Elzy, należy oczekiwać spokojnego miesiąca w tymże właśnie Montecatini. Podobno można oczekiwać tam cudów w zakresie kuracji złej przemiany materii. Będziemy zatem leczyły tę złą przemianę i ubędzie nam kilka kilogramów na wadze. Mnie w to graj, ponieważ bardzo pragnę ustalenia się w jednym miejscu; a państwo Orzechowscy są bardzo mili.

Bakczysze już zostały rozdane. Gospodyni, szofer, ogrodnik oraz zaprzyjaźniona praczka, która doprowadziła do porządku różne detale. Artystka w praniu i prasowaniu, o jakim ani marzyć w naszej Polsce. Elza również i w tym wypadku popisowała się swoją mózgową encyklopedią rzeczy niepotrzebnych. Podobno przed dwustu laty do fasonu należało przesyłanie bielizny do prania i prasowania z Petersburga do Paryża. Wierzę, ponieważ śmiech - to zdrowie... i po Rosjanach można było tego oczekiwać.

W każdym razie tym razem nie byliśmy w kasynie, mimo że pojechaliśmy na spacerowe odwiedziny do księcia Monaco. Piszę do księcia, a nie do księstwa, ponieważ prawie nie odróżnia się republiki od księstwa. Chyba w różnicy flag. Taka sobie, podobna do naszej, tylko że czerwien do góry. W kasynie obeszło się bez nas. Szwajcarska gospodyni powiedziała któregoś dnia: - W kasynach grywają ludzie, którzy nie posiadają pieniędzy, oraz ci, którzy nie umieją wydać pieniędzy w inny sposób. - Bardzo trzeźwe zdanie.

Marcin i Florencja łądzą ostatecznie w Szwajcarii, ponieważ takie są ostatnie wiadomości z Genewy od starego papy Dubowa. Patrycja wraca w tych dniach do Paryża. Krótka radość z Sierozką. Dla niego z powrotem angielska szkoła. Ciekawa jestem, co z niego zrobią? Anglik. Jakiś nowy problem mego rodzzonego brata, który pojechał do Anglii z gdańskim paszportem, a po powrocie do Berlina przywdział brunatną koszulę.

Florencja - sobota - 1 września

Dzisiaj rozpoczęliśmy systematyczne zwiedzanie zabytków z *guidem* Scrocchiego w ręce. Na odmianę w języku francuskim. Mieszkamy w „Corona d'Italia”, tak nam doradziła Elza, przy ulicy Nazionale. Średniej jakości hotel, odwiedzany raczej przez Włochów. Z językiem jakoś sobie radzimy. Nie zapomniałam stu wyrazów z czasów Cooka i jakoś idzie. Zresztą francuski jest językiem pospolicie znanym w naszym hotelu i restauracji. Z niemieckim się nie pchamy, znany problem: *tedesco*.

Przed kilkunastu dniami właśnie tutaj we Florencji odbyło się spotkanie Mussoliniego z austriackim kanclerzem. Na świecie zaczyna być niespokojnie. Podobno Hitler dąży do opanowania świata. Dobrze, że w tych dniach nie było w Niemczech naszego Krystynka. Nie wiadomo, kto go popierał w jego karierze. Gazety włoskie pełne są sensacyjnych tytułów. Pomyślałam sobie dzisiaj, że byłoby dobrze i rozsądnie wynieść się gdzieś do spokojniejszych

krajów. Ale dokąd? W Ameryce gangsterzy, a w tych różnych Brazyliach i Argentynach co dwa tygodnie są różne rewolucje. Szwajcaria byłaby może najbardziej odpowiednia. Kto wie? Marcin miał zawsze dobrego nosa. Elza mówiła, że z Genewy pisali, iż będą starali się dla niego o naturalizację. Z tym jest gładziej w Szwajcarii, gdy się ma majątek. W dodatku Florencja nie straciła swego szwajcarskiego obywatelstwa.

Montecatini - wtorek - 4 września

Już złączyliśmy się z państwem Orzechowskimi. Ucieszyli się i pomogli nam w urządzeniu się. Mieszkamy w „Albergo La Pace - Grand Hotel”. Dwa miłe pokoiki z balkonikami, połączone wspólnym przedpokojem, z drzwiami do wspólnej dla nas, oddzielnej łazienki. Drogo, ale luksus. Widok na ogród. Drugie piętro, nie było innych pokoi, a nie chcieliśmy się rozłączać. Proponowano nam urządzenie wspólnej sypialni i przemianę drugiego pokoiku na salonik, ale zostałyśmy przy normalnym układzie mebli. Kuchnia dietetyczna, co nam wielce dogadza, ponieważ mimo wytrzęsienia się w Pirenejach zbyt dobrze wyglądamy. Mój Boże, jedni marzą o utyciu, inni bronią się od tego rękami i nogami.

Jutro idziemy we dwie do lekarza. Bez tego tutaj ani rusz. Trzeba się poddać i tej kwarantannie, w dodatku ciotka Leokadia mocno wierzy w lekarzy. W istocie u niej zachodzi być może zła przemiana materii, zaczyna tyć. Zaczyna stawać się babą. Traci figurę. Ano, będziemy się leczyć i poddamy się najbardziej surowemu reżymowi kuracyjnemu. Nie na wszystko bowiem pomaga gorset i masaże buzi.

Środa - 5 września

Dzięki znajomościom państwa O. załatwiłyśmy lekarzy bez dłuższego wyczekiwania i zapisywania się na listę.

Dla Leokadii zadania kuracyjne na sześć tygodni, mnie by pomogły i cztery, no ale wszystko razem sześć. U lekarzy byliśmy z panią O., z powodu języka. Włosi, w tym jeden profesor z Rzymu, przyjeżdżający na sezon letni do Montecatini. Specjalista od tej miejscowości. Naturalnie drogo, pomnożone w dodatku przez dwa. Od jutra kuracja bez eskapad. Spokojna, ponieważ Leokadia bierze to wszystko najbardziej serio. Ja właściwie lecę się na zapas. Może się przyda, w każdym razie nie zaszkodzi. Według mnie najlepszym środkiem na schudnięcie jest wypełnianie całego programu Cooka podczas miesięcznej wycieczki.

Sobota - 8 września

Życie nasze ustaliło się i nakręciło w sposób niesłychanie spokojny. Mamy sporo znajomych i stałych partnerów do miłych spacerów. Naturalnie starsze towarzystwo. Państwo O. zjawili się w Montecatini w towarzystwie krewnego, który dosiadł się w Krakowie, gdzie zamieszkuje. Pan Liteński, starszy pan ze srebrną bródką, w dobrej siedemdziesiątce, jedynie czasami z lekka się garbiący. Prostuje się jednak automatycznie, gdy rozmawia lub gdy spostrzeża, że mu się ktoś przygląda. Elegant starej daty. Na razie wiem tylko tyle, że ma jakieś dobra w Galicji, zamieszkuje w drewnianym dworku na przedmieściu Krakowa i całe życie spędził w „Widniu”. Chodząca informacja w zakresie herbów. Stary towarzysz państwa Orzechowskich jeszcze z czasów austriackich i rosyjskich. Spotykali się u różnych badów, powtarzam, może się przesłyszałam, ale powiedziano, że bliscy krewni. Stara Galicja w wiedeńskim wydaniu. Bardzo uważający na słowa, dobiera je w sposób specjalny. Naturalnie partner do brydża, ale o tym na razie nikt z nas nie myśli. To będzie zajęcie dopiero w ostatnich tygodniach kuracji. Bardzo miły znajomy, epigon epoki, która już przeminęła.

Czwartek - 13 września

Dni lecą bardzo szybko. Kąpiele mineralne i picie wody z cudownym skutkiem, bez obowiązku przeproszania przygodnych znajomych. Równie cudowne urządzenia toaletowe mające swój bezpośredni związek z piciem wód. W chłodzie wieczorów długie spacerunki po jednej z *avenues ombreuses*. Uspokoiliam się i ogarnęło mnie jakieś błogie lenistwo. Jestem zadowolona z tego, że nic nie robię. Nasz hotel uchodzi za najbardziej dystyngowany. Sporo polskiej arystokracji. Pan Liteński wszystkich zna, ze wszystkimi się wita i rozmawia. Trudno mi rozeznąć się w tylu nazwiskach. Jacyś Potuliccy, naturalnie galicyjscy hrabiowie, Tyszkiewicz, również spod Lwowa, i tak dalej. Nie posiadam talentów heraldycznych. Pozostawiam to naszemu nowemu znajomemu, który wiernie dotrzymuje nam towarzystwa. Mamy widać szczęście do starszych panów.

Sobota - 15 września

Pierwszy spokojny brydż. Od godziny ósmej wieczorem do jedenastej. Pani Potulicka, dama w pięćdziesiątce, pan Liteński, jakiś wiedeński baron i ja. Swobodnie i bez gorączkowania się. Leokadia kibicowała, lecz znudziła się po godzinie i przeniosła do salonu na kanapowe pogaduszki. Atmosfera niemęcząca.

Niedziela - 23 września

Ogarnęło mnie lenistwo. Wczoraj nadeszły listy z Warszawy. Marcinowie zakończyli krynicką kurację, a Florencja od razu pisze o lakierach. Akurat chce mi się o tym myśleć. Interesy takie sobie, wszystko razem niespełna pięćdziesiąt tysięcy, sklep gorzej, natomiast więcej zainteresowania na prowincji. Reklamują: francuskie lakiery są najlepsze w świecie. Przymiotnik decyduje podobno o wzroście zamówień - wynalazek panny Beaty. Trzeba będzie podzielić rejony. Florencja pisze o możliwościach dotarcia do Katowic. Na razie wstrzymam się z tym podtrzymywaniem korespondencji na tematy handlowe. Marcin wybiera się na krótko do Genewy. Florencja nie wspomina o wspólnym wyjeździe. Prawie równoczesny list od Zośki. Już po Zakopanem - nie po Krynicy? - wygląda na to, że zawadziła o Warszawę, ale mieszkała na Żoliborzu. Czas szybko leci.

Nie pisałam przeszło tydzień, ponieważ całkiem po prostu nie chciało mi się. Dzisiaj leżę, a Leokadia wybrała się z dużym towarzystwem do Lukki. Podobno męcząca droga, pojechali w kilku samochodach. *Bon voyage*. Cicerone w osobie pana Franciszka Józefa Brzuski-Liteńskiego. Pan Orzechowski mówi, że ja mam świętą cierpliwość do wysłuchiwania herbowych gawęd. Pani Orzechowska jest z jakimś cichym pietyzmem dla postarzałego amanta, nic dziwnego, są w jakimś stopniu spokrewnieni przez matkę pana Liteńskiego, która nazywała się z domu Podjaska, herbu własnego. Na błękitnym polu trzy srebrne strzały w gwiazdę, ostrzami do góry, pod spodem trzy trójlistki koniczyny, a u szczytu takie same trzy strzały nad hełmem z koroną szlachecką. Jak widać, nauczyłam się tego jak papuga lub pensjonarka, co na jedno wychodzi.

Wszystko, co piszę dzisiaj, jest głupstwem. Ale mam humor i to mnie bawi. Otóż pan Liteński urodził się A.D. 1860 i naturalnie, jak przystało na lojalnego c. k. poddanego, w Wiedniu. Matka jego, jak już wiadomo, z Podjaskich h. w., to znaczy herbu własnego, ze zbankrutowanej szlachty. Ojciec, wysoki urzędnik ministerialny na co dzień, a cesarski szambelan od święta. Wstęp na dwór i prawo kłaniania się cesarzowi z odległości dwudziestu kroków, to ostatnie już mój własny wymysł. Dziadek *idem*, pradziadek to samo, tylko że majątki coraz bardziej topniały z każdym nowym pokoleniem na służbie cesarskiej. Prapradziadek pana Franciszka Józefa u schyłku XVIII wieku poślubił ostatnią z rodu, pannę Weronikę Brzuskę, herbu Brzuska, której dokładnie w roku 1800 udało się urodzić syna, w którymś tam czterdziestym i coś roku życia. Radość była tak wielka, że nawet ówczesnie panujący cesarz rzymsko-niemiecki Franciszek Drugi w roku 1802 zgodził się na połączenie

dwóch nazwisk i dwóch herbów pod wspólnymi labrami błękitno-czerwonymi ze złotem. Umiem wszystko na pamięć.

Tępa Podkowa rodu Liteńskich: w polu niebieskim srebrna podkowa, ocelami na dół, a barkiem do góry, w środku krzyż. U szczytu orle pióro, no i labry. Z opisem herbu Brzuska znacznie trudniej. Na tarczy czerwonej srebrny krzyż u spodu rozdarty w obie strony i podparty również srebrną belką. Jest to podobno jeden z najstarszych herbów polskich i chodziło w tym wypadku o podtrzymanie starodawnego drzewa herbowego. Austriacki cesarz w roli protektora polskiej szlachty.

Równocześnie srogi zawód, ponieważ dwóch innych Liteńskich uciekło z Galicji do Napoleona i właśnie pod Austerlitz uzyskało stopnie oficerskie. Oddaliło się marzenie Liteńskich o uzyskaniu do swoich herbów srebrnej taśmy z napisem *sempe fidelis*, co podobno było już w drodze. Pozostały jedynie wspólne labry nad połączonymi herbami i podwójne nazwisko.

Może w każdym innym wypadku dopisałabym w tym miejscu po dawnemu: a to heca, lub: a to kino, ale nasz pan Franciszek posiada tyle czarujących zalet, że nie umiałabym tego zrobić. Stary wiedeńczyk ze szkoły nieboszczyka kochanka pani Pradt. Mowa o Jego Apostolskiej Mości Cesarzu i Królu Franciszku Józefie Pierwszym. Imię pana Liteńskiego właśnie po tym cesarzu.

Nasz pan Franciszek posiada dwoje dzieci. Starsza córka Elżbieta, rozwiedziona baronowa von Kreckwitz. W polu błękitnym trzy srebrne ryby obrócone głowami do środka tarczy, w hełmie zamiast korony trzy pióra, dwa koloru błękitnego, w pośrodku pióro białe. Nad tym wszystkim labry błękitno-srebrne, zakończone u góry siedmiopałkową koroną baronowską.

Moja heraldyka tym razem co najmniej na trójkę z plusem. Tymczasem córka pana Franciszka Józefa mieszka u swej zamężnej córki, w Salzburgu, o synu pani Elżbiety von Kreckwitz nie zgadło się dotychczas. Pan baron urządził się inaczej, dzieci wychowała matka.

Ale to są bardzo dawne dzieje. Zapomniałam o najważniejszym. Pan Liteński, alias Brzuska-Liteński, był spokrewniony z nieżyjącym już dzisiaj Kazimierzem Chłędowskim, autorem dzieł z zakresu historii sztuki. Dziwny zbieg okoliczności. Przed dwoma laty w Rzymie w poszukiwaniu reprodukcji dzieł weneckiej malarki natknęłam się na niemieckie tłumaczenie jednego z dzieł Chłędowskiego, a obecnie w Montecatini poznałam dość bliskiego krewnego tegoż autora. Stąd usłyszałam obecnie moc anegdotycznych szczegółów z życia pisarza, który pół życia kręcił się w orbicie Wiednia. W okresie, gdy pan Liteński stawiał swoje pierwsze kroki w wiedeńskich ministerstwach, Chłędowski był ministrem austriackim. Bardzo krótko, ale był i już na całe dalsze życie pozostał mu tytuł ekscelencji. To była epoka w życiu austriackiej Galicji - tych kilka tysięcy ludzi, którzy dodawali szyku ze swymi herbami i labrami. Tych, którzy kłaniali się odbiciu cesarskiego cienia w lustrze na korytarzu i którzy starali się oddychać wyłącznie wiedeńskim powietrzem. Pan Kazimierz Chłędowski rozmaicie wygląda w rozlicznych opowiadaniach naszego znajomego. Jego zresztą rodzinny protektor i nauczyciel, jeśli chodzi o pierwsze kroki życiowe, powiedzmy wujek, który dopiero wówczas świeżo osiedlił się w Wiedniu, podczas gdy Liteńscy już od wielu lat byli mocno wrośnięci w to miasto. Nic dziwnego, spędzili prawie cały wiek w służbie austriackiej.

Trochę dziwne jest to, że pan Liteński opowiada bardzo obszernie o różnych kologacjach, nie wspomina jednak o swojej żonie. Napomknął tylko krótko:

- Moja żona umarła wkrótce po urodzeniu syna.

Na tym był koniec. O synu zaledwie kilka słów. Koło czterdziestki, oficer, mieszka w Warszawie. Legionista i aż dziwne, że zaledwie major. Pracuje w biurach wojskowych, o

stopniu dowiedziałam się od pani Orzechowskiej. Podobno jest przystojny, wiadomość również od pani O., sam ojciec nie wspomina jakoś o synu.

W jakim celu to wszystko opisałam? Ostatecznie nie spotyka się zbyt często eleganckich maniaków z opowieściami herbowymi. W dodatku Chłędowski. To musiał być specjalnie interesujący egzemplarz. Chyba całe życie przesiedział nad tymi Rokokami, Sienami, Ferrarami i Rzymami. Podobno był wielce romansowy i w jego życiu znajdzie się sporo tajemnic. Osiemnastowieczny markiz w skórze dowcipnego wiedeńczyka. Pan Liteński wyraźnie zapala się, gdy mówi o kuzynie.

Środa - 26 września

W dalszym ciągu pan Liteński. Zgadało się o synu. Naturalnie Rudolf, jakżeby mogło być inaczej w rodzinie tak lojalnej. Oblali go przy maturze akurat w roku 1914, i to nie gdzie indziej, jak w Chyrowie. Papa powiedział nam z rozrzewniającym przekazem:

- Cóż mu innego pozostawało, jak zapisanie się do Legionów pana Piłsudskiego?

Doskonała facecja. Bardzo jestem ciekawa spotkania z tym Rudolfem Liteńskim, co nie będzie trudne wobec tego, że bywa w domu młodych Orzechowskich.

Jakoś zgadało się na tematy rodzinne i w tym momencie oceniłam towarzyską grzeczność pana Liteńskiego, który nie rozpoczynał pierwszej rozmowy, mimo częstego przyglądania się sygnetowi na moim palcu. Okazało się, że herb rodzinny von Rosenschwerthów jest mu dobrze znany. W Wiedniu żyje dotychczas rodzina o tym nazwisku, z tytułem austriackich baronów. Piszę się jedynie bez litery „h” na końcu. Wydaje mi się, że pan Liteński słysząc nazwisko Jambor i widząc obcy herb rodzinny na moim sygnecie, wyobraził sobie, że gdzieś za granicą okazji nabyłam stary sygnet, ot tak po prostu dla oryginalnego wykonania w hebanie.

Zgadało się i o reszcie. Opowiedziałam romantyczną historię małżeństwa dziadka Gołkowskiego z córką monachijskiej rodziny. Mówiłam o portrecie prababki von Rosenschwerth. Naturalnie zakończyłam historię spotkania Krystynka z dalekim kuzynem na weekendzie pod Londynem. Starszy pan trochę się rozkrochmalił. Wzięty go te opowiadania. Szkoda, że opuszcza już Montecatini. W niedzielę w powrotną drogę przez Salzburg do Krakowa. Gdzieś pod Krosnem ma jeszcze jakieś resztki dużego ongiś majątku. Mocno obdłużone, jak to podkreśla na osobności pan Orzechowski. Podobno już tylko jakieś dobre tereny do polowań, które są namiętnością naszego znajomego. Zapraszałam naturalnie do Warszawy, podałam adres. Nie afiszowałam się w tym wypadku z interesami handlowymi, nawiązałam raczej do mego stanowiska w ministerstwie. Pan Liteński był właśnie takim radcą ministerialnym w okresie, gdy go popierał kuzyn-minister. Ale miał wówczas już czterdzieści lat, był zatem „trochę” starszy ode mnie. Ale podczas tych zwierzeń powiedział dowcipnie, że wówczas taki radca w ministerstwie to była figura. Bardzo szybko mógł zostać ministrem, podobnie jak jego kuzyn. Znacznie trudniej było wówczas zostać radcą. Inne czasy, dzisiaj ministrowie rekrutują się z pułkowników.

Państwo Orzechowscy wyjeżdżają już w sobotę po południu do Rzymu, z jednodniowym zatrzymaniem się we Florencji. Mniej więcej za dwa tygodnie wracają do kraju. W tę sobotę przypada rocznica ślubu Michałostwa Kowalskich, wysłałam już bardzo serdeczny list. Opisałam dokładnie historię fantastycznego spadku, wspomniałam, że przyśle spis książek lekarskich, pozostałych po zmarłym doktorze. Przecież nikt nie weźmie mi za złe, gdy podaruję kilkanaście książek. Na zdrowy rozsądek - powinnam rozdzielić lekarską spuściznę między dwóch lekarzy w rodzinie. Mam na myśli wujka Michała i doktora Kunickiego, o młodym Orzechowskim nie wspominam, ponieważ on ma w pobliżu teścia profesora. Trzeba o tym pomyśleć. Można by zlikwidować lekarski gabinet i na jego miejscu urządzić salon albo jakiś kobiecy pokój gościnny. Przecież nie będę urządziła się stale w gabinecie, na tapczanie. Albo z pokoju sypialnego zrobić pokój gościnny, a w gabinecie

lekarским urządźić jakąś kopię mojego dawnego warszawskiego salonu do spania. Pierwsze kroki - po lekkim zagraniu miejsca w nowym mieszkaniu warszawskim - skieruję do Poznania.

Poznań, psiakrew, przepasowałam w tym roku ostatni egzamin prawniczy, ale trzeba było jechać. W dodatku tyle zmian, nie miałam głowy do skryptów.

Te projekty przemeblowania na ulicy Wyspiańskiego to wielkie głupstwo. Testament starego doktora to wyraźne życzenie, aby mieszkanie pozostało bez zmian jako wspomnienie lat, które tam spędziłam. Przyszło mi nawet na myśl, że starożytni Egipcjanie wierzyli w moc przywiązywania się zmarłych do rzeczy i przedmiotów, wśród których przebywali za życia.

Niedziela - ostatniego września

Zostałyśmy same z Leokadią. Nie zrażamy się tym i wytrwale kończymy kurację. Jednak Montecatini dobrze działa. Schudłam, ubyło mi sporo niepotrzebnego tłuszczu. Nie chciałabym wyglądać jak tłusta, dobrze wypasiona baba. W dalszym ciągu wytrzymujemy kuchnię dietetyczną. Jadamy prawie na gramy, nawet wówczas, gdy mamy ochotę na zjedzenie czegoś dobrego w większej ilości. Dużo spacerów. Zajrzałyśmy już prawie do każdego kąta.

Z kraju niemal codziennie nadchodzą jakieś listy. Najwięcej ze Starej Wsi od Gabrysi i Maksia, również od ciotki Magdy i od Herty. Krótkie kartki są jedynie od Pelasi i w ogóle od Tuchołków. Leokadia być może właściwie ocenia sytuację, mówiąc:

- Spłaciłyście Tuchołków, oni kupili zbyt wielki majątek, pieniądze wetknęli w ziemię, mają kłopoty i obecnie pracują tylko na bankowe procenty. Trzeba było...

Tak, trzeba było, ja dobrze wiem o tym.

Trzeba było kupić mniejszy majątek, ale bez długów, a dopiero z dorobku dokupywać dalsze włóki. Trudno, panu staroście zachciało się zrujnowanego pałacu. Urzędniczy agronom spod ciemnej gwiazdy. Szkoda Pelasi, ponieważ na niej się to wszystko odbija. W dodatku pańskie fuchy pana starosty z nieprawdziwego zdarzenia i zbyt blisko niepewnej granicy. Co po Pomorzaku na kresach wschodnich? Taki sobie - przyszywany legionista. Ja tam moje członkostwo Bebewueru traktuję sobie lekko, ale Piotruś przejął się i uwierzył w wielkość swojej osoby. Głupiec.

Środa - 3 października

Jedni odjechali, drudzy przyjechali. Obecnie przeważnie Włosi, widocznie nie lubią mieszać się z cudzoziemcami. Moc kobiet, mężczyźni mają powodzenie. Włosi są bardzo kochliwi. Podobno tutaj nie jest do pomyślenia, aby Włoch wytrzymał sam na sam z kobietą w pokoju. Po kwadransie usiłuje ją zgwałcić. Takie obyczaje. Toteż kobiety włoskie unikają takiego sam na sam lub raczej napiszmy odwrotnie: kobieta pozostając z mężczyzną sam na sam, zaprasza go niejako do, powiedzmy, miłego dla niej gwałtu... Może tak jest, może nie. Przynajmniej tak mi to przedstawiała koneserka zwyczajów, kuzynka Elza.

Leżę na balkonie i rozmyślam. Kobiety dzielą się właściwie tylko na trzy grupy zasadnicze. Do pierwszej należą kobiety zdecydowane. Idą przez życie podobnie jak to czynią na ulicy i w salonie. Świat widzą spoza swoich piersi, spoza biustu. Zdaje się im, że kobiecość skoncentrowana właśnie w takich piersiach jest niezawodnym taranem torującym im drogę w życiu. Pewność siebie i zimna konsekwencja czynów. W drugiej grupie znajdują się kobiety niezdecydowane, które tylko czekają, aby jakiś mężczyzna wziął je za rękę i poprowadził gdziekolwiek, byle tylko był to mężczyzna. W trzeciej grupie są kobiety, które nie myślą o takich sprawach. Z tymi znów nigdy nie wiadomo, co z nich wyskoczy, złe czy dobre. Kobiety w pierwszej grupie są łatwe do odróżnienia, w każdej bowiem sytuacji i w każdym miejscu grupują wszystko i wszystkich wokół swej woli. Nawet nie zachcianki, ponieważ te są atrybutem owej trzeciej grupy - kobiet niezdecydowanych. Druga grupa - to

cichutkie łagodnisie, z których dopiero później mogą wyskoczyć jędze i kłótnice. Kobiety, zaliczone przeze mnie do pierwszej grupy, od razu określają swój władczy charakter: żyją jedynie dla takiego świata, który ściele się im pod nogi. Te inne natomiast ukrywają różne niespodzianki pod spokojną maską nieczynnego wulkanu. Mamią złudami łagodności i uległości.

Najgorzej z kobietami, których życiowe sylwetki zaliczyłam w czambuł do grupy neutralnej, ani takie, ani inne. Po prostu mdłe.

W dodatku nigdy nie wiadomo, co w ogóle wyskoczy z kobiety, która ma podobno siedem dusz, jak tego pragnie pan Wasylewski. Właściwie człowiekiem jest tylko kobieta. Mężczyzna to jedynie dodatek do kobiety, mężczyzna rozrzuca, natomiast kobieta zbiera, bo rodzi. Rozrzucanie to pojęcie wiatru i lekkomyślności, zbieranie to synonim mądrości. Utrwalanie zaś to atrybut nieśmiertelności.

Ciekawa jestem, co by na takie słowa powiedzieli jacyś stuprocentowi mężczyźni. Ale właśnie prawdziwy kłopot z tą stuprocentowością u mężczyzn. Czy to ma być Rudolf Valentino, czy laureat nagrody Nobla, czy mistrz olimpijski od pięcioboju? Lub amerykański gracz w rugby? No, bo z kobietami od razu wiadomo. Miss Universum na rok bieżący.

Piszę na wesoło. Widać, że Montecatini już pomogło. Cóż napisać więcej? Chyba to, że o mało nie rozbiłam dzisiaj moich buteleczek z wodą z Lourdes: dla Wikty, dla gospodyni z Poznania oraz dla ciotki Millerowej, która specjalnie w tym celu napisała list do Biarritz. O kupnie buteleczek z wodą nie pomyślałyśmy w samym Lourdes. Dopiero list pani Millerowej przypomniał nam ten szczegół i każda z nas nabyła po pół tuzina małych buteleczek u sióstr zakonnych w Biarritz. Naturalnie siostry ukrytki, ale jakoś do nich dotarłyśmy. W ten sposób mamy te pożądane w kraju podarunki. Porządnie obłakowane i z odpowiednimi etykietkami.

Sobota - 6 października

Dzisiaj w związku z niepogodą złożyła się przypadkowo mała partyjka popołudniowego brydża. Ja grałam z bardzo miłym staruszką, tytułując go rozmaicie, markizem i profesorem. Odrobinę nerwowo, ale bardzo miły. O Mussolinim wyraża się co najmniej z przekąsem. Pozbawiono go katedry - historyk sztuki. Mówi bardzo inteligentnie, naturalnie po francusku, ze względu na nasze ograniczone możliwości zrozumienia różnych finezji po włosku. Patrzy na nas łagodnie, gdy nie rozumiemy niektórych wyrazów francuskich, i w sposób naprawdę profesorski tłumaczy poszczególne zdania na zrozumiałą dla nas niemieczkę. W tej ostatniej przewyższamy go naturalnie, ale w każdym razie mówi lepiej po niemiecku, niż my obie razem po francusku. Warto nadmienić, że po zamieszkaniu w Górkach Leokadia mocno przyłożyła się do francuskiego.

Profesor, tak go nazwę, ponieważ wydaje mi się, że jest mu więcej do twarzy z profesorstwem niż z pustym dźwiękiem tytułu markiza, dobrze znał Kazimierza Chłędowskiego, który zresztą był wielce popularny na tutejszym gruncie. Mieli z sobą jakieś powiązania - bibliofilskie, jak to określił nasz nowy znajomy.

Zapamiętałam na razie jedno z jego dobrych powiedzeń pod adresem Mussoliniego: - Wielkość i głupota sąsiadują z sobą. Obie znajdują się jakby na obwodzie wielkiego koła magicznego. Granica niezwykle łatwa do przebycia, natomiast możliwość wybrania drogi: albo wprost przez miedzę od wielkości do głupoty, albo przez ogrom świata, przez całą długość obwodu koła - od głupoty do wielkości. Prawda natomiast znajduje się wewnątrz koła, wszystkie możliwości jej zrozumienia uchylają się od zamknięcia ich w ciasnym obrębie jakiegoś opatentowanego koła kredowego. Mussolini to jedynie przypadkowo nakreślone kredowe koło złudzeń. Historia wytrze kiedyś kredę w jakimś punkcie i wszystko od razu pryśnie jak bańka mydlana. Dyktatury nie są trwałe i przemijają, wieczne są jedynie prawdy o dążeniu człowieka ku szczęściu tutaj na ziemi.

Wszystko to są zbyt trudne i ciężkie problemy dla mnie, pomimo że jestem magistrem Uniwersytetu Poznańskiego. Jakże ja mało umiem. Ale na to nie ma rady. Mądrość przychodzi albo od razu, albo nigdy. Encyklopedyczny lamus nie pomaga bynajmniej zorientować się w zagadnieniach świata czy życia. Raczej zaciemnia obraz i wprowadza pierwiastek niepewności w wyborze właściwej drogi. Nawarstwienia rzeczy niepotrzebnych wprowadzają chaos w rozumowaniu. Prostota natomiast w rozumowaniu - zbliża ku mądrości.

Niedziela - 7 października

Układamy sobie z Leokadią mnóstwo rozmaitych planów. Projektujemy dwa bite tygodnie turystyki zabytkowej. Tak ją nazywamy. A więc, w jakim porządku zwiedzać? Bolonia, Ferrara, Padwa, Wenecja, Rzym, Neapol i jego okolice, czy też od razu jednym tchem Rzym w ciągu kilku dni, Neapol w ciągu tygodnia, a w powrotnej drodze po jednym dniu trzy miasta po drodze do Wenecji? Nie jesteśmy zdecydowane.

Poniedziałek - 8 października

Signore Marchese radzi rozpocząć od razu od końca, to znaczy od Rzymu. Gdy to mówił, oczy mu błyszczały. Okazało się, że zabroniono mu tam mieszkać i wyznaczono jako miejsce stałego pobytu jakieś zakazane miasteczko, prawdziwie deskami zabita od świata miejscowość w niezdrowej Kalabrii. Obecnie zezwolono mu na miesięczny pobyt w Montecatini, a później nie wiadomo, co dalej. Nasz znajomy mówi ze smutkiem, że czasy sprzed stu lat, gdy wołano: *Italia fara da se* - już przeminęły dla Włoch. Entuzjazm spadkobierców sławy starożytnych Rzymian obraca się w innym kierunku. W złym.

Środa - 10 października

Rewelacja. Wczoraj wieczorem - w sposób niezwykle dyskretny zabrano z hotelu naszego znajomego. Podobno mocno kompromitująca znajomość, ale *signore* Melano, dyrektor naszego hotelu, zapewnia, że to nie pociągnie za sobą żadnych niemiłych konsekwencji dla gości zagranicznych, którzy przecież nie mogli orientować się we właściwym doborze towarzystwa. Doskonale wyznaje się w gościach ów *signore* Melano. Ceni sobie państwa Orzechowskich oraz pana - hrabiego? - Liteńskiego. Znał Chłędowskiego, doskonale orientuje się w polskich rodzinach. Dodał nawet coś w rodzaju żalu czy przeproszenia, że naraził swoich gości na rozmowy z *signorem Marchese*. Nic więcej. Nie mówiłam tego wszystkiego Leokadii, nie chciałam straszyć jej niepotrzebnie. Włoska policja ma ustaloną opinię, wspomniała mi o tym nasza kuzynka Elza. Wszędzie węszą spiski. Dobrze, że już stąd wyjeżdżamy. Naturalnie prosto do Rzymu.

Piątek - 12 października

Dalsza przygoda. W sposób bardzo dyskretny odwiedził nas agent policyjny. Układny i niemal dystyngowany, niemniej zimny w swoich pytaniach. Kilkujęzyczny. Dopytywał się o treść naszych rozmów z profesorem. Leokadia nie była w kursie, wspomniała jedynie partię brydża w deszczowe popołudnie, ja na odmianę wyjechałam od razu z Chłędowskim i historią sztuki. Wspaniale odegrałam oburzenie, powiedziałam coś w rodzaju:

- „Grand Hotel” powinien gwarantować spokój, takie rzeczy odstraszą turystów. Trudno bowiem zamurować sobie usta i tkwić jedynie w Baedekerach. Trudno również wymagać od cudzoziemców, aby uczyli się odróżniać Włochów lojalnych, od nielojalnych.

I tak dalej w tym guście, przy czym mimo woli przeszłam z języka francuskiego na niemiecki.

Mam wrażenie, że uratowała nas jedynie marka światowego hotelu i dobre znajomości z poprzedniego miesiąca. W każdym razie było zdziwienie z mojego *etudiant* w paszporcie, ale

odparowałam, wskazując na zawód Leokadii: właścicielka ziemska. Powiedziałam nawet dość gniewnie:

- Na świecie są różni studenci, jedni dla zdobycia kawałka chleba, inni dla samej nauki, być może ja należę do tej drugiej kategorii. U nas w Polsce studenci jedynie w małym stopniu interesują się polityką. Podróżuję w dodatku w towarzystwie zamożnej ciotki, to mi chyba wolno? Włochy są otwarte dla wszystkich, świat jest dla turystów.

I tak dalej. A na zakończenie wyrypałam ostatnią prawdę. Zapytałam wręcz, czy w dalszych podróżach natkniemy się na więcej takich markizów i profesorów i czy w ogóle wolno turystom we Włoszech rozmawiać z kim się podoba. W jaki sposób mamy dobierać sobie towarzystwo do brydża? I czy w ogóle wolno rozmawiać?

Mówiłam jak karabin maszynowy, ale spokojnie i bez zdenerwowania. W końcu wręcz zapytałam, czy możemy dalej podróżować, czy też mamy natychmiast opuścić Włochy, udać się do innego kraju, bardziej gościnnego.

Agent zaczął się wycofywać. Szarżowałam i powiedziałam, że miałyśmy zamiar przedłużenia pobytu w Montecatini, sprowadzenia dalszych członków rodziny, ale...

To samo powtórzyłam w godzinę później dyrektorowi hotelu. Zażądałyśmy przedłożenia rachunku, kontynuowałyśmy niezadowolone i nagle oblekłyśmy się w wielkopański chłód. Cedziłyśmy słowa francuskie powoli i przez zęby. Wieczorem dowiedziałyśmy się od pokojówki, przy okazji wręczania bogatych napiwków, że pobyt profesora wywołał w „Grand Hotelu” poważne zamieszanie. Łagodne formy indagacji zastosowano jedynie do kilku osób z zagranicy. Włochów przesłuchiowano w biurach policyjnych.

Trzeba będzie raczej unikać kontaktów i trzymać się wyłącznie z cudzoziemcami. To było dla nas ostrzeżenie. Ciekawa jestem, jak by na to wszystko reagowali Amerykanie?

Sobota - 13 października

Piszę te słowa wczesnym rankiem. Wymknęłam się z hotelu i oto na samotnej ławeczce piszę słowa: żegnaj, Montecatini. Było bardzo przyjemnie. Schudłyśmy. Ja ważę 68 kilo w stroju, powiedzmy, kąpielowym, przed wejściem do wanny, Leokadia jeszcze 82. Niepotrzebnie roztyła się. To niedobrze, nie tylko ze względów toaletowych, lecz również dla samopoczucia. Obserwowałam to u Patrycji.

Jeszcze jakieś dwa miesiące zagranicy, a później powrót do siebie. Dom, to przecież nie jest pojęcie domu z cegieł. Takich mam w tej chwili cztery, co prawda nie w całości moich, lecz mam. Nowe mieszkanie i nowe warunki życiowe. Do ministerstwa chyba nie powrócę? To nie miałoby najmniejszego sensu. Dyrektorem departamentu ani ministrem nie zostałabym. Kiedyś daliby mi piątą grupę i utknęłabym na naczelniku wydziału, jeszcze wówczas uważaliby to za jakąś nadzwyczajność. Do szczęścia mi to niepotrzebne i nie liczę na rozkosze emerytury po trzydziestu latach służby dla państwa. Poznańska studentka napisała by dawniej w tym miejscu: nakichać na taką emeryturę.

Rzym - 21 października

Spędziłyśmy bardzo pracowity tydzień. Nie wszędzie można dojechać, trzeba było porządnie się nachodzić. Bolał nas nogi. Całe szczęście, że pora upałów już minęła. Dalsza nieprzyjemność leży w tym, że Tyber wieczorami zawleka się zgniłą mgłą.

Rzym to jakby teren nieustannie trwających wykopalisk oraz jakieś olbrzymich rozmiarów muzeum zabytków historycznych z okresu ponad dwóch tysięcy lat. Natomiast wszystko, co narasta w tym mieście z biegiem lat, karleje. Im bliżej naszych czasów, tym wszystko jest bardziej tandetne i nie obliczone na nowe tysiąclecia, pomimo betonów i konstrukcji stalowych. Nudne pudełka od zapalek w formie sześciopiętrowych domów koszarowych. Tu i tam podoczepiane balkony i jakieś słupki, to wszystko. A budynki

publiczne, stawiane współcześnie, to jedynie jakieś skarłowaciałe naśladownictwo tego wszystkiego, co jeszcze trwa w ruinach nieśmiertelnych. Wśród tego przewala się tłum zagonionych rzymian, potrącanych w przejściu przez tłumy przechodniów z obcych krain. Turyści na ogół nie dostrzegają ich, patrzą bowiem tylko w górę, podziwiają czcigodne zwaliska murów i nie analizują problemów współczesnej Italii. Starożytność zabytków zawsze i niezmiennie odgrywa rolę jedynie jakiejś dekoracji do współczesnego życia. Ale oglądanie tego wszystkiego męczy. Zbyt wiele i zbyt trudno wybrać rzeczy najbardziej istotne czy też warte obejrzenia z bliska. Problem Cooka jest znany. Nadążanie z wywieszonym językiem za tropem wielomównych guidów, o których tutaj nietrudno. Równocześnie to wszystko, co mimo wielu rabunków i wojen pozostało i ocalało w tym mieście, w dalszym ciągu, nawet w jakimś ułamku wzięte, mogłoby zasilić muzea wielu krajów na całym świecie. A tymczasem koncentracja trwa nadal w Rzymie i w Italii. Gromadzenie zabytków - jako jedno ze źródeł współczesnego dochodu narodowego. Wzbogacanie się na pamiątkach z przeszłości, kupczenie historią własnego narodu. Taka w mych oczach jest współczesna Italia.

Jutro wczesnym rankiem przierzucamy się drogą kolejową do Neapolu. Dniem, aby obejrzeć krajobrazy po drodze. Trzeba się śpieszyć, aby złapać jeszcze trochę ciepła i lazurów w zatoce neapolitańskiej. Zamieszkamy w Sorrento.

Nieraz całkiem banalne wyrazy w ustach tych południowców nabierają miłej słodyczy, prawie poezji. Przyjemnie jest kupować w sklepach, chociażby drobiazgi. Sprzedawczynie nigdy nie są zmęczone. W zachwalanie drobiazgowi wkładają tyle ognia, iż kupującemu zdaje się, że w istocie nabywa rzecz niezbędnie potrzebną mu do szczęścia. Nie dalej jak wczoraj nabyliśmy kilka par jedwabnych *dessous*. W momencie oglądania zdało się nam, że dopiero te drobiazgi będą największym szykiem w historii naszej damskiej bielizny. Być może są i ładne. W każdym razie taka melodyjna swada jest niezwykle pociągająca.

A równocześnie nie potrzeba zbyt przenikliwych spojrzeń, by dostrzec na każdym kroku zmęczenie życiem i pogonią za utrzymaniem się na powierzchni. Włochy nie są krajem bogatym. To naród ludzi biednych, żyjących jedynie na teatrum z dekoracjami starożytnych ruin. Wciąż wyciągają dyskretnie rękę po jałmużnę, pomimo licznych i surowych zakazów. Rolnicy głodują, chłopcy wyciskają z siebie siódme poty, a śmiertelność u dzieci bynajmniej nie spada, mimo licznych ustaw i wspaniałych programów faszystowskich. Nie widziałam tego wszystkiego na własne oczy, lecz dźwięczą mi jeszcze w uszach pełne smutku opowiadania naszego jednotygodniowego znajomego z Montecatini. Nędza i bieda, głód i choroby.

Sorrento - 23 października

Spokojny pensjonat. Półtora pokoju, za to wielki taras. Wspólna sypialnia oraz wejście przez mały pokoik, nazywający się zbyt szumnie salonikiem. Skromniutko, ale kilka miłych obrazków na ścianach. Nic dziwnego, syn studiuje w rzymskiej szkole sztuk pięknych.

Z pisaniem będzie gorzej, ponieważ wspólny pokój zacieśnia życie. Jedzenie dobre. Spokój. Oprócz nas tylko niemieckie małżeństwo, starsi ludzie, nie rozgryzłyśmy, co za jedni. Trzy dalsze pokoje zajęte przez francuskie towarzystwo, które wybrało na kilkudniową wycieczkę na Sycylię. Dni bez sezonu, mimo że jeszcze ciepło. Jedynie z roślinnością gorzej, to nie jest już wiosenna soczystość zieleni, gdy wszystko po raz pierwszy rozwija listki do walki z przyszłością. Tutaj przyjeżdża się podobno najlepiej na wiosnę, gdzieś w połowie marca. Reklamowana: *primavera siciliana*.

Sobota - 27 października

Zapowiadają pogodę na jutro. Gorzej, ponieważ niedziela - będzie tłum miejscowych amatorów na Capri. Popłyniemy pierwszym stateczkiem. Z Neapolu, tak radzą, mimo że z Sorrento bliżej. Trzeba będzie wstać bardzo wcześnie. Jak dotychczas, nie widzę tej pogody

zapowiadanej na jutro. Na razie jakoś blado na dworze, pomimo że już trzecia godzina po południu.

Francuskie towarzystwo trzyma z sobą. Niemcy również. Rozmawiamy prawie wyłącznie z pokojówką. Gospodarze mało widoczni. Nie narzucają się. Wysłuchujemy różnych plotek o gościach. Pokojówka świeżo importowana z Francji, paryżanka. Wokół trwa jeszcze w dalszym ciągu włoski koloryt kobaltu, bieli i zieleni, brakuje jednak silnego słońca, które wszystko wyzłaca i daje światło w dalekich perspektywach. Obecny obraz jest jakby zamglony, mało w nim barw.

W poniedziałek wieczorem wsiadamy w pociąg i przerzucamy się na północ. Jedziemy sleepingiem, już go sobie zamówiłyśmy. We wtorek rano Florencja i zaraz dalej do Bolonii.

Niedziela

Lazurowa grotta tym razem zawiodła. Fala była zbyt wysoka, wjazd trudny, a później, już w grocie, zawiodły również światła. Lazur nie był tak czysty, jak podczas wycieczki Cooka. W każdym razie wrażenie niesamowite. W dodatku głupie opowiadanie jakiegoś przygodnego współtowarzysza łódki, że przed rokiem przesiedział o głodzie i chłodzie kilkanaście godzin w grocie, ponieważ wybrali się zbyt późno i wieczorem nie było można wyjechać z powrotem na Boży świat. Takie sobie bujdy - nie wierzę.

Całe szczęście, że Leokadii podobały się nawet te zielonkawe głębie wód w grocie oraz połyskliwe kolory ścian. Reszty dopełniły opowiadania wioślarzy o Timberio, to znaczy Tyberiuszu, który w pamięci miejscowego ludu bynajmniej nie straszy po nocach. Ot taki sobie bogaty pan, miał grubsze pieniądze, więc robił, co mu się podobało.

Przekupnie na brzegu Capri obskoczyli nas ze zdwojoną namiętnością, jak byśmy byli rzeczywiście ostatnimi ofiarami w tym roku. Ciekawe, od razu wyluskali nas z gromady neapolitańczyków. Sprytny ludek!

Capri, o której pieśń mówi, że jest wyspą kochanków. Niedługo przed wyjazdem do Włoch przeczytałam po kilkakroć polskie tłumaczenie *Księgi z San Michele* i zapamiętałam kilka zdań, skreślonych przez autora na wstępie do któregoś z wydań:

„Leśne boginki i rusalki istnieją jeszcze do dzisiaj. Niektórzy mówią, że mają one postać pięknych dziewcząt o gorących ustach, błyszczących oczach i białych kobiecych ramionach, a posiadają ludzkie dusze. Inni utrzymują, że są to właściwie tylko ptaki o bogatym barwnym upierzeniu, a wabią czarującymi tonami pieśni, które samotnego wędrownika sprowadzają na manowce, coraz dalej a dalej od celu podróży...”

Czy na Axela Munthe właśnie pobyt tutaj sprowadził takie myśli? Nie dziwiłabym się takim zdaniom gdzieś w przedmowie do bajek Andersena...

Nie umiem sobie przyswoić podobnych wzruszeń. Nie umiem odziać własnego życia w szatę tak barwnych pojęć czy westchnień. Przychodzi ono do mnie w zimnym wydaniu przemyślanych praw i jedynie w drodze wesołego cynizmu - oddalam od siebie rzeczy niewygodne mi w danej chwili.

Wieczorem

Naszło na mnie obecnie coś, co obawiam się nazwać nudą czy zniechęceniem. Tymczasem trzeba żyć i kręcić się między ludźmi. I oto żyję, jeżdżę po świecie. Nie mam nawet żalu do księgi przeznaczeń, że nie spotykają mnie jakieś nadzwyczajne przygody. Bo i jakież mogłyby mnie spotkać? Do domu publicznego w Argentynie mnie nie porwą, takich jak ja... nie porywają...

To nic, na razie od jutra rana - nowa partia podróży.

We dwie z Leokadią zastanawiamy się już obecnie, co zrobić z miesiącami pozostałymi do końca roku.

Leokadię rozumiem. Po stracie męża pragnie oddalić się od tej tragicznej daty. Nie wspomina nawet o niej. Czas łagodzi wszystkie bóle. A ja co? Chyba nie liczę się w tym zestawieniu. Jestem w roli rodzinnej przyczepki do ciotki Leokadii. Tak się złożyło, że jedynie ja byłam gotowa do tego czynu. Zamiast kogoś obcego zawsze lepszy ktoś ze swoich, ponieważ bliższy myślami, nie drażniący niespodziankami w stawianiu pytań.

Ale już czas najwyższy na spanie. Poprzez drzwi słyszę, jak moja kochana ciotka chrapie. Dawniej było lepiej, ale obecnie Leokadia ma zwyczaj sypiania równiutko na grzbiecie. Otwiera buzię i wówczas chrapie w głośnych tonacjach. W dodatku obecnie sypia dobrze. W okresie choroby mimo używania narkotyków sypiała niewiele i bardzo nerwowo. Rzuciła się w śnie, czasem nawet krzyczała. Dzięki Bogu, obecnie to wszystko należy już do minionej przeszłości.

Jutro pół dnia w Neapolu, ganiać po sklepach i wybieranie prezentów. Ja biorę, co mi wpadnie w oko, Leokadia kupuje z planem. Gdy jej coś przyjdzie na myśl, notuje, aby nie zapomnieć, pokutuje w niej dawna prokurentka bankowa.

Neapol - 29 października

Upał, jakiego dawno już nie przeżywałyśmy. Zapewne kończące się lato pragnęło pokazać ludziom, co jeszcze może! Piszę tylko kilka słów i liżę łyżeczkę z lodami. Upał, a lody są bardzo zimne. Trzeba jeść powoli. To trzecia porcja. Mam już dosyć. Czekam na powrót Leokadii, która jeszcze poleciała, aby kupić bransoletkę z kamieni wykopanych w Pompei. Także pomysł!

Po obiedzie nie wiem, co zrobimy z sobą. Do odjazdu pociągu jeszcze kilka godzin. Bagaże nadane, a dwie podręczne walizeczki w przechowalni na dworcu. Tymczasem przybywają nowe paczki i paczuszki. Nie wiadomo po co. Ale moją ciotkę ogarnął szal kupowania.

Włosi są obrzydliwi. Nie można spojrzeć na któregoś z nich, ponieważ to stanowi od razu zachętę do głupich min. Niektóre egzemplarze wspaniałe. Tylko brać ołówek i rysować. Fotografować trudno, bo nigdy nie wiadomo... Mężczyźni w ciasniejszych przejściach nigdy nie pomijają okazji, aby otrzeć się o kobietę. Choćby o suknię.

Chyba pójdziemy do kina. Ale to tylko dwie godziny, a dalej... Na kawiarnię nie jesteśmy odpowiednio wystrojone. Co do reszty, to cały Neapol można oblecieć w ciągu kilku godzin. Naturalnie, o ile się nie staje przed każdym sklepikiem, jak wiejskie cielę przed samochodem.

Ale widzę z daleka, ciotka wraca i niesie w rękach nową paczkę. Kto wie, czy oprócz bransoletki z kamykami nie zakupiła cegły z Pompei. Jak to będzie na granicach? Czy ona sobie to wyobraża? Stop.

Wenecja - niedziela - 4 listopada

Za tydzień imieniny Marcina, naturalnie zawczasu wyślemy życzenia. Co też oni porabiają? W jaki sposób przygotowują się do pożegnania Polski? Ciekawa musi być taka zmiana jednego kraju na inny. Boć przecie w każdym kraju jest inaczej. Inni ludzie, inne mury, inne obyczaje. Nawet powietrze inne. Tylko wszystkie „Grand Hotele” są jednakie. W dodatku zmiana Polski na Szwajcarię, to nie jest przejście na peronie z jednego pociągu na drugi. Raczej pociąg pośpieszny, ekspres, po wyjściu z lepszej czy gorszej, ale bryczki.

Dla mnie to będzie łatwa możliwość wyjazdu na wakacje. Przyzwoite oparcie za granicą, znacznie pewniejsze czy w końcu miłsze niż uliczka Zielonego Mostu i willa Elzy w Cannes.

Wenecja jak Wenecja. Oglądam to wszystko po raz drugi. Owszem, w dalszym ciągu wszystko jest śliczne, właśnie o tym mieście można mówić, że śliczne. Ale tym razem u mnie

bez ciekawości. Zresztą już jest listopad. Leokadia - mimo wilgoci w powietrzu - dopełnia wszystkich rytuałów turystycznych z gorliwością neofitki.

Bolonia - Ferrara - Padwa. Nieustanna i nie kończąca się feeria kościołów, zabytków i muzeów, przeplatana wspomnieniami świętych. Liczne pamiątki po Polakach. Gdzież oni nie wędrowali!

A na zakończenie koronkowa Wenecja. Tylko że tu trzeba patrzeć tylko w górę, na mury zabytków, ponieważ w kanalikach mocno śmierdzi. Ale trudno. Dawne wieki pozostawiły po sobie świetne pałace, a współczesność zapycha malownicze zresztą kanały wszystkim, co trzeba z domu wyrzucić. Może za czasów dożów tak nie śmierdziało, było bowiem mniej ludzi.

Wenecję trzeba podziwiać w krasie wczesnej wiosny, gdy powietrze jest wypełnione nowym rokiem i nowym życiem. Po przebudzeniu się z ponurych dni zimy, która tutaj wieje chłodem i zimnem wód i północnych wiatrów.

Ale myśli moje zwracają się do księżnej Ferrary. Czy Lukrecja i Cezar byli aż tak wielkimi zbrodniarzami? Potworami w ludzkim ciele, jak ich przedstawiał pierwszy mąż Lukrecji, Sforza? Sztylet i trucizna były podówczas codziennymi narzędziami polityki, a Cezar i jego siostra byli przecież nieodrodnymi dziećmi bujnego Odrodzenia włoskiego. Nowe epoki nie zawsze powstają w cichych zakątkach uczonych, a włoski Renesans, mimo swej grandezzy, właśnie w Cezarze upatrywał niedościgniony wzór włoskiego księcia. Czy Lukrecja była kochanką swego brata, swego ojca? Być może, lecz to nie pomniejsza epoki i nie poniża ludzi wówczas żyjących. Tak sobie rozmyślałam, chodząc po starych uliczkach Ferrary.

W listach brak ważnych wiadomości. Odezwał się pan Franciszek Józef. Stary wiedeńczyk zaprasza w gościnę do swego drewnianego dworku na Dębnikach. Czymże mógłby mnie uraczyć? Chyba Paprockim i Niesieckim, a to wielce nudne i trudne do skonsumowania na poczekaniu. W dodatku o Rosenschwerthach i Jamsborckach nie ma tam mowy. No, ale trzeba utrzymać tę nową znajomość ze względu na panią Orzechowską.

Wenecja - czwartek 8 listopada

Konwenanse zwyciężają. Stało na tym, że trudno byłoby zamieszkać gdzieś w pobliżu Cannes. Ponieważ trzeba się gdzieś podziać, jutro jedziemy do San Remo. To również coś w rodzaju Mentony, ale po włoskiej stronie. Już wysłałyśmy listy do kraju z prośbą o wiadomości na poste restante w San Remo.

Zamieszkamy w pensjonacie i zostaniemy w nim przez cały miesiąc. Postanowiłyśmy w drodze powrotnej nigdzie się nie zatrzymywać. Jednym tchem do domu. Pierwszy nocleg u mnie, w nowym mieszkaniu przy ulicy Hortensji.

San Remo - niedziela 11 listopada

W południe dobiłyśmy do San Remo. Po drodze był Mediolan i Genua w ciągu dwóch dni. Właściwie ta ostatnia tylko w przelocie. Uczymy się nie tylko sztuki, lecz również geografii. Przestrzeń Wenecja - Mediolan to jakby Warszawa - Poznań. Z Mediolanu do Genui odrobinę dalej niż z Bydgoszczy do Poznania, w dalszym ciągu coś koło tego do naszego San Remo. Nogi bolą od łażenia, toteż dzisiaj umieściłyśmy się wygodnie w pierwszym lepszym hotelu. Najwyżej na dwa dni. Zaczęłyśmy od kąpieli, a później do łóżka. Ogromne maszyny do spania, ale ze względu na zmęczenie wzięłyśmy dwa oddzielne pokoje.

Na jutro zadysponowałyśmy sobie śniadanie do łóżek, ale dopiero, gdy zadzwonimy. Bez budzenia. Spać, spać!

Środa - 14 listopada

Zamieszkałyśmy w takim sobie średnim hotelu - pensjonacie. Duży pokój, dwa łóżka, nie wiadomo dlaczego aż dwie umywalnie z lustrami. Drugie piętro. Z łazienkami gorzej. Na naszym piętrze tylko dwie łazienki, jedna dla pań, druga dla panów. Nie było na razie innego pokoju z widokiem na morze, ale chyba nie uciekniemy, ponieważ dość sympatycznie. Niemiecka pokojówka przywędrowała aż z Drezna, specjalnie do obsługi niemieckich gości. Pensjonat zasadniczo włoski, ale wielojęzyczny. Część domu urządzona również jako hotel i w związku z tym olbrzymi westybul ze złoceniami i lustrami, imponujące wejście i także schody na pierwszym piętrze. Taniej niż w Biarritz, mając na uwadze specjalny kurs podróżniczych lirów. Klimat w istocie łagodny, pomimo listopadowego miesiąca.

Rocznica śmierci stryjka Pawła zaskoczyła nas w Mediolanie. Zjawiliśmy się z Leokadią wczesnym rankiem w małym kościółku i uprosiliśmy włoskiego księdza o odprawienie mszy żałobnej. Dzień kościelny nie nadawał się do kolorów żałoby, ale staruszek, gdy usłyszał o Polakach i tylko o przejeździe przez Mediolan, dał się uprosić. Usłyszałyśmy coś w rodzaju pochwały dla pobożności naszego narodu. Tym razem natrafiłyśmy na jednego z tych włoskich *padre*, którzy chodzą w wyświechtanych sutannach. W niczym oni nie są podobni do wyjedwabionych *monsignorów* watykańskich, którzy snują się po bazylice św. Piotra, otoczeni rojem pięknych pań.

Leokadia przeklęczała całą mszę na gołych kamieniach, pomimo że msza była długa. Gdy wstała, oczy miała mocno zaczerwienione i wypełnione łzami. Milczałam, nie pogłębiałam jej smutku jakimiś zdawkowymi słowami pocieszenia. Dopiero w kilka godzin później zagadałam ją na bieżące tematy, bez nawiązywania do przeszłości sprzed roku. Dzięki Bogu, że to już przeszło, w dodatku szczęśliwie i w łagodnej postaci. Specjalnie obawiałam się o ten jeden dzień.

Niedziela - 18 listopada

Już zadomowiliśmy się w naszym pokoju. Jedzenie dobre, lecz raczej przyrządzone z myślą o zadowoleniu rozmaitych gustów gości. Z żalem wspominamy dietetyczną kuchnię z Montecatini, ale przecież dla głupiego jedzenia nie będziemy zmieniać pensjonatu. Dają smacznie i obficie, a tylko od naszej woli zależy, aby jadać mniej. W sumie zaledwie dwadzieścia sześć osób w naszym pensjonacie, nie licząc trojga dzieci. Sporo pokoi wolnych, podobno jeszcze nie rozkręcił się zimowy sezon. Oddzielna sala restauracyjna dla gości niepensjonatowych, co jest bardzo wygodne, ponieważ nie trzeba patrzeć na ustawicznie zmieniające się twarze przejezdnych gości.

Na wszelki wypadek wysłałyśmy list do Elzy, aby to jakoś wyglądało. Napisałyśmy, że umieściliśmy się po tej stronie, ponieważ mamy zamiar zrobić jeszcze kilka wycieczek.

Nasz pensjonat obliczony jest raczej na ludzi, którzy lubią elegancję, lecz nie chcą czy też nie mogą wydać więcej pieniędzy. Taka sobie pierwsza klasa z małym minusem lub druga klasa z dużym plusem...

Wtorek - 20 listopada

Pochmurny dzień, raczej przeznaczony na niewychodzenie z domu. W dodatku ja w ogóle nie przewidywałam znaczniejszych wędrówek w dniu dzisiejszym, jutro również. Leokadia czyta.

Sobota - 24 listopada

Listy z kraju. Żoliborz dopomina się o powrót jeszcze przed świętami. Generałowa pisze, że „nasz” interes świetnie idzie. Co do Florencji, to już wysłałyśmy obszernie listy z życzeniami i odszukałyśmy miejscowego agenta „Fleurope”. Naturalnie kwiaty dla solenizantki, nawet z doręczeniem naszych oryginalnych bilecików, ponieważ było na to sporo czasu. Jutro rano odwiedziny Elzy. Widocznie wyładniałam w Montecatini, ponieważ

wczoraj zaczęło mnie na promenadzie dwóch panów. Obaj równocześnie, jak oni sobie to wyobrażają? Zagadnęli mnie naprzód po włosku, a następnie po francusku. Początkowo udawałam, że nie zwracam na to uwagi, później powiedziałam do nich kilka zdawkowych słów po francusku, aby poszli swoją własną drogą, coś w tym rodzaju. Na razie niby się odczepili, ale w dalszym ciągu szli za mną w odległości kilku kroków. Przeszli jednak na język niemiecki i od tego momentu miałam dobrą rozrywkę.

Przez dobrą chwilę przysłuchiwałam się, jak dwóch bubków w eleganckich ubraniach taksowało kobiecość Anny Jambor. Obaj zgadzali się na to, że... można by. Byli zadowoleni z figury, tylko lekko przejechali się po moich nogach, mówiąc, że nie wyglądam na artystkę. Wyobrażali sobie, że jestem Francuzką, i na tym właśnie budowali możliwość zawarcia ze mną znajomości. Na zakończenie usłyszałam dyskurs na temat, ile by taka znajomość ze mną mogła ich kosztować i w jakim lokalu można by się ze mną pokazać...

W chwilę później przemówili do mnie po francusku i w sposób mniej więcej możliwy zaproponowali wstąpienie do jakiegoś lokalu na filiżaneczkę kawy. Uśmiechnęłam się do nich, to ich zachęciło. W chwilę później przystanąłam przed jakąś wystawą, aby nie zwrócić uwagi przechodniów na naszą rozmowę, i powiedziałam do nich tonem prawie szyderczym:

- *Meine Herren*, wyobraźcie sobie, że w moim położeniu znajduje się na przykład wasza siostra, również na tej Riviera di Ponente, i że, powiedzmy, dwóch Francuzów zaczyna ją w sposób podobny, że również taksują ją jako kobietę w nie znanym dla niej języku francuskim.

Zatkało ich. Uśmiechnęłam się po raz drugi i nie odwracając się, odeszłam. Nie pogonili za mną, nie usiłowali się tłumaczyć.

Przygoda z rzędu humorystycznych. Dźwiękowa odmiana łapania za kolana, co się zdarza specjalnie we włoskich tramwajach, narodowy widać obyczaj. Ale tym razem byli to Niemcy. Jest ich tutaj pełno. Upatrzyli sobie właśnie San Remo, zorganizowali nawet własne niemieckie sanatoria.

Poniedziałek - 26 listopada

Elza przyjechała samochodem. Dla miejscowych nie istnieją trudności graniczne. Właściwie w tym miejscu granica jest mocno zatarta i deprymują jedynie głupstwa celne. Poza tym panuje swoboda. Policjanci nie przeszkadzają. Elza mówi, że mimo wszystko włoska policja mocno obserwuje cudzoziemców. Być może, ale ja osobiście od Montecatini trzymam się na uboczu.

Kuzynka nie zdziwiła się, że wybrałyśmy San Remo, a nie Cannes lub Mentonę. Opowiadała jej o naszej przygodzie z markizem. Wysłuchała poważnie i radziła ostrożność. Podobno Włosi wciągają nazwiska na specjalną listę i później może się zdarzyć, że nie wpuszczą na granicy. Nawet gdy posiada się wizę, uzyskaną w ich zagranicznym konsulacie. To znaczy - tam pozwolą, a tutaj zamkną szlaban przed nosem. Czego, u licha, się obawiają?

Sporo nowych wiadomości rodzinnych. Elza była u ojca w Genewie. Podobno Marcin zamienia czy też już zamienił willę na Żoliborzu na jakąś małą willę z ogrodem w Montreux, nad Jeziorem Genewskim. Bardzo miła wiadomość. Z drugiej strony to nie jest przyjemne, gdy najbliżsi krewni dowiadują się o takich sprawach na samym końcu. Może nie chcieli zawracać nam głowy, a w dodatku z nimi zawsze to samo! Wszystko otaczają tajemnicą i lubują się w niespodziankach. Na przykład do dzisiejszego dnia nie mamy zielonego pojęcia, czym naprawdę zajmuje się Marcin. Wiemy jedynie tyle, że Florencja dostała w posagu pakiet szwajcarskich akcji oraz ostatecznie rozliczyła się z domów z siostrą i panem Krymułtem. Oprócz tego w dalszym ciągu tajemniczość w sprawie kamienicy przy ulicy Hortensji w Warszawie. Skąd pochodzi osobisty majątek Marcina, przecież go nie posiadał wówczas, gdy zrzekał się spadku po swoim ojcu w Grudziądzu. Przypominam sobie pewną rozmowę ze stryjkiem Marcinem. Widocznie już wówczas nie było dla niego drogi odwrotu. Historia z Florencją była zbyt daleko posunięta i Marcin bił się z myślami: Florencja czy

Patrycja. Może w owym czasie wędrował jeszcze z objęć jednej siostry do drugiej?
Zwyciężyła ostatecznie Florencja, która wypełniła mu wszystkie dni.

Elza zostaje z nami, mówi nawet o całym tygodniu. To bardzo miło z jej strony. Umieściła się z fasonem w naszym pensjonacie. Może wybierzemy się na jakąś dalszą wycieczkę, ponieważ mamy pod ręką samochód Elzy.

Środa - 28 listopada

Dzień imienin Florencji. Rewelacje. Ucięliśmy sobie rodzinne rozmówki i Elza Dubow wystąpiła w roli wszystkowiedzącej. Kiedyś, przed laty, podobne opowieści byłyby mną wstrząsnęły, dzisiaj obie z Leokadią przyjmowałyśmy je z obojętnym grzecznościowym uśmiechem. Jak to zmieniają się czasy!

Bardzo stare historie. Gdzieś w okresie wojny Marcin ożenił się w Darmstadtzie. Córka kupca. Dziecko, które zresztą umarło po dwóch latach. Tajemnica wobec polskiej rodziny. Nie wiadomo nawet, czy stary dziadek Benon o tym wiedział. Później opuszczenie wojennej żony, usadowienie się w Bazylei, reszta wiadoma: Patrycja, a następnie Florencja.

Zwierzania przy czarnej kawie i likierach, które Leokadia kazała podać do naszego pokoju. Obie z Leokadią zaciągałyśmy się głęboko i puszczałyśmy kółka dymu w stronę sufitu. A Elza opowiadała. Dopiero w dobrą godzinę potem odważyłam się, wyznałam Elzie, że to były szczegóły dla nas nieznanne, i prosiłam ją, aby nie mówiła rodzinie, że o tym wiemy. Popatrzyła na nas nieco zdziwiona, lecz zaraz obie z Leokadią zapewniłyśmy ją, że małżeństwo Marcina z Florencją ułożyło się niezwykle harmonijnie i że nie byłoby dobrze mieszać starych dziejów do nowych. Przyznała nam rację, to jest kobieta z głową.

Piątek - 30 listopada

Objedźdżamy włoską Riwierę, lecz bez przesady i tylko w formie krótkich spacerów. Elza jest bardzo miła w towarzystwie. Jej pokój ma coś w rodzaju małego południowego tarasu, który wykorzystujemy obecnie do leżakowania. Prowadzimy bardzo spokojny tryb życia. Rozmowy na różne tematy bez potrzeby tonowania czy cieniowania powiedzeń.

Niedziela - 2 grudnia

Wakacje szybko minęły. Czas wracać. Już trzy tygodnie w San Remo. Dzisiaj po południu odjechała Elza i zobligowała nas do przyjazdu do Cannes w przyszłą niedzielę. Rano przyśle po nas samochód, a my już z naszej strony na dobre pożegnamy się z Italią. Wystarczy, bite cztery tygodnie na Riwierze. Początkowo chcieliśmy wracać do Polski najkrótszą drogą przez Grenoble, Belfort i Strasburg, ale nie ma mowy o takim skróceniu podróży. Trzeba będzie zawadzić nie tyle o Paryż, ile o nasze kuzynki. Nie można inaczej.

Kilka tygodni temu byłam już taka zniechęcona do wszystkiego, a dzisiaj żal mi wracać. Tutaj powoli, lecz konsekwentnie zaczyna rozkręcać się prawdziwy sezon zimowy, widać to po przyptywie eleganckich samochodów z zagranicznymi numerami rejestracyjnymi.

Środa - 5 grudnia

List z Żoliborza. Od Florencji - do nas obu. Podziękowała za kwiaty i życzenia. Pisze, że nabyli domek w Montreux nad jeziorem i zapraszają nas w tym samym komplecie w odwiedzinach na początku marca. Wyjeżdżają jeszcze przed Nowym Rokiem, określają nawet dokładną datę: 29 grudnia. Przypomnienie o powrocie jeszcze przed świętami, prośba o powrót przez Paryż. Kilka drobniagów czy zleceń właśnie do Paryża.

Piątek - 7 grudnia

Telefon od Elzy, przysyła samochód już jutro rano, radzi, aby wyjechać w sobotę po południu. Szofer ma załatwić samodzielnie sprawy graniczne z bagażami, tak było umówione.

Cannes - niedziela - 9 grudnia

Pierwsza składałam życzenia Leokadii. Gdy całowałam ją, jeszcze w łóżku, przyszedł mi na myśl kolejne jej imieniny. Jeszcze w Poznaniu, przy ulicy Młyńskiej. Jakże odległe są te czasy. Rok 1928. Pierwszy rok moich studiów uniwersyteckich. Za miesiąc będzie już nowy rok 1935! Siedem lat. Były następne siedem były równie pomyślne i były nie powtórzyły się historie biblijne...

W każdym razie przywiozę naszą ciotkę do domu całkiem wyleczoną i uspokojoną. Co prawda każdy z nas z czasem przebacza losowi, że go skrzywdził, lecz nigdy mu tego nie zapomina! Lata jednak leczą. Ten rok był trudny dla Leokadii i dla nas wszystkich.

Imieniny obchodziliśmy w trójkę. Elza tryskała humorem, wystawiła nawet szampan. Nabyliśmy się w suknie wizytowe, *grand chic*, mimo że nikogo nie oczekiwaliśmy. Nadeszły jedynie dwa telegramy z Paryża. Od naszych obu kuzynek i Kseni oraz dłuższy telegram, nie liczący się z ilością słów, od pana Krymułta. Zawsze jednak uważający. W telegramie pań przypomnienie, że oczekują nas najdalej w środę rano. Wyślą samochód na dworzec. Moc kwiatów.

Poniedziałek - 10 grudnia

Przygodna rozmowa na temat małżeństwa.

- Bo - powiedziała Leokadia podczas obiadu - rodzina pragnie wydać naszą Annę za mąż.

Ciekawe, rachunek bez gospodarza.

Później debata nad tym, czego można oczekiwać w małżeństwie. Dziesiątki definicji. Wszystko to sprawiło na mnie wrażenie wystrzałów na wiat. Fajerwerki w dzień puszczania na wodę wianków. Błyskotliwość powiedzeń. Każda z nas trzech dodawała po trochu do tego cocktailu rozkoszy małżeńskich. Dla łatwiejszego wysłowienia się - rozmowy po niemiecku.

Naprzód obie zachwalały małżeństwo, a później chuchanie na lód roztopiało te opowieści, ponieważ lód był zbyt rzęsiście oświetlony. Ciepło obmowy rozpuszczało go i w końcu na półmisku wyobraźni trzech dam pozostały jedynie wspomnienia po rozmowach. Mały kupidynek ze śmiesznym łukiem, trzęsący się z zimna... Woda zwątpienia we wszystko, co zostało wypowiedziane, i żal za tym, czego jeszcze nie dopowiedziałyśmy...

Później rozmowy przeskoczyły na problem kochanków. I w tym wypadku Elza grała pierwsze skrzypce, ponieważ bardzo jasno postawiła sprawę:

- Ach - kochankowie. Obu stronom wydaje się, że są wzajemnie zdobywane.

Tymczasem ważną rolę odgrywa J.K.M. Przypadek i nic więcej. Obie strony od samego początku dążą do tego samego, ale usiłują opakować to w jakąś błyskotliwość poezji czy miłości. Na dnie leży zawsze goła namiętność, tuszowana i tonowana zwyczajami, konwenansami, tradycją i chęcią owiania tego jakimś bajkowym nimbem.

Kochankowie - mówiła śmiało Elza - miałam ich wielu. Byłoby śmieszne, gdybym usiłowała powiedzieć, że posiadałam ich tylko kilku przy moich czterdziestu latach. Nie ośmieszę się do tego stopnia! Prawda, starałam się mieć tych kochanków, ponieważ byli mi potrzebni, podobnie jak przyzwoita toaleta, jak jedzenie i picie, jak powietrze - w końcu. Lecz nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że miałam kochanków, a natomiast nigdy nie byłam czyjąś kochanką. Byłoby to nieprawdą, ponieważ w życiu bywa rozmaicie i my same zdajemy sobie z tego sprawę, że tak jest... mimo że dla kobiety znacznie wygodniej posiadać kochanka czy wielu kochanków, aniżeli być... tylko kochanką... To bardzo trudne problemy, a my staramy się nad tym nie zastanawiać.

Jaki kochanek jest najlepszy? W tym tkwi sedno zagadnienia. Mężczyzna nieżonaty, żonaty, wdowiec czy rozwiedziony? Młeczak czy mężczyzna doświadczony. Pierwsi na ogół traktują kobiety jak konie pocztowe przy zmianie dyliżansu - powiedzenie zdaje się Balzaka -

oglądają pęciny, czy silne, i widzą w kobiecie tylko towar, ciało, rozkosz kilku nocy czy kilku godzin. Żonaci usiłują znaleźć w kochance to, czego nie dostaje ich żonom. Bardzo trudna konkurencja, ponieważ często kochanka musi wdychać zapach perfum żony wybranego. Z jednych ramion - w drugie. Kobieta w tym wypadku nigdy nie jest pewna, czy posiada mężczyznę w całości i niepodzielnie. Wdowiec w charakterze mężczyzny to również kochanek niewygodny. Nie wiadomo nigdy, o czym myśli. Czy patrzy w przyszłość, czy ogląda się w tył. Ostatni gatunek mężczyzn, rozwodnicy, to rodzaj mocno skwaśniałego wina. Jeszcze wino, lecz już zgorzkniałe, nie perlące się i nie tryskające humorem. Erotyczny ocet.

- Tak - zakończyła nasza gospodyni z Cannes. - Tak - powtórzyła w zamyśleniu. - Czy ja wiem? Największą emocję w życiu przeżyłam kiedyś, gdy wprost z balu znalazłam się w objęciach jakiegoś nieznanego mężczyzny. W jego mieszkaniu, w obcym prawie mieście. Wczesnym rankiem wybiegłam i nie oglądając się na nazwę ulicy ani wygląd domu, dopadłam pociągu i pojechałam dalej w świat. Niespodzianka? Nie wiem. Ani radzę jednak, ani zachwalam. Różnie kształtują się w naszym życiu miłość i namiętność. Rozgraniczenie tych dwóch pojęć również jest bardzo trudne, ponieważ nigdy nie wiadomo, gdzie się kończy własna miłość, a zaczyna miłość kogoś innego. Bardzo często kochamy się nie w kochanku, lecz w jakiejś naszej kolejnej miłości czy sympatii.

Oddawanie się mężczyznom? Kobiety, które czynią z tego jakieś celebrowanie opowieści o grzechu, są głupie. Ciało ma swoje wymagania. Cały dowcip polega jedynie w tym, aby nie rozbić przy tym kruchutkiej łódeczki naszego „ja” czy też naszego, że się tak trywialnie wyrażę, kobiecego zdrowia.

I cóż więcej dodać do słów Elzy Dubow? Chyba to jedno, że kobiety są powściągliwsze od mężczyzn w doborze kochanków. Namysłają się, mimo że oddają się czasami pierwszemu lepszemu mężczyźnie z anonimowym obliczem. Czynią to również w masce na twarzy. Natomiast mężczyźni zbyt pochopnie biorą to, co im wpada pod rękę. Naturalnie z wyłączeniem egzemplarzy kobiecych zbyt rażących czy też odrażających. W stanie trzeźwym, rzecz prosta, gdyż wchodzi w grę również opowiadania o zalaniu się. W Kongresówce zalewa się „w pestkę”, w Galicji zalewają się „w sztuk”, widocznie od dawnego austriackiego: *Stock Cognac Medicinal*. W Poznańskim natomiast nie komplikują sprawy i mówią po imieniu: urznął się jak bydlę. A w tych wypadkach trudno o wybór, chyba tylko coś z zakresu trzech chorób wenerycznych. Bo przecież i one łączą mężczyzn i kobiety.

Ale chyba już dość tego rozbierania na gramy stosunków pomiędzy obu płciami. Ponad wszystkim królują niepodzielnie namiętności, żądze i sprawy przypadkowości bez nazwy.

Wszystko zresztą na razie jest nieważne, z wyjątkiem tego, że jutro wieczorem jedziemy w trójkę do Paryża. Nasza wysublimowana w cynizmie erotycznym gospodyni razem z nami. Nie dla przyjemności, a jedynie dla wzięcia udziału w jakichś zakończeniowych rozrachunkach z panem Krymułtem, który podobno już dobija do formalnego portu rozwodowego. Może sobie nawet zafundować rzymski ślub w katolickim kościele, ponieważ małżeństwo z Patrycją zostało zawarte w prawosławnej cerkwi ze względu na urzędowe wyznanie „bywszego” carskiego generała Zbisławskiego. Rozwód w zgodzie, bez tłuczenia talerzy i wypowiedzania zbędnych słów, które łatwo wyrzec, a trudniej bodaj jako tako załagodzić. Każdy zresztą rozwód pierze domową bieliznę w pralni obrzydliwości, obsługiwanej zwyczajowo przez chciwych na forszę adwokatów, delektujących się sędziów i oblizujących się ze sprośnej uciechy radców konsystorskich.

Cannes - wtorek - 11 grudnia

Wyjeżdżamy z Cannes akurat obecnie, gdy powoli zaczyna zjeżdżać bardziej interesująca publiczność. Wczoraj mignęło mi na spacerze kilka osób, znanych z widzenia w Warszawie, kawiarniane twarze z „Europy”. Ale trudno, w domu czeka na nas zatrzęsienie różnych drobnych i niedrobnych spraw.

Kto wie, czy w najbliższej przyszłości znajdę się w Paryżu, a tymczasem wybiegam myślą do Warszawy i do tego wszystkiego, co mnie czeka w nadchodzącym Nowym Roku.

Poza tym obie z Leokadią jakoś nieszczęśliwie wyglądamy w naszych skórzanych płaszczach, które zdążyły się porządnie podniszczyć i powycierać. Trzeba będzie dość cichutko przewinąć się przez te kilka dni w Paryżu. W dodatku straciłyśmy nagle serce do zakupów. Czasami i tak rozmyślamy, co to będzie na granicy polskiej.

Ale czas kończyć. Właśnie szwajcarska gospodyni wmówiła we mnie drugie śniadanie. Elza wywiała gdzieś bardzo wczesnym rankiem, jeszcze przede mną, Leokadia podobno śpi. O godzinie jedenastej umówiliśmy się na ostatnią przejażdżkę po Riwierze. Obiad zjemy gdzieś w nieznanym. Cudowna pogoda.

Już załatwiłam się z francuskim śniadaniem. Cieniutkie plasterki szynki, *jambon aux cornichons*, rogaliki jeszcze ciepłe, masło, a później od razu i niespodziewanie czekolada z biszkoptami, brioski wypełnione masą jabłeczną, również na gorąco, a na końcu, co kto woli. Pod ręką szafka z butelkami i do wyboru, co fantazja przyniesie na język. Poezja trunków, nawet przyrząd do mieszania.

Ale piszę same głupstwa. Paryż to jednak Paryż. Trzy dni. Przecież takie trzy dni w Paryżu mieszczą się niejednokrotnie w programie jakiejś zagranicznej wycieczki, o której bohaterowie z dumą opowiadają później w kraju, aż do samej śmierci.

Czasami wydaje mi się, że zgłębiłam i przewertowałam wszystko w tym Paryżu, tuż zaraz jednak wspominam na upominek pana Krymułta w postaci ozdobnego dzieła i czuję się bardzo malutka z tym moim zwiedzaniem. Bo przecież nawet i ci, którzy mieszkają całe życie w Paryżu, nie znają dokładnie tego miasta. Co najwyżej z jakimś romantycznym westchnieniem wymawiają trzy słowa: *Paris c'est tout*.

Paryż to przecież nie są tylko same kamienie, bodaj najstarsze i najczcigodniejsze pod względem sztuki czy wspomnień historycznych. Kamienie są martwe, a miasto wypełniają i ożywiają ludzie, tych zaś trudno przejrzeć czy odgadnąć przygodnemu etranżerowi!

Paryż - środa - 12 grudnia

Wieczór. Pomimo zmęczenia po nieprzespanej nocy nie mogę usnąć. Leokadia jechała w osobnym przedziale, drugie łóżko pozostało nie zajęte, a ja umieściłam się wspólnie z Elzą. Nie spała i paliła bez przerwy mocne papierosy. Również bez przerwy gadała i gadała. Słuchałam, lecz odbiegł mnie sen.

Elza w swoim pokoju, Leokadia w pokoju Florencji, a mnie umieszczono w dawnym apartamencie pana Krymułta. Nowe meble i nowy styl wnętrza. Podobno w amerykańskim guście, lokalik urządzony jako paryskie schronienie dla zamorskich gości pani Maltz. Trochę to jakoś dziwne, mocno przypomina obrazki widywane na filmach. W każdym razie bardzo wygodne. Zgoła inny świat. Zapomina się niemal, że to Paryż. Jakby urwane z choinki. Pół roku wystarczyło, a w Hotel du Pont Vert nie pozostało już najmniejszego śladu po mężu Patrycji. Te pół roku nazywało się w mowie prawników rozwodowych okresem separacji potrzebnym do stwierdzenia całkowitego rozkładu małżeństwa. Dowcipne!

Nowi przelotni goście zza Oceanu zdążyli już nawieźć moc podarunków. Podobno taki zwyczaj w Ameryce, że obdarowują się w nieskończoność przy byle jakiej okazji. I tak w kółko z prawami i obowiązkami wzajemności. W apartamencie w ten sposób: lamus.

W Cannes przyszło mi na myśl, że warto byłoby kupić sobie jakieś nowe futro w Paryżu. Wstępowałyśmy nawet dzisiaj z Leokadią do kilku magazynów, ale ceny były zbyt wysokie. To, co mi się podobało, zbyt drogie na moje głupie tysiąc dolarów zarobione na prowizji od interesów z Zajliczem. Oczy bolały, sercu było żal, ale trudno. Całe szczęście, że byłyśmy same bez paryskich kuzynek i nie musiałam zgrywać się „na fason”. Taka Temmi od razu wyciągnęłaby książeczkę czekową, a tymczasem moja pocziwa ciotka powiedziała bardzo szczerze:

- Pojedziesz na wiosnę do Wilna i będziesz mogła wybierać, gdy się zjawisz w ogórkowym sezonie z gotówką.

Ma rację. To tylko parę dni, a w domu mam dwa porządne jeszcze futra. W każdym razie pociągają mnie czarne, długie karakuły. Mój Boże, wolałabym któreś z tych paryskich futer po sześćdziesiąt i osiemdziesiąt tysięcy, ale trudno. Brylantu a la Zajlicz również sobie nie kupię, mogę zatem wytrzymać bez podobnego futra!

W Warszawie zjawimy się w niedzielę rano.

Psiakrew, nie mogę ani spać, ani pisać. Wpół do pierwszej. Chyba posłucham radia. Szafa, a nie radio, marka: „Philco”. Podobno można złapać Amerykę, również dar dla ciotki Temmi. Snobizm. Na wieku od wewnątrz dedykacja na pozłacanej tabliczce. Jakiś - Dal Heed. Trudno jednak pytać, kto to jest ten Dal Heed?...

Czwartek - 13 grudnia

Przyjęcie bardzo miłe. W dobrym guście. Pan Krymuł poważny i skupiony. O żonach nie było mowy, ani o tej, która już była, ani o tej, która już jest na bliskim horyzoncie. Rano był telefon z Warszawy do ciotki Temmi. Dzwonił Marcin, przypominał o konieczności powrotu do Polski przed świętami, prosił o dopilnowanie tej sprawy. Widocznie Temmi odgrywa rolę rodzinnego dragona w spódnicy.

Głowa mi pęka od różnych wiadomości. Naturalnie sprawy wyłącznie dla mnie, Leokadia nie została w to wmieszana, widocznie nie liczy się w tych zestawieniach.

Obecnie rozumiem wszystkie wydarzenia ostatnich kilku lat i nagłą decyzję zamiany Warszawy na Montreux. Trudno jednak o tym wszystkim obecnie pisać. Trzeba sobie ułożyć w głowie, a nawet dobrze pomyśleć, w jakiej formie zanotować. Najlepiej byłoby nie notować, a wprost zapomnieć.

Marcin kręcił się cały wrzesień w Paryżu. Bez Florencji, która w tym czasie wpadła jedynie na krótko do ojca w Lozannie. Różnie bywa na świecie. Dobrze, że zostałam poniekąd uprzedzona... Marcin mieszkał w Paryżu prywatnie, u znajomych.

Mrs Maltz sama zaczęła rozmowy na tematy lakiernicze. Prowizję za drugie półrocze działalności Zajlicza rozszerzą mi o kilka miesięcy, do końca tego roku. Zyskuję na tym, ponieważ rok 1935 obliczą mi już tylko po dwa procent. Również per ostatni grudnia obliczą moje dodatkowe pięć procent od warszawskich interesów. Jako *conto separato* - na dolarowym rachunku. Była mowa również o otwarciu dla mnie rachunku we frankach szwajcarskich w Genewie, u papy Dubowa. Na wszelki wypadek, jak mówiła Mrs Maltz, nigdy bowiem nie wiadomo, co wypadnie. Bank pewny, najpewniejszy, dobrze to już rozumiem, nie potrzeba mi było tłumaczyć, w tych warunkach...

Podobno *monsieur* Zajlicz okazał się dobrym nabytkiem dla rue de Quatre Pieds pod każdym względem. Ma silne powiązania. Zamordowanie króla Aleksandra przyniosło mu korzyści, ponieważ był przedtem silnie związany z bratem króla, obecnym księciem-regentem. Bałkany, a tam tylko pieniądze i pieniądze. Może nawet ów brylant, zakupiony w swoim czasie w Paryżu, był mu pomocny w tych celach? Takie „małe” prezenty znakomicie utwierdzają przyjaźń.

Jutro ostatnie buszowanie w paryskich magazynach. Leokadia ma jeszcze sześć tysięcy franków i chce je wydać. Mnie zostało niespełna siedemset franków, ale to już tylko na *pouir boire'y*. Mogę sobie pozwolić znacznie hojniej, ponieważ cała podróż nic mnie nie kosztowała. Wszystko pokryły Górki bardzo szczerze, lekką rączką. Wcale nie kupiecką, Jamborową, a jakby szlachecką, w starym, bardzo rozrzutnym stylu. Nie poruszam tego tematu z Leokadią, widocznie sprawia jej to przyjemność. Jak wyrozumiałam, pragnie ona dokończyć dzieła stryjka Pawła i mocno utwierdzić wiejską fortunę Maksia i jego dzieci. Robi się z niej druga ciotka Magda. Mówi o Maksiu i Hercie jak o swoich własnych

dzieciach. Wrasta w naszą rodzinę. Ustabilizowała się. Skąpo jest jedynie z uśmiechem, ale może i ten powróci z upływem lat. Zostaną siwe włosy. Może i lepiej?

Podarunki z podróży mam już załatwione. Prawdziwie po kupiecku, ze spisem obdarowanych: komu co. Problem tylko małej Marty. Ksenia przypomina mi o istnieniu biednej dziewczynki tam gdzieś daleko w Grudziądzu. Gdybym tak na przykład obecnie umarła, mała odziedziczyłaby po mnie wszystko prawie bez reszty. Co by na to powiedziała rodzina? Obie siostry, brat, szwagier, w ogóle wszyscy Jamborowie. Po mojej śmierci pani Woźnikowa, oszołomiona wielkością spadku po mnie, puściłaby może farbę i wówczas wyszłaby na jaw historia romansu mojego ojca. Bo przecież to, że ludzie widzieliby we mnie nieślubną matkę dziewczynki, nie ziębiłoby mnie wówczas ani grzało.

Ale kleją mi się oczy. Może zjawi się mocny sen? Należy mi się po ostatnich dwóch nocach bezsennych! Czy pragnęłabym upodobnić się do Elzy Dubow? Chyba nie. Nie - w takim wydaniu. Nie jestem upieczona z takiego ciasta. Nie mam w żyłach niespokojnej mieszanki szlachecko-rosyjskiej i żydowskiej. Czasami zaczynam rozumieć Rabindranatha Tagore, lecz nie mogę pojąć Lwa Tołstoja. *Weltschmerz* - we mnie brak, chciałabym jedynie spędzić życie w jakiś interesujący sposób, jednakże bez pierwiastków awanturniczych. A tymczasem wypisuję sobie jakby w pensjonarskim dzienniczku: dobranoc, Anno, koniec z pisaniem w Paryżu.

Ja jestem i tak z innego świata. Z jakiego - sama nie wiem. I do jakiego zdążam... również nie wiem... Ale już prawie śpię.

Piątek - 14 grudnia

Jeszcze Paryż. Godzina szósta rano. O tej godzinie wszyscy śpią. Pani Maltz udaje się do swego biura dopiero o godzinie dziesiątej rano. Ważniejszą pocztę przynoszą jej *via* ogród natychmiast prawie po otwarciu. Czynności tych dokonuje pomarszczony staruszek, zawsze czarno ubrany i z rozetką oficerskiej Legii Honorowej w klapie. Tytułują go majorem, pełni funkcję osobistego sekretarza Mrs Maltz. Tego rodzaju pocztę podają Temmi na białą lakierowanej tacce, gdziekolwiek by była, w łóżku czy w łazience.

Sztachet z wyłożonymi pikami i wieńcami nie zniszczono. Po ukończeniu domu czynszowego przedzielono podwórko na dwie części i tego właśnie dokonały sztachety sprzed stu lat. W ten sposób niejako pawilon rodziny du Pont Vert odgrodził się od paryskiej ulicy XX wieku podwójnym murem: czynszowej kamienicy i starego ogrodu. Podobno na wiosnę od strony domu czynszowego mają posadzić żywopłot do wysokości kutego w żelazie ogrodu. Dla lokatorów domu czynszowego żywopłot, a dla mieszkańców pawilonu zachowana zostanie w dalszym ciągu tradycja, żelaznego płotu ze złoconiami. Bardzo mi się to podoba.

Ostatnie rozmowy z paryskimi krewnymi. Zgadało się i o przeszłości. Pradziadek Bender miał liczne rodzeństwo. Jeden z jego braci brał udział w amerykańskiej wojnie domowej, dwóch osiedliło się na stałe w Szwajcarii. Z czterech sióstr tylko jedna wyszła w Rosji za mąż - za bogatego kupca Woronowa, z trzech pozostałych dwie poślubiły dwóch braci Mendesów, z których jeden osiedlił się w Hiszpanii i wrócił do dawnego nazwiska: Mendoza, przyjmując równocześnie (z powrotem?) katolicyzm. Czwarta z sióstr zginęła w nieszczęśliwym wypadku podczas pożaru domu. Wszyscy Benderowie zatrudnieni są przy robieniu pieniędzy, w bankach. Potomkowie francuskiego Mendesa mieszkają bardzo blisko, część w Paryżu, reszta w Lyonie, ci ostatni pracują w jedwabiach. Szwajcarskie odłamy osiedlone są zasadniczo w dwóch miastach, w Lozannie i w Genewie. Wszystko zespolone ożywionymi stosunkami, trzymają z sobą i sobie pomagają. W różnych zawodach z powodu rozdrobnienia rodziny, lecz wszyscy pamiętają o starym petersburskim pniu. Ludzie zamożni i bogaci. Zapytywałam o to Elżę, ale zbyła mnie jedynie krótkim oświadczeniem, że o ile jest jej wiadomo, przodkowie Benderowie zjawili się w Rosji dopiero na początku osiemnastego

wieku - za Piotra Wielkiego. Przedtem zamieszkiwali podobno w Salonikach, skąd wypchnęły ich jakieś zaburzenia religijne.

- Jestem kosmopolitką - stwierdziła chłodno - cały świat jest moją ojczyzną i całe niebo moją własnością. Cenię równocześnie mój paszport szwajcarskiej obywatelki, ponieważ otwiera mi nieskrępowane wrota na cały świat. Jest to kraj, który nie myśli o wojnie i dlatego inaczej oddycha. W dodatku wszystkim ludziom na świecie jest potrzebna taka właśnie Republika Helwecka, a specjalnie tym, którzy nie mogli się pomieścić w granicach państwowości własnego kraju. Martin Jambor również podziela nasze poglądy i dlatego urządza się inaczej. Nie ma czego żałować! Zamienia niepewne - na pewne. I tobie, Anno, życzyłabym takich właśnie myśli. To bardzo dobrze - odsunąć się w pewnym okresie życia od środowiska, w którym się urodziło i wychowało. Człowiek się niejako odradza, wypływa jakby na inne wody. Naturalnie początkowo działa lęk przed nieznanym, obcym środowiskiem i odmiennością obyczajów. Ale to przemija, zwłaszcza gdy nie jest się nieznanym emigrantem, który ląduje w Ameryce z duszą na ramieniu i jednym dolarem w dziurawych portkach.

A naszemu Martinowi to nie grozi - zakończyła Elza - osiedli się wśród bliskich przyjaciół, wśród... braci.

Koniec z pisaniem. Jestem głodna. Zadzwoń, przecież przyniosą mi coś z kuchni? Tam na pewno już dawno działają, przygotowują nam wszystkim gospodarcze warunki naszego dzisiejszego dnia, który się jeszcze dla nas nie obudził.

Za chwilę podsuną mi stolik pod brodę, później zanurzę się w wannie, następnie pokojówka Patrycji zajmie się moimi plecami, włosami i pomoże mi ubrać się. Takie tutaj są zwyczaje. Korzystam, ponieważ Patrycja nie otwiera oczu przed dziewiątą rano. Każde w tym domu jada pierwsze śniadanie o swoich własnych porach i według własnego rytuału. Nawet mała Ksenia i jej wychowawczyni Miss Kora. Dla tej ostatniej przywieźliśmy liczne podarunki. Angielka zyskała również sympatię mojej ciotki Leokadii. W ogóle cały dom z ustalonymi zwyczajami. U nas, gdzieś na Pomorzu, a nawet w Warszawie, dzieci budziłyby nawet takie dalekie przyszywane ciotki hałaśliwym wbieganiem do ich pokojów gościnnych. Tutaj - nic podobnego. Inny styl życia, owe inne obyczaje. Inne wychowanie, inni również owi - inaczej wychowani ludzie.

Kiedy znów przybędę do Paryża? To jednak miło wyjechać z domu i wiedzieć z góry, że u celu dalekiej podróży zawsze się znajdzie miły kącik u ludzi znajomych, życzliwych, którzy w dodatku nie rozmyślają nad wartością ostatnich stu franków w portmonetce.

Po południu

Leokadia poszła się zdrzemnąć, trzy paryskie kuzynki wyjechały samochodem na godzinę - jak mówiły - a ja zostałam sama. Już odwiedziłam wszystkich domowych i powracałam służbie nowiutkie stufrankówki. Byłam nawet u konsjerżów. Bardzo się ucieszyli, a ponieważ uczynili to przed podarunkiem, wierzę, że szczerze. O zakupach również nie warto wspominać. Nie jestem przecież Anną sprzed dwóch lat i nie stąпам już po raz pierwszy po trawniku zaczarowanego ogródka, zwanego dobrobytem. Prezenty - to również taka sobie konwencjonalna i banalna w gruncie rzeczy sprawa. Ty mnie dzisiaj, ja tobie jutro - i tak w kółko. Nieważne.

Myśli nachodzą nas zazwyczaj w sposób nieoczekiwany. Ot tak, na przykład i dzisiaj. Nasza kobieca piątka zwała się do jakiegoś świeżo reklamującego się salonu mód. Pokaz. Eleganckie towarzystwo, pewnie dobra setka osób. Coś w rodzaju podestu i nie kończąca się ruchoma taśma kilkunastu modelek. Czego tam nie było. Mnie brakowało jedynie odpowiednio mocnej książeczki czekowej w torebce. Głupie tysiąc dolarów na koncie nie liczy się przy takich okazjach.

I o dziwo, połowę widzów stanowili „na żurnal” wystrojeni panowie w różnym wieku. Moje bystre oko doskonale posortowało całe towarzystwo. Nie pod względem strojów, ponieważ my obie z Leokadią wyglądałyśmy jak Kopciuszek na tle gronostajów, nurków i szynszylów. Ratowało nas jedynie towarzystwo francuskich kuzynek, wystrojonych, jak się to mówi, odpowiednio do poziomu chwili.

Panowie. Jak zwykle, młodzi w towarzystwie mocno starszych dam, starzy z młodzieńkami, wyglądającymi na pensjonarki świeżo wypuszczone ze szkół klasztornych. Mężczyźni z egzotycznymi kwiatami w butonierkach. Taka współczesna moda. Wzajemne taksowanie się wzrokiem, czasami nieukrywane, wprost, zazwyczaj jednakże skryte, ukośne. Różne. Pożądliwe. Czasami nacechowane również lekceważeniem czy pogardliwym błyskiem oczu.

Naraz przyszło mi na myśl, że ostatecznie kiedyś i tak trzeba będzie się zdecydować na to i tamto. To znaczy na męża i na ustalenie wspólnego pożycia. Na małżeństwo. Rzecz dziwna, że przyszła mi na myśl - miłość. Pojęcie to napłynęło tak nieoczekiwanie, że prawie się zatrwożyłam. Miłość? Nie odczuwałam dotychczas takiej potrzeby i niemal wszyscy ludzie wydawali mi się jedynie godni podziału na życzliwych i nieżyczliwych. W każdym z nich ponadto dopatrywałam się tylko jakiegoś stopnia użyteczności dla mnie, i nic więcej!

Nowe pojęcie owiało mnie nagle, jak jakiś ciepły wiatr na plaży. Ciepło, nawet jakieś błogie uczucie rozkoszy. Ale zaraz przypląnęły wątpliwości. Obleciałam spojrzeniami wszystkich najbliższych mężczyzn, ale niczego nie ustaliłam. Nie zjawiał się przede mną realny, żywy i rzeczywiście na własne oczy oglądany typ, nie zjawiało się również jakieś wyobrażenie owego ideału męża.

W każdym razie jednak rzecz dziwna, że właśnie w owych wyjałowionych z myślenia, ostatnich dniach mojej zagranicznej ekskursji z ciotką Leokadią zjawiały się myśli o małżeństwie. Któż to wie? Może to byłoby nawet lepsze, jakieś bardziej praktyczne. Dawniej wzdręgałam się przed pojęciem małżeństwa i zawsze dopatrywałam się w nim takich czy innych możliwości ujarznienia. Obecnie przyszło mi na myśl, że ostatecznie, jeżeli to miałyby być małżeństwo, to przecież zawsze można by takiego męża wychować, wytresować, w najgorszym razie jakoś nawet... ujarzmić. Można by role odwrócić. Ale czy to możliwe? Chyba tak, gdy nie podejdziesz się do tego w sposób zbyt romantyczny.

Wybór? Nie o to przecież w tym wypadku chodziło. Ważny jest jedynie moment przełamania się. Dopuszczenia niejako samej możliwości. W tym zatem tkwi prawie połowa drogi...

Resztę czas okaże, a los wypełni.

CZEŚĆ TRZECIA

BRYLANTOWE BUTONY

Grudzień 1934 - lipiec 1935

Warszawa - poniedziałek - 17 grudnia

Przywitania na dworcu, pierwsze śniadanie w rozgardiaszu, kilkugodzinna drzemka, mocno spóźniony obiad i dopiero w późnych godzinach wieczornych oglądanie wszystkich zmian i niespodzianek, jakie spiętrzyli wyjeżdżający z Polski Marcin i Florencja. Wieczór wypełniony licznymi gośćmi. Pierwszy dzień powrotu do Warszawy zakończył się dopiero dobrze po północy. W rezultacie kamienny sen i budzenie się z trudem koło godziny dziesiątej rano.

W południe odjazd dwóch samochodów do Górek i wówczas dopiero zostałam sama z Marcinem i Florencją. Wymieniam na pierwszym miejscu Marcina, ponieważ Florencja była

jedynie milczącym świadkiem. Marcin gadał bez przerwy, a ja słuchałam. Florencja zaś przyglądała mi się, a raczej, wyczuwałam to przez skórę, zmianom na mojej twarzy.

Zmęczona jestem tym wszystkim. Zakończę zatem jedynie kilku zdaniem, aby sobie kiedyś po latach uświadomić z zadowoleniem, że podczas rozmów z Marcinem wykazałam zimną i całkowicie okrzepniętą dojrzałość życiową. Zstąpiło to wszystko na mnie tak nieoczekiwanie i szybko. Na całe szczęście byłam do tego myślowo przygotowana. Układałam sobie podczas podróży z Paryża do Berlina różne wersje najbliższych planów życiowych i postanowiłam jednak wrócić do ministerstwa. Nie byłam zatem zaskoczona zapytaniem Marcina, który zaczął od tego:

- Czy byłabyś gotowa, Anno, na kilka lat, na przykład na dwa lata, powrócić do biura na rządową posadę? Interesy mogłyby biec równocześnie swoim torem, to tylko kwestia doboru wykonawców, a tymczasem są do spełnienia ważniejsze sprawy niż zabawa w bławaty i lakiery. Tamte prowadzi doskonale Zośka, tutaj w Warszawie wystarczy godzina dziennie na dopilnowanie panny Beaty.

Odpowiedziałam chłodno, bez entuzjazmu, lecz równocześnie stanowczym tonem:

- Skoro trzeba?...

A w kilka chwil później pierwsza przełamałam milczenie, które zapanowało po mojej natychmiastowej prawie odpowiedzi, i dodałam już nieco łagodniejszym i weselszym tonem:

- Podczas podróży miałam wiele czasu na rozmyślenia. Istotnie, nie zamierzam podzielić życia pomiędzy wysiadanie na górze w „Ziemiańskiej” i w naszym polakierowanym lokaliku przy Nowym Świecie. Na to byłoby szkoda życia i właściwie...

- Właściwie? - podchwycił zaciekawiony Marcin.

- Tak - dokończyłam - pragnęłabym zająć się czymś poważniejszym i... wyjść nareszcie z moich pięciocyfrowych liczb!

Wszyscy troje roześmieliśmy się wesoło, krzykliwie nawet, jak to czynią ludzie podnieceni alkoholem. Ocenił to Marcin, wstał z fotela, zadzwonił i po chwili oblaliśmy nasze nowe przymierze kilku kieliszkami dobrego koniaku. O reszcie nie było mowy. Co do mnie, tym razem nie okazywałam cielejących zachwyty. Oglądałam wszystko w charakterze znawcy, a na pytanie obojga, czy mi się podoba to i tamto, odpowiedziałam od razu z grzecznym uśmiechem:

- Owszem, moi drodzy, wszystko ładne i piękne, na razie są to jednak tylko piękne i miłe ramy, które trzeba będzie dopiero wypełnić jakimś nowym życiem. A to na pewno nie będą łatwe sprawy i zadania.

Oboje przypatrzyli mi się uważnie, gdy posłyszeli takie słowa. Florencja otworzyła nawet usta do jakiegoś zapytania czy powiedzenia, ale do tego nie doszło. Na razie zatem wszyscy troje bawimy się w ciuciubabkę. Nie mogę bowiem przemówić do Florencji: - Rozumiemy się wzajemnie, siostró iluminatko. - Ponieważ oni milczą, nie do mnie należy inicjatywa. Nic mnie obecnie nie jest w stanie zaskoczyć!

Na razie zatem skracam mój roczny urlop i już dziesiątego stycznia rozpoczynam służbę na nowej placówce w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Podobno sprawa została już uzgodniona, gdzie potrzeba, i jutro tylko dla porządku złożę odpowiednie pismo o zrezygnowaniu z reszty urlopu. Ponadto w ciągu tych trzech tygodni będę musiała załatwić wszystkie sprawy osobiste, łącznie ze świątecznym pobytem u krewnych na wsi. Podobno już w końcu stycznia mam wyjechać służbowo do Wiednia. Na cały tydzień, później otrzymam w nagrodę kilka dodatkowych dni urlopu. Psiakrew, nawet to zostało już uzgodnione! Ale spokojnie, moja Anno, w twoich nowych warunkach popłaca jedynie spokój i olimpijska powaga.

A teraz śpijmy. W nowym mieszkaniu, którego dotychczas jeszcze nie zdążyłam dokładnie obejrzeć. Nastąpi to przypuszczalnie dopiero po wyjeździe przyszłych obywateli szwajcarskich. To wszystko jest bardzo dowcipne. Podobno Florencja nie utraciła

obywatelstwa, mimo że była polskim urzędnikiem państwowym i wyszła za mąż za stryjka. A tymczasem głupi ludzie nie zdają sobie sprawy z istnienia takich możliwości.

Do Górek wyjeżdżamy dopiero w sobotę rano, zabawimy tam cztery dni, powrót do Warszawy i w piątek wieczorem po świętach Marcin i Florencja zostawią mnie samą na warszawskim gospodarstwie.

Środa - 19 grudnia

Wciążam się w interesy. Na razie trudno o tym pisać. Zbyt młode problemy. W każdym razie trzymam się zasady, że ilekroć w życiu pragnie się coś zgłębić, nie należy wytrzeszczać oczu. Natomiast trzeba je przymrużać, aby nie dawać obcym możliwości zgłębienia nas samych. Należy uszu bacznie nadstawić, a usta zamykać i nie stawiać zbyt ciekawych czy pożądlivych pytań. Twarz winna być chłodna, a nawet obojętna, mimo uprzejmego uśmiechu. Ponadto zaleca się raczej ograniczać do wypowiedziania monosylab bez dodawania objaśnień. Taki bowiem jest świat i wymogi życia na nim. Naturalnie, o ile się nie chce zginąć w tłumie głupców czy pechowców. Ale wszak to i tak na jedno w rezultacie wychodzi. Głupota bowiem jest tylko niezręcznością życiową. W dodatku jest jakby sjamską siostrą wszystkich nieszczęść.

Ale po co ja o tym wszystkim piszę? Wstrzymam się od pisania. W dodatku Boże Narodzenie w Górkach, ostatnie dni warszawskich rozmów z Marcinem, a następnie kilka gościnnych dni na wsi u wujcia Benedykta pod Kutnem. Podobno odwiedzimy go całą paczką, coś w rodzaju kuligowego najazdu. Tylko tyle, że tym razem ja, Anna Jambor, doczekałam się nareszcie czegoś w rodzaju własnego samochodu. Pudło co prawda jeszcze nie jest moje, lecz całkowicie do mojej dyspozycji. W spadku po Marcinie, coś w rodzaju ubrania ze starszego brata czy po starszej siostrze.

Wypadki zaczynają się szybciej posuwać naprzód, być może to nowe życie nabierze w moich oczach jakichś rumieńców. W tych warunkach idea małżeństwa oddala się. Przynajmniej na razie. Jestem jakby w położeniu dziecka, które nie wie, do której z zabawek wyciągnąć rękę. Życie nasze bowiem jest wędrówką po składzie wypełnionym różnymi zabawkami... A przysłowie francuskie mówi: *laissez jouer des enfants, qu'ils s'amuse bien*. Zresztą sama nie wiem, czy robię to wszystko dobrze czy źle. Na pociechę jednak mówię sobie równocześnie: a kto na świecie to wie?...

Piątek - 21 grudnia

Moja para opiekunów wybrała się na wycieczkę w okolice Radomia. Nie zabrali mnie, ale bynajmniej z tego powodu nie rozpaczam. Odpoczywam i powoli wszystko sobie układam w głowie.

Okazało się, że oboje, Marcin i Florencja, doskonale orientują się nawet w detalach dotyczących naszej rodziny. Zośka, Krystynek, Tuchołkowie, krewni bydgoscy i lwowscy - to otwarta księga, z której wyczytują, co zechcą. Zapewne i ja mam w tym wszystkim jakiś udział, ponieważ udzielają mi rad i wskazówek we wszystkich kierunkach, na zapas. Całkiem jak w tym powiedzeniu, że „Cygan wybił córkę przed wysłaniem jej z dzbankiem po wodę”. Na wszelki wypadek...

A ja pięknie słucham. W podobny sposób wysłuchałam opowiadania o szczegółach założenia - „Rotary International”. Wbiłam sobie nawet do głowy rok 1905 jako datę założenia tej organizacji przez Pawła Harrisa w Chicago. Stryjek potwierdził mi z rozbrajającą szczerością fakt przynależenia do niej obu moich stryjków. Józefa w Gdańsku i Juliusza w Chicago. Podano mi dwa warszawskie adresy, jeden krakowski i jeden poznański, naturalnie do zapamiętania, a nie notowania. Z uśmiechem zastrzegął się stryjek Marcin przed posądzaniem rotarian o tworzenie jakiegoś odłamu wolnomularskiego.

- Stowarzyszenie ma być sympatycznym związkiem ludzi wpływowych, którzy w drodze wzajemnej pomocy dążą do przekreślenia granic państwowych i stworzenia etycznych i wysoce moralnych zasad pożycia ludzi, bez naruszenia ich osobistych zapatrywań.

Wysłuchałam tego wszystkiego uważnie, po czym zadałam tylko jedno pytanie: czy mój adres, moje nazwisko i w ogóle moje „ja” zostało również podane dla celów informacyjnych innym osobom, podobnie jak to stryjek uczynił, podając mi do wiadomości cztery nazwiska w trzech miastach. Po handlowemu podeszłam do zagadnienia.

Usłyszałam ponadto ogólne informacje o warszawskim „Bnei Brith”. Na zakończenie podano mi również adres, o którym Marcin wyraził się, że to jest rączka hamulca bezpieczeństwa w wypadkach wielkiej wagi. Owszem, rotarianie - rotarianami, ale wydaje mi się, że to nie jest wszystko jedno. Podano mi jedynie orientację - jakby nowych kierunków świata - bez włożenia w moje ręce busoli. Przyczepiono mnie jedynie do cieniutkiego sznureczka, niteczki, ale nic więcej. *Gutta cavat lapidem*, poczekam, na wszystko przyjdzie właściwy czas. Ostatecznie należałam już do „Sodalicji Mariańskiej” w gimnazjum, do „Azetesu” na uniwersytecie, obecnie jestem członkiem „Bebewueru”, mogę zatem spróbować również i gdzie indziej. Głowy mi nie oberwą, hecy z kościotrupem na łańcuchu w piwnicy nie odegrają i nie podsuną mi powieściowego puchara z trucizną jako trzeciego stopnia próby masońskiej. Takie historie już dawno przeminęły i przeszły do lamusa starych dekoracji. To mogło chwytać jedynie za czasów Cagliostro, ale nie w XX wieku. Oprócz tego wszystkie adresy - mogą się przydać. Pozostałe historie są raczej ciekawe niż zastraszające. Taka sobie na przykład uwaga Marcina, już na jakimś dalszym marginesie naszych rozmów:

- Gdy znajdziesz się za granicą, Anno, „sami” zgłosimy się do ciebie, gdy zajdzie ku temu potrzeba.

W tym również nie widzę nic tajemniczego, zazwyczaj każda organizacja jest silniejsza od poszczególnych członków czy sympatyków, wszystko jedno, jak ich nazwiemy! Przecież gdy się wyjeżdża za granicę, dobrze jest zapamiętać kilka adresów hotelowych, wypróbowanych już poprzednio przez naszych znajomych. Hotel hotelowi nierówny, a wyzłocony napis nad wejściem o niczym nie stanowi.

Na wszystkie zmiany mieszkaniowe i gospodarcze przy ulicy Hortensji patrzę w sposób wystudzony. Naturalnie Wiktoria zdradziła mnie nie tyle dla Górek, ile dla „swojej pani”, to znaczy dla ciotki Leokadii. Trudno, niemniej wręcz jej upominki w niedzielę, ponieważ właśnie przypadają jej imieniny. Zresztą rozumiem ją doskonale, każde poświęcenie ma swoje granice, zakreślone dążeniem do polepszenia sobie warunków. Rzecz naturalna i ludzka, trudno mieć o to pretensję.

A zatem obecnie na moim piętrze gospodarują do spółki gospodyni i pokojówka z Żoliborza. Sto złotych i siedemdziesiąt złotych, nie licząc zwyczajowo ustalonych prezentów i obrywków od gości. Natomiast nie obciąży mnie pozycja szofera, który będzie pełnił skomplikowane obowiązki butlera na pierwszym piętrze. Albowiem stryjek - pomimo zlikwidowania willi na Żoliborzu - urządził sobie warszawskie mieszkanie na pierwszym piętrze, dokładnie pode mną, mające identyczny rozkład pokoi. Nawet do pewnego stopnia oba mieszkania są połączone, ponieważ w kuchni mojego mieszkania przebito podłogę i urządzono połączenie z windą na talerze do kuchni na pierwszym piętrze. Utrzymanie szofera czy też butlera obciążałoby nazbyt moje gospodarstwo. Ponadto uzyskałam drugiego stołownika, ponieważ w jednym z pokoi gościnnych na pierwszym piętrze ma zamieszkać jakiś nieznany mi jeszcze osobiście profesor. Starszy pan - po siedemdziesiątce, tak mi go określono, z dodatkiem, że zyskam w nim miłego znajomego, przyjaciela i sąsiada, być może nawet konwersatora, ponieważ profesor ma władać wszystkimi językami. Lekka przesada w tym określeniu, ale ograniczmy to jedynie do głównych języków europejskich.

Profesor nazywa się Joachim Wydra, doktor prawa i filozofii, wychowany w Wiedniu. Skreślono mi w skrócie jego życiorys, w istocie zachęcający. Jego dziadek był zamożnym

chłopem spod Buczacza, syn początkowo bawił się w profesora gimnazjalnego gdzieś w pobliżu miejsca urodzenia, w połowie jednak zeszłego wieku wyładował w Wiedniu i ożenił się z całkiem biedną panią z żydowskiej inteligentnej rodziny. Zdaje się sfery lekarskie. Synem z tego małżeństwa był właśnie nasz pan Joachim, który kolejno utkwiał w Getyndze. Problem w rodzaju Heinego. Skończył dwa fakultety, został prywatnym docentem, a następnie złączył swoje losy z pewnym odłamem rodziny książąt heskich. Było to na przełomie wieków. Kilkanaście lat zeszło profesorowi na wędrówkach po świecie i dopiero lata po zakończeniu wojny światowej przypomniały mu historię Hioba. Żył ze skromnych, zasiłków, udzielanych mu przez dawnych uczniów, i dopiero pomoc bogatych krewnych matki z Wiednia przywróciła mu stanowisko uniwersyteckiego bibliotekarza w Getyndze. Hitlerowskie historie wypchnęły go z powrotem do Wiednia jako miasta rodzinnego. Po raz drugi pomoc bogatych krewnych, gdzieś po drodze ponowne spotkanie z naszym stryjkiem Marcinem i w rezultacie schronienie się na pierwszym piętrze domu przy ulicy Hortensji w Warszawie.

Opisałam to wszystko tak dokładnie, ponieważ doktor Wydra siłą okoliczności stanie się moim niejako najbliższym sąsiadem, stołownikiem nawet. Podobno trochę oryginał i nie należy wymagać, aby zjawiał się stale na posiłki w gospodarstwie mojego drugiego piętra. Stąd owa korespondencyjna winda pomiędzy obu kuchniami, stąd też ów butler, na wzór angielski.

Nazywa się Karol Petras, podobno ma jakichś dalekich krewnych w Poznańskim, sam jednak urodził się w Bielsku, a wychował w Wiedniu. Lat czterdzieści, twarz zamyślona, policzki gładko wygolone. Uprzejmy, lecz bez nutki służalczości czy wazeliniarstwa przeciętnych szoferów. Dobry mechanik, w młodości austriacki podoficer zawodowy. Wojna, rany, szpitale, medale, wiedeńska bieda po zakończeniu wojny, lecz całość bez komicznej karykatury Szwejka. Rok pobytu w niewoli francuskiej, dwa lata w Kanadzie, lecz ostatecznie powrót do Europy. Bez bliższych informacji, gdzie go wytrzasnął mój stryjek. Od dwóch lat na jego usługach. Przedtem nie zwracałam na niego uwagi, tylko tyle, że stryjek mówił mu: panie Karolu, a my obie z Florencją nieco krócej czy sztywniej: panie Petras. Zgodnie z zachętą stryjka Marcina mogę używać go do załatwiania spraw handlowych. Nie informowano mnie, do jakiej wysokości, to się widocznie samo ułoży. Ale zapisanie takiego zdania w moim bloczku to jedynie kwiatek złośliwości z mej strony, ponieważ Karol Petras wygląda bardzo poważnie. Równie dobrze mógłby być urzędnikiem w jakimś biurze.

Każdego pierwszego mam wypłacać pensje: tysiąc złotych profesorowi i trzysta złotych butlerowi. Bez pokwitowań, z ręki do ręki, najlepiej, jak radził stryjek, czekami na okaziciela. Moc innych zleceń i spraw do stałego załatwiania. Na razie, jako źródło dla tych wydatków, dochód z komornego domu przy ulicy Hortensji oraz z jakiejś kamienicy przy Chmielnej, której jeszcze nie oglądałam na oczy.

Co do mnie, to gratisowe komorne za drugie piętro. Gratis nie gratis, ponieważ dwóch stołowników na głowie, ale równocześnie Górki w roli rodzinnych dostawców ze wsi. Gratis i franco, jak się to mówi w naszej kupieckiej branży. Będzie tego podobno bardzo obficie, ponieważ mam podejmować licznych gości. Warto dodać, że całkowite utrzymanie samochodu na koszt dochodów z komornego. Dziwiłam się, że stryjek zostawia mi w Warszawie wielkiego buicka, ale Marcin zagadał od razu:

- Na benzynowych oszczędnościach nikt się jeszcze nie dorobił, natomiast porządny samochód stanowi solidnie wyglądający bilet wizytowy. A w dodatku - śmiał się - ja lub ktoś z rodziny wpadnie do Warszawy, to zawsze będzie wygodniej mieć taki wóz pod ręką.

I gadaj tu z takim stryjkiem, na wszystko ma odpowiedź. Co prawda z początku uderzyło mnie, że martwe mieszkanie na pierwszym piętrze, a moje na drugim, ale stryjek widocznie przewidział również i takie myśli w mojej głowie, ponieważ napomknął:

- Zawsze to lepiej mieszkać na drugim piętrze, gdy pierwsze jest dobrze opalone.

Powinłam być nawet od tego rozpocząć, ponieważ kamienica w tej części uległa ulepszeniom. Oba piętra otrzymały centralne ogrzewanie. Stryjek powiedział przy tej okazji:
- To nie zawsze jest wygodne, gdy zbyt wielu ludzi kręci się po mieszkaniu. A tak palenie w piecu odbywa się z dala od pokoi, w jednej z piwnic przerobionych na kotłownię. Palacz, którym jest jakiś sprowadzony ze wsi krewny naszego stróża, jest opłacany z rachunku administracji domu.

Ktoś dzwoni. Mokotów zaprasza na kolację. Rozumiem, oni są spragnieni opowiadań z podróży. Ale zasadniczo skończyłam z opisywaniem gospodarczych podstaw mojego bytowania w najbliższym czasie.

W nocy

Godzina dwunasta. Godzina duchów. Duchy się jakoś nie zjawiają, a ja tymczasem ziewam. W połowie kolacji zjawili się Marcinowie. Mokotów również jedzie do Górek, całą paką z dziećmi i pokojówką. Pojedzie cała karawana wozów, ponieważ dzisiaj zjawił się w Warszawie wujcio Benedykt. Punkt zborny na Mokotowie, jutro rano, odjazd, gdy się wszyscy zbiorą, przedtem śniadanie z popijawą, jak mówi Włodek Wirewicz.

A zatem piękne adieu z pisaniem. Rodzinny młynek porwie mnie w swoje objęcia. Wigilia w Starej Wsi, ze względu na dzieci, a galowy obiad w Górkach w pierwsze święto. Drugi dzień u Kubusia w Kraskach. Kiedyś żartowałam z Kubusia i wmawiałam w niego, że powinien zmienić jedną literę w swym nazwisku i nazywać się: Cielecki, a nie: Cieski. Ale wówczas Kubuś zgasił mnie, że byłoby to i tak wszystko jedno, ponieważ istnieją Cieleccy herbu Zaremba, bardzo stara rodzina w Kaliskiem, a w Galicji nawet hrabiowie. Nasz poczciwy Kubuś nic sobie nie robi z herbów, pomimo że i on ma wymalowane na karcie dwa barwne herby. Jeden z nich po ojcu: trzy złote krzyże, labry i strusie pióra.

Ale czas spać. Jutro rano obudzi mnie moja pokojówka. Moja pierwsza w życiu pokojówka. W dwudziestym siódmym roku życia. Trochę późno. Pokojówce na imię Liza, nowej gospodyni - Helena. Pierwsza ma dwadzieścia trzy lata i przywędrowała z Gdańska. Mówi poprawnie obu językami, po niemiecku zdaje się trochę lepiej, ponieważ po polsku poprawnie, lecz twardo. Podobno uczy się języka francuskiego, oby tylko nie u naszego pana Karola Petrasa. Jasna blondynka, prawie platynowa. Szczupła, z godnością obnosi czarną urzędową sukienkę i koroneczki na fartuszkach i nad czołem. Ma miłe spojrzenie.

Gospodyni nie rozgryzłam. Nie oglądałam świadectw, ponieważ widywałam ją często na Żoliborzu. Pracuje od pierwszych miesięcy małżeństwa Florencji, Helena Piasecka, koło czterdziestki, rodem z Kalisza. Jak wszystkie na ogół kucharki, z kształtami zaokrąglonymi, raczej niska.

Wieczorem, gdy znalazłyśmy się na kilka chwil same, generałowa zapytała mnie wręcz:

- No, Anno, jak ci się podoba to nowe mieszkanie, no i cała... aktualna reszta?

Nie umiałam odpowiedzieć. Bąknęłam w sposób pospolity i bez wdzięku:

- Czy ja wiem? - A dopiero później dodałam: - Przyszłość okaże, na początek lękam się tego gospodarstwa z trojgiem służby i na dwóch piętrach. Wolałabym może jakieś nowoczesne dwa pokoje z hallem i łazienką, gdzieś na drugim końcu miasta, w okolicy Alei Róż.

Ludzie nigdy nie są zadowoleni z tego, co mają. Posiadamy wszyscy jakąś niespokojną duszę. Bo przecież to nonsens powracać w myślach do marzeń z okresu pierwszego zaciudowania się we Florencji. To był ponadto mój zaledwie dwudziesty rok życia. Wówczas drżałam na myśl, że ojciec uniemożliwi mi wstąpienie na uniwersytet. Pomimo wszystko właśnie Florencji zawdzięczam mój pierwszy bunt w życiu, który wyprowadził mnie z domu niewoli u ciotki Katarzyny. Ależ prawie... biblia! W równym, co prawda stopniu była to wówczas zazdrość, jak podziw, to mogę sobie obecnie śmiało powiedzieć. Florencja. Dzisiaj obraz jej w moich oczach mocno przybladł i stracił na cennieści. Podobnie jednak zbladły

moje entuzjazmy, marzenia i porywy z okresu młodości. Nie ma we mnie już tchnienia owej świeżości, która towarzyszy człowiekowi w pierwszych latach wybijania sobie okna na świat.

Stwierdzam tylko jedno: zdaję sobie sprawę, że znów rozpoczęłam nowy rozdział w moim życiu.

Co czynią ludzie, którzy pewnego dnia przychodzą do pewnych postanowień? W jaki sposób znajdują drogi do skontaktowania się? Tacy na przykład rotarianie nie malują chyba znaku porozumiewawczego na swoich biletach wizytowych? Gdzieś przed rokiem zgadało się podczas brydża. Wówczas odezwał się minister Grabowski i przeciął dyskusję oświadczeniem, że rotarianie liczą na całym świecie prawie dwieście tysięcy członków i że większość ich grupuje się w Stanach Zjednoczonych. Była mowa i o tym, że ta organizacja chwyta przeważnie u Anglosasów i wśród Niemców, słabiej natomiast w krajach romańskich. Wykazy członków są ujawniane tylko samym członkom i to w dodatku niekompletne, a jedynie w pewnych ugrupowaniach.

Widzę to na własnym przykładzie: trzy miasta i cztery adresy. Jednego tylko nie mogę dociec i rozgryźć. Z jakich powodów „to” przychodzi samo do mnie? Bez wezwania i bez sprawdzenia, czy pragnę.

Powiedzmy - gdyby było inaczej. Gdybym, słysząc z grubsza o idei, zapragnęła się do niej przyłączyć? Tylko to jedno mogę sobie wysnuć w tej chwili: poświęcę trochę więcej uwagi spotykanym i poznawanym obecnie ludziom. Przeanalizuję otoczenie. Bo to, że nasz były generał jest członkiem jakiejś specjalnej Łoży Wojskowej, w to nie wątpię ani chwili. Wydaje mi się, że Grabowski również. Panna Irena? Być może w innym układzie niż ja. Muszę obecnie baczniej przyglądać się ludziom!

Sobota - 29 grudnia - 1934

Dwie godziny temu powróciłam z dworca do domu i po raz pierwszy od szeregu miesięcy zasiadłam samotnie przy kolacji. Czuję pustkę dokoła. Mam uczucie, że jestem postacią z Wesela Wyspiańskiego. Zastygłam jakby w tańcu i znieruchomiałam. W dodatku moja Liza podała mi kolację w towarzystwie dwóch różowych świec umieszczonych w białych rosenthalowskich świecznikach. Nie wypowiadam żadnych uwag, zobaczę, jak będzie wyglądał komplet spraw codziennych, nakręcony przez Florencję. Poddam się całkiem biernie, zmienić zawsze będzie można. Tymczasem wyobrażę sobie, że biorę udział w jakichś próbach generalnych. Pomocą w gospodarstwie i radami w zarządzaniu domem ma służyć mi opiekunka z Mokotowa - wszystko przewidzieli. W ogóle tylu opiekunów...

Nawet pan Karol Petras jak by również chciał mi dawać rady. Gdy umieściłam się w samochodzie, wyrwało mi się z ust niepotrzebnie:

- Ano, zostaliśmy sami!

Zaraz pożałowałam odezwania, ponieważ majordomus czy tylko szofer uprzejmie, lecz zimno pouczył mnie:

- Pani radco, telefon to kwestia pół godziny, a do Montreux niedaleko.

Dwa punkty dla pana Petrasa! Nauka, aby więcej myśleć, a mówić jedynie w ostateczności. Niech żyje Grimaud z romansideł Aleksandra Dumas!

Ciekawa jestem, jak wygląda przyszły rezydent z pierwszego piętra, ów profesor Wydra. Ma zjawić się w Warszawie dopiero po Trzech Królach, obecnie przebywa w Wiedniu u krewnych. Nawet ten adres zdążyłam już zapamiętać: dr Eibenschütz, wiedeński notariusz.

Podobnie jak w swoim czasie Leokadia przed wyjazdem w podróż poślubną, tak samo i Florencja oprowadziła mnie dzisiaj wczesnym rankiem po różnych zakamarkach gospodarstwa na pierwszym piętrze, a następnie wręczyła mi kasetkę z kluczami do schowania u mnie, a osobno klucze od stalowej skrytki w ścianie sypialni. Marcin dokonał

reszty już wczoraj, częściowo w domu, a częściowo w banku i u notariusza. Pełnomocnictwa generalne do działania w imieniu Marcina i Florencji opiewają na moje nazwisko aż do odwołania i zostały złożone na przechowanie u notariusza. W banku wpisano mnie jako upoważnioną do dysponowania kontem Marcina, w tym samym banku wynajęliśmy sporych rozmiarów sejf na moje nazwisko. W godzinę później umieściliśmy tam z Florencją dwa spore pakiety akcji, które wręczono mi do wiernych rąk jedynie na proste pokwitowanie skreślone przeze mnie odręcznie. Wykaz tych akcji znajduje się obecnie w mojej skrytce, ponad trzysta tysięcy złotych wartości nominalnej.

Na razie jestem oszołomiona. Podobnego uczucia doświadcza zapewne ktoś, gdy niespodziewanie wygrywa na loterii. Sama nie wiem, co zrobiłabym dzisiaj, gdybym wygrała milion złotych. Wyobrażam sobie, że starałabym się odebrać pieniądze możliwie najbardziej incognito, a po umieszczeniu gotówki w porządnym banku wróciłabym do domu i starałabym się rzecz całą - odespać. W każdym razie nie rzuciłabym się na taki niespodziewany milion jak mała, na przykład pięcioletnia Kazia czy Stasia na talerz rurek z kremem. Odespałabym i to potężnie! Równocześnie jednak nie mogłabym gwarantować za to, co by zrobiła Anna Jambor w okresie swej pracy w bydgoskim biurze. Przecież i wówczas kilkakrotnie kupowałam sobie loteryjne „ćwiartki”, zwykle w przeddzień ciągnięcia, i przeżywałam noce, pełne emocji. Śniły mi się wielkie wygrane, pokrzykiwałam, a ciotka Katarzyna gorszyła się i wymawiała mi na drugi dzień: - Co tobie, dziewczyno? Ja w twoim wieku miałam spokojne sny i nie przeszkadzałam w nocy innym.

Ale wszystko to - głupstwo. Zadaję sobie inne pytanie. Chciałabym na przykład wiedzieć, co oni wszyscy myślą o mnie. To znaczy Marcin, Florencja, Gdańsk i w ogóle wszyscy ludzie, którzy mnie znają i z którymi utrzymuję bliższe stosunki. Taka na przykład Gabrysia. Ale ona obecnie ma już dwoje dzieci i patrzy na cały świat, przez macierzyńskie okulary. To znaczy, myśli o tym, czy któreś z dzieci nie zachoruje na koklusz i czy w następnym roku obrodzi pszenica. Bo i to należy do kompleksu macierzyńskich trosk na wsi.

A Marysia? Jakże się ona roztyła! Powaga na obliczu i mocne cugle w rękach, aby jej Kubuś nie brykał. Taka sobie wiejska jałoweczka, którą wprowadzono do luksusowej obory. Ależ porównanie!

Ciekawe, że taka Herta, dawniej bardzo dzielna dziewczyna, w pożyciu z doktorem Kunickim zatraciła swoją kupieckość i spryt Jamborów. Ma również dwoje dzieci, ale to nie jest ważne. Kobiety mają po kilkoro dzieci i w dalszym ciągu tkwią w interesach. A tymczasem nasza Herta w krótkim czasie upodobniła się do wszystkich przeciętnych żon doktorskich. Drży o męża, drży o dzieci, myśli tylko o domu. W dodatku rozważa jedynie możliwość jak najbardziej pupilarnego zabezpieczenia ich rodzinnego majątku, dobrobytu. Pieniądze w tym domu przestały się toczyć w sposób kupiecki, doktor Kunicki zbija do pończochy swoje lekarskie dziesięciozłotówki. Obie kobiety patrzą w niego jak w święty obrazek, to znaczy matka i żona. Bardzo rzadki objaw zgody pomiędzy żoną i matką męża.

Elfryda, biedna Elfryda. Tylko tyle umiem o niej napisać.

Sprawy finansowe w grubszych zarysach zostały już ustalone. Chodzi tylko o wyreżyserowanie detali i powiązanie wszystkiego do kupy. Zośka potrzebuje do połowy stycznia pięćdziesięciu tysięcy gotówką, przed nami obydwoma stoi konieczność rozliczenia się z bratem do końca pierwszego kwartału. Ponadto Józinek całkiem poważnie zagroził, że sprzeda kamienicę w Poznaniu obcym ludziom, o ile nie zdecyduję się szybko na kupno. W tej chwili Gdańsk finansuje jakieś grubsze transakcje Maksia. I tak wspaniałomyślnie przedłużyli nam pozostałą sumę na dalsze pół roku. Ale czas przeleci i trzeba będzie zapłacić ponad trzydzieści pięć tysięcy gotówką. Co; prawda stryj Józef zapewnia mnie, że życie kupca składa się z debetu i kredytu, ale co do mnie, wolałabym zawsze łądować bez długów.

Z Zośką jakoś ochłodły stosunki. Zazdrość. Wygląda na zmęczoną i rozmawiała ze mną właściwie tylko o swoich nowych interesach w Grudziądzu. Sprawy z Krystynkiem starała się

zwalić generalnie na moje barki. W dodatku nie podoba mi się ten własny interes Zośki w Grudziądzu. Nowy wynalazek i coś za dużo branż w naszej rodzinie. Powinniśmy trzymać się jednej branży. Najlepiej byłoby wszystko podzielić, wówczas każde z nas poszłoby własną drogą. Co prawda w tym wypadku groziłoby nam może niebezpieczeństwo w rodzaju Tuchołkowym, ale tam były inne sprawy i szwagier całkiem niepotrzebnie pchał się aa wieś, na której się nie zna. Byłoby znacznie lepiej, gdyby się był ograniczył wyłącznie do historii urzędniczych. W tym wypadku miałyby mocne oparcie w dochodzie z Jamborowych bławatów lub też spokojny dochód z pieniędzy umieszczonych w domach. No, ale trudno, zachciało mu się pańskich fumów... Z Zoską - według mnie - głupia historia. Co prawda ciotka Elfryda oglądała ten cały kram i przewiduje dla tego przedsiębiorstwa widoki, lecz w obecnej postaci wszystko to są jeszcze gruszki na wierzbie. Nie znam się na tym. Nie moja specjalność. To jeszcze gorzej niż z lakierami - te są czystym interesem, bo całkiem nowe. i bez wspomnień z przeszłości. Co prawda ja mam moją pannę Beatę z łaski przypadkowego pędu do zemsty ze strony byłej buchalterki pana Imrotha, ale co innego jest ów nie znany mi jeszcze inżynier Damazy Stręk. Podobno fachowiec, podobno mruk, podobno fanatyk pracy. Śpi w warsztacie, je w warsztacie, nie rozstaje się ze śrubokrętem i suwakiem. Ma być średniego wzrostu, mocno kanciasty i mocno chłopski. Gdzie go znalazła Zośka? Czy był poprzednio jej kochankiem? W ogóle jak to wszystko wygląda? Na razie robią śruby i różne toczony przedmioty, badają możliwości produkowania łącznic telefonicznych, przyszłość swoją opierają na dostawach dla budującego się obecnie okręgu ciężkiego przemysłu pod Sandomierzem. Wojsko i lotnictwo - jako odbiorcy. Marzą o sprowadzeniu z Niemiec olbrzymich automatów, które kosztują po sto tysięcy sztuka. W marcu pojedą oboje na Targi Lipskie, po czym ma nastąpić generalna bitwa o postawienie fabryczki na poziomie. Na razie zatrudniają dwudziestu ludzi, marzą o dwóch setkach. Całe szczęście, że ciotka Millerowa pilnuje Wąbrzeźna.

Mała Marta chodzi do szkoły i kto wie, czy obie siostry, starsza i malutka, nie spotykają się na ulicy. Być może ocierają się o siebie, nieświadome faktu pokrewieństwa.

W tych warunkach zapowiadane jako wesołe dni mojego pobytu u wujcia pod Kutnem nie sprawiają mi przyjemności. Zbyt mocno moja głowa jest zajęta obecnie czym innym. Męczy mnie nawet przymus brania udziału w zabawach i rozmowach, w których jestem traktowana jako, powiedzmy, przystojna czy niebrzydka kobieta. W dodatku młoda i posiadająca pieniądze. W tej chwili doskonale rozumiem blumeryzm, zapoczątkowany przez amerykańską pisarką z połowy ubiegłego wieku...

Kandydaci na mężów. Jakoś mi to nie w głowie, w chwili obecnej myślę wyłącznie o sprawach kupieckich. Czułabym się w tej chwili wygodniej w ciemnym biurowym kostiumie angielskim niż w balowych czy wieczorowych dekoltach. Urzędowe opakowanie do prezentowania nagości ciała kobiecego.

A tymczasem podtykają mi kandydatów. Pan Liteński, wykorzystując swoje bliskie pokrewieństwo z panią Orzechowską, przywiózł do Starej Wsi swego synalka. Trochę banalny i lalkowaty typ w mundurze majora. Podobny z twarzy do Węgrzyna w roli księcia Pepi. Nie zaimponował mi mundurem, ponieważ Mokotów przybył na wieś w generalskim mundurze z licznymi orderami, dawnymi i obecnymi, uzyskanymi już po wystąpieniu z czynnej służby wojskowej. Generał mówił mi, jak zwykle: Anno, a ja z przekory wmawiałam w niego generalstwo. Odstraszało to trochę młodego Liteńskiego, pobudzając równocześnie papę do mobilizowania całej rodziny Orzechowskich w obronie majora. Śmiałam się w duchu. Trzeba przyznać, że zachowuje się bez zarzutu, dobrze tańczy i ze spokojem gra w brydża. Przegrałam do niego prawie sto złotych, ale chyba dlatego, że paplałam podczas gry i przyglądałam się kandydatowi, nie wiem, z którym kolejnym numerem.

Natomiast wujcio popierał raczej akcje swego wiejskiego sąsiada zza miedzy. Dwadzieścia sześć włók ornej ziemi, drugie tyle lasu, prawie bez długów, majątek Słomniki, a

właściciel ma 37 lat i nazywa się Edward Karśnicki. Podobno słynie w swojej okolicy z tego, że po śmierci ojca zamurował się na kilka lat we wsi, spłacił długi, wybudował służbie porządne domki, a następnie kazał spalić stare brudne czworaki. Sąsiedzi patrzą na niego kosym okiem, ponieważ ma niezwykle dobre stosunki z fornalami. Obmawiają go, jako dowód notuję słowa starszego pana Liteńskiego:

- Ten Karśnicki to pechowy gość. Ożenił się jeszcze za życia ojca, ale żona zmarła mu przy porodzie razem z dzieckiem, nie wyżyli z sobą nawet jednego roku.

Odezwanie się pana Franciszka Józefa brzmiało jakby dobroduszne a życzliwe ostrzeżenie dla młodej kobiety. Ciekawi są ludzie! W dodatku gdy jeszcze tego samego dnia powtórzyłam wujciowi słowa pana Liteńskiego, ten lekceważąco machnął ręką i wyrzekł niespodziewanie kilka zdań, które mnie zaskoczyły:

- Ech tam, pan Franciszek Liteński lubi każdemu przypiąć łatkę. Karśniccy to stara szlachta miejscowa z dziada pradziada, paręset lat siedzą na swojej ziemi w Kutnowskim. Mówią o sobie krótko: Karśniccy, nie wyjeżdżają z herbami i nie obnoszą się po świecie z wypominkami służby u austriackich cesarzy. To głupstwo, wierutne głupstwo. Znam ich dobrze, krewni, owszem, ale ja nie mam do nich entuzjazmu. Znamy się od dziecka, bywali u mnie na wsi od pół wieku, jeszcze nieboszczyk ojciec kuzyna Franciszka, ja przyglądałam się im w tym ich Widniu, gdy jeździłem w tamte strony do niemieckich badów. Panią Franciszkową znałem również, siostrzyczkę tego smyka Rudolfa - *idem*. Widzisz, Anno - dodał wujcio Benedykt - z nimi nie wytrzymał nawet taki porządny Szwab, jakim jest były zięć pana Liteńskiego, austriacki baron von Kreckwitz. Jeszcze i dzisiaj jeżdżę do niego na polowanie, ale on też nie mógł wytrzymać i uciekł. A obecnie Liteńscy psy na nim wieszają.

- Cóż? - powiedział pan Szczytnicki - nawet zdrowi ludzie umierają z przypadku. Poród odbywał się na wsi, w staroświeckich warunkach, nic dziwnego, o infekcję czy zakażenie nie było trudno. Karśnicki! Nic złego nie dam powiedzieć na mojego sąsiada! Porządny człowiek, a stary Liteński ma na starość hyzja z herbami i w dodatku rotarianin. Rotarianin - powtórzył wujcio - i zaraz dodał:

- Taki sobie... rotarianin. Nie tyle jemu zachciało się bawić w masony, co chodziło mu o dobre znajomości i ułatwienia w zagranicznych podróżach! Mnie to nie jest potrzebne. Mam swoje własne pieniądze, jadę, płacę gotówką, daję hojne napiwki, służba mnie porządnie obsługuje, a na resztę gwiżdżę! Takie to tam masony pana Franciszka. Pozwalają mu od czasu do czasu uszczknąć jakąś sumkę i tyle. Taki mason jak z niego to chyba tylko czasami na posyłki.

Tableau, usłyszałam - co usłyszałam. Notuję, by nie zapomnieć, ponieważ i wiadomość ciekawa, jak również wesoło opowiedziana.

To już chyba wszystko z okresu świąt Bożego Narodzenia. Reszta, to była już tylko normalna słoma towarzyska w wydaniu rodzinnym. Obecnie czekają mnie wiejskie szaleństwa kuligowe w gościnnym dworze pana Szczytnickiego. Pojadę, bo przyrzekłam i ponieważ coraz więcej lubię i szanuję starszego pana. Ale to tylko kilka dni, ponieważ nad moją wolnością wisi urzędniczy miecz Damoklesa w postaci konieczności zjawienia się w nowym ministerstwie punktualnie dnia dziesiątego stycznia. Już mam w ręku papierek z pieczęcią i podpisem ministra, naturalnie przeniesienie służbowe na moją prośbę.

Przedtem czeka mnie podróż do Wąbrzeźna i Grudziądza oraz z góry umówione spotkanie z Józinkiem w Poznaniu. Pojadę od razu z gotówką, moja obecna pozycja jest silna. Siła moja pochodzi co prawda w dalszym ciągu z łaski stryjka Marcina, ale to nie jest ważne. Grunt, że podzielił mój pogląd na sposób rozwikłania finansów. Krótko mówiąc, otwarł mi kredyt do wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy złotych i ustalił to w sposób następujący:

- Puszczam cię, moja Anno, na własne wody.. Wyobraź sobie, że masz do czynienia nie z sobą, lecz z kimś innym. Dysponujesz cudzymi pieniędzmi, administrujesz nimi i starasz się zabezpieczyć pożyczkę w sposób korzystny dla właściciela. Gdańsk pożyczka wam obecnie na

dziewięć procent, spróbujemy zatem naszych pierwszych interesów po osiem procent. To będzie szkoła finansowa dla naszej Anny Jambor.

W ten sposób, zamiast historii z bankami, uzyskałam łatwiejsze drogi. W dodatku mając dostęp do kredytu, mając prawie gotówkę w ręce, inaczej porozmawiam z moim kuzynkiem Józkiem. Podobno w Bydgoszczy mają zamiar zorganizować na większą skalę wytwórnę bielizny męskiej i damskiej. Zobaczymy. Tak od razu w styczniu nikt nie kupi im kamienicy za gotowe pieniądze! Spróbuję dojść do mojej pierwszej kamienicy, obdłużonej na początek, ale już własnej. Jamborowie zawsze mieli własne domy. W ten sposób mieszkaniowy legat doktora Michalskiego znajdzie się w mojej kamienicy. Niedługo cieszył się Józinek spadkową kamienicą, prosta przyzwoitość nakazywała zatrzymać tę realność po ojcu.

To już koniec na dzisiaj. O tym, że wczoraj wieczorem stryjostwo podejmowali kolacją siedmiu panów i dwie panie, nie warto pisać. Pożegnalny wieczór. W każdym razie samochody gości nie wystawały pod bramą i nie budziły niepotrzebnej sensacji. Poznałam trzech interesujących panów, z którymi podobno według słów stryjka będę miała styczność. Panowie: Szymon Landau, zamieszkały rozmaicie, w Londynie, Brukseli i Warszawie, prezes zagranicznego koncernu elektrycznego, oraz prezes Fajans i dyrektor Szarski, obaj z mojego nowego banku. Owszem. Prezesa Fajansa widywałam już poprzednio na Mokotowie, ja sobie go nie przypominałam, on przez grzeczność twierdził, że mnie zauważył.

Nie zdziwiło mnie, że po kolacji obie panie, krótko zabawiane przeze mnie i Florencję, na odmianę w moim salonie na drugim piętrze, odjechały samochodami do domu, a panowie zamknęli się na dole w pokoju bibliotecznym. Interesy. Panie oglądały u mnie zbiór miniatur, pochodzący ze strychu w Górkach, była mowa o tym i o tamtym, ponawianie zaproszeń i tak dalej. W gruncie rzeczy chodziło o to, żeby panowie zostali sami na pierwszym piętrze!

Do stołu podczas kolacji podawał pan Karol. Szło mu to bardzo zgrabnie, podobno pracował w Kanadzie jako kelner.

Tyle o tym - co już było. Wszystko zapisałam dla utrwalenia sobie w pamięci. Albowiem gdy się coś zapisze, tym samym jakby łatwiej czy wygodniej utrwała się w głowie.

Tym razem patrzę w zbliżający się Nowy Rok z ufnością i nie doświadczaną dotychczas pewnością siebie. Czuję się, jak to mówią na mocnych nogach, pomimo rozgrzebanych interesów i wielu trudności, które wyczuwam przez skórę. W dodatku zdaję sobie sprawę z tego, że nasze rodzinne bławaty w Wąbrzeźnie przestaną już niedługo same znosić złote jajka, ponieważ na Zośkę powiały inne wiatry. Obudził się w niej niespokojny duch naszych przodków!

Niedziela - 30 grudnia

Wyspałam się doskonale. Na śniadanie kazałam podać sobie lekką herbatę i sucharki. Zdziwienie mojej pokojówki. Obecnie wyczekuję na obiad. Godzina druga. Budzą się we mnie jakieś dziecinne odruchy. Ale to rzecz zrozumiała - zabawki są dla dzieci, dorośli lokują swoje zapały i zachwyty w samochodach i koniach. Na mnie widocznie nadeszła passa samochodowa. Po raz pierwszy w życiu. W każdym razie samotna podróż olbrzymim buickiem. Ostatecznie dziesięć czy dwadzieścia litrów benzyny więcej czy mniej to w gruncie rzeczy wszystko jedno. W kawiarni nieraz wydaje się więcej, o ile płaci się rachunek... za kilka Iren. Właśnie obecnie przyszła mi na myśl ta nasza warszawska znajoma „od kawiarni i od brydża”. Podobno posiada własny, niezależny majątek. Administruje nim jakiś wujek, po którym Irena odziedziczy w przyszłości wielomilionową całość. Oboje wyżywają się tymczasem w skąpstwie, a Irena mieszka w drugorzędnym pensjonacie, mimo że posiada na miejscu w Warszawie kilka czynszowych domów. Dziwne.

Pan Grabowski? Również ciekawy typ. Karierę zrobił dopiero na procesie brzeskim. Jest z kamaryli Piłsudskiego, ale o tym nie mówi się zbyt głośno. Strzyjek mówi, że to wszystko - „po jednych pieniądzach”. To znaczy: Mussolini - Hitler - i nasz Marszałek.

Podobno obecnie skończyła się era parlamentarnych demokracji i popłacają tylko rządy silnej ręki. Mnie to obojętne, na polityce się nie znam, nie jest mi ona potrzebna do szczęścia. Według mnie ci, którzy pracują w polityce, zgrywają się przeważnie jak podstarzały tenor na prowincjonalnej scenie. Doskonale wiedzą, że już dawno stracił głos i że występuje jedynie siłą starego przyzwyczajenia ludzi do jego nazwiska i do świetnej ongiś przeszłości. Moim zdaniem, co najmniej połowa obecnych ustrojów i państw na świecie trwa jedynie dlatego, że nikt nie ma odwagi, czy dowcipu odważnie dmuchnąć w pajęczynowe zamki...

A zatem znacznie wygodniej być widzem w teatrze, niż wdzierać się na estradę z namiętności czy głupoty. Teatr ma ponadto dwa oblicza: od frontu mocno wyzłocone, z tyłu zaś niezmiennie od wieków mieszczą się brudne kulisy. Ani mi w głowie! Dopiero obecnie rozumiem powiedzenie Marcina, że politycznym aktorom zdaje się, iż tworzą, natomiast w rzeczywistości są jedynie marionetkami, które ożywiają tajemnicze sznurki, niewidoczne dla oczu widzów.

Na przykład - taki pan Mościcki. Bardzo elegancki, dostojny w ruchach, ze słodyczą w ustach i zręcznie wyreżyserowanym uśmiechem. Reprezentacyjny pan prezydent. A przecież rządzą inni, którzy mają znów swoich doradców. Zresztą gdyby nie było tych, to przyszliby inni, może jeszcze gorsi lub jeszcze głępsi. Hop, hop, Anno, zagalopowałaś się. Co to wszystko ciebie obchodzi?

Ostatecznie wszystko sprowadza się do ideologii angielskich lordów, naturalnie tych starej daty. Stworzyli sobie własne zamknięte kółka i na tym koniec. Korona wymaga od nich jedynie tego, aby od czasu do czasu przewietrzali swoje aksamity i peruki, a ladies przecierały staroświeckie kosztowności delikatną irchą w celu przywrócenia im połysku. Zapewne raz do roku przyjęcie na dworze, a później każdy z nich robi, co lubi i na co go stać. Golf, marki pocztowe, polowania, brydż po dwa pensy i tak dalej. Byle tylko nie historia w rodzaju Oscara Wilde'a. Chyba że któregoś ukąsi polityczna mucha i urządzi się dla kariery na odmianę w parlamencie?

Ale w Warszawie trudno o tereny dla lordowskich zachcianek. Jeszcze jedno przychodzi mi na myśl a propos Anglii, lordów i w ogóle Anglików. Bo tam zasadniczo każdy może zostać lordem, gdy tylko posłuży mu szczęście i dowcip. Mnie się wydaje, że oni wszystko traktują jako sport. Dla nich nie istnieją poważniejsze czy bardziej zasadnicze różnice pomiędzy polowaniem na tygrysy w Indiach a prowadzeniem wojny z Burami. Całość życia opiera się na sportowym podejściu do zagadnień, do polityki również. W dodatku wszystko jest oparte na mocnych książeczkach czekowych, podobnie jak na wysportowanych barach angielskich chłopców. I na staroświeckich parasolkach starych turystek angielskich, które spotykałam co krok na szlaku mojej ostatniej podróży zagranicznej.

A u nas? Inaczej. Lamus wszelkiego rodzaju pospolitości. Właściwie byłoby najlepiej wyjechać. Wynieść się. W każdym razie z grubszymi pieniędzmi, jak to uczynił Marcin. Sześć lat mojej znajomości z tym stryjkiem, który dopomógł mi do przebicia skorupki bydgoskiego jajka. Byłabym w nim zaśmierdła lub w najlepszym razie zaczadziła. Ciotka lub ojciec byliby mnie wydali za mąż... Na wspomnienie tych perspektyw przechodzą mnie dreszcze i zbiera mi się na wymioty.

Obiad. Nareszcie wygrzebali się. Wpół do trzeciej. Wyjazd za godzinę. Lepiej byłoby wyjechać przed południem, ale stało się. Do Kutna prosta droga, a później to już tylko dwie mile. Może pan Karśnicki wybudował również dobrą drogę do swojego majątku. W każdym razie to już naprawdę poważny kandydat. Solidny pod każdym względem. Mankament w tym, że umie gadać jedynie o agronomii. Widocznie potrzebuje pani do wiejskiego dworu. Szkoda, że Leokadia nie jest w odpowiednim wieku. Wszystko głupstwo, stają się czasami złośliwa.

Trzeba zacząć ubierać się. Jadę w srebrnych karakułach, zabieram dwie walizy kiecek, nie zapominam również o mojej serbskiej bekieszy. Ciekawa jestem, co robi obecnie *gaspadin*, na którym niestety od Nowego Roku będę zarabiać tylko po dwa procent!

Śmieszne? Ale w życiu wszystko jest śmieszne, poważne rzeczy są zazwyczaj na odmianną ponure. Koniec.

Szczytniki - prawie w nocy

Zajeżdżałam z fasonem. Górki i Stara Wieś mnie wyprzedziły. Niewiele widziałam z dworu, gdyż było już ciemno. Po przejechaniu starej bramy z daszkiem w świetle reflektorów samochodu zobaczyłam sporą budowlę z fasadą w stylu Księstwa Warszawskiego. Tak mi się wydaje. Kilka schodów, kolumnada, ale nie było czasu na obserwację, gdyż zaraz otworzyły się drzwi i wchłonęło mnie gościnne wnętrze. Nakiwali mi trochę za późne przybycie. Śpię w jednym pokoju z młodszą Elfrydą. Wesoło, na piętrze, atmosfera i meble sprzed stu lat.

Piszę kilka słów, ponieważ Elfryda w łazience. O dziwo, ten wynalazek dotarł już do majątku pana Beliny-Szczytnickiego! Dom starego kawalera. Ciekawa jestem całości. Kto to odziedziczy? Naturalnie dzieci państwa Orzechowskich, ona jest rodzoną siostrą pana Benedykta. Zapewne pieniądze zabierze lekarz z Warszawy, a majątek Gabrysia. A może by się tak kropnąć za starszego pana? Rodzina by się wściekła na taką wiadomość. Intercyza na przeżycie? Ale to głupstwo. Leokadia miała dwadzieścia lat, gdy wmuszono w nią starego Braunholda. A ten w dodatku nie miał siedemdziesięciu lat i bródki à la kardynał Richelieu. Kiedy ty zmądrzejesz, Anno?

Warszawa - piątek - 4 stycznia - 1935

Koniec z zabawami. Prawie nie spałyśmy. Szalałyśmy. Wczoraj jednak wszystko się zakończyło i pan Szczytnicki jest już samotny w swym wiejskim królestwie. Na pociechę został mu pan Liteński, który sam się zaprosił. Wydaje mi się, że w najbliższych dniach obaj starsi panowie wybiorą się w góry. Gdzieś w okolicę Przełęczy Dukielskiej - pan Liteński posiada jakieś resztki górskiego majątku. Pan Szczytnicki mówi z przekazem, że lasy wycięte, hipoteka mocno zapaskudzona i z wyjątkiem starego dworu i dobrego polowania dobra pana Franciszka Józefa są g... warte, ale jakoś niezmiennie rokrocznie jedzie właśnie w tamte strony na polowanie. Wszyscy się wzajemnie po trochu obmawiają, jak z tego widać. Mnie naturalnie również zapraszano, ale niczego nie przyrzekałam i nos panu Liteńskiemu się wydłużył. Wymówiłam się terminem biurowym i w ogóle... Wujcio zapowiedział się w gościnę do mnie w Warszawie, umieszczę go chyba na dole u Marcinów - powinowaty.

Elfryda, jak zwykle, bardzo miła. Na razie rozmawiamy prawie wyłącznie o interesach, uczę się od niej cyfr. Dostała w domu urlop do połowy stycznia i bardzo ładnie z jej strony, że zjechała do mnie. Opowiadam jej szczegółowo o podróżach z Leokadią. Ona marzy w tym roku o wycieczce do Paryża, ale chciałaby zrobić z tego cały miesiąc i jakoś nic nie wychodzi. W Warszawie znalazła się jedynie dlatego, że mają tutaj do załatwienia kilka spraw firmowych. Połączyła jedno z drugim, w innym wypadku byłby pojechał któryś z urzędników firmy.

Obecnie myślę tylko o tym, aby w sposób rozsądny załatwić z kupnem domu w Poznaniu. Zośka jeszcze nic nie wie o tym projekcie, na początek powiem jej, że kupuję ten dom dla Marcina, a jedynie pod moim nazwiskiem, ponieważ tak jest dogodniej dla stryjka. Może uwierzy? Później jakoś to wszystko się zatrze, gdy Zośka utopi się w grudziądzkich śrubkach. Elfrydzie również nie podoba się takie rzucanie się na kilka branz. Bławaty, lakiery i śrubki. Mnie doradza kompletne wycofanie się z pomorskich interesów, a nawet z grudziądzkich kamienic. Ma rację, mnie nie potrzeba do tego specjalnie zachęcać, ale naprzód trzeba odczepić się od wspólnych rachunków z Krystynkiem. Początkowo przyszło mi na myśl, aby osobiście spłacić część brata i pozostać w masie z dwiema trzecimi, ale to był pomysł... do maku, ponieważ uraziłabym Zośkę. Ludzie są wrażliwi i łatwo obrażają się, tym bardziej krewni.

Sobota - 5 stycznia

Dzisiaj pojechaliśmy po południu do Radomia, naturalnie samochodem, we dwie z Elfrydą. Zostałyśmy do wieczora i zjadłyśmy kolację u Wierzbickiego. Wariat, znany ze swoich szusów. Sama restauracyjka jest podła, ale warszawiacy wmówili w siebie, że należy do fasonu pojechać czasami do Wierzbickiego. Pocieszają się, że to tylko 99 kilometrów na liczniku samochodowym. To jest taki oryginał, który nie dba o to, co goście zamówią, i podaje im zestaw potraw i napojów, dobrany według własnego widzimisię. Pocieszne, ale Elfrydzie podobał się taki fason, mówi, że w Londynie zdarzają się w klubach zamkniętych jeszcze większe ekstrawagancje. Mam wrażenie, że naszemu szoferowi również się spodobało, niech widzi, że nie odbiegam od wzorów gospodarzy z pierwszego piętra.

Pokazywałam mojemu gościowi pierwsze piętro. Elfryda oglądała szczegółowo, zaciekał ją tylko odmienny nieco rodzaj biblioteki, ale nic nie mówiła. Zauważyła nawet, że Marcinowi zależało widocznie na utrzymaniu opinii, iż nie porzuca z kretesem i na zawsze Warszawy, i dlatego urządził sobie coś w rodzaju stopnia przejściowego pomiędzy Żoliborzem a Montreux. Być może.

Przy okazji muszę obejrzeć szczegółowo zawartość biblioteki na dole. Przecież ten profesor nie zamknie mi drzwi przed nosem. Mam komplet kluczy wejściowych. Ciekawe - Elfryda od razu zainteresowała się katalogami. Usiadła również przy fortepianie i przegrała kilka utworów szopenowskich. Przysłuchiwałam się tej grze z odległości wygodnego fotela w kącie. W każdym razie mazurki jakoś dziwnie brzmiały w tych ścianach. Wydawały się zbyt sentymentalne do tego miejsca, do tego otoczenia. Drzwi biblioteki były szeroko otwarte i nastrój psuły półki obciążone rzędami książek, ustawionych w nieprzerwanym szeregu, jak pruscy żołnierze na paradzie.

Jutro wydaję uroczysty obiad dla gości z Mokotowa. Mają przyprowadzić tym razem dzieci i kilkoro naszych wspólnych znajomych. Nie jest to jednak jeszcze oblewanie mojego nowego mieszkania, ponieważ tę uroczystość odkładam na późniejszy okres, po ustaleniu się w nowym ministerstwie i zakończeniu kłopotów finansowych. Na razie coś bardzo rodzinnego, z okazji goszczenia u siebie Elfrydy.

Cieszę się, że nareszcie mam możliwość podejmowania gdańskiej rodziny. Tyle razy przecież bawiłam u nich, nareszcie doczekałam się, że oni u mnie. Dopiero teraz oceniam, że dawne mieszkanie miało wiele niedogodności. Dwa salony, z których jeden mieścił w kącie łóżko za parawanem, wszystko to jednak, mimo pewnego dobrobytu i cudów kulinarnych Wiktorii, miało posmak tylko jakiegoś *pied-à-terre* z przypadkowo doczepioną kuchnią. Obecnie moje mieszkanie ma ręce i nogi.

W poniedziałek rano jadę do Poznania. Bardzo wczesnym pociągiem, ponieważ umówiłam się z Józinkiem na godzinę czwartą po południu. Głupia historia. Ciotka Katarzyna podobno zobowiązała go, że jego noga nie przekroczy progu dawnego mieszkania ojca. Nic nie mówiłam, owszem, spotkamy się, jak chciał, u Dobskiego. Głupi lokal na spotkanie. W każdym razie napisałam do mojej gospodyni, żeby przygotowała kolację na cztery osoby. Zobaczymy, Ewa skusiła Adama, a cóż dopiero z Józinkiem, z którym zawsze byliśmy dobrze. Wtorek rano do Wąbrzeźna, w środę skok do Grudziądza, a w czwartek trzeba będzie nabić się w jakiś ciemny kostium, nie za bardzo modny i wyzywający, i... marsz do biura, moja Anno.

Niedziela - wieczorem

Było bardzo miło. Jak te lata szybko lecą! Gdy poznałam ówczesną jeszcze pułkownikową, Zosia miała dwanaście lat, Witek dziewięć, a o pięcioletniej Joli nawet się nie wspominało. Dzisiaj wszystko wyrosło i zmężniało. Niemal przegapiłam maturę Zosi, było to w okresie moich podróży. Obecnie chodzi na filozofię, tu na miejscu, w Warszawie, ale już

się mówi o jakimś zagranicznym uniwersytecie, najchętniej w Lozannie. Dwoje młodszych pałkuje w szkole średniej, Witek u Zamoyskiego, a Jola u Platerówny.

Piszę dlatego, ponieważ matka zgodziła się na kilkudniowy wyjazd Zosi do Poznania. Jedziemy zatem jutro rano w trójkę, namówiłam również Elfrydę. Będzie wesoło, szkoda jedynie, że czeka mnie Wąbrzeźno. Trudno. Moi goście spędzą trzy dni w Poznaniu, mają w projekcie zwiedzanie miasta, teatry i tak dalej, wszystko, co można tam zobaczyć. Mnie czeka zarwańska ulica. Czuję, że gdy ją odwałę, będzie mi lżej na sercu i umyśle.

Wstyd przyznać, że po powrocie z zagranicy byłam tylko dwa razy w sklepiku z lakierami. Potraktowałam te wizyty niemal zdawkowo, a odwiedziny panny Beaty z życzeniami noworocznymi zbyłam w sposób niemal obojętny. Trzeba będzie to wyprostować, całe szczęście, że powiedziałam jej:

- Obecnie ledwo żyję, ale jak się uspokoi, to w połowie stycznia porozmawiamy na tematy sklepowe i - osobiste.

Dałam do zrozumienia, że mam na myśli jej nowe wynagrodzenie. Tak było umówione w swoim czasie podczas przyjmowania, trzeba dotrzymać, ponieważ warto. Zresztą bilans będzie gotowy właśnie na 15 stycznia, a zatem w samą porę. W każdym razie poczęstowałam pannę Walczak czarną kawą, likierem i tortami z Górek.

Trzy dni, ciężkie trzy dni. Psiakrew! Najgorsza będzie rozgrywka z Józinkiem. Wolalabym kupić ten dom z innych rąk. Z krewnymi to nigdy nie wiadomo. Wspominam kręcenia naszego ojca, gdy podstawił wujka Kowalskiego przy zamierzonym kupnie podziadkowej kamienicy w Grudziądzu. Krewnym zawsze się wydaje, że rodzinni nabywcy winni przepłacać dlatego, że są krewnymi. W interesie zasadniczo nie ma krewnych, a są jedynie obiekty handlowe i prawo podaży i popytu. W dodatku ja mam pieniądze w garści, a to grunt!

Wizyta panny Beaty u mnie w domu nasunęła mi ponadto myśl, że nie ma potrzeby wtajemniczać kogokolwiek w historii z kupnem kamienicy w Poznaniu. Wyjątek stanowi Elfryda, ale to córka kupieckiej rodziny i rozumie interesy. Gdy będę wycofywała gotówkę ze sklepiku z lakierami, powiem pannie Walczak, że muszę oddać pieniądze pożyczone w swoim czasie na zorganizowanie interesu. Tak będzie najlepiej. Ludziom nie trzeba pokazywać zawartości portmonetki.

Na wszelki wypadek uzbroiłam się w gotówkę. W osobnej kopercie zabieram dziesięć tysięcy złotych. Coś w rodzaju haczyka dla Józia, ale nie wierzę w takie błyskawiczne tempo. Bydgoskie baby nie pozwoliłyby mu na taką samodzielną decyzję. One będą przetrwać to na rodzinnych wieczorach przynajmniej w ciągu tygodnia. Nawet później, gdy już sprzedadzą dom, będą żałować dwa miesiące, a obmawiać mnie przez cały rok. Józinkowi powiem dla postraszenia, że równocześnie nadarza mi się sposobność kupienia domu w Warszawie, na miejscu gdzie mieszkam. To powinno przemówić mu do wyobraźni. Będę biła na to, że stryjek jest raczej za kupnem domu w Warszawie, a nie w Poznaniu. Jedno wiem, że Michalskim odmówiono pożyczki w Starej Wsi. Mam wrażenie, że przyjechali na wiejskie święta jedynie w tym celu. Jakoś nie mają szczęścia również u gdańskich krewnych, którzy uważają ich w dalszym ciągu za drobnych kramarzy i koniunkturalnych kupców. Tak określiła to Elfryda. Dobili się w opinii - budową willi. To było głupstwo, jedynie dla zaspokojenia fantazji. Zbyt w dodatku widoczne i na oczach, przed ustabilizowaniem majątku. Sami sobie są winni, chcieli małpować śląskiego Franusia. A teraz spać.

Wtorek rano - w pociągu do Wąbrzeźna

Dojeżdżam do Torunia. Wzięłam do ręki bloczek, ale nie bardzo chce mi się pisać.

Po przyjeździe do Poznania - Elfrydę i Zosię puściłam na razie kantem, a sama z wywieszonym językiem obleciałam pół miasta. Byłam u dwóch pośredników i orientowałam się w cenach domów. Zachęcali mnie na wszystkie sposoby, mówili, że obecnie jest dogodny

czas, ponieważ dużo ludzi chce sprzedawać. Mówiłam naturalnie o gotówce i wymieniłam sumę około dwustu tysięcy. Ceny są niskie i można kupować w granicach od ośmiu do siedmiu procent rocznego dochodu netto. Naturalnie w zależności od dzielnicy i charakteru domu. Nie pożałowałam kilkunastu złotych i z miejsca objechaliśmy kilka pozycji. Spóźniłam się na obiad, zastałam już moje panie i denerwującą się gospozię. Ale jakoś się wyłgałam, tym bardziej że Elfryda była częściowo wtajemniczona w sprawę. Obejrzała sobie kamienicę w sposób dyskretny, spodobała się jej z powodu spokojnego położenia.

Z kolacji były nici, ponieważ Józinek już o ósmej zwiął z powrotem do Bydgoszczy. Ale go wytresowały!

Oj - te rozmowy. Józinek wyobrażał sobie, że ma do czynienia z dawną smarkatą Anną z czasów, gdy odwiedzał swoją teściową w Bydgoszczy. Zaczął od bajdurzenia, że dom jest wart ćwierć miliona i że domy przynoszą obecnie siedem procent rocznie, co by w istocie odpowiadało mniej więcej tej ćwierci miliona złotych, ponieważ roczne komorne przynosi dokładnie szesnaście tysięcy osiemset złotych netto, licząc w to również komorne z mojego mieszkania. Usiłował wmówić we mnie cenę kupna w wysokości dwustu tysięcy złotych netto dla niego, przy istniejących na hipotece trzydziestu ośmiu tysiącach długu. Dokonywaliśmy różnych obliczeń na bibułkach kawiarnianych. Koniec końców zaoferowałam mu ostatecznie sto dziewięćdziesiąt tysięcy za cały dom, z potrąceniem tych trzydziestu ośmiu tysięcy hipotecznych. Netto sto pięćdziesiąt dwa tysiące, płatne w całości gotówką przy podpisaniu aktu.

Józinka najbardziej dotknęło to, że od ceny wartości chałupy odliczałam stale cztery lata mojego komornego, z legatu jego ojca. Mówił, że jego panie nie zniosłyby czegoś podobnego, ponieważ one dotychczas nie mogą spać spokojnie po tym testamencie. Wyśmiałam go należycie i zapewniłam, że jeżeli o mnie chodzi, to wprost przeciwnie, w mieszkaniu przy ulicy Wyspiańskiego sypiam znacznie lepiej niż w Warszawie. Było to powiedziane tak szczerze, że w końcu nawet sam Józinek uśmiechnął się, jak to mówią, przez łzy. Prawdę mówiąc, trochę przeszarżowałam, ale postanowiłam wytrwać konsekwentnie w raz obranym stylu. Niech się tam trochę pokłóć nasze rodzinne babska! Józinkowi nikt obecnie nie pożyczy gotówki, interesy ma rozkręcone do ostatecznych granic wytrzymałości, w handlu panuje ścisk, a dobre weksle kupieckie dyskontują na ogół w granicach od dziewięciu do dwunastu procent. Drogo. Woda na młyn dla mnie. Dom jest wart od dwustu dwudziestu do dwustu dziesięciu tysięcy, trzydzieści osiem wisi na hipotece, a zatem netto sto osiemdziesiąt dwa lub sto siedemdziesiąt dwa tysiące, z potrąceniem tych moich czterech lat gratisowego komornego. Przecież każdy inny kupujący potrąciłby przy kupnie takie „martwe” komorne. Cztery lata po trzysta dwadzieścia złotych miesięcznie, to również około piętnastu tysięcy, a więc pozostawałoby na czysto sto sześćdziesiąt siedem lub sto pięćdziesiąt siedem tysięcy złotych. Ofiarowałam zatem Józinkowi dobrą cenę, w dodatku gotówką.

Co prawda niedobrze mi się robi na myśl, skąd wytrzasnę te sto pięćdziesiąt dwa tysiące, ale jakoś sobie poradzę. Ścisnę się z innymi wydatkami. Jakoś wyczaruję. Ostatecznie w pierwszym roku ryzykuję tylko różnicę pomiędzy dochodem z komornego a nawet wysokim procentem pożyczki. Jak stryjek Marcin dobrze wycyrklował, ofiarowując mi sto pięćdziesiąt tysięcy na osiem procent. Ni mniej, ni więcej, tylko procent dochodu z porządnego domu.

Obecnie jadę na rozprawy o innych cyfrach. Wąbrzeźno. To dopiero problem! Spłacenie brata i pięćdziesiąt tysięcy dla Zośki. Co do Michalskich, postawiłam termin do 15 stycznia, jako datę rezerwowania dla nich gotówki. Józinkowi powiedziałam, że sprawę omówiłam już ze stryjkiem Marcinem, i dodałam, że stryjek radził mi wystawienie nawet niższej ceny kupna i tylko przy połowie gotówki, reszta do pozostawienia na rocznej hipotece. Zabezpieczyłam się na wszelki wypadek, aby wariaci nie napisali do Szwajcarii. Ale nie znają adresu, a z ustaleniem byłaby dłuższa sprawa wobec konieczności szybkiego powzięcia przez nich

decyzji. Naturalnie spotkanie u mnie w Warszawie i załatwienie interesu u naszego warszawskiego notariusza. Zastrzegalam się przed przyjazdem ciotki Katarzyny, ale uczynilam to na wesoło i delikatnie. Pomyślałam bowiem o możliwości najazdu bydgoskich bab, które zechcą namówić mnie, bym postąpiła w cenie. Ani mi w głowie! Ostatecznie mogą sprzedać komu innemu, gdy zechcą.

Dzisiaj siarczysty mróz. Chyba Zośka nie zawiedzie z samochodem. Ciekawa jestem, jak wypadnie z Józkiem.

Wąbrzeźno - wtorek - 8 stycznia

Godzina pierwsza w nocy. Ledwo wyprawilaam Zośkę pod pozorem, że padam ze zmęczenia. O siódmej jedziemy do Grudziądza, okazynnie, samochodem jakichś wąbrzeskich sąsiadów, wracamy dopiero późnym wieczorem, zaledwie zdążę na pociąg do Torunia. Czekam nocna podróż.

Za świeżej pamięci notuję cyfry. Naturalnie bez drobiazgowych łamigłówek. Czysty dochód z naszych bławatów wyniósł prawie siedemdziesiąt tysięcy, grudziądzkie domy przyniosły około dwudziestu tysięcy, ponieważ były tam jakieś konieczne remonty. Zapewne Zośka przerabiała swoje warsztatowe lokale, ale pal diabli, o to nie chodzi, niech tak będzie, ani okiem nie mrugnęłam. Remanent towarowy wynosi 431 205,75 złotych, na boku osiemdziesiąt tysięcy, urzędzenia dwadzieścia osiem tysięcy, ujemne saldo kupieckie 46 722,00 złotych, osobno płynne zadłużenie dziesięć tysięcy, które wzięłam od Zośki w okresie urzędzania moich lakierów, i trzydzieści dwa tysiące złotych, które Zośka podjęła w ciągu roku - poza swoją pensją kierownika firmy. Po doliczeniu wartości domów w Grudziądzu, których wartość spadła o jakieś dziesięć procent, całość naszego majątku przedstawia sumę około ośmiuset sześćdziesięciu tysięcy. Cięży na tym wszystkim jeszcze pięćdziesiąt tysięcy, które jesteśmy winne Gdańskowi - ze starej pomocy przy spłaceniu Tuchołków. Nie liczę w tym dziesięciu tysięcy moich i trzydziestu dwu tysięcy Zośki, które wybrałyśmy w zeszłym roku.

Wartość naszych wąbrzeskich domów spadła również i Zośka określa, że są warte obecnie co najwyżej sto siedemdziesiąt tysięcy. W dodatku bardzo nieporęcznie tkwi na nich w dalszym ciągu trzydzieści tysięcy miejscowego bankczku jeszcze z czasów, gdy z udziału w tych domach spłaciłyśmy naszego brata. Drogi kredyt, dziewięć i trzy czwarte procentu, zresztą wszystko jest drogie w naszym małym miasteczku. Dochód roczny z tych domów jest obliczony zaledwie na siedem procent netto, co czyni niespełna dwanaście tysięcy, a po potrąceniu bankowych procentów - dziewięć tysięcy złotych rocznie. Przypadającą na mnie połowę ma mi dostarczyć Zośka w najbliższym czasie, ponieważ i to pochłonęła już grudziądzka fabryka.

Cyfry, cyfry, ale właśnie one wypełniają ludziom czas i zatruwają życie w rozmaity sposób. Ci, którzy nie mają pieniędzy, medytują nad tym, skąd je wziąć, a ci, którzy posiadają majątki, łamią sobie głowę, jak skleić do kupy różne historie. Bardzo często majątki mimo ich realnej wartości są martwymi pozycjami, a długi - kamiennymi bryłami, które jak lawina mogą każdej chwili spaść na głowę i zniszczyć. Domy są dobrym interesem, o ile nie ciężą na nich bankowe procenty.

Jak ja urządzę to wszystko z Poznaniem? Mam ciężki orzech do zgryzienia. W dodatku dwie pozycje: Zośka i Krystynek. Dla pierwszej pięćdziesiąt tysięcy bardzo pilnie, w rozliczeniach z bratem trzeba będzie brać pod uwagę co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy! Zarzniemy się w procentach bankowych. Najlepiej byłoby sprzedać ten większy dom w Grudziądzu i z miejsca pozbyć się kłopotu, ale obecnie nie jest dogodna pora. Na razie nie wiem, jak z tego wybrnąć, więc... gaszę światło.

Warszawa - czwartek - 10 stycznia

Pierwszy dzień w nowym biurze był głupi, jak zwykle pierwsze dni, nie tylko w biurze, lecz w hotelach czy nowych mieszkaniach. Trzeba pytać o wszystko. Całe szczęście, że tym razem umieszczono mnie w małym, lecz bardzo miłym pokoiku. Obok niego reszta mojego biura, złożona z dwóch dalszych pokoiów, dwóch referendarzy, poliglotki władającej wszystkimi językami, trzech panienek, w tym jednej przy maszynie, oraz własnego woźnego. Referendarze - to stare wygi, w zaawansowanym już wieku. Poliglotka z semickim wyglądem, panienki takie sobie. Nie miałam czasu na rozgryzienie tego wszystkiego, było dużo latania po schodach i załatwiania różnych wstępnych spraw. Z dyrektorem departamentu pół biedy, z Marcinem na ty. Inżynier. Elegancki pan, zaraz zgadało się o brydżu. Świeży dyrektor departamentu, jeszcze do niedawna tkwił na placówce zagranicznej. Nie pytałam gdzie, lepiej udawać, że się wszystko wie. Gładko, przynajmniej na razie, ale już dzisiaj przynieśli mi sporą paczkę różnych papierów do przejrzenia. Stare wygi z zaciekawieniem przyglądały się, jak sobie poradzę. Ale ja nie jestem w ciemną bita. Najlepiej byłoby, gdybym ich od razu zaprosiła na wódkę dla oblania biurowej znajomości i koleżeństwa. Jeden z nich jest magistrem prawa, lwowianin, od razu poznać po akcencie. Drugi - rodzony warszawiak, co mi na wstępie zdążył zakomunikować, lubo o to nie pytałam.

Kobieta ma jednak gorzej na świecie. Przykład z taką wódką. Sama nie wiem, jak ustosunkować się towarzysko do mojego nowego personelu. Na razie zatem chłodno i obojętnie, na wszelki wypadek z lekko uśmiechniętą rezerwą. Raczej w ten sposób, jak bym miała w najbliższym czasie zostać kimś więcej, przypuścimy... na początek... dyrektorem departamentu. Ale na to nie zanoszę się w naszym ministerstwie. W każdym razie mowy nie ma o jakimś zaproszeniu tego kompletu bodaj na skromne przyjęcie u mnie w domu. A zresztą czas wszystko ułoży i rozkręci. Rzecz prosta, że zachowywałam się tak, jak by ten radcowski pokoik spełniał wszystkie moje marzenia. Mam inne kłopoty na głowie!

W Wąbrzeźnie na razie wybrnęłam w sposób najbardziej uproszczony. Mając w ręku pełnomocnictwo naszego brata, upoważniłam Zośkę w imieniu moim i Krystynka do zaciągnięcia hipotecznego długu w wysokości czterdziestu tysięcy złotych. Równocześnie zwróciłam Zośce dziesięć tysięcy złotych, mówiąc że to zwrot tych pieniędzy, które wyciągnęłam z bławatów w kwietniu roku ubiegłego. Potwierdziłam bez zająknięcia, że to gotówka specjalnie wzięta z lakierów - z myślą o jej kłopotach. Wybrnęłam i jakoś poszło.

Co do Krystynka, nasz grudziądzki notariusz bardzo mądrze radził, aby sprzedać większy z domów za jakieś plus minus dwieście trzydzieści tysięcy i z tego pokryć część brata. Zapytywał, ile przypada na tę część, i wyliczył na poczekaniu, że bankowe procenty pożarłyby od razu w pierwszym roku dwadzieścia pięć tysięcy, w drugim po spłacie 1/3 części - szesnaście tysięcy, w trzecim osiem tysięcy, w sumie pięćdziesiąt tysięcy. Dom przynosi co prawda około szesnastu tysięcy rocznie, a zatem w sumie trochę więcej niż te pięćdziesiąt tysięcy spodziewanych procentów bankowych, jednak dla uzyskania w banku pożyczki dwieście pięćdziesiąt tysięcy trzeba byłoby obciążyć hipotekami obiekty co najmniej wartości pół miliona złotych, to znaczy praktycznie prawie wszystkie nasze domy. Kto wie, czy notariusz nie radzi nam dobrze, przecież ja sama jadąc do Wąbrzeźna z góry mówiłam sobie: sprzedać większą kamienicę w Grudziądzu, do której nie zdążyliśmy się przecież przywiązać... Już prawie byłam przekonana, ale Zośka z dziwnym uporem pragnęłaby ciągnąć w dalszym ciągu wszystkie domy. Wyobraża sobie, że mogłybyśmy spłacić brata w podobny sposób jak Tuchołków. Ale tam stanęli nam z pomocą stryjkowie, a połowę pokryliśmy rocznymi weksłami i jakoś poszło. W dodatku to było tylko dwieście tysięcy kombinowanych i wekslowych złotych, a obecnie trzeba położyć od razu ćwierć miliona gotówką!

Ja jestem za spłatą od razu - po sprzedaży większego domu. Zobaczymy, poradzę się jeszcze generałowej, ona obecnie robi w domach i jest oblatana z hipotekami.

Ciekawa sprawa. W Grudziądzu jestem za sprzedażą wspólnego domu na spłatę brata, a równocześnie kupuję dla siebie dom w Poznaniu. Ale w Poznaniu mam zamiar kupić dla siebie, natomiast sprzedaż domu w Grudziądzu przybliży mnie do oddzielenia się od Zośki. Interes grudziądzki może i owszem, w inżynierze Stręku dopatruję się dobrego fachowca i organizatora, lecz czuję, że kilka ostatnich lat, a specjalnie te po śmierci naszego ojca, wytworzyły pomiędzy mną a moją siostrą jakieś oddalenie i wiele niedomówień. Przestałyśmy się rozumieć, każda z nas poszła inną drogą i stworzyła sobie własny świat zainteresowań. Zośka wyżywa się w organizowaniu pracy, dowodem grudziądzki interes. Ja na odmianną jestem wręcz odmiennego usposobienia, przyszłość moją widzę raczej w dowcipie - to znaczy w zręcznym obracaniu się pomiędzy ludźmi. A ludzie w moim pojęciu to właśnie interesy, ale takie od razu, a nie rozłożone na 365 dni w roku, dzień po dniu.

Wszystkie węzły na świecie można przeciąć mieczem Aleksandra Macedońskiego, który w XX wieku nazywa się gotówką.

Piątek - 11 stycznia

Jako najważniejsze wydarzenie dnia dzisiejszego notuję: wpadłam do mojego banku i informowałam się o kursie własnego pakietu. Tendencja jednostajna, lecz zasadniczo słaba. Naturalnie nie sprzedałam, ponieważ nie wiadomo, czy bydgoskie babska pozwolą sprzedać kamienicę. W każdym razie w dniu dzisiejszym mogłabym dostać 52 590 złotych. Sprzedać będzie można w ciągu kilku godzin, gdy przyjedzie Józinek. Nic mu nie zaszkodzi, gdy zanocuje u mnie, najwyżej dadzą mu po powrocie porządny paternoster. Trochę mi szkoda tych akcji, ponieważ przyzwyczyłam się traktować je jako żelazny fundusz, ale trudno! Kamienica - również fundusz. Po powrocie od pana Szczytnickiego zrealizowałam dwa półroczne kupony i bądź co bądź dokładnie 4 475 412 złotych gotówką. Ponieważ w chwili upoważnienia mnie przez stryjka na koncie bankowym było równo piętnaście tysięcy, nie miałam kłopotu z zabraniem do Poznania owych dziesięciu tysięcy, które następnie wręczyłam Zośce. W ten sposób moje nowe gospodarstwo rozpocząłam od zadłużenia się na koncie Marcina.

Pragnę odwalić wszystkie cyfry i zabrać się do jakichś bardziej interesujących rzeczy. Wypisuję to w moim cierpliwym bloczku, ponieważ nie mam nikogo w pobliżu, komu mogłabym się użalić. Wszyscy niby życzliwi, a jednak przed nikim nie można się zwierzyć, w dodatku na pytanie: jak mi się wiedzie, trzeba odpowiadać: dziękuję, nieźle, dobrze, doskonale i tak w kółko. Widocznie instytucja mężów i żon ma właśnie na celu prowadzenie takich rozmów. Przynajmniej jedno drugiemu może wypłakać się w mankiet i to sprawia ulgę.

Będzie mi smutno, gdy wyjedzie Elfryda. Zostanę naprawdę sama, a w dodatku czeka mnie urządzenie przyjęć, o których mają jeszcze napisać ze Szwajcarii. Przynajmniej dwa razy w miesiącu - ładny kwiatek! Naturalnie w sobotę i w ten sposób będę miała spaskudzone niedziele, z bólem głowy. W dodatku wszystko uporządkowane i również z góry przewidziane. Przy wyjeździe Florencja doręczyła mi coś w rodzaju kartoteki, sześćdziesiąt osiem pozycji z łączną ilością pięćset czternaście butelek różnych, napojów: wina, wódki, koniaki itp. Wzorowe gospodarstwo, specjalny klucz od tych piwnicznych skarbów tylko w moich rękach. Drobiazgowość. Szwajcarska buchalteria. U naszego ojca bywało również po trzydzieści i więcej butelek w piwnicy, ale nikt nie robił z tym cudów i nie prowadził kartoteki. Florencja powiedziała z uśmiechem:

- To tylko dlatego, aby się orientować w zapasie i w porę uzupełniać wybór.

Nie pojmuję tego, ale może jestem za głupia do prowadzenia takiego gospodarstwa. Przy okazji zapytam się Leokadii, jak oni prowadzą to u siebie na wsi.

Całkiem przypadkowo dowiedziałam się czegoś więcej o mojej Lizie. Jest to córka kucharki dyrektora Gardena z Gdańska. Ma trochę szkolnego wykształcenia. Ojciec, gdański Niemiec, zginął na wojnie, za życia był woźnym w gardenowskim banku. Matka Polka, po

śmierci męża ustaliła się jako kucharka w rodzinie dyrektora. Jak widać, wszystko kręci się w zamkniętym kółku. Do kompletu warto dodać, że nasza Elfryda nauczyła się co najmniej stu słów po polsku od Wilmy, owej długoletniej gospodyni naszego dziadka. Wilma sama niewiele tego umie, ale jakoś... I to nie od wujka Jambora, lecz od starej służącej Wilmy!

O tym, że dzisiaj w biurze wypłacono mi pensję za cały styczeń, nie warto pisać. Nie mam i tak dowcipu do pisania. Na każdym kroku coś mnie peszy. Nawet to, że moja nowa gospodyni prowadzi dokładną książkę wydatków i gromadzi świstki całkiem podobnie, jak to czynią w biurowych buchalteriach. Odkrywam nowe oblicze żoliborskiej gospodarki, ale nic nie mówię, milczę. Z każdym dniem błędnie w moich oczach obraz dawnego ideału. A wydawało mi się, że ci ludzie podchodzą do zagadnień pieniężnych z lekko drwiącym uśmiechem. Dwa oblicza: jedno kpiące na zewnątrz, a drugie surowo-hemoroidalne od wewnątrz. Niech żyje kartoteka win, koniaków i likierów!

Dzisiaj idziemy na operę. Elfryda ma zamiar być również na przedstawieniu w Teatrze Polskim. Chyba w poniedziałek, ponieważ we wtorek wraca do domu. Będzie mi smutno. Pożegnalny wieczór w niedzielę na Mokotowie, jak zwykle z brydżem. Życie moje składa się z cyfr, bilansów, brydża, jeżdżenia po świecie, no i, psiakrew, z pilnowania kartoteki piwnicznej.

Poniedziałek - 14 stycznia

Czas leci - z Bydgoszczy nie mam żadnej wiadomości. Jeżeli ci głupcy nie sprzedadzą mi kamienicy, to kto wie, może zbiorę do kupy pieniądze - i spłacę sama mojego brata?

W sobotę rano przyjechał do Warszawy profesor Wydra. O godzinie dziesiątej doniósł mi o tym telefonicznie butler, mówiąc, że po przybyciu do mieszkania pan profesor zamiast położyć się do łóżka - od razu zamknął się w bibliotece. Całe szczęście, że przynajmniej pamiętał o mnie, bo zapowiedział odwiedziny. Wyraźnie zostało powtórzone: odwiedzi mnie, a nie złoży wizytę. Widocznie profesor uważa, że tak wiele o mnie słyszał, iż to już może wystarczyć za znajomość. A zresztą profesorowie...

Pan dr Wydra wygląda jak prawdziwy profesor. Niemiecki *Herr Professor* w najprawdziwszym wydaniu. Czarno ubrany, żakiet staroświeckiego kroju, spodnie sztuczkowe, czarny krawat pikowany w srebrne rzuciki, wydeptane lakierki, z gumą po bokach. Broda, naturalnie broda, okulary w złotej oprawie. Zjawił na drugim piętrze punktualnie o godzinie piątej. Gdyby nie obecność Elfrydy, kto wie, czy nie byłabym się zająknęła i powiedziała: - Zapomniałam indeksu, panie ps...rze. - Wybrał kawę, a nie herbatę, którą podano w salonie, ponieważ tam usiedliśmy. Ze względu na Elfrydę rozmowa toczyła się cały czas wyłącznie po niemiecku, z czego profesor był zdaje się zadowolony. Zresztą trudno określić, ponieważ w ciągu tej pierwszej godziny był niezwykle roztargniony. Jedynie kilka razy jak by się obudził i oblatywał nas obie jakimś badawczym spojrzeniem. Całkiem podobnie, jak to czynią profesory podczas egzaminowania słabo przygotowanych studentek. Specjalnie studentek, a nie studentów. Coś niby dobrotliwego, a chytrego równocześnie. Jakieś pułapki dla bidulek, które nie zdążyły przeczytać dokładnie skryptów. Ale całość w każdym razie pociągająca. Trudno bowiem, aby tak od razu, za pierwszym razem rzucił mi się na szyję z jakąś wylewnością. W dodatku człowiek niemłody i widać jakby zastraszone. Widocznie miał ostatnio jakieś przykre przeżycia. Naturalnie zapewniałam go, że będzie się czuł u nas dobrze itp. Prosiłam, żeby się urządził według własnego gustu i bez najmniejszego skrzepowania. I - że ja służę... Wyobraziłam sobie na chwilę, że jestem córką, a nie bratanek Marcina, i starałam się nadać taki właśnie ton naszej pierwszej rozmowie. Traktowałam go, jak by w młodości był profesorem - mojego ojca. Chyba dobrze? Ze swej strony profesor dopytywał się o moje zamiłowania naukowe, ponieważ wiedział już o moich studiach. Nawet o tym, że w roku ubiegłym jedynie konieczność towarzyszenia chorej ciotce stanęła mi na

przeszkodzie w uzyskaniu prawniczego dyplomu. W każdym razie więcej wie o mnie niż ja o nim.

W sobotę nadszedł list z Chicago. Stryjek pyta o sprawy rodzinne, skarży się, że piszemy do niego tak rzadko. Jest zaintrygowany, ponieważ na ostatnie dwa listy adresowane do Krystynka nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Słyszał widać o ostatnich wydarzeniach, ponieważ dopytuje się równocześnie, czy już przyzwyczaiałam się do nowych warunków po powrocie z zagranicy. W każdym razie siedzę jak na szpilkach. Czy Józinek Michalski przyjedzie? Jutro ostatni termin wyznaczony przeze mnie.

Wtorek - 15 stycznia

Michalski nie przyjechał. Elfrydę przed godziną odwiozłam na dworzec. Profesor niewidzialny. Jutrzejsze popołudnie poświęcę lakierom. Dzisiaj przywieźli z Górek nowe paki z wiktuałami, co należy uważać za największe wydarzenie rodzinne jak dotychczas w tym roku.

Środa - 16 stycznia

W istocie wzorowy porządek. Buchalteria pomysłu Florencji. Przebitkowa, prowadzona *a jour* bez zaległości. Do godziny dwunastej następnego dnia wszystko jest zaksięgowane, miesięczne bilanse do piątego w następnym miesiącu. Roczny bilans będzie gotowy 20 stycznia. W poniedziałek i wtorek zjawi się zaprzysiężony znawca księgowości. Wszystko na czysto i bez żadnych krętaćw, panna Walczak mówiła mi o tym jako o specjalnym wymaganiu pani Florencji. Niech będzie i tak, może nawet lepiej. Sklepić na oczach, prowadzenie nie do ukrycia, w dodatku faktury są zagraniczne i przekazy przez Komisję Dewizową. Interes idzie, jak się to mówi. Na Gwiazdkę wszyscy dostali jednomiesięczną pensję, mimo że firma egzystuje dopiero siedem miesięcy. Podobno są spore zyski. Poczekam z detalami do bilansu.

Piątek - 18 stycznia

Widocznie nie zdecydowali się. Zaczynam rozmyślać nad sprawami wąbrzeskimi. Do diabła z Michalskimi - w tym jest ręka ciotki Katarzyny!

Jutro imieniny mojej małej. Już przed dwoma dniami wysłałam sporą paczkę. Słodczyce i różne drobiazgi, zabawki. Podczas pobytu w Grudziądzu urwałam się Zośce za ledwie na małą godzinę. Mała wygląda znośnie. Widocznie jeszcze nie może przełamać się u niej skłonność do płucnych chorób. Pytałam pani Woźnikowej, czy nie byłoby lepiej w ogóle wynieść się z Grudziądza gdzieś na Podkarpacie. Jakiś dziwny upór, kobieta przyzwyczaiała się do swego Grudziądza, ponieważ tutaj spędziła lepszą część życia z mężem. Na wszystkie przełożenia: grób mojego męża. Byłam prawie zła. Już chciałam powiedzieć: - No to przeniesiemy grób do miejsca nowego zamieszkania - ale się powstrzymałam. Przecież na razie ona jest wszystkim dla małej Marty, a ja daję tylko trochę pieniędzy.

Notariusz zapytywał mnie na osobności, czy nie zmieniałam zamiarów co do mojej ostatniej woli. Porządny człowiek, nie stawiał dalszych pytań. Chociaż kto wie, czy nie zgłębił sprawy małej - beze mnie? Trudno, przynajmniej i to dobre, że nie stawia pytań, i tak dalece, jak go znam, na pewno milczy o tym wobec obcych. Zresztą - notariusz, milczenie wchodzi w zakres jego obowiązków zawodowych.

Pan Benedykt pisał do mnie przed tygodniem, naturalnie siedzi w górskiej wiosce pana Liteńskiego. A tak na niego wymyślał! Na wszelki wypadek wysłałam życzenia, listowne do Szczytnik, a telegram do Podjasek.

Powoli zaczynam oswajać się z myślą, że z poznańskiej kamienicy nic nie będzie. Ponieważ mam charakter, pierwsza nie poruszę już tej kwestii. Ofiarowywałam gotowość kupna i to powinno było wystarczyć. Dawałam dobrą cenę, jak na dzisiejsze czasy. Obecnie

nie ma sezonu na kupno domów. Wszyscy dążą raczej do umieszczania gotówki w żywych i ruchliwych interesach. Kto wie, czy obecnie nie obniżyłabym ceny, gdyby Michalscy zjawili się u mnie w Warszawie.

Sobota - 19 stycznia

Przed chwilą wyszedł ode mnie stryj Józef. Nie chciał mi przeszkadzać w rannym pójściu do biura i umieścił się u nas na Hortensji dopiero po godzinie dziewiątej. Obecnie będzie załatwiał interesy w mieście, spotkanie o godzinie drugiej w domu. Już dzwoniłam do mojej Heleny, jutro naturalnie duży obiad z gośćmi. Nie wiem jak dalej, ponieważ stryjek zapowiada rozmowy. W dodatku jutro rano przyjedzie Zośka. Na tapecie sprawa Krystynka - spodziewałam się tego.

Wieczorem

Bardzo krótko. W okresie bytności Elfydy nadszedł list od naszego brata. Krystynek jakoś nie miał do mnie zaufania i wolał zwierzyć się stryjkowi Józefowi. Nic dziwnego, nasz ojciec dopomógł mu jedynie w przyjsciu na świat, reszta obciążyla naszego gdańskiego stryjka. Braciszek już odczepił się od niemieckiej dyplomacji i od miesiąca mieszka w Sao Paulo, Brazylia. Bardzo gorąco i na razie posada inżyniera w wielkich odlewniach żelaza. Ma coś pilnego na widoku i potrzeba mu błyskawicznie pieniędzy. Stawia propozycję, abyśmy go spłaciły kwotą pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Co prawda to mniej więcej jedna trzecia wartości naszego wspólnego majątku, ale suma potężna, jak na gotówkę. Nie wiem, czy brat zdaje sobie sprawę, że to jest zarżnięcie nas i zduszenie do bardzo wąskiego odcinka, bez żadnego oddechu. Ale pisze, że z tej sumy musi zwrócić stryjowi 6 200 dolarów, które już wyciągnął z Gdańska. Tak jak byśmy były winne, że wyciągał pieniądze! W dodatku rozpaskudził sporo pieniędzy otrzymanych od nas w okresie szaleństwa z Erną. Ciekawa jestem, co powie Zośka, ona wyobrażała sobie jakieś dwieście tysięcy, jak z Tuchołkami. Połowę gotówką, a reszta na jakieś dłuższe weksle. Masz, babo, placek!

Stryj Józef odżegnuje się od kupna domu, ponieważ od razu wyskoczyłam z taką propozycją. Była mowa i o tym, abym nie kupowała kamienicy w Poznaniu i przejęła raczej część po bracie. Tłumaczyłam moje pobudki i stryj zrozumiał. Przekonało go to, że pragnę wycofać się z Grudziądza, a potem w ogóle z bławatów. Okazało się, że stryj wie więcej ode mnie. Oni tam w Grudziądzu mają zamiar zorganizować spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością w granicach stu tysięcy złotych - Zośka, inżynier Stręk i ktoś z rodziny Busse, zdaje się najstarszy wnuk króla grudziądzkich kominiarzy, budowniczy. Jak najdalej od tego, jak najprędzej rozłączyć się i przestać myśleć o wąbrzeskich interesach! Cały kram z bławatami jest wart pół miliona i odrzuca raptem siedemdziesiąt tysięcy czystego dochodu przy tylu zabiegach! Czternaście procent, coś zbliżonego można by uzyskać znacznie lżej i nie harując przez 365 dni w roku.

Z Zośką będzie bardzo ciężki orzech do zgryzienia. Nawet po sprzedaniu większego domu za jakieś dwieście dwadzieścia tysięcy pozostałoby do znalezienia pięćdziesiąt tysięcy, to znaczy jakieś dalsze podłe hipoteki na mniejszym domu w Grudziądzu i domu firmowym w Wąbrzeźnie. To ostatnie byłoby niezręcznością kupiecką, ponieważ obowiązuje posiadanie przynajmniej jednego domu wolnego od hipotek.

Razem ze strykiem odwiedziłam dzisiaj Nowy Świat. Widocznie Elfyda zdała szczegółową relację, ponieważ stryjek oglądał wszystko dokładnie. Jutro wieczorem panna Beata przyniesie ostateczny projekt bilansu, a w poniedziałek po południu zjawi się u nas rzeczoznawca. Podobno jest trzydzieści dziewięć tysięcy czystego zysku - na 428 tysięcy sprzedaży brutto.

W pierwszej chwili wydawało mi się to mało, ponieważ w danym momencie byłam nastawiona na wąbrzeskie cyfry, ale całe szczęście, że nie wyskoczyłam z krytyką czy

zapytaniem. Byłabym wsiątkła, ponieważ zaraz uświadomiłam sobie wartość wkładu gotówkowego i wysokość czystego dochodu, które niemal się pokrywają. Jedno powiedzenie stryja przecięło moje obiekcje, całe szczęście, że w cztery oczy, ponieważ omal nie zasypałam się wobec panny Walczak. To jest przecież przedstawicielstwo, pomost między fabryką a hurtownikami, z doczepioną jedynie przygodnie sprzedażą detaliczną. Zgodnie nawet z praktykowanymi zwyczajami nie powinnam łączyć jednego z drugim i ograniczyć się jedynie do jakiegoś małego biura przy magazynach dla obsłużenia hurtowników i agentów podróżujących po prowincji. Ale stało się.

Szczegóły zobaczę jutro, poproszę stryja o rzucenie okiem na bilans. Zresztą rozmowy z panną Beatą odroczę do poniedziałku, a jutrzejszy wieczór poświęcę na wertowanie cyfr. Naturalnie o ile znajdę na to spokojną godzinę, najprawdopodobniej dopiero w nocy. Ciekawa jestem, co powie Zośka, ona jest kuta w tych sprawach.

Byliśmy z wizytą u naszego profesora. Tkwi cały dzień w domu, chyba nie wychodzi z biblioteki? Coś pisze. Przyjął nas właśnie w tej bibliotece i widać było, że przyszedliśmy nie w porę. Pali cygara, nosi podwójne okulary, do czytania zakłada inne. Cieszy mnie to, że z bardzo swobodną elegancją światowca przyjął moje zaproszenie na jutrzejszy obiad. Może się jakoś rozkrochali?

Na temat pierwszego piętra nie rozmawiałam ze stryjkiem. Przypadki nauczyły mnie nie stawiać pytań, niespokojna ciekawość nie opłaca się.

Ale zgaszę światło, jutro czeka mnie ciężki dzień. A może by tak pójść do kredensu i golnąć sobie większy kieliszek koniaku? Chyba jednak nie. Koniak - dla kurażu, proszek - do spania. A ja w tej chwili pragnę snu. I pomyśleć, że w Warszawie już na dobre rozkręcił się karnawał!

Zamiast cieszyć się karnawałem, jak każda młoda panna, wstępuję przed czasem w ślady Mrs Maltz. Głupie określenie: młoda panna. Już lepiej brzmiałoby, młoda dama. Tylko że z tą młodością... Uderzyło mnie, że profesor Wydra, z którym wszyscy rozmawiamy po niemiecku, ma dziwny sposób mówienia, nazywa mnie: *madame*. Po raz pierwszy spotykam się z tym. To brzmi jakoś dziwnie, osobliwie, z jakąś powagą, trudną do określenia.

Ale czas - na proszki!

Niedziela - 20 stycznia

Krótko. Nad ranem zwalili się do mnie oboje, Zośka i Józinek. Podobno spotkali się przypadkowo w pociągu. Za godzinę wspólne drugie śniadanie. Michalski poszedł na mszę św. do kościoła Sióstr Wizytek, a Zośka utkwiała w łazience. Także się wybrał z kościołem! Naraz zrobił się dziwnie pobożny. Widocznie szanujący się kupcy bydgoscy chodzą w niedzielę do kościoła.

W każdym razie zdążę rozmówić się z Zośką - jeszcze przed rozmową z nim. Stryj śpi. Godzina wpół do ósmej. A to kram! Ciekawa jestem, z czym przyjechał? Na pewno rozmawiali w pociągu o interesach. Trzeba zatem wygrać Zośkę i Krystyna na swoją korzyść w rozmowach z Michalskim. Nie mam skrupułów, ponieważ Michalski potrzebuje na gwałt pieniędzy, a w Poznaniu nie znalazłby reflektanta z całą gotówką. Ma nóż na gardle i kto wie, czyby mu nie ofiarowali mniej ode mnie. W każdym razie nie obniżę ceny. Józinek był ze mną zawsze bardzo dobrze w czasach, gdy byłam jeszcze smarkatą kozą w Bydgoszczy. Jeżeli odbędzie się bez targów itp. głupich słówek, dołożę do tego interesu i w całości zapłacę koszty notarialne. Pal diabli! Niewesoło się czuję, pomimo że wyspałam się prawie możliwie. Nawet ból głowy minął, gdy zobaczyłam ich dwoje.

Wtorek - 22 stycznia

Wczoraj odjechał stryj i Zośka, dzisiaj Michalski. Jeszcze nigdy w życiu nie wzięto mnie do takiego galopu, jak podczas tych trzech dni. W dodatku w niedzielę po południu

zwaliał się z wizytą pan Franciszek Liteński z synem w towarzystwie pana Szczytnickiego i młodych Orzechowskich, jako rodzinnych przyzwoitek. Widocznie ocenili, że nie wypada, aby „młodą pannę” odwiedzało tylko trzech panów. Może kiedyś to opiszę, na razie ledwo zipię.

W tę niedzielę jadę do Wiednia. Delegacja złożona z pięciu osób, w tym jedna dama, to znaczy ja! Była to wiadomość, którą powitano mnie w biurze w poniedziałek rano. Od jutra harówka w ministerstwie od rana do późnego wieczora. Trzeba przygotować materiały, zapowiedziane są konferencje uzgadniające stanowisko między ministerstwami. Anna z bloczkiem w ręce, ponieważ to wszystko ma być bardzo poufne.

Reszta bardzo krótko. Kupiłam dom za cenę wysuniętą przeze mnie. Trochę poszantażowałam Józinka, mówiąc o konieczności szybkiego wypłacenia pięćdziesięciu tysięcy dolarów Krystynowi. U naszego warszawskiego rejenta spisaliśmy akt i wręczyłam Józinkowi pięćdziesiąt dwa tysiące złotych gotówką. Reszta w ciągu tygodnia, do Poznania pojedzie urzędnik od rejenta. Widocznie tak musiało być, ponieważ za wszystkie moje akcje otrzymałam 52 670 złotych, a zatem jak na zamówienie. Obecnie jestem goła i prawie całkowicie wypruta z gotówki. Na koncie Marcina co prawda narosła już świeża gotówka z dwóch domów, ale mogą przyjść jakieś terminowe zlecenia, nie wolno ruszać, i tak podjęłam już dla siebie dziesięć tysięcy!

Józinek, jak zwykle, niby miły, lecz nieporządny w interesach. Zdążył już podjąć komorne z góry za pierwszy kwartał od inżyniera, z którym grywaliśmy w brydża, a ponadto nie opłacił procentów od długów hipotecznych. Przyznał się do tego z rozbrajającą szczerością, ale przyrzekł, że na tym będzie koniec z niespodziankami. Miał szczęście, że to było przy stryjkę Józefie i w obecności Zośki, więc mu tylko powiedziałam: - Wiesz co? Kiedy ty nareszcie spoważniejesz? Popraw się!

Nabrał mnie w ten sposób na jakieś trzy tysiące złotych.

Z Zośką poszło znacznie trudniej. Była oburzona wysokością spłaty brata. Tłumaczyłam jej, że po spłaceniu go z naszych domów wąbrzeskich nie sprawiał nam zasadniczo kłopotu i wyciągał pieniądze jedynie z Gdańska. W dodatku od czasu rozliczenia się z Tuchołkami wartość naszego majątku znacznie się podniosła. Było trudno, ponieważ ja swoje, Zośka swoje. Przekonał ją dopiero ostatni argument, że przypuszczalnie pieniądze będą jej potrzebne w tym roku do rozkręcenia Grudziądza, a tak wszystko zabierały spłaty bankowe lub dokładanie różnicy pomiędzy komornym a odsetkami bankowymi.

Przyrzekłam Zośce, że w tym roku nie wyciągnę żadnych pieniędzy z bławatów, a ponadto zgodziłam się na wzięcie udziału w jej spółce ze śrubkami. Pięć tysięcy w ciągu miesiąca, a drugie pięć za trzy miesiące. Pod warunkiem, że to będzie cały mój udział i cała moja odpowiedzialność z tytułu członkostwa. Jakoś się udobruchała. Wychodziłam z założenia, że Zośka również uczestniczy w moich lakierach w wysokości 10% kapitału zakładowego i odpowiedzialnościowo-wkładowego. Co do reszty zgadza się: trzydzieści tysięcy Zośka i po pięć tysięcy: inżynier Stręk, doktor Kunicki, budowniczy Busse i ja. Kapitał zakładowy pięćdziesiąt tysięcy i od razu postanowiona wpłata dalszych pięćdziesięciu tysięcy dla dopełnienia kapitału odpowiedzialnościowego.

Co do Krystyna - to historia trudna i skomplikowana. Również drobiazgowa umowa rejentalna, zabezpieczona wekslem gwarancyjnym na 275 tysięcy złotych, z których 225 tysięcy ma zostać spłacone po sprzedaży domu w Grudziądzu, nie później niż w ciągu trzech miesięcy, a czterdzieści tysięcy do końca roku bieżącego. Procent w wysokości dziewięciu, obliczony z dołu, przy końcowych rozliczeniach. Interes ma być wykonany przez bankowego Gardena, natomiast oba długi uregulujemy stryjowi Józefowi tutaj, na miejscu w Warszawie. Bardzo trudne warunki - wobec nie znanych bliżej szans na sprzedaż grudziądzkiej kamienicy.

Jeżeli już zapisałam tyle cyfr, czas również na moje własne. Lakiery: w istocie trzydzieści dziewięć tysięcy czystego zysku. Wartość urządzeń 24 897,50 złotych, natomiast zaksięgowany kapitał zakładowy wpłacony przeze mnie osiemnaście tysięcy, a moich wspólniczek sześć tysięcy. Mam obowiązek dopłacenia dziesięciu tysięcy, a moje wspólniczki sześciu tysięcy - rozumie się, że z czystego zysku. Nadto pokryłam osobiście różne wydatki bez rachunków 10 575 złotych, do osobistego wycofania z tego zysku, bezpośrednio od moich pań. Koszty uruchomienia przedsiębiorstwa, prowizja dla pośredników lokalowych, różne drobne koszty, otwarcie drzwi przy montowaniu spraw celnych, pięćsetka dla proboszcza, wszystko ciepłą rączką, bez pokwitowań. Trudno jednak byłoby brać pod uwagę czy do kalkulacji takie jednorazowe koszty w stosunku do pierwszych siedmiu miesięcy działalności przedsiębiorstwa.

Przeanalizowałam wszystkie cyfry i zapisałam do mojego dziennika. Przecież to pierwszy rok mojej prawie własnej firmy handlowej. Tylko że włożyłam w to wszystko bardzo mało pracy, byłam na pokropieniu interesu i wróciłam akurat w porę, aby podpisać bilans jako odpowiedzialny kierownik spółki. Wszystko w pośrodku robiła Florencja. Trochę to dziwne, ale niemniej jest faktem, że w tej całej wzorowo prowadzonej buchalterii figuruje moja pensja - tysiąc złotych miesięcznie. Tak zdecydowały obie warszawskie wspólniczki zaraz po moim wyjeździe za granicę i na tym stanęło. Panna Beata każdego miesiąca wpłacała osobiście pensję na moje konto. W ten sposób uzbierało się ponad sześć tysięcy. Przed wyjazdem za granicę nie interesowałam się stanem mojego konta osobistego, zostawiłam na nim jedynie kwotę potrzebną do wypłacania przekazów miesięcznych dla pani Woźnikowej i wstrzymałam równocześnie nadsyłanie przez bank korespondencji do domu. Z wiadomych względów.

Uczę się, uczę się. Ja, kupiecka córka, uczę się cyfr i finansów w dwudziestym siódmym roku życia! W dodatku, jak dotychczas, kto inny nakręcił mi to wszystko. Jakże to dziwne! Wracam ponownie do Wąbrzeźna i do owych zaangażowanych wielkich kapitałów. Bławaty i półmilionowy majątek. Lakiery i, licząc w to pożyczkę Florencji, jakieś sześćdziesiąt tysięcy złotych. Naturalnie plus z nieba spadłe przedstawicielstwo, które nic mnie nie kosztowało. W każdym razie wybrnęłam z honorem. „Cztery Kamienie” sprzedały nam towaru za trzysta szesnaście tysięcy złotych, prawie dziewięćset tysięcy franków. Pobiłam pana Zajlicza z jego niespełna trzystu tysiącami franków. Co prawda pani Maltz wspominała przy pożegnaniu, że mój Jugosłowianin mocno się rozkręcił i kilkakrotnie zwiększył obrót w drugim półroczu, ale to może znaczyć na przykład dwa lub trzy razy tyle. W każdym razie moje pięć procent liczy się do końca ubiegłego roku, czyli prawie o trzy miesiące dłużej, niż to było pierwotnie przewidziane. Zobaczmy, na razie uczę się cyfr i tylko czasami błędzę w rozmyślaniach na ten temat - gdzie się kończy miłość rodzinna, a zaczyna wilcze dziecko.

Profesor Wydra w istocie wygląda na masona. Przyszedł pożegnać stryja Józefa. Był ubrany w porządny garnitur, ale w dalszym ciągu w profesorskim stylu, a w plastron czarnego krawata miał wpiętą szpilkę z bardzo ładną perłą. Jestem pewna, że prawdziwa, widocznie jakiś nobliwy prezent od kogoś bardzo bogatego. W każdym razie nie żadna trupia główka ze skrzyżowanymi piszczelami. W niedzielę profesor wyglądał bardzo reprezentacyjnie. Na moje pytanie, czy grywa w brydża, odpowiedział gładko, z niedostrzegalnym uśmiechem:

- *Wenn das nötig, Madame* - i zaraz dodał: - Czasami tak wypada.

Ciekawe. W swej bibliotece profesor wygląda - jak by wszystkich odwiedzających uważał za intruzów, przeszkadzających mu w pracy czy myśleniu. Piszę: w swojej bibliotece, ponieważ ten olbrzymi pokój wypełniony książkami od podłogi do sufitu - jakoś dziwnie nie pasuje do stryjka Marcina. Natomiast biblioteka i profesor stanowią całość.

Na niedzielnym przyjęciu nasz bydgoski Józinek wyglądał bardzo blado, mimo że miał na sobie ubranie skrojone według najlepszych wymagań mody. Tym razem nie przywiózł mi żadnych upominków bławatnych. Służyłam im nie jako krewna, lecz wyłącznie jako źródło

gotówki. Sto tysięcy złotych. Łatwo tak powiedzieć i równie łatwo podpisać akt kupna domu u rejenta! Ale w każdym razie kupuję pierwszy dom w życiu na moje nazwisko, płacąc trzecią część własnymi pieniędzmi. W tym roku trzeba będzie ścisnąć się i dobrze pokręcić głową.

Środa - 23 stycznia

Piszę w biurze. Od dzisiaj zaczął się taniec. Tempo, jak by im się spieszyło. Podobno sprawa leżała z górą pół roku, a dopiero obecnie przypomnieli sobie i podnieśli gwałt. Studiuję od samego rana kursy giełdowe w „Gazecie Handlowej”. Wygląda to nawet bardzo solidnie. Mam dwie drogi do wyboru. Albo zastawić pakiet akcji i uzyskać pieniądze potrzebne dla Michalskiego, albo sprzedać takie akcje, które mają mniej więcej ustabilizowany kurs i nie podlegają znacznieszym wahaniom giełdowym. Druga droga tańsza, ponieważ można by następnie odkupić akcje tego samego typu. Natomiast zastawienie jest w sumie droższe o jakieś trzy do czterech procent, ale nobliwsze, tak mi się wydaje. Może w dodatku Marcin ma zapisane numery? Co prawda upoważnił mnie do stu pięćdziesięciu tysięcy, ale nie było powiedziane, w jaki sposób mam to przeprowadzić. Nie ma się co namyślać. Wybieram pierwszą alternatywę. Koniec! Pożyczę równe sto tysięcy na trzy miesiące ze z góry umówionym warunkiem możliwości przedłużenia na dalsze trzy miesiące. Spróbuję w Banku Gospodarstwa Krajowego lub w PKO. Tam mnie nie znają. Równocześnie wezmę ze sklepu pięć tysięcy i w połączeniu z moim kontem spłacę te dziesięć tysięcy, które podjęłam z konta czekowego Marcina.

Przed wyjazdem trzeba wpłacić kwotę u rejenta. Kiedy ja to wszystko wybiegam? Do diaska z tym niespodziewanie bliskim wyjazdem! Dzisiaj już środa. Koniec, bo wołają.

Pan Liteński wyglądał na Mazurkiewicza Nr 2, z tą jedynie różnicą, że dobrze ubrany i z manierami. Jakoś zwolnił na szczęście tempo z herbowymi opowieściami. Natomiast ustawicznie opowiadał o piękności swego górskiego majątku. Pan Benedykt mówi, że za wyrąbane lasy nic nie płacą, a w tym miejscu nie ma szans na to, aby nafta niespodziewanie wytrysnęła w niebo. Idę, już minęło honorowe pięć minut, przecież u licha jestem radcą ministerialnym, a nie jakimś woźnym latającym w dyrdy, oni zresztą są tacy prędcy tylko wówczas, gdy im nasi klienci wciskają do ręki napiwki. Zdążyłam zauważyć.

Wieczorem. Do domu wróciłam dobrze po godzinie jedenastej. Biuro. Zastałam małą karteczkę z kilku słowami od profesora: „Uprzejmie proszę zadzwonić do mnie po powrocie do domu”. Zesłam na dół: był telefon od Marcina, w Wiedniu spotkam się z Elzą Dubow. Nic więcej. A właściwie inaczej: wiadomość dla profesora, że Elza przybędzie za kilka dni do Wiednia. Mądrej głowie - dość dwie słowie, jak to napisał Mikołaj Rej. Na tym kończę. Jestem potwornie zmęczona. Jutro czeka mnie wędrówka po bankach.

Czwartek - 24 stycznia

Załatwione. Naganiałam się i w dodatku - nagle i niespodziewanie. Psiakrew z tą kobiecością, zawsze przychodzi nie w porę, jakby na złość! Z bankami spodziewałam się, że nie będzie tak łatwo. Za sto czterdzieści tysięcy wartości giełdowej uzyskałam moje sto tysięcy na trzy miesiące i na 9 i 3/4%, przy czym potrącili mi z góry odsetki za pierwszy kwartał i jakąś opłatę za otwarcie kredytu, razem 2937,50 złotych. Drogi kredyt i zgoła nieoczekiwana różnica w wypłacie. Dołożyłam ze swoich, byłam zmuszona dla pośpiechu wziąć ze sklepu i z miejsca zaniósłam notariuszowi. Niech się martwią dalej i tak każą sobie za wszystko zapłacić. Zresztą tak było umówione, ponieważ ja wyjeżdżam i pomimo mojego poznańskiego prawa nie wyznaję się na hipotekach. U rejenta przyjęli mnie obojętnie, wszak to jest ich codzienny chleb. Starego nie było, załatwiał mnie dependent. Kuty, szelma, na wszystkie sześć nóg. Dwie swoje własne, a cztery od krzesła, na którym siedzi. Dziwię się, skąd mi się bierze taka złośliwość o północy? Ale w istocie jestem zmęczona!

Sobota - 26 stycznia

Wyjeżdżamy dwa dni później. Nie zdążyli wszystkiego załatwić. Nie wygrzebali się! To zawsze tak bywa, gdy ludzie dwa razy oglądają każdy papierek, nim się zdecydują oddać go komuś innemu. W poniedziałek ostatnie rozmowy, spotkam się z moimi dawnymi kolegami z Ministerstwa Skarbu. Panna Starzeńska zawiodła się w swoich rachubach. Kogo innego posadzili od stycznia na moim miejscu. Podobno świeżo odkomenderowany z wojska kapitan, nikt nie umie powiedzieć o nim nic bliższego. Widocznie nie wiedzieli, co zrobić z nim w wojsku, i wylali do Ministerstwa Skarbu. Jakiś zamknięty w sobie typek, po czterdziestce, z kresów, podobno nawet z Wilna. Panna Starzeńska płakała mi w mankiet: - Dobre to były czasy z paniami - to znaczy z Florencją i ze mną. Wicedyrektorkę z każdym dniem traci na znaczeniu, idzie w kąć, pozwalają mu tylko płodzić okólniki, ponieważ ma do tego zdolności. Ale brak mi czasu na spisywanie tych wszystkich ploteczek, które opowiadała mi dzisiaj panna S. Odwiedziła mnie w charakterze służbowym, przyniosła materiały do naszej podróży. Ciekawa procedura. Oprócz nas pojedzie specjalny kurier i on to właśnie powiezie owe powieściowe walizy dyplomatyczne, które nie podlegają otwarciu na granicach. Wygodne zajęcie, wiadomo... rączka rączkę myje. Można by, ponieważ podczas naszego ostatniego przejazdu przez Zbąszyń Leokadia zdrowo beknęła przy oceniu naszych rzeczy. Jakoś tak wypadło, nie można było inaczej...

Do domu wróciłam o ósmej. O dziwo, nasz profesor sam się zaprosił i zjedliśmy kolację u mnie na gorze. Rozmowy były miłe, nie przewlekane, pół godziny odsiedzenia, lecz prośba, abym mu poświęciła trochę czasu jutro wieczorem, to znaczy w każdym razie po obiedzie, który również mamy zjeść wspólnie. Pewnie ma jakieś zlecenia do swoich krewnych w Wiedniu.

Niedziela - 27 stycznia

Czy ja wiem? Coś w rodzaju dyskretnego egzaminu. Na różne tematy. Po „kiego licha” wykłady na temat współczesnego układu sił politycznych i gospodarczych w świecie? Byłam jednak wypoczęta i trzeba przyznać przysłuchiwałam się z prawdziwą przyjemnością. Mowa o różnych powiązaniach oraz sprzecznościach głównie włosko-angielskich na terenach afrykańskich. Istota współdziałania na Bałkanach. Włochy - Austria - Jugosławia. Hitler. Polityka polsko-niemiecka w Gdańsku oraz idea porozumienia francusko-sowieckiego. A później od razu przejście na sprawy gospodarcze... ze specjalnym uwzględnieniem polityki szwajcarskiej.

Warto byłoby to wszystko postenografować. Lecz nie wypadało. Profesor Wydra mówi w sposób ciekawy. Rzuca pewną ideę, a w chwilę później w sposób niezwykle sprecyzowany i skondensowany równocześnie motywuje podany punkt widzenia. Niby jestem magistrem nauk ekonomiczno-politycznych, lecz wszystkie moje wiadomości, mimo pewnego odczytania, nie wytrzymują próby przekrojów w takim układzie i w tak ostrej perspektywie. Mój uniwersytet to tylko jakaś sielankowa freblówka. Przyznam się, że po raz pierwszy w życiu wysłuchałam czegoś podobnego. Profesor palił cygara, patrzył na mnie uważnie spoza swoich staromodnych okularów, ja piłam czarną kawę. Pomiędzy nami stały dwie butelki, koniaku i likieru, lecz żadne z nas nie sięgało po kieliszek. Siedzieliśmy w salonie, w wyłożonych fotelach. Ukosem do prababki Anny von Rosenschwerth. Spojrzałam kilkakrotnie ku portretowi, prababka jak zwykle zdawała się wypływać z ram. Tym razem spoglądała ku mnie raczej w sposób zdziwiony. Kto wie, czy nie pragnęłaby dla swej prawnuczki raczej jakiejś wielkiej miłości w domowym zaciszu? Ale profesor w dalszym ciągu opowiadał o zagadnieniach handlowych, o finansach, ciach, czynił to jak fachowiec, obyty ekspert w tej dziedzinie. Pozazdrościć, na pewno więcej wie niż nasze komplety międzyministerialne! Ja się do nich nie zaliczam, moja rola ogranicza się w tych sprawach jedynie do opanowania materiału statystyczno-informacyjnego. Ja przecież - nie decyduję.

W końcu profesor połapał się w moich spojrzeniach i w pewnym punkcie przerwał swój wykład zapytując mnie niezwykle otwarcie:

- O czym pani myśli, *madame*, spoglądając na ten portret?

Nie obraziłam się za taką dygresję i w sposób równie bezpośredni odpowiedziałam mu:

- Rozmyślałam, profesorze. Dziwię się. Słucham pana i porównuję to wszystko, co umiem, z tym - co pan mówi. Jakoś brak mi wielu rzeczy. Moja tabliczka czterech działań funkcjonuje, brak mi jednak orientacyjnego uświadomienia w rachunku różniczkowym i funkcjach, naturalnie w odniesieniu do płaszczyzn, które pan, profesorze, przedstawia.

Profesor Wydra uśmiechnął się, ale nie był to jakiś uśmiech „dobrotliwy”, jak się to pisze w powieściach. Było w nim coś więcej niż życzliwość, było życzliwe zrozumienie. Czego? Chyba mojego położenia. Równocześnie podążył za moimi myślami i powiedział:

- Rozumiem, że pani dziwi się temu, iż rozmawiamy o takich sprawach. Niewątpliwie dziwi się temu również portretowa zjawa zapewne którejś z pani prababek. Owszem, i ja spojrzałam kilkakrotnie na portret, wydaje mi się nawet, że rozpoznaję wspólny herb tej damy z herbami jednego z moich wiedeńskich znajomych. Bo - widzi pani, jeżdżąc długi czas po świecie z moimi heskimi wychowankami „nurzałem się” z natury rzeczy w herbach, nazwiskach i koligacjach. Gdzieś zatem słyszałem również czy czytałem, że jakiś von Jamsborg w okresie wojny trzydziestoletniej wyprowadził z Turynii żonę - gdzieś daleko, na drugi koniec Niemiec, zdaje się pod Szczecin. Ale to były czasy bardzo dawne. Obecnie miłość, romantyzm, salony, bale, no i owo przysłowiowe *gemütliche Drahtchen* zastąpiła nauka, nowy układ społeczny i nowoczesna kobieta. Nasza prababka z portretu, podobnie jak pani, ubrałaby się w czarny kostium wizytowy i z książeczką czekową w torebce śmiało wstąpiłaby na schodki wagonu sypialnego, który powiezie panią pojutrze do... Wiednia.

Wydaje mi się, że właśnie w owej chwili rozwiła się niewidzialna kurtyna obojętności między mną a profesorem Wydrą i odważyłam się powiedzieć:

- Panie profesorze, mówmy otwarcie. Niewątpliwie są nieuświadomione wilcze dzieci, ale co do mnie, pragnęłabym stać się uświadomioną iluminatką. Nie nadaję się do roli tylko listonosza. Sądzę, że również któraś z moich prababek w podobny sposób byłaby jasno i wyraźnie przecięła taśmę życia i nieświadomości.

Profesor spojrzał na mnie jakby zaskoczony, lecz mimo to odpowiedział niezwykle spokojnie:

- Masoneria? Owszem, niewątpliwie istnieje mimo wszystko, mimo że jedni mówią o niej dobrze, a drudzy źle. Wpływy na świecie? Zrozumiałe, że wszystkie idee torują sobie własne drogi w życiu ludzi i w historii świata. Masoneria? Tak, ale jaka masoneria, pani Anno? Teozoficzna pani Bławatskiej czy błyskotliwo-magiczna uczniów Łóż z końca osiemnastego wieku? Takie pojęcie znajduje się oficjalnie również w encyklopediach wszystkich krajów czy języków.

Zapanowało długie milczenie. Profesor zagłębił się w rozmyślaniach, jakby zapomniał o mnie, a ja wpatrywałam się w błyszczącą powierzchnię portretu prababki. Biała suknia zdała się falować, postać prawie wychodziła z ram. W pokoju było mało światła. Po chwili profesor podniósł się z fotela i powiedział mi jakimś tonem zdawkowym, pomimo swoich znów przyjętych profesorskich form:

- Owszem, przyślę pani na górę dzieło Polaka Trentowskiego. A jutro chyba się jeszcze zobaczymy? To znaczy we wtorek, przed wyjazdem do Wiednia?

I oto mam tuż koło siebie, na stoliku nocnym: *Die Freimaurerei in ihrem Wesen und Unwesen*, Leipzig 1875, naturalnie po niemiecku. Trudno to jednak zabrać z sobą w podróż, nie warto również rozpoczynać czytania przed wyjazdem. Na razie zatem wypadnie mi włożyć tom pomiędzy inne tomy na półce.

W istocie jak by przestawiam się na inne tory. O codziennych sprawach myśli za mnie moja Liza. Mam na myśli suknie, bieliznę, pakowanie waliz na drogę. Podchodzę do tego

beznamiętnie. Nie oglądam, nie krytykuję, nie zmieniam. Ma zresztą dobrą szkołę u Florencji, przedtem prawdopodobnie u gdańskich Gardenów. Wie, czego mi potrzeba. Mnie zostaje tylko samo działanie.

Czy dobrze zapytałam naszego profesora?

Zastanawiałam się na początku, dlaczego pokojówkę przywieziono aż z Gdańska, a Karola Petrasa gdzieś z daleka. Proste - nie chciano mieć koło siebie tutejszych... ciekawych. Podobnie z moją obecną kucharką, którą odziedziczyłam po dawnych gospodarstwach żoliborskich.

Poniedziałek - 28 stycznia

List z Gdańska, zresztą bardzo krótki. Z bankiem załatwione, jesteśmy winne dokładnie 267 tysięcy 520 złotych i 65 groszy! Sprawa załatwiona od strony łatwiejszej, od przekazania pieniędzy z Gdańska. W rękach naszego stryjka Józefa znajduje się notarialny akt pokwitowania naszego brata z odbioru całkowitej kwoty jego części spadku po ojcu. Wystarczający do wymazania jego nazwiska z hipotek. Przesłał go stryjowi do wiernych rąk, równocześnie z tym listem błagającym o interwencję u sióstr, to znaczy u mnie i Zośki.

Straciłyśmy brata w podobny sposób jak niegdyś siostrę Pelasię. Bardzo często pieniądze są ostatnim ogniwem, które łączy rodzinę. Obecnie zapewne obie rozmyślamy nad tym, w jaki sposób każda z nas ma pójść swoją własną drogą. Nie jestem głupia, te wszystkie wzajemne udziały w lakierach i śrubkach to jedynie mydlenie oczu. Faktycznie obie myślimy zgoła o czym innym. Zośka o swoich śrubkach, a ja, na moje szczęście czy nieszczęście, na pewno jednak nie o lakierach.

Dzisiaj tkwiłam cały dzień w ministerstwie. Ledwo znalazłam chwilę czasu i wpadłam na pół godziny do sklepiku. Staram się postępować po męsku. Pannie Beacie podziękowałam za dobre wyniki gospodarki oraz szybkie sporządzenie bilansu. Podpisałam asygnatę kasową na bilansówkę dla niej w wysokości dwumiesięcznej pensji. W sporządzonej liście płac za miesiąc styczeń dokonałam kilku poprawek, między innymi 725 złotych dla panny Walczak, i ustnie powiedziałam jej, że na razie do końca roku będzie otrzymywać prowizję w wysokości jednego procentu od sprzedaży detalicznej, a pół procent od sprzedaży hurtowej netto. To jej przyniesie dobre kilka tysięcy rocznie, sądzę, że ją urządziłam, jak należało. W dodatku zaspokoiliła uczucie zemsty w stosunku do swego byłego szefa.

Panna Walczak spodziewała się jakiejś znaczniejszej podwyżki, lecz nie w takiej wysokości i nie w formie stałej prowizji. Na zakończenie naszej rozmowy, już na stojąco, otworzywszy torebkę, wyjęłam z góry przygotowaną kopertę i wręczyłam ją, mówiąc:

- Panno Beato, pani doprawdy dużo nam pomogła, nie znamy pani gustów i upodobań, proszę przyjąć... - Równocześnie dodałam z uśmiechem: - Moi stryjkowie zawsze mi w taki sposób robili niespodzianki, a ja uważałam, że to było najlepsze.

Nobliwie - dwie pięćsetzłówek.

Przede mną jeszcze jedna pułapka życiowa. Trzeba złożyć zeznanie o dochodzie osobistym za rok 1934. Całe szczęście, że to będzie dotyczyło roku ubiegłego. Poznański dom nie zostanie objęty tym zestawieniem, a w ciągu roku zobaczymy, jak wybrnąć z tego nagłego urodzenia się kamienicy i nowego dochodu. Muszę dopłacić za skumulowany dochód z Wąbrzeźna, Grudziądza i Warszawy. Dotychczas robiła to wszystko sama Zośka, z jakimś podziałem dla trojga rodzeństwa, obecnie trzeba będzie poradzić się, jak to opracować. Ale na to jeszcze mam czas.

Moja pensja w lakierach leci w dalszym ciągu. Nie wiem, jak będzie z tymi dwiema pensjami. Kłopot, gdy się nie posiada pieniędzy, kłopot również, gdy się je posiada. Ale już lepsze - to ostatnie... Uzgodniłam w sklepie. Tylko tyle, że zamiast oddać dziesięć tysięcy na konto Marcina w banku, doręczę je na wszelki wypadek profesorowi Wydrze. Może się coś wydarzyć podczas mojej nieobecności, a nie wiadomo, jak u niego z większą gotówką.

Naturalnie bez pokwitowania, raczej w formie grzecznościowego przechowania, będzie się nazywało, że dla mojej wygody.

Równocześnie trochę głupio z tym miesięcznym doręczaniem czeków na pierwszym piętrze. Ale trudno - tak chcieli.

Już prawie zasypiałam, gdy przyszło mi na myśl, że sto tysięcy uzyskane przeze mnie z zastawu papierów Marcina - nie są niczym pokryte. W razie mojej nagłej śmierci sto tysięcy zawisłoby w powietrzu. Wysłałam z ciepłego łóżka i straciłam dobrą godzinę na pisanie odpowiedniego wyjaśnienia. Na wszelki wypadek, nieszczęścia chodzą bowiem po ludziach. W dodatku moim spadkobiercą jest mała dziewczynka, którą zastępowaliby różni adwokaci i rodzina jej matki. Wydaje mi się, że napisałam mądrze: zastawione przeze mnie w banku akcje... stanowią własność stryja Marcina Jambora, podobnie jak reszta pakietu złożonego w sejfie bankowym. Moje oświadczenie, napisane w całości własnoręcznie, przypięłam spinaczem do bankowych dokumentów. W drugim piśmie zeznałam, że pieniądze uzyskane z zastawu w całości wpłaciłam na kupno domu od Józefa Michalskiego i tak dalej. Podałam nazwisko warszawskiego rejenta, u którego sprawa została przeprowadzona. Znajomy rejent, wszystko przechodzi przez jego kancelarię, sprawy obu moich stryjków. Klucz zabieram z sobą, po mojej śmierci otwieraliby skrytkę w ścianie zapewne w sposób urzędowy. Chyba - wystarczy.

Wtorek - 29 stycznia

Do Wiednia jadę bez entuzjazmu. Jadę, bo muszę. Wolałabym pojechać na krótkie zimowe wakacje do Krynicy. Ale trudno, przecież i tak się dosyć wylabowałam. Jadę w dodatku na krótko, mówili o tygodniu. Dziwili się, że nie było we mnie radości, gdy mi doręczali służbowy paszport. Głupcy, ale nie wszyscy wiedzą o tym, że tak niedawno wróciłam z zagranicy, będącej jakąś baśnią radością mojego urzędniczego otoczenia. Godzina szósta wieczorem. Wszystko już załatwiłam, pożegnałam się z profesorem. Paczkę z pieniędzmi przyjął obojętnie. Myślałam, że przynajmniej otworzy stalową kasę, która stoi w rogu biblioteki i od której nie posiadam kluczy. Ale nie uczynił tego i pieniądze wsunął po prostu do szuflady biurka ruchem wielkiego pana.

Zabieram od niego do Wiednia dwa listy, zakleiłam je własnoręcznie w jego oczach. Przyjął to obojętnie. Wydaje mi się, że dzisiaj jakoś przygaśł, jest jakby znużony. Liza mówi, że pracuje po nocach. A może ja nieopatrznie wyjechałam z tą masonerią?

W pociągu

Jakieś rodziny żegnały moich kolegów. Mnie tym razem - nikt nie żegnał. Wyglądałam jak sierotka. Generałową zaproszono dziś na jakiś bal w charakterze gospodyni, rozumiem, męża nie ma w Warszawie, wyjechał do Berlina. Oni wszyscy ustawicznie jeżdżą po świecie, tylko na tym polega ich praca. I na gadaniu! Moja sąsiadka wyszła na korytarz na papierosa. Byłam zła i powiedziałam, że nie palę. Chyba mnie nie obudzą na granicy? Walizy z kluczami zostawiłam w jednym z przedziałów, w którym jadą nasi panowie, a paszport doręczyłam konduktorowi od wagonów sypialnych łącznie z dziesięciotówką.

Środa - nad ranem

Robi się już jasno. Godzina siódma. Nie obudzili. To dobrze. Spróbuję jeszcze zasnąć. Jestem sama w przedziale, szczęśliwie nie wpakowali mi nikogo.

Śniadanie w wagonie restauracyjnym. Moi towarzysze podróży nudni. Urzędnicy. Bez wdzięku. Siedzenie w biurze państwowym wyciska jakieś piętno na ludziach. Kaleki umysłowe. Żyją tylko dla swego biura, wszystko inne jest im obce. Po śniadaniu wróciłam do siebie pod pozorem, że pragnę jeszcze wypocząć.

Patrzę przez okno. Wszystko zasypane śniegiem, równiutko. Tylko gdzieniegdzie czernieją jakieś ciemne plamy, ale wzdłuż toru kolejowego na razie pusta równina. Czechosłowacja - kraj bogatych chłopów, drobnych kupców i ciężkiego przemysłu. Podobno za granicą, ze Słowian - najwięcej cenią Czechów. Umieją się urządzać, nic dziwnego, nie eksportują za granicę biedaków, a jedynie ludzi zamożnych. Podobno Czesi zachowują się bardzo solidnie, tak mówili mi w Paryżu, nawet „Cztery Kamienie” zatrudniają młodego czeskiego inżyniera w charakterze praktykanta.

Czego tym razem szuka w Wiedniu - Elza? Chyba nie dla przyjemności, widocznie stary rekin genewski wysłał córeczkę w jakimś bankowym interesie. I tak się tego nie dowiem. Ale przynajmniej będę miała towarzyszkę do pochodzenia po mieście. Nasi panowie rozmawiali podczas śniadania jedynie o tym, co można kupić w Wiedniu. Naturalnie nie chodzi o rzeczy ładne czy oryginalne, lecz tanie. Dobrzy sobie, ale my wszyscy jesteśmy tacy sami. Ja również oblatywałam Belgrad jak młode ciele, spuszczone z oczu przez pastucha. Przynajmniej tam miałam urozmaicone towarzystwo. Ale zamykam bloczek i wędruję.

Wieczorem

Na razie zamieszkałam w hotelu „Astoria” na Karntnerstrasse. Moi towarzysze umieścili się obok w pensjonacie „Central” - z całym utrzymaniem, po czym każde z nas zajęło się wypełnieniem reszty dnia na własną rękę. Zbiórka jutro o godzinie dziewiątej w naszym Konsulacie Generalnym przy ulicy Rennweg 1.

Wieczorem dzwoniłam pod wskazany adres, pytałam o Elzę, odpowiedziano mi, że jest już w Wiedniu i że postarają się jeszcze dzisiaj skomunikować ją ze mną. Bardzo krótko i jakby sztywno. Trudno, oni mnie nie znają, ja ich również. W dodatku podałam jedynie imię i nazwisko: Anna Jambor.

Godzina wpół do dwunastej. Przed chwilą dzwoniła Elza, zbudziła mnie ze snu. Była w teatrze. Także pomysł. Jutro o godzinie siódmej rano zjawi się u mnie w hotelu. Ranny ptaszek. A spałam tak słodko! Nic mi się nie śniło. Podobno dzwoniła kilkakrotnie pod rząd, widocznie mocno zasnęłam. Ale właściwie już wypoczęłam. Mówiła, że mnie jutro zabierze gdzie indziej. Zobaczymy. Trzeba pamiętać o doręczeniu listów profesora Wydry, prosił, aby zrobić to osobiście. Włożę listy do torebki, nie zapomnę.

Czwartek - 31 stycznia

W miarę elegancki dom, pierwsze piętro, wewnątrz luksusowe, dywany na schodach, na drzwiach mosiężna tabliczka: Dr Julius Meissl. Nic więcej. Pani domu, o której krótko wspomniała Elza: - Moja szkolna koleżanka - z dodatkiem, że prawie rozwódka. Wyłożony hall z obrazami i wspaniałą pierzastą palmą pośrodku, mieszkanie zajmujące całe piętro, trudno jednak to wszystko oglądać. Blondyna, cera jasna, nieskazitelna, typowa niemiecka uroda w dobrej czterdziestce, stały abonament w dobrym salonie pielęgnacji urody. Wspaniałe ręce, długie wąskie palce, paznokcie w ostry szpic, doskonale wypolerowane, lecz bez lakieru. Przyjęcie naturalne. Żadnych pytań, ani śladu zdziwienia, po prostu uprzejme powitanie w prywatnym mieszkaniu przy Floragasse. Pokojówka bez zarzutu, mogłaby bez dodatkowej charakteryzacji wystąpić natychmiast w tej samej roli na scenie reprezentacyjnego teatru. Obiad w stylu francuskim. Samochód, szofer w ciemnej liberii obszytej szeroką czarną taśmą. Pokoje w charakterze przyzwoitego antykwariatu, to znaczy bez graciarni. Pomimo przeładowania wszystko do siebie pasuje i nie męczy oka. Mój pokój gościnny w rodzaju hotelowego, na urządzenie toaletowe wnęka w ścianie, z zasuwanymi drzwiami. Wszystko jednak ścieniowane francuskim dywanem i kilku wcale dobrymi obrazami.

Ano - tak. W biurze konsulatu na Rennweg porównywaliśmy ich własne materiały zebrane na miejscu. Trochę jest tego więcej niż w sprawozdaniach przesyłanych do

Warszawy. Przez kilka najbliższych dni każde z nas będzie wertowało te materiały, a następnie w ciągu jednego dnia ja właśnie mam zebrać to wszystko w całość, którą odczytamy wspólnie. Roboty co najmniej na dobry tydzień, ponieważ sprawa nie została należycie rozkrecona tutaj w Wiedniu, podobnie jak i u nas. Już widzę, że z jednego tygodnia zrobią się murowane dwa z hakiem. Im się nie śpieszy, ponieważ wolą mieszkać w wiedeńskim pensjonacie niż u swoich żon w Warszawie. Chodzi w tym wszystkim o to, że Austria staje dęba, ponieważ więcej sprowadzają od nas, niż my od nich. Połapali się i żądają zmiany układu. My właśnie mamy przestudiować możliwości sprowadzania dodatkowych pozycji. Stara śpiewka. Materiały będziemy badać z podziałem rzeczowym, mnie również przydzielili resort, na którym, zresztą prawie się nie znam. Artykuły rolnicze, drzewo, wyroby drobne. Pierwsze dni będą swobodniejsze, później dopiero zebranie tego wszystkiego do kupy, będę musiała dobrze przysiąść fałdów.

Elza. Naturalnie nie dla przyjemności. Stary Dubow całkowicie kontroluje obrót towarowy pomiędzy Szwajcarią a Austrią. Obecnie wszystko im się pokręciło po zeszłorocznym zamordowaniu kanclerza Dolfussa. Nowe sytuacje handlowe francusko-włoskie i austriacko-włoskie oraz wciskanie się niemieckiej gospodarki przemysłowej do Wiednia. Widocznie rwie im się siatka finansów bankowych.

Elza opowiada o urzędzeniu się stryjostwa w Montreux. Sama pyta o lakiery. W niektórych miejscach musiałam improwizować. Nic dziwnego, ona posiada przecież udziały w „Czterech Kamieniach”. Mówi, że Zajlicz przeszedł wszystkie ich oczekiwania, ponieważ wkręcił kolejom jugosłowiańskim olbrzymie zamówienia jeszcze przed zakończeniem zeszłego roku. Wszystko ma swoje pokrycie polityczne, ponieważ Jugosławia, Austria i Włochy nastawiają się obecnie na wspólny front gospodarczy. Zajlicz pragnął podobno wykorzystać jeszcze jakieś terminy ulgowe dla towarów importowanych z Francji i dlatego dokonał bardzo wielkich zakupów. Podobno płaci bez zarzutu. Elza przy okazji zapyta się Mrs Maltz o wysokość tych zakupów, nic dziwnego, że to mnie zaintrygowało. Co prawda od początku tego roku tylko po dwa procent, ale i to coś znaczy. Manna. Co do Zajlicza - nic dziwnego, jego kontakty z otoczeniem obecnego regenta Jugosławii. Może i brylant, tacy bałkańscy książęta to kwestia tylko podarunków. Bardzo łatwo *via* jakaś kochaneczka... *Gaspadin* Zajlicz przehandlowałby nawet swoją własną, gdyby zaistniała ku temu jakaś dogodna okazja handlowa. Co mnie do tego, grunt, że opłaciła mi się ta znajomość. A wszystko zaczęło się tak niewinnie. Dobrze byłoby i obecnie coś sobie wykręcić, ale nie widzę możliwości. Zginę w tych cyfrach. W dodatku sama liczę, a to zawsze mnie nudzi. Radca ministerialny przy maszynie do liczenia! Ale trudno.

Dzisiaj idziemy na koncert, nic dziwnego, moja, sama nie wiem, jak ją określić, a zatem „wiedeńska znajoma” jest muzykalna.

Sobota - 2 lutego

U nas w Warszawie święto. Tutaj pracujemy, ponieważ im się śpieszy. Nie tyle do powrotu, ile do rozpoczęcia rozmów z Austriakami. W poniedziałek mamy co prawda już pierwszą konferencję, ale na razie tylko taką nieważną, orientacyjną, w Izbie Przemysłowo-Handlowej. Anna z bloczkiem w ręce. Dowiemy się, o co chodzi naszym partnerom. Elza dowie się również. Poznają nową Elzę, Kajety co prawda poświęcone poszczególnym kochankom - swoją drogą, ale równocześnie handlowy generał w spódnicy. Ona ma też różne dane, bardzo dokładne. Orientuje się doskonale w naszych możliwościach. Mówi całkiem bezwstydnie, że nie można dopuścić do tego, aby drobne potoczki wywoływały od czasu do czasu powodzie. Według niej wszystko powinno płynąć kanałami, przez ludzi zbudowanymi, to znaczy pieniądze, ponieważ tylko te ją interesują. A ludzie to tylko ci, którzy organizują te pieniądze, reszta się nie liczy, chyba dla przyjemności. Klocki do układania - tak powiada. Tylko tyle, że pani Matylda Meissl dostarcza danych od strony przeciwnej. Jej rodzony brat

pracuje w urzędowej organizacji handlu zagranicznego, w biurze badania światowych koniunktur gospodarczych. Jeszcze go nie poznałam, jutro obiad w rodzinie ojca naszej wiedeńskiej gospodyni. Ostatnią zgłębiłam o tyle, że jest zainteresowana w porcelanie. Były czy nie były mąż przebywa w Ameryce. Dziewczynki w szwajcarskich internatach.

Oba adresy profesora Wydry chyba nieinteresujące. Dyrektor banku dr Emil Eibenschütz, zresztą dobry znajomy Dubowów, oraz jakiś również gładki dr fil. Eltner. Dyrektor banku w rodzaju gdańskiego Gardena. Profesor stanowi nieco młodszy duplikat naszego dr Wydry. Pod pierwszym adresem obsypano mnie grzecznościami, prezentowano żonie i dwom dorosłym córkom, wspomniano o „naszym kochanym doktorze”, to znaczy o stryjkę Marcinie. Herbata itd., nawet prośba, abym u nich zamieszkała. Dopiero napomnienie o Elzie Dubow zakończyło te namowy.

Profesor przyjął mnie w domowej bibliotece. Ten sam styl co u nas przy ulicy Hortensji, kto wie, czy całość nie została skopiowana właśnie z Wiednia. Przyjęcie grzeczne, lecz chłodne. Grzeczne, ponieważ stary profesor jest uświadomiony odnośnie Jamborów, chłodne, ponieważ Anna Jambor aktualnie nic nie reprezentuje w jego oczach. Nie jest łatwa droga, którą wybrałam! Domowe gęsi mają lżej na świecie. Za nich myślą mężowie, one migają tylko drutami w domu lub wysiadują zapchlone kanapki w kawiarniach.

Niedziela - 3 lutego

Pałac fabrykanta. Po raz pierwszy w życiu oglądałam takie cuda. Rzecz prosta - jak mówi Elza - rodzina Ringbaronów, kupili sobie austriacki tytuł za pieniądze na początku tego wieku. Porcelana i szkło, fabryki i prawie monopol sklepowy. Bardzo bogaci ludzie, nic dziwnego, że pani Matylda mieszka w takich luksusach. Wydaje mi się, że mój świeżo poznany Ringbaron - to wiedeński odpowiednik Grossvater Junga, świeć Panie nad jego duszą.

Młody synek, w każdym razie dobra trzydziestka, na razie bez żony, taki sobie - kabaretowy półpanek. Oglądany, z manierami, przyglądał mi się jednak tak, jakbym miała odwiedzić tego samego dnia jego garsonierę. Dobry sobie! Od razu wyprostowałam naszą rozmowę i zboczyłam na sprawy oficjalne. Powtórzyłam jak pozytywka to wszystko, co mi opowiadał profesor Wydra. Popisywałam się w sposób lekki, niewymuszony, ponieważ obie moje panie z Floragasse przysłuchiwały się temu. Matylda była zdziwiona, Elza zdaje się zadowolona. Cóż, to przecież są ludzie z „Bnei Brith”.

Na przyjęciu u „porcelany” byłam w czarnej sukni wizytowej, zakupionej w Paryżu, z sygnetem von Rosenschwerthów na palcu oraz męskim pierścieniem podarowanym mi przez stryjka Juliusza. Szafir, dwa spore brylanty po bokach, w męskiej oprawie. Nobliwie. Naturalnie bez butonów w uszach i bez bransolety z brylantami dwa razy większymi niż moje w pierścionku. Ale ja jestem młoda, a Frau Königin von Porcellan mocno stara i wywiędła. Niemniej zrobiona była na bóstwo w kolorze różowo-liliowym, taka obecnie moda.

Poniedziałek - 4 lutego

Okazyjny telefon z Paryża. Pani Maltz nie pamiętała dokładnej cyfry, lecz prawie dwa miliony franków. Zdębiałam, ale Elza wytłumaczyła mi, że na Bałkanach kupują od razu na dziesięć lub na dwadzieścia lat, o ile kupują. Naturalnie zyski Zajlicza są odpowiednio wysokie. Elza jest cokolwiek zaznajomiona ze sprawą jego zamówień, głównie są to czerwone kolory do sygnalizacji i szare emalie do żelaza. „Cztery Kamienie” konkurują w tym dziale skutecznie z fabrykami niemieckimi. Patenty amerykańskie.

Jeszcze sama nie wierzę i początkowo, gdy znalazłam się sama w pokoju, symbolicznie uszczypnęłam się kilkakrotnie w palec. Trzy razy tyle, niż sądziłam. Liczyłam na jakieś sześćset lub siedemset tysięcy franków. To znaczy dwa razy tyle, co w pierwszym półroczu. Liczyłam na jakieś dwa tysiące prowizji, naturalnie w dolarach. Tymczasem sto tysięcy

franków. Oddycham, ale zatkąło mnie! Stoję mocno, okazuje się, że miałam szczęście. Mądre szczęście, ponieważ głupie przychodzi do człowieka w postaci wygranej na loterii. Mogłabym już spłacić własnymi pieniędzmi dobrą połowę mojego długu z zastawu akcji. Obie prowizje to już przecież ponad sześćdziesiąt tysięcy złotych. Oddycham. Kto wie, czy od razu nie spłace?

Na razie nie mam ochoty myśleć o czymś innym. Pisać również nie. Za godzinę kolacja, mamy wyprysnąć gdzieś na wiedeński dansing. Wkoło mnie są weseli roześmiani ludzie. Stroje mam z sobą. Z naszej wiedeńskiej przyjaciółki morowa kobieta.

Wtorek - 5 lutego

Wieczorowe przyjęcie u naszego generała konsula. Nareszcie się domyślił. Właściwie nasza ekipa nie składa się z fiszów, tacy sobie drugorzędni biurokraci, ale w każdym razie sama grzeczność wymagała. Przyjęcie skromne, ponieważ sami swoi. Poseł nieobecny w Wiedniu, pierwszy sekretarz poselstwa taki sobie nudny facet. On również próbował ze mną na wesoło, lecz przyjął go lodowato. Nie tłumaczyłam mu, skąd i dlaczego, ale po prostu potraktowałam go bez entuzjazmu, jak jakiegoś pierwszy raz na oczy widzianego klienta w moim warszawskim biurze. Jakoś go to ostudziło, widziałam, że na boku rozmawiał z konsulem i był z tego niezadowolony. Widocznie wziął mnie za kogoś w rodzaju sekretarki. Później powiedziałam generalnemu konsulowi:

- Rodzina życzy sobie, abym przeszła do służby dyplomatycznej, i dlatego odbywam obecnie przejściowy staż, naprzód w skarbie, a obecnie w przemyśle, radca ministerialny.

Wspominałam również o pracy doktorskiej, ot tak sobie, leciutko, między wierszami. Poza tym *splendid isolation*. Gdzie mieszkam? - ponieważ okazało się, że pan konsul odwiedzał już poprzednio moich panów w ich pensjonacie.

- U krewnych, dalekich krewnych - odpowiedziałam i na tym się skończyło.

Środa - 6 lutego

Pan konsul stara się naprawić błąd. Zapraszał mnie do domu, żona i on. Wyglądało nawet, że będą się cieszyli, gdy przyjdę. Zaraz okazało się, że widocznie uzgodniono, u kogo mieszkam, naturalnie ulica Flory i tak dalej. Było to nietrudne do ustalenia, ponieważ na wszelki wypadek musiałam podać mój adres kierownikowi naszej wycieczki.

Czwartek - 7 lutego

Wizyta u nas w mieszkaniu. Od razu dwie pary, generalny konsul z żoną i pierwszy sekretarz z żoną. Naraz znalazła się żona, której nie chciało się widocznie przybyć na wieczór do konsulatu. Oficjalna wizyta z kwiatami. Tak się złożyło, że siedziałyśmy w trójkę.

Ponieważ obu paniom opowiadałam o historiach z przedwczoraj, wszystkie trzy przyjęłyśmy naszych gości w sposób słodziutki. Wizyta przeciągnęła się poza konwencjonalny kwadrans, w zakończeniu Matylda kazała podać herbatę w sposób królewski. Jak oni to wszystko uchowali pomimo wojny i austriackiego kryzysu gospodarczego po zakończeniu wojny? Elza mówi, że fabrykanci porcelany lokowali od dawna swoje kapitały w Szwajcarii, głównie u jej ojca. No i cały, a po wojnie zrobili majątek na wykupie domów.

Na gościach wrażenie. Matylda tytułowała mnie kuzynką. Na odmianę rozmawialiśmy po francusku. Tak wyglądało, jak gdyby Elza nie władała językiem niemieckim. Była mowa raczej o Paryżu i Cannes, a nie o Szwajcarii i Genewie. Zrozumiałam, o co chodzi. Nasze polskie panie były nie za bardzo z francuskim, ale jakoś szło. Przekonuję się, że zrobiłam ostatnio znaczne postępy w języku francuskim, to wszystko są rezultaty przedstawiania się na lekturę.

Poszło gładko. Matylda zaprosiła ich hurtem na najbliższą niedzielę.

- Będzie u nas parę osób - powiedziała i wymieniła kilka nazwisk, na dźwięk których naszym gościom zrobiło się ciepło. Pieniądze mają pewność siebie. Osobiście byłam jeszcze napompowana Zajliczowymi cyframi. Nic dziwnego, że grałam moją rolę doskonale.

Matylda ma dwie córki w Szwajcarii w jakimś arystokratycznym internacie. Po bytności bubków z naszej dyplomacji, przeszłyśmy od razu na ty. Bardzo miła kobieta. Elza mówi, że kolosalnie bogata. Spokojna lokata kapitału, domy i pakiety akcji. Mąż jej nie okradł, ponieważ każde posiadało swój własny milionowy majątek i każde z nich samo nim administrowało. Właściwie nie wiadomo, dlaczego się rozeszli. Elza z zaciekawieniem słuchała opowieści o osiedleniu się Krystynka w Sao Paulo. Okazuje się, że zna to miasto i w swoich wędrówkach po świecie zawadziła o oba kraje, Brazylię i Argentynę. Obie panie nie wierzą w to, aby się Krystynek na stałe odczepił od służby dyplomatycznej. Elza twierdzi, że obecnie Niemcy lokują spore kapitały w Brazylii i Krystyn został zapewne umieszczony w jakiejś wielkiej fabryce w celu przypilnowania udziałów niemieckich właścicieli. Ciekawe, jak one szybko myślą. Widocznie mają obycie z podobnymi wypadkami,

Sobota - 9 lutego

Dzisiaj dziewiąty dzień naszego pobytu w Wiedniu i sprawa jeszcze nie krzepnie. Tyle tylko, że mamy już mniej więcej opracowaną całość referatu, na podstawie którego będziemy mogli rozmawiać ze stroną austriacką. Kopia tego arcydzieła jedzie dzisiaj w nocy kurierem do Warszawy, we wtorek w południe otrzymamy dyrektywy, a w środę pierwsze wspólne posiedzenie z Austriakami.

Jutro przyjęcie u nas. Coś niecoś przeciekło do naszych panów, ale jakoś nie zapraszałam. Udaję, że niczego się nie domyślam, nie podtrzymuję rozmowy na tematy osobiste. Dzisiaj mam wolny prawie cały dzień. Odwiedzamy po południu Eibenschutzów.

Wieczorem. Było bardzo przyjemnie. Piszę stale takie oklepane słowa, lecz jakże znaleźć inne? Poznałam szereg nowych osób, w sumie doliczyłam się ponad trzydziestu. Wszyscy rozmawiali o balach, ale jakoś się nie wybieramy. Zjawił się również prof. Eltner. Zdaje się, że jest specjalnie honorowany. Rozmawiała z nim nasza Elza, jakoś odtajał, gdy go posadzono koło mnie. Przedstawiają mnie rozmaicie: von Jamborg - w takiej wymowie! a niekiedy bardzo poufale: bratanica naszego doktora Martina.

Mąż Matyldy finansuje w Ameryce browary. Podobno niezły business. Ciekawe powiedzenie: finansuje browary, co należy rozumieć, że jest właścicielem baraku, a nie browarów. W ogóle wszystko w zamkniętym kółku. Eibenschutzowie prowadzą wiedeńskie interesy Dubowów i na odwrót. Matylda spokrewniona z nimi przez matkę. Trzon wiedeńskiego banku znajduje się od stu lat w Nowym Jorku.

Jutro przyjęcie na Floragasse. Przypadkowo dowiedziałam się, że właściwa rezydencja Matyldy znajduje się w Baden, mieszkanie zaś w Wiedniu służy jedynie jako pomocnicze *pied-à-terre*. Bagatela!

Poniedziałek - 11 lutego

List z Montreux. Stryj pisze, że Elza wytłumaczy mi pewne sprawy, które trzeba będzie załatwić po powrocie do Warszawy. Bez dopisku Florencji, która bawi w Lozannie. Stary generał jest podobno chory, ale Marcin pisze, że przeżyje nas wszystkich. Elza wyjeżdża w środę wieczorem, mówi, że do tego czasu wszystko zostanie nakręcone jak należy. W przybliżeniu opowiadała mi o podstawowych pociągnięciach. Skąd bierze się u niej tyle dowcipu? Właściwie głupio napisałam, przecież ona ma informacje z obu stron.

Jutro trzeba będzie wysłać imieninowy telegram do ciotki Katarzyny. Co to mnie obchodzi, że oni na mnie psy wieszają? Właśnie należy okazać im swoją wyższość i wysłać taki telegram. Będą w kropce.

Wtorek - 12 lutego

Kurier już z powrotem. Jacy oni naiwni. Nic z tego nie wykręcą. Bractwo Biurowych Naiwniaków. Polityka polityką, a pieniądze pieniędzmi. Przecież szwajcarskie powiązania są bardzo silne i mają swoją tradycję. W dodatku - banki. Jutro konferencje. Z próżnego w próżne.

Środa - 13 lutego

Przed chwilą odwiozłyśmy Elżę na dworzec. Dużo zleceń, nowe adresy, program działania na najbliższe dwa miesiące. Obecnie mam dwie kule u nogi, jedną na Elektoralej, drugą przy ulicy Hortensji. W dodatku mają mnie obdarzyć jakimś szwajcarskim przedstawicielstwem, które doczepi się do lakierów, ale o tym później. Spodziewają się, że Wielkanoc spędzę w Montreux, kto wie, czy Elza nie odwiedzi mnie w Warszawie.

Piątek - 15 lutego

Śmieszne, że Faustyn Kruczek stale prześladowuje mnie swoim wspomnieniem. Przed rokiem, również patrząc do kalendarzyka, całkiem przypadkowo i bezmyślnie zatrzymałam się na imieninowym dniu Faustyna. Pewnie jakiś święty, skoro tkwi w kalendarzu. Podobnie było dzisiaj. Usiadłam sobie w małej kawiarence wiedeńskiej, komicznej, bo z orkiestrą złożoną z samych dziewcząt. Kwartet. Zdaje się, że przed rokiem przypomniałam sobie o koleźce Kruczku również w jakiejś kawiarni. W Poznaniu lub w Bydgoszczy.

Dlaczego od czasu do czasu wspominam o tym chudeuszu? Chyba dlatego, że to był pierwszy mężczyzna, który mi się poważnie i na serio oświadczył. Postanowił zostać moim mężem! Kiedyś wykpiwałam samą siebie, gdy mi to przychodziło na myśl. Ale ostatecznie cóż on był winien? Podobałam mu się, byłam studentką, jak on, koleżanką, no i uroił sobie na poczekaniu małżeństwo... zapewne w jego rodzinnym przekroju społecznym. Kuchnia, łóżko, dzieci, bezpłatna nałożnica, być może nawet finansowa podstawa jego przyszłego bytu! Wiedział, że mój ojciec jest kupcem, bławatnikiem, tak się to nazywało wówczas, gdy stawiałam pierwsze kroki na poznańskim uniwerku. Co też on obecnie robi? Marcin wysłał go gdzieś do Francji. Kto wie, czy tam nie powodzi mu się jeszcze gorzej niż w Polsce? Francuzi nie lubią ludzi biednych, gdy politykują. Przy okazji zapytam Marcina.

Sobota - 16 lutego

Prowadzę jedwabne życie. Początkowo myślałam, że moi koledzy obrażą się na mnie za unikanie ich towarzystwa. Nic podobnego, dzisiaj zaprosili mnie na obiad do restauracji - trzeba było pójść. Z winem, które tutaj jest bardzo tanie, nawet spokojnie i przyzwoicie. Spodziewają się, że każą nam wracać z powrotem, ponieważ nie zdołaliśmy zbudować zamków na lodzie. Naprzód wszystko jak by się rozkręciło, później naraz - zamarzło. Zwyczajnie nie udało się. Austriacy okazali się twardzi w naszych podstawowych punktach. Mówią, że na przeszkodzie stanęły banki, które miały sfinansować różne nasze założenia importu z Austrii. Właściwie cały wyjazd okazał się całkiem nieudany. Być może przed pół rokiem byłoby coś z tego wypadło. Naturalnie słuchałam tych wywodów z zainteresowaniem, ucieszyłam się, że koledzy nie przewidują więcej niż trzy dni w Wiedniu. Oni mówią, że oblecieli już wszystko, co było godne widzenia. Ja zrobiłam... buzię w ciup i powiedziałam im jakimś tonem zawiedzionym:

- A co ja mam powiedzieć? Siedziałam w domu u kuzynek i plotkowałyśmy przy kawie z plackiem.

Roześmieli się - i nie uwierzyli. Któryś z nich wspomniął nawet, że widział mnie na dansingu w licznym i rozbawionym towarzystwie. Jakoś wyłgiwałam się, postawiłam im nawet dwie butelki szampana na otarcie łez i na pojednanie. Szampan wypili, ale w dalszym ciągu nie wierzyli w moje spokojne życie domowe u kuzynek. Dobrze, że nie jeździłam

samochodem do konsulatu, co nawet pochwaliła Elza. Nie dało się, jutro będę miała zmarnowany wieczór, ponieważ zaprosili mnie na przedstawienie w operze. Okazało się, że konsulat... postawił się i wystawił. Ofiarował nam lożę z pieniędzy... reprezentacyjnych!

Poniedziałek - 18 lutego

Łoża jak łoża, opera jak opera. „Carmen”. Kolacja również. Ale pomysł jednego dumnia z mojego obecnego otoczenia biurowego, który niedwuznacznie namawiał mnie do spędzenia z nim reszty nocy w jakimś hoteliku, to już godne zapisania w moim dzienniczku! Doczekałam się. Nareszcie któryś z kolegów odkrył we mnie kobietę! Odurzył go widocznie zapach silnych perfum paryskich i moja mocno wydekoltowana suknia. Że był z lekka wstawiony, to rozumiem, ale nie rozumiem intencji. Przecież to taki sobie mól biurowy, naczelnik wydziału gryzmołów ministerialnych. Taki mężczyzna, o którym właściwie nic nie można by powiedzieć czy napisać. Coś w rodzaju gotowego ubrania zdjętego z wieszaka w magazynie taniej garderoby. Nawet dziewczyna uliczna obejrzałaby go krytycznym okiem i otaksowała w sposób mniej więcej taki: O mój dobry Boże, gdyby nie to, że akurat potrzebuję kilku złotych, to bym z nim nie poszła! Ponadto w celu zgłuszenia własnych wyrzutów na wszelki wypadek zażądałaby podwójnej taksy. I tacy...

Jakoś zreżcznie wybrnęłam i powiedziałam bubkowi w taki sposób, aby nie było między nami obrazy:

- Panie Henryku, jakoś dzisiaj za wiele wypiliśmy. Niechże pan zatem wypije jeszcze kilka kieliszków, a następnie wyśpi się do jutra.

Po czym oddałam go w ręce innego kolegi, a sama wymknęłam się z lokalu po angielsku. Wsiadłam do najbliższej taksówki i po chwili znalazłam się w mieszkaniu przy ulicy Flory. Była godzina wpół do drugiej. Nawet nikomu o tym nie opowiem.

Środa - 20 lutego

Właściwie niepotrzebnie już tkwimy w tym Wiedniu. Moi koledzy oblatują miasto w nadziei jakiegoś taniego kupna, a ja powoli składam wizyty pożegnalne. Jutro poleżę sobie. Matylda chce dotrzymać mi towarzysztwa. Wolałabym inaczej, to zawsze krępuje i zmusza raczej do wstawania z łóżka. Ale trudno. Trochę tak, trochę inaczej. Z kolegami nie biorę udziału w tych polowaniach na „kupno”, nie przyznaję się również do posiadania pieniędzy. Bo i po co? To był jedynie taki sobie drugorzędny skład naszego ministerstwa, jeśli chodzi o ostateczną decyzję, niemniej jednak ważny na gruncie zebrania materiałów. Różnie bywa na świecie.

Piątek - 22 lutego

Światowa kobieta zawsze musi mieć uśmiech na twarzy. U konsulostwa poznałam żonę naszego posła i właśnie dzisiaj złożyłam jej wizytę. Nabiłam się w mundur granddamy i pojechałam. Tym razem z szykiem, samochodem, który czekał przed willą. Układności, uprzejmości. Koniec z Wiedniem. Jutrzejczy dzień poświęcam na pożegnalne zwiedzanie zabytków miasta. Na towarzysza zaofiarował mi się wuj Matyldy, który jest prezesem zarządu czy też rady nadzorczej w „Astorii”. Zabawna historia. Naprawdę elegancki, w starym dobrym cesarskim guście. W każdym calu dobrze wychowany. Już nawet wiem, co mnie czeka na zakończenie zwiedzania. Elegancki obiadek w jego hotelu, a na dworcu wiązanka róż w specjalnym pudełku. W ogóle zdaje się, że na dworcu pożegnają mnie hałaśliwie, jak jakąś primadonnę teatralną, a nie *fonctionnaire d'etat* w szóstym stopniu służbowym.

Sobota - 23 lutego

W pociągu. Sama w przedziale. Krótka. Rzeczywiście Matylda zmobilizowała rodzinę i znajomych. Widywałam ich co prawda na przyjęciach, lecz wielu nie umiałabym... umieścić. Zebrali się tłumnie, z hałasem, ale jakimś innym od naszego, w sposób wytworny, bardzo wytworny. Eleganckie futra, eleganckie damy. Wszyscy panowie z wiązkami kwiatów. Jedenaście razem. Konduktor od wagonów sypialnych bierze mnie w istocie za jakąś artystkę. Wsunęłam mu do ręki paszport i dwadzieścia szylingów, po cóż mieliby mnie budzić na tych głupich granicach. Nasi konsulostwo popełnili coś w rodzaju polskiej gafy. Na dworcu zjawił się tylko sam pan konsul, bez pani. Zresztą ledwo się dopchał do mnie przez tłum zaprzysiężonych znajomych Matyldy. Morowa! Mam w niej przyjaciółkę na dobre i złe. W dodatku mocna kobieta, z charakterem, zdążyłam ją poznać. Konsul przybył bez kwiatów. Miał głupią minę, gdy zobaczył kwaciarnię w przedziale wagonu sypialnego. W dodatku potrzebnie czy niepotrzebnie powiedziałam mu wczoraj:

- Stryj Marcin? Ach oczywiście, proponowano mu stanowisko ministra, ale miał inne widoki, prawie cała nasza rodzina urządziła się za granicą, pan rozumie...

Była to odpowiedź na jego niezbyt zręczne zapytanie, co robi obecnie doktor Jambor.

Koniec wycieczki do Wiednia. Z dwóch tygodni zrobiło się aż 23 dni. Niepotrzebna ekskursja.

Co prawda nie przemęczyłam się w tym Wiedniu. Coś w rodzaju dodatkowych wakacji za cenę jedynie arcynudnych godzin spędzonych w biurach konsulatu i na konferencjach. Ale spać. Zapach kwiatów - odurzający.

Warszawa - poniedziałek - 25 lutego

W mieszkaniu zastałam ciotkę Leokadię. Naturalnie nie z powodu balów, lecz przyjechała przed tygodniem i codziennie chodzi do opery. Dużo gadania. Relacje z mojej podróży, opowiadania o Górkach. Dużo listów. Leokadii nie podoba się profesor Wydra, mówi, że z nim nie ma o czym rozmawiać. Są gusty i guściki. Nie dziwię się profesorowi, to przecież nasza kochana Leokadia, która zarykuje się płaczem, gdy widzi na filmie jakieś sentymentalne sceny w rodzaju przygód Jana Valjean! Na mnie profesor Wydra robi duże wrażenie i sporo obiecuję sobie po naszych rozmowach. Może nareszcie uporządkuję różne poglądy o świecie. U mnie panuje dotychczas groch z kapustą.

W biurze głupio. Dwóch panów od razu zachorowało. Dziwili się, że przed wyjazdem nie podjęłam pensji za luty. W sklepiku nie byłam, ponieważ miałam już dokładną relację mojej ciotki. Ona chodziła tam codziennie przed południem z generałową. Zrobiły sobie z lakierów miejsce spotkań. Byle tylko panna Beata zbyt się nie spoufaliła. Nie lubię takiego stylu. Ale trudno zabronić ciotce. Dzisiaj wystawili taki obiad, jak gdybym w Wiedniu nic nie jadła i chcieli mnie odkarmić w trzy dni. Całkiem przypadkowo spotkałam na korytarzu naszego „wice”. Wygląda jak wymoczek z octu. To był również kandydat do mojej ręki! Ciekawa jestem, do której, kobiecej czy kupieckiej? Zapewne do tej drugiej, bo skądże jemu do zdrowej kobiety.

Środa - 27 lutego

Siedziałam przy biurku i pisałam listy na wszystkie strony świata. Krystynek niewdzięczny, nie podziękował nawet jednym słowem, mimo że poszło mu tak gładko. Zasadniczo dostał więcej, niż warto było mu dać. Zośka też milczy. Do niej napisałam list z wymyślaniami, na moje dwa listy z Wiednia nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Rozumiem ją doskonale: chciałaby zatrzymać domy, nie malować hipotek i spłacić naszego brata z wygranej na loterii.

Czwartek - 28 lutego

Nadszedł list ze Lwowa. Oboje przyjeżdżają w sobotę rano. List krótki. Kazia ofiarowała się z pielgrzymką do grobu św. Kazimierza. Właśnie jest w czwartym miesiącu ciąży. Jadą do grobu, ja bym napisała „na Kaziuki”. Ale list jest utrzymany w niezwykle poważnym tonie, pomimo radości obojga. Chyba dobre dziesięć lat po ślubie, w dodatku Michał ginekolog. Kazia chciałaby mnie namówić na podróż do Wilna. Leokadia już prawie zdecydowana. Sama nie wiem. W Wilnie jeszcze nie byłam, ale to daleko. Kazia ma chyba za trzydzieści pięć lat i w tym wieku pierwsze dziecko. Ale oni zawsze marzyli o dziecku!

Piątek - 1 marca

Imieniny mojej Heleny. Sama nie wiedziałam, jak wybrnąć. Pracuje u mnie krótko, ale przedtem była na Żoliborzu, dałam więc sto złotych. Mam wrażenie, że tak lepiej, ponieważ kupi, co się jej będzie podobało. Może nawet zaprowadzić taki zwyczaj na stałe? Czternaście pensji, ponieważ dochodzi do tego jeszcze Gwiazdka.

Leokadia jedzie do Wilna. Mnie chyba również przygwałcą. Dzisiaj odwiedziłam rejenta, wszystko w porządku, doręczył mi odpowiednie dokumenty. Tylko tyle, że dotychczasowy administrator podziękował, chce oddać administrację już od najbliższego kwartału. Akurat mam zmartwienie, przecież pod ręką jest administrator kamienicy Leokadii. W dniu dzisiejszym złożył mi coś w rodzaju wizyty ten głupi dureń, który namawiał mnie w Wiedniu na hotel. Dobry sobie, przyszedł mnie niby przeproszać, a wyglądało, jak by miał zamiar zrobić to samo po raz drugi, bez wódki. Naczelnik wydziału, w dodatku z innego departamentu. Głupie pretensje z jego strony do zawierania znajomości towarzyskiej. Naturalnie potraktowałam go jak lokatora, który prosi właściciela kamienicy o przestawienie mu pieca w mieszkaniu.

- Przeproszenie? - powiedziałam. - Ale za cóż? Nic nie pamiętam, wiem tylko, że przyjęcie z kolegami było bardzo miłe i wesołe. Żałowałam, że dopiero pod koniec poszliśmy gdzieś wspólnie. U moich krewnych było bardzo nudne towarzystwo, co rusz to hrabia lub jakiś austriacki książę.

Przy tych słowach roześmiałam się prawie w nos mojemu nieproszonemu gościowi, który kręcił się na foteliku i nie wiedział, co mówić. Głupi. Typowy biurokrata spod ciemnej gwiazdy. Zadzwoiłam na Lizę, która zjawiała się, jak na sprężynce:

- Lizo, podaj panu naczelnikowi okrycie. - I rozstaliśmy się. Mam nadzieję, że nie oświadczy się. Podobno ma żonę, teściową i dwoje dzieci. Świntuch. Właściwie to słowo odnosi się nie tyle... do samej propozycji, co wyłącznie do jego osoby. Taki jest świat.

Do Wilna chyba pojedę.

W pokoju gościnnym przeprowadziłam pewne zmiany. Lepszy dywan, cztery obrazy na ścianie. Dwa „Wojtki”, jeden Axentowicz i wcale dobry Ziomek. Drobiazgi, ale pokój nabrał całkiem innego wyglądu.

Mój profesor wystraszył się Leokadii i jakoś nie zachodzi. Po przyjeździe oddał mi pakiet z pieniędzmi, wyjął go z tej samej szuflady. W ogóle przywitał mnie tak, jak byśmy się widzieli wczoraj lub przed tygodniem. O nic nie pytał i w spokoju wysłuchał moich zachwyków nad całością ulicy Flory. Żyje nie w tym świecie.

Sobota

Bardzo miło. Oboje rozanieleni. Jedziemy w czwórkę. W Wilnie, o ile się uda, odwiedzę moją Irenkę z Poznania. Pisała, później urwało się. Moja wina, raczej nie odpisywałam. Trzeba będzie wyprostować. Michał ma w sobie bardzo dużo młodzieńczości. O bratowej z Grudziądza nie było mowy. Studenckie kawały, śmiał się z nich nawet profesor. Jedziemy jutro na noc, jutro w południe małe przyjęcie, parę osób, taki sobie obiad. Nie myślę o tym, Leokadia natomiast jest w swoim żywiole. Helena była zadowolona z piątecznych życzeń imieninowych.

W biurze dwudniowy urlop - bez urlopu. Po prostu nie przyjdę do biura i na tym koniec. Jedziemy nocą, pierwszą klasą. Podobno zapowiadają wielki tłok. Szofer wmawiał w nas samochód, ale od Białegostoku są niezbyt pewne drogi, pogoda rozmaita, śniegi, w tych warunkach koleją bezpieczniej. W hotelu mamy już zamówione pokoje. Ciekawa jestem, jak wygląda to Wilno, o którym tyle się słyszy. Podobno jakiś odmienny świat.

- Coś w rodzaju Lublina, tylko trochę większe i z kościołami. Jarmarki dla hreczkosiejów - mówił Michał. - Szlacheckie miasteczko z fumami i jakimś śpiewnym akcentem. Centrum pułków legionowych i zamiast powieściowego Kmicica zawałdę z „Oazy”, tylko w wydaniu z mniejszą ilością gwiazdek - tak znów określa miasto przyjaciółka z Mokotowa. Profesor Wydra inaczej: - W Wilnie wszystko stanęło od czasów Jagiellonów. Miasto chwieje się między Wschodem i Zachodem. Zachód dotychczas nie wrósł w pojęcia mieszkańców, a o Wschodzie jeszcze nie zapomniano. Sami wilnianie nie mogą się jakoś zdecydować.

Zobaczę na własne oczy. Nasz generał z lekka pokpiwał z wycieczki i domagał się przywiezienia mu tradycyjnego piernika w formie olbrzymiego serca, wylukrowanego we wszystkich kolorach.

Dzisiaj wieczorem byliśmy naturalnie na Mokotowie, zdołaliśmy wyciągnąć nawet doktora Wydrę.

Środa - 6 marca

Niemal prosto z pociągu do biura. Czy ja wiem? Wstyd, żal, smutek i radość, ból głowy i zniechęcenie - to wszystko, co przeżyłam w Wilnie. Odpustowy jarmark i barwny folklor to były rzeczy nieważne. Czasami jednak człowiek bez głębszego namysłu coś zrobi, a później wspomnienia czy analizy wloką się za nim jak dym z komina lokomotywy. Gorzej, bo dymy się rozwiewają...

Poszłam - do spowiedzi. Był u niej nawet Michał, obecnie zdaję sobie sprawę z tego, że poszedł jedynie dla uspokojenia żony. Kazia jest niezwykle wrażliwa, a zatem była to ofiara ze strony delikatnego męża. Leokadia - wiadomo. Kazia naprawdę pobożna, bo głęboko wierząca. Wiara dobrego dziecka, które wierzy i nie stawia żadnych pytań. Co do mnie, nie chciałam w sposób brutalny napisać: byłam tam niepotrzebnie. Pragnęłabym nawet ustosunkować się do całości zagadnienia w sposób łagodny. Po kobiecemu, jak by to powiedziano w dawnych czasach. Czy ja wiem?!

W Lourdes ugięły się moje kolana przed głębią cudzej wiary i miałam w sobie jakieś serdeczne uczucia jakby małej dziewczynki. Kiedyż ja byłam ostatni raz u spowiedzi? Łatwo to obliczyć: w okresie Wielkanocy podczas mojego pierwszego roku akademickiego. Tym razem jednak Kazia wmówiła we mnie potrzebę odbycia jakiejś spowiedzi generalnej. Stało się. Głos spowiednika był gruby i dziwnie szorstki. Nie było w jego słowach troski o człowieka, współczucia dla jednostki, tylko bezlitosny fanatyzm. Nie mogłam zajrzeć mu w twarz, byłam zmuszona przyjąć nauki w sposób bezwolny, bezkrytyczny, podobnie jak to czynimy w stosunku do treści jakiejś płyty gramofonowej. Płytę gramofonową można zatrzymać, trudno jednak poderwać się z kłęczek i uciec od konfesjonału. Gorzkie są moje słowa, niemniej gorzkie były łzy, które łykałam tam, przed kratkami wileńskiego konfesjonału.

Stało się. Nie ulitowano się nade mną i nie starano się przyjść mi z pomocą. Szablon - szablon. Wypytywanie, ilu miałam kochanków, w jakich to było okolicznościach. Wzgardzono moim tłumaczeniem, pouczano w sposób twardy i raczej nieprzyjazny. Inteligencję i wykształcenie potraktowano jako momenty obciążające. Udzielono warunkowego rozgrzeszenia, wskazywano taniutki sposób wyzwolenia się z grzechów w postaci małżeństwa jako tolerancji grzechu przez Kościół dozwolonej i dzieci jako sposobu

przebłagania Boga za popełnienie tych win, błędów czy grzesznych czynów, które z powodu uświęconej formy małżeństwa nie podpadają pod pojęcie grzechu. Trudno to wszystko opisać.

Kto wie, czy profesor Wydra nie miał racji, gdy kiedyś na moje pytanie, jakie prawa rządzi ludźmi, odpowiedział: - Strach i przyzwyczajenie. - Strach z powodu słabości, a przyzwyczajenie w rodzaju dziedzicznego lenistwa. Pytałam również co w takich warunkach bywa katalizatorem dziejów ludzkości. Usłyszałam, że z impasu wyprowadza jedynie rewolucja lub kataklizm. Ale według profesora Wydry nie ma większej różnicy między jednym a drugim. A zatem znów nawrót do owego strachu i przyzwyczajenia. Rewolucje rodzą gwałt, ten zaś operuje strachem, przyzwyczajenie zaś jest tylko pochodną funkcją, strachu. Ale zbyt daleko zaszłam. W ten sposób nie oszukam samej siebie i nie wmówię sobie jakiegoś uspokojenia.

Nie czułam się dobrze przedtem, gorzej jeszcze po tej wymuszonej jakby spowiedzi. Najlepiej byłoby tylko od czasu do czasu gdzieś w ciszy mrocznego kościoła przykłęknąć i po swojemu uderzyć się w piersi mówiąc: - Nie wszystko, co czynię, jest dobre, ale pragnęłabym czynić lepiej. Żałuję. - I na tym poprzestać. Bez obnażania wnętrza duszy i éwiartowania godności własnych wspomnień przed innym, obcym człowiekiem. Skąd pochodzi pojęcie, że ksiądz koniecznie musi być mężczyzną? Kobiecość płci jako gatunek podlejszy wobec tego wszystkiego, co właśnie w Bogu rozumiemy. Wyprucie kobiecości z bóstwa. Później dopiero złączenie Boga, jako takiego, z synem kobiety wybranej jako naczynie dla urodzenia Boga-Człowieka. Technienie filozoficznej myśli greckiej w świat męskiej talmudyki pomieszanych wierzeń żydowskich.

Wydaje mi się, że już nigdy nie ugnę kolana w sposób, jakim los dobry natchnął mnie u źródeł wiary w Lourdes. Coś przełamało się we mnie. Wiara w Boga pozostała, natomiast oddaliłam się od zorganizowanego kultu. Nie mogłam rzec spowiednikowi po prostu, że jako twór Boży składam się z ciała i krwi, że przecież istocie mojej z woli Bożej dano - namiętności. Nie mogłam również zwierzyć się, że jednym z moich kochanków był sługa ołtarzy tego samego Boga. Bo i po cóż? W jakim celu? Przecież byłoby to wyznanie wiary faryzeusza, który w świątyni Pańskiej chełpił się tym właśnie, że nie jest celnikiem.

Przełknęłam łzy upokorzenia i położyłam je na ofiarę. Równocześnie jednak oddaliłam się od katolicyzmu. Nie gromów oczekiwałam, a raczej współczucia, że słabość ciała przyprawia mnie i pogrąża w rozterce. Stało się inaczej. Uchyliłam się co prawda przed wtórną symboliką sakramentu Komunii, w której widzę rodzaj pojednania się dziecka z rodzicem. Nie stanęłam zatem na pograniczu wiary i niewiary w Boga, a wprost przeciwnie: uzmysłowiłam sobie wiarę w Boga, lecz w dużej mierze wyzwoliłam się z tego strachu, o którym wspominał profesor Wydra.

Słodką jest zapewne owa serdeczna wiara, niepamiętna na wszystko inne, prócz samej wiary. Tęsknoty pełne owo piękne powiedzenie Kazi Kowalskiej, że wzbudzenie dziecka w jej łonie zawdzięcza modlitwom i wstawiennictwu matki swego męża...

Za parę dni moi goście rozjadą się w przeciwne strony, a ja znów zostanę sama. Po przeżyciach duchowych zatopię się znowu w liczbach i pieniądzach. Bo takie jest właśnie życie! Na co dzień pieniądze i sprawy materialne, na niedzielę, od święta wzniosłe rozmyślanie.

Piątek - 8 marca

Michał przyłapał mnie z Trentowskim w ręce. Pytania i pytania. Odpowiedzi - wyjaśnienia. Byliśmy sami, ponieważ obie moje ciotki wywiały do miasta. Przecież Kazia jest moją ciotką. Nieważne, dla mnie pozostanie zawsze Kazią, czuję do niej przywiązanie siostrzane.

Michał zrozumiał nie tylko dziki ogród moich niepewności, lecz przejrzał również na wylot warunki mego obecnego otoczenia. Poczciwy grubas. Człowiek mądry i nie fanatyk.

Fanatycy są szkodnikami. Fanatyzm jest aspołeczny, antyludzki. Pytał mnie również, jak dalece zabrnęłam w masonerii. Powiedziałam z uśmiechem, że jeszcze nie przekroczyłam granicy powieściowych historii Żeromskiego z... Heleną de With. Ale nie w tym sedno rzeczy. Michał nie krytykował. Wysłuchał spokojnie i na koniec powiedział tylko szczerze:

- Zatem, Anno, postawiłaś na Marcina, ponieważ to wszystko spłynęło na ciebie przez Marcina.

A gdy go zapytałam, oświadczył w sposób dziwnie stanowczy:

- Ja? Ależ nie! Ja chodzę własnymi drogami i jestem szczęśliwy.

Sobota - 9 marca

Zostałam sama. Profesor Wydra wyjechał do Łodzi na dwa dni. Nie pytałam. Widocznie ważne okoliczności, skoro zdecydował się na wyjazd. Wczoraj otrzymałam bardzo miły list od Matyldy. W liście paczka fotografii. W biurze powiedzieli, że mogę wziąć kilka dni urlopu, kiedy zechcę. Nie oznaczyli wyraźnie ile, a zatem sześć dni powszednich między niedzielami? Pojadę od dziś za tydzień. Na razie do Gdańska na imieniny stryjka Józefa, później zobaczę gdzie dalej.

Dzisiaj całkiem przypadkowo kupiłam kilka książek i między innymi broszurkę pod tytułem: *Jak obliczyć horoskop*. Kupiłam być może nie w celu obliczenia sobie horoskopu, lecz z ciekawości dla podtytułu: Znamiona charakterystyczne dwunastu zasadniczych typów ludzkich. Autorzy - chyba z Bydgoszczy? Fr. A. Prengel i Piotr Gawlikowski. A zatem:

„Urodzeni od 12 kwietnia do 20 maja lub z ascendentem w Byku - koło i styczeń z nim u góry półkuli z ramionami ku górze. Regent znaku planeta Wenus. Temperament urodzonego jest zasadniczo melancholiczny. Charakter cechują: silna wola, wytrwałość, stałość, upór. Do osiągnięcia swych celów dążą bezwzględnie. Pociąg do muzyki, śpiewu, teatru, sztuki oraz do rolnictwa i ogrodnictwa. Uczucie i rozum idą u nich w parze, dominują w życiu sprawy przyjaźni i miłości. Lubią dobrze jeść, pić i bawić się, wpadają czasami w smutek i osamotnienie. Są praktyczni i rozważają przed rozpoczęciem każdej sprawy. Przyjaciół, żonę lub męża znajdują między urodzonymi od 23 grudnia do 20 stycznia i od 24 sierpnia do 23 września. Do chorób podatne części ciała: gardło, szyja, organy oddechowe, serce, narządy płciowe”.

Jedno z dwojga: albo panowie P. i G. nie utrafili z charakterystyką, albo ja osobiście stanowią jeden z wyjątków licznych czy nielicznych. Pomieszane jak groch z kapustą. W każdym razie uświadomiłam sobie fakt przynależności do wiosennego znaku zodiaku: Byka.

Przedtem jeszcze w Wiedniu kupiłam sobie w antykwariacie mocno zniszczoną książeczkę pt: *Grundlagen der Astrologie* Hansa Wolffa, wydaną w roku 1921 w Monachium, Jati-Verlag. Dowiedziałam się z niej przez porównanie z polską broszurką, że znak zodiakalny Byka jest znakiem apostoła Andrzeja, samo zaś połączenie znaku Byka z planetą Wenus jest łatwo zrozumiałe. Równocześnie niemiecki podręcznik astrologii wyraźnie zaznacza, że: *Nach Auffassung der alten Astrologen ist Vulkan ein Trabant der Venus*. Do amuletów winnam wybierać: hiszpańskie topazy, chryzoberyle i chryzolity. Cóż, kiedy mnie podobają się raczej: szmaragdy, rubiny i szafiry, naturalnie prawdziwe.

Mam chwilę wolnego czasu, jutro zapowiada się równie spokojnie, lepiej zatem wypocząć. W dodatku trzeba przecież bodaj w skrócie przeczytać Trentowskiego, ponieważ profesor już dopytywał się o postępy w lekturze. Spróbuję przeczytać przynajmniej ustępy podkreślone ołówkiem.

Środa - 13 marca

W biurze harówka. Przezuwają i przetrawiają plon naszej wycieczki do Wiednia, zapytania ze wszystkich stron. Konto Marcina zmniejszyło się o siedem tysięcy. Różne wypłaty według dyspozycji. Poznałam jeden z warszawskich adresów. Ładnie.

Dzisiaj profesor poświęcił mi dwie godziny po wspólnie spożytej kolacji. W dalszym ciągu profesorski wykład. Rozmowy w moim salonie pod obrazem prababki Anny. Uwaga na temat złotego monogramu „M” na mojej, srebrnej zresztą papierošnicy. Upominek od Matyldy. Gotyckie „M”, a pod nim mały biały trójkąt emaliowany, z trzema niebieskimi kulami. Od razu spostrzezenie: Mathilde Meissl, ale bez żadnego dodatku. Nie mam pewności, ale to jest przypuszczalnie żeton „Bnei Brith”? Nie zawadzi. Marcin wspominał mi żartem o trzech rodzajach Braci: koniunkturalnych, tradycyjnych i towarzyskich. W tym wypadku mogłaby być mowa jedynie o trzecim rodzaju w odniesieniu do bardzo bogatej Matyldy.

W każdym razie zgodzili się na mój urlop w przyszłym tygodniu. Jadę - sobota w południe, jest akurat wygodny pociąg. Już napisałam do Elfrydy. Obecnie kłopot jedynie z wyborem prezentu dla stryjka. W biurze rozprawiają o zmianie gabinetu. Obliczenia, kto zostanie, a kogo zamienią. Każdy z nich ma kogoś, kto go popiera. Mały, trwożliwy światek urzędniczy.

Piątek - 15 marca

Będę miała co dźwigać. Masywny odlew żubra na kawałku granitu. Chyba z piętnaście kilo. Odlew spatynowany, wygląda imponująco. Co prawda generałowa twierdzi, że żubry są synonimem wiejskich szlachciców i nie nadają się do gabinetu kupca drzewnego, ale to głupstwo. Taki odlew wszędzie ładny. Właśnie dobrze będzie wyglądał w gdańskim gabinecie stryjka Józefa. Przecież kupcy gdańscy i polska szlachta byli z sobą mocno związani złotymi łańcuchami. W dodatku stryjek za swoje miliony mógłby nabyć spory mająteczek wiejski.

Sobota - 16 marca

Siedzę w pociągu i po raz drugi odczytuję listy od Zośki i Józia Michalskiego. Zośka zapowiada swój przyjazd do Warszawy, pewnie coś chwyciło w Grudziądzu. Józio domaga się zakończenia rachunków z domem, nic dziwnego, zapłacił z otrzymanej ode mnie gotówki koszty skarbowe. Trzeba będzie zatelefonować do Wąbrzeźna jeszcze jutro, pomimo niedzieli. Może uda mi się namówić Zośkę na wyjazd do Gdańska? Przecież to równie dobrze jej stryjek, jak mój. Mała szansa jednak, ponieważ Zośka jest zbyt silnie związana z Bydgoszczą - imieniem Józinka, oni trzymają z sobą.

Mam miejsce przy oknie, plecami do lokomotywy. Pan Petras powiedział po wsadzeniu mnie do przedziału:

- Pani wszędzie jeździ pociągami, pan profesor siedzi tylko w bibliotece, a wóz marnuje się w garażu..

Dobry sobie! Bez potrzeby tłuc się samochodem taki kawał drogi. W Gdańsku mają przecież samochody. Na krótkie przestrzenie to i owszem. W Polsce nie ma porządných dróg dla samochodów. *Halt!* Do Krynicy i do Zakopanego będę jeździć samochodem.

Jeszcze raz Wilno. Irenka. Umarł jej ojciec, sprzedała dwa domy i aptekę na Śląsku. Nowe dwa domy czynszowe w Wilnie. W tych warunkach jego profesorstwo i jej aplikacja sądowa to tylko jakaś zabawka na marginesie dobrobytu. Umysłowość dopasowana w sam raz do tego. Jako miara owe obecnie już trzy domy czynszowe. Zajmują całe piętro na mieszkanie. Państwo cała gęba. Ze wspomnień ani śladu. Pan profesor mocno się roztył, Irenka natomiast wyszczuplała. Przywitanie hałaśliwe i wylewne, później jednak coś w rodzaju apatii. Podobnej do tych apatii, które ogarniają zwierzęta, gdy się mocno najedzą. Syty - dobrobyt. Nie wydają nawet połowy swoich dochodów.

Grudziądz. Kto wie, czy nie znajdę sobie takiego dnia, który w całości poświęcę mojej Marcie. Zależy od tego, jak wypadnie z Gdańskiem. Czy Zośka już dobiega jakiejś transakcji z domem? A może nie martwi się tym, skoro z tych pieniędzy nic nie uszczknie dla siebie. Inżynier Stręk? Z takich inżynierów robią się zazwyczaj kupieccy zięciowie. Bez trudu

dostanie gotowe pieniądze za swój kawałek dyplomu. W tym wypadku „mężczyzna Strąk” jest jedynie dodatkiem do swego inżynierstwa. Ale może przesądzam sprawę? Ostatecznie za kogo miałyby wyjść Zośka? Inżynier byłby lepszy od jakiegoś kupieckiego kandydata z Wąbrzeźna.

Niedziela - 17 marca

Zamieszkałam na razie na Hundegasse, w dawnym pokoiku mojego brata. Umieszczono mnie tutaj z uwagi na wtorkowe imieniny stryjka Józefa, który obchodzi je w szczupłym gronie ze względu na miejscowe, odmienne zwyczaje Geburtstagów. Tak sobie. Wysłuchuję licznych opowiadań, przeważnie na tematy londyńskie. Oni mają swoje własne i w dodatku dość liczne kłopoty, ponieważ muzyk wycofuje swoje resztki majątkowe z Gdańska. Stryj zostanie samotny w firmie, pomimo zatrzymania starego szyldu. Obie Elfrydy są mocno zapracowane. Marzyły o Krynicy na marzec, ale nic z tego nie wypadło. Interesy są silniejsze od owych chęci, jak zwykle w kupieckich rodzinach. Z Paryża zrobiły się raptem dwa dni, w tym jedna noc pośrodku, a dwie inne w pociągach. Oni w dodatku biorą kupiectwo niezwykle poważnie i celebrują swoje „dwieście lat”.

Trudno pisać o wszystkim. Z najważniejszych spraw tylko tyle, że stryj zmałpował von Hartmanna i również zapisał się do partii Hitlera. Mąż pani Felicji odgrywa tam ważną rolę, a stryj powiedział mi krótko na osobności, że nie mogło być inaczej ze względu na dobro interesów handlowych. Naturalnie było to powiedziane w cztery oczy. Rzecz prosta, że moje B.B. schowałam na dno walizy, aby nie wpadło do oczu komuś zbyt ciekawemu. Jakże sobie ludzie utrudniają życie! Tutaj w Gdańsku robi się obecnie ścisk i żydowscy kupcy mają zduszone życie. Stryj mówi, że zmuszają go do przejęcia bardzo starej firmy żydowskiej Brock u. Sohn. Do niedawna była to jego najpoważniejsza konkurencja drzewna. Obecnie właścicielom tej firmy chcą dać jakieś głupie dwieście tysięcy guldenów za wszystko, mimo że wartość majątku przewyższa trzysta tysięcy dolarów. Oni się jeszcze bronią i odpowiadają na razie odmownie, ale gdańskie władze niszczą ich wszelkimi sposobami. Stryj mówi, że nie wytrzymają nawet kilku miesięcy. Chodzi o dobrowolność przyjęcia niskiej zapłaty, a stryj całkiem słusznie wzdraga się przed taką transakcją ze względu na londyńskie powiązania. Głupia sytuacja.

Z Elfrydy robi się powoli stara panna. Nie śmiem pytać. Ciotka Elfryda rozmawiała ze mną, ale również na osobności. Widocznie nie chciała przenieść dyskusji na rodzinne forum. Otóż nasz brat prawie nic nie napisał po przekazaniu mu dolarów, tak jak by to musiało być załatwione w taki, a nie inny sposób. Miły braciszek. Nie dziwię się, że na nas również gwizdnął i nic nie pisze. Przecież gdańska rodzina go wychowała - a pomimo to...

W sprawie sprzedaży domu nie mają żadnych informacji. Stryj prosił mnie w sposób bardzo poważny, abym przypilnowała tej sprawy. Dzwoniłam do Wąbrzeźna, nie było Zośki, a ciocia Millerowa wiedziała tylko tyle, że przebywa w Grudziądzu. Naturalnie nie zdziwiłam się.

Ze stryjem nie rozmawiałam jeszcze o Wildorfach. Nie czas na razie wyjeżdżać z takimi głupstwami, wobec sprawy wujka Fryderyka i firmy Brock. Trzeba odczekać sposobniejszej chwili. Von Hartmann zrobił się obecnie nieprzyjemny. Byliśmy u nich dzisiaj na obiedzie, zaprosili widocznie na mój benefis. Pomimo pewnej elegancji i uprzejmości, nagle dziwnie szorstki na sposób pruski. Starsze wydanie owego bezczelnego kuzynka Hansa „von” z Berlina. Wybitnie zmienił się ostatnio na niekorzyść. Adwokat - o wszystkim poinformowany, z dużym przekąsem rozmawiał o Krystynku. Nie podoba mu się, że rzucił on niemiecką służbę dyplomatyczną. Mówił, że powinien był raczej ożenić się na miejscu w Waszyngtonie z jakąś zamożną Amerykanką niemieckiego pochodzenia i wytrwać na stanowisku. Stryj próbował to łagodzić i zauważył, że kto wie, czy Krystynkowi po prostu nie kazano jechać do Brazylii na ową posadę, ale cała rozmowa o moim bracie była zabarwiona

jakąś nieszczerą nutką. Zapewne nigdy nie dowiemy się, jak to było naprawdę... z tym wyjazdem do Ameryki Południowej.

Czwartek - 21 marca

Jeszcze o Gdańsku. Wczoraj bawiła u nas Zośka i rozmowy wypadły - lepiej nie wspominać. Raczej źle niż niedobrze. Zośka myśli tylko o śrubkach. Psują się nasze stosunki. W końcu przy stryjku powiedziałam Zośce, że kto wie, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy odzepiły się od wąbrzeskich bławatów i poświęciły wyłącznie lakierom i śrubkom. W tym momencie siostra nieopatrznie wyjechała z tym, że ona ma ciężko, ponieważ sama musi wybijać się na powierzchnię ze śrubkami, a mnie lakiery miały podobno spaść z nieba jak manna. Rozumiem. Zazdrość. Ale trzeba się przecież hamować, takie rzeczy powinno się mówić tylko w cztery oczy! Było mi bardzo nieprzyjemnie wobec stryjka. Obliczyła sobie nawet proporcje finansowe. Co do mnie, to doskonale zdawałam sobie sprawę, że jeszcze przed śrubkami i za życia naszego ojca Zośka zawsze prowadziła na boku swoje własne interesy, ale nie robiłam z tego żadnych kwestii i nie zazdrościłam jej. A tymczasem obecnie przymówki. W dodatku Zośka jest wściekła z powodu kamienicy w Poznaniu i powiedziała mi w oczy, że podczas gdy ona sobie łamie głowę, skąd wziąć gotówkę na spłatę długu u stryjka, ja tkam gotówkę w domy, które przynoszą mało, podczas gdy jej kupiecki kredyt drożeje z każdym dniem. Trudna sytuacja, trzeba było stracić sporo nerwów, aby nie wyjść z siebie.

Co do grudziądzkich spraw, to podobno jest drugi reflektant, który daje sto dwadzieścia pięć tysięcy gotówką i drugie tyle weksłami. Na weksle jest częściowe zabezpieczenie w maszynach, a częściowe w zapisie hipotecznym. Mnie dogadzałby już raczej ten pierwszy reflektant. Sto siedemdziesiąt pięć tysięcy gotówką i sześćdziesiąt tysięcy na roczną hipotekę. Po dziewięć procent! Różnica piętnastu tysięcy, a faktycznie mniej, ponieważ od hipoteki biegłyby odsetki, a za zdyskontowanie weksli trzeba by płacić. Szkoda, że wówczas nie zdecydowałam się. Lepiej mniej - a zaraz. W dodatku nie wierzę w te różne zabezpieczenia weksli kupieckich maszynami itp.

Stanęło na tym, że ma zadecydować nasz grudziądzki notariusz. Ze swej strony dodałam, żeby Zośka potargowała się trochę z tym pierwszym reflektantem.

Jutro po południu jadę do Bydgoszczy. Oni wiedzą o tym, że jestem tak blisko, i trzeba jechać. Dzwonili, zapraszali, przy telefonie była Mela. Pojadę. Nie dlatego, by dokończyć interesów z Michalskimi, ale by trochę wyprostować poznańskie sprawy. Żeby nie myśleli, że się ich wystraszyłam na amen!

Z Wildorfami obeszło się bez stryjka Józefa. Kawczyńscy wszystko wiedzą. Stare dzieje. W swoim czasie było dwóch braci Wildorfów i jedna siostra. Prowadzili wspólnie interes kupiecki w Gdańsku, dostarczali żelazo do budowy okrętów. Stara firma sięgająca chyba siedemnastego wieku, a może i dalej. Młodszy syn podróżował po świecie i przywiózł sobie do Gdańska żonę katoliczkę. Podobno z Francji, brak jeszcze dokładnych danych. W rodzinie od razu powstały tarcia i nieporozumienia, owa siostra, stara panna, miała być niesamowitą jędzą, coś w rodzaju nieprzejednanej luterskiej dewotki. Widocznie zobrzydziła we wspólnym domu życie katolickiej bratowej. Ostatecznie młodszy brat ustąpił z Gdańska i ustalił się w Grudziądzu. Było to jeszcze w czasach panowania w Polsce saskich królów. Stosunki rodzinne niemal urwały się, pozostały jakiś czas jedynie kupieckie salda, ale z czasem i to się skończyło. Później w rodzinie starszego Wildorfa zjawiły się same córki i gdańską firmę wchłonęły rodziny zięciów. Historia dotyczyła dziadka naszej Zofii Wildorf. Tradycje dochowały się. Teraz wszystko rozumiem.

Warszawa - środa - 27 marca

Sobota w Bydgoszczy, niedziela w Wąbrzeźnie i Grudziądzu, w poniedziałek rano w warszawskim biurze. W Bydgoszczy - owszem, podejmowali mnie z fasonem. Ciotka taka sobie, ani zimna, ani gorąca. Niby trochę zazdrości, ale niezbyt wiele, wszystkich kłuje w oczy mój interes z lakierami, o którym Józinek niepotrzebnie naopowiadał. W dodatku *Tante Katherine* nie mogła się powstrzymać i powiedziała mi niby słodko, lecz uszczypliwie:

- No, Anno, robisz majątek w szybkim tempie, kupujesz domy, ale z małżeństwem jakoś nie wychodzi. Latka lecą, moja córuchno.

- A na co mi mąż? - odparłam. - Sama sobie daję radę i nie mam zbyt wiele czasu w moich interesach, aby jeszcze jakiegoś misia oprowadzać po świecie.

Miś to pieszczotliwe imię, jakie nadaje Mela swemu Józinkowi, gdy są dobrze z sobą. Byłyśmy same i dlatego tak powiedziałam. Ale czułam, że ciotka była zadowolona ze swej szpileczki. Ulżyła sobie, może ją złość odeszła? Miejmy nadzieję. Po cóż się kłócić? Zaczęłam nawet z innej beczki, wszystko wychwalałam, wille, meble, obrazy na ścianach, dobre interesy w obu „sklepach”. Zachwycałam się dziećmi, pokupowałam drobne prezenty. Ano - ciocia Anna!

Notariusz radził sprzedać pierwszemu reflektantowi. Może pomoże nam fakt, że równocześnie jest reflektant na część placów. Można by przeciąć posesję na dwie części i osobno sprzedać goły dom. Ale na to trzeba byłoby czasu, a stryjkowi potrzebna jest gotówka. Ponieważ ten pierwszy reflektant należy do stałej klienteli naszego przyjaciela, jest nadzieja pomyślnego załatwienia sprawy w krótkiej drodze. Z przerzuceniem całości kosztów na kupującego, gorzej, ponieważ taki już zwyczaj, po połowie. Łatwiej byłoby utargować jeszcze parę tysięcy, ale nie w kosztach.

Decyzja ma zapaść w ciągu kilku najbliższych dni, przy mnie notariusz rozmawiał telefonicznie z reflektantem, mimo niedzieli. Cierpliwości - jest zgoda Zośki, a to było w tym wypadku najważniejsze. Trudno było bowiem powiedzieć: ja pokryję różnicę pomiędzy cenami ze swej połowy. Zośka jakoś ułagodzona, ponieważ Józinek wpadł na bardzo mądry pomysł. Oni tam w Bydgoszczy, w związku z rozkręceniem się interesu z bielizną, mają kilku podróżujących, którzy odwiedzają małe miasteczka, a nawet wioski, z towarem brany u nich na kredyt. W ten sposób, oprócz zwykłego towaru upychają powoli, lecz systematycznie różne *Lagerhütter*y. Okazało się, przy dość nawet pobieżnych oględzinach, że w naszym składzie tkwi dobre sto tysięcy w różnych niechodliwych sortymentach. Nie chciałam tego wypomnieć, ale widocznie nasza Zośka po śmierci ojca nie zadała sobie trudu przypilnowania czy też nie miała czasu i nagromadziły się wielkie ilości takich towarów. Ojciec za życia urządzał kilka razy do roku różne okazje, wyprzedaże, białe tygodnie itp. i bardzo często sprzedawał za pół darmo, ale przy takiej kalkulacji nie gromadziły się w sklepie stare graty. Trudno. Czysta strata.

Stanęło ostatecznie na tym, że Zośka wspólnie z Michalskimi wysortuje stary towar i z wiosną puści się to w ruch. Józinek mówi o jakichś osiemdziesięciu tysiącach gotówki z tego źródła, naturalnie dziesięć procent dla niego, za organizację. Zrozumiałe. Nabrałam otuchy. To mój jakby pierwszy krok do wycofania się z bławatów.

Oplaciło się pojechać do Bydgoszczy. Gadu, gadu, uszczypliwości, ale przy tej okazji wynikło coś korzystnego. Jakaś inna Anna byłaby pogrzmiała samochodem na krygowanie się na deptaku w Krynicy. Sama siebie muszę pochwalić, skoro nikt mnie nie chwali! Czasami bardzo mi dokucza samotność.

Tymczasem jeżeli chodzi o sprawy warszawskie, w sobotę zapraszam gości pierwszy raz po powrocie z zagranicy. Będzie ponad dwadzieścia osób, ponieważ zaprosiłam dokładnie dwadzieścia sześć, ale może ktoś nie dopisze. Listę ustalałam wspólnie z generałową i naszym profesorem. Mieszane towarzystwo, w tym jednak wypadku objawił zainteresowanie i ze swej strony przypomniał o dwóch nazwiskach. Bardzo dobrze.

Czwartek - 28 marca

Niespodziewana kolacja w „Bristolu”. Wujcio Benedykt i pan Karśnicki, młodzi Orzechowscy i ich warszawscy rodzice. Sześć osób, nastrój taki sobie. Trochę wymówek, że zanedbuję warszawską rodzinę, to znaczy młodych Orzechowskich. Ale kiedyż na to czas? W połowie restauracyjnych uroczystości dosiadł się do nas młody Liteński. Jego ojciec bawi obecnie u swej córki w Salzburgu. Pan Rudolf dwojga herbów jakiś zmartwiony czy skwaszony. Nie pytałam, co to mnie obchodzi. Ojciec jest znacznie ciekawszy, tematy do opowiadań z humorystycznej przeszłości. Z powodu Wielkiego Postu bez kręcenia się na parkiecie. Wiejscy znajomi mieszkają w „Hotelu Europejskim”. Pan Karśnicki skupiony i poważny, cóż kiedy rozmawia tylko o wsi.

Piątek - 29 marca

Byłam w kropce z jutrzejszym przyjęciem, ale generałowa dopilnowała przygotowań. Z mojego ministerstwa nikogo nie zapraszam. Nie znamy się prywatnie, po co mam pierwsza zaczynać. Zresztą moje sąsiedztwo w biurze jest bez głębszego znaczenia. W dodatku od wczoraj mamy nowy gabinet, trzeci z rzędu Walerego Sławka. Naprzód musi się wszystko ułożyć. W urzędniczym świątku na razie panuje zamieszanie. Z tego Sławka Mokotów niezbyt zadowolony. Nazywają go starym rewolucjonistą. Nie robi interesów, marzy o jakimś czyszczeniu z dołu do góry. Gdy kiedyś zostanie czwarty raz premierem, będzie czyścił z góry do dołu. Podobno ma talent do zrażania sobie ludzi. Mokotów marzy o Kościałkowskim, ten przynajmniej jest facet do rzeczy. Nie znam się na tym. W każdym razie Sławek nie będzie na moim jutrzejszym przyjęciu. W najbliższym czasie - na Mokotowie również. Ja na wiele zjawisk patrzę poprzez brydżowe karty. Tak to się ułożyło w moim życiu.

Niedziela - 31 marca

Uzbierało się. Trzydzieści dwie osoby ze mną i profesorem. Goście z ostatniej kolacji w „Bristolu” w komplecie. Kwiaty i kwiaty, przyjęcie potraktowano jako poświęcenie nowego mieszkania. Brakło jedynie księdza proboszcza z kropidłem i z apetytem. Okazało się, że pan Karol zawsze sam dobierał napoje. Koszty przyjęcia niewysokie ze względu na zapasy piwniczne i dostawy z Górek.

Święta na wsi u ciotki Leokadii. Pojadę moim samochodem, zabieram pokojówkę, niech się trochę przewietrzy.

Środa

Ależ oni kopią dołki pod tym nowym premierem, niedługo się utrzyma. Wirewicz mówi, że nie dociągnie do lata.

Zawiadomienie w zwykłym liście o dokonanej sprzedaży domu. Nawet trochę więcej. Sto osiemdziesiąt tysięcy gotówką mają przekazać na moje konto w Banku Handlowym. Prawie byłam pewna, że ten interes chwyci. Ale na świecie nigdy nie wiadomo. Wszystkie koszty sprzedaży wyniosły 7135 złotych. Zamiast umówionych dwustu dwudziestu pięciu tysięcy gotówką stryj Józef otrzyma tylko sto siedemdziesiąt dwa. Niezbyt dobrze, ale oni w Gdańsku byli przygotowani na takie ewentualności. Może stare łachy z Wąbrzeźna przyniosą nam coś tymczasem. W każdym razie pojadę na święta już znacznie spokojniejsza. Najgorsza sprawa została załatwiona.

Piątek - 5 kwietnia

Wczoraj otrzymałam prywatny list od pani Maltz, w którym radzi przeniesienie moich paryskich dolarów do Genewy. Natychmiast wysłałam ekspresowy list z odpowiednimi dyspozycjami. W Paryżu zostawiam jednak na koncie dla przyzwoitości i dla wygody trzysta dolarów, aby konta nie likwidować.

Sobota - 6 kwietnia

Przed chwilą dzwoniła do mnie Pelasia. Przyjechała z małą Anną i oczekuje mnie w mieszkaniu. Widocznie coś nagłego, ponieważ nie sądzę, aby na początku kwietnia była pora na podróż z małym dzieckiem.

Wieczorem. Naturalnie. Szwagierek zarząnął się i ma w przyszłym tygodniu jakieś przykre płatności. Pelasia przywiozła z sobą pudełeczko ze złotymi monetami, to samo, które wręczyłyśmy jej po śmierci naszego ojca. Tylko tyle, że ilość sztuk zmniejszyła się obecnie do siedemdziesięciu sześciu. Podobno ten cały kram ma wartość koło dziewięciu tysięcy złotych, nie wiadomo dlaczego pozamieniali stare złote marki na dwudziestodolarówki. Pelasia przyjechała do Warszawy, ponieważ nie chcieli robić w małym miasteczku ruchu ze złotymi monetami wśród tamtejszych kupców żydowskich. Bardzo mądrze to sobie wykombinowali, przynajmniej w tym zachowali odrobinę rozumu. Nie warto uwieczniać detali. Podobno Tuchołce przyrzekli prawo wyrębu i on na to liczy jako na ostatni ratunek. Co prawda w tamtej okolicy jest skąpo z lasami, ale kto ma rąbać lasy, jak nie pan starosta, któremu potrzeba pieniędzy.

Załatwienie sprawy bardzo proste. W poniedziałek pożyczę Pelasi dziesięć tysięcy na zwykły kwit odręcznie przez nią napisany, a monet nie pozwolę sprzedać. Zatrzymam je, przechowam. Wydam nawet coś w rodzaju pokwitowania, że monety przyjąłem do przechowania. U mnie będą pewniejsze. Tymczasem obie zatrzymuję w gościnie. Jeżeli będzie gwałt, to pieniądze przekażę Tuchołce telegraficznie, jemu przecież tylko na tym obecnie zależy. Niech sobie Pelasia trochę odpocznie od Tuchołkowego kieratu. Bez niej jakoś sobie na wsi poradzą, mają na miejscu ciotkę. Mała Anna bardzo grzeczna, robi się coraz bardziej podobna do matki. Naturalnie siostra w kolejnej - piątej ciąży. Coś koło szóstego miesiąca. Całe szczęście, że nie przejmuję się pierepałkami pana starosty kresowego. W tych warunkach nawet ciężę stanowią dla niej jakieś domowe pieredyszki. Już zdążyłam przyswoić sobie kwiatuszki warszawskiego słownictwa porosyjskiego.

Mała Anna goni po całym mieszkaniu i korzysta ze swobody. Zwierzyła mi się, że to tylko u mnie, ponieważ w domu musi być cichutko. Ojciec nie pozwala gonić, a starsze siostry już się uczą i trzymają tylko z sobą. Jasia i Małgosia. Mała Róża ledwo chodzi, na razie nie nadaje się do zabawy z Anną. Wszystko to były zwierzenia nie tyle wobec ciotki, co matki chrzestnej. Ciekawe - kupiłam jej dzisiaj po południu dwie lalki, obie blondynki, ale odmiennie ubrane. Sama sobie wybrała w sklepie i od razu je nazwała: Jasia i Małgosia! Właściwie ona wymawia: Joasia, ale to już fanaberia mojego szwagra. Mała Anna już w sklepie powiedziała: - Teraz lalki będą się bawiły ze mną... Joasia i Małgosia.

Zobaczę, co mi zaśpiewa moja siostra, gdy jej jutro zaproponuję tydzień gościnny u mnie. W każdym razie Pelasia to porządne ciele. Całe szczęście, że przy swoim łagodnym usposobieniu nie przeżywa zbyt głęboko głupstw swego męża. Z opowiadań siostry wynika, że szwagier w dalszym ciągu choruje na różne urojenia wielkości i mądrości. Warto byłoby, żeby ktoś z rodziny pojechał na te kresy i obejrzał krytycznie jego wiejskie królestwo z długami. Ale wiem, że Maksiu nie zechce, ponieważ on zawsze ustosunkowywał się do Piotrusia z mocną rezerwą i raczej chłodno. Ja osobiście nie znam się na wsi i nie chciałabym robić wynalazków, zresztą mnie by Tuchołka nie posłuchał.

Ciekawe, gdy opowiadałam siostrze o spleceniu Krystyna, ona od razu mi przerwała:

- A kiedy się rozliczycie, ty i... Zośka?

Nieglupia. Ma swój rozum, spokojny i bez chorobliwego dowcipu. W dodatku zaraz po rozcięciu przeze mnie sprawy z monetami wyrwało jej się szczere odezwanie:

- Tobie, Anno, dobrze, urządziłaś się, nikt tobą nie dyryguje i masz święty spokój. Przed tym twoim uniwersytetem nigdy nie sądziłam, że tak sobie urządzisz życie. Wygodne życie - powtórzyła siostra z głębokim westchnieniem.

Rozumiem ją. Taki mąż jak Tuchołka to problem. Niby spokojny, krzywdy nie robi, a jednak jest z nim wiele kłopotu.

Oddałam Trentowskiego naszemu profesorowi. Zadał mi kilka pytań, lecz bez specjalnego wydłubywania i sprawdzania, w jak doskonałym stopniu przeczytałam. Równocześnie doręczył mi dwie nowe książki, tym razem w języku polskim. Co do pierwszej, zalecił mi ją jako rzecz wysoce humorystyczną, a drugą nazwał ciekawą ze względu na osobę autora. Już w swoim czasie Marcin wspominał mi o obu książkach, lecz nie przywiązywałam wówczas do tego znaczenia. Obie napisał Roman Dmowski, pierwszą: *Dziedzictwo* - pod pseudonimem Kazimierza Wybranowskiego, natomiast w drugiej na pięciuset stronicach zostały zebrane artykuły Romana Dmowskiego umieszczane w ostatnich latach głównie w „Gazecie Warszawskiej”. Okazało się, że profesor korygował niemieckie tłumaczenie tej pracy, dokonane współcześnie przez kilku płatnych tłumaczy. Z pieniędzy Marcina, a dokładniej określając - za pieniądze wypłacane moją rączką. Ciekawe: tłumaczenia nie są przeznaczone do druku i mają służyć jedynie jako materiał orientacyjny czy informacyjny do jakiejś innej pracy.

Pierwsza rzecz to bzdura. Trudno inaczej określić. Poświęciłam kawałek nocy i przeczytałam jednym tchem. Wszystko cacy, po śmierci stryjka zjawia się na pogrzeb jego wychowanek, arystokrata w każdym calu, którego usiłują omotać masoni w celu wydarcia mu kompromitujących dokumentów, przechowywanych czy skradzionych im w swoim czasie przez nieboszczyka. Czego tam nie ma! Utajony wódz masoński, jego córeczka w roli żydowskiej kokoty *à la quasi* jakaś modern-Judyta, różne sztuczki kryminalne i detektywistyczne z napadami, wszystko cukierkowate, a na końcu *happy-end* Zbigniewa Twardowskiego, bohatera powieściowego i pogromcy żydowskiego masona Kulmera *vel* Culmera, w osobie warszawskiego adwokata. Filmowy prawie scenariusz, pies, który działa cuda (widocznie pan Dmowski uczęszcza do kina na amerykańskie filmy) oraz omal nie pokrzywdzona bidulka, córka wiejskiego szlachcica, jakaś Wandeczka Czarnkowska, *made* w stylu najznakomitszej literatki we własnym domu, dobrej paniusi Heleny Mniszek. Naturalnie książdz, w tym wypadku miejscowy proboszcz, z kryształowym charakterem, przyjaciel nieboszczyka stryja. Hojdu-bajdu.

Ale w każdym razie warto poczytać, ubawiłam się. Według mnie pan Dmowski korzystał w tym wypadku z jakichś opisów z końca osiemnastego wieku, gdy Wielki Cofta, inaczej Józef Balsamo, robił karierę awanturnika na egipskich historyjkach. W czasach dzisiejszych pierwszy lepszy magik cyrkowy mógłby mistrza Józefa zapędzić w kozi róg, ale wówczas takie minimum imponowało i do kieszeni „doktora Balsamo” sypały się dukaty z kiesek durniów, którym nie wystarczały kochanki, nowinki modnych encyklopedystów oraz imć pan Wolter do spółki z Janem Jakubem Rousseau.

Przewrót czytam uważnie. Warto. Profesor Wydra krótko wspomniał, że niektórzy zagraniczni przyjaciele i znajomi pana Dmowskiego są znani jako masoni od kilku pokoleń. Czasami tak bywa, że człowiek zainteresowany dowiadyuje się o takich historiach dopiero na samym końcu.

Niedziela - 7 kwietnia

Stryj Józef przyjedzie dopiero w nocy ze środy na czwartek. Pelasia zostaje. Ze szwagrem rozmówiliśmy się również telefonicznie. Piotruś utargował jeszcze dodatkowe dwa tysiące. Chciał pięć, ale nie dałam. Wolę dać tysiąc złotych do ręki Pelasi, mogą się jej przydać.

Poniedziałek - 8 kwietnia

Karola wyprawiłam z gotówką do szwagra.

Środa - 10 kwietnia

Wiadomość o śmierci generała Zbislawskiego. Zawiadomienie drukowane na brystolu z czarną obwódką. Koniec ze starym generałem. Została po nim jedynie teściowa Wieroczka, babka obu sióstr. Brystol w języku francuskim, bez wymienienia wyznania. Bez krzyża, krótko: Serge Sbislavski, obywatel miasta Lozanny, urodzony 7 stycznia 1855 roku, bez podania miejsca urodzenia. Jednym słowem ani słówka o Petersburgu i Rosji. W osiemdziesiątym pierwszym roku życia. Na zawiadomieniu podpisane tylko obie siostry, Patrycja Crymoult i Florencja Jambor z rodziną.

Ano, trzeba pisać kondolencje. Szkoda, tyle razy wybierałam się w odwiedziny do Lozanny, no i spóźniłam się. Stary Zbislawski operował do ostatnich czasów poważnymi aktywami, obu siostrą spadnie znów majątek do podziału. Ciekawa jestem, co oni zrobią z Wieroczką. Kogo ona będzie obecnie maltretować? Do Montreux bliżej, przeniesie się chyba do młodszej wnuczki. Zamąci spokój w domu Marcinów. A może babci zechce się do Paryża?

Pelasia mówi, że odżyła przez te kilka dni. Mała nie chce jechać z powrotem. Ładnie bym wyglądała. Przecież normalnie wpadam do domu jedynie na obiad i na kolację. Ostatnio prawie że nie mam osobistego, prywatnego życia. Szczęśliwi ludzie, którzy nic nie mają na głowie. Przynajmniej dobrze, że przyzwyczałam się do notowania w bloczku. To pomaga znacznie więcej niż patrzeć w lustro. Bloczek to mój jedyny przyjaciel. Przed nim sama siebie pocieszam i jest mi jakoś lżej na sercu!

Sobota - 13 kwietnia

Można oszaleć. Rano odjechała Pelasia z dzieckiem, stryj jedzie tam za dwa lub trzy dni, urwanie głowy. Dzisiaj przyjęcie u mnie, nowi goście, nowe zlecenia z Montreux do załatwienia. Ledwo żyję. Kiedy to się nareszcie skończy? Źle zrobiłam, ale trudno, wówczas byłam głupią kózą. Trzeba było od razu po śmierci ojca zrobić rodzinną wyprzedzą i każde z nas byłoby dostało do ręki swoje własne, określone pieniądze lub inne wartości. A tak wszystko przewleka się w nieskończoność!

Pomimo tylu przeciwności czytam skrypty, ale czasami łapię się na tym, że nic nie rozumiem z tego, co czytam. Czytają oczy, a myśli bujają w innych światach. Gdzie mnie w tych dniach do prawa handlowego!

Jakże się dłuży ten dzisiejszy dzień biurowy. Wszystko mi jedno, ale od poniedziałku poświęcam systematycznie cztery godziny dziennie na przygotowanie pracy dyplomowej dla Sułkowskiego. Wiem, że zapcham sobie do niemożliwości cały dzień, ale trudno. Przypomnę stare poznańskie czasy, gdy chodziłam na wszystkie wykłady, czytałam skrypty na bieżąco, a równocześnie wkuwałam słówka angielskie. Pod tym ostatnim względem jestem chyba bezkonkurencyjna. Do dzisiejszego dnia posiadam setki małych karteczek ze słówkami i dopisaną wymową. Wyuczyłam się na pamięć różnych podstawowych zwrotów i to wszystko mi zostało. Po angielsku mówię przypuszczalnie bez polotu i w sposób nieinteresujący, niemniej sporo umiem. Czytanie przychodzi mi gładko, czasami utykam na składni, lecz ze słówkami bardzo bogato. A więc do nauki, Anno!

Panna Beata ma dzisiaj zakończyć ostateczne zamknięcia za pierwszy kwartał. Podobno zyski. W sklepie postanowiłam siedzieć codziennie od wpół do siódmej do wpół do ósmej, godzina chyba wystarczy. Narady nad dniem następnym - najbardziej dogodna pora. Tak się umówiłam z panną Walczak. Natomiast generałowa wpada przed południem i pomaga, doradza w tym i owym, całkiem rozsądnie i korzystnie. Kobięca firma i jakoś się kręci. Ostatnio od miesiąca mamy nowego podróżującego, również kobietę. Mocno wyszczekana dziewczyna, ma dobrą szkołę chemiczną w fabryce magistra Klawego. W tej chwili wybija okna dla naszych lakierów na terenie Galicji - Kraków i Lwów. Tam sklepy są w rękach

żydowskich, a ci bojkotują obecnie Hitlera. Ma dobre wyniki. Uroda średnia, ale w rodzaju podobającym się mężczyznom. Co mnie do tego, może to nawet pomaga w interesie?

Niedziela - 14 kwietnia

Wieczór, już chyba po północy. Dzisiaj nasz profesor podejmował na dole jakieś męskie towarzystwo. Nie wtrącam się do tego. Szczegóły uzgodniliśmy jeszcze dwa dni temu. Mam na myśli gastronomiczne. Podaje Karol.

Całe niedzielne popołudnie poświęciłam na wertowanie cyfr ze sklepiku z lakierami. Wydaje mi się, że moje lakiery stoją już na dość pewnych nogach.

Chłodno podchodzę obecnie do cyfr. Panna Walczak szacuje na podstawie doświadczenia, że w naszej branży pierwszy kwartał w roku stanowi mniej więcej trzecią część rocznego obrotu.

A zatem bieżący rok winien przynieść koło stu tysięcy czystego zysku. Już dzisiaj przewiduję, że z zysku obecnego roku uzupełnię kapitał zapasowy do dwudziestu tysięcy i w ten sposób w samej firmie zamknę całkowicie naszą dodatkową odpowiedzialność jako wspólników tej sp. z o.o. Ładnie. Bardzo wygodna forma działania. Kupiec nie odpowiada całym majątkiem, jak niestety w odniesieniu do naszych bławatów. Trzeba będzie pomyśleć również o Wąbrzeźnie.

Osiemdziesiąt tysięcy. Pięćdziesiąt sześć dla mnie, a reszta dla pozostałych trzech wspólniczek. Jakoś nie zazdrozczę. Dla Florencji to guzik, dla generałowej bez głębszego znaczenia, dla Zośki - kropla w morzu jej projektów. W każdym razie w przybliżeniu już wiem, na co mogę liczyć i w jakich granicach gotówkowych mogę wciągać lakiery do moich innych interesów. Na razie zatem milczenie z cyframi do lipca.

Wielki Wtorek

Bank nadesłał przypomnienie o konieczności zapłacenia odsetek za dalsze trzy miesiące 24 bieżącego miesiąca. Właśnie owo przypomnienie bankowe pobudziło mnie do myślenia. Ponieważ kwietniowa płatność do Paryża została już przez nas załatwiona i stan gotówki w kasie i banku wynosił wczoraj około dwudziestu tysięcy złotych, zdecydowałam się momentalnie na upłatę zastawu. Konto Marcina urosło tymczasem prawie do dwudziestu pięciu tysięcy. Zgromadzę gotówkę. Już puściłam w ruch sprężyny inkasowe naszych lakierów. Panna Beata liczy na sześć do siedmiu tysięcy - najdalej do czwartku rano. Zobaczymy, czy nie uda mi się zgromadzić połowy sumy. Ulżyłoby mi. Początkowo miałam zamiar upłacić tylko dwadzieścia pięć tysięcy, ale później panna Beata nasunęła mi myśl, że właściwie można by podnieść kredyt na lakiery do pełnych stu tysięcy złotych. Obecnie dług ten wynosi sześćdziesiąt dwa tysiące. Zobaczymy, na razie odczekam do czwartku.

Co prawda - na moim koncie w Banku Handlowym dopisali już przekaz z Grudziądza, ale stryj Józef uprzedził specjalnie, że przybędzie do Warszawy 25 kwietnia, i prosił, aby kwota była w pogotowiu. Ma jakieś terminowe płatności, pieniądze zatem, jak by ich nie było. I tak trzeba będzie łamać sobie głowę, ponieważ przyrzekliśmy dwieście dwadzieścia pięć tysięcy, a dajemy tylko sto siedemdziesiąt dwa tysiące.

Nasz profesor zdziczał. Uprzejmy w dalszym ciągu, lecz nie sposób wyciągnąć go na dłuższą rozmowę. Może i dobrze, ponieważ w tych dniach haruję jak dziki osioł i nie mam głowy do mądrzejszych rzeczy. Biuro, sklep, klecenie pracy dyplomowej, tysiące drobnych spraw. Nawet nałożenie administratora. Co prawda gładki i oblatany po świecie, ale nudny ze swoją pasją opowiadania mi o różnych warszawskich siuchtach. Może to i ciekawe, ponieważ plotki stanowią naturalną pożywkę dla zdrowego humoru i dobrego trawienia. Ale nie zawsze przychodzi w porę. W dodatku nie znajduje u mnie na razie większego zainteresowania dla spraw czynszowego domu Marcina przy ulicy Chmielnej. To jest również problem jakiegoś warszawskiego kompleksu ulic de Quatre Pieds i du Pont Vert, ponieważ obie posesje, przy

ulicy Hortensji i Chmielnej, graniczą z sobą oficynami. Jakieś bardzo dawne historie, gdy ulica Chmielna jeszcze nie istniała, a przy Hortensji już stał jakiś pałac, który później został przebudowany na dom, gdzie mieszkamy. Marcin złączył to z powrotem w jedną całość.

Ktoś dzwoni - pewnie Mokotów. Zgadłam, godzina ósma, zapraszają na kolację. Trzeba jechać, już wysłali samochód.

Czwartek - 18 kwietnia

List z Genewy - od Florencji. Pisze bardzo krótko o interesach. Pani Maltz załatwiła zgodnie z moją prośbą. Na jej bowiem ręce przesłałam odpowiednie pismo do mojego banku w Paryżu, aby na koncie u siebie zostawili jedynie okrągłą kwotę trzystu dolarów, a resztę przekazali do banku papy Dubowa, w którym już dawniej otwarto mi konto we frankach szwajcarskich. Według rozliczenia bankowego z Genewy - na tym koncie figuruje obecnie kwota dokładnie: 37 156,72 franków szwajcarskich.

Florencja pisze, że to jest obliczenie paryskich prowizji *per* ostatni grudnia, od całości.

Zajlich plus Warszawa. Ładnie. Teraz wiem, co mam, prosty rachunek. Koło sześćdziesięciu trzech tysięcy na nasze złoto. Króciutka notatka, że „Cztery Kamienie” zapłaciły od tych sum już we własnym zakresie podatki francuskie, możliwie najbardziej korzystnie dla mnie. W tym miejscu Florencja umieściła trzy kropki... Rozumiem doskonale wymowę tych kropek. Poza tym wiadomości rodzinne, mniej interesujące.

Z zastawem bankowym załatwiłam pomyślnie. Oddycham. Ogółem wyciągnęłam z lakierów równo dwadzieścia dziewięć tysięcy, a z konta Marcina podjęłam dwadzieścia pięć tysięcy. Dług w banku zmniejszył się do sześćdziesięciu tysięcy, to już coś jest.

Porównanie obu cyfr - poznańska kamienica jest w całości moja. Franki jednak zostaną w Genewie jako żelazna rezerwa, a z długiem bankowym jakoś sobie poradzę.

Piątek - 19 kwietnia

Piszę parę słów w biurze. Zaraz po obiedzie urywam się i jadę do Górek. Wczoraj były dwa listy. Zośka pisze o pieniądze na udział w jej śrubkach, chce od razu dziesięć tysięcy. W drugim liście Józinek przypomina przypadające na mnie koszty za sprzedaż domu. Po potrąceniu tego, co wyłożyłam u warszawskiego rejenta, trzeba będzie mu zwrócić 3185 złotych. Może jeszcze trochę poczekać, właśnie piszę do niego list z życzeniami świątecznymi. Chociaż z drugiej strony widać, że zabrał się na serio do sprzedaży starych łachów, pisze, że wysortowali już pierwszą partię i część puścili w ruch. Oby dużo, oby wszystko!

Na razie *schluss* z interesami i cyframi. *Treuga pecuniarum!* Proponowałam mojej kucharce, aby pojechała na trzy dni do swego Kalisza, ale mówi, że nie ma do kogo. Co prawda propozycja wyszła od naszego profesora, ja ją tylko podtrzymałam. Namawiałam go również na wyjazd, ale grzecznie odmówił, ma pilne sprawy do opracowania. W każdym razie codziennie otrzymuje spore pakiety. Przeważnie z Anglii i ze Szwajcarii. Liza wie wszystko, jak zwykle pokojówki. Stąd i ja wiem.

Koniec z pisaniem, bo mnie wołają na jakąś konferencję.

Nic ważnego. Przylecieli z MSZ i jeszcze raz kazali sobie klarować wiedeńskie sprawy. Byli zdziwieni, że ja tak od razu, z główki.

Przeglądałam kalendarzyk i zobaczyłam w spisie różnych spraw do załatwienia taką notatkę: w kwietniu napisać pracę dla Sułkowskiego! Rzeczywiście, moje westchnienie było na miejscu. Ale zobaczymy, w każdym razie już coś mam.

U góry wszyscy mają pietra, ponieważ nowy premier wydziwia i zapowiada rządy silnej ręki. A jakże - akurat mu na to pozwolą. Tak mi powiedział dzisiaj w „Ziemiańskiej” mój generał a. D., ale nie: *anno Domini*, lecz: *ausser dem Dienste*.

W sklepiku trafili wczoraj na mój dobry humor i na poczekaniu napisali coś w rodzaju prośby do mnie. Ostatecznie interes idzie, można. Zgodziłam się na wypłatę wszystkim pół pensji z okazji świąt wielkanocnych. I tak mieli już powypłacane od tygodnia różne ciche *a conta*, udaję, że o tym nie wiem. Tak jest najlepiej, wspominam moje własne bydgoskie lata...

Warszawa - piątek - 26 kwietnia

W trzecie święto wyjechałam z Górek i środowy dzień spędziłam w biurze z silnym bólem głowy. Nawalili mi pracy. Moi referendarze nie pomagają, a raczej na mnie spychają czarną robotę, sami bawią się drobiazgami. Muszę rozważyć możliwości albo pozbycia się ich z góry, albo kupienia sobie ich za jakąś cenę. Nie chciałabym też wprowadzać do domu tej hołoty przed rozpoczęciem z przyjęciami dla górnej „szychty” z mojego ministerstwa. Trzeba będzie dobrze rozważyć wszystkie *pro* i *contra*, ponieważ sprawa zapowiada się na dłuższy okres.

Święta bez specjalnego wyrazu. W niedzielę i poniedziałek lał deszcz i podcinał jakiś spóźniony śnieżek. Pogoda pod psem, w dodatku słaby i nudny brydż jako przymusowa pańszczyzna wiejskich dziedziców. Wszędzie te same wzorki, w mieście i na wsi. Jedyne urozmaicenie to dwie bytności w kościele, jako *rendez-vous* dla najbliższej okolicy. We wtorek rano myszkowałam na strychu i zabrałam sobie znów trochę drobiazgów. Resztę mają mi przysłać samochodem ciężarowym, przy okazji. Leokadię bawi to moje wyszukiwanie starych rzeczy. Tym razem zabrałam wszystkie stare rękopisy, niektóre sięgają końca siedemnastego wieku. Listy, różne rejestry gospodarcze oraz stroje sprzed stu i więcej lat, trochę starej broni. Karol wyładował tym cały samochód, ledwie się zmieściłam na tylnym siedzeniu. Dzisiaj wieczorem Liza odkurzała wszystko pod moim kierunkiem. Resztę przysłał przy okazji dostarczania prowiantów.

Maksiu mów, że na wsi są coraz większe kłopoty z prowadzeniem gospodarstwa. Całe szczęście, że oni w dalszym ciągu handlują zbożem i wyciągają z tego żywą gotówkę. Wszyscy mówią tylko o tej... gotówce, tymczasem większość spraw kręci się na mocno kulawym kredycie. Sam majątek o niczym nie stanowi, można być bardzo zamożnym człowiekiem, a stać bez gotówki. W drugie święto zjawiał się w Starej Wsi pan Karśnicki, oni mu tam podtykają siostrę młodej Orzechowskiej. Taka sobie panienczka, dobrze już przywiedła, ale biorąca się dzielnie do dzieła, Pewnie po trzydziestce, ale rozrośnięta w biodrach, będzie mu rodziła dzieci. O twarz przecież w tym wypadku nie chodzi. Kandydat na męża - w dalszym ciągu nudny. Wujcia Benedykta nie było, widocznie obraził się na mnie, ponieważ ostatnio w cztery oczy odmówiłam mu nadziei dla jego sąsiada. Wówczas - na kolacji w „Bristolu”. Im wszystkim się wydaje, że wystarczy, gdy mężczyźni zachce się jakiejś kobiety, i już zaraz taka kobieta winna upaść na kolana z zachwytu. A jakże!

Sobota - 27 kwietnia

Dzisiaj nadszedł list od Zośki. Naturalnie naprzód z wymówkami, że nie piszę, a dopiero później wiadomości, które mnie interesują. Oni tam w ciągu kilku tygodni sprzedali stare szmaty za przeszło czterdzieści tysięcy. Zośka od razu wpadła na taki dowcip, że przedzieliła pieniądze z tego źródła na dwie części, ale z mojej części zatrzymała dziesięć tysięcy na udział w śrubkach, a z reszty wypłaciła Józinkowi okrągłe cztery tysiące jako zakończenie rozliczenia kosztów sprzedaży domu. Co do reszty z tych jedenastu tysięcy, Zośka pisze, że rozliczy się ze mną przy następnej partii. Nie mam zdrowia do takich spraw, ale dzięki Bogu, że to już posuwa się ku jakiemuś końcowi! Odsetki za trzy miesiące od całości spłaty Krystynka ma spłacić Zośka bezpośrednio z Wąbrzeźna na adres wskazany przez stryjka. Jest tego prawie dziewięć tysięcy złotych, łącznie ze zwrotem kosztów notarialnych, które stryj wyłożył z kieszeni. Niech Zośka płaci, ona ma przecież w swoich rękach naszą wspólną kasę z masy spadkowej.

Drogi jest ten nasz braciszek, w dodatku zimny drań, nie odezwał się ani jednym słówkiem, przysłał nam jedynie na święta życzenia drukowane po angielsku z bardzo ładną winietką. I tyle. Widocznie zbyt dobrze mu się powodzi. Gdyby było inaczej, toby przypomniał sobie, że umie pisać! Właściwie Bóg z nim, niech lepiej nie pisze, niżby miał pisać na przykład o nowe pieniądze.

Gryzmołę w biurze. Obecnie mam trochę spokoju i za pół godziny pójdę na randkę do „Europy”. Jak zwykle Mokotów, obecnie w dwóch pokoleniach, ponieważ i studentka zaczyna wspólnie z nami wygniatać do reszty kanapki w lokalach.

Wieczorem przyjęcie. Nic osobistego w to nie wkładam prócz włożenia nowej kiecki, którą mi przedwczoraj przynieśli z magazynu, łącznie z rachunkiem. Za wszystko trzeba płacić. W epoce Balzakowej kobiety miały lepiej, rachunki płacili kochankowie lub w najgorszym razie własni mężowie.

Po włożeniu sukni trzeba będzie już tylko się uśmiechać i mówić ludziom komplementy. Panom sprawia to przyjemność, a panie łykają takie słówka, jak tuczone indyki żytnie kluski przed Wielkanocą. Dość pisania, idę. Precz z biurem - niestety tylko do poniedziałku.

Przynajmniej pociecha, że mojego nowego woźnego już wyszkoliłam. Kiedyś odnosił mi do mieszkania akta biurowe i przy tej okazji poczęstowała go dobrym koniakiem. Podała Liza, wystrojona jak zwykle, a później zapytałam pana Antoniego, czy mu smakuje. Przyniósł, a ja poleciłam Lizie przynieść z kredensu pełną butelkę tej samej marki. Zamiast jednej przyniosła dwie do wyboru, ponieważ nie było pod ręką takiej samej. Pan Antoni wybrał według własnego gustu i poszedł uszczęśliwiony. Przyjaźń z woźnym została zawarta w sposób rozsądny i od tej chwili pan Antoni stoi murem przeciw starym prykom w moich przedpokojach. Dyplomowani biurokraci spleśniałego autoramentu. Spóźnię się. Ani myślę wracać do biura, pan Antoni jakoś wykręci: - Pani radca wyszła gdzieś w bardzo ważnej sprawie - i koniec. Mój woźny to, jak dotychczas, jedyny wyłom trojański...

Niedziela - 28 kwietnia

Przyjęcie trwało do czwartej rano. Nawet po tej godzinie jakaś czwórka zapalonych brydżystów zamknęła się w moim gabinecie - grali podobno do dziewiątej rano. Profesor, generał, radca szwajcarskiego poselstwa i prezes naszego banku. Nie kibicowałam i dość wcześnie opuściłam gości, gdy wszyscy inni wyszli o czwartej rano. Interesy, interesy, na pewno nie skromny i niewinny brydż. Pan Karol dyrygował wszystkim. Włożył nawet normalną liberię lokaja. Ma głowę na karku. Widziałam to już niejednokrotnie na własne oczy. W każdym razie nic wspólnego z urojonymi bzdurami literata Romana Dmowskiego. Stryj Józef pomagał mi w bawieniu gości, w wolniejszych chwilach trochę rozmawialiśmy. On obecnie ma również wiele kłopotów i zmartwień. Przyciskają go w wiadomej sprawie firmy Brock u. Sohn. Jutro rano zabiera mój samochód i jedzie do Tuchołków. Prosiłam, aby wszystko spenetrował dokładnie i obejrzał. Później postawi się diagnozę, da radę, pomoże nawet i jeżeli Tuchołka usłucha, to dobrze. W przeciwnym razie niech sobie dalej sami radzą!

Spałam długo, ledwie dobudzili się mnie koło godziny drugiej. Naturalnie gdy wstałam, wszystko było na swoim miejscu, wysprzątane i doprowadzone „do glancu”, jak mawiała moja poczcziwa Walerka w Poznaniu.

Wtorek - 30 kwietnia

Zabawiam się przeglądaniem starych rzeczy z górkowskich strychów. Zamiast jakiejś modnej beletrystyki wczytywałam się dzisiaj w rejestry gospodarcze rodziny Bidzińskich herbu Janina z Sandomierskiego. Jakim cudem dworskie zapiski spod Sandomierza trafiły na strych do Górek, na razie nie mogę się zorientować. Widocznie koligacje małżeńskie i działy rodzinne. Przed dwustu laty ludzie tonęli również w cyfrach, ale spisywali to wszystko razem

i bardzo nieporządnie. Ilości kóp zboża i sztuki bydła pomieszane są razem z wydatkami na wino, na suknie dla żon i dzieci, na służbę. Pomiędzy tym wszystkim przewijają się wiadomości o różnych arendarzach, Szłomach i Herszkach, przeplatane datami odwiedzin sąsiadów, datami sejmików i stawianiem przed sądami. Co prawda nikt ich nie kontrolował i nie ograniczał. Każdy był królem w granicach takiego „państwa - Górki”. Ale warto poczytać. Kto wie, czy nie zrobię z tego prezentu dla profesora Jana Rutkowskiego w Poznaniu? On wpajał w nas przeświadczenie, że ekonomia gospodarcza znajduje swe podstawowe źródło do badań właśnie w rozważaniach na temat podziału dochodu narodowego. Przy odrobinie cierpliwości można by odtworzyć dokładny obraz gospodarowania rodziny Bidzińskich spod Sandomierza w połowie wieku siedemnastego.

Obecnie moje mieszkanie posiada już nobliwy wygląd. Można w nim dostrzec stare dzieje i stare historie, w przeciwieństwie do mieszkań różnych młodych małżeństw, które wypełniają kilka pokoi meblami zakupionymi wprost ze składu lub wyrwanymi spod ręki stolarzy. Gotowe i nowe meble, pachnące zazwyczaj jeszcze przez długie miesiące nie wyschniętym drzewem i świeżymi fornirami. Wolę moje stare wnętrza, czuję się wśród nich dobrze.

Chwilowo u mnie odprężenie. Pracuję nad Sułkowskim.

Środa - 1 maja

Marszałek podobno bardzo ciężko chory. Nie był obecny podczas uroczystego podpisania nowej ustawy konstytucyjnej. Dzisiejsze urzędowanie nie miało najmniejszego sensu. Koło południa wymknęłam się boczkiem do domu. Nie warto wychodzić w taki dzień. Podobno były awantury.

Sobota - 4 maja

Jutro rano przejadę się do Górek. Wyjedziemy o piątej rano. Namówiłam profesora. W biurze wspominali dzisiaj o perspektywie nowego wyjazdu do Wiednia. Tym razem na bardzo krótko, najwyżej trzy dni. W końcu miesiąca. Szczegóły niewiadome. Wyglądało z tego, że i ja pojedę.

Stryjek wrócił już w środę po południu. Rozmawiał ze mną zaledwie dwie godziny i od razu na pociąg. Tym razem krótko i treściwie. Doradził mi, abym jak najprędzej odczepiła się od wspólnego majątku z Zośką.

Co do Tucholków - stryj obejrzał podobno cały majątek i wypowiedział swój pogląd. Na razie stanęło na tym, że stryjowska firma obejmie wyrąb lasów. Stryj ma przysłać dwóch ekspertów do szacowania i załatwienia sprawy uzyskania potrzebnych zezwoleń. Tyle.

Dewaluacja guldena gdańskiego *al pari* ze złotem nie dotknęła naszego stryja. Zagranica kalkuluje drewno w funtach szterlingach, a sprzedawcy drzewa w Polsce opierają się na dolarze. Historie walutowe nie zaskoczyły stryja w najmniejszym stopniu.

Poniedziałek - 6 maja

Pierwsze śniadanie w Górkach, obiad w Starej Wsi. Stara Wieś wystawiła się ze względu na profesora. Pani Orzechowska dopytywała się, zresztą bardzo dyskretnie, czy nie zamierzam wyjść za mąż. W sposób zawołowany wspominała, że pod ręką jest dobra partia z koligacjami. Miała widocznie na myśli młodego Liteńskiego, ponieważ od kilku dni kwateruje w Starej Wsi pan Franciszek Józef. Odpowiedziałam na wesoło. Zapytałam, jak wygląda majątek młodego, ponieważ moje interesy na gwałt potrzebują przyływu świeżej gotówki, najmniej trzystu tysięcy złotych. Pani Orzechowska zamilkła i jakoś rozmowa przeskoczyła na inne tory. Leokadia robiła mi później wymówki, że biorę na fundusz panią Orzechowską, która jest mi bardzo szczerze życzliwa. Wierzę, ale na razie i tak mam sporo innych kłopotów. Gdzie mi w tej chwili małżeństwo w głowie!

Czwartek - 9 maja

Załatwiam nowe zlecenia Marcina. Wyciągnęłam z lakierów dalsze czterdzieści tysięcy. Dziesięć wpłaciłam na konto Marcina, jestem jeszcze winna piętnaście. Naciągnę strunę tak daleko, jak tylko się da, ale muszę spłacić te piętnaście jeszcze w tym miesiącu. Napisałam list do Wąbrzeźna, zaprosiłam Zośkę. Muszę rozmówić się z nią rozsądnie i ostatecznie.

Pomimo tylu trudności znajduję nie tyle czas, co silną wolę i popycham naprzód pracę dyplomową. Już z grubsza mam ją zebraną na karteczkach, chodzi tylko o przycięcie materiału w porządnie wyglądającą i logicznie wyłożoną całość. Na końcu - wygładzenie językowe, ale to kupię już sobie u jakiegoś profesora gimnazjalnego. Szkoda byłoby na to mojego czasu. Polecili mi takiego specjalistę, po trzy złote od strony maszynopisu - trzysta złotych. Z całością zdążę chyba przed wakacjami. Oby przynajmniej wygrzebać się z pracą dyplomową, reszta już tylko jako gadany dodatek.

Do Poznania jedzie w tych dniach Leokadia, przy okazji ureguluje również sprawy mojej kamienicy.

Piątek - 10 maja

Wszystkiego byłabym się spodziewała, tylko nie *monsieur* Zajlicza w Warszawie! Przyjechał rano z drugim panem, nazwiskiem Emil Kreiss, i po telefonicznym uprzedzeniu złożyli mi dzisiaj wizytę. W najlepszej formie, z kosztownymi kwiatami, w żakietowych garniturach, z kwiatkiem w butonierce i perłą w krawacie. Dwóch starszych panów wyciętych z paryskiego żurnala. Bardzo wykwintnie. *Monsieur* Zajlicz tylko mimochodem wspomniał o jakichś interesach, ale uczynił to niezwykle spokojnie i swobodnie. Naturalnie zaprosiłam ich obu na jutro, na kolację. Gładko.

Jeszcze obecnie jestem pod wrażeniem tej wizyty. W dodatku w dwie godziny później *monsieur* Zajlicz umówił się ze mną na spotkanie, jak mówił *entre quatre yeux* w interesach, punktualnie o dwunastej w południe. U mnie w domu. Wydałam już zlecenie przygotowania czegoś w rodzaju śniadania z koniakami i winami. Będzie podawał Karol.

Ciekawa jestem, jakie interesy przywiodły pana Zajlicza do Warszawy. Jego towarzysz wygląda dziwnie. *En face* sprawia wrażenie mężczyzny w wieku lat czterdziestu, dopiero gdy obróci się profilem, wychodzą na jaw różne zmarszczki koło oczu i uszu. Murowana siedemdziesiątka.

Naturalnie w obu wypadkach bałkańskie dodatki. Złote spinki z brylantami w mankietach, nieskazitelnie białe getry i lakierki. Brylanty na palcach. No cóż, tam jest taka moda na co dzień, a co dopiero podczas wizyty u kobiety. Co prawda i tym razem Anna nie w roli kobiety, ale od takich żurnalowych gości tego nie oczekuję. *Business*, gorzka prawda, ale mam na myśli tylko bankowe żurnale...

Poniedziałek - 23 maja

Wypadki migają jak meteory. Nie mam na myśli śmierci Marszałka Piłsudskiego, ponieważ to mnie osobiście nie dotyczy. Krótka zatem, ponieważ nie mam głowy do stenografowania.

Owe *entre quatre yeux* odbyły się bez dłuższego wstępu. *Monsieur* Zajlicz od razu nawiązał do tego, że byłam dla niego dobrą wróżką przy nawiązania stosunków z „Czterema Kamieniami”. Obecnie do Warszawy sprowadziły go możliwości innych, większych interesów. W tym miejscu przerwałam mu i rzuciłam na chybił trafił:

- Wiem...

Pana Zajlicza zatkało i przyjrzał mi się uważniej. Zabłuffowałam i powiedziałam niezwykle swobodnie:

- *Monsieur*, byłam niedawno w Wiedniu, wie pan, bawiłam cały miesiąc. Tam już się robi... abisyńskie interesy...

Gościowi rozjaśniła się twarz. W pół godziny później wykwintnie podane francuskie drugie śniadanie przypieczętowało naszą umowę. Pół procent od wszystkich interesów pana Zajlicza, które nawiąże w Warszawie za mym pośrednictwem. Umowa obowiązuje na przeciąg jednego roku. Bez wypisywania dokumentów, *gentlemen's agreement*, tacy Lewantyńczycy dotrzymują raczej umów z podaniem ręki niż zawieranych u notariusza. Zresztą nie wszystko nadaje się do opisywania.

Mój partner opuścił mieszkanie, odwiozłam go nawet do „Hotelu Europejskiego”, gdzie mieszka z towarzyszem, a później objechałam pół Warszawy w pogoni za naszym generałem. W porę wyciągnęłam go z posiedzenia rady nadzorczej w „Pocisku”.

Kolacja odbyła się już z kwiatami, wśród świeczników i w ogóle bardzo wykwintnie, z kawiozem i szampanem. Trzej panowie usunęli się później na bardziej dyskretną rozmowę do mojego gabinetu, a my obie z generałową usiadłyśmy na straży naszych wspólnych interesów w salonie, który stanowi jedyne wejście do mojego gabinetu.

Nasza warszawska strona jest mniej hojna. Co prawda również jeden rok, ale tylko... ćwierć procent. Ano - zobaczymy!

Na zakończenie również krótko: Zośka przyjeżdża jutro rano. Widocznie sprowadza ją pogrzeb Marszałka. Kobięca ciekawość. Dla mnie to i tak wszystko jedno. Załatwię tym razem bardzo stanowczo. Od razu i krótko, ponieważ obecnie mam głowę nabitą czym innym. Nie myślałam, że na Abisynii można zarobić nawet tutaj, w Warszawie!

Wtorek - 14 maja

Zośka zwała się nad ranem. W biurze zamieszanie, nikt nie myśli o pracy. Niepotrzebnie przyszłam. Pogrzeb siedemnastego. Wszyscy biją się o miejsca. Ja myślę, że Mokotów zdobędzie dostateczną ilość miejsc. Przed chwilą zajrzał woźny, był zdziwiony, że ja jeszcze siedzę. Jedenasta, chyba zwieję?

Wieczorem. Całe popołudnie zeszło mi na rozmowach z Zośką. Na jutro zadysponowałam dla niej imieninowy obiad. Będzie Mokotów, bez generała, i młodzi Orzechowscy. Na pojutrze zapowiedziany komplet z obu wsi. Jakoś się pomieścimy. Dzisiaj nie byłam w sklepie, panna Walczak dzwoniła, że wszystko stanęło. Zrozumiałe.

Zośka przywiozła mi siedem tysięcy, podobno sprzedali już drugą partię, znów będzie do podziału trzydzieści tysięcy. Jakoś idzie. Siostra mniej więcej w humorze. Sama sobie wybrała imieninowy prezent. Małe pudełeczko wysadzone z boków i na wieczku wenecką mozaiką. Na wieczku Canale Grande, po bokach inne zabytki. Od frontu, na ścianie, lew św. Marka. Cacko podobało mi się, przeznaczyłam je dla siebie i umieściłam w jednej z serwantek. Ale niech idzie, skoro się jej podobało. Może jakoś spokojniej dobijemy interesów.

Warto zacząć od tego, że moja siostra Zofia zjawiała się w Warszawie mocno wysztafirowana. Wypielęgowana, włosy, cera, paznokcie, nie wspominam o ubiorach, gdyż te są zrozumiałe w naszych warunkach.

Zośka prawie przyznała się, że pomysł z podziałem nieruchomości nurtował ją od dłuższego czasu, zwłaszcza w okresie oddzielania części majątkowej Krystynka. Według niej posiadanie własnej kamienicy w Grudziądzu stanowiłoby pewnego rodzaju dopełnienie przedsiębiorstwa metalowego. Zośka miała na myśli kamienicę jako podkładkę do różnych przejściowych kredytów i gwarancji bankowych. Ma rację, natomiast podczas rozmów z Zośką połapałam się, że przydzielenie mi w rozliczeniu firmowego domu w Wąbrzeźnie zamrozi faktycznie ten dom, ponieważ nie wchodziłby w rachubę do sprzedaży. Bławaty muszą pozostać we własnym domu, to znaczy należącym do którejś z nas. Naturalnie Zośka szacuje nisko dom w Grudziądzu, przy równoczesnym wychwalaniu wartości domów w

Wąbrzeźnie. Według mnie kamienica w Grudziądzu jest warta sto tysięcy, a oba domy w Wąbrzeźnie najwyżej sto siedemdziesiąt. Może nawet mniej, ponieważ wątpię, czybyśmy dostały za willę z ogrodem jakieś pięćdziesiąt tysięcy. Domy w takich wszawych miasteczkach nie odrzucają dobrego dochodu. Prawie każdy szanujący się obywatel ma swój dom, a ci, którzy nie posiadają własnego, na ogół źle zarabiają i nie wchodzą w rachubę jako nabywcy.

W każdym razie uzgodniłyśmy, że Zośka dostaje dom w Grudziądzu, a ja firmową kamienicę w Wąbrzeźnie. Co do willi, nie umiałyśmy znaleźć wspólnego języka, mam wrażenie, że Zośka pragnęłaby zatrzymać ją dla siebie.

Z bławatami stanęło na tym, że wartość magazynów w grudniu nie przekroczy trzystu tysięcy złotych, przy staraniu się Zośki o obniżenie ich wartości do ćwierć miliona. Od Nowego Roku zwolnimy dwóch ekspedientów i powoli rozejrzemy się nawet za kandydatem na nabywcę bławatów. Od lipca przejdziemy na spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością i w tym celu Zośka zrobi dodatkowy bilans na ostatniego czerwca. Ja proponowałam kapitał zakładowy tej spółki dwadzieścia tysięcy złotych, Zośka twierdzi, że to byłoby przeszkodą w uzyskiwaniu kredytu towarowego oraz podczas przyszłej sprzedaży firmy. Właściwie wysokość jest obojętna.

Dzisiaj zasnę szybko i głębokim snem. Sytuacja się wyjaśniła. W każdym razie warto zanotować jeszcze jedno: kłopoty finansowe czynią człowieka zgryźliwym. Zośka obecnie przy gotówce i od razu ma inny humor.

Środa - 15 maja

Dla przyzwoitości poszłam dzisiaj do biura, ale posiedzę ze dwie godziny i zniknę. Jeszcze wczoraj mówiłam telefonicznie z panną Walczak i prosiłam o przygotowanie trzech tysięcy. Wpłacę dziesięć na konto stryjka, a później zajrzę do kawiarni, posłucham, co ludzie mówią o Belwederze.

Przed chwilą dzwonił pan Zajlicz, proponuje spotkanie o dwunastej w „Europie”. Trochę nieporęcznie, ale wychodzę.

Czwartek - 16 maja

Nie mam czasu na pisanie. Dzisiaj rano Marcin przyleciał samolotem do Warszawy. To mu się nigdy nie zdarza. Zamieniliśmy zaledwie kilka zdań, stryj jest jakiś ponury. Nie widziałam go jeszcze nigdy tak mocno podenerwowanego.

W dodatku dom wypełniony po brzegi. W pośpiechu ukręciłam kluczyk od szufladki w sekretarzyku dziadka, w której przechowuję biżuterię. Pech, jakiś skomplikowany zamek i trzeba będzie wywiercić dziurkę w kawałku kluczyka tkwiącego w zamku. Tak twierdził nasz dozorca domu. Dłuższa historia. Jestem w usposobieniu niewesołym.

Pan Zajlicz mówił wczoraj tylko ogólnikowo, że interesy posuwają się. Jedyne jego towarzyszy trochę kręci, jest podobno jakaś konkurencja. Mówi, że interes jest bliski ubicia, ponieważ nasz generał ma poparcie u generała Rydza Śmigłego, a on obecnie dużo znaczy. Sprawy jednak utykają, gdyż ludzie myślą tylko o pogrzebie i o tym, co będzie dalej. Naturalnie było bardzo miło, nowa wiązanka kwiatów i w ogóle znaki na niebie i ziemi, że Zajliczowi przyjemnie mieć do czynienia z damą. Z Władkiem Wirewiczem trudno obecnie rozmawiać, ma jednak rozjaśnioną twarz i powiedział mi krótko w cztery oczy:

- Nareszcie odczepimy się od Katelbachów i od tej „Sepewe”.

Nie bardzo to wszystko na razie rozumiem, z Katelbachem grywamy w brydża, ale o „Sepewe” dotychczas jeszcze nigdy nie mówiono w mojej obecności. Ale to samo wyjdzie, dowiem się.

Niedziela - 19 maja

Wszystko już przeminęło. Leżę w łóżku i jestem chora. Całe szczęście, że to się stało już po rozjechaniu się moich gości. Zaziębiłam się w nocy, zawiąło mnie, mam silny katar i w ogóle czuję się źle. Przed chwilą był lekarz i kazał zostać w łóżku przynajmniej osiem dni. Nie mogę się ruszyć i głowę mam jak z ołowiu. Obawa anginy. Nie mogę pisać, nie mogę myśleć. Właśnie w takim momencie, gdy mam wiele powodów do radości. Psiakrew! Cała moja choroba przez ten głupi pogrzeb. Trzeba było zostać w domu i nie pchać się na Pole Mokotowskie. A ja przeszarżowałam. Wierzyłam, że mam końskie zdrowie. Koniec, ponieważ zamroczyło mnie. Dzwonię na Lizę.

Czwartek -- 23 maja

Leżę u Świętego Józefa. Było bardzo źle. Angina z komplikacjami. Podobno już nie ma niebezpieczeństwa. Właściwie dopiero dzisiaj jestem przytomniejsza. W południe Liza przywiozła mi z domu drobiazgi i w torebce znalazłam bloczek.

Koniec z pisaniem, siostra odbiera mi bloczek. Mówi bardzo łagodnie, jak do małego dziecka, że nie wolno. Gorączka.

Niedziela - 26 maja

No - już lepiej. Dzisiaj po raz pierwszy spacerowałam, na razie po pokoju. Było źle. O biurze nie ma mowy. Stąd wyjdę dopiero za trzy dni. Siostry namawiają mnie, abym została do przyszłej niedzieli. Zresztą jutro konsylium.

Kryzys nadszedł w ubiegłą niedzielę w południe. Liza weszła do pokoju prosić do obiadu i zastała mnie bez przytomności i w silnej gorączce. Pan Karol natychmiast sprowadził młodego Orzechowskiego. Ratunek był w porę, w ostatniej chwili, groziło mi uduszenie.

Właśnie w tej chwili przyszło mi na myśl, że rok, dwa lata temu byłam całkiem zdrowa i leczyłam się, nie myśląc wcale o żadnych chorobach. Pomijając dawne czasy dziecięce, to jest moja pierwsza poważna choroba w życiu.

Dzisiaj po obiedzie odwiedziło, mnie sporo osób. Ludzie są jednak serdeczni. Otrzymane kwiaty kazałam zanieść do kaplicy, co zrobiło siostrom wiele przyjemności. Pocziwe stworzenia. Nie wolno mi mówić, dali mi szkolną tabliczkę i rysik.

Nie mogę pisać, jednakże mąci mi się w głowie. Napisanie tych kilku zdań porządnie mnie zmęczyło.

Poniedziałek - 27 maja

Mam zostać w lecznicy do końca tygodnia. Później radzą dwa tygodnie w Rabce i dwa tygodnie w Szczawnicy. Dorobiłam się choroby, w dodatku w czasie, gdy los uśmiechnął się do mnie. Widocznie szczęście chodzi pod rękę z chorobami.

Wtorek - 28 maja

Pod wieczór mam jakieś podejrzone stany podgorączkowe. Czuję się osłabiona.

Środa - 29 maja

Dzisiaj odwiedziła mnie generałowa. Ona nie zna szczegółów naszych interesów, mówiła jedynie, że mąż dzwonił wieczorem z Genewy. Umowa została ostatecznie podpisana wczoraj w południe. To miała mi zakomunikować.

Nie czuję się dobrze. Najlepszy dowód, że nie umiem się cieszyć. Mój pierwszy w życiu wielki interes, a ja leżę w łóżku, chora, jak Łazarz. Dotychczas jeszcze nie wolno mi mówić. Zresztą mówię tylko szeptem, ale nawet taki szept sprawia mi przyjemność.

Czwartek - 30 maja

Mała karteczka od panny Beaty. Wczoraj przekazali do Paryża resztę majowej należności. Wiązanka kwiatów. Razem z kartką owiniętą w bibułkę. Mój sklepik ani razu nie przyszedł mi do głowy podczas choroby. Ale rozumiem doskonale. Dla panny Walczak moje lakiery reprezentują złote jabłko, o którym śniła od dawna. Przypominam sobie, jak dyskretnie napomykała o tym, żeby przyrzeczenie prowizji na rok 1935 dać jej na piśmie. Mam nadzieję, że nie chodziło jej tyle o zabezpieczenie sobie tych pieniędzy, co o pokazywanie znajomym takiego dokumentu. Panna Beata Walczak. Kto wie, czy ona nie jest szczęśliwsza ode mnie. Z tymi swoimi dwu tysiącami prowizji, które dostała za pierwszy kwartał. Niedawno pytałam ją, gdzie pojedzie na wakacje. Spojrzała na mnie zdziwiona i odpowiedziała:

- Nasza firma nie stoi jeszcze tak mocno na nogach. Trzeba interesu pilnować, nie będę mogła pojechać. Może w przyszłym roku.

Za dużo pisanie i myślenie. Koniec.

Piątek - 31 maja

Jestem jeszcze słabiutka. Ale postanowiłam, że w niedzielę powrócę do domu. Mam przecież warunki do leżenia w domu. Z biura brak wiadomości. Młody Orzechowski zawiadomił o chorobie telefonicznie. Jego teść, profesor, brał również udział w konsylium.

Sobota - 1 czerwca

Siostry są naprawdę serdeczne. Mną opiekowały się dwie na zmianę. Młodziutka ze spojrzeniem niewinnego dziecka, chyba najwyżej osiemnaście lat. W spojrzeniu starszej - jakiegoś spokojnego zrozumienia potrzeb tego świata. Pytałam się o jej potrzeby, oświadczyła mi, że właśnie gromadzą składki na zakup większego obrazu olejnego ze świętą Teresą z Lisieux. Chyba pięćset złotych wystarczy? W tej chwili pieniądze straciły dla mnie wartość.

Na jutro zapowiedział się u mnie na Hortensji cały Mokotów. Generał już wrócił, również samolotem. Na razie przysłał mi kwiaty. Pomieszane razem, czerwone i białe róże. Dziwna mieszanka. Białe powędrują do kaplicy, czerwone zabiorę z sobą do domu. Jutro pójdę na mszę do kaplicy, nie można robić siostronom przykrości.

Zbiera mi się na sen. Może nawet jest mi lepiej, czuję się jednak ociężała. Nie mogłabym chodzić po ulicy o własnych siłach. Oj, te komplikacje! Są różne momenty, gdy lekarze rozkładają ręce.

Poniedziałek - 3 czerwca

W domu, w domu, u siebie! Dzisiaj spacerowałam po mieszkaniu. W towarzystwie Lizy, która pełni obecnie rolę pielęgniarki. Słabiutka jestem. Lekarz mówił mi dzisiaj, że trzeba zwalczać apatię, która może u mnie wystąpić właśnie po tej chorobie. Wychudłam - nic dziwnego. Policzki mam zapadnięte, dopiero dzisiaj przejrzałam się porządnie w lustrze.

Wtorek - 4 czerwca

Bardzo miłutki list od Matyldy. Dopytuje się, kiedy zjawię się u nich, w Wiedniu. Dobry Boże! Na razie to wszystko bardzo odległe. Gdzieś za dobry tydzień pojedę do Rabki. Odczytuję właśnie zdania zapisane pod wczorajszą datą. Apatia. Chyba nie. To tylko osłabienie. Apatia - to pierwszy stopień do melancholii. A melancholia - to przedsiónek śmierci. Ja pragnę żyć.

Dzisiaj odwiedziły mnie siostry z lecznicy. Wpadły na krótko, chciały na własne oczy zobaczyć, czy przychodzę do zdrowia. Mówiła tylko starsza siostra, młoda patrzyła na mnie jakimiś wystraszonymi oczami. Rozumiem doskonale. Przecież moja sypialnia jest w guście Florencji, coś na śliskim pograniczu kokoty i wielkiej damy. Filmowe wnętrze. Gdy po wyzdrowieniu wrócę do domu, pomyślę o zmianie. Scieniuję to wszystko, przejdę na inny

styl. W spojrzeniach obu siostr wyczuwałam wiele zdziwienia, tak że niemal usprawiedliwiałam się:

- To mieszkanie urządziły mi ciotki, ja nie miałam po prostu czasu na zmiany i tak już zostało. Ciotki - powtórzyłam i zamilkłam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

Kiedyś opiszę szczegółowo wszystko, co wypełniło mi kilka ostatnich dni przed zachorowaniem. Gdy pytałam Marcina o Zajlicza, odrzekł mi dość szorstko:

- Niepotrzebnie przyjechał do Warszawy i niepotrzebnie przywłókł z sobą tego awanturnika.

Mowa była o *monsieur* Emilu Kreissie.

- W każdym razie dobrze się stało, że trafił od razu w twoje ręce, Anno. Mogło być gorzej - dodał stryjek. Co miał na myśli? A w chwili odjazdu powiedział już znacznie weselej:

- Zdaje się, że Zajlicz jednak dobrze zrobił, przywożąc tego Kreissa do Warszawy. Okazało się, że Kreiss ma wyraźny mandat tamtej drugiej strony, odpadło wielu pośredników. W każdym razie wiesz, Anno, umiałś sobie zabezpieczyć te... ćwierć procent. - Roześmiał się. - Właściwie nie wiem za co, ale niech już tak będzie.

Ładne: „za co”. Obecnie wiązę to wszystko w całość i widzę, że mogło być gorzej. Zajlicz niekoniecznie musiał wpaść w moje ręce. Mógł mnie odwiedzić dopiero na samym końcu, już po zrobieniu interesu. Wizyta u mnie byłaby tylko grzecznościowa, a interes poszedłby bokiem. W dodatku głupia pretensja do Zajlicza, przecież on nie zawierał małżeństwa ze Szwajcarią. To w pierwszym rzędzie klient „Czterech Kamieni” i mój, a dopiero w następnej kolejności banku starego Dubowa. Dziwna pretensja! Zajlicz zgłasza się do Genewy i niekoniecznie ten cały interes musiał pójść z Warszawy. W dodatku nie rozumiem dobrze roli Marcina w tym interesie. Marcin czy bank Platona Dubowa?

Swoją drogą ciekawa jestem, czy *monsieur* dotrzyma słowa. Pół procent to przecież w tym wypadku prawie majątek, jeżeli wierzyć słowom generała. W dodatku interes na bardzo bliskie terminy.

Zmęczyłam się. Jeszcze widać nie funkcjonują u mnie wszystkie komórki mózgowe. Nic dziwnego, groziło mi przecież zapalenie mózgu.

Piątek - 7 czerwca

Powieściowe zdarzenie. Już się ruszam po mieszkaniu dosyć żwawo i właśnie dzisiaj kazałam sprowadzić ślusarza. Denerwowała mnie sprawa zamkniętej szuflady w biurczku. Naturalnie asystowałam przy tej ceremonii, dość skomplikowanej. Chodziło o nieuszkodzenie drewnianego obrzeżenia, jak by to można było łatwo zrobić samemu, rękami partacza. Koniec końców specjalista otworzył szufladę i później zabrał się do wyjęcia zamka w celu dorobienia nowego kluczyka. Zamek był niezwykle skomplikowany, z rygielkami i połączony z mechanizmem ukrytym w drzewie. W rezultacie odkryliśmy skrytkę w biurczku, dość znacznych rozmiarów.

Zapewne każde stare biurko posiada różne skrytki, niemniej ta właśnie jest urządzona w sposób niezwykle pomysłowy. Biurczko posiada zresztą dwie inne skrytki, ale te są skonstruowane w sposób dziecinnie naiwny, widocznie w celu zamaskowania prawdziwej skrytki. Po wyjęciu szuflady z jej oprawy powierzchnie wnętrza obudowy - mimo upływu co najmniej jednego wieku - nadal są idealnie gładkie i dopasowane. Jak oni dawniej robili meble! Pewnie dobre półtora wieku i nic się nie wypaczyło.

Zawartość skrzynki? Dwa pakiety listów, jeden pakiet zawierający dokumenty, kilkanaście różnych medali i odznak, pięć starych orderów wojskowych oraz dwa jedwabne fartuchy masońskie. Wszystko porządnie owinięte w jedwabne chustki fularowe, nowszego już pochodzenia. Wspomnienia sprzed wielu lat.

Na szczęście ślusarzowi udało się wyjąć kluczyk z zamku po wyjęciu szuflady z jej obudowy. Dorobi inny. Koniec jedynie z tajemnicą skrytki. Stary człowiek, pewnie koło sześćdziesiątki, szkła w taniej drucianej oprawie. Jednym słowem zamierający typ takich rzemieślników, o których się mówi: nasz majsterek. Ale na świecie nie ma już ludzi pewnych. Stary człowiek zorientował się, że znalezienie skrytki stanowi dla mnie pewnego rodzaju odkrycie, nie wiem nawet, czy nie wyszedł ode mnie z przeświadczeniem, że wygrałam na loterii, kupując takie biurko! Aby go nie utwierdzać w takim mniemaniu, wręczyłam rai umówioną zapłatę dwudziestu złotych i jedynie poczęstowałam dodatkowo koniakiem i papierosami.

Skrytka i wspomnienia bardzo dawnych lat, przysypane popiołem zapomnienia. Niewątpliwie te fulary mieszczą w sobie część historii życia naszego przodka Martina, tak wnioskuje z medali wojskowych. Na razie zamknęłam wszystko w domowej skrytce pancерnej. Dzisiaj nie mam usposobienia do nurzania się w latach przeszłych. Myślę raczej o najbliższych tygodniach. Nie czuję się dobrze.

Sobota - 8 czerwca

Dzisiaj po raz pierwszy wyszłam z domu. Pojechaliśmy pomalutku w stronę Wilanowa. Piękny dzień. Ustala się pogoda. Staram się myśleć tylko o rzeczach pogodnych. Cieszę się z tego, że żyję, ponieważ były chwile, gdy zdawało mi się, że to już koniec. Takie przedśmiertne momenty nie są przyjemne, mimo że doświadczą się wówczas jakiegoś otępienia w rodzaju: wszystko mi jedno. A jednak po minięciu kryzysu człowiek broni ze wszystkich sił swego kruchego życia. Pragnie żyć. Cieszy się z tego, gdy przychodzi do siebie, że jest mu z każdym dniem lepiej.

Ciekawe. Z mojego biura tylko jeden pan Antoni odwiedził mnie jeszcze wówczas, gdy leżałam w szpitalu. Mówiła mi o tym Liza. Później dzwonił kilkakrotnie do mieszkania.

Obecnie umieściłam się w fotelu pod portretem prababki Anny i czekam. Ma przyjechać ciotka Leokadia. Odwiedziła mnie również w lecznicy. Lekarz i siostry pokazali mnie przez uchylone drzwi, ponieważ spałam. Bali się mojego wzruszenia. Za kilka dni mam wyjechać. Na razie nie myślę o niczym i nie snuję żadnych projektów. Nie odpowiadam na listy. Napisałam jedynie do Matyldy.

W tej chwili przyszło mi na myśl, że kto wie, czy ta cała choroba nie przyszła w porę. Wypokojniałam, jeżeli można to tak określić. Przygasł we mnie niespokojny ogień, który mnie pożerał. Chłód. Obojętność. Zwykle następstwa po przebyciu każdej poważniejszej choroby. Może to i lepiej? Trzeba oderwać się od cyfr i od pogoni za pieniędzmi. Przecież mam z czego żyć. Na co mi więcej? W dodatku wokół mnie gromadzą się nowe pieniądze. Chyba mi to już wystarczy. Dwa domy prawie bez długów. Nie warto się zgrywać. Lepiej cichutko usiąść w jakimś kąciку i przyglądać się światu w charakterze widza. Ale czy ja to potrafię? Czy mi pozwolą?

W harmidrze wydarzeń zapomniałam o moich urodzinach. Zawsze w tych urodzinowych dniach rozmyślałam o tym, co już było, i o tym, co mnie czeka. Czy ja wiem? Na razie pragnę być zdrowa. Później zobaczę. Może inaczej ustawię się na szachownicy życia. Pragnęłabym jednak nie wkładać do spraw codziennych zbyt wiele energii i niecierpliwości. Przecież można się chyba urządzić inaczej. Łżej i przyjemnie. Ale koniec, znów zmęczyłam się myśleniem. Nie trzeba myśleć, to nic nie daje. Szkodzi.

W każdym razie już jest lepiej, że myślę o życiu.

Niedziela - 9 czerwca

Wszystkiego byłabym się spodziewała, tylko nie takiej wizyty. Pani Woźnikowa w istocie jest niemądra. Przecież trzy lata temu stanęła między nami wyraźna umowa, że historia małej Marty ma pozostać wyłącznie między nami dwiema! Tymczasem dzisiaj wczesnym

rankiem zjawiała się u mnie jakaś mała mi znana z opowiadań pani Kalatowa, wdowa po rodzonym stryжку matki Marty. Z rozpaczliwym listem w ręce. Trudna sprawa, grozi jej licytacja. Ruina dla małego gospodarstwa wiejskiego pod Chełmnem na Pomorzu. Troje dzieci, najmniejsze w wieku Marty. List pani Woźnikowej nerwowy, pisany pospiesznie. Dziecinny dopisek małej Marty: „Całuję mocno moją kochaną ciocię Annę”.

W dodatku niedziela. Było mi głupio. Byłam zła. Ale sprawę załatwiłam spokojnie. Panią Kalatowa wyprawiłam do kościoła, przedtem podjęłam ją śniadaniem. Całe szczęście, że Leokadia jeszcze spała. Była godzina siódma rano. Najbliższy pociąg w tamte strony odchodził koło południa. Nie sądziłam, że zebranie głupich trzech tysięcy złotych sprawi mi tyle kłopotu. Niedziela. Siedemset złotych miałam w domu. Pięćset od profesora, sześćset od Leokadii, generałowa miała w domu tylko dwie pięćsetki, a w sklepiku po otwarciu kasetki przez pannę Walczak było jedynie 695 złotych. W każdym razie o godzinie jedenastej doręczyłam pani Kalatowej trzy tysiące złotych i osobno sto złotych na prezenty dla jej dzieci. Kobięcina wmawiała we mnie jakieś weksle, dziękowała, była zemocjonowana zwykłym pokwitowaniem, skreślonym na odwrotnej stronie listu pani Woźnikowej. Dawałam jej na pożegnanie nauki moralne na temat niebezpieczeństwa wystawiania weksli, a w duchu pragnęłam pozbyć się jak najprędzej niewygodnego gościa. Nareszcie zamknęły się za nią drzwi, a ja odetchnęłam.

Byłam zła i jestem zła w dalszym ciągu. Mimo że zdaję sobie sprawę, jak trudny jest żywot ludzi, którzy mają nóż na gardle. Widocznie jednak musiało być naprawdę kiepsko, skoro pani Woźnikowa zaryzykowała napisanie takiego listu. Zrobiła jednak niedobrze, trzeba było zostawić wdowę na miejscu w Grudziądzu, a samej zjawić się u mnie w Warszawie. Widocznie straciła głowę.

Po południu zwałił się do nas cały Mokotów.

Nawet nie wiedziałam, że szczegóły zostały już omówione i ustalone. Zosia jedzie na dalsze studia do Lozanny. Zamieszka w gotyckim domu nieboszczyka generała Zbysławskiego. Wieroczka odmówiła umieszczenia się u którejś z wnuczek, gospodarstwo lozańskie zostaje po staremu. Nie wiem, jak to będzie z zamieszkaniem tam Zosi, ale zawsze można zmienić, gdy się okaże źle. Generałowa zdążyła poznać już Wieroczkę i tak ją określa: typowa Rosjanka, rozmarzona i żyjąca w świecie urojeń! Komenderowanie starym generałem wchodziło również w zakres starego stylu postępowania teściowej wobec zięcia. Boi się tylko Tamary, ponieważ ciotka Temmi na swój sposób jest energiczna i ekscentryczna. W dodatku babcia Wieroczka uznaje autorytet swej żyjącej córki w zakresie finansów, na których sama się nie zna. Zosia Wirewiczówna ma charakter i jakoś poradzi sobie ze swoją przyszłą opiekunką w gotyckim domu. Podobno babcia cieszy się na swego przyszłego gościa. Szkoda, że nie zdążyłam poznać starego generała. Ale trudno - umarł.

Ciotka przyjechała do Warszawy przekonać się na własne oczy, czy nie mogłabym jej towarzyszyć w nowej wycieczce zagranicznej. Widocznie nabrała gustu do wojażowania. Marzy o Szwajcarii, ale na Montreux przewiduje zaledwie tydzień, łącznie ze zwiedzeniem Genewy. Miałaby ochotę na jakąś spokojną miejscowość nad włoskimi jeziorami. Na granicy. Stara pieśń. Zeszłoroczne marzenia. Na razie zostanie kilka dni w Warszawie. Krawcowe.

Dzisiejszy dzień dał mi się porządnie we znaki. Nie lubię takich niespodzianek.

Wtorek - 11 czerwca

Trzeba będzie na coś się zdecydować. Rabka nie bardzo mi się uśmiecha. Leokadia ciągnie za granicę. O biurze mam jedynie okrężne wiadomości przez znajomych generałowej. Na razie jestem zbyt słaba.

Środa - 12 czerwca

Obszerny list od Elfydy. Heinrich zakochał się! Na miejscu w Berlinie. Elfyda wysuwa projekt, abyśmy we dwie pojechały do Berlina obejrzyć pannę. Także pomysł! W każdym razie dziwne. Nie wyobrażałam sobie nigdy Heinricha w roli zakochanego. W dodatku on w jesieni kończy studia w Berlinie i według swego planu ma od razu przenieść się do Wiednia. Bardzo go lubię, ale skądże nagle pomysł z oglądaniem przeze mnie tej flammmy entuzjasty mikroskopu. Chociaż gdybym była zdrowa, to - kto wie?

Piątek - 14 czerwca

Kilka nowych listów. Matylda, Marcin, stryjek z Chicago i na raz dwa listy od Zośki, jeden pisany naprędce w Grudziądzu, a drugi, już spokojniejszy, z Wąbrzeźna. Leokadia powraca jutro do Górek naszym warszawskim samochodem. Przynajmniej ona się wyjeździ, ponieważ mnie to już nie bawi.

Matylda zaprasza do siebie, już przeniosła się na lato do Baden, oczekuje tam, jak pisze, bardzo miłych gości. Wiedeńska ulica Flory naturalnie do mojej dyspozycji. Marcin zaleca poradzenie się specjalistów, właśnie w Wiedniu, podaje nawet nazwisko słynnego specjalisty od chorób gardłanych. To przyszedł patron naszego Heinricha, prof. Neumann. Nazwisko znane mi z gdańskich opowiadań. Stryjek z Chicago obszernie zdaje sprawę z wiadomości, jakie otrzymał od znajomej rodziny z Sao Paulo. Wygląda z tego, że nasz braciszek mierzy bardzo wysoko. Urządził się luksusowo, willa, kilkoro służby, amerykański samochód z szoferem i w ogóle pierwsza klasa, nos do góry. Słowa stryjka wiernie przepisane do bloczka. Ciekawe.

Zośka ma już w rękach oszacowanie naszych domów. Prawdę mówiąc, straciłam do tego wszystkiego serce i dowcip. Pragnęłabym jedynie odrobiny spokoju, ale człowiek żyje na ziemi i musi myśleć ustawicznie o tym, co go otacza. Zresztą oszacowanie pochodzi od naszego notariusza, ma stały kontakt z budowniczym, kolegą jeszcze z gimnazjum. Zgoda, po trzykroć zgoda! Jakieś targowanie do niczego by nie doprowadziło. Parę tysięcy więcej czy mniej. Zośka pisze, że za willę dają czterdzieści tysięcy gotówką i od razu. Chce kupić obecny lokator, lekarz, który się ożenił i ma z tego tytułu świeży przypływ większej gotówki. Okazuje się, że niesłusznie podejrzewałam ją o chęć zatrzymania willi dla siebie.

Równocześnie posuwa się sprawa z przemianowaniem firmy jawnej na spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Jest trochę trudności ze sporządzeniem półrocznego bilansu, ale Zośka pisze, że osobiście przysiędzie fałdów i dokona tego cudu buchalteryjnego. Jakoś ogłędnie pisze, czy nie byłoby dobrze wprowadzić do nowej firmy jakiegoś trzeciego wspólnika, ale nie upiera się przy tym. Rozliczenie gotówkowe - po przemianowaniu firmy, gdzieś w początkach lipca. Zośka sama przypomina, że jest winna do wspólnej puli trzydzieści tysięcy złotych, które zabrała dla siebie w zeszłym roku. Wyprzedaż starych łachów postępuje w dalszym ciągu.

Tym razem nie namyślałam się. Od razu napisałam dwa listy, do naszego notariusza i do Zośki. *Va banque!* W ogóle trzeba przestawić się na inne tory i nie oglądać się w tył.

Ciotce Leokadii jeszcze nie odpowiedziałam nic konkretnego. W każdym razie licho wzięło mój przedwakacyjny egzamin w Poznaniu. Chyba dopiero po wakacjach. Byłoby jednak dobrze, gdybym zdążyła z pracą dyplomową gdzieś do połowy sierpnia. Chyba nie będę mogła pozwolić sobie w tym roku na dłuższe wakacje? W dodatku biuro. Co prawda urlop z powodu choroby do końca czerwca, ale w tym nowym ministerstwie nie trzeba na początek przeciągać struny. Może pojedę do Rabki, ale najwyżej na jakieś dziesięć dni. Postanowiłam pójść na wywiad do biura w poniedziałek, zobaczę, jak wygląda sytuacja.

Po wysłaniu listów przyszło mi na myśl, że właściwie ten cały spadek po naszym ojcu nie był stosunkowo taki duży. Najlepiej na tym wyszedł Krystynek, z górą ćwierć miliona plus tamte pierwsze sześćdziesiąt tysięcy. Kupa pieniędzy. A nam z Zośką po rozliczeniu z kamienicami zostaną jedynie bławaty i około pięćdziesięciu tysięcy długu w Gdańsku. Nie

wiem, czy z tej końcówki okroi się dla nas po dwieście tysięcy, naturalnie dopiero z końcem roku. Niby duży majątek, a rozdrobnił się na małe części.

Ciekawa jestem, jak wypadnie sprawa z komornym od tej naszej spółki. Dotychczas ze względu na skarbowych obciążaliśmy bławaty dość wysokim komornym. Dziewięć procent. Kalkulowało się. Ale na te rozważania jeszcze zbyt wcześnie, trzeba odczekać do rozliczeń lipcowych.

Poniedziałek - 17 czerwca

Leżę. Wczoraj wyciągnęli mnie na wiejski podwieczorek. W kilka samochodów. Zawieźli mnie w słoneczny dzień do całkiem nieznanych mi ludzi. Pretensjonalny pałacyk, niejacy państwo Janaszowie w Płochocinie pod Błoniem. Od razu się pochwalili, że mająteczek jest w posiadaniu ich rodziny przeszło dwieście lat. Komu była potrzebna taka informacja? W każdym razie to są ludzie bardzo zadowoleni z siebie, tryska z nich to zadowolenie. Poznałam również pannę Janinę Dwidównę, córkę byłego właściciela ziemskiego. Tę ostatnią widywałam już poprzednio w Warszawie. Taka sobie, może i ładna, lecz nie w moim guście. Owszem, dama, ale nic więcej, warszawska dama z dobrymi manierami i teatralnym nieco spojrzeniem. W tym towarzystwie, złożonym z kilkunastu osób, ja jedna wyglądałam bardzo skromniutko. Siedziałam na uboczu z Zosią i rozmawiałyśmy na temat jej przyszłej Lozanny. Gospodyni usiłowała wkręcić nas w towarzystwo, ale jakoś nie wychodziło. Nie miałam powodzenia. Moje nazwisko jest tutaj bez znaczenia, byłam po prostu tylko w ogonie przyjaciół z Mokotowa. Mój czy nie mój samochód miał raczej charakter taksówki. Na przykład panna Dwidówna robiła fason skoda-rapid, sama przy kierownicy, bez szofera. No, ale trudno. Powodzenie w życiu to kwestia przypadku, tupetu i zbiegu okoliczności. Brak mi tupetu, widać, że samo szczęście nie wystarcza. Trzeba będzie zastanowić się nad tym. Nie myślę o jakimś błyszczeniu, ale w każdym razie to nieprzyjemne, gdy pozostaje się na uboczu. W dodatku tupet i bezczelność starczą czasami za dodatkowe dwa miliony!

W biurze przyjęto mnie na ogół obojętnie. Byłam, to było dobrze, nie ma mnie, to również dobrze. W dodatku panuje nastrój przedurlopowy. Nikt mnie nie zastępuje. Ważniejsze sprawy leżą, drobne załatwiają „starsi” referendarze, jak chcą. Mój dyrektor był nieobecny, jutro wybiorę się po raz drugi.

Z Rabki nici, nie warto jechać na tydzień.

Na razie nic nie robię. Trochę wczytuję się w stare listy i dokumenty sprzed stu lat. Teraz już wiem wszystko. Jasna stała się dla mnie historia ucieczki przodka Martina. Niegdyś byłabym się fascynowała treścią starych dokumentów, wydobytych na światło dzienne w sposób przypadkowy. Widziałabym w nich romantyczną stronę, a to było tylko zwykłe ułamanie się kluczyka od szuflady starego sekretarzyka. W dodatku to nie żaden stary Biedermajer, a jeszcze starszy „Riesener” w stylu Ludwika XVI. Profesor Wydra zna się chyba na tym, widocznie panna Starzeńska nie połąpała się w detalach. Udowodnił mi to zresztą bardzo łatwo, na podstawie ilustracji w niemieckiej encyklopedii.

Aha - profesor. Dotrzymuje mi na razie towarzystwa, tylko on jeden, ponieważ nasze panie wolą kanapki w „Ziemiańskiej”. Któregoś dnia powiedział mi całkiem otwarcie, lecz bez urazy:

- Pani Leokadia nie lubi mnie, nie przypadłem jej do gustu. W każdym człowieku jest coś godnego rozważenia. Tymczasem u ciotki pani skoncentrował się jakiś komplet, o którym trudno coś powiedzieć... ani dobrze, ani źle.

Wyobrażam sobie, że stary pan chciał w ten sposób podkreślić jakąś sytą siebie przeciętność.

Wtorek - 18 czerwca

Byłam u mojego dyrektora departamentu. Elegancko. Zaofiarował mi się z pomocą w sprawie przedłużenia urlopu chorobowego. Wspomniał o konieczności wyjazdu do wiedeńskiego specjalisty. Podtrzymywał mnie w tym, a równocześnie wypytywał się o Marcina. Wszyscy najwidoczniej zazdroszczą mu wydostania się z Polski i osiedlenia w Szwajcarii.

Zaprosiłam profesora Wydrę na obiad do siebie i przy czarnej kawie wyłożyłam mu moje skarby ze skrytki. Rozruszał się. Zapalił. Było mu przyjemnie. Ucieszony, zabrał wszystko do siebie na dół. Gdy obejrzy, porozmawiamy.

Głupstwo, ale dzisiaj byłam w kinie. Chciałam się rozerwać. Głupi miłosny film francuski, ale z amerykańskim *happy-endem*.

Środa - 19 czerwca

Nowy list od Elfrydy. Dalsze szczegóły. Otóż Heinrich bez jakiegokolwiek wysiłku ze swej strony dotarł ponownie do znanej nam Willi koło Tiergartenu. Jego miłość mieszka w dawnym pokoju Erny von Jamsborck. Ciekawe zdarzenie. Po raz drugi Jamsborgowie vel Jamsborckowie spotykają się przypadkowo. Nasz Heinrich jest asystentem profesora i jakaś studentka zadała mu pytanie, czy nie jest krewnym inżyniera Krystyna Jambora z Gdańska. Reszta poszła gładko, ale Heinrich był po swojemu tajemniczy i nie zdradził się. Ta panna nazywa się von Goltorpp, a jej matka była *primo voto* zamężna z jakimś dalszym stryjkiem Hansa i Erny. Na imię jej - Anna. Podobno dość rzadkie imię w tamtejszych stronach. Mają majątek pod Stralsundem, wszystko w okolicach dawnych dóbr rodziny Jamsborck.

No - cóż? Elfryda wyznacza mi spotkanie w Berlinie już w najbliższą niedzielę. Jadę! Przecież trzeba obejrzeć tę nową pannicę niemiecką. Studentka medycyny to w każdym razie już coś znaczy. Z Heinrichem łączy mnie od lat poważna przyjaźń. Być może rozumieliśmy się wzajemnie lepiej niż z rodzonym bratem. Heinrich już od dziecka był poważny i solidny, a na naszego Krystynka patrzyłyśmy zawsze przez zacudowane okulary sióstr. Być może dlatego udały mu się tak gładko spadkowe rozliczenia.

Piątek - 21 czerwca

Przygotowania do podróży. List z Grudziądza. Zrozumiałe - niech jadą do Rabki. Dzisiaj wysłałam tysiąc złotych i osobno sto złotych na przyjemności dla małej. Napisałam serdeczny list. Pani Woźnikowa dziękuje za pomoc dla ich krewnej. Pisze, że ona na pewno mi odda, tylko spokojnie, gdyż teraz nie będzie miała noża na gardle. Może.

Już mam bilety na jutro. W Berlinie będę wczesnym rankiem w niedzielę. Uzgodniłam telefonicznie z Gdańskiem. Spotkamy się na dworcu. Oba pociągi przyjeżdżają niemal równocześnie. Na Friedrichstrasse.

Wczoraj rozmawiałam z Marcinem. Florencja w Paryżu, stryjek samotny w domu. Namawiał, by wpaść do Montreux. Choć na kilka dni. Podobno awizowała tam swój przyjazd Leokadia. Nawet o tym nie wiedziałam. Radził mi od razu zabezpieczyć sobie nowe dwa tygodnie urlopu w biurze. Już napisałam odpowiedni wniosek. Nietrudno, ponieważ świadectwo lekarskie objęło propozycję co najmniej sześciotygodniowego wypoczynku po chorobie. Jutro wpadnę do ministerstwa, będzie nazywało się, że jadę do specjalisty w Wiedniu. Zresztą Mokotów załatwi, gdy coś będzie potrzeba dodatkowo. Dzisiaj Karol jeździł z paszportem po konsulatach. Nowy paszport: *fonctionnaire d'etat*. To brzmi lepiej.

Profesor wypytywał mnie dzisiaj o szczegóły śmierci naszego dziadka Jambora. Nie mógł zrozumieć, dlaczego właśnie mnie, a nie komu innemu dziadek zapisał w testamencie biurko ze skrytką. W paczce dokumentów znajduje się również pisemne upoważnienie, wystawione na nazwisko naszego dziadka, reprezentowania grudziądzkiej Łoży na krajowym zjeździe *Grosse Nationalmutterloge zu den Drei Weltkugeln* w roku 1912, na którym był obecny również doktor Wydra. Stare dzieje, niemniej ten dokumencik potwierdza, że dziadek

Jambor znalazł zawartość skrytki w biurku. Dlaczego nie podarował biurka synowi Marcinowi, a właśnie najmłodszej ze swych wnuczek? Tego obecnie już nie odgadniemy. Ciekawa jestem, co powie Marcin. A może dziadek nie zdążył przed śmiercią wyjąć zawartości skrytki i to wszystko dostało się do moich rąk jedynie wskutek przypadkowego zbiegu okoliczności? Tego również się nie dowiemy. Co do mnie, to najwięcej cieszę się miniaturami. Jest ich w sumie pięć. Rodzice Martina, rodzice jego matki oraz portret pastora, w oczach podobnego do matki przodka Martina. Miniatury wyjęte z ramek, dwie malowane na blasze, dwie na cienkich płytkach z kości słoniowej - rodzice Martina - a pastor na jakimś mocno wyżółkłym kartoniku.

Obecnie spróbuję dotrzeć na niemieckie Pomorze. Rodzina von Jamsborcków zamieszkuje dotychczas nasze stare strony rodzinne. Mój obecny wyjazd do Berlina winien mnie ostatecznie przybliżyć do terenu moich dalekich przodków.

Czuję się jakby lepiej. Widocznie działa perspektywa nowości. Nareszcie mam coś innego niż rozmyślanie nad cyframi. To nie było życie - takie ustawiczne manewrowanie pomiędzy ma i winien. Przecież ja i tak nie biorę osobistego i bezpośredniego udziału w manipulacjach kupieckich. W Wąbrzeźnie myśli za nas obie siostra Zofia, a w Warszawie za mnie panna Beata Walczak. Ja notuję jedynie ostateczne cyfry i wygłupiam się z nimi na kartkach bloczka do stenografii. A równocześnie kiwam głową, podobnie jak figurki chińskie, mające ruchomą głowę, osadzoną na pręciku. Byłe podmuch wiatru czy poruszenie palcem wprawia w ruch takie figurki porcelanowe.

Sobota - 22 czerwca

Krótko przed wyjazdem. Ciotka wyrusza od dziś za tydzień i jedzie wprost do Montreux. Zabiera z sobą Zosię. Bardzo dobrze dla nich obu. Co prawda zamiast Zosi byłabym mogła pojechać ja, ale cóż? Przynależało Marcinowi dwa lata w Warszawie, trzeba dotrzymać. W nowym biurze zwałali na mnie całą pracę. Mam dodatkowy urlop do połowy lipca, naturalnie dla celów leczniczych. Normalny chyba w końcu roku lub w styczniu. Zobaczymy.

Profesor odwiedził mnie dzisiaj bardzo wczesnym rano i powiedział:

- Przeczytałem i obejrzałem wszystko. Nie mogę jednakże pojąć, dlaczego Martin wzgardził rodziną i ofiarowywanym mu przez stryja majątkiem na wsi. W dodatku - on był bardzo wysoko w Łoży.

Zobaczę na miejscu. Przecież tam, w niemieckim odłamie naszej rodziny, musiała przechować się jakaś tradycja. To nie są znów tak bardzo odległe czasy. Ciotka Hansa i Erny to obca kobieta, nie mająca zbytniego zainteresowania dla spraw rodzinnych swego zmarłego męża. Ojciec Hansa i Erny zmarł już dość dawno, a mąż ciotki był raczej mieszczuchem, dyrektorem banku. Natomiast ta moja imienniczka, medyczka, pochodzi wprost ze wsi. Koło Stralsundu. Źle zrobiłam, że w swoim czasie wyśmiałam zmianę nazwiska u mojego brata. Trzeba było zainteresować się, przecież do tego celu musiał przedłożyć odpisy metryk z okresu co najmniej półtora wieku. Na pewno korzystał z pomocy owych wiejskich krewnych. Zresztą zobaczę na miejscu. Do jutra niedaleko.

Tym razem jadę bez wywatowania się dolarami. Nie będą mi potrzebne. Bilet kolejowy i symboliczne pięćset złotych, które wolno wywieźć za granicę. Wyjeżdżam całkiem skromnie. Jedna waliza i neseser. W starym płaszczu skórzanym z okresu podróży po Pirenejach. Świat po drodze nie jest już dla mnie bezludną pustynią. Na szlaku wędrówek mam krewnych i ludzi życzliwych. To bardzo przyjemnie.

Kończę, przez półotwarte drzwi słyszę znajome głosy: generałowa i panna Beata.

Berlin - niedziela - 23 czerwca

Bardzo miła. Przeciwnieństwo naszego Heinricha. Silna brunetka, cera ciemna, oczy stalowe. Wesoła. Rozmowy jednak solidne. Wieś w każdym calu. Medycyna z powołania. Mnie posłano na skórzanej kanapie w starym gabinecie. W tym samym pokoju wisi rodzinny chłopiec, malowany przez Chodowieckiego. Oryginał tej kopii, którą mam u siebie w Warszawie. Elfrydę ulokowano w gościnnym pokoju na piętrze. Ciekawe. Nas obie traktują niezwykle serdecznie, lecz mnie wyróżniają. Może dlatego, że Elfrydę widzą po raz pierwszy. W dodatku ona jest dziwnie poważna, ja natomiast jestem po trochu oswojona z terenem willi przy Tiergartenie. Poza tym - owo dalekie pokrewieństwo.

Heinrich bierze to bardzo poważnie. W październiku ma odbyć się jego doktorska promocja. Obecnie kończy przepisową praktykę szpitalną w klinice uniwersyteckiej. Anna pojutrze zdaje ostatnie egzaminy i tego samego dnia wyjeżdżamy na wieś. Heinrich tylko nas odwozi i zaraz wraca. Ma zaledwie dwa dni urlopu. W tym roku wakacje pójda mu koło nosa, ale za to dostanie dyplom.

Młodzi marzą o szybkim zrealizowaniu swych projektów. Wszystko będzie zależeć od decyzji pani von Goltorpp. Matka studentki widziała Heinricha zaledwie dwa razy podczas okolicznościowych odwiedzin córki w Berlinie. Jedzie do nich na wieś po raz pierwszy. Wieś czy majątek nazywa się Hermsdorf i ta linia Jamsborcków nazywa się von Jamsborg zu Hermsdorf. Zawile historie, nie śmiałam wypytywać tak od razu pierwszego dnia.

W gabinecie, w którym mi posłano, wiszą portrety obu braci, ojca rodzeństwa i męża „ciotki”, ponieważ tak każe się nazywać. Bardzo miła kobieta i pomyśleć, że Hans i Erna trafili do jej domu, gdy mieli zaledwie po kilkanaście lat. Nie zdołała inaczej ukształtować ich charakterów. Dwaj rodzeni bracia, lecz jakże do siebie niepodobni! Obaj silni rudzielcy, tylko na twarzy dyrektora banku rozlana pewnego rodzaju skupiona powaga, natomiast u jego brata jest coś nieuchwytnego - lisiego i cynicznego równocześnie. Dyrektor - grubas, tamten raczej szczupły, z głową lekko pochyloną ku lewemu ramieniu. Twarz naprzód podana. W tej chwili przyglądam się im obu. Wiszą koło siebie, oba portrety są tego samego pędzla. Siedzę w głębokim fotelu i myślę o nieznanym mi Stralsundzie, dokąd jedziemy pojutrze. Podobno po studencku, wesoło, tak powiedziała niemiecka Anna. Matka, którą poznamy, pochodzi z Nadrenii, z domu von Lilienfels, ojciec jej był lekarzem w Heidelbergu. Obaj mężowie matki studiowali prawo na tym uniwersytecie i stąd równoczesna znajomość. Margareta v. Lilienfels. Pierwszy mąż, pomimo doktoratu prawa, powrócił na wieś i gospodarował. Lata przedwojenne - dwie córki: Dorothea, ur. 1910 r., i Brunhilda, ur. 1912 r., obie z ojca von Jamsborg zu Hermsdorf. W rok po urodzeniu drugiej córki - śmierć ojca. Już po wybuchu wojny światowej - poślubienie heidelberskiego kolegi zmarłego męża. Niemiecki sędzia dr Johann v. Goltorpp, ojciec dwudziestoletniej dzisiaj Anny.

To na razie wszystko, co mi opowiedziano w dniu dzisiejszym. Chyba tylko to jeszcze. Najstarsza z sióstr, Dorothea, wyszła bardzo wcześnie za mąż, w dziewiętnastym roku życia. Mąż, dobrze sytuowany adwokat w Norymberdze, o nic nie mówiącym nazwisku: dr Max Bold, syn fabrykanta. Młodsza z sióstr gospodaruje zawzięcie na wsi. Skończyła przed rokiem agronomię.

Cóż, o Polsce bardzo głucho w tej rodzinie. Jedynie wspomnienie o polskich robotnikach rolnych, którzy przyjeżdżali w tamte strony na roboty przed wojną. Obecnie majątek jest dobrze zmechanizowany, jakoś się obywiają.

Moja niemiecka imienniczka zna całą naszą rodzinę z rozmów z Heinrichem. Poznanie młodych miało miejsce w połowie marca. Już zdążyli wszystko uzgodnić z sobą! Na razie jednak z rodziny młodego lekarza - tylko Elfryda i ja. Co prawda Heinrich zastrzegł się w liście do Elfrydy, aby cała historia z Anną pozostała na razie w tajemnicy przed jego ojcem i ciotką Elfrydą, lecz to tylko tak się mówi. Tajemnica. Elfryda mówiła mi z uśmiechem, gdy o to zapytałam:

- *Wir sind die ersten Familienschwalben...*

Nic dziwnego zresztą, oni się razem wychowali od małych dzieci. W każdym razie jest mi bardzo miło, że i mnie dopuścili do tajemnicy.

Pani Margareta - młoda kobieta, jeszcze nie skończyła pięćdziesiątki. Z pierwszym mężem żyła zaledwie sześć lat, z drugim piętnaście. Smutny los takiej kobiety. O ile jest podobna do najmłodszej córki, dużo obiecuję sobie z odkrycia tej dalekiej rodziny. Przecież moja najbliższa rodzina w Polsce jakoś dziwnie się wykrusza. Trudno określić to inaczej.

Punktualnie o dziesiątej wieczorem powiedziano nam rodzinne: dobranoc! Nie z powodu naszej podróży, lecz dla Anny, która jutro wczesnym rano wędruje na uniwersytet. Ostatnie przygotowania do kolokwium.

Jak oni to sobie dziwnie układają. Promocja, ślub i osiedlenie się w Wiedniu, jeszcze przed rozpoczęciem roku akademickiego. Anna na kolejnym roku studiów, młody doktor jako uczeń słynnego profesora Neumanna, u którego zgłoszę się jako pacjentka z moim gardłem za kilkanaście dni. Heinrich już zdążył poznać profesora, był nawet u niego któregoś roku na klinicznej praktyce wakacyjnej. Dopiero obecnie dowiedziałam się o tym.

Ale trzeba gasić światło. Drogę miałam możliwą, mimo że tym razem obie straże graniczne wygłupiały się z oglądaniem paszportów i pytaniem o waluty.

Pierwszy raz zadawano mi na granicy pytania: gdzie jadę, po co jadę, do kogo jadę. Musiałam powiedzieć, co to za rodzina i co robi. Nawet zapytano, czy jestem Niemką. Gdy powiedziałam, że nie, przypatrzone mi się uważnie, ale na szczęście na tym był już koniec z indagacjami. Widocznie obecnie taka moda. Mowa o granicy niemieckiej. Nasi celnicy interesowali się tylko walutami. Dobrzy sobie.

Poniedziałek - 24 czerwca

Anna niewidzialna cały dzień. Obkuwa się z koleżankami. Znam ten ból, ale ja nie znosiłam takiej formy kucia do egzaminu. Ceniłam samotność czterech ścian. Różne są gusty i różne style życiowe. Heinrich w szpitalu. Spotkanie dopiero wieczorem, podczas kolacji, ta ostatnia wspólna z powodu zagranicznych gości. Zwiedziłam Berlin. Tym razem w całkowitej samotności, ponieważ Elfryda załatwiała jakieś handlowe interesy.

Z tymi pieniędzmi zawsze kłopot. W dodatku ja nie umiem przyzwyczaić się do jakiegoś porządnego systemu. To datuje się u mnie z czasów pensjonarskich. Nawet głupia na ogół Mela prowadziła coś w rodzaju książeczki wydatków. Ma i winien - na bieżąco. Ja przeważnie wydawałam pieniądze nie licząc, jedynie od czasu do czasu dostawałam jakiejś gorączki czy szału i robiłam zestawienia, po swojemu, nieporządnie. Zdarzało mi się to wówczas, gdy wydałam wszystkie pieniądze i chciałam sobie uprzytomnić, na co poszły.

Nawet i obecnie. W przeddzień wyjazdu robiłam właśnie takie zestawienie. Obraz mojej gospodarki za ostatnie cztery miesiące. W notesie pod datą 1 marca zapisałam kilka cyfr - z rozliczeń za styczeń i luty, po prostu saldo w dniu 1 marca. Konto w banku: 2344 złotych - gotówka, okrągło bez drobnych, pięćset złotych - pensja podjęta w ministerstwie za marzec 575 złotych, ta pozycja zresztą widać, że dopisana później - razem 3419 złotych, i na boczku jeszcze jedna notatka: na książeczce PKO - 902 złote i 73 grosze. Głupie dokładności z groszami.

W drugiej grupie, nazwijmy to operacjami majątkowymi, kolosalna kwota: złotych 73 655,65...

W każdym razie związałam koniec z końcem. W lakierach będzie na razie kulawo z gotówką, lecz panna Walczak przewiduje około sześćdziesięciu tysięcy zysku za pierwsze półrocze. Naturalnie to dopiero przypuszczenie, ale w każdym razie będzie coś koło tego. Marcinowi nie jest pilno, w banku znów coś spłace i sprolongują mi kredyt. Nie biorę przy tym pod uwagę sum, które mi wpadną z interesu Mr Zajlicz et Mr Kreiss, bo to wszystko jest na razie pisane palcem na wodzie. Marcin milczy, a generał powiedział mi tylko ogólnikowo, że interes posuwa się. Nie mogłam zdradzać się z tym, że jestem głupia jak tabaka w rogu.

Niech się zdaje każdemu z nich, że wszystko wiem od innych. Z Wiednia spróbuję zadzwonić do Belgradu, to będzie zręczniej, po drodze może w cztery oczy Marcin powie mi coś bliżej o tym interesie. Zresztą mam w głowie inne pomysły odnośnie przeznaczenia tych przyszłych sum. Konto w Genewie: tabu. Zośka twierdzi, że do końca lipca upora się z wąbrzeskimi sprawami. Z tego źródła winno również coś skapnąć w gotówce.

Na zakończenie: do Berlina przywiozłam trzy pudełka czekoladek Wedla. Początkowo każde z nich dostało po pudełku, ale Heinrich zabiera swoje pudełko na prezent dla pań w Hermsdorfie. Oprócz tego kwiaty. Zobaczymy, co z tego wypadnie. W ciekawy sposób kojarzą się małżeństwa. Dawniej kojarzyły je głowy rodzin, później kumoszki zgromadzone przy niedzielnym kafeklaczu, a obecnie kojarzy Jego Królewska Mość Przypadek. A ja...

To nie skarga, lecz takie sobie zwyczajne... westchnienie.

Wtorek - 25 czerwca

Rano. W momencie gdy wybierałyśmy się do miasta, nadszedł z Warszawy telegram. Po niemiecku, nasz totumfacki Karol przetelegrafował: „*Lemberg drahtet*, córka Anna i matka zdrowe, ojciec szczęśliwy, lecz mocno śpiący, całujemy wszyscy troje, Michał”. Ano - ano.

Bardzo miło. Doczekali się tego, czego pragnęli. Czasami to właśnie wystarcza do szczęścia. Michał na wesoło, jak zwykle.

Po południu. Anna zdała dobrze, ma za sobą już dwa lata medycyny. Oboje młodzi wywiali gdzieś do miasta po zakupy.

Hermsdorf - środa - 26 czerwca

Stary dom z kamienia i cegły, wielokrotnie przerabiany i odbudowywany. W grubszych zarysach pamiętający jednak czasy, gdy ostatnia z rodu zu Hermsdorf poślubiła wdowca Friedricha von Jamsborck. Dwoje było dzieci z tego małżeństwa, Ludwig, który przyszedł na świat w roku małżeństwa, oraz Heinrich, urodzony w trzy lata później, ojciec naszego przodka Martina. Luiza zu Hermsdorf, urodzona w roku 1731, zmarła w 44 lata później. Stary dom wypełniony jest wspomnieniami po tej kobiecie, która swoim dzieciom zostawiła bogaty majątek i podwójne nazwisko: von Jamsborck zu Hermsdorf. Bardzo wiele rzeczy ocalało z tych czasów, meble, obrazy i biblioteka. Późniejsze pokolenia dokładały już tylko jakieś nieważne cegiełki popolitości czasów im współczesnych.

Duży, piętrowy dom z wieżyczkami, filarami i mansardami pod dachem. Chyba ze czterdzieści pokojów. Dom pamiętający różne czasy, fundamentami sięgający końca siedemnastego wieku. Dom, który przetrwał, podczas gdy rodzinne gniazdo naszych przodków Jamsborg vel Jamborg, vel Jamsborck zostało spalone przez Szwedów w roku 1757 w okresie wojny siedmioletniej. Znają w tym domu dość dokładnie historię obu rodzin. Na razie jednak to wszystko jest zbyt świeże i szczegóły zostały połapane przeze mnie bardzo chaotycznie.

W dniu dzisiejszym pojechaliśmy wszyscy potężnym amerykańcem w stronę ruin zameczku moich przodków, Niewiele z nich pozostało. Mam wrażenie, że okoliczna ludność rozbierała kamień po kamieniu i wyłamywała z murów resztki cegieł, ocalałe po pożarze. Na miejscu opowiedziano mi historię spalenia zamku. Zachowała się nawet pamięć komenderującego generała szwedzkiego: Ungern-Sternberg. Na zamku dopadnięto starego właściciela, również Fryderyka. Synowie jego byli wówczas nieobecni w domu, walczyli daleko, na południu. Jeden z nich, Johann, poległ w tym samym roku w bitwie pod Kollinem, drugi, Fryderyk, oficer pruski, utracił podczas napadu i rabunku zamku swoją pierwszą żonę. Zamordowano ją. Właściwie było inaczej. Broniła się, gdy żołdactwo paliło zamek. Gdy się nie dało już inaczej, wyrwała się im z rąk i wyskoczyła oknem. Dwoje małych dzieci ocalała służba.

Okrągła wieża, masywna, raczej jej resztki, ale jeszcze dzisiaj wysokie na piętnaście metrów. Kawalek murów i coś w rodzaju szczątków podwórza, ze śladami płyt kamiennych. Wszystko tonie w bujnej zieloności, która pożera to, czego czas i ludzie nie zdążyli zniszczyć. Ruiny na sporym wzniesieniu obramowane są obecnie prawie ze wszystkich stron mocnym lasem, w którym przeważają dęby i buki. Stare drzewa mogące mieć ponad dwieście lat. A ponad tym wszystkim jasne niebo dzisiejszego, mocno wystonecznionego dnia.

Jamborg, gród o zmieniającej się pisowni. Czternasty wiek w pobliżu wyspy Rugii i na starym szlaku hanzeatyckim. Ród, o którym jeszcze dziś mówią w okolicy, że był stary. O tym, że jeden z Jamsborgów przywiózł sobie żonę z Westfalii, mówi się tak, jak by to było przedwcześniej. A było na początku wojny trzydziestoletniej, tradycja przechowała nawet rodowe nazwisko tej żony: von Schmackwerder. Co działo się dawniej, nie wiadomo. Podobno zostało wiele starych dokumentów, ale się spaliły. Szwedzi po zrabowaniu zamku wrzucili do jego wnętrza trupy pomordowanych i spalili wszystko. Był to sposób na zatarcie śladów zbrodni, a równocześnie w starym stylu stos żałobny dla zmarłych.

Jestem wzruszona. Lata wieków ubiegłych mają swoją własną mowę. Przemawiają do nas bez zbędnych słów. Czuję się mała i nic nieznacząca wobec tych kamieni, które ludzie współcześni określają nazwiskiem Jamborg.

Na tych ziemiach nadmorskich przewalała się bogata w wydarzenia historia wielu wieków, ludów i wojen. Czymże ja jestem wobec tego wszystkiego? Jakimś listkiem, który wiatr przywiał z dalekich stron. I jakiś nowy wiatr z powrotem odwieje mnie na inną ziemię. Tam, gdzie osiedlił się nasz przodek Martin. Boć przecie ci wszyscy Fryderykowie, władający od lat na tej ziemi, to jakieś bardzo stare dzieje. Dla nas i dla naszej rodziny nowe dzieje powstały dopiero od momentu, gdy Martin poślubił grudziądką Zofię Wildorf.

Nie mogę pisać. Jestem bliska płaczu. Zbyt wiele było wrażeń w dniu dzisiejszym. Mój pokój na pierwszym piętrze, przytyka do niego jedna z wieżyczek. Mury domu grube, lecz mimo to słyszę bicie jakiegoś zegara. Poważne i mocne dźwięki. Północ. Gaszę światło. Na dworze księżyc. Pierwsza pełnia letnia. Jasno. Można doskonale czytać przy takim świetle. Okna otwarte. Ciepło. Mocne zapachy z parku, ponieważ po upalnym dniu wieczorem przeszła ulewna burza.

Koniec dzisiejszego dnia - w domu, w którym mieszkali moi przodkowie.

Czwartek - 27 czerwca

Matka trzech córek z wyglądu podobna raczej do dwóch starszych. Napisałam głupstwo, ponieważ dzieci są podobne do rodziców, a nie odwrotnie. Ale w tym domu matka i córki tworzą nierozłączną całość. Matka zda się być tylko starszą siostrą swych córek. Anna również należy silnie do tej całości, z tym wyjątkiem, że jest bardzo podobna do nieżyjącego ojca. Brunetka zresztą i mocno odbija od tamtych trzech jasnych kobiet. Inny ojciec, drugi mąż, mimo to jedna całość. Kochają się.

Heinrich pod silnym obstrzałem. W tym domu nie wystarczy być tylko doktorem medycyny. Nie imponują ani miliony ojca, ani pozycja kupieckiego jedynaka. O zwycięstwie kandydata na zięcia zdecyduje raczej osobisty wdzięk i ułożenie. W domu, jako wielce honorowana krewna - ciotka zmarłego w roku 1930 ojca Anny. Stara panna, chyba bliżej siedemdziesiątki, Maria Luiza von Goltorpp. Autorytet spokojnej wytworności. Ubranie w starym stylu. Już w pociągu Anna pouczała naszego Heinricha:

- Staraj się zdobyć naszą ciotkę. Ciotkę mojego ojca. Przez nią trafimy do dziada stryjecznego, który jest moim opiekunem. Od niego będzie zależeć nasze małżeństwo.

Heinrich patrzył w jej wesołe oczy i milczał. Jak się to wszystko wykręci?

Dwie przyrodnie siostry Anny, Dorothea z trzyletnim synkiem i młodsza Brunhilda. Matka? To chyba tylko czwarta siostra.

Kompletu dopełnia starszy pan w staroświeckim surducie z czarnej alpaki i z białym pastorskim kołnierzykiem pod szyją. W wieku Marii Luizy, może nieco starszy, o trzy lub cztery lata. Mieszka również w tym samym domu, nie prowadzi własnego gospodarstwa. Zbór mieści się w odległości kilkuset kroków od starego domu. Niegdyś było to wszystko bardzo duże, wojny jednak oraz różne działy rodzinne dopomogły do zmalenia majątku. Elfryda mówi, że majątek jest w wysokiej kulturze, mimo że w okolicy marne grunty. Zabudowania gospodarcze pokazowe. To właśnie jest królestwo Brunhildy.

Heinrich wyjechał dziś z powrotem do swego szpitala w Berlinie, my zostajemy do poniedziałku. Zatrzymują na dłużej, cóż kiedy wołają obowiązki. Elfryda ma urlop tylko na tydzień, a przede mną jeszcze daleka droga. Montreux i Wiedeń.

Nie umawiając się, obie z Elfrydą przyjęłyśmy ten sam sposób bycia. Nie opowiadamy o sobie, staramy się raczej słuchać opowiadań gospodyń. Nie chwylimy się tym, co posiadamy. Heinrich również, powiedział jedynie krótko, że jest synem kupca drzewnego i posiada krewnych w Anglii. Co do mnie, wspominałam, że po skończeniu uniwersytetu, zgodnie z życzeniem rodziny, osiedliłam się w Warszawie, gdzie pracuję w ministerstwie. O bławatach nie wspominałam. Co to ich obchodzi?

Awantury z Erną są znane, lecz mówi się o nich półgębkiem. Okazuje się, że nie utrzymywali zbyt bliskich stosunków z Hansem i Erną, nawet Hans po jakiejś awanturze miał u nich wymówiony dom. O berlińskiej ciotce mówi się z uznaniem, że zdołała wytrzymać i wychować dzieci po swoim szwagrze.

W pewnym momencie struchlałam, gdy ciotka Maria Luiza zauważyła:

- Nic dziwnego, Margareta nie jest winna, to sprawa złej krwi owej Dubonki.

Mowa była o francuskiej matce rodzeństwa. W dodatku ich ojciec wszystko stracił i pod koniec życia był na utrzymaniu dyrektora banku.

Dom wypełniony jest ściśle niemieczyzną, germański. O polityce jednak nie mówi się. Mają swoje tradycje. Jak dotychczas nasz Heinrich ma poparcie jedynie w swojej Annie. Czasy co prawda, w których żyjemy, są mocno zmodernizowane, jednakże trudno tak od razu powiedzieć: nic mnie nie obchodzi moja rodzina, idę za tobą, mój kochany Heinrichu. W dodatku zwykły doktor Jambor, ponieważ Heinrich ma swoje zasady i nie będzie kopiował naszego braciszka z dorabianiem sobie „von” i kilku liter w nazwisku!

- Myślałam, że po pobycie w Anglii dzieci uspokoją się - powiedziała nam kiedyś otwarcie nasza nowa ciotka. - Byłam nawet zadowolona, że poznała Krystyna, wasz brat posiadał pewien wpływ na Hansa. Erna wydała mi się bardzo szczerze nim zajęta. Te historie zaskoczyły nas wszystkich. Mam wrażenie - mówiła pani Jamsborck - że to był ostatni szus Erny, przecież po wyjściu za tego Anglika uspokoiła się.

A zatem Erna wyszła za mąż...

Trudne problemy. Pytałam dyskretnie o matkę Hansa i Erny. Okazało się, że po śmierci męża rzuciła wszystko, dzieci, niemiecką rodzinę i rozplynęła się gdzieś w dalekim świecie. Wszelki ślad po niej zaginął, pozostał jedynie olejny portret, wiszący obecnie w willi koło Tiergartenu. Hans miał wówczas trzynaście lat, Erna dziesięć.

Piątek - 28 czerwca

Pastor nazywa się Willy Schmidt i jest doktorem filozofii. Syn tutejszych chłopów. Rodzina jego od stu lat związana z rodziną dziedziców. Kopalnia wiadomości. W serdecznej przyjaźni z nieżyjącym już ojcem Anny. Całe życie na tej samej posadzce luterańskiego pastora w Hermsdorfie. Jego pomocnik zamieszkuje w budynku kościelnym. Właściwie już jego następcą, ponieważ dr Schmidt zajmuje się raczej pracą w bibliotece. Wisi tam pięknie wykonane drzewo genealogiczne. Do dyspozycji znajdują się różne, wzorowo uporządkowane dokumenty. W Warszawie mam dokumenty znalezione w biurku po starym

dziadku Jamborze, które wiążą w jedną całość prawdę o życiu Martina Jambora. Ale o tym wszystkim napiszę chyba już po powrocie do Warszawy.

Na razie dotykam wzrokiem pożółkłych ksiąg parafialnych. Metryki chrztów, ślubów i zgonów różnych moich przodków i krewnych. Między innymi również oryginał urzędowego aktu adopcji Karola Fryderyka Rotha, z matki von Trottenburg, z zaznaczeniem, że jest to w prostej linii wnuk siostry adoptującego. Dokument z roku 1820, adoptowany miał wówczas 17 lat. W pół roku później namiestnik w imieniu króla pruskiego wyraził zgodę na dziedziczenie przez niego majątków i przyjęcie nazwiska von Jarnsborg zu Hermsdorf, które z racji urodzenia przysługiwać mogło jedynie naszemu pradziadowi Martinowi.

Znam już tę sprawę. Stany pruskie dwukrotnie wzywały i wywoływały naszego przodka Martina do stawienia się przed władzami w Stralsundzie. Nie stawiał się, przeniesiono nazwisko na adoptowanego Rotha.

W dniu dzisiejszym od samego rana bez przerwy leje deszcz. Elfryda zabawiała się z gospodyniami, a ja słuchałam wykładu doktora Schmidta o sprawach rodzinnych. Sprawilo mi przyjemność, gdy mogłam powiedzieć pastorowi:

- Znam tę sprawę, wiem, że mój pradziad z własnej woli nie stawiał się w Stralsundzie.

Stary pastor pokazał mi własnoręczny list Martina, napisany do stryja Fryderyka, starego pruskiego oficera, którego chłopci nazywali „okrutnym”. Zachował się w całości i przetrwał. List dla rodziny - nieprzyjemny. Martin wypomina stryjowi, że naprzód obrabował z majątków swojego młodszego brata, a jego ojca, a dopiero obecnie, na starość, z braku własnych dzieci, pragnie przywabić go z powrotem do Hermsdorfu. Oto słowa listu:

„Pamiętam gorzkie łzy, które wylała moja biedna matka w domu, który nam wydarłeś, mimo że nie należał do ciebie, a przysługiwał nam wyłącznie z racji dziedzictwa po matce mojego ojca z rodziny zu Hermsdorf, która dla ciebie była całkiem obcą kobietą (dwukrotnie podkreślone)”.

List adresowany do Fryderyka von Jamsborek, zamieszkałego *zur Zeit* w Hermsdorfie, a podpisany przez Martina: Martin von Jamsborg zu Hermsdorf, kawaler żelaznego krzyża za kampanię z roku 1813 i wielu innych orderów, starszy lejtenant J. K. Mości w stanie spoczynku.

- Historia, *mein Kind* - mówił dr Schmidt - to są dzieje ludzi dumnych i złych, którzy spychali, a spychają też i dzisiaj biednych, nieśmiałych, bezbronnych z drogi swych czynów brutalnością i chciwością. Dawnych dumnych rycerzy i panów zastąpili obecnie ludzie we frakach i mundurach, a zło pozostało złem i ludzie nie przybliżyli się ku Bogu, w którym jest ich szczęście i zbawienie!

Podobno w tym czasie ów stryj Fryderyk posiadał też wytworny dom w Berlinie. W nim zapewne błąkał się nasz Martin w okresie, gdy Chodowiecki malował w roku 1800 „portret chłopca”. I dlatego oczy tego dziecka są tak dziwnie smutne.

Niedziela - 30 czerwca

Jutro rano opuszczamy stary Hermsdorf. Dzisiaj byliśmy na luterańskim nabożeństwie. Bóg jest jeden i tylko ludzie wmawiają w siebie jakieś różnice, które im, a nie Bogu są potrzebne. Posłannictwo Boże do ludzi również jest jedno. Tym razem słów tych nie mówił dr Schmidt do zgromadzonych wiernych, którzy co niedzielę, jak rok długi, wypełniają dom modlitwy. Jak zwykle u lutrów, grzebał się w Starym Testamencie, czego osobiście nie lubię i nie rozumiem. Ale tak właśnie myślałam, gdy usiadłam w honorowej ławce miejscowych dziedziców, pomiędzy obu siostrami, Dorotheą i Brunhildą. Osobiście nie wyznaję się w tych nabożeństwach, katolicka liturgia zdążyła już mocno wrócić w naszą rodzinę. Są one dla mnie oschłe. Wynika to ze struktury samego wyznania wiary. Lutrzy odrzucili ceremonie, a kościół swój wypełnili smutnym śpiewem i oschłym słowem. Na ścianach wmurowane są tablice z napisami, daty urodzin i śmierci, kamienna historia mojej niemieckiej rodziny. Obok zboru

cmentarz. Płyty cmentarne utrwalają pamięć przeszłości dla przyszłości. Ale burze dziejowe obalają krzyże i nagrobki, a wieki zmywają napisy z płyt i czynią je nieczytelnymi. W ten sposób ludzie przemijają, a świat trwa...

Wczoraj i dzisiaj pokazano nas licznym gościom. Sąsiedzi z okolicznych majątków, dobrych dziesiątek nie znanych nam nazwisk i twarzy. Staralam się mówić chłodno:

- Obecnie jadę na kilka dni do stryja, który stale mieszka w Montreux i jest obywatelem szwajcarskim, a później wybieram się do specjalisty od gardła, do Wiednia.

Naśladowałam Elfrydę, która pytana o ojca, powiedziała chłodno i bezbarwnie:

- Mój ojciec zlikwidował interesy w Gdańsku i przeniósł się na stałe do Anglii, gdzie posiadamy również rodzinę. Ja pozostałam w Gdańsku i wspólnie z wujkiem Jamborem prowadzę stare przedsiębiorstwo drzewne.

Elfrydy nie poniosły te różne *von* und *zu*. Z dumą podkreśla jedynie trzysta lat starego kupiectwa gdańskiej rodziny Gardenów.

Poniedziałek - 1 lipca

Dojeżdżam do Berlina. Nudna podróż. Podczas krótkiej wspólnej drogi Elfryda opowiadała mi o zwierzeniach Heinricha, który widocznie miał większe zaufanie do niej niż do mnie. Krótco przed odjazdem z Hermsdorfu oświadczył się w jakiś skrócony sposób matce Anny. Ani tak, ani nie. Być może zrobił to po swojemu, na zimno i bez entuzjazmu. Tymczasem trzeba było podejść do pani Hermsdorf w jakiś dowcipniejszy sposób. To nie jest przecież składanie jakiegoś dodatkowego egzaminu. Prawdziwy doktor i mól mikroskopowy. Oni zdaje się nie są zachwyceni swoim norymberskim zięciem, coś w rodzaju von Hartmanna, widocznie wszyscy niemieccy prawnicy wychodzą spod jednego stempla. Wyjątek stanowił podobno ojciec Anny, który zaraz po ślubie rzucił prawo i sąd, i zajął się serdecznie wsią i majątkiem ziemskim. Ale zobaczymy, co z tego wypadnie. Anna jest po stronie Heinricha, a to winno być obowiązujące. Podobno ma zadecydować żyjący jeszcze stryj ojca Anny, Carl von Goltorpp, starszy pan w osiemdziesiątce. Bardzo lubi Annę, natomiast nie znosi dr Bolda, mimo że właśnie w jego domu Dorothea poznała swego męża. Nie mieszał się do tego małżeństwa, ponieważ nie leżało to w linii jego pokrewieństwa. Dziadek stryjeczny posiada majątek pod Frankfurtem nad Menem i jest bardzo bogaty. Z nim będzie najtrudniej.

Berlin. Oczekuję na dworcu w poczekalni. Z Heinricha nie miałam wiele pociechy. Dyżury w szpitalu, z powodu okresu wakacyjnego dłuższe zwolnienie niemożliwe. Krótkie dwie godziny na wczesnym obiedzie. Co do małżeństwa, to Heinrich zamierza pojechać osobiście do starego Goltorppa. Na razie nie wie, jak do niego podejść. Spodziewa się ojca w niedługim czasie. Nic więcej. Nie wydaje się być zastraszone oświadczeniem Anny o stryju czy dziadku. Mówi, że lekarz ma w świecie inną pozycję niż prawnik czy adwokat. W dodatku Anna patrzy również bardzo poważnie w kierunku medycyny. Podobno stary Goltorpp był ucieszony w swoim czasie, gdy bratanek rzucił stanowisko sędziego w Kassel i wziął się do gospodarowania na wsi. Drugi mąż pani Margarety włożył w Hermsdorf spore kapitały własne. Ano, zobaczymy.

Nie zdawałam sobie sprawy, że to jest taka daleka droga. Jadę na Halle, Erfurt i przesiadam się we Frankfurcie. Wykupiłam bilet do samego Montreux przez Bern. Daleko, do Bazylei osiemset kilometrów, ale dobre połączenia pośpiesznymi pociągami.

Bern - wtorek - 2 lipca

Szwajcarzy na granicy są bardzo dokładni. Za dwadzieścia minut mam pociąg do Montreux. Szwajcaria jest śliczna. Wygląda solidnie. Znaczna różnica między poszczególnymi miastami. Nawet w pociągu się to spostrzega.

Za pół godziny znajdę się już u celu podróży. Podobno Bazylea jest naprawdę niemiecka. Ale tylko z języka, reszta odmienna, podobno całkiem inni ludzie.

Ciekawa jestem, czy się ucieszą z mojego przyjazdu. Tym razem mogę powiedzieć sobie: jestem głupia. Przecież nikt inny, jak właśnie oni obydwój wyciągnęli mnie z Bydgoszczy, gdzie byłabym zaśnieżyła. Albo zostałabym popychadłem małżeńskim w domu jakiegoś kupca czy adwokata na tym naszym nieciekawym Pomorzu, gdzie ziemia obraca się znacznie wolniej niż gdzie indziej.

Wieczorem. Najazd czy zjazd bab. Generałowa namyśliła się i dołączyła do wyprawy. Zosia ze studenckimi tobołami na cały rok. Obie starsze panie, to znaczy Leokadia i generałowa, nie są jeszcze zdecydowane co do dalszego programu. Generałowa ma na widoku kurację w Marienbadzie, Leokadia na razie bez dowcipu.

Owszem, bardzo życzliwie. Wesoło. Gdy usiedliśmy wieczorem do kolacji, zdawało się nam, że jesteśmy w dalszym ciągu w Warszawie. Gdyby nie podająca do stołu pokojówka i jej francuska mowa, miałybyśmy wrażenie, że znajdujemy się w warszawskim mieszkaniu na Żoliborzu. Meble co prawda inne, lecz w dalszym ciągu stara warszawska porcelana i srebro. Na razie trudno pisać. W przygotowanym już dla mnie pokoiku zastałam na stole pocztę. Kilka listów włożonych w Warszawie w kopertę i osobno serdeczny list od Matyldy.

Takie sobie pinderencje wujcia Benedykta datowane ze wsi, kolorowa pocztówka z Salzburga od obu panów Liteńskich z dopiskiem pani von Kreckwitz, zdawkowy list od pana Zajlicza, dopytującego się o moje wakacyjne zamiary, oraz obszerna epistoła od Michałów z Lwowa. Piszą oboje, po kawałku na zmianę, w dalszym ciągu nieporządnie. Wygląda z tego, że wydzielali sobie papier listowy z rąk i pisali kolejno, co komu z nich przyszło na myśl. Tyle z tego zrozumiałam, że wszystko dobrze, mała przyszła na świat z wagą 3400 gramów. Podkreślają ten fakt, jak by to miała być jakaś bardzo imponująca waga. W dalszym ciągu widzą we mnie przyszłą matkę chrzestną i obecnie dobierają do kompletu kandydata na ojca chrzestnego. Oznajmniają, że małżeństwo jest rzeczą doskonałą i jeszcze dużo w ten deseń. W dodatku rzeczy mądre łączą z głupimi, ponieważ uważają, że można by połączyć wszystko razem, chrzciny i na przykład wystawienie moich lakierów na Targach Lwowskich. Co prawda i ja myślałam o tym, a panna Walczak robiła mi nawet wymówki, że przegapiliśmy tegoroczne Targi Poznańskie. Może zatem i zdrowa myśl? Ale ja osobiście nie mam zamiaru zajmować się tymi sprawami, dam pieniądze i wyślę ludzi, a do Lwowa pojedę raczej do Michałów.

Na razie jednak Anny górą. Będę miała drugą chrzestną córeczkę. Ale obecnie idę spać, ponieważ boli mnie gardło od długiego gadania i od dymu z papierosów, których w dodatku nie wolno mi palić. Ale musiałam wdychać dym, ponieważ tutaj wszyscy palą, nawet Zosia Wirewiczówna.

Mówili o małym domku, a tymczasem wspaniała willa!

Środa - 3 lipca

Niekrepujące. Każdy robi to, na co ma w danej chwili ochotę. Wstałam stosunkowo wcześniej. Obejrzałam sobie dom, chodziłam po ogrodzie, a w końcu położyłam się na leżaku. Willa nazywa się „Acacia”, mimo że nie ma w pobliżu żadnej akacji. Oprócz niewielkiego zresztą napisu nad frontowym wejściem - nazwę podkreśla motyw zdobniczy akacji, wykuty w ozdobnej kracie na dwóch wąskich oknach, umieszczonych z obu boków wejściowych drzwi. Sam dom jest raczej bez wdzięku, widocznie został niezbyt dawno zbudowany, ponieważ w formie nowoczesnej kostki.

Na dole cztery olbrzymie pokoje, przedzielone na wprost drzwi wejściowych małym przedsionkiem ze ścianą szklaną od strony wnętrza. Pośrodku między nimi kwadratowy hall i schody na pierwsze piętro. Od frontu z lewej strony - salon, po tej samej stronie od ogrodu pokój stołowy, z prawej od frontu gabinet z przejściem do biblioteki. Na pierwszym piętrze

osobliwość w postaci wewnętrznego ganeczku z drzwiami na wszystkie strony, z wyjątkiem frontowej ściany domu. Od strony ogrodu pokoje sypialne i gościnne. Balkony od strony ogrodowej wsparte są na czterech filarach o czworokątnym przekroju. Dach domu pomyślany jest jako czapka kryjąca wszystko w jedną kostkę. To znaczy, że wszystkie balkony posiadają przykrycia od góry i stanowią jedynie rodzaje czterech wnęk w kostkowej bryle domu. Dach cztery razy złamany w postaci trójkątów skierowanych wierzchołkami w szpic, dość nawet stromy. Miedziany dach, poznaczony już wstępnymi śladami spatynowania. Okna, drzwi francuskie, przed nimi małe tarasy, bardzo miłe pokoiki, ponieważ obrócone na południe i z dalekim widokiem na jezioro.

Hall na pierwszym piętrze posiada duże okno, w rodzaju ściany witrażowej. Witraż zaprojektowany został fantastycznie śmiało, spora powierzchnia, chyba jakieś cztery metry w kwadrat, w trzech partiach wzmocnienia. Naturalnie motyw akacji, tym razem świetnej, w kolorze jasnej zieloności, ukwieconej gałęzi akacji. Tło w kolorze ciemnego kobaltu. Cudnie to wygląda od strony hallu, od strony wnętrza domu. Prześwietlone słońcem akacje żyją i niemal drgają.

Wieczorem, gdy zachwycałam się witrażową grą kolorów, uświadomiono mnie, że autorem kartonowego szkicu do tej kompozycji był nasz polski artysta Mehoffer. Patrząc na taki witraż, mimo woli nabiera się chęci i ochoty do budowania domów, do zbudowania sobie domu. Ale czy mnie się uda kiedyś i czy dojdę do takiego okresu spokoju, że znajdę czas na myślenie o tym? W bibliotece jest stara szafa gotycka, na której widnieje napis: *Possum agere sicut volo, sed non possum velle sicut vellem*. Cóż dodać więcej?

Dla całości obrazu warto zaznaczyć, że dom wyprawiony jest tynkiem szlachetnym z dodatkiem miki, która błyszczy w słońcu. Ściany w kolorze liliowo-wiśniowym.

Dopiero dzisiaj wypytywano mnie o szczegóły wycieczki pod Stralsund. Marcin nic nie mówił, uśmiechał się. Generałowa kiwała głową, Florencja powiedziała nawet dziwnie zimno:

- Byle nie powtórzyła się historia berlińska.

Zosia słuchała jakby opowieści o żelaznym wilku. Historie o naszych przodkach opowiadałam bez szczegółów, o tym porozmawiam już w cztery oczy z Marcinem. O skrytce w sekretarzyku również. Na razie Marcin jest górą, ponieważ wieczorem, gdy znaleźliśmy się na moment sami w bibliotece, powiedział mi tajemniczo:

- W młodości, jako student, zawędrowałem któregoś roku do Hermsdorfu, przy okazji pokażę ci ówczesne zdjęcia fotograficzne naszych ruin.

A oni trzymali to wszystko przed nami w ukryciu!

Jutro po śniadaniu jedziemy do Lozanny, gdzie zostaniemy na obiedzie. Wieczorem kolacja w Genewie u starego Dubowa, któremu już znacznie się polepszyło, widocznie wystraszył się śmiercią swego szwagra generała. Wszystko uzgodniono telefonicznie. Wrócimy dopiero pojutrze. Wycieczka na dwa dni, nocujemy w Genewie. Stryjek powiezie babiniec, jedziemy bez szofera, przy kierownicy we własnej osobie dr Marcin Jambor. Na razie obywają się bez stałego szofera. Co prawda portier i ogrodnik w jednej osobie posiada również prawo jazdy, ale używają go bardzo rzadko. Florencja praktykuje, zobaczymy, czy dorówna tym różnym warszawskim kierowczyniom z tak zwanego towarzystwa. Obecnie kobieta z towarzystwa wygląda bardzo fotogenicznie przy kierownicy samochodu. Sport nie dla mnie. Rozbiłabym się na pierwszej latarni, ponieważ zamyślam się. Kierowanie samochodem nadaje się wyłącznie dla głupich kobiet, które myślą tylko o tym, co widzą przed nosem.

Ogrodnik jest żonaty. Kucharka, pokojówka, wszyscy czworo mówią po francusku i niemiecku, ogrodnik dodatkowo włada językiem włoskim, pochodzi z kantonu tessyńskiego.

Florencja nigdy nie straciła swego szwajcarskiego obywatelstwa, stryjek w końcu tego roku dostanie również szwajcarski paszport z pełnią praw obywatelskich. Wszystko z powodu

posiadania realności w tym kraju. Marcin mówi, że zamieszkiwanie w „Acacii” jest bardzo drogie. Podatki. W ogóle podatki w tym kraju są bardzo wysokie, wszystko obliczane na zimno i solidnie, bez możliwości jakichś sztuczek buchalteryjnych. To nie to, co w Polsce!

Spać! Co prawda wolę moje warszawskie łóżko niż ten tapczanik w stylu amerykańskim, ale trudno. Ładna natomiast jest willa „Acacia”, z witrażem Mehoffera. Przyjrzałam się nawet dachowi. Naturalnie z chorągiewką obracającą się na wszystkie strony. Chorągiewka, jak wszystkie inne, tylko tyle, że ażurowa, w wycięciu również ten sam motyw: gałązka akacji. Wiem już dobrze, co oznacza symbol takiej gałązki...

Inny świat. Pomimo że ci sami ludzie co i dawniej w Warszawie, a jednak inaczej. Mimo woli i ja upodabnam się do tego otoczenia. Ale to tylko kilka dni i znów trzeba będzie wrócić do mojej Warszawy. Ulica Hortensji, ministerstwo, które mnie nie wzrusza, lakiery, które są mi obojętne, oraz bławaty, których pragnęłabym pozbyć się jak najprędzej. „Acacia”. Ale cóż, kiedy łaciński napis na drzwiach biblioteki nie kłamie: Mogę działać, jak chcę, ale nie mogę chcieć tak, jak bym chciał. Janusowe powiedzenie i jakże pełne ironii to *possum agere sicut volo...*

Może profesor Wydra ma rację. Może w istocie ludziom, którzy nie posiadają wyraźnego oblicza, jest na świecie najlepiej. Leokadia. Obecnie ma tylko to zmartwienie, że nie może zdecydować się na wybór miejscowości. I wszystko to niedługo po tragicznej, co prawda przytłaconej załamaniem nerwowym śmierci męża. Fizyczny oportunizm natury ludzkiej. Ale możliwy jedynie u natury pozbawionej przekłętej skłonności do analizowania szczegółów życiowych.

Ale niechże siebie samej nie oszukuję. Piszę te słowa o praktycznym oportunizmie, a myślę równocześnie w swój własny, kupiecki sposób:

Okrągło w setkach - bławaty dwieście, domy dwieście, lakiery, gdyby je komu sprzedać razem z przedstawicielstwem, sto, Zajliczowe interesy pewnie więcej niż dwieście. Spora suma. Przerzucenie tego za granicę i dopisanie cyfr do tych, które już istnieją na moim koncie w Genewie. Szwajcarskie obywatelstwo za pięć lat, a tymczasem jakaś willa, nieduża co prawda, kucharka czy gospodyni uniwersalna do wszystkiego, jakiś człowiek do grubszych robót, mały samochodek, skromny, i dwa tysiące franków miesięcznie. Na razie jednak zaledwie jakiś tyśiąc, gdyby poprzestać jedynie na spokojnym obcinaniu kuponów od murowanie pewnych papierów. Cóż, Marcinowi dobrze, ponieważ obraca pieniędzmi, spekuluje. Nie zżera kapitału i wydaje tylko dochód. Żywy dochód z nieustannie narastających spekulacji, tak to sobie wyobrażam. A zresztą kto go tam wie? Willa „Acacia”? I to zresztą jest przede mną zakryte. Jakieś osobiste - sprawy...

Cyfry, przekłete cyfry. Przekłety jest również u mnie brak decyzji. Chyba zgaszę światło, nie wymyślę nic mądrego! Kobiety to na ogół głupie cielecia, które mężczyźni kładą do łóżka dla własnej przyjemności, a później wmawiają w nas różne bóstwa piękności czy czego tam jeszcze. Mężczyzna to mądry zwierzak, a kobieta jak księżyc do odbijania światła cudzych mądrości. Psiakrew!

Teatr rodzinny. Menażeria wielkich pieniędzy. Cóż ja wobec nich znaczę? Mała płotka, kijanka, tylko tyle, że już bez ogona. Bo rzadko kiedy wlokę za sobą tren sukni balowej! Nie mam na to czasu. W dodatku zamiast mizdrzyć się przed lustrem i przed chłopami, dociekam rodzinnych historii sprzed stu lat.

Nawet nie mogę napisać w tej chwili: gaszę światło, ponieważ ziewam. Nieprawda, nie ziewam, tylko jestem zła.

Piątek - 5 lipca

Szkoda, że to wszystko w tak kinematograficznym tempie. Zbyt dużo domów, wewnątrz i różnych ludzi. Trudno nawet połapać się w tym lesie. Więcej wrażeń w ciągu dwóch dni niż w ciągu kilku miesięcy w Warszawie. Ciekawa jestem, czy oni doświadczają tego samego,

gdy przyjeżdżają do Polski? Chyba również, tylko że in minus. Stara, bardzo stara kultura materialna. Syty dobrobyt, wygody, o jakich nie mamy pojęcia. Mało ludzi, każdy zajęty wyłącznie własnymi sprawami. Synowie milionowych fabrykantów zabawiają się w socjalizm i finansują lewicowe dzienniki. Podobno syn jednego z największych akcjonariuszów owej „CIBA”, w której pracował kiedyś Marcin, również zadaje się z socjalistami. Tak mi opowiadano. Ale tutejszy socjalizm ma inne, łagodniejsze oblicze. Kłóca się o centymy podwyżek i to im wystarcza. Równocześnie na terenie samej Szwajcarii nie notują żadnych zamieszek, mimo że kraj ten jest ostatnim schronieniem rewolucjonistów wszelkiego rodzaju i wszystkich narodowości. Słyszałam powiedzenie, że jeżeli chodzi o ten kraj, to właśnie ci rewolucjoniści i anarchiści we własnym interesie dbają o to, aby nie robić na miejscu awantur. W ten sposób ustaliła się taka arcydziwna sytuacja. Zresztą nie ma o co walczyć. Z tych, którzy już tutaj zamieszkują, każdy coś ma i każdy jest zadowolony.

Rodzina. Wieroczka nie taka straszna, jak ją obmalowywali. Wielce romantyczna stara dama. Podobno obecnie jest inaczej, ponieważ wystraszyła się śmierci swego zięcia i to wpłynęło na nią w sensie dodatnim. Bardzo gościnnie nas przyjęła, a do Zosi odniosła się z dużym zainteresowaniem. Nie była zadowolona, że ta zostaje do końca wakacji w Montreux. Usiłowała od razu zainteresować ją Lozanną. W każdym razie dobrze to świadczy o babci Wieroczce i wróży Zosi miły pobyt na studiach w Lozannie. Stara pani ma coś koło 76 lat, jej brat Płaton w Genewie jest o dwa lata starszy.

Obecnie w gotyckiej willi panują nowe porządki. Stary dom, duże pokoje. Gospodarstwo zostało zmniejszone i willa zaludniła się obcymi ludźmi, których generał nigdy nie byłby zniósł. Zosia będzie miała bardzo miły pokój z dwoma oknami, wychodzącymi na ogród pełen starych drzew. Idealny spokój, dom w zacisznej dzielnicy, na uboczu, w okolicy wille, zamieszkałe tylko przez bogatych ludzi.

Jestem doprawdy w kłopotcie, ponieważ nie wiem, w jaki sposób opisać Wieroczkę. W każdym calu - rosyjska dama. Mówi tylko po rosyjsku, a dopiero wówczas, gdy widzi, że słuchający nie rozumie szczegółów, dobiera kilka słów francuskich czy niemieckich. Horyzonty myśli i rozmowy bardzo ograniczone. Dla starej damy utrwalił się w jej własnych rozmyślaniach dawny świat z czasów jej wczesnej młodości, spędzonej w Petersburskim Instytucie Maryjskim. Późniejsza reszta stała się nieważna, czas stanął w gotyckiej willi jeszcze w latach przedwojennych. W ten sposób wiecznie młoda Wieroczka ubiera się w stylu epoki własnych myśli. Kolory jasnopopielate i liliowe w odcieniach, o jakich już dawno zapomnieliśmy. Parasolki również kolorowe, jedwabne, na długich kijach. Na głowie osobliwe toczki, widywane dziś już tylko na dawnych dagerotypach. Ale trzeba przyznać, że przechodnie nie oglądają się. Tutaj zresztą jest bardzo trudno zadziwić, chyba gdyby ktoś nago wyszedł na ulicę, ale jeszcze wówczas wszystko odbyłoby się majestatycznie spokojnie. Współcześnie mieszkają w Lozannie dwie egzotyczne osobliwości. Indyjski maharadża z rodziną i jakaś królewska czarna wysokość, która związała z francuskich kolonii.

Na obiedzie zeszła się cała lozańska rodzina Dubowów. Syn Płatona, Mikołaj, ze swoją żoną, piękny typ żydowskiej urody, nie mają dzieci. Najstarsza z dzieci Płatona - Katarzyna, którą znałam już z opowiadań Elzy. Ponad pięćdziesiątka, mąż również lekarz, dwie panienki, obie na uniwersytecie, przyszłe koleżanki naszej Zosi. Takie sobie - typowe Szwajcarki, masywna uroda po ojcu. Lekarz podobno z wielkim wzięciem, doktor Miliz, trudno coś powiedzieć. Postawny, kwadratowy, czerwony na twarzy, mówi chętniej po niemiecku, ze starej rodziny, z dawna osiadłej w Lozannie. Uniwersytet w Wiedniu, jeszcze mocno w czasach c. k. Austrii. Najstarszy syn na praktyce bankowej u dziadka w Genewie. Koło trzydziestki, już żonaty, dwoje dzieci, wszystkich poznałam jeszcze tego samego dnia w Genewie, ponieważ właśnie u nich umieszczono mnie w gościnie razem z Zosią. Młodzi - do młodych. Na odmianę angielski Oxford. Łącznie z manierami. Podobno przyszły następca Płatona Dubowa w banku - tak by wyglądało. Leokadię i generałową umieszczono w

pałacyku Płatona, a Marcinowie osobno, w miejscowym *pied-à-terre* Elzy Dubow, podobno jak zwykle.

Tutaj wszystko jest z góry nakręcone i ściśle zazębiane. Nikt nie chodzi luzem. Skamieniałe obyczaje. Ponadto ludzie bez pieniędzy nie posiadają w tym kraju żadnego znaczenia.

Pierwsze śniadanie naturalnie u Milizów. Gospodyni młoda, z miejscowej arystokracji kalwińskiej. Osobna willa, troje służby. Coś w rodzaju sztywnej etykiety.

Bank starego Płatona osobliwy. Mała dwupiętrowa kamieniczka w śródmieściu, jednakże spokojna przecznica. Staroświeckość nawet w fasadzie domu. Na parterze w oknach ozdobne kraty i nic więcej. Nie zadano sobie trudu, aby unowocześnić te cztery okna. Na ścianie domu, po prawej stronie względnie ciasnych drzwi, zwykła tabliczka marmurowa z napisem: Płaton Doubov - *Maison de banque*. I nic więcej. Tabliczka w białym marmurze, znacznie mniejsza od tablic warszawskich lekarzy i adwokatów. Litery wyryte i niegdyś zapewne wyłoczone. Obecnie tabliczka mocno szerniała. Tylko tyle, że front domu oraz całe wnętrze bankowe bez najmniejszego zadrapania. Białe marmury i mosiądz.

W banku zaledwie kilkanaście osób. Przeważnie ludzie starzy. Spokój i cisza. Byłam uprzedzona przez Marcina, aby z Płatonem nie rozmawiać w sposób wąbrzeski czy polski, tutaj oba te określenia zlewają się i tak w jedno pojęcie. Ograniczyłam się zaledwie do wyrażenia prośby, aby za dwie trzecie moich franków polecił zakupić akcje według jego własnej orientacji, z czego połowa w spokojnych papierach, druga w ruchliwych. Tutaj w ten sposób nazywają takie akcje, które zmieniają na giełdzie kurs w zależności od różnych okoliczności. Po wyjściu z gabinetu właściciela banku podpisałam małą karteczkę, upoważnienie do takiej transakcji. O przekazywaniu pieniędzy do Wiednia czy też podejmowaniu gotówki nie było mowy. O tym z góry pomyślał Marcin i otworzył mi akredytywę u Braci Eibenschutz w wysokości tysiąca dolarów. Naturalnie do rozliczenia.

Rozmowa z Płatonem Dubowem była poważna, raczej z pominięciem mojej przypadkowej kobiecości. Traktował mnie z pańska, uprzejmie co prawda, lecz z cieniutką nutką odmienności w stosunku do wczorajszej kolacji rodzinnej. Zapytywał mnie na przykład, czy już nastawiłam się na nowy styl życia przy ulicy Hortensji. Zna Warszawę, bywał tam w różnych interesach jeszcze za czasów carskich, ale mało wyznaje się na naszych współczesnych sprawach. Chłodny i beznamiętny typ. Dopytywał się również o Zajlicza, zdążyłam zauważyć jakiś błysk w oczach Marcina, który mi towarzyszył podczas tej rozmowy, i informowałam ogólnie. Bardzo leciutko wspomniałam o tym, że jest dobrze widziany w otoczeniu księcia regenta Pawła. Miało to charakter wzmianki o jego ugruntowanych stosunkach raczej towarzyskich niż finansowych. Stary Płaton w tym momencie bąknął pod nosem coś w rodzaju: - Dobrze.

Po wyjściu z banku Marcin zaciągnął mnie do małej cukierenki i tam w cztery oczy uświadomił częściowo o rodzaju interesów z Zajliczem, które już się rozkręciły. Ale o tym trudno pisać tak od razu, na kolanie. Projekt Marcina idzie w tym kierunku, abym ściągnęła Zajlicza do Wiednia i wmówiła w niego niektóre rzeczy. Osobiste zlecenia stryjka - poza Mokotowem. Zobaczmy. Naturalnie bez pisania, stryjek jest pewny, że *monsieur* przybędzie do Wiednia, gdy zadzwonię.

Jakby w nagrodę za cukiernię opowiedziałam Marcinowi o skrytce odkrytej w biurku. Marcin wiedział coś niecoś o tych drobiazgach sprzed stu lat, dziadek dusił to jednak u siebie w sposób nie wiadomo dlaczego aż tak tajemniczy. Nawet w momencie odczytywania testamentu Marcin oczekiwał wiadomości o tym właśnie depozycie rodzinnym, co jednak nie nastąpiło. Był zdziwiony legatem w postaci całej kamienicy. Właśnie to, że otrzymał taki „goły materialny legat” sprawiło, iż zlekceważył go i wpadł na pomysł dokonania równego podziału pomiędzy rodzeństwo. O masońskich historiach naszego dziadka Benona był doskonale poinformowany, ale mówi, że to były tylko kupieckie kalkulacje zrobienia

większego majątku, które zawiodły w okresie rozpoczęcia przez dziadka spekulacji grudziądzkimi domami. Dziadek został wówczas z powodu wypadków wojennych odcięty od swoich dotychczasowych znajomych, Braci - jak się wyraził Marcin - i nikt nie mógł mu pomóc. Ówczesny teren polskiego już Pomorza pozostawał w chaosie niepewności. Dziadek w dodatku nie pochwałał sposobu życia Marcina i był raczej obojętny w stosunku do niego. Marcin sam sobie wówczas radził, toteż legat przyjął jako pewnego rodzaju szyderstwo ze strony zmarłego ojca. Wyglądało to tak, jak by Marcin nie był zdolny do stworzenia sobie majątku czy dobrobytu o własnych siłach. W dodatku właśnie wówczas dobijał on do pewnych pomysłów wynalazczych, które wkrótce potem zrealizował, i doskoczył do pierwszych większych pieniędzy. Jest to dziedzina barwników syntetycznych, na której się nie znam i której Marcin nie starał mi się nawet tłumaczyć. Te sprawy mają powiązanie z ową „CIBA” oraz do pewnego stopnia z fabryką przy ulicy Czterech Kamieni. Przez Mrs. Maltz to wszystko dotarło do Ameryki i zamieniło się w dolary. W połączeniu ze szwajcarskim majątkiem Florencji doprowadziło w końcu naszego Marcina do Montreux, z którego jest zadowolony. Reszty dopełniły udane transakcje giełdowe, przy czym właśnie Marcin był motorem porzucenia przez generała Wirewicza czynnej służby wojskowej i wrobienia się w przemysł zbrojeniowy.

Gdy siedziałam ze stryjkiem na tarasie genewskiej kawiarni, nasze warszawskie panie biegały oglądać gmach Ligi Narodów. Kto wie, czy stryjek nie przyleci samolotem do Wiednia, gdy zajdzie potrzeba i gdy moje rozmowy z Zajliczem doprowadzą do pewnych rezultatów.

Meisslowie - to stare znajomości rodzinne. Wszystko jest powiązane z sobą rodzinnie i finansowo. Marcin był zadowolony z mojej sympatii do Matyldy, której nie lubi jedynie Florencja - jakieś dawne historie z wczesnej młodości. Marcin jest z nią na stopie koleżeńskiej.

Pytałam również o inne rzeczy, ale stryjek uśmiechnął się tylko i powiedział:

- Na co ci od razu wszystko wiedzieć, zostaw sobie trochę na przyszłość. Masz i tak znacznie więcej ode mnie, gdy byłem w twoim wieku. Wówczas ja kręciłem się jak piskorz w ukropie, a przed tobą czysta i nie zapisana karta przyszłości. W dodatku masz prawie na miejscu, w domu, profesora Wydrę, on jest znacznie więcej oblatany w tych sprawach ode mnie. Ja...

I na tym się skończyło. Na zakończenie wiadomość: nasz markiz zdołał wydostać się z Włoch, ale na razie cierpi na poważny rozstrój nerwowy i przebywa w sanatorium. Kto wie, czy nie zamieszka nawet jako gość w willi „Acacia”.

Jutro w południe wyjeżdżam do Wiednia. Daleka droga na Zurych, Bregencję, Monachium i Linz, pewnie z dziewięćset kilometrów, a może i równy tysiąc. Ale połączenia dobre, będę w Wiedniu już w niedzielę nad ranem. Nasze panie nie ustaliły jeszcze terminu wyjazdu, podoba im się w „Acacii”. Mnie - również.

Ciekawe były słowa Marcina, powiedziane również w kawiarni:

- Zapewne kiedyś, wcześniej czy później, wyjdiesz, Anno, za mąż, pamiętaj tylko o jednym: nie pozwól wyjąć sobie pieniędzy z ręki. Część dochodów to i owszem, zrozumiałe, ponieważ tego będą wymagać okoliczności życiowe. Ale kapitał winien pozostać całkowicie w twoich rękach!

Rzecz prosta, przyznałam się Marcinowi do zastawienia części jego akcji dla zdobycia gotówki na kupno poznańskiej kamienicy. Nic nie powiedział, kupno kamienicy w Poznaniu pochwalił. Mówi, że zawsze warto mieć takie spokojne lokaty gdzieś na boku. To jakaś dodatkowa rezerwa na wypadek niepowodzeń. Opowiadałam mu o obiekcjach przy dokonywaniu tego zastawu akcji i o włożeniu do domowego sejfu karteczki ze stwierdzeniem faktu przyznania tego długu. Tłumaczyłam się jakimiś złymi przeczuciami w danej chwili. Marcin popatrzył na mnie uważnie i powiedział więcej do samego siebie niż do mnie:

- W istocie, Anno, masz rację, twoi spadkobiercy są nieszczególni. Brat prysnął w daleki świat i wszystko zależy jedynie od przypadku i zbiegu okoliczności. Albo zdobędzie majątek, o co nietrudno w tamtejszych stronach dla kogoś, komu siostry lekką rączką przesyłają pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Albo straci dolary i wiarę w powodzenie, o co tam równie łatwo, wróci do Polski i usiądzie wam na karku. Ale to ostatnie mało prawdopodobne, tacy jak Krystyn nie giną, w nim zawsze była żyłka awanturnicza. Byle tylko nie przyczepił się do niego z powrotem ten berliński „von”.

Po co wracać do czegoś, co się już porzuciło, czym się już kiedyś wzgardziło? Owszem, można to uważać za rodzinną zabawkę, temat do opowiadań podczas długich wieczorów zimowych, ale szkoda byłoby fascynować się. To już minęło, owe stralsundzkie historie w gruncie rzeczy były nieciekawe. Zabijali się wzajemnie i nienawidzili. Wojskowa rodzina i historia jej wypełniona jest wojnami. To nie da nic praktycznego w naszym obecnym życiu. Co innego Heinrich. Warto chłopcu pomóc w tym małżeństwie, ma pieniądze, ma ochotę do nauki, niech się w niej zagrzebie. Dwa lata w Wiedniu, lecz nie dłużej, a później od razu do Nowego Jorku. Ta Anna, o której opowiadałaś, to w gruncie rzeczy dobra żona dla gdańskiego chłopca. Zawsze obawiałem się, że namówią go na ową panięńską wdowę po tym waszym braterskim bęcwale, mam na myśli Krystyna i Elfrydę. Kilka lat różnicy wieku - to bez znaczenia.

Elfryda - jako żona swego brata ciotecznego? Nowy problem dla mnie, mimo że tego właśnie życzył sobie w swoim czasie Grossvater Jung. Zaprzeczyłam naturalnie w sposób niezwykle żywy, powiedziałam, że taki związek to nonsens, a Elfryda w dalszym ciągu myśli tylko o Krystynku, ale stryjek machnął ręką:

- Co ty wiesz? Im wcześniej Heinrich ożeni się z tą niemiecką Anną spod Stralsundu, tym lepiej dla nich obojga. Tam w Gdańsku, gdyby tak było potrzeba, już by umieli to wytłumaczyć Heinrichowi i Elfrydzie. Przykład z opóźnionym małżeństwem Józefa z tą odwieczną wdową Elfrydą Brun. Na co czekali? Przecież i tak Elfryda była kochanką Józefa od wielu lat. Nie chcę wypominać tych historii, ale zawsze to wszystko było razem na kupie, romans z gruźlikiem Carlem Brunem, złamane serce Elfrydy po krótkim pożyciu z mężem, co pokłóciło ją ze starym piratem Jungiem, a w kilka lat później mocno spóźnione teatralne eskapady Felicji Garden, żony Józefa, po drodze do rozwodu i do nowego małżeństwa, z tym... Hartmannem! Nie bądź głupia, Anno, patrz na życie bez żadnych osłon, bez sentymentów i różowych okularów. Oboje się pocieszali, żyli obok siebie długie lata w jednym niemal domu, głupiemu to opowiadać.

Brutalne były słowa Marcina, ale nie oponowałam. Od razu wiele zrozumiałam i kto wie, czy nie zostałam przekonana. W każdym razie Marcinowe opowieści powstrzymały mnie od zwierzenia się ze sprawą mojej Marty, mimo że w przystępie pewnej serdeczności czy szczerości miałam już zamiar opowiedzieć mu o wszystkim. Ale jakoś mi nie szło. W dodatku właśnie Marcin ma nade mną przewagę, ponieważ on jeden z całej rodziny nadaje się do wysłuchania zwierzeń w wysokim stylu. W Marcinie jest coś bliskiego. Z jednej strony stanowi on dla mnie zachętę do podejmowania decyzji życiowych, z drugiej podziwiam cyniczną ostrość jego spostrzeżeń i niezależność oceny.

Co do reszty, nie warto wspominać. Zośka, według Marcina, jest na prostej drodze do wyjścia za mąż za inżyniera Stręka w Grudziądzu. Stryj siedzi w Szwajcarii, lecz interesuje się wszystkim. Radzi mi pozostawić Zoškę jej własnemu losowi, a z bławatami skończyć jak najprędzej.

Tuchołka - głupiec. Nadęty i napuszony biuralista w piątej grupie urzędników państwowych. Podwyższenie grupy wyrobił mu Marcin, nawet o tym nie wiedziałam, dawniej tkwił w szóstce, takiej samej, jak ja. Że rąbie lasy, o tym wie Marcin z gdańskich listów. Oni tam podobno montują w Gdańsku spółkę handlową polsko-gdańsko-angielską dla zamydlenia oczu wyrębami polskich lasów. Powoływali się w Londynie na stosunki handlowe z

genewskim bankiem Dubowa i angielscy kandydaci na wspólników zasięgaliby niedawno opinii w Szwajcarii. Wszystko wiedzą. Naturalnie są to sprawy bardzo dyskrecjonalne, mam udawać, że nic o tym nie wiem, ponieważ stryj Józef będzie w najbliższym czasie kręcił się w Warszawie. Kto wie nawet, czy nie zaproponują mi w tym jakiegoś udziału ze względu na moje stosunki w Warszawie - bąknął między wierszami Marcin.

Pod koniec wróciłam jeszcze raz do Elfydy i Heinricha, ale to było już krótko przed opuszczeniem kawiarni i Marcin rąbnął mi prosto z mostu:

- Jak by to było? Po prostu sprowadziliby go do Gdańska, odegrali jakiś rodzinny teatr, a później małżeństwo, od razu dużo dzieci i po kilku latach Heinrich zapomnieliby o swojej medycynie. Wmówiliby w niego rodzinne drzewo, dopomagałaby w tym nawet „piękna” pani Felicja. Sam również wiem coś o tym, uwodziła mnie podczas wojny, była już wówczas za swoim „Hartmankiem”, ale serce miała bardzo obszerne.

Stryjek roześmiał się:

- A co do warszawskich pieniędzy, nie krępuj się. Gdy będą ci potrzebne, zastaw w banku resztę moich akcji, na razie nie korzystam z nich, leżą, możesz nimi dysponować. Podobnie z kontem bankowym. A nawet byłoby lepiej spłacić resztę waszego gdańskiego długu. Miałabyś wobec Zośki mocniejszą pozycję. Pomyśl nad tym. Również i wobec Józefa, gdyby mu przyszło do głowy wkręcić cię w angielskie drewno w Polsce. Józef bardzo cię lubi.

Wszystko to razem wzięte jest niezwykle ciekawe. Jeżeli prawdą jest to, co Marcin napłótl, trzeba w istocie inaczej ustawić się do życia na tym świecie. Nie warto być pięknym fiołkiem wśród bujnych pokrzyw czy ostów.

Co do tego *plein pouvoir* w sprawie warszawskich pieniędzy, to kto wie, czy nie przychodzi mi w porę. Stryj powiedział mi nawet wyraźnie, że mogę te papiery sprzedać, gdy to mi będzie wygodne, byłem później uzupełniła je w podobnej wartości giełdowej. Zastrzegal się jedynie, że nie ma ochoty do partycypowania w moich stratach giełdowych.

Co prawda niewiele użyłam w tej Szwajcarii. Góry widziałam tylko z okien pociągu, obejrzałam sobie jedynie „Acacię”, starą Wieroczkę i bank Płatona Dubowa. Nie obejrzałam natomiast genewskiego szlagieru w postaci gmachu Ligi Narodów. Widziałam go jedynie z zewnątrz, przedefilowaliśmy powoli samochodem. Niewielka stosunkowo strata. Marcin mówi z przekąsem, że prawdziwe interesy i tak załatwia się gdzie indziej. Pieniądz ma swoje własne kanaliki. Przy mnie generałowa powiedziała Marcinowi:

- Teraz, gdy stary przyk nie żyje, zrobiło się nam lżej, jakoś lepiej idą interesy. Jedni kłócą się o władzę, inni przyglądają się hecy, a my zarabiamy. Po zniwach utraci się Sławka, tym razem na amen, i będzie spokój.

Ma zmysł ta nasza przyjaciółka z Mokotowa! Kto by się tego był spodziewał. Jeżeli przypomnieć pierwsze serdeczności i podarek w postaci szlafrocza.

Swoją drogą nadawali mi zleczeń! W dodatku prawie w ostatniej chwili Marcin zorientował się, że moja niemiecka wiza upoważniała mnie jedynie do jednorazowego trzymiesięcznego pobytu w Niemczech, jednakże bez prawa do wielokrotnego przekraczania granicy. Ładny kwiatek, byliby mogli zawrócić mnie z granicy. Jakoś to załatwiono w Genewie. Stosunki - nawet po zamknięciu biur. Przybili mi tym razem wizę tranzytową: ze Szwajcarii do Austrii. Więcej nie potrzeba.

W każdym razie całość biurkowego skarbu przekażę stryjkowi. Zrobię mu niespodziankę. Sekretarz z warszawskiego poselstwa ułatwi mi tę przesyłkę kurierem dyplomatycznym. Marcin jest najmłodszym synem naszego dziadka, do niego to należy. Jego żyjący trzej starsi bracia nie umieliby tego ocenić. Co mnie po tym wszystkim? Dla siebie dam wykonać fotokopie ważniejszych dokumentów. Fartuchów masońskich kobiety nie noszą.

W ten sposób koniec ze Szwajcarią. Panie zostają na razie w Montreux do połowy lipca, Zosia do końca wakacji akademickich. Przynajmniej uzupełni sobie francuszczyznę, u babci Wieroczki nauczyłyby się w tym czasie jedynie kilku setek wyrazów rosyjskich.

Sobota - 6 lipca

W pociągu. Moc turystów z całego świata. Przyglądam się moim współtowarzyszom podróży. Narodowość można ustalać prawie bez pomyłki. Było mi trochę żal wyjeżdżać. Marcin mówił przy pożegnaniu, że urlop będzie można przedłużyć o jakieś kilka dni, gdy zajdzie potrzeba. Co najwyżej wypadnie sprokurować sobie świadectwo lekarskie o konieczności wykonania np. zabiegu... Dobrze i takie pocieszenia, gdy on nie musi pałkować w biurze. O ile możliwości będę starała się nie korzystać z takich... wybiegów.

W ostatniej chwili zapytałam Marcina, w jaki sposób dostarczyć mu te... drobiazgi. Sprawilo mu to widoczną przyjemność, dobrze, że z tym sama wyjechałam.

Szwajcarskie pociągi są doskonałe. Już Zurich. Dzisiejszej nocy niewiele spałam. Wspominałam rozmowę z Marcinem. No cóż, każdy z nas gra w tym życiu jakąś komedię omyłek i wzajemnych mistyfikacji. Odbrażowanie świętości zjawia się w dodatku w momentach najmniej przez nas oczekiwanych.

W najbliższym czasie czekają mnie podwójne odwiedziny. W tych dniach nadeszła do Montreux wiadomość o zbliżającym się terminie uroczystości ślubnych pana Krymułta. Podobno wybierają się również do Polski. Podróż poślubna obliczona na dwa miesiące, wiadomość od pani Maltz. Chyba dokładna. Szczegółowe informacje i rady, jak przyjmować. Rozumiem doskonale. Ponadto dziadek Dubow wysłał dr Miliza juniora na kilka dni do Warszawy. Zabiera żonę, która pragnie na własne oczy zobaczyć Polskę w charakterze kraju egzotycznego, leżącego na końcu świata. Wszystko w połowie sierpnia, tak obliczają w „Acacii”. Czuję, że obecnie przestało dla mnie istnieć Montreux jako takie, a zjawilo się całkiem nowe pojęcie: „Acacia”. Dalszy ciąg niejako „Zielonego Mostu” i „Czterech Kamieni”? Może i ja kiedyś zamieszkać w takiej „Acacii”, ale to są już bardzo dalekie plany na zamglonym horyzoncie mojej niepewnej przyszłości.

Granica. Szwajcarzy obojętni. Po stronie niemieckiej identyczne wypytywania, jak przed dwoma tygodniami. Ponadto sprawa dewiz, wypytywali o biżuterię i aparaty fotograficzne. Otwieranie walizek, przy mnie oszczędzili to jakiejś Amerykance, widocznie takie obyczaje celne, ale przeszło i można wytrzymać. Na razie przesiadłam się do wagonu restauracyjnego. Jedziemy na Lindau do Monachium. Byłoby można pojechać wprost na Innsbruck i Salzburg, ale wykupili mi takie bilety, więc trzeba jechać. W Monachium przesiadka na sleeping i już prościutko do Wiednia. Będzie wygodniej. Na drogę dali mi, jak małemu dziecku, szwajcarską stufrankówkę i trochę drobnych szwajcarskich i niemieckich. Za dużo nawet. Bilety dostarczył Marcin, powiedział, że to jest podróż w jego interesach. Dobrze, że się zaofiarowałam z przesłaniem drobiazgów z biurka.

Monachium. Wielki ruch na dworcu, czekam przeszło godzinę. Moc mundurów, w których się nie wyznaję. Trzeba by zostawić walizkę i neseser na dworcu i przejść się trochę po mieście, ale obecnie jest już za późno. Leokadia nie wytrzymałaby. Ciekawa jestem na ten jutrzejszy Wiedeń, tym razem bez ogona głupich kolegów z ministerstwa.

Już w przedziale sypialnym. Moją towarzyszką w przedziale jest właśnie ta sama Amerykanka, której nie rewidowano bagaży. Taka sobie. Jedzie do krewnych w Wiedniu, których nigdy w życiu na oczy nie widziała.

Niedziela - 7 lipca

Rano. Już się urządziłam na Floragasse, czekam obecnie na jakąś bardziej ludzką godzinę, aby porozmawiać z Matyldą. Mieszkanie prawie puste, pozostała jedynie kucharka i

ona to obecnie czyni honory domu. Umieszczono mnie w tym samym pokoju. Warto dawać służbie bogate napiwki. *Frau* Greta tańczy koło mnie jak koło jakiejś królowej.

Już po telefonie. Za godzinę wysyłają po mnie samochód. Matylda dyryguje, abym przyjechała z całym bagażem. Wypocznę. Podróż była nie za bardzo, ponieważ tym razem mnie dano spokój, a całą uwagę skupiono na bagażach Amerykanki. Naturalnie po takiej rewizji różne *damned* i *german* latały w powietrzu. Amerykance odechce się podróżować po Niemczech, ponieważ na nich głównie skupiły się jej przekleństwa. Wyliczała wszystko, aż do historii wojennych, rozstawiała po kątach, jak się to mówi. Dama pochodzi z Chicago. Ale na dworcu pożegnałyśmy się nagle i krótko, po czym rozjechałyśmy się w różnych kierunkach. Tak to bywa na świecie. W każdym razie przejeżdżanie granic na tych szlakach nie należy obecnie do przyjemności. Wszędzie trudności. Ciekawa jestem na Baden. Tymczasem rozmyślałam nad sprawami powierzonymi mi przez stryjka.

Muszę przyznać, że podczas rewizji na granicy niemieckiej miałam poważnego pietra, ponieważ wyobraziłam sobie w pewnym momencie, że typ zainteresował się moimi bloczkami do stenografii. Tego by jeszcze brakowało, żeby mnie ujęto w charakterze podejrzanego o szpiegostwo! Nie warto wozić z sobą niewyraźnych rzeczy. Trzeba będzie uważać z zapisywaniem wrażeń. Muszę być przygotowana na ewentualną konieczność odczytania tego rodzaju notatek. Nie warto przysparzać sobie kłopotów!

W dodatku - Zajlicz. Trzeba będzie jeszcze dzisiaj zadzwonić pod adresem belgradzkim. Spróbuję naprzód rozmówić się z naszym znajomym z konsulatu. Od niego dowiem się, czy Zajlicz przebywa aktualnie w Belgradzie. Zostawię mu adres w Ba-den i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Kupa różnych interesów. Ale zobaczymy, chyba Mr Z. przyjedzie do Wiednia?

Wieczorem

Moc wrażeń. Ale moje myśli są zajęte wyłącznie jutrzejszą podróżą do Budapesztu. Jadę samochodem Matyldy. U nich szoferzy mają zagraniczne paszporty. Mój obecny paszport został głupio ostemplowany. Jutro rano czeka mnie gonienie za wizami: węgierską na kilka dni, powrotną austriacką i w dodatku, psiakrew, dopisanie Węgier do mojego paszportu. Zachciało mi się nowego paszportu i oto mam, głupia!

Nowe: psiakrew. Godzina dziesiąta, jestem prawie rozebrana, a im zachciało się do Wiednia na dansing. Podobno tylko na dwie godziny. Rzucam wszystko i jadę. Miłe towarzystwo, to warto.

Godzina trzecia w nocy. Już wróciłam, ale boli mnie głowa. Zażyję proszek. Mam jeszcze kilka pocziwych kogutków warszawskich. Biorę dwa na raz! O paszport nie boli mnie głowa, załatwi wujek Matyldy, naturalnie nie osobiście, ale szybko. Mogę spać dłużej, ponieważ spotkanie dopiero o godzinie wpół do pierwszej w południe, obiad w „Astorii” w kilka osób i punkt trzecia odjazd do Budapesztu. Zobaczymy. Zajlicz zabił mi ćwieka do głowy, gdyż rozmawialiśmy bardzo krótko i bez ceregieli. Powiedział mi zaraz:

- Bardzo proszę, ważna sprawa, ja wyjeżdżam najbliższym pociągiem, proszę stanąć w „Grand Hotelu”.

Trudno, trzeba jechać, wydaje mi się, że był jakby wystraszony, bo dziwnie poważny. Dobrze, że zatelefonowałam wprost do niego. Naprzód usiłowałam połączyć się z moimi byłymi gospodarzami, lecz panienska na poczcie nie umiała poradzić sobie z wyszukaniem numeru. Tymczasem wpadł mi na myśl ostatni list Zajlicza, który otrzymałam w Montreux via Warszawa z wydrukowanym adresem i numerem telefonu. Dobrze, że nie zniszczyłam, co mi się przeważnie zdarza. Ostatecznie Budapeszt niedaleko, przejażdżka. Matylda wypytywała mnie odrobinę o powód tak nagłego wyjazdu do Budapesztu, ale powiedziałam krótko: - Marcin, on zawsze miewa takie pomysły. - Jadę z neseserem, bez bagażu, w starym skórzanym płaszczu. Bądź co bądź jestem zdenerwowana!

Piątek - 12 lipca

Już z powrotem w Wiedniu, a raczej w Baden. Może po powrocie do domu opiszę historię tych ostatnich kilku dni. Było niewesoło. Coś mnie tknęło i południowe śniadanie skróciłam do niecałej godziny. Krótko po pierwszej opuściliśmy Wiedeń. Dobrze zrobiłam. Na drodze były przeszkody i dopiero koło godziny szóstej wieczorem znalazłam się przed „Grand Hotelem”. Po wymienieniu nazwiska portier wręczył mi kopertę, w której znalazłam jedynie numer telefoniczny skreślony ołówkiem. W pół godziny później rozmawiałam już z panem Z. Po dwu godzinach pędziliśmy z powrotem do Wiednia, aby zdążyć na nocny pociąg odchodzący w kierunku Szwajcarii. Na dworzec przybyliśmy pół godziny przed odejściem pociągu, kilkanaście minut po północy siedziałam już w przedziale trzeciej klasy pociągu pośpiesznego, przepełnionego aż do obrzydliwości. O godzinie pierwszej w południe przejechałam granicę austriacką pod Feldkirch, a w trzy godziny później przesiadłam się w Zürichu na pociąg w stronę Lozanny. Późnym wieczorem dobiłam do Montreux, gdzie wszyscy nie tyle byli wystraszeni, co mieli mnie raczej za wariatkę. Zresztą nawet nie wyprowadzaliśmy ich z błędu. Sytuacja wyjaśniła się dopiero po kolacji, gdyż kwadrans mojej rozmowy w cztery oczy z Marcinem rozciął kwestię.

- Dobrze zrobiła, że przyjechała, było pięć minut przed dwunastą, przyjechała w ostatniej chwili.

O dwunastej poszliśmy spać, przedtem trzeba było wszystko opowiadać dokładnie i szczegółowo. Marcin tkwił przy różnych połączeniach telefonicznych, między innymi rozmawiał z Warszawą. Awizował jedynie swój jak najszybszy przyjazd. Mokotów naturalnie i jeszcze ktoś, kogo nie znam. Później poszłam spać, ponieważ byłam zmęczona jazdą i wyczerpana przeżyciami. Marcin z Florencją wyjechali wczesnym rankiem do Genewy. Florencja wróciła koło południa z wiadomością, że Marcin dostał się do berlińskiego samolotu, co umożliwiło mu przybycie do Warszawy jeszcze tego samego dnia. W niedzielę rano spotkanie Marcina z panem Z. w Paryżu.

Tym razem dobiłam do „Acacji” z czterema frankami i sześćdziesięciu centymami. Rekord w podróżowaniu, tylko, psia krewa, w przyszłości nie wytknę nosa za granicę z tak głupio osteplowanym paszportem. Z. był już rano w Budapeszcie i na pewno mocno denerwował się wyczekiwaniem. Stało się. Jednodniowego pobytu w Montreux nie warto opisywać. W czwartek w południe jechałyśmy wszystkie trzy do Wiednia, ale już wygodnie, drugą klasą i sleepingiem. Leokadia nareszcie zdecydowała się i jedzie na miesiąc do Marienbadu razem z generałową. Spodziewałam się tego od samego początku, ciotka nie może obyć się bez towarzystwa. Ponieważ żałowały mnie, że musiałam jeździć tam i z powrotem, poświęciły się i odwiozły mnie do Wiednia. Niewiele będę miała pociechy z tego Wiednia. Jutro rano będą mi grzebać w gardle, w niedzielę dalsza droga. Ja już o godzinie trzeciej z minutami po południu, moje panie wieczorem. Gdy się ma pieniądze, wszystko idzie jak po maśle.

Dzisiaj w południe byliśmy znów na śniadaniu, ale tym razem obyło się bez dworcowego pośpiechu. Trzy godziny, bardzo miło. Matylda i pułkownik. Imponowałam znajomościami. Jedno słowo, a natychmiast przeniesiono moje panie do jakiegoś wielce honorowanego apartamentu, o rachunku nie ma mowy, gościna. W ogóle Matylda chciała nas wszystkie od razu zabierać do Baden, ale jej wujek sprzeciwił się, oddał mnie, lecz zatrzymał moje towarzyski.

Nie idzie mi to pisanie. Warto jednak przypomnieć sobie historię podróżowania z kilku frankami w torebce. W wagonie restauracyjnym, po przekroczeniu granicy szwajcarskiej, musiałam dobrze uważać, aby nie przekroczyć najtańszego menu. Równocześnie pragnęłam zatrzymać przy duszy bodaj kilka franków na wszelki wypadek. W dodatku w uszy miałam wpięte moje pierwsze w życiu brylantowe kolczyki, wyobraziłam sobie, że w ten sposób

będzie lepiej przewieźć je przez granicę. Razem pewnie dobrze ponad sześć karatów. Butony to imieninowy dar pana Z. Wręczył mi je w sposób nerwowy, w pośpiechu, wspomniał o tym, że dobrze wyznaje się w naszym zwyczaju obchodzenia imienin. Zjawił się naturalnie z różami, napomknął przy tym, że wychowywał się w Wiedniu. Był mocno zdenerwowany i dopiero tuż przed rozstaniem wspomniał jakby odruchowo:

- Po przybyciu do Paryża od razu wpłacę na pani rachunek w banku jej udział w naszym interesie. I dodał, jakby obudzony z zamyślenia: - Rozumie się, że bez względu na to, jak wypadnie dalszy ciąg obecnej... sprawy...

Bardzo jestem ciekawa, rzecz całą przyjmuję jednak ze spokojem, jeżeli chodzi o tę prowizję. Miałam na tyle dowcipu, że nie zadawałam zbędnych pytań i starałam się utrzymać pana Z. w mniemaniu, iż są mi znane wszystkie detale interesu. Podałam jeszcze raz adres mojego banku. Jak to dobrze, że nie zlikwidowałam konta w Paryżu. Pan Z. prosił, aby sprawa prowizji została wyłącznie między nami obojgiem, wpłata w Paryżu ma być dokonana anonimowo, bez ujawniania nazwiska wpłacającego. Po prostu wypisanie na formularzu mojego nazwiska i wpłata gotówką. Wszystko lewantyńska tajemnica. Ano - zobaczymy. Już wysłałam polecony list do mojego banku, aby natychmiast po otrzymaniu wpłaty we frankach zakupili na mój rachunek dolary. List jeszcze z Montreux. We Francji jest obecnie poważne zamieszanie giełdowe, ale trudno. Pan Z. mówił, że wyjechał z Belgradu natychmiast po moim telefonie. Tak jak stał, ledwo zdążył na pociąg. Powieściowe wydarzenia, łącznie z błyszczącym prezentem. Nie pokazuję go dotychczas nikomu, gdybym je włożyła obecnie, od razu ujawniłoby się ich pochodzenie. Nie warto, to nie byłoby mądrze. Na wszelki wypadek zniszczę jeszcze tutaj w Wiedniu pudełeczko od butonów, nosi firmę budapeszteńską. Widocznie różne myśli musiały przychodzić do głowy panu Z., gdy czekał niecierpliwie, a ja spóźniłam się do Budapesztu. Swoją drogą, miał rację, trzeba mi było telegrafować do „Grand Hotelu”, krótko, z podaniem przypuszczalnej godziny przyjazdu. Człowiek uczy się w nieskończoność, a gdy jest już cokolwiek mądrzejszy, to umiera.

Sobota - 13 lipca

Profesor Neumann na wakacjach, na odmianę gdzieś w Jugosławii. Dwóch asystentów, doktor Wulpers, wiedeńczyk, i doktor Okajo, Japończyk. Oglądali mnie bardzo uważnie, w dodatku gratis, ponieważ dr Wulpers zna naszego Heinricha, który pisał do niego w mojej sprawie. Tylko tyle, że po południu zaprosiłam ich na tradycyjną lampkę wina. Siedzieliśmy dobre dwie godziny, obaj byli zaciekawieni przyjazdem na stałe do Wiednia naszego Heinricha. Mówiłam oględnie, wspomniałam o zamierzonym małżeństwie, nie podając jednak nazwiska narzeczonej. Nie chciałam łapać ryb przed siecią, wymieniając nazwisko Anny Goltorpp, jestem zresztą trochę przesadna.

Chodzi o wycięcie trzeciego migdałka, w moich warunkach dość ciężkie. Radzili położyć się w klinice na jakiś tydzień, lecz wskazywali na możliwość wykonania tego zabiegu również na miejscu w Warszawie. Wymienili nazwisko doktora Pęskiego, adres zapisałam. Ponadto kilka adresów krakowskich lekarzy. Skąd oni znają nazwiska naszych lekarzy? Wspominali bardzo pochlebnie właśnie o lekarzach krakowskich: dr Glatzel, na uniwersytecie. Japończyk mówi po niemiecku w bardzo ciekawy sposób. Trochę metalicznie, szczerotliwie. Dr Wulpers wspomniał mi na osobności, że jego kolega w krótkim czasie jedzie na dalszą praktykę do Nowego Jorku, z fundacji Rockefellera. Warto zapamiętać. W tym wypadku nie chodzi o pieniądze ze stypendium, lecz o to, że takie stypendium otwiera wszystkie drzwi specjalnych klinik i instytutów doświadczalnych. Może jechać tam Japończyk, dlaczego nie miałyby udać się to samo naszemu Heinrichowi?

Niedziela - 14 lipca

Wczoraj wszyscy namawiali mnie, abym została w Wiedniu jeszcze kilka dni. Leokadia wyrwała się z tym, że Marcin wspomniał o łatwości przedłużenia sobie urlopu. Ale nie, jadę. Wieczorem byliśmy na przyjęciu u rodziców Matyldy. Oni mają również willę w Baden. Wytwornie. Brała mnie ochota, aby założyć do uszu moje szkiełka, ale opanowałam się. Moje panie nie wróciły na noc do Wiednia. Nawet się nie spostrzegłyśmy, gdy była już godzina pierwsza w nocy. Nocleg u Matyldy. Na przyjęciu poznałam młodą panienkę, nazywa się Zofia Gütschow i jest koleżanką córek Matyldy. Spędza razem z nimi lipiec w Baden, a następnie wszystkie trzy jadą do majątku ojca Zofii G. Jakiś wspaniały zamek w Niemczech nad granicą czeską w Riesengebirge. Magnat, zrobił majątek na fabrykach cygar i papierosów, odbudował ruiny średniowiecznego zamku. Romantyczna historia. Młoda panienka. Oryginalna uroda, jedna z tych, jakie opisała nasza Zapolska w powieści *Rajski ptak*. Twarz jakby trójkątna, oczy w kolorze jasnego malachitu. Trudne do określenia. Duże oczy, podobno po matce z rosyjskiej arystokracji. Gütschow był przed wojną oficerem gwardii carskiej i posiadał w Rosji wielkie dobra. Podobno nazywał się tam Guczkow. Bogaty, mówi się o pięćdziesięciu milionach marek. Warto by w tym miejscu gwizdnąć na szczęście. Zamek nazywa się śmiesznie, jak na niemieckie strony: Tschocha, i leży nad jeziorem Marklissa. Przyznam się, że dziewczyna zrobiła na mnie wrażenie z powodu swojej niecodziennej urody. Jedynaczka!

Ale koniec z pisaniem. Wkrótce wrócą nasze panie, wybrały się do kościoła, Leokadia - jak zwykle. Za dwie godziny odjazd do Wiednia. Moja akredytywa u Eibenschützów nietknięta. Marcin wetknął mi do ręki w Montreux pięćset franków.

CZEŚĆ CZWARTA

W POWODZI INTERESÓW

lipiec - styczeń 1936

Warszawa - poniedziałek - 15 lipca

Bądź co bądź nie byłam w domu bite trzy tygodnie. Zawsze po takim powrocie człowiek czuje się jak obcy. Własne ściany posiadają jakąś wrogość, jak gdyby mówiły: opuściłaś nas, wzgardziłaś nami, idź, wracaj tam, gdzie było ci lepiej. Z ludźmi to samo. W dodatku czas spędzony poza domem dziwnie jakoś wydłuża się, natomiast dni przebyte w domu nabierają szarej barwy. W domu czas szybciej leci, widać nie cenimy sobie życia i wypełniamy je pospiesznie, byle czym.

Byłam w biurze. W południe zmontowałam obiad z generałem i profesorem. Wróciłam wypoczęta, tym razem na granicach dali mi spokój. Austriacko-czeska i czesko-polska. Powoli rozczmuchałam się, oddycham jakoś lżej. Wirewicz chwalił mnie za owe jazdy tam i z powrotem, profesor powiedział na osobności:

- Zaczęli panią ganiać, madame.

Błysnęły mu przy tym jakoś żywiej spokojne zazwyczaj oczy. Generał, przyparty przeze mnie do muru, ustalił moją prowizję, mówiąc:

- Powyżej czterdziestu pięciu tysięcy.

Było to powiedziane dość lekko, bez podania dokładnej cyfry. W tę sumę wierzę, obawiam się tylko, czy tamta druga część nie skończy się na butonach. Zobaczymy.

Wieczorem siedziałam w moim sklepiku. Sklepik pani radcy i sklepik pani magister. Dwie godziny. Prawie zgodziłam się na nasz udział w Targach Lwowskich, więcej przez sentyment dla Michałów niż dla lakierów. Przeznaczyłam na to okrągłą kwotę dwóch tysięcy złotych. Zysk w drugim kwartale tylko dwadzieścia osiem tysięcy. Było do przewidzenia, hurtowi odbiorcy zapchali się, a w detalu nowe tricki się zestarzały. Nie mam o to pretensji i tak obrót został nadmiernie wyśrubowany w górę. Ludziom już się opatrzyła pospolita w

gruncie rzeczy reklama z krzeselkami i kredensami kuchennymi odnowionymi tylko w połowie. Ale dzisiaj nie chce mi się babrać w cyfrach. Wzięłam co prawda drobiazgowo bilanse panny Beaty, za drugi kwartał osobno i za pierwsze półrocze razem, ale na razie zamknęłam to wszystko w szufladzie biurka.

Marcin zabrał już swoje *massoneria*, bardzo dobrze, staną się ozdobą willi „Acacia”. Nasz profesor dobrze zna tę willę, przebywał tam kilkakrotnie, jeszcze w okresie przedwojennym. Należała ona do profesora uniwersytetu fryburskiego, sam ją wybudował. Po jego śmierci przeszła na własność bratanka, który w krótkiej drodze przehandlował ją z naszym Marcinem.

Doktor Wydra rozgadał się na tematy kalwinistyczne i tłumaczył nam, jak dzieciom, różnice pomiędzy indeterminizmem a determinizmem psychologicznym. Zgadało się również na temat napisu na szafie w „Acacji”. Szafa w istocie jest bardzo stara, podobno sięga końca szesnastego wieku i została zakupiona w Genewie. Również muzealna zdobycz fryburskiego profesora, który miał wysoką godność w Międzynarodowym Zjednoczeniu Wolnomularskim w Genewie. Reprezentował w nim rodzinną swoją Szwajcarię. Profesor Wydra wspominał o tym otwarciu, bez żadnych niedomówień, widocznie zmarli zwolnieni są od tajemniczości.

W końcu zostawiliśmy profesora, a sami we dwoje przenieśliśmy się do „Ziemiańskiej”. Rozmowa od razu nakręciła się na momenty aktualnie mnie interesujące. Zajlicz. Prowizja. W każdym razie wiem, na czym stoję. Co do spraw związanych z krótkim pobytem Marcina w Warszawie, to już jedynie jakieś półsłówka i niedomówienia. Rozumiem doskonale, ale ostatecznie mogliby okazać mi odrobinę więcej zaufania. Że porozdawali różne łapówki, to rzecz zrozumiała, nie wchodzę w to, komu i ile. Mnie by raczej interesował sposób załatwienia, może się przecież zdarzyć, że w przyszłości ja, a nie kto inny, będę zmuszona załatwiać podobne historie. W każdym razie i ja zamknęłam się na cztery spusty: zatrzymałam dla siebie szczegóły interesu opowiedziane mi przez *monsieur Z*. Może nawet ta moja połówka tajemnicy jest znacznie ciekawsza niż warszawskie dawanie łapówek. Dotarcie na miejsce zbytu w dalekiej Abisynii jest znacznie trudniejsze niż znalezienie drogi do zakupu starego uzbrojenia w Warszawie. W gruncie rzeczy Mr Kreiss mógł łatwo przeforsować swoją linię zakupu przez „Sepewe”, a w tym wypadku Mokotów byłby został na boku. Oprócz Katelbacha jest jeszcze w Warszawie kilka grup, które mają dostęp do tych możliwości. Być może pożarliby się wzajem, a interes nie czeka i zależy na bardzo szybkich terminach wysyłki.

Właściwie ten Kreiss jest małym złodziejaskiem, który po wzbogaceniu się w charakterze długoletniego agenta Zacharowa zrobił mu w pewnym momencie woltę i na własną rękę wykorzystał abisyńskie „chody” w związku z obecną sytuacją na rynku. Początkowo Polska nie była brana pod uwagę w tej kombinacji. Zajlicz wyraźnie mi wspominał, że handel kwitnie na obie strony, rzecz idzie już nie tyle o sam fakt tych sprzedaży, ile o gatunek towaru i terminy dostaw. Handel w tej dziedzinie polega na cynizmie, wszelkie nawet embarga podwyższają jedynie możliwości zarobku, ponieważ w miarę wzrostu niebezpieczeństwa - wzrastają ceny. Co do samej rzeczy, to nie jest ona ani dobra, ani zła. Może być mowa jedynie o szczęściu w ubiegnięciu licznej konkurencji. Nasz generał powiada, że to wszystko i tak jest do luftu, ponieważ materiały pochodzą ze starych dostaw alianckich, jeszcze z okresu tuż po zakończeniu wojny. Zajlicz również jest drań, ponieważ mówił, że Włosi powinni być wdzięczni za takie dostawy, ktoś inny mógłby dostarczyć nowszych modeli, a wówczas mieliby kłopot. Podobno Amerykanie nie liczą się z sytuacją i dostarczają nowoczesne uzbrojenie. Wszystko naturalnie na boku, uzyskanie dostaw zależy jedynie od wysokości łapówek dawanych różnym krewnym tego operetkowego cesarza. Wojny zawsze będą, ponieważ na świecie jest za dużo ludzi, a ponadto pewien gatunek ludzki musi się wyżyć. Amunicja jest takim samym towarem jak wszystko inne. Idąc po innej linii myślowej, należałoby wstrzymać wyrób tego wszystkiego, a to jest przecież

rzecz niemożliwa do przeprowadzenia. Brrr... ludzie są podli. Ale - trudno. Zresztą co mi na tym zależy? Gdyby wszyscy ludzie na świecie byli dobrzy i spokojni, świat zmieniłby się w jeden wielki klasztor, z owsianką podawaną trzy razy dziennie, a nam spuchłyby kolana od dziękowania dobrym bogom za takie szczęście. Na świecie obowiązuje prawo dżungli, większy pożera małego, a mali starają się jakoś przemykać chyłkiem wśród różnych niebezpieczeństw.

Nawet Państwo Kościelne prowadziło wojny, i to nie byle jakie! W dodatku sama nawet idea chrześcijaństwa była w ciągu wieków przedmiotem nieustannych bojów na wielu frontach; wciąż trwała bezkompromisowa i skryta walka ze wszystkimi, których uważano za wrogów. Ignacy Loyola - jako święty? Chyba wróg fanatyków. Na stosach palono nie tylko różnych filozofów, lecz również setki tysięcy mało uświadomionych, prostych ludzi. Mówiono o miłości, a stosowano nienawiść. Zapach kadzideł przed ołtarzami bogów mieszał się na przestrzeni wieków z zapachem krwi mordowanych.

Idę już spać. Jutro biuro od samego rana. W dodatku kilka listów, na które trzeba odpowiedzieć. Ciekawa jestem, jak ostatecznie wypadło wczoraj w Paryżu. Marcin ma zadzwonić krótko, gdy dojdzie do definitywnego zakończenia.

Wtorek - 16 lipca

Biuro jest głupim wynalazkiem. W epoce kamiennej było znacznie lepiej, od razu zabijali i pożerali. Obywali się w tym bez biur. Nawet nie miałam czasu na zjedzenie śniadania, z miejsca wzięli mnie do galopu. Dwie konferencje, jedna z bloczkiem w ręce. Już odkryli moje dodatkowe kwalifikacje. Właściwie mogłabym odmówić, ponieważ to nie wchodzi w zakres kwalifikacji magistra ekonomii. Ale czasami nasi dygnitarze wolą obchodzić się bez obecności urzędowych stenografów, mniej wycieka na zewnątrz.

W sklepie puchy, wakacje, rzecz zrozumiała.

Jako odtrutkę na biurowe sprawy, poświęciłam dzisiaj kilka godzin na uporządkowanie mojej pracy dyplomowej. Przebrałam dżunglę karteczek, wydaje mi się, że wyrzuciłam rzeczy niepotrzebne, a to już wiele znaczy. Czasami gdy człowiek się jakąś rzeczą nie przejmuje, to wychodzi mu ona dobrze. Tak właśnie jest z moją obecną pracą dyplomową, ponieważ poprzednia z dziedziny statystyki została zrobiona przeze mnie na hura i po studencku. Jutro dam pracę do przepisania na maszynie. Zasadzę do tego kasjerkę. Powinna skończyć za jakiś tydzień. Później jeszcze profesorski korektor gimnazjalny i ostateczne przepisanie „na cacy”.

Czwartek - 18 lipca

Bardzo miły list z Hermsdorfu. Kilka fotek zrobionych przez Brunhildę. Pozdrowienia i ucałowania. Na jednym ze zdjęć widnieją ruiny Jamsborga. Siedzę samotnie na brzegu obmurowania zawałonej gruzami studni zamkowej, patrzę gdzieś w dal, twarz moja dziwnie ostra w skupieniu czy napięciu nerwów. Widocznie zastanowiło ich to zdjęcie, ponieważ przysłali mi dwa wydania, normalne, takie jakie wypadło z powiększenia okienka „Leiki” na format pocztówki, oraz drugie z powiększeniem samej postaci. Niemiecka Anna pisze, że w końcu miesiąca Heinrich spodziewa się ojca w Berlinie, mają pojechać razem do jej dziadka pod Frankfurt. Optymistycznie.

Wczoraj późnym wieczorem był telefon od stryjka z Paryża. Generał obudził mnie wiadomością, że udało się. Nic więcej, ponieważ wyjeżdżał wczesnym rano samochodem do Katowic. Wraca dopiero w niedzielę.

Piątek - 19 lipca

Zośka awizuje listem przyjazd w niedzielę rano. Pyta się, czy mam pieniądze. Ciekawe pytanie. Nie wiadomo, czy chce mi dać, czy wziąć. Oświadczyłam, że bardzo krucho i że nic nie mam.

Jakoś się uspokajam. Odpowiedziałam na ważniejsze listy, szkoda, że nie można pisać na maszynie, ale to jakoś nie wypada.

Dzisiaj po południu zabrałam naszego profesora i pojechaliśmy na spacer. Wynalazek naszego Karola Petrasa. Łowicz i jakaś obskurna dziura z kurczętami i mizerią. Prymityw sprzed stu lat. Nazywa się to restauracją, zdaje się - Dąbrowskiej, wszyscy tam jeżdżą, zastaliśmy kilka samochodów. Znowu ta panna Dzidówna, jestem grzeczna i po angielsku ukloniłam się pierwsza, ale zrobiłam to po raz ostatni. Odkłoniła mi się jakby z grzeczności. Była w towarzystwie trzech panów. Taka sobie Dzidówna, córka byłego właściciela ziemskiego, osobliwość miasta Warszawy A. D. 1935.

Jutro idę do banku, spróbuję spłacić drobną kwotę, na przykład dziesięć tysięcy. Ogórkowe czasy, skąd wytrzasnąć pieniądze, zresztą banki są na to, aby pożyczać pieniądze. W każdym razie odczekam do przyjazdu Zośki, a... nóż i widelec? - przywiezie gotówkę! Sama pisze w liście, że wszystko dobrze.

Sobota - 20 lipca

Dwa listy równocześnie, od pana Z. z Londynu i z mojego paryskiego banku. Londyński list bardzo uprzejmy, tym razem pisany na hotelowym papierze z ulicy Piccadilly, w niebieskim kolorze. Zajlich pisze, że dzięki moim podróżom wszystko zostało załatwione *beautifully* i że jeszcze przed zafiksowaniem nowego interesu wpłacił na moje konto wiadomą kwotę w umówiony sposób. Rozumiem. List po angielsku. Bank podaje, że przyjął ode mnie wpłatę okrągło dwustu osiemdziesięciu tysięcy franków i zgodnie ze zleceniem datowanym z Montreux... kupił na giełdzie i zapisał na moim rachunku kwotę 17 362 dolarów. Pięknie!

List Lewantyńczyka datowany z czwartku i nadesłany pocztą lotniczą. Bez podania nazwiska nadawcy i podpisany jedynie pierwszą literą imienia. I to rozumiem.

Dzisiaj funkcjonowałam w moim sklepiku w charakterze właścicielki. Tkwiłam w budzie prawie całe popołudnie, ponieważ panna Beata zwolniła się od godziny czwartej. Z takim interesem jest sporo zachodu i wiele kłopotu. W dodatku sobota. Gotówkę z kasy zabrałam, tysiąc dwieście złotych, drobne zostawiłam. Zamknęłam własnoręcznie sklep, naśladowałam w tym moje *alter ego* sklepowe.

O wpół do ósmej wsiadłam do samochodu i przejechałam się w stronę Wilanowa. O dziewiątej byłam z powrotem w domu i oto po kolacji rozmyślam. Mam ochotę do pisania. A zatem:

Rycerz Hermann von Wolfenhagen przybył około 1600 roku na wieś z „wielkimi dobrami” wraz z kilkuletnim synkiem i stworzył zaczątek dóbr Hermannsdorf. Był fundatorem zboru i według napisu na tablicy pamiątkowej umarł w roku 1615 u siebie na wsi. Jedyne syn nazywał się już krótko: zu Hermannsdorf, wnuk jego, Carl Gunter, urodzony w roku 1647, ożenił się w roku 1681 z córką znakomitego pastora ze Szwecji, Krystyną von Olavscrona. Zginął w pojedynku w roku 1686, pozostawiając jedynego syna Berchtolda urodzonego w roku 1685. Żyjący dziadek ze strony matki, pastor von Olavscrona, osobiście musiał bronić wdowy i sieroty przed zachłannością sąsiadów. Pomagał mu w tym niejaki Gottfryd von Medem i nic dziwnego, że ów Berchtold zu Hermsdorf - taka uproszczoną nazwa już od roku 1660 - ożenił się w roku 1725 z panną Katarzyną von Medem. Z tego małżeństwa było troje dzieci: synowie - Berchtold ur. 1725 i Wilhelm ur. 1730 oraz córka Utta - ur. 1736. Najstarszy syn ożenił się w roku 1747, miał dwoje dzieci, które zmarły w bardzo młodym wieku. Nie służył w wojsku, gospodarował w majątku, w roku 1757 trzymał ze Szwedami, umarł w roku następnym. Młodszy brat Wilhelm służył w pruskim wojsku i on to właśnie po śmierci starszego dążył do skojarzenia małżeństwa siostry ze świeżo

owdowiałym Fryderykiem von Jamsborck, również oficerem w wojskach Fryderyka Wielkiego, swoim najbliższym sąsiadem. Nie doczekał tego, ponieważ zginął w roku 1761, lecz w cztery lata później Utta poślubiła ostatecznie wdowca. Jako ostatnia z rodu połączyła oba nazwiska. Tyle o rodzinie Hermsdorf.

Warto dodać, że właśnie w tej rodzinie utrzymywał się kalwinizm, pomimo luterskiego otoczenia wokół Hermsdorfu. Ta moja prababka nie była piękna. W dodatku była - garbata.

Doktor Willy Schmidt nie zdołał ustalić wyraźnej daty zaczątków naszego rodu. Zamek wymieniany jest w wielu starych dokumentach oraz w archiwach Stralsundu już od połowy XIV wieku. Dokumenty rodzinne oraz wspaniale podobno wykonane drzewo genealogiczne spaliło się razem z zamkiem w roku 1757. Doktor doszukał się jednak wyraźnej wzmianki o tym, że jeden z moich przodków przywiózł sobie z Westfalii, gdzie służył na książęcym dworze, żonę nazwiskiem von Schmackwerder. Było to gdzieś na początku XVII wieku. Z zachowanych dokumentów wynika, już w nowszych czasach, że Fryderyk von Jamsborck, urodzony w r. 1701 i ożeniony w r. 1728 z Luizą von Demin, miał trzech synów: Fryderyka (ur. 1729), Johanna (ur. 1735) i Wilhelma (ur. 1737). Wymieniony Fryderyk, właściciel ziemski, po wyładowaniu Szwedów w r. 1757 zorganizował miejscową gwardię narodową, co było na owe czasy niespotykanym, samorzutnym uzbrojeniem ludności prowincji przeciw napastnikom. Nic dziwnego, że szwedzki generał Ungern-Sternberg spalił mu zamek, a żołdactwo wymordowało ludność. Wówczas zginął nasz przodek, a z nim równocześnie żona jego najstarszego syna. Synowa była z domu von Wartensleben, dziadek jej był jednym ze sławnych generałów pruskich, jeszcze w czasach Wielkiego Kurfursta.

Historia trzech synów:

Fryderyk - urodzony w r. 1729 był pruskim oficerem, majorem, w roku 1762 stracił prawą rękę pod Reichenbach, następnie aż do śmierci w roku 1762 mieszkał na wsi, od roku 1765 już w Hermsdorfie, z racji swego drugiego małżeństwa z Utą. Z pierwszego małżeństwa było dwoje dzieci: córka Magda (ur. 1751) i syn, również Fryderyk (ur. 1754). Z drugiego małżeństwa zjawili się dwóch synów: Ludwigo (ur. 1765) i Heinrich (ur. 1768).

Córka Magda wyszła w roku 1776 za mąż za bogatego armatora statków w Szczecinie, Johanna Rotha. Najstarszy syn Fryderyk po śmierci swej macochy Utty w roku 1775 zagarnął majątek swoich braci przyrodnych, Hermsdorf. Starszego Ludwiga umieścił w szkole kadeckiej w Berlinie, następnie w roku 1788 ożenił go bogato, lecz nie złożył rachunków z opieki i zatrzymał dla siebie cały spadek po wspólnym ojcu. Wymieniony Ludwigo zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku w roku 1793, bezdzietny, a żona wyszła wkrótce po raz drugi za mąż. Młodsze, Heinricha, odebrała mu siostra Magda. W archiwum zachował się list wymyślający starszemu bratu, że nie umie troszczyć się o dziecko. W ten sposób Heinrich już w dziewiątym roku swego życia znalazł się w Szczecinie. Kupiecka firma Roth miała silne powiązanie ze Szwecją i nic dziwnego, że Heinrich po dwóch latach nieudanych studiów teologicznych uciekł z domu siostry i szwagra - na morze. Było to dokładnie w roku 1786. W cztery lata później poślubił córkę szwedzkiego kapitana okrętu, nazwiskiem Markholm, i w ten sposób zjawił się na świecie nasz przodek Martin.

Heinrich i jego teść utonęli na morzu w roku 1795, a małym Martinem i jego bardzo młodą podówczas matką opiekował się wujek matki, pastor Collens. Ostatecznie Friedrich von Jamsborck przypomniał sobie o swoim bratanku i w ten sposób nasz Martin znalazł się w Hermsdorfie, który właściwie prawnie jemu przynależał. Dziecko powierzono już to na wsi, już to w Berlinie, gdzie jego stryj prowadził bardzo wykwinny dom. Dalszy ciąg dziejów Martina to już jakby osobny rozdział. O tym opowiem kiedy indziej.

W rezultacie Martin nie powrócił do stron rodzinnych po zakończeniu wojen napoleońskich. Jego stryj żył długo, umarł dopiero w roku 1829. Przed śmiercią zaadoptował wnuka swojej siostry Magdy, którego matka, z domu von Trottenburg, była córką lekarza wojskowego w Szczecinie. Kilkoro innych dzieci pozostało przy nazwisku Roth. Byli to

podówczas bardzo zamożni kupcy z własnymi okrętami. W ten sposób siedemnastoletni Carl Friedrich Roth został w roku 1820 adoptowany i za zgodą władz pruskich przejął nazwisko von Jamsborck zu Hermsdorf. Podobno w 1830 roku, po śmierci swego adoptowanego ojca, pisał do naszego pradziadka Martina, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Ów Roth ustalił się w pruskim wojsku, w Hermsdorfie rządził jego teść, Żoną jego była Edda, z domu von Korn, córka pułkownika, urodzona w roku 1806. Urodziła mu troje dzieci: syna Friedricha w r. 1825, syna Johanna w r. 1827 i córkę Luizę w r. 1831.

Johann umarł w młodym wieku (1845 r.), a siostra Luiza wyszła za mąż w Berlinie za profesora, u niej również zmarła matka w r. 1866. Friedrich miał dwóch synów: Wilhelma ur. 1853 i Ludwika ur. 1857. Ci bracia dokonali pomiędzy sobą podziału majątkowego i ostatecznie starszy brat spłacił młodszego domami w Berlinie i hipotekami na Hermsdorfie, zatrzymując dla siebie w całości dobra ziemskie. Równocześnie starszy brat zatrzymał pełne nazwisko w brzmieniu: von Jamsborg zu Hermsdorf jako związane z posiadaniem ziemi, a młodszy brat powrócił do nazwiska Friedricha von Jamsborck, owego „okrutnego” przyrodniego stryja Martinowego. W ten sposób adoptowana rodzina rozdzieliła się na dwie gałęzie. Obie siostry: Dorothea i Brunhilda są wnuczkami owego Wilhelma z podwójnym nazwiskiem. Natomiast Hans i Erna są wnukami owego młodszego brata Ludwika. Ich ojciec całe życie był pasożytem swego starszego brata, po którym wdowa wychowała oboje, gdy ich matka zniknęła gdzieś w świecie.

Ze względu na niemiecką, jak ją nazywam, Annę, zainteresowałam się również historią jej rodziny. Z adoptowanymi Jamsborckami łączy ją jedynie wspólna matka, Margareta, z domu von Lilienfels.

Historia rodu krótka. Dr Friedrich Goltorpp, lekarz, urodzony w roku 1795, zmarły w roku 1847. Syn jego Carl, urodzony 1820, jedynak, pruski oficer zawodowy, ożeniony w roku 1854 z Zofią v. Lewald, od roku 1870 pułkownik, od roku 1872: „von”, zmarły w roku 1889 w stopniu generała. Dwa synów i dwie córki. Najstarszy Carl urodzony w r. 1856 właściciel ziemski po matce, ożeniony z kuzynką swej matki, wdowiec od r. 1900. Jedyny syn jego zginął na wojnie w r. 1916. Bogaty junkier, majątek Zinnrode pod Frankfurtem nad Menem. Młodszy syn Johann, urodzony w r. 1859, a zmarły w r. 1909. Oficer, żona z domu Wander, córka adwokata. Jedynak dr Johann, były sędzia w Kassel, drugi mąż pani Margarety i ojciec Anny. Właściwie wychował również obie córki swej żony z pierwszego małżeństwa z jego przyjacielem Johannem z Hermsdorfu. Znaczne sumy na hipotece tego Hermsdorfu dla Anny.

Pozostają jeszcze dwie siostry. Starszą, Elisabeth, ur. 1863, żonę fabrykanta Wetzberga w Düsseldorfie, wydano za mąż bez posagu, młodsza, Maria Luiza, króluje od roku 1929 jako rodzinna ciotka w Hermsdorfie. I oto wszystko.

Teraz już dokładnie znam tajemnicę pochodzenia naszego przodka Martina i nic mi z tego nie przyszło. Stare dzieje, tylko tyle. W dodatku Marcin i bez tego wiedział więcej ode mnie. Dopiero obecnie, po otrzymaniu prezentu w postaci zawartości biurka po naszym dziadku Benonie, puścił farbę i dopowiedział mi resztę. Martin w istocie uciekł i nie miał ochoty powracać w swoje strony rodzinne. Tu nie wchodziły w grę jedynie sprawy jego przyrodniego stryja. Martin miał coś na pieńku z Braćmi Łoży jego młodości i dlatego oderwał się od nich i nie wrócił. Był w tej Łoży bardzo wysoko, sprawdził to w zachowanych spisach nasz współcześnie żyjący Marcin. Na tym koniec. Reszta nie nadaje się do powierzenia kartkom mojego bloczka.

Dzisiejsze nazwisko von Jamsborg zu Hermsdorf jest jedynie pustym dźwiękiem utrwalonym na stemplowym papierze przez pruską biurokrację przed stu laty. Być może zatem miał słuszość nasz Krystynek, gdy nawiązał do owego von Jamsborcka, który był pradziadkiem naszego grudziądzkiego przodka Martina.

Właśnie skończył mi się bloczek. Sygnał, aby pójść spać. Jutro rano obudzi mnie Zośka. Coś koło szóstej. Życie ma swoje twarde wymagania. Przodków nie należy niepokoić wypominkami. Należy myśleć o przyszłości. A raczej o terażniejszości. Przyszłość jest również pustym dźwiękiem. Byle wiatr może zawiąć i wszystko zniszczyć. Teraźniejszość jest właśnie tym, co człowiek realnie posiada. Beatus qai tenet. Co mam w garści, to mam. Piszę już na okładce bloczka, bo mi się nie chce wstać z łóżka. Nabieram przekonania, że nasze nowe nazwisko Jambor raczej otwiera nam życie, niż zamyka je jakimiś urojeniami.

Czas zatem, moja Anno, zająć się więcej sobą i nie grzebać się zbytnio w popiołach rodzinnych wspomnień.

Kiedyś błysła mi myśl: zdobyć pieniądze, wykupić Hermsdorf, odbudować ruiny Jamsborga. Ale to już przeszło, inne cele... Na razie trzeba uporządkować interesy, nakręcić sobie jakieś własne, wygodne i spokojne życie, a na resztę... plunąć! W tym całym programie jako najważniejszy punkt: odczepić się od Wąbrzeźna i od Zośki. Zapomnieć o bławatach. A później, kto wie, czy nie jakaś szwajcarska „Acacia”.

Poniedziałek - 22 lipca

Piszę w biurze. W domu urwanie głowy. Zośka na trzy dni. Dzisiaj przyjeżdżają równocześnie: stryj Józef i oboje Tuchołkowie. Samochodem stryjka - z tych dzikich kresów. Wieczorem. W banku upierają się, żeby im na termin spłacić cały kredyt. Mam dwanaście tysięcy. Skąd wziąć resztę? W lakierach lotne piaski, o gotówce na razie nie ma mowy. Zośka nie przywiozła pieniędzy. Zjawiła się u mnie z taką miną, jakby chciała powiedzieć: przecież ty, Anno, masz kopalnię złota. Głupia. W piątek moje imieniny, trzeba będzie przyjmować gości. Już nadeszła paka z żarciem ze Starej Wsi. Przywieźli ciężarówką dzisiaj o świcie. Oni obecnie dostarczają wprost do sklepów w Warszawie, nazywa się to własną organizacją handlu wiejskiego. Maksiu twierdzi, że to się opłaca, benzyna kosztuje podobno mniej niż pośrednicy. Ale co to mnie obchodzi? Bank! Ale chyba inne banki również pożyczają pod zastaw akcji? Może chodzi im o głupią formalność, że była umowa tylko na jednorazową prolongatę kredytu? Z otwarciem nowego kredytu łączą się różne bankowe ceregiele i nowe procenty za uruchomienie kredytu. Głupstwa, głupstwa. Ale w każdym razie te głupstwa kosztują. Szkoda nerwów, rzecz do załatwienia. W najgorszym razie - pójdę do prezesa Fajansa.

Zośka ze mną w sypialnym, stryjek w gościnnym, a Tuchołków umieszczę na dole. Szofer u Petrasa, jak zwykle. Wieczorem murowane gadanie do pierwszej w nocy. Zapowiedział się generał. Ma podobno najświeższe wiadomości z naszego frontu boju, mówi - że są niezłe. Byle nie wyrpał przy Jamborach, ale on nie jest głupi. To nie są interesy na ich pojęcia.

Kończę, ponieważ już mnie wołają, to znaczy proszą. Na jedno to wychodzi, bo trzeba iść.

Wróciłam. Psiakrew, w poniedziałek rano trzeba będzie jechać do Gdańska razem z paczką różnych fiszów. Akurat mi w porę! Podobno na kilka dni. Co mnie do Gdańska, już mi się znudził, a oni chcą zrobić z tego wycieczkę i odwiedzić swoje magnifiki na wybrzeżu. Na koszt ministerstwa, jak zwykle.

Wtorek - 23 lipca

Nowości. Nadszedł list z Marienbadu do generała. Ma zakupić cztery miejsca na jakimś statku „Piłsudski”, który zrobili dla nas we Włoszech. Podróż w końcu sierpnia z Triestu do Gdyni, a po drodze różne wycieczki. Mają jechać obie panie, Zosia i ja. Także pomysł jazdy takim statkiem, tego jeszcze nie było. Zachciewa się naszym paniom. Już ja znam takie wycieczki, Cook i Pireneje, ledwo się wykpiłam od Korsyki. Niech zresztą kupią dla mnie miejsce, w ostatniej chwili będzie można się wymówić i pojedzie ktoś z rodziny lub ze

znajomych. Wiadomość przyjął bez entuzjazmu. Podobno uzgodniono już z Marcinem, ciekawe, nawet one uważają Marcina za mojego opiekuna. A to dobre!

Zośka zostaje do końca tygodnia. Zawali mi całe imieniny, staje się ostatnio dziwnie pospolita. Rozumiem, że w Wąbrzeźnie czy Grudziądzu, ale dlaczego w Warszawie? Przecież może przyjrzeć się innym ludziom i jakoś doszlifować. A może nie chce?

Z Tuchołkami jeszcze nie wiadomo. Starosta ma obecnie urlop do końca miesiąca, a w majątku dyryguje jakiś fachowiec rolny z Dublanami. Ładnie ja będę wyglądać w takim towarzystwie! Zapowiada się około trzydziestu osób.

Z bankiem załatwiłam gładko. Wyjęłam z sejfu drugą porcję akcji Marcina i w całości, po odcięciu kuponów za pierwsze półrocze, złożyłam jako podkładkę na zastaw w innym banku. Tym razem wybrałam masywny Bank Gospodarstwa Krajowego. W sejfie pusta, zabrałam dokładnie wszystko. Okazało się, że akcje Marcina zyskały ostatnio na wartości. Według obliczeń ze stycznia, bez kuponów, były warte trzysta siedemnaście tysięcy netto na sprzedaż, dzisiaj trzeba byłoby dać za nie koło trzystu czterdziestu tysięcy. Otwarłam na razie kredyt w wysokości sześćdziesięciu tysięcy złotych i od razu spłaciłam pierwszy bank. Byli zdziwieni, obecnie ofiarowywali się z nowym kredytem u siebie. Mogli od razu tak mówić, a nie kręcić, chodziło im tylko o zainkasowanie nowej prowizji od otwarcia kredytu.

Z odcinaniem kuponów było dużo zachodu. Co najmniej godzina roboty. Jeździłam taksówkami, nie chciałam wtajemniczać domowych szoferów w moje kłopoty. Spore paczki tych papierów. Kuponów zrealizowałam w BGK. Sporo, dziewięć tysięcy i pięćset dziesięć złotych. Na razie gotówka wypycha mi teczkę, wpłacę jutro na konto Marcina, będzie dobrze wyglądało. Akcji wykupionych z zastawu nie miałam czasu włożyć z powrotem do bankowego schowka. Jutro.

Właściwie nic nie zrobiłam. Zapchałam jedną dziurę kosztem drugiej. Otwarcie nowego kredytu. Odsetki z góry zapłacone za jeden kwartał. Przynajmniej tym razem dłuższy kredyt, co kwartał trzeba jednak spłacać 25% długu, w razie nieuregulowania takiej upłaty oraz niezapłacenia odsetek w ciągu siedmiu dni od daty płatności bank może wypowiedzieć cały kredyt, sprzedać papiery na giełdzie i tak dalej... Uczę się bankowości - w dodatku na nie swoich akcjach! Ale na pocieszenie mogę dodać, że mam na to zgodę Marcina i lokuję pieniądze nie w wydatkach, lecz w wartościach realnych, pozytywnych.

W domu wszyscy się rządzą, ja mam najmniej głosu. Najgłośniejsza jest Zośka, psuje mi służbę. Wzdycham, kiedy mnie opuści. W biurze mieli ze mnie dzisiaj niewiele pociechy. Obecnie mam trochę spokoju, ponieważ moi najbliżsi przełożeni wywiali na jakiś proszony obiad do Langnera.

Swoją drogą zmęczyłam się.

Generał jak zwykle posłuszny wymaganiom pań. Przypadkowo spotkaliśmy się na ulicy, gdy wychodziłam z BGK. Przejeżdżał samochodem i kazał zatrzymać. Wymówiłam się, ponieważ byłam dziwnie wymięta wystawianiem w banku oraz nie w sosie z powodu potwornego upału. Mówiliśmy krótko, właśnie jechał odbierać bilety na tę okrętową wycieczkę. W ciągu tygodnia muszę dostarczyć stary paszport lub dowód zameldowania w Warszawie. Chyba to drugie. Podobno wycieczka ma być mocno reprezentacyjna, w takim razie będzie sporo wystrojonych bab. Wyjazd z Warszawy w sobotę 24 sierpnia wieczorem, powrót do Gdyni 12 września. Co do urlopu, to Wirewicz śmiał się, mówiąc: - To zawsze można zrobić. - Kiedy oni wypłacą mi moją prowizję? Nie wypada pytać. Gdy mu wspomniałam, że nie mam gotówki, generał odpowiedział z miejsca:

- Ciotka Leokadia zapłaci, ona nie wie, co robić z pieniędzmi, w Górkach nic nie wydaje.

On sobie wyobraża, że mnie potrzeba kilku tysięcy złotych!

Kończę. Co prawda, pomimo harmidru w domu, oddycham lżej. Zośka załatwiła wszystko mniej więcej pomyślnie. Obecnie łączy nas jedynie spółka z ograniczoną

odpowiedzialnością. Na razie z zaznaczeniem starej firmy kupieckiej: Benon Jambor - spadkobiercy. Ale od Nowego Roku, jeżeli się uda, to będzie już inaczej: Wąbrzeski Dom Towarowy, Sp. z o.o.

No i rozliczenia gotówkowe. Grudziądzkie śrubki to worek bez dna, Zośka zamiast poprzestać na małym warsztacie, myśli o stworzeniu prawdziwej fabryki. Co do reszty, jest mocno wysztafirowana, aż razi. Perfumy, koronki, jedwabie. Dama wycięta z żurnala, ale tylko wycięta i nic więcej. Manekin.

Środa - 24 lipca

Listy nadchodzą stadami. Z interesujących tylko dwa. Z Marienbadu tysiące zleceń oraz prośba, by przypilnować Wirewicza z zakupieniem kart okrętowych. One palą się do tej wycieczki. Nie wracają do Warszawy, jadą wprost do Wiednia, gdzie mamy się spotkać. Litania, co mam sprawić sobie na drogę, one to wszystko uzupełnią sobie na miejscu, w Czechach.

List od Krystynka. Przypomniał sobie o imieninach siostry Anny. Píše krótko i dodaje łaskawie na końcu:

„Mnie na razie, jak dotąd, powodzi się dobrze. Kto wie, czy nie podrzucę wam jakiej bratowej, tutaj jest moc tego towaru do wyboru, skoro tylko posiada się dobry bilet wizytowy i parę garniturów wieczorowych i balowych”.

Dobry sobie, w każdym razie bezczelny! O reszcie ani słowa, mógłby przecież napisać: dziękuję ci, Anno, za załatwienie moich dolarów. Widocznie myśli, że tak być musiało. Równocześnie ani jednym słówkiem: jak się tobie powodzi?

Tuchołkowie tkwią w Warszawie, jak by zamierzali spędzić u mnie urlop. Dziwny pomysł. Tylko że starosta wydeptuje codziennie jakieś ścieżki w swoim ministerstwie. Może jest taki głupi, że marzy mu się posada wojewody. Do tego są inni, on nie jest z ich stajni, taki przyszywany legionista z Pomorza. Stryjek mówił, że lasy postawiły naszego szwagra na nogi. Podobno spłacił trochę pilnych długów, lecz większość pieniędzy trzyma przy sobie. Spieszą się z wyrębami, ponieważ zrobiło się o to trochę wrzasku. Ale dadzą sobie radę, ponieważ wielu ludzi siedzi u nich w kieszeni. Właśnie o tej nowej spółce drzewnej mamy pomówić ze stryjkiem na miejscu, w Gdańsku.

Czwartek - 25 lipca

Listy z życzeniami. Paryż, Baden, Gdańsk, Cannes, a nawet angielski list od Fryderyka Gardena z żoną. Widocznie ze względu na nową żonę - list po angielsku. Grzecznościowe zaproszenie na wakacje u nich. Owszem, pojechałabym z przyjemnością, ale kiedy? Trudno się dwoić i troić. Mam i tak dużo lataniny. W biurze cośkolwiek przygotowują do naszej podróży, ale nie obrywają sobie zbyt rękawów. Na pewno wyobrażają sobie, że mnie zasadzą do roboty, a sami będą fruwać po plażach i „zadawać szyku” w kasynie. W domu rozgardiasz, przyjęcie, ponad trzydzieści obcych osób, nie licząc swoich. Ale nie moja w tym głowa. Pelasia objęła rząd nad samym przyjęciem. Zośka nad całością. W dodatku takie piątkowe imieniny to kłopot, podwójny repertuar potrawowy. Fanaberia z postem na pokaz, a równocześnie postępowe dania mięsne, i w ogóle... Razem w sumie: głupota.

Piątek - 26 lipca

Piszę w biurze. Tutaj również ogonek składających życzenia imieninowe. Musiałam zaprosić do domu dyrektora mojego departamentu. Właściwie sam się przymówił.

Obudziły mnie kwiaty. Procesja z różnych kwiaciarni. Nawet mój sklepowy personel wysadził się na takie ranne kwiaty. Do biura przyszedłam późno, dobrze po dziewiątej. Telegramy. Z Montreux i z Paryża kwiaty przez „Fleurope”, te ostatnie od pana Krymułta.

Mam tego dość, dwunasta, wychodzę do „Ziemiańskiej”, przed chwilą dzwonił generał, randka.

Sobota - 27 lipca

Przeszło. Mówię o tym tak, jak człowiek, którego burza zaskoczy w sposób nieoczekiwany w jakimś miejscu pozbawionym schronienia. Zabawa trwała do szóstej rano. Naturalnie stoliki z brydżem. Gdy wyszli ostatni goście, wykapałam się, weszłam pod zimny prysznic, a następnie owinęłam się puszystym szlafrokiem i usiadłam w miękkim foteliku w sypialni. Przysłuchiwałam się, jak Zośka chrapie przez nos, a raczej przyglądałam się domowej operze komicznej. Leżała na wznak, bez żadnego przykrycia, w poprzek łóżka. Co tu owijać w bawełnę: uchlała się. Mężczyzna pijany to przykry widok, lecz pijana kobieta - to koszmar. Kintop, jak by powiedzieli w Poznaniu.

Była prawie siódma rano. Ubrałam się normalnie, jak do biura, zażyłam dwie tabletki aspiryny i w chwilę później zjawiłam się na pobojujisku mojego pokoju stołowego. Wszyscy byli mocno zdziwieni, służba sprzątała. Oni czynią to w sposób bardzo zręczny. Dbają o to, żeby mieszkanie doprowadzić natychmiast do jakiegoś takiego porządku. Usiadłam przy stoliku pod oknem i kazałam podać butelkę koniaku. Naprzód przekrajałam cytrynę, zmusiłam się do przełknięcia sporej porcji, a następnie wypięłam duży kieliszek koniaku. W pierwszej chwili zrobiło mi się jakby niewyraźnie, zamroczyło mnie, lecz to szybko przeszło. W następnej chwili poczułam przyływ energii, zmęczenie minęło, jak by ręką odjął. Tak to się określa. W kwadrans później siedziałam już w samochodzie. Taka ranna przejażdżka dobrze robi. W Wilanowie wysiadłam z wozu i pospacerowałam dobre pół godzinki. W biurze zjawiłam się koło godziny dziewiętej prawie wypoczęta i bez bólu głowy. Pan Petras patrzył na te moje zabiegi z milczącym uznaniem. Widziałam, że miał ochotę powiedzieć:

- Kurczątko chodzi już własnymi, męskimi drogami. W dodatku nie kurczątko, a wprost młode wilczę!

W tym miejscu muszę sobie mimo woli przypomnieć, że na herbie Hermsdorffów jest wyobrażona właśnie czerwona głowa wilcza z otwartą paszczką i mocno nastroszonym karkiem. Tarcza herbowa przedzielona jest na dwie prostopadłe części. Na lewej owa czerwona wilcza głowa na żółtym polu, a drugą połowę tarczy zajmują poziome pasy czarne i białe, po pięć w każdym kolorze. Naokoło tarczy dużo labrów w tych samych kolorach. Z hełmu wyziera pół wilka z przednimi łapami obróconymi w lewą stronę, a nad jego głową złota korona rycerska.

Myśli moje grupują się w tej chwili dookoła naszego Heinricha. W ten czwartek rano mieli zjawić się obaj na wsi w Hermsdorfie, naturalnie gdańskim samochodem. Dlatego stryjek tak się śpieszył i nie został na moich imieninach. U pani Margarety. Później w projekcie miała być podróż do Frankfurtu. Jak to wszystko wypadło? Dowiem się chyba dopiero w poniedziałek na miejscu w Gdańsku. Chyba zabrali z sobą Elfrydę. Przecież to jakby druga matka Heinricha, wychowała go na pniu starej rodziny Gardenów. Stary pan Carl von Goltorpp. W każdym razie naszemu Heinrichowi historie z ruinami Jamsborga winny pomóc. Zresztą jaka tam arystokracja, pradziadek-pruski generał i tyle. Przypuszczalnie to „von” dostał nie za zasługi wojenne, pomogły mu raczej szlacheckie koligacje żony. Von Lewald - stara rodzina pruskich oficerów i generałów, również pochodząca, zdaje się, z Pomeranii? Ojciec Heinricha na pewno ma kilka dobrych milionów, jestem tego pewna, sporo z tego bezpiecznie ulokowano w przedsiębiorstwach angielskich krewnych.

Zośka wyjechała dzisiaj po południu. Zmęczyła mnie swoją osobą i opowiadaniem. Pożyczyła - dwa tysiące. Dałam na odczepne z kasy lakierów. Podobno złotodajny Pactol spłynie na interesy ze śrubkami dopiero późną jesienią, mają napięte dostawy dla wojska. Łącznice telefoniczne. Szkoda, że nie robią części uzbrojeniowych. Ale kto wie, ponieważ Zośka mocno klapertowała się koło naszego generała. Przyciskała go, widocznie miała w tym

interes. Ano: *Pactolus tibi iluat*, moja Zośko, im więcej będziesz miała floty, tym łatwiej przyjdzie mi odczepić się od ciebie.

Tuchołkowie chodzą na ogół własnymi drogami, dom mój traktują jako gościnny hotel. Dzisiaj na przykład idą gdzieś na kolację ze znajomymi, mnie nie zapraszali, jeszcze lepiej. Chwała Bogu! Kiedy mi oddadzą dwanaście tysięcy? Przydałyby się w tej chwili. Przecież on ma obecnie pieniądze, grubsze, jak mówił stryjek. Pelasia - potulne cielę, przecież ona powinna mu o tym przypomnieć. Jak zwykle. Tym razem - szwagierek z werwą, on jest zawsze taki, gdy czuje w kieszeni pieniądze.

Idę spać. Zasłużyłam sobie. W południe nadeszła depesza od Zajlicza, tym razem z Paryża. Ależ on nakręci się po świecie! Nic dziwnego, podobno o ile możliwości lata samolotami, a to idzie prędej. Co do mnie, to jakoś nie mam ochoty, chociaż mnie namawiają.

Niedziela - 28 lipca

Obudziła mnie Pelasia. Głupie pomysły. Ona również chce jechać do Gdańska i koniecznie samochodem. Co za nonsens! Za dwa miesiące spodziewa się dziecka i chce się jej tłuc po świecie. Odradzałam, ale na upór nie ma lekarstwa. Niechże jadą oboje! Co do mnie, mam już wykupiony sleeping. Radziłam jednak bardzo wczesny wyjazd, jeszcze przed obiadem. Muszę wstać i pomówić z Karolem, żeby jechał uważnie. Dobrze, że samochód masywny. Głupi pomysł. Trzeba będzie dzwonić do Gdańska i uprzedzić o tej niespodziewanej wizycie.

Godzina jedenasta. Och. Już wyjechali. Wariactwo. Zaprosiłam sobie na obiad pana Władysława, to znaczy naszego słomianego wdowca z Mokotowa. Tuchołkowie zepsuli mi całą niedzielę. Zamierzałam wypocząć przed podróżą i w ogóle przed Gdańskiem, który zapowiada się jednak na kilka dni. Chodzi o jakieś rozliczenia. W dodatku początkowo lekceważyłam sobie naszą wyprawę, tymczasem zapowiadają się poważne urozmaicenia. W gazetach pełno niemiłych wiadomości. Polska przed tygodniem wydała zakaz clenia towarów przychodzących do Polski przez urzędy celne w Gdańsku jako represję za ostatnie ograniczenia dewizowe, wprowadzone przez Senat Wolnego Miasta w stosunkach Gdańska z Polską. Prezydent Senatu Gdańskiego ostro zaprotestował wobec naszego rządu przeciw tym zarządzeniom. Jedziemy zatem na teren mocno zaogniony, a w Gdańsku nigdy nie wiadomo, skąd spadnie cegła na głowę. Niepotrzebnie Tuchołkowie popchali się do Gdańska, tłumaczyłam jak małym dzieciom, ale groch o ścianę!

Przed chwilą dzwonił generał. Oni zawsze mnie zaskakują. Trzy osoby więcej na obiedzie. Państwo Janaszowie, ci, u których byłam na wiejskim podwieczorku. Trochę to dziwne, ale trudno. Nie bardzo mi się widzieli z tym swoim wypominaniem: nasza rodzina posiada Płochocin od z górą dwustu lat. Niepotrzebna chwalba, nasi przodkowie siedzieli na zamku w Jamsborgu zapewne już w trzynastym wieku! Głupi pałacyk w Płochocinie, byle willę można również nazwać pałacykiem. W Hermsdorfie nie mają takich fanaberii, mówią całkiem naturalnie: w naszym domu.

Dobrze przynajmniej, że nasza Helena nie czyni wstęptów z przyjmowaniem gości. Szkoda, że nie ma Karola, wystąpiłby w charakterze lokaja, a tak zostaje mi jedynie Liza. Trzeba się będzie nabić w grandtoaletę. Ale przynajmniej powiem: wakacje

I za kilka godzin wyjeżdżam do Gdańska.

Podobno bilety na tę wycieczkę zostały wykupione już bardzo dawno i jedynie mokotowskie stosunki zdołały coś wydłubać. Nie zwróciłam uwagi, widocznie mówiło się o tym w okresie mojej choroby, później szwendałam się za granicą. W tych warunkach jadę i trzeba będzie pomyśleć trochę o „ubranych” dla Anny Jambor. Wakacje, nie będzie kłopotu z krawcowymi.

Gdańsk - poniedziałek 29 lipca

Sytuacja bardzo naprężona. Od razu, niemal tuż po wyjściu z wagonu, zabraliśmy się do pracy w naszym Komisariacie Rządu. Z Warszawy duży zjazd, przyjechało ponad dwadzieścia różnych urzędowych person.

Mieszkamy w dawnej willi Fryderyka Gardena. Szwagierek buja, całe szczęście, że podróż samochodem odbyła się pomyślnie. W Gdańsku rządzi na razie młodsza Elfryda. Na wyprawę zdobycia żony dla Heinricha pojechali, jak zresztą przewidywałam, oboje stryjostwo. W piątek był telefon z Hermsdorfu i na tym się skończyło. Do Frankfurtu wybierali się dopiero w sobotę rano, przetrzymano ich na wsi. Obie z Elfrydą jesteśmy niespokojne o rezultat, myślę jednak, że pieniądze zrobią swoje. Anny i tak nie utrzymaliby na wsi po skończeniu przez nią medycyny. Mam wrażenie, że bardzo wiele będzie zależało od relacji ciotki Marii Luizy, ona trzęsie całym Hermsdorffem.

Tuchołka przedłużył sobie urlop do dziesiątego sierpnia. Koniecznie chce doczekać się stryjka Józefa. W każdym razie Pelasia wypoczywa, przy willi jest spory ogród.

Wtorek - 30 lipca

Nie ma czasu na pisanie. Praca. Z bloczkiem w ręce, a później przy maszynie do pisania. Nie mamy zaufania do nikogo z miejscowych, sytuacja jest naprawdę nieprzyjemna. Dobrze, że okres wakacyjny i ulice w samym mieście są względnie puste.

Elfryda referowała mi bardzo krótko sprawę przejścia przez stryjka owej żydowskiej firmy. Nie można było inaczej. Bracia Brock dostali ostatecznie trzysta tysięcy guldenów, ale musieli zapłacić od tego 25% jakiegoś specjalnego podatku i na drugi dzień opuścili Gdańsk. Elfryda nie zna dokładnej wysokości kwoty, którą stryj zmuszony był wpłacić do kasy partii. W każdym razie również koło trzystu tysięcy guldenów. Nie są zadowoleni z tej transakcji, postanowili prowadzić oba przedsiębiorstwa osobno, nie mieszając razem interesów. Nie wiadomo jeszcze, co z tego wypadnie, zwolnili na razie połowę personelu w nabytej firmie i wprowadzili na ich miejsce nowych ludzi. Normalnie.

Środa - 31 lipca

Byłyśmy dzisiaj trochę na plaży, ale pod sam wieczór. Pojechałyśmy samochodem Elfrydy na drugą stronę Wisły do nowej dla mnie miejscowości: Bonsack. Cudowna plaża, zaludniona wyłącznie przez rodowitych Gdańszczan. Otwarte morze, idealnie czysty piasek. Kolacyjkę spożyłyśmy na miejscu. Dwa samochody - bez szoferów, w sumie siedem dziewcząt. Towarzystwo bankowych Gardenów. Pod koniec dopiero zjawili się rodzice i oni to zafundowali nam kolacyjkę. Wesoło. Wróciliśmy już przy zapalonych reflektorach.

W przedpołudniowych oficjalnościach sporo pracy. W każdym razie dzisiaj urwałam się punkt czwarta. Na jutro i pojutrze zapowiadają wspólne konferencje z władzami gdańskimi od rana do późnego wieczoru. Zobaczymy. W każdym razie dobrze sypiam. Przez otwarte okna mojego pokoju czuję wyraźnie podmuch morskiego powietrza, mimo znacznej odległości od samej wody.

Sobota - 3 sierpnia

Harówka! Dzisiaj skończyliśmy o piątej, pomimo soboty. Jutro również zmarnowany dzień, ma przyjechać nasz minister. Wczoraj późno w nocy wrócili stryjostwo. Podobno wszystko dobrze, były jednak trudności. Jestem zmęczona. Muszę iść spać, o pisaniu nie ma mowy. Stryjka prawie nie widziałam, rozminęliśmy się. Ciotka pocieszała mnie wieczorem podczas kolacji. Na jutro są zapowiedziane rodzinne rozmowy. Na pierwszym planie naturalnie Tuchołka. W każdym razie jutro podczas rodzinnego obiadu zaofiaruję się stryjkowi z gotowością oddania mu tysiąca dolarów. Mój Boże, jakże to już dawno, gdy pożyczili „młodej Annie” ów tysiąc dolarów na pierwsze zagraniczne wojaże! Ile zmian

zaszło w mym życiu od tego czasu! Sierpień 1932 roku - tysiąc dolarów, wówczas otwierałam sobie pierwsze zagraniczne konto bankowe! I cieszyłam się z tego, że w dolarach. Ofiaruję stryjkowi również przekaz na zagraniczny bank, mam przecież dwa do wyboru. Nie robi to na nim co prawda wrażenia, ponieważ wie wszystko o moich paryskich lakierach, ale w każdym razie... Obecnie, po rozdzieleniu interesów z Zośką, nic nie jesteśmy winne Gdańskowi. Bardzo ważne, skoro mam wziąć udział w tych przyszłych projektowanych „drewnach” angielsko-gdańsko-polskich.

Dzisiaj sytuacja w naszych rokowaniach zaostrzyła się. W momencie gdy siedzieliśmy przy wspólnym stole konferencyjnym, nadeszła wiadomość o zamknięciu przez nasz rząd granicy na przywóz do Gdańska zarówno z Polski, jak z zagranicy. Oburzenie ze strony Gdańszczan. Była to mocna odpowiedź naszego rządu na przedwczorajsze otwarcie przez Gdańsk granicy z Rzeszą Niemiecką dla przywozu bez cła żywności i węgla. Wśród delegatów gdańskich siedzą ludzie, którym kilka tygodni temu nadano gdańskie obywatelstwo, wszystko Niemcy z Rzeszy, odkomenderowani do Gdańska przez partię hitlerowską. Niełatwa jest nasza pozycja. Bardzo napięte sytuacje, gdański prezydent Greiser działa niezwykle energicznie. Jednym słowem draka, nie wiadomo, co z tego wyniknie. A już zapowiadało się uspokojenie i możliwość dojścia do porozumienia. Obie strony winny ustąpić, my z cłem dodatkowym dla Gdańska i Wolne Miasto ze swoimi obostrzeniami dewizowymi.

Spać - czasami tyle właśnie potrzeba do szczęścia!

Niedziela - 4 sierpnia

Nie brałam udziału w rodzinnym obiedzie. Do domu wróciłam dobrze po jedenastej. Jedzenie przyniesiono nam na miejsce do biura Komisariatu. Prawie nikt z nas nie wychodził na ulicę. Do domu wróciłam taksówką. Nieprzyjemnie.

Wtorek - 6 sierpnia

Obie strony są nieustępliwe. Jutro Tuchołkowie wracają do domu. Naturalnie dają samochód aż do samego majątku pana starosty kresowego. Urojenia szwagra, ale trudno.

Środa - 7 sierpnia

Dla urozmaicenia byłam dzisiaj na kolacji u Gardenów. Właściwie zawieźli mnie i tam właśnie dowiedziałam się, że jutro ma być podpisana nowa umowa. Naturalnie oni wiedzą o tym wcześniej od nas. Wiadomo - dlaczego. Nie potrzeba mi mówić o tym wyraźnie, wiem, kto maczał w tym wszystkim ręce. Dalekie i długie ręce. Dyrektor Garden pełen uprzejmości dla mnie, na każdym kroku częstował mnie tym: *Frau Regierungsrat*. U nich obowiązują inne nazwy. Było kilka obcych twarzy. To ludzie z Rzeszy. Patrzyli trochę spode łba i nie rozjaśnili się do samego końca. Ciekawe: przedstawiano mnie - von Jamsborck.

Dziewczęta jak zwykle wesołe i hałaśliwe na modłę niemiecką, mimo poważnego towarzystwa. Mnie tym razem posadzono obok gospodarzy. Siedziałam między dyrektorem Gardenem a jednym z berlińskich dyrektorów Dresdner-Banku. Nie zapamiętałam nazwiska, wysoki, szczupły, z twarzy podobny do pastora, takich się u nas nie spotyka. O małżeństwie Heinricha mówi się już jak o fakcie dokonanym. Wszystko zostało odkryte i ujawnione, wszystkie historie rodzinne. Jamsborg i Hermsdorf przestały być nieznanymi miejscowościami, nawet nasze nazwisko czasami przez jakieś niedomówienie zaczynają wymawiać obecnie w sposób niemiecki: Jamborg, na razie bez owego: Jams, ale w każdym razie.

Słuszna uwaga stryjka Józefa, aby nie demonstrować na tym terenie znaczka z inicjałem Matyldy Meissl. Sprawię sobie jakąś nową papierośnicę. Na starej i tak nie ma już miejsca na monogramy. Podobno tutaj w Gdańsku wszyscy mocno siedzieli w Łozach i dopiero ostatnie

historie z Hitlerem wpłynęły na zmianę frontu! Stryjek był zaskoczony moją gotowością zwrotu tysiąca dolarów. Mówił, że nie spodziewał się tak szybko zwrotu kapitału, ale w takim razie skreśli mi odsetki w nagrodę za samą gotowość. Naturalnie żartował. Rodzinne pokpiwanie. W każdym razie dał mi adres swego londyńskiego banku. Pytał żartobliwie, ile mam na koncie, odpowiedziałam, że na razie zbieram do miliona dolarów. Życzył mi powodzenia, przyjąłem to poważnie. Na moment przygasiał uśmiech na twarzy.

Sprawa Heinricha uregulowana. Staremu junkrowi nie podobały się polskie historie rodziny narzeczonego. Przeważała rodzina matki, gdańskich Gardenów. Niezawodnie zasięgnęli wiadomości, obecnie rozumiem, dlaczego stryjostwo pojechali do Hermsdorfu i do Zinnrode dopiero w miesiąc po naszych pierwszych młodzieżowych odwiedzinach. Zabrała się nie tylko matka Anny, lecz również i pani Maria Luiza. Ona to podobno przeważała.

Reszta została ułożona po kupiecku, z dokładnością. Ślub w kilka dni po doktorskiej promocji, a później od razu przeniosą się do Wiednia na swoje własne gospodarstwo. Stryj ma do tego czasu nabyć tam i urządzić jakąś małą willę. Młodzi dostaną w prezencie ślubnym samochód, postanowiono, że ofiaruje go pani Felicja. Ślub w Hermsdorfie. Jak oni wybrną z tą panią Felicją? To przecież matka Heinricha, ale oba małżeństwa żyją między sobą w najlepszej zgodzie. Naturalnie zaproszenia.

Jak oni szybko myślą i działają! Stary Goltorpp, jak się sam przyznał, rozmyślał nad tym, aby cały majątek zostawić Annie, ale pod warunkiem, że zostanie na miejscu, na wsi, w owym Zinnrode. Wyobrażał sobie, że Anna wyjdzie za mąż za kogoś z sąsiadów Hermsdorfu i w ten sposób Zinnrode uzyska przyszłego gospodarza majątku rolnego. Obecnie Goltorpp ma zaadoptować jednego z wnuków swej siostry, Elżbiety Wetzberg z Düsseldorfu, i w ten sposób na świecie zjawi się nowy von Goltorpp. Mają już takiego upatrzonego, w przyszłym roku opuszcza gimnazjum i zaraz skierują go na agronomię. Wszystko jak w zegarku.

Anna ma dostać posag w gotówce oraz w postaci dwóch kamienic we Frankfurcie. To będzie ze strony starego Goltorppa na otarcie łez Annie za utratę Zinnrode, względnie jego części, po śmierci stryjecznego dziadka. Stary Goltorpp kończy w tym roku osiemdziesiąt lat, ale podobno trzyma się doskonale, jeszcze jeździ konno, wyprostowany i naturalnie z symbolicznym szkiełkiem w oku.

Czwartek - 8 sierpnia

Gdy zjawiłam się dzisiaj w Komisariacie Rządu punktualnie o godzinie ósmej rano, powiedziałam na chybił-trafił dyrektorowi naszego departamentu:

- Dzisiaj podpiszemy umowę z Gdańskiem.

Zrobił oczy i zapytał:

- Skąd pani wie, nic jeszcze nie wiadomo.

Umowę w istocie podpisano o godzinie drugiej w południe.

Jutro kończymy nasze prace w Gdańsku. Sobota wolna, a w warszawskim biurze mamy stawić się dopiero w poniedziałek rano. Powrót na własną rękę, jak komu będzie wygodnie. Chciałam zaprosić kilku moich kolegów na kolację do stryjostwa, ale wstrzymałam się w ostatniej chwili. Nie ma sensu ujawniać krewnych w Gdańsku, w dodatku bogatych. W ogóle z bogactwem nie warto się afiszować, zwłaszcza gdy się pozostaje na jakimś stanowisku urzędniczym. Jutro wieczorem idziemy na kolację do Kawczyńskich. To należy do stałego repertuaru mojej każdorazowej bytności w Gdańsku. Co do mnie, to wyjeżdżam na noc w sobotę.

Już naradziłam się z ciotką w sprawie strojów na statek. Jutro wybieramy się do składów. One na tym się znają, ponieważ mają morze pod nosem i bardzo często wyjeżdżają na kilka dni do Kopenhagi i Sztokholmu.

Rozmawiałam z Warszawą. Profesor uspokoił mnie. Pelasia dojechała w znakomitym zdrowiu i samopoczuciu. *Herr Landrat* również, o to ostatnie bynajmniej się nie obawiałam. Tam gdzie inni toną, Tuchołka pływa. Ale pieniędzy mi nie oddali. Mój profesor jest znakomity. Na przyjęciu imieninowym zjawił się w starym fraku, ale ubrał się w ordery. Zresztą bardzo nobliwie, dwie wstęgi przez pierś, jedna na drugiej, z wisiorami do dołu, pod szyją jakiś ośmioramienny krzyż, a na obrzeżu kłapy złoty łańcuszek z mnóstwem orderowych miniaturek. Osobno dwie gwiazdy na piersi, jedna z nich z półksiężycem, jeszcze z czasów przedwojennych. Zaćmił wszystkich gości, nie znający go myśleli, że to jakiś zagraniczny dyplomata. Nie zdołałam powstrzymać się od wyrażenia zdziwienia, ale profesor machnął jedynie ręką i powiedział lekceważąco:

- W długim życiu rozmaicie bywa, jeździło się po świecie i tyle.

Po chwili dodał:

- Może i trzeba było, przecież u pani dzisiaj pięciu generałów i dwóch warszawskich ministrów.

Jestem przekonana, że pomiędzy Braćmi nasz profesor również nie siedzi w ostatnich rzędach. Kwiaty, jakie od niego dostałam, były w dobrym guście. Z wyjątkiem Zośki, która mi podarowała rulon czarnego lyońskiego jedwabiu, inni ofiarowali jedynie kwiaty, z czego byłam bardzo zadowolona.

Warszawa - 11 sierpnia

W domu, wypoczęta, bez zmęczenia. Nikt nie wie, że wróciłam, nie spodziewali się mnie tak rychło. W południe zabrałam profesora i pojechaliśmy na obiad na Bielany. Groszowa przyjemność, niemniej z dużym urokiem. W dalszym ciągu tradycyjne kurczaki, po polsku z mizerią. Bardzo ciekawe rozmowy.

Gdański stryjek ofiarował mi nową papierośnicę. Mówił, że to prowizja za oddanie przez nas wszystkich długów. Odpowiedziałam, że w takim razie trzeba ofiarować taką samą papierośnicę Zośce, ale stryjek roześmiał się i powiedział mi komplement:

- Gdyby chodziło o twoją siostrę, to mógłbym długo czekać na wydobywanie gotówki z jej śrubek. Ty, Anno, to całkiem inna sprawa!

Przy tej okazji dowiedziałam się, że Zośka kupiła w Niemczech dwa automaty do toczenia śrub. Stryj mówi, że z dodatkowymi kosztami jest to obiekt wartości dwustu tysięcy złotych. Podobno siostra pożyczyła gdzieś na krótką metę pieniądze, a po sprowadzeniu maszyn do Grudziądza uzyskała na nie pożyczkę w banku, drogo, prawie po jedenaście procent! - a pieniądze oddała. Skąd u stryjka takie dokładne wiadomości? Chyba *via* Kunicy, przecież doktor ma również udział w śrubkach. Jak to dobrze, że nie włączyłam się do tych interesów. Dziesięć tysięcy złotych można ostatecznie przeboleć, ale już nie więcej!

Wąska damska papierośnica ze złota. Gładka, bez żadnych ozdób, jedynie z niebieskim szafirem oszlifowanym na okrągło i umieszczonym w główce zatrząsku. Polski napis na wewnętrznej stronie jednego z wieczek: Annie od stryja Józefa - i data: 26.7.1935 r. Nobliwy upominek, który nasunął mi nową kłopotliwą myśl. Trzeba będzie zawczasu pomyśleć o ślubnym prezencie dla przyszłej żony Heinricha.

Natychmiast po rozmowie ze stryjkiem napisałam do mojego banku w Paryżu polecenie przekazania tysiąca dolarów do Londynu. Co do interesów z udziałem w drewnie, to rozmowy odbędą się dopiero po moich wakacjach na statku. Urlop już dostałam, ale dopiero od poniedziałku dnia 26 sierpnia, cały miesiąc. Uzgodniłam to jeszcze w Gdańsku, jakoś wyszło, mimo że siedzieliśmy z dyrektorem w cukierni przy lodach. Nie wypadało mu odmówić. To już tak blisko, za dwa tygodnie. Nie mogę narzekać na siedzenie w domu. Właściwie ten cały wielki dom nie byłby mi osobiście potrzebny do szczęścia. Gdyby tylko o mnie chodziło, być może urządziłabym się trochę inaczej, w stylu genewskiej garsoniery Elzy Dubow, ale w każdym razie nie w guście Ireny, błąkającej się po pensjonatach.

Gdy zapytałam dzisiaj naszego profesora, jaki, jego zdaniem, jest cel życia ludzi na tej ziemi, spojrzął na mnie zdziwiony i zdawał się być mocno zaskoczony moim pytaniem:

- Doprawdy nie wiem. Trudno dać na to pytanie jakąś konkretną odpowiedź. Być może dlatego, że życie samo w sobie jest do czasu nieśmiertelne, mimo że jednostki są mocno śmiertelne - w ich oderwanym byciu. Nie wiem. Przecież nie odpowiem pani, że żyjemy z woli Bożej, to byłoby jedynie potwierdzenie jakiegoś taniego konwencjonalizmu. Nawet gdyby tak było, dotyczyłoby to jedynie formy pierwszego aktu stworzenia życia jako takiego. Stwórca jednak nie wdawałby się chyba później w jakieś nieważne detale. Wmawianie w bóstwo zainteresowania dla spraw ludzkich, bez względu na to, czy to będą mitologie antyczne, greckie i rzymskie, czy też żydowskie urojenia o pakcie Jehowy z Abrahamem, pojęcie ludu wybranego i wszystkie jego pochodne to jedynie spekulacje wiecznie głodnego umysłu ludzkiego. Jedno wiem... że życie jest faktem, a to wszystko, co się znajduje na naszej drodze życiowej, to tylko dekoracje. Nie wiadomo nawet, co się właściwie porusza, my czy dekoracje? *Panta rei, madame*. Świętość na tym świecie tkwi jedynie w ruchu. Ruch tworzy historię, reszta jest nieważna. Kto nie idzie naprzód, cofa się, ponieważ inni go mijają. Dlatego zawsze należy coś robić, bodaj nawet źle. Równocześnie zaś nie wmawiajmy zbyt wiele w siebie, jesteśmy jedynie częścią tego świata. Odkrycie nawet wielu tajemnic nie da nam pełnego zrozumienia, jedynie postawi nas w obliczu jeszcze większych niepewności. Odkrycia przyrastają, madame, bardzo powoli, lecz równocześnie horyzonty niepewności wzrastają w postępie geometrycznym.

Profesor dziwnie spochmurniał i powiedział mi na zakończenie:

- Sedno rzeczy spoczywa jedynie w tym, aby przeżywać w życiu rzeczy przyjemne, oddalać od siebie zmartwienia, czy ja zresztą wiem, madame? Pani przecenia moją wiedzę. Na takie pytania nikt nie może uczciwie odpowiedzieć. Duchowni wszystkich wyznań mówią niezmiennie: *ad maiorem Dei gloriam*, ale właśnie to jest jedynie tępe wydanie wypałowianych lekcji. Uczni natomiast do odpowiedzi od razu doczepiają wagony własnych teorii o budowie świata.

Tak. Nie warto myśleć o takich zagadnieniach. To nic nie daje, stwarza jedynie chaos w myślach i osłabia decyzję wyboru drogi. I tak będzie to, co ma być. Tymczasem wykąpię się, następnie spożyję jakąś lekką kolację i zasnę snem sprawiedliwej - siostry służebnicy, jeszcze nie wtajemniczonyj. Przynajmniej dopisuje mi humor. Od dziś za dwa tygodnie będę w Wiedniu. Przystudiowałam już prospekty. Pociąg przybędzie do Wiednia o godzinie wpół do siódmej wieczorem. Kolacja, nocleg, spotkanie z naszymi paniami.

Krystynek. Dotychczas nie odpowiedziałam mu na list z życzeniami. Nie wiem, co mu napisać. On również, być może, zamiast realizować jakiś cel w życiu, przeżywa rzeczy - tylko przyjemne. Głupstwo, wszystko głupstwo. Ludzie sami sobie stwarzają problemy niepotrzebne. Idę do łazienki.

Wtorek - 13 sierpnia

Listy, fura zleceń. Dobrze, że otwarłam sobie furtkę kredytową w banku. Dzisiaj wpadłam na pomysł i przeniosłam od razu resztę akcji do BGK. Powiedziałam im, że noszę się z zamiarem nabycia realności i w związku z tym uruchomię przypuszczalnie większy kredyt. Mogłabym dobrać do poprzednich sześćdziesięciu tysięcy dalsze sto. Całe dzisiejsze popołudnie załatwiałam rozmaite interesy zlecone z Montreux. Wypłacałam pieniądze różnym ludziom, przeważnie bez pokwitowania. Służyłam jako posłaniec. Dobrze przynajmniej, gdy się ma samochód.

Środa - 14 sierpnia

List z Paryża. Zawiadomienie, że w kościele St. Madeleine w Paryżu odbędzie się w dniu 15 sierpnia ślub pana Krymułta. Wysłałam długi telegram, załatwili mi również

telegraficznie polecenie doręczenia kwiatów w cenie pięciuset franków. Chyba nie zwał się do Warszawy w okresie mojej wycieczki. Ostatnio pisała Florencja, że przyszła pani „de Crymoult” ubrdała sobie podróż poślubną na Maderę. Głupi pomysł, ludzie gdy mają pieniądze, sami nie wiedzą, co robić.

Dzisiaj mam spokojny dzień. Nikt nie zapowiedział wizyty. Postanowiłam uporządkować sprawy finansowe. Zagłębiłam się w zestawienia panny Walczak i Zośki. Od czego zacząć? Chyba od Warszawy i lakierów. Właśnie w tych dniach przyszło zawiadomienie z Genewy o przekazie z Paryża.

Drobiazgowo wyliczenia, ja jednak w dalszym ciągu po swojemu. Drugi kwartał - gorszy od pierwszego, to było do przewidzenia, agenci zapchali naszych odbiorców. Tylko 249 tysięcy sprzedaży netto, po potrąceniu prowizji agentów.

We wrześniu napłyną chyba nowe pieniądze, jest o czym myśleć, zadłużenie w banku bardzo wysokie, prawie do połowy wartości magazynowych netto. Trzeci kwartał w tym roku zapowiada się lichy, podobno ledwie w wysokości połowy drugiego kwartału. Panna Walczak będzie zamawiać dopiero w połowie września. Oni przysyłają towar bardzo szybko, prawie odwrotnie. Ale w tym jest już głowa panny Beaty, *nomen omen*, niech się martwi. I tak jest wniebowzięta, ponieważ prowizja za pierwsze półrocze wyniosła dla niej prawie trzy tysiące. Ciekawa jestem, co porabia jej kupiecki wychowawca, stary Imroth. Pewnie zalewa go żółć, że nie zbańczyłam. Kiedyś mignął mi w „Ziemiańskiej”, uklonił się dość układnie, siedziałam w towarzystwie dwóch mundurów generalskich, pewnie dlatego.

Mam wrażenie, że moja firma ustali się najwyżej na poziomie stutysięcznego obrotu netto miesięcznie, wyżej nie wydołają francuskie lakiery. Ludzie i tak posiadają ograniczone możliwości używania lakierów. To nie jest jedzenie. Bracia Pakulscy są w szczęśliwszym położeniu. Zawsze uprzejmie rozmawiają ze mną, są poważnymi odbiorcami produktów ze Starej Wsi. Maksiu obarcza mnie nawet takimi sprawami, w ogóle cała rodzina uczyniła sobie ze mnie ostatnio jakiegoś agenta do różnych zleceń, nawet drobnych.

Inna, mądrzejsza ode mnie, rzuciłaby w kął wszystkie bloczki i cyfry - i brała pełnymi garściami z szuflady. Ale we mnie pokutuje w dalszym ciągu kupieckie dziecko, żyję z kredką w ręce. To na razie silniejsze ode mnie.

Święto Matki Boskiej

Namówiłam obu moich panów i wybraliśmy się samochodem na procesję do Łowicza. Nic nie mówili, w nagrodę zafundowałam im obiad u Dąbrowskiej, za który zresztą zapłacił pan Władysław. Zresztą mówimy sobie po imieniu. Ano - trudno, muszę pocieszać słomianego wdowca, przyrzekłam to żonie, która powiedziała mi przy pożegnaniu w Wiedniu:

- Lepiej ty, Anno, zabierz mu czas, przynajmniej nie będzie się łajdaczył z legionowym bractwem.

Zapytałam go dzisiaj, kiedy namyślą się z wypłacaniem mi prowizji, ale otrzymałam odpowiedź:

- Zaczekaj do końca hecy z Abisynią, do czego ci się tak śpieszy, dostaniesz wszystko od razu na samym końcu, gdy się skończy nasz umowny rok.

I gadaj tu z nimi. Zajlich jest solidniejszy w interesach, od razu mi przekazał.

Lubię śpiewy kościelne, łowicki folklor jest bardzo dekoracyjny. Podobno stroje łowickie projektował Michał Anioł? Co do reszty, to mocno utkwily mi w głowie słowa profesora Wydry, że nasza polska pobożność jest natury obrzędowej i uczuciowej. Obrzędowość trzyma nas przy katolicyzmie, a samą wiarę rozumiemy w sposób serdeczno-łzawy. Gdy rozmyślamy na te tematy, wrażliwość chwyta nas za gardło, a z oczu płyną dziecinne łzy. Według jego słów przespaliśmy w sposób sielsko-anielski różne rewolucje i w dalszym ciągu tkwimy w zacofaniu.

Wieczorem generał zaciągnął nas na kolację do „Bristolu”. Otoczyły nas różne niedobitki wakacyjne, które albo już wróciły z urlopu, albo trwają w niecierpliwym przededniu wyjazdu. Co chwilę ktoś podchodził. Profesor dotrzymał nam tempa. Krótco przed północą wróciliśmy do domu. Tylko tyle, ponieważ ziewam.

Sobota - 17 sierpnia

Sklepiłowi nic nie jestem winna. Panna Beata ze swej strony gromadziła fundusze i przekazała już do Paryża sierpniowe zadłużenie. Jak dotychczas, płacimy regularnie. Panna Walczak nie wierzyła w to, że zdołam zgromadzić gotówkę, i ze swej strony przycisnęła śrubkę inkasową. Zamówienia co prawda wpływają leniwo, lecz wpływają. Utarg w sklepie spadł do paruset złotych dziennie. Dzisiaj przy zamknięciu kasy stanęliśmy z czterystu złotymi gotówkami, na koncie bankowym prawie nic, a w PKO niewiele ponad dwa tysiące.

Oto jest również jeden z celów życia ludzkiego, w tym wypadku życia kupieckiego - ustawiczne związanie debetu z kredytem, któremu patronuje naturalny bożek nazwiskiem: Saldo. Inny równocześnie bożek nazwiskiem: Kredyt jest z natury rzeczy nieufny i widzi we wszystkich swoich wyznawcach złodziei. To właściwie bożek złodziei, skoro w ten sposób taksuje swoich wyznawców.

Jakoś wyprowadziłam moje lakiery z niewoli braku gotówki. Mogę jechać. Wszystkie moje długi - u Marcina.

W biurze marazm. Ci, którzy nie byli na wakacjach, czekają na tych, którzy jeszcze nie wrócili. Poza tym fala upałów uderza wszystkim do głowy i znajomi robią różne głupstwa. O tych głupstwach opowiadają znów inni znajomi i w ten sposób wszyscy mają trochę zajęcia.

Mój paszport uzyskał nowe przedłużenie na rok, i tym razem wpisano: do wszystkich krajów europejskich z wyjątkiem Rosji i Litwy. Bez ograniczenia wjazdów i wyjazdów, wielokrotny. Od poniedziałku pan Petras obejdzie konsulaty, on się na tym podobno dobrze wyznaje, wszędzie ma znajomków. Niemcy, Francja, Włochy, Austria i Szwajcaria, więcej chyba nie będzie potrzeba. Na wszelki wypadek - Hiszpania.

Niedziela - 19 sierpnia

A zatem od dziś za tydzień w Wiedniu. Matyldy nie zastanę, pojechała na kilka tygodni do San Remo. Wszędzie te same szlaki. Otrzymałam pocztówkę. Dziewczynki są na Śląsku w zamku Gütschowa.

Wąbrzeźno. Wstałam właśnie z łóżka i rozsiadłam się w fotelu. Od strony ulicy zawsze jest jakiś lepszy powiew wiatru, od podwórza duszno. Moja dawna sypialnia była lepsza, otwierałam drzwi do salonu i miałam dużo powietrza. Bardzo głupi jest zwyczaj urządzania sypialni w małych pokojkach od podwórza. No cóż? Sama tego pragnęłam przed rokiem. W willi „Acacia” jest lepiej, każdy z pokoi ma świeże powietrze. Dom prawie w ogrodzie, uliczki mało ruchliwe, prawie nie widać na nich przechodniów. Tu nie wynajmują pokoi przygodnym kuracjuszom - dzielnica ludzi zamożnych. W dodatku moc starych drzew.

Już przejrzałam notatki i rozgryzłam sprawy, którym na imię. Wąbrzeźno. Wszystko zgodnie z umówionym programem działania. Naturalnie kamienica w Grudziądzu - Zośki, moja natomiast - firmowa w Wąbrzeźnie. Różnica na moją niekorzyść, muszę dopłacić Zośce do tego interesu pięć tysięcy. Kochajmy się jak siostry, a rachujmy się jak - Żydówki. Ano trudno, jedźmy dalej, przeboleję. Willa w Wąbrzeźnie sprzedana za netto czterdzieści trzy tysiące. Nie zapominajmy i o tym, że na moim wąbrzeskim domu wisi trzydzieści tysięcy miejscowego bankczku po dziewięć i pół procent rocznie, odsetki zapłacone do końca czerwca bieżącego roku. W porządku, cacy.

Majątek naszej nowej firmy przedstawia się następująco. *Per* 1 lipca jako w dniu rozpoczęcia nowej działalności: kapitał zakładowy wpłacony na osobne konto - trzydzieści tysięcy, gotówka w kasie i w bankach - również okrągło dwadzieścia, zapas towarów według

dokładnego spisu, liczony po cenie zakupu netto - zł. 257 322,50 urzędzenia - 20 890,15, łącznie złotych 329 212,65.

Zgodnie z moim życzeniem wszyscy wierzyciele firmowi, to znaczy dostawcy i inni, zostali spłaceni przed dniem 30 czerwca, portfel dłużników ma być ściągnięty osobno, już poza firmą. Jest tego około sześćdziesięciu ośmiu tysięcy. W ten sposób firmowe nazwisko naszej rodziny, jako jawnej spółki kupieckiej, uregulowało wszystkie swoje zobowiązania do zera. To należało się kupieckiej pamięci naszego ojca, Benona Jambora. Przyszły „Wąbrzeski Dom Towarowy” rozpocznie od stycznia 1936 roku swoją nową działalność już bez dodatku: „dawniej spadkobiercy Benona Jambora” oraz w dobrych warunkach całkowicie uporządkowanych finansów. Podobnie do ostatniego grudnia spłacimy wszystkie przyszłe zadłużenia. Nowy styl pracy.

Magazyn został wyczyszczony z niemodnych i starych materiałów. Ponadto każda z nas zabrała sobie podobne materiały wartości pięciu tysięcy złotych, do Warszawy dotarły już paczki z tymi materiałami. Nic nie mówiłam i nie zabierałam stanowiska w tej sprawie. Niech na razie leżą, przydadzą się, częściowo dla mnie, częściowo na różne prezenty, nie będę przecież zajmować się kupowaniem. Zośka traktuje mnie w taki sposób jak sama siebie. Nie warto otwierać ust, od razu mogłaby wyniknąć obraza z powodu jakiejś głupiej rzeczy.

Od 1 lipca wąbrzeskie bławaty są prowadzone czysto, wszystko na bloczki, każdy drobiazg jest osobno wyceniony, kartoteka według wzoru firmy „Sol” w Warszawie. Pokazowe dzieło prowadzenia firmy kupieckiej. Naturalnie zmniejszy się nam w ten sposób czysty zysk, ale w nagrodę będę mogła spać spokojnie. Najważniejsze, że w styczniu zniknie nasze nazwisko z szyldu nad składem z bławatami. Rozdział z siostrą został dokonany.

Moja poznańska kamienica po odliczeniu zadłużenia wobec Marcina reprezentuje mizerną wartość niecałych czterdziestu tysięcy, no i właściwie koniec na tym. Dziesięć tysięcy mojego udziału w śrubkach, trzy tysiące u pani Kalatowej, dwanaście u szwagra, dziesięć w poznańskim banku - z dziadkowego legatu. Co do mnie, to więcej wierzę właśnie tej pani Kalatowej, że odda, niż siostrze i szwagrowi. Zrobię nawet eksperyment. Po powrocie do Warszawy spróbuję napisać do niej, że mi potrzeba trochę gotówki. Będzie to próba *in anima vili*, jak to określiła w swojej powieści Rodziewiczówna. Zobaczymy. Zośka w te swoje urzędzenia i ostatnio w automaty włożyła sporo pieniędzy, w dodatku przy swojej nienasyconej namiętności do robienia interesów...

O klarowności naszych wspólnych stosunków pieniężnych z Zośką nie warto wspominać. Wyobrażam sobie, że one tylko w połowie były rzetelne, gdyż Zośka już za życia naszego ojca kantowała. Ale krzyżyk na tym, szkoda zdrowia, i tak dobrze, że ostatecznie prawie się rozliczyliśmy, może i gorzej dla mnie, ale przynajmniej w wyraźnych nareszcie cyfrach. Obecnie już prosta historia, w odpowiednim momencie upchnę moją gotówkę w bławatach, i... będzie koniec. A zatem jakieś trzysta pięćdziesiąt tysięcy w Wąbrzeźnie i dalsze siedemdziesiąt w Poznaniu, Grudziądzu i na kresach, oraz trudna do ustalenia wartość moich lakierów. Powiedzmy, razem: pół miliona złotych.

W Paryżu mam około siedemnastu tysięcy dolarów, w Genewie wartości pięćdziesięciu trzech, tysięcy szwajcarskich franków, tutaj na miejscu są mi winni prowizję za moje sprawy abi-syńskie. Nieźle; ale daleko jeszcze do pierwszego miliona.

Mogłabym spokojnie wyjechać z tym za granicę, nie utonąłabym. Nie mam na myśli naturalnie tego tak obecnie obmawiane-go statku „Piłsudski”, ponieważ takie statki nie toną, zwłaszcza podczas przybrzeżnego spacerku. Jakoś mi idzie. Ktoś dzwoni, nie podniosę słuchawki. Jestem sama w mieszkaniu, służbie dałam wychodne. Pewnie jacyś naiwni, w sierpniu montują się również słomiane brydże. Nie jestem głupia. Tylko tyle, że zamknę bloczek i umieszczę się wygodnie z powrotem w łóżku.

Trzy lata kręcenia się między ludźmi. Zrobienie majątku przyszło naszemu ojcu zapewne z większym trudem. Musiał zbierać codziennie po kilka marek. Do tego trzeba było cierpliwości i czasu.

Ale na tym koniec. Głowę mam skołowaną, nie stać mnie dzisiaj na jakieś rozważania.

Cieszę się, że jadę. Ciekawe, jak będzie wyglądać taka podróż. Podobno ponad siedmiuset pasażerów, razem z załogą prawie tysiąc osób, nieomal jakieś małe miasteczko. Chyba nowe - wesołe miasteczko? Później „Piłsudski” ma pływać stale pomiędzy Gdynią a Nowym Jorkiem. W lecie będą urządzać wycieczki.

Poniedziałek - 19 sierpnia

Wieczorem. Pracowity dzień. W jakiś kwadrans po przyjściu do biura wezwał mnie dyrektor i trzymał u siebie dobrą godzinę. Słodzutki jak lukrecja. Nagle uprzejmy. Zaczął od tego, że właściwie mogłabym wziąć urlop od pierwszego września, na cały miesiąc, a te „kilka dni do pierwszego” potraktować oddzielnie, przecież oddałam im takie usługi w... Gdańsku. Podobno pracowałam za dwie siły, jako radca i dodatkowo jako stenograf i tłumacz. Nagle to odkryli. Powoli wyjaśniło się wszystko.

Właśnie wczoraj po południu mój dyrektor został zaproszony na Mokotów, gdzie słomiany wdowiec urządził coś w rodzaju przyjęcia wyłącznie dla panów. Widocznie kogoś do czegoś potrzebował i zorganizował pijaństwo. Był również nasz minister, grali w brydża przy jednym stoliku i stąd poszły pogaduszki o podróży na „Piłsudskim”. Rzecz jasna, że wplątali w to moje nazwisko. Na początku mówiłam, że jeszcze nie wiem, czy pojedę, ponieważ akurat mam... ważniejsze sprawy do załatwienia. Próbowałam czarować dyplomowym egzaminem prawniczym, ale jakoś nie wypadło, czułam, że mój szef zaśmiewał się po cichu z moich opowiastek. Widocznie wszystko razem z moim imiennym przyjęciem podobało mu się, słyszał zapewne na Mokotowie o projektach jesiennych przyjęć u mnie i stąd te wszystkie bajerowania. Po wakacjach będę go miała u siebie z wizytą, gdy rodzinka wróci znad morza.

Na końcu spoważniał i zapytał - prosto z kantu - skąd wiedziałam o mającym nastąpić podpisaniu umowy wcześniej niż oni. Trochę mnie zatkało, nie straciłam jednak rezonu i żartobliwie wyjaśniłam, że to był z mojej strony taki sobie bluff. Ale powiedziałam to bez przekonania. Nic nie mówiąc, jedynie naśladując mnie, przymrużył oczy. Co będzie dalej - zobaczymy.

W dwie godziny później generał wyciągnął mnie do „Europy” i sondował również o Gdańsk. Łgałam w dalszym ciągu. Udawał zaintrygowanego, gdyż mówiłam dyrektorowi, że jeszcze nie wiadomo, czy pojedę na wycieczkę. Może chodziło mu również o to, abym nie naskarzyła żonie i milczała o wczorajszej bibce, ale wyśmiałam go za taki pomysł i powiedziałam, że jestem businessmanem, a nie jakąś babą. Dopytywałam się, czy już zdecydowali się na wypłacenie mi w Warszawie w złotych, czy też wypłacą mi za granicą w dolarach? Śmiał się i na tym się skończyło. Zaciągnął mnie nawet do kwaciarni i kupił mi dziesięć róż.

W domu zastałam kilka listów. Awiz banku o przekazaniu na moje konto piętnastu tysięcy z Grudziądza. Widocznie niepotrzebnie posądzałam moją Zośkę. *Mea culpa*. Równocześnie karteczka z poczty, żebym się zgłosiła po odbiór sześciuset złotych. Listonosz nie chciał wypłacić Lizie. Odebrałam po południu, po drodze do sklepiku. Drugie miłe rozczarowanie tego samego dnia. Pani Kalatowa z Czarza pod Chełmnem. Na odcinku sumitowanie się, że nie mogła wcześniej dać znać, ale stale myśli o mnie, i tak dalej. Że prosi Pana Boga o zdrowie dla mnie. Zaczynam wierzyć, że na pewno odda. Lepsza jest ta obca kobieta od mego szwagra.

List od Heinricha i Anny. Niedziela na wsi w Hermsdorfie. Wspólna fotografia na tle ruin naszego Jamsborga. Młodej parze patronowała podczas zdjęcia ciotka Maria Luiza.

Również i od niej dopisek. Z nawiązaniem pozdrowień do rodzinnego gniazda naszych przodków.

List z Gdańska, stryjek przyjeżdża do Warszawy w piątek rano. Wspólny list z Marienbadu, datowany z piątku. Jadą na tydzień do Wiednia, adres na ulicę Flory. Już się spiknęły. Miałam zamiar zachować Matyldę wyłącznie dla siebie i masz babo placek. Dobrze przynajmniej, że to będzie w jej nieobecności. Naturalnie moc zleceń dla Mokotowa i do Starej Wsi - na osobnych karteczkach. Mam zabrać dodatkowe toboły, szczegółowe spisy.

Wtorek - 20 sierpnia

List od Zośki. Z likwidacji wpłynęły dalsze czterdzieści trzy tysiące, posyła mi na razie piętnaście. To już wiem, gdyż mam. Co do reszty, to na razie milczy, bez komentarzy, zobaczę. Przechwalałam.

Krawcowa przysłała mi trzy letnie kostiumy. Z chesucy - w stylu angielskim, oraz dwa bez podszewki, płócienne, biały i bładoniebieski. Pojutrze przyślą mi jeszcze biały wełniany płaszcz, bardzo oryginalny w kroju. Naturalnie z „Goussain”, drogo, lecz dlaczego miałabym sobie żałować. Pieniądzy nie zabiorę do grobu. Lepiej łamać sobie głowę nad zdobywaniem pieniędzy niż nad sprawianiem strojów. Coś w rodzaju półparadoksu, lecz to bardzo istotne.

Poza tym ganiem. Przewróciłam już wszystkie szafy na Mokotowie w poszukiwaniu różnych fatalaszków. Jest tam tego niemało. Starą Wieś zawiadomiłam.

Czwartek - 22 sierpnia

Wszyscy mówią tylko o statku. Zazdroszczą tym, którzy jadą. Ganiem. W biurze na korytarzu spotkałam się z naszym wiceministrem, rozmawialiśmy kilka minut, życzył nam przyjemnej podróży, ucałowanie rączek dla obu pań. Również wie wszystko. Oszałeli z tym statkiem. Biorę trzy walizy, na drogę ubieram się, jak przystało na podróżniczkę, w mój skórzany płaszcz pamiętający Pireneje. Na usprawiedliwienie - tylko dwie walizy moje, trzecia naszych pań. Naturalnie neseser i dwie torby skórzane. Mój biały płaszcz jest śliczny. Dzisiaj kupiłam sobie sweter w kolorze czerwonym, w odcieniu trudnym do określenia, ale jest mi w nim do twarzy. Zachowuję się jak młoda pensjonarka. Widocznie ludziom nowości i wrażenia są potrzebne do zachowania młodości. Zwłaszcza kobietom. Prawda, że i ja czasami odkrywam w sobie kobietę. Śmieszne, cóż robić jednak, skoro tak jest.

Piątek - 23 sierpnia

Strykiem cieszyłam się tylko kilka godzin. Przyjechał wczesnym rankiem, rozmawialiśmy dwie godziny przed moim wyjściem do biura, a później jeszcze małą godzinkę w kawiarni. W południe stryjek zabrał mi samochód z panem Petrasem i pojechał w stronę lasów starosty Tuchołki. Jest prawie zły, mówi, że w Gdańsku niby robi się obecnie duże pieniądze, ale nic się z nich nie ma. Na razie nie zrozumiałam tego powiedzenia, dopiero później, gdy się dobrze namyśliłam. Stryjek nie może przeboleć sprawy z firmą Brock, mówi, że to mu popsulo interesy w Londynie. Rozumiem doskonale. Takie kupno to lepiej wcale nie kupować lub nawet zapłacić za to, aby nie kupić. Powiedział otwarcie, że to wyłazi mu gardłem i że najlepiej zrobił Fryderyk Garden, bo się w porę wyniósł w lepsze strony. Gdy się przymówiłam, że i on może zrobić to samo, spojrzał na mnie boleśnie i powiedział:

- Owszem, wyjechać zawsze można, lecz w jaki sposób tak od razu przerzucić majątek na tamtą stronę? Jak ty sobie, Anno, to wyobrażasz?

A jednak? W interesach już zapadły decyzje. Stryjek był, jak się okazało, w tym czasie w Montreux i rozmówił się z bratem. To sprawa sprzed kilku dni. W jesieni opróżnią parterowe mieszkanie przy ulicy Hortensji, bezpośrednio pod mieszkaniem Marcina, i dokonają różnych przeróbek.

Stryjek mówił, że cały interes będzie skończony najdalej za miesiąc. Pierwszego września wyprowadza się lokator z parteru, dają mu inne mieszkanie, według jego wyboru. Doszli z nim do porozumienia. I wszystko działo się z pominięciem mnie. Poza moimi plecami, jak zwykle, gdy stryjkowie robią jakieś chirurgiczne posunięcia.

W tym nowym lokalu założą również kaloryfery. Zostanie otwarte w nim biuro nowej spółki drzewnej. Gdy zapytywałam stryjka o mój udział w tym przedsiębiorstwie, odpowiedział śmiejąc się, czy mi jest gwałtem potrzebna trzecia branża kupiecka, a później już trochę poważniej zapytał, czy mam pod ręką sto tysięcy złotych, aby wpłacić udział. Tym razem ja spoważniałam i kładąc rękę na ręce stryjka spoczywającej na brzegu kawiarnianego stolika, odpowiedziałam:

- Mam nawet trochę więcej, powiedzmy dwakroć, a może nawet pół miliona, w dodatku za granicą i w porządnej walucie.

Po raz pierwszy w życiu zaimponowałam gdańskiemu stryjkowi. Nie wierzył początkowo, ale przypomniałam mu ostatni przekaz tysiąca dolarów z Paryża i wówczas w połowie uwierzył. Rozmowa po raz pierwszy w życiu nabrała powagi i stryjek zaczął dopytywać się, czy biorę udział w obecnych interesach Marcina. Nie puściłam, rzecz prosta, farby i jedynie oględnie informowałam, że mam głowę na karku i że interesy Marcina nie są jedynymi, które można rozkręcać. Powiedziałam ogólnie, że otarłam się o kilka większych interesów, częściowo nawet na miejscu w Warszawie, i na tym skończyły się wyjaśnienia z mej strony.

Wydaje mi się, że wejść do warszawskiego drzewa. To byłoby solidniejsze od wszystkich bławatów i lakierów. Drewno - to interes międzynarodowy.

Szkoda, że nie można utrwalić wszystkich szczegółów mojej rozmowy ze strykiem Józefem. Dowiedziałam się, że Krystyn pisał niedawno do Gdańska, iż powodzi mu się i w najbliższym czasie przystąpi do organizowania wielkiego interesu na własną rękę. Podobno jest u źródła dobrego businessu. Głupi. Elfryda to na pewno jakieś dwa miliony guldenów, pół miliona dolarów, a może i więcej. Ale trudno, nasz brat był zawsze przemądrzały. W dodatku Elfryda została od dziecka wychowana na żonę dla kupca i przemysłowca. Ale na głupotę nie ma lekarstwa.

Już jestem całkowicie przygotowana do podróży. Napisałam nawet nowy list adresowany do Marcina oraz list do banku, oba stwierdzające, że zastawione papiery są własnością Marcina Jambora w Montreux. W liście do Marcina przyznałam dług sto dwadzieścia tysięcy złotych. Zalakowaną kopertę zamknęłam do skrytki w szafie. Statek może zatonać, wyjeżdżamy w złym roku, nomen omen. Statku byłaby szkoda, ponieważ podobno jest imponujący, nasi jeździli już go oglądać. Natomiast Anna może ostatecznie znalazłaby sobie jakiś mały i cichy kącik w niebie.

W domu także wszystko pozałatwiałam. Profesorowi zostawiłam tradycyjne dziesięć tysięcy i rząd nad całością domu i wszystkiego. Pannie Walczak wskazałam generała z adresem telefonicznym jako komendanta rodzinnej straży ogniowej, jego również o tym zawiadomiłam.

Jutro o piątej po południu urządzam coś w rodzaju pożegnalnego przyjęcia, sprosiłam kilkanaście osób na jakiś jak gdyby późny obiad. Klucze od piwnicy z trunkami zostawię w rękach profesora. Skoro ma tyle orderów, słusznie przynależą mu takie klucze. Był podobno gdzieś jakimś szambelanem. Wystarali mu się nawet o szlachectwo, ale jakoś z tym nie wyjeżdża. Mówił mi Marcin. Podobno ci książęta hescy byli kolosalnie bogaci. Idę spać. Jutro o tym czasie będę spała już w sleepingu. Jeszcze jedno: przecież to właśnie hescy książęta sprzedawali swoich poddanych do wojsk angielskich w Ameryce. Ależ tak!

Sobota - 24 sierpnia

Przynieśli mi do biura ekspresowy list pani Woznikowej z Rabki. Mała zdrowa. Pani Woźnikowa nareszcie zmądrzała. Kilka bitych stroniczek. Namówili ją. Ma na widoku wydzierżawienie na trzy lata jakiegoś małego pensjonatu w Rabce. Dziesięć pokoi, oprócz dwupokojowego mieszkania po dotychczasowej dzierżawczyni. Chce zrobić ten interes do spółki z jakąś wdową po profesorze gimnazjalnym z Krakowa. Trzeba podpisać kontrakt najmu willi na trzy lata, komorne cztery tysiące osiemset rocznie, interes do objęcia od listopada, zapłata z góry za rok. Prosi o dwa tysiące, obie z profesorową wyobrażają sobie, że skleca resztę, to znaczy umeblowanie i pościel, własnymi siłami i trochę na kredyt u kupców.

Powietrze tam jest dobre. Pani Woźnikowa pisze, że niedaleko do szkoły. Sezon trwa prawie cały rok, z wyjątkiem listopada i kwietnia. Zgoda. Zgoda.

Napisałam już równie długi list. Dałam rady, na jakie mogłam się zdobyć. Z góry przyrzekłam, że pomyślę również o reszcie. Radziłam, aby mała nie wracała już do Grudziądza. Szkoda, że wyjeżdżam akurat dzisiaj. Pojechałabym na miejsce i doglądnęłabym wszystkiego. Bardzo się cieszę. Teraz lecę do banku, żeby przekazali trzy tysiące, jeszcze dzisiaj, telegraficznie. Chyba zdążę?

Wróciłam do biura, załatwiłam wszystko. List wysłałam jako ekspresowy i polecony. Naprawdę się cieszę. To jest po mojej myśli. Ostatnio prawie nie myślałam o małej Marcie. Utonęłam w cyfrach i podróżach. Byle dobrze załatwiły te panie. Ciekawa jestem, jak wygląda ta profesorowa z Krakowa? Byle tylko nie jakaś wydra. Ale pani Woźnikowa nie wygląda na taką, której mógłby zaimponować jakiś niebieski ptak w spódnicy. To chyba już moje ostatnie kreski przed wyjazdem.

Katowice - niedziela - 25 sierpnia

Siedzę w kawiarni hotelu „Monopol” i przyglądam się, jak sala nasiąka moimi przyszlými towarzyszami podróży. Trudno byłoby się omylić, na wszystkich twarzach jest wypisana „wycieczka na Piłsudskim”. Moja współpartnerka z przedziału sypialnego opuściła mnie. Oczekiwał ją samochód, ma wrócić tuż przed odjazdem naszego pociągu. Owszem, elegancka, dla mnie nawet zbyt... W każdym razie luksusowa kobieta, powiedzmy - ze znanego towarzystwa warszawskiego. Po wielokroć spotykałam ją. Na każdym kroku, w „Europie”, kilka razy w „Bristolu”. Mówi, że zna wszystkich, mam na myśli różnych naszych znajomych z Mokotowa. Owszem, nazwisko jest mi znane ze słyszenia. Żona adwokata, który nieźle zarabia. Reszty dowiem się w Wiedniu. Zaspokoję moją ciekawość. Na razie bez wylewności, powiedziałam krótko, że pracuję w ministerstwie, nie wymieniłam nawet, w którym. Tyle sparzyłam się już na różnych znajomościach. Z lekka mnie sondowała. Ale w pewnym momencie udałam, że zasypiam, i na razie urwało się. Nie mogę przypomnieć sobie, co mówiono o tej damie w naszym towarzystwie, ale w każdym razie nic zachęcającego, tak mi się wydaje. Ale takich historii słyszy się więcej, trudno zatem...

Tak sobie piszę i kołuję, a tymczasem myślę tylko o wujku Kowalskim z Grudziądza. Zjawił się u mnie prawie w ostatniej chwili przed wyjazdem, godzinę przed rozpoczęciem mojego przyjęcia z racji wycieczki. Zatkanął mi to przyjęcie, nie tyle swoją osobą, co wiadomościami. Że tak się kiedyś skończy, to wiedziałam. Ale nie spodziewałam się tego tak rychło i to jeszcze w takiej formie.

Ale - kogo ja widzę? Wujcio Benedykt rozgląda się po sali. Ucharakteryzowany na Anglika. Bohater z powieści Juliusza Verne. Podróż naokoło świata w osiemdziesięciu dniach. Za nim kolejowy tragarz taszczy jakieś neseserki. Rozgląda się. Aha. Spozstrzegł mnie. Kłania się z uśmiechem.

Wiedeń - wieczorem

Nocujemy tym razem u Eibenschutzów. Stryjek przywiózł Zosię, panie są w Baden. Właściwie Zosia to tylko dodatek, stryjek przyjechał dla mnie, jak mówi. Może ma rację?

Dobrze. Wyjaśniło się wiele rzeczy. Do Triestu jadę w przedziale z Zosią. Pozycja pani Ireny z warszawskiego przedziału również wyjaśniona. Na dworcu przywitano się nawet z naszymi paniami i tradycyjne pocałunki w powietrzu. Ale w pół godziny później krótkie opowiadanie, kto zacz. Ciekawy jest ten świat. Dopóki ktoś naprawdę nie złamie obu nóg, wszyscy go obcałowują. Warto pokrótce zapisać. Właściwie myślę o reprimendzie, jaką mi sprawił stryjek. W połowie tylko zasłużona, ale może ma rację.

Rozpraszam się, a zatem po kolei:

Wujcio Benedykt w charakterze niespodzianki. Dowiedział się w Starej Wsi o naszej zamierzonej ekskursji i od razu pogrzmiał do Warszawy. Nikomu nie przyznał się do kupna biletu na statek i chciał zrobić z tego fajerwerk, jak mały chłopczyk, który chodzi jeszcze w krótkich spodenkach. A kuku. W każdym razie to bardzo miło z jego strony. Państwo Orzechowscy wybierają się na wrzesień do Montecatini, starym szlakiem.

Mecenasowa jest heroiną słynnej hecy sądowej. Już po wyjściu za mąż wystąpił z pretensjami jakiś przedślubny opiekun jej kobiecych wdzięków i postawił przed sądem sprawę zwrotu poniesionych na nią wydatków. Było niemało śmiechu, ale sprawę adwokaci jakoś zawachlowali. Ładny kwiatek.

Wujek Kowalski definitywnie rozszedł się ze swoją żoną. Niedawno temu sprawa doszła do „flagrantów”, sytuacja była bardzo kłopotliwa. Z byle kim, to znaczy z nowo przyjętym subjektem sklepowym. Młodość, uroda i bycze zdrowie - *contra* pięćdziesiąt pięć lat Jana Kowalskiego z brzuszkiem. O szczegóły trudno było wypytywać. Scena w rodzaju szekspirowskim, gdyby dramaturg był dożył XX wieku. Dwóch świadków z miejscowego biura detektywów „Oko”, spisanie na miejscu czegoś w rodzaju zeznania. Przestrasch Julci w pierwszej chwili, lecz później, po ochłonięciu i poradzeniu się adwokatów postawienie twardych warunków. Powiedziała podobno:

- Co mnie tam, tobie, stary dziadu, więcej zależy na uniknięciu kompromitacji niż mnie.

Ostatecznie już po tygodniu była zgoda na szybki rozwód za cenę stu dwudziestu tysięcy złotych, płatnych natychmiast po uprawomocnieniu się wyroku. Honorowe załatwienie dla rogowca. Tymczasem Julcia na swobodzie, w oczekiwaniu na przyszłe pieniądze, i do tego czasu po tysiąc złotych alimentów miesięcznie. Kupa tych większych pieniędzy znajduje się już w depozycie u jakiegoś wspólnego rozjemcy, potraktowana jako wstęp do właściwej sprawy rozwodowej.

Wujek zdecydowany jest na opuszczenie Grudziądza, czemu się nie dziwię. Sama propozycja, przynajmniej, zaskoczyła mnie. Właściwie wysunęła ją Zośka, której wujek zwierzył się ze swych perypetii życiowych w pierwszej kolejności. Całe szczęście, że dzięki zręczności stryjka i adwokatów sprawa nie stała się łupem grudziądzkich plotek. Otóż stryjek chce kupić od nas firmę bławatną i rozszerzyć ją o dział obuwia, do czego przywykł. Wyobraża sobie, że zamienimy się na kamienice, jego większa i droższa, wyrównanie w obliczeniu. Mam zdecydować się do końca września. Kowalskiemu się śpieszy, mówi, że nie może patrzeć na Grudziądz. Ma już kupca na swój sklep. Tyle, ale równocześnie - jakże wiele.

Obecnie pozostaje najtrudniejsza sprawa do zanotowania. Stryjek Marcin trochę z wymówkami, że w taki niezręczny, według niego, sposób zastawiłam w BGK jego papiery wartościowe. Podobno trzeba było raczej sprzedać anonimowo na giełdzie odpowiednią ilość, a później częściowo nabywać z powrotem podobne walory. Może ma rację. Zastaw większego pakietu akcji to zawsze zrobienie pewnego szumu koło swego nazwiska, a urzędnicy bankowi bynajmniej nie są dyskretni. Takie posunięcia mogą dojść do wiadomości władz skarbowych, które wszędzie węszą w celu nałożenia dodatkowych obciążeń. Nie należy zostawiać za sobą śladów. Anonimowe transakcje. Mam po powrocie natychmiast wykupić zastaw i akcje sprzedać. Jakoś pójdzie, ponieważ stryjek ma popchnąć Mokotów, aby wypłacili mi bieżąco te umówione ćwierć procent. Cyfra posunęła się w górę, nabierało się już ponad siedemdziesiąt tysięcy. Nie mam ochoty notować szczegółów interesu, o

których Marcin opowiedział mi tym razem nieco hojniej. Mam wrażenie, że stryjek nie jest zadowolony z tego, iż odruchowo udałam się z Zajliczem na Mokotów. Widocznie należało pominąć tę prostą drogę i bezpośrednio wziąć do ręki słuchawkę telefonu do Montreux. Stało się. Nieustannie uczę się. W interesach nie ma sentymentów. Ale z drugiej strony Mokotów mógł zrobić interes z pominięciem Montreux - w ogonie prezesa Katelbacha? Widocznie dogadali się, ponieważ Mokotów nie był pewny mojego milczenia wobec Marcina. Mam naukę, o Zajliczu woda w ustach. Raczej kiedyś zrobię z nim jakiś interes wyłącznie na cztery ręce, wiem już, gdzie w Warszawie i z kim... W każdym razie Marcin wymyślał odnośnie akcji, ale uczynił to z wdziękiem. Chodziło mu raczej o sam bank, oni tam nie są dobrze z Bankiem Gospodarstwa Krajowego, który nie ma sympatii za granicą. Marcin twierdzi, że to nie jest kontrahent dla niego, mają coś z sobą na pieńku i zrozumiałam, że są to stare genewskie sprawy z czasów polskich pożyczek w Ameryce.

Warszawskie drewno - naturalnie jako spółka akcyjna, na razie z kapitałem jednego miliona złotych. W tym pięćdziesiąt akcji po dziesięć tysięcy, trzysta akcji po tysiąc, a reszta po pięćset złotych. Kapitał włożyli: Marcin i Józef po dwieście, stary Dubów i przyrodni brat żony Fryderyka Gardena z Londynu, również Garden, po sto, generał i ja po pięćdziesiąt, sto tysięcy rozmaicie - wyobrażam sobie, że prezenty, a dwieście tysięcy rozebrane przez banki. Ciekawy podział.

Odwrotna strona tego interesu w Londynie. Podobno z małym kapitałem dwudziestu tysięcy funtów szterlingów. Dla mnie tylko jeden tysiąc, Marcin ma płacić za mnie do rozliczenia. W pierwszej chwili chciałam się popisać, ale w porę ugryzłam się w język. Stryk Józef zatrzyma dla siebie sprawę tysiąca dolarów, on nie jest papugą, zresztą prosiłam go o to.

Wszystko rozumiem doskonale. Nie potrzeba mi było wskazywać palcem. Marcin mówił zresztą trochę z ironią o tej londyńskiej firmie do sprzedaży drewna na tamtejszym rynku. Rozumiem, o co chodzi, pospolite sprawy, ale w moich oczach kładka do przerzucania kapitałów z Gdańska do Warszawy, a z Warszawy do Londynu. Zawsze będzie można manewrować według potrzeby.

Marcin przyjechał do Wiednia po to, aby mnie pouczyć, co komu i w jakiej formie gadać. Nawet z Matyldą ostrożnie, pomimo że to przemiała kobieta, według określenia stryjka. Właściwie należałoby założyć sobie kartotekę i notować w niej wszystko, czego się człowiek dowiaduje po drodze. Obracanie się pomiędzy ludźmi nie jest łatwe.

Co do sprawy Julci, Marcin śmiał się jak młody student. Liczył na palcach, ile wujka Kowalskiego kosztowało to małżeństwo z podzieleniem na miesiące. W istocie Julcia jako kochanka kosztowała grubo mniej. Później spoważniał i radził, aby za gołą firmę kupiecką domagać się najmniej stu tysięcy. Zobaczymy, co z tego wypadnie. Przypominał, abym nie dała się oszukać na grudziądzkiej kamienicy. Doradzał kupno placu gdzieś na Grochowie za Wisłą i wybudowanie na przykład dwóch kamienic trzypiętrowych, po dwa mieszkania trzypokojowe z kuchniami na każdym piętrze. Domy raczej niemasywne, gdzieś na pograniczu z dobrocią. Byle przypilnować budowniczego. Ciekawe rady. Stryjek zapalił się i gadał. Ja słuchałam. Rozłączyła nas dopiero godzina pierwsza w nocy. Obecnie jest już po drugiej, ale wyspałam się w pociągu.

Podczas wycieczki postanowiłam oderwać się całkowicie od cyfr. Należy mi się taki odpoczynek. W drodze do Wiednia wujcio Benedykt w pewnym momencie chrapnął, a ja zrobiłam sobie na karteczce program moich czynności we wrześniu. Z dnia na dzień mam coś do załatwienia Gdynia - Warszawa - Lwów - Rabka - Warszawa - Poznań - Warszawa - Poznań - Berlin - Hermsdorf - Warszawa. Mąci mi się w głowie. Egzamin chyba dopiero w grudniu? Znowu trzeba będzie prosić o przełożenie terminu, tego nie lubię. Prędkiej nie zdążę.

Swoją drogą, gdy sobie przypomnę, że kiedyś na kartkach moich bloczków rozmawiałam z sobą i zastanawiałam się, co by było, gdybym kropnęła się za takiego

starszego pana. Przecież takie myśli chodziły mi po głowie. Stary doktor Michalski i oto taki, w angielskie kraty wytwornie ubrany pan Benedykt Szczytnicki. Śmiech na sali.

Wtorek - 27 sierpnia

- *There is nothing travelling.* - *It is to be hoped.* - Powitanie wypowiedziane w wagonie restauracyjnym przez pana Liteńskiego dwojga imion i dwóch herbów i moja krótka odpowiedź. Notuję tylko tyle. Na razie. Ponieważ zaraz po przyjeździe do Wenecji ganił nas dobre kilka godzin, a później jakby wiejską trzódkę przygnali z powrotem na statek. Syrena gwizdnęła przeciągle, jakoś żałośnie, i w pół godziny później huśtaliśmy się już na pełnym morzu. Kawałek lądu dopiero pojutrze rano w Palermo. Już ja widzę, co będzie. Będziemy oglądać wszystko dokładnie, jak neofici kościół po raz pierwszy.

Nasze pomieszczenia są bardzo malutkie. Całe szczęście, że obie kajuty z zewnętrznymi oknami, trochę powiewu od morza, bo na ogół duszno. Jeszcze nie zdążyłam zwiedzić statku. Trudno nawet zorientować się od razu. Trzy pokłady, ale jeszcze jakieś dodatkowe luksusy na dwóch górnych pokładach. My we dwie z Zosią na samym dole, całe szczęście, że winda funkcjonuje. Pokład C, kabina 425. Nasze starsze panie dwa piętra wyżej, pokład A, kabina 218. Mała różnica w cenie miejsc od osoby, 680. i 780 złotych. Wujcio Benedykt ma okazałą kabinę, pojedynczą, na pokładzie spacerowym, podobno z natryskiem do wyłącznego użytku. Pan Franciszek Józef również głęboko na dole, niedaleko nas. Zdecydował się bardzo późno i ma dwóch przygodnych partnerów. Kręci nosem, ale twierdzi, że w kajucie śpi się tylko kilka godzin albo nawet nie śpi się wcale. Już dzisiaj montował partię brydża. Bohater. Niestrudzony. Wszyscy odmówiliśmy, ale niedługo trwało i od razu znalazł partnerów, łącznie z kibicami.

Po kolacji byliśmy w barze. Nie wiadomo po co, ponieważ dają jeść i pić aż do obżarstwa. Mecenasową oglądałam tylko z daleka, posadzili ją na drugim końcu jadalni. W towarzystwie. Dwie panie i dwóch panów. My mamy dwa stoliki. Naszych dwóch panów i jakaś para ze wsi. Przypadkowi partnerzy, tak wypadło z przydziału. Na razie sztywno. Z rezerwą. Zawsze tak bywa, gdy nie znani sobie obwąchują się przy pomocy ukradkowych spojrzeń i zdawkowo rzucanych pytań i odpowiedzi. Bądź co bądź trzeba będzie z nimi przesiedzieć razem przy stole do końca podróży, dobre dwa tygodnie. W każdym razie oboje są porządnie ubrani, z widelcem i nożem zadowolająco. Ujdzie. Oni na pewno obgadują nas w sposób identyczny.

Zosię bardzo lubię. Wychowała się przecież „na moich oczach”. Bardzo miła, ułożona, cóż, kiedy chrapie. Leży na wznak, ma usta otwarte i chrapie. Jeszcze gorzej niż ciotka Leokadia.

Statek dość silnie kołysze. Wieje jakiś złośliwy wiaterek. Gdy spacerowaliśmy po kolacji, kilku osobom przydarzyło się... Kto wie, co będzie z nami, nie mówię hop, dopóki nie wytrwam bohatersko bodaj przez kilka pierwszych dni. Tutaj drobiazg, ale gorzej będzie w Zatoce Biskajskiej. Już nas straszili bywalcy morsecy. Zobaczymy.

W każdym razie dobrze, że w Grudziądzu spoczywa u notariusza mój testament na rzecz Marty. Moje rodzeństwo - mam na myśli to z nazwiska - nic nie warto. Właściwie jestem sama na świecie. Taka sobie samotna gwiazda. Głupstwa piszę.

Swoją drogą na wypadek paniki niewiele osób wyratowałoby się z tego włoskiego pudła, mimo że jest nowiutkie. Sporo łodzi ratunkowych, ale dostanie się do tych łodzi byłoby problemem. Podobno okręty nie toną tak szybko, ale swoją drogą... Awaria, rozerwanie się kotła, wybuch, panika, może do tego jakaś ciemna noc i koniec z tobą, Anno.

Środa - 28 sierpnia

Morze uspokoiło się. Nie sądziłam, że tak łatwo wkręcimy się w styl życia na statku. Podróżni dodają sobie fasonu. Każdy spogląda dumnie i nosi się z miną hiszpańskiego

granda. U pokładowej fryzjerki tłumy bab. Wszystkie spragnione są nowych fryzur i nowych chłopów. Mężczyźni obnoszą po deskach pokładu spacerowego swoje kogucie grzebienie. Bubki i kociaki ciągną przez celofanowe słomki różne barowe paskudztwa. Wszyscy udają wielkich podróżników, tymczasem podobno w nocy było rzyganie, że aż ha! To nie jest niedzielna podróż wiślanym stateczkiem na Bielany. Mojej mecenasowej z wagonu sypialnego nie dojrzałam dzisiaj na pokładzie. Pewnie choruje w samotności - we dwoje. Rozmaicie bywa na takich statkach. Mamy już podwójne leżaki, na pokładzie spacerowym i na pokładzie słonecznym. Przed południem trochę opalałyśmy się, pod wieczór korzystamy z chłodu, owinięte w piękne koce. Polskie koce, nowiuteńkie, w guście angielskim. Muszę kupić sobie taki koc zaraz po powrocie do Warszawy.

Opalanie to była właściwie tylko prezentacja kobiecej nagości. Panowie przechadzali się przed naszym nosem i taksowali różne okrągłości. Dokładnie to samo, co nad naszym morzem, tylko że zagęszczone na małej przestrzeni. Panie w dodatku już opalone na różnych krajowych plażach, przy pomocy olejków orzechowych oraz lamp kwarcowych. Panowie jednolicie w białych spodniach, jedwabnych koszulach i z aparatami fotograficznymi na rzemykach przez ramię. Toujours la meme chose, pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Szkoda bloczka.

Pan Franciszek Józef istotnie ma nieszczególne towarzystwo. Właściciel tartaków spod Rymanowa, pan Karol Blaufuks, z pretensjami i ustawicznym przypominaniem, że skończył gimnazjum Świętej Anny w Krakowie, tak jak by ta świętość miała mu w życiu pomagać. Przyplątał się do nas, będziemy miały trudny orzech do zgryzienia. W dodatku wszystko mniej więcej dobrze, tylko... ten nos. Głupia sytuacja. Wujcio nie kryje się z abominacją i powoli a dyskretnie wywija się z tej znajomości.

596 > Typ ma na palcu coś podobnego do kamienia z moich butonów. Śmiesznie to wygląda. Leokadia szepnęła mi dzisiaj po południu:

- Tylko nie weź sobie takiego za męża.

- Dobra sobie, kpi czy o drogę pyta? Ale to miał być żart, dobrze rozumiem.

Pod wieczór pokład statku przestał być dla nas nowością, a współtowarzysze podróży zeszedli do roli przechodniów na którymś z deptaków morskich. Sopoty lub Orłowo, nawet raczej tylko to ostatnie.

Moja Zosia znów chrapie. Mąż będzie miał z niej pociechę.

Palermo - 29 sierpnia

Upał. Niesamowicie gorąco. Dzień zawalony zwiedzaniem miasta. Znacznie dokładniej niż trzy lata temu z Cookiem. Wówczas Palermo było na końcu naszej podróży. Patrycja zachorowała i miasto zwiedzałam nerwowo, myśląc o czym innym. Patrycja jest naprawdę biedna, dobrze, że zostawili jej przynajmniej dzieci. Pan Krymułt na pewno szybko się od nich odzwyczai. Zresztą to nie są jego dzieci, zdaje sobie chyba z tego sprawę. Ciekawa jestem, czy nasz Marcin widuje Ksenię i Sierożkę. Jak się wobec nich zachowuje?

Zapisałam sobie w notesie dla uzupełnienia lektury opisowej w domu: Montreale, park Favorita, Mondello, podobno można by zobaczyć znacznie więcej, ale czas mamy ograniczony. Do Palermo warto byłoby przyjechać na spokojny tydzień, bez gorączki autokarowej. Z opowiadań pana Szczytnickiego przeziara jeszcze zamek Albanese i zamek Utreggio. Trzeba będzie przestudiować to w Baedekerze.

Pan Blaufuks odczepił się od nas. Jakaś heroina, platynowa blondyna, krwista czerwień na długich, wąskich paznokciach. Nasza para od stolika w jadalni w dalszym ciągu uprzejma, chłodna i pograżona w wytwornej samotności. Rozmowy nie rozkręcają się. Zajęli leżaki w pewnym oddaleniu od nas. Nie szukają widocznie zbliżenia.

Leokadia próbowała zagadać na tematy drzewne, nie podtrzymałam rozmowy. Pragnę bodaj na chwilę zapomnieć o przeszłych interesach, a już miałabym pogрузić się w przyszłych?

Piątek - 30 sierpnia

Piękne morze. Słońce błyszczy na koniuszkach fal, które tylko z lekka jakby bałwanią się. Nad dalekimi horyzontami wisi wkoło nas rozpięty pułap jednolitego kobaltu. Leciuchny wiaterek, na pokładzie słonecznym przewiew. Przyjemnie. W taką pogodę można by leżeć i całymi dniami wpatrywać się w bezkresne dale, których nie umiałabym nazwać. Wiem tylko jedno, że na lewo od kierunku statku są brzegi Afryki, na prawo zaś Włochy i Europa. Jutro przed nami zjawi się Algier, tak wynika z programu.

Na statku spokojnie. Każdy się jakoś urządził i znalazł towarzystwo do gustu. Z daleka tylko przyglądam się towarzysze ze sleepingu. Trzeba przyznać, przystojna. Oczy mocno podkrążone, widocznie się przechorowała.

Pan Liteński grywa w brydża w jasny dzień. Tego chyba jeszcze nie było na tym statku. Ależ głupstwo napisałam, wszystko przecież, co robimy, jest nowością dla tego statku. Inaczej: to chyba rzadko będzie się zdarzać na „Piłsudskim”. Pan Benedykt adoruje kapitana, właściwie wzajemność, doszukali się wspólnych znajomych czy nawet krewnych. O to u nas w Polsce nietrudno, wiadomo, że cała szlachta polska pochodzi na pewno wprost od biblijnego Jafeta. Wszyscy inni, spoza tej naszej kochanej szlachty, spadli z księżycy.

Algier - sobota - 31 sierpnia

Natychmiast po śniadaniu - prosto w głąb kraju. Tipasa, ruiny z czasów rzymskich i wykopaliska. Lunch na tle dekoracji z czasów historii starożytnej. Towarzystwo z naszego statku rozpoczyna gromadzić tandetne pamiątki sprzedawane przez nachalnych chłopców, łapiących słowa we wszystkich językach. Poza tym krajobraz monotony, duże przestrzenie całkiem obnażonego piasku. Drogi są dobre, widać kupieckie podejście do spraw kolonialnych ze strony francuskich władców.

Jakieś typy usiłowały mnie emablować. Prawie na nich czekałam. Odczepiłam się względnie łatwo, w kilku słowach.

Wieczorem byliśmy całą paczką w miejscowym kabarecie. Drugorzędna szmira paryska, mimo kolonialnego blichtru i mocno słonych cen. Płacił wujcio. Przy sąsiednich stolikach bawili się nasi z „Piłsudskiego”. Trochę hałaśliwie, ale jakoś uszło, ponieważ przybycie do Algieru pierwszego polskiego statku wycieczkowego budzi tutaj nie stygnące zainteresowanie. Sylwetka naszego statku korzystnie odbija od czarnych na ogół kadłubów różnych kolosów morskich. Sam Algier jest oślepiająco biały. Ponad nim króluje rozpalone słońce, a w nocy, gdy wracaliśmy z kabaretu „De Paris”, niebo było mocno wyiskrzone gwiazdami. Noc chłodna.

Stwierdziłam, że Algier niczym nie różni się od miast na południowych wybrzeżach Francji. Nawet tubylcy wyglądają prawie po francusku. Trochę egzotyki, ale nie rzucającej się specjalnie w oczy. Taka sobie, mocno kolorowa i mocno ruchliwa. Naturalnie zdaję sobie sprawę, że to jest tylko wąziutki skrawek wybrzeża, a w głębi kraju mieszkają niegorsze dzikusy.

Niedziela - 1 września

Nowe autokary. Tym razem słynna Blida. Powrót był bardziej malowniczy. Wybrzeże Turkusowe - takie sobie, nic nadzwyczajnego, prócz samej nazwy. Coś w rodzaju przejaskrawionych w kolorycie pocztówek, tylko że w naturze. Naturalnie Ruisseau des Singes. Małpami się nie zachwycam, karykatury ludzkie. W dodatku małpiszony są bezczelne, nic dziwnego, naśladują ludzi, którzy poufała się z nimi bez potrzeby.

Na statku zaczyna się monotonia. Różni ludzie w różny sposób sobie radzą. Są między nami również i tacy, którzy entuzjasmują się jedzeniem. To można zawsze, nawet w

Warszawie, gdy się ma pieniądze. Niektórzy widocznie chcą odjeść koszty wycieczki. Zaczynają wybredzać, obsługa jest anielsko cierpliwa.

Pojutrze - Malaga.

Sewilla - Hotel Ingletena - 2 września

Daleka droga. Upał. Po południu zwiedzaliśmy miasto w powozach, taki miejscowy zwyczaj. Zdziwienie, że Polacy dotarli do Sewilli w takiej ilości. Mimo woli, patrząc na te unerwowione tłumy, rozmyślałam nad tym, że od dłuższego czasu Hiszpania stała się właściwie tylko terenem nieustannych rewolucji. Nie chciałabym znaleźć się w tym kraju w takim okresie. Dzikie spojrzenia. Uliczki, na których można by grać „Carmen” bez jakichkolwiek dekoracji, statyści byłiby tuż pod ręką. Katedra, różni święci w nadmiarze, obrazy, Alcazar, na końcu muzeum. Za dużo było tego wszystkiego, jak na skąpe kilka godzin zwiedzania.

W ubiegłym roku oglądałyśmy już takie hiszpańskie dekoracje podczas walki byków w San Sebastian. Inny świat, inni ludzie, inna krew płynąca w ich żyłach. Zosia jest rozentuzjarmowana. Porwała ją ta Sewilla. Nic dziwnego. Po raz pierwszy w życiu została przeniesiona do innego świata, który żyje własnym, bajecznie kolorowym życiem, za górami i lasami. W dodatku za jakimi górami. Trzeba byłoby, żeby Zosia oglądnęła sobie kiedyś dzikość skalnego cyrku w Gavarni. My z Leokadią patrzymy na to, jak na powtórzenie premiery sprzed roku.

Pomimo wszystko nie chciałabym zamieszkać na stałe w Hiszpanii, na przykład w takiej Sewilli. Zbyt szybkie byłoby życie w płomiennym żarze tych starych uliczek. Spaliłabym się w ciągu kilku lat. Zbyt wielkie nagromadzenie historii. Zbyt mocne są perfumy krwi, która spływała w ciągu wielu wieków po tej skalistej krainie. Nawet w powietrzu czuje się jakąś rozpasaną dzikość. A może to tylko urojenie? Chyba jednak nie.

Dobrze, że pojechaliśmy w autokarach, a nie samochodami. W każdym razie autokar jest bezpieczniejszy w tych dzikich okolicach. Nie dziwię się, że Don Kichot i Sewilla natchnęły Gustawa Dore do wykonania wielu ilustracji. Jest na co patrzeć. Ołówek artysty i rysownika brzydzi się pospolitością.

Wtorek - 3 września

Ciekawe. Leokadia, Zosia i pan Benedykt wybrali Gibraltar, generałowa, ja i pan Liteński Grenadę. Trudno pisać. Moja współlokatorka straciła sen, w nocy po raz wtóry przeżywa wydarzenia dnia. Nic dziwnego, ja w jej wieku entuzjarmowałam się zaledwie luksusami moich gdańskich krewnych. Zosia wcześniej zaczęła, w dodatku za miesiąc rozpocznie studia w Lozannie. Ma dopiero 19 lat. A co ja mam z tego poznańskiego uniwerku? Nie warto nawet wspominać. Tekturka z drukiem, trzy literki na bilecie wizytowym i nic więcej.

Podczas wieczornego posiłku wymienialiśmy nasze wrażenia. Nic specjalnie ciekawego w tym Gibraltarze. Do wysokich skał przyczepiony upór anglosaski i wojskowe interesy Zjednoczonego Królestwa. Strażnica na drodze do Indii. Należy się dziwić, że Hiszpanie dotychczas nie wypędzili stamtąd Anglików. Skały, wśród których mieszkają małpy. Sztucznie ochraniające, ponieważ istnieje przepowiednia, że tak długo Anglików w Gibraltarze, dopóki małp. Nic dziwnego, że Anglicy czule ochraniają swoich... gwarantów. Jutro oglądanie miejscowej Malagi. Panowie i w ogóle wszyscy przygotowują się do zakupów. Głupstwo, ponieważ na miejscu, na statku, nie brakuje win. Specjalny steward obnosi z dumą srebrne insygnia bożka Bacchusa. No, ale pójdziemy i spróbujemy. Takie stare bodegi sięgają podobno kilku wieków, a może i więcej.

Czwartek - 5 września

Kołysujemy się na morzu. Płyniemy na północ w kierunku Lizbony. Czas leci, od dziś za tydzień dobijemy już pewnie do Gdyni. Jakoś nie mam przekonania do naszego młodego portu. Domy i cała reszta zostały w sposób sztuczny i przypadkowy doczepione do kawałka wybrzeża, na którym forsownie buduje się nowy port. Bez tradycji, dziwnie kusa i nowa ta nasza Gdynia. Właściwie istnieją tam tylko dwie ulice, połączone trzecią, do tego krótka droga do portu i oto cała Gdynia, sztuczne miasto na moczarach. Bez najmniejszej tradycji kupieckiej. Brak mi patriotyzmu gdyńskiego. Trzeba było się lepiej dogadać z... Gdańskiem.

Dzisiaj popsuła się pogoda, wyciągnęliśmy swetry i w ogóle. Próbowaliśmy grać w loteryjkę „bingo”, ale to zajęcie ogłupiające. Wujcio czyta powieść Rodziewiczówny pod tytułem *Magnat*, pan Liteński bierze udział w jakichś zawodach brydżowych, obie panie zamknęły się w swojej kabinie, a my we dwie z Zosią próbujemy zobaczyć na statku to, czego jeszcze dotychczas nie widziałyśmy. Wzięłyśmy nawet udział w zwiedzaniu maszynowni we wnętrzu statku. Ale to nie było ciekawe.

Dzisiaj po południu marynarze urządzili nam hecę z ćwiczeniami zbiórki na pokładzie i zapinaniem na sobie pasów ratunkowych. Głupie uczucie i głupia, oby tylko, zabawa,

Lizbona - piątek - 6 września

Głupia historia. W ogrodzie Monserrate skorzystałam z tego, że dano nam trochę wytchnienia, i usiadłam spokojnie na ławce pod palmą. Wyjęłam bloczek z torebki i zamyśliłam się. Właściwie zagapiłam się, a tymczasem moje towarzystwo podeszło do mnie z tyłu i w momencie przeze mnie zgola nieoczekiwanym Zosia wykrzyknęła:

- Nasza Anna pisze stenogramy.

Wyjęto czy wyrwano mi na wesoło bloczek z ręki i wszyscy po kolei oglądali jakby wielką osobliwość. Pokryłam to śmiechem, ale byłam zła. W dodatku nie kto inny, tylko wujcio powiedział żartobliwie:

- No, z pyszna mamy się w tym bloczku.

Ale to nic. Cintra jest wspaniała. Koronki z muru na tle egzotycznej roślinności. Błękit nieba przeziera jak najcudowniejsza emalia. Ale nie w rodzaju emalii panny Beaty Walczak. Wszak tylko ona jest w nich zakochana. Ona w tym żyje, ja na szczęście interesuję się tylko saldami. Tfu, po cóż ja o tym myślę?

Dzisiaj wieczorem była również godzina kabaretowa. Dansing z rodzajem zaimprovizowanej konferansjerki. Specjalność dla panów. Trochę tańczyliśmy, ale bez większego szaleństwa. Na statku panuje obecnie taki sam nastrój, jak podczas wszystkich wakacji. Ludzie ziewają, czynią to mniej lub więcej demonstracyjnie. Na jutro zapowiadają bal kapitański. Po szampanie boli głowa, trzeba uważać, po cóż pić bez potrzeby, dla samego tylko picia.

Zosia znowu chrapie. Ma w dodatku talent do spania, wystarczy, że przyłoży głowę do poduszki. Wspomnienia lat jeszcze jej nie ciążyą.

Nasze towarzystwo żyje tylko wystawą w Brukseli. Było kilka listów. Marcin przypomina o konieczności sprzedaży akcji. Owszem, pamiętam sama. Nie mogę ani spać, ani porządnie się wyrzygać. Może bar będzie jeszcze otwarty, spróbuję napić się mocnej herbaty z koniakiem.

Owszem, druga godzina w nocy, było otwarte, pijących nigdy nie brakuje. Moje przyjście wzbudziło sensację. Próbowano się do mnie przyczepić. Reagowałam szorstko. Mixer proponował mi coś extra mocnego, lecz odmówiłam. Kieliszek koniaku wlałam do herbaty i w tej formie wypiłam. Obecnie spróbuję zamknąć oczy i usnąć.

Sobota - 7 września

Atmosfera pełna podniecenia. Przez cały dzień nic, tylko uwijanie się i przygotowania do wieczornego balu. Jest godzina piąta po południu. Leżę sobie w kajucie i wyczekuję na moją kolejkę u fryzjerki. Mam jeszcze całą godzinę przed sobą.

Właściwie z tą wycieczką było tylko wielkie halo, zrobili moc reklamy i nic więcej. Pierwszy większy statek tego typu i stąd tyle radości. Inne kraje posiadają dziesiątki podobnych statków, a może i setki, i nie robią takiego gwałtu. Jeszcze cztery dni huśtania się po morzu. W dodatku porządnie huśta.

Do Gdyni przyjedziemy w czwartek koło południa. Jak zrobię z tym bankiem? W każdym razie wpadnę do Gdańska. I tak pojedę nocą do Warszawy. Może stryjek Józef pożyczyci mi na kilka dni gotówki, aby wykupić akcje?

Niedziela - 8 września

Było do przewidzenia. Ja jedna jestem na placu, ponieważ mało piłam. To mnie uratowało. Wczoraj, gdy mieli dobrze w czubie, to śpiewali przy szampanie: - Nasza Anna pisze stenogramy, nasza Anna... - Pokojówka powiedziała mi dzisiaj rano:

- Trzeba było pani wstać rano i obejrzeć pokłady. Nasi chłopcy mieli coś do roboty, a w nocy musieli uważać, aby goście nie powpadali do morza.

Widocznie musiano zdrowo obrzygać statek. W ten sposób odbyło się niejako drugie poświęcenie „Piłsudskiego”.

Chłodno. Tkwią mimo to na leżaku owinięta dwoma pledami. Przed chwilą wypiałam sporą szklankę grejpfruta. Nasi jeszcze śpią. Nawet Zosia. Dobrze przynajmniej, że mnie usłuchała i wróciła razem ze mną do kabiny. Zamknęłyśmy się, a właściwie ja nas zamknęłam. W nocy był b...l, a nie bal kapitański.

Straciłam serce do reszty wycieczki. Gdyby nie to, że wyglądałoby głupio czy dziko, opuściłabym statek i z Brukseli prościutko koleją do domu. Zyskałabym dwa dni, w środę byłabym już w Warszawie. Ale z drugiej strony może lepiej wstąpić do Gdańska? Mogłabym ze statku rozmówić się iskrówką, ale to wzbudziłoby niepotrzebną sensację. Niemądry pomysł. Trzeba spokojnie doczekać.

Bruksela - 9 września

Odczepiliśmy się i pojechali na własną rękę. Tempo zwiedzania tego rodzaju, jak by na przykład ktoś chciał oblecieć naszą babcie Pewukę „w jedne trzy godziny”. Wszystko po łebkach. Nogi bołą, w oczach kłuje od kalejdoskopu kolorów i szybkości wrażeń. Materiału do zwiedzania na dobry tydzień. Dzisiaj pożyczyłam panu Franciszkowi Józefowi pięćdziesiąt dolarów pod pretekstem jakichś ciekawych zakupów. Owszem, zobaczymy, co kupi. Na statku w ogóle pogoń za walutami. Ludzie nie pozabierali z sobą i mieli kłopoty. Naiwniacy, wyobrażali sobie, że wystarczy jedzenie i spanie na statku. Wszystko kosztuje w drodze, pieniądze lecą jak woda.

Wtorek - 10 września

Jeszcze jedna zabawa, tym razem pożegnalna. Widocznie pasażerowie za mało obrzygali statek. Powinni naprzód opodatkować uczestników zabawy na rzecz marynarzy, którzy będą zmywali pokłady. Leżę w tej chwili na pokładzie spacerowym, owinięta pledem. Obserwuję ludzi i wydarzenia. Naturalnie moja mecenasowa była z kochankiem. Bardzo dyskretnie, nie kontaktowali się oficjalnie za dnia, podróżowali w zasadzie oddzielnie. Informacje przez naszą stewardessę. Poza tym „pan sąsiad” Blaufuks zdaje się dobił już do portu. Para wygląda na mocno znudzoną, to niezawodny znak, że *happy end* już przeminął i przyjemności się przejadły. Lub nastąpiło wzajemne rozczarowanie: dama dostała zbyt mało pieniędzy, a kochanek rozczarował się odnośnie towaru. Bo i tak bywa podobno. A może tylko zgaga po przejeździe. Swoją drogą - z takim nosem... Wujcio Benedykt choruje na

żołądek, nic dziwnego, w tym wieku szkodzi szampan z lodu. Rumianek i ciepła pidżama barchanowa do spania. No, ale trudno, wujcio ma ochotę. Gdyby miał młodą żonę, to by go może powstrzymała. Nasi partnerzy od wspólnego stolika w jadalni - zdekonspirowani, Tyszkiewiczowie, mają majątek gdzieś pod Wilnem. Jakoś rozgadaliśmy się po kilku dniach, dzięki panu Szczytnickiemu. Może oni myśleli początkowo, że posadzili ich koło jakiejś rodzinki urzędniczej. Mieli miny pierwszego dnia, jak by się napili wody z octem. Potem było już inaczej. Naturalnie w dalszym ciągu bez wzajemnego entuzjazmu, ale wystarczająco. Pan Benedykt mówi, że z galicjakami zawsze tak bywa, ponieważ pan Tyszkiewicz pochodzi gdzieś zza Lwowa, a wileńskie majątki są po żonie. Tylko jedna generałowa wykorzystała moment i wbiła szpileczkę do tej sprawy, mówiąc mi na osobności:

- Owszem, ten pan Liteński podoba mi się czasem, ale ci Tyszkiewicz może o nim właśnie coś posłyszeli i dlatego takie fomy. W dodatku ten Blaufuks, który przyczepił się do niego. No i do nas pośrednio.

Leokadia powiedziała mi któregoś dnia, gdy spytałam ją o rozliczenia:

- Niech to będzie ode mnie na twoje tegoroczne imieniny, Anno, Józef podarował ci papierośnicę, a Zośka... rulon lionńskiego jedwabiu.

I o tym już wie. Śmiałyśmy się serdecznie z tego rulonu. Leokadia jednak w dalszym ciągu myśli po kupiecku. A zatem - prezent.

Środa - 11 września

Rozmowa przy szklance soku pomarańczowego w barze. Pan Blaufuks i ja - kto by się tego spodziewał? Opowiadał tym razem o interesach. O tym, czym handluje, o tartakach i drzewie. Nie jest głupi. Ot tak sobie wypytywałam się o to i owo. Dowiedział się od pana Liteńskiego, że jestem magistrem ekonomii i radcą w ministerstwie. Nie widział we mnie kobiety, a jedynie możliwość jakiegoś przyszłego interesu. Wiedział nawet o lakierach na Nowym Świecie. Spędziłyśmy razem dwie godziny i dopiero gong na lunch skierował nas do jadalni. W każdym razie wymieniliśmy nasze adresy. Coś mi zaświtało w głowie i przed rozstaniem wypytywałam się, czy nie ma na widoku sprzedaży jakiegoś poważniejszego tartaku. Pytałam o koniunkturę przecierania drzewa w tamtych stronach, znam już trochę różnych terminów, naturalnie w związku z moimi podróżami do Gdańska. Ciekawe. Zapytam stryjka Józefa o sytuację drzewną w tamtych okolicach.

Pan Liteński niepotrzebnie szarżował przypadkowością pana Blaufuksa w kabinie, znają się od dość dawna. Okazało się, że raczej pan Blaufuks był bardziej od niego dyskretny.

Ale koniec, koniec, jutro już Gdynia i znowu szary dzień interesów. Nie jestem stworzona do takiego tempa zmian. Takie wakacje są do bani. O ileż lepsza nasza pocziwa Krynica. Każdy dzień taki sam, a właśnie takie jednakie i spokojne dni dają odprężenie i skuteczny wypoczynek. Po tej wycieczce należałoby wypocząć właśnie w Krynicy ze dwa tygodnie. Tam musi być obecnie ładnie. Ale cóż? Anna Jambor jest uwięziona, jest białą niewolnicą przy ulicy Hortensji w Warszawie, Marcin jako jakiś nowy, finansowy Szymon Legree. Jakże on mi nawymyślał przed dwoma tygodniami w Wiedniu. Niby na wesoło i z humorem, ale jednak był zły. Miał rację, gdy się płaci w „Ziemiańskiej” pół czarnej i ciastko, należy z góry przygotować sobie jednego złotego i nie strzelać byków z pokazywaniem pięćsetki. Racja - fizyka, ale już się nie odstanie. Marcinowi chodziło o to, że głupi bank, z którym nie mamy stosunków, nagle zainteresował się właśnie moją osobą. Podobno ustalali dyskretnie, co mnie łączy z Marcinem Jamborem. W tych warunkach stryjek ma rację.

Jutro będą dzikie sceny na cle w Gdyni. Prawie każdy z pasażerów coś kupił, a obecnie tylko o tym myśli, jak to przemycić przez granicę celną. Wszyscy jesteście naprawdę jak małe dzieci, lecimy na jakieś głupie grosze. Szkoda zdrowia. Ja prawie nic nie kupiłam - z wyjątkiem dwóch puffów skórzanych w Algierze. Ale nasze obie panie! Poza tym podarunki,

ponieważ każdy będzie patrzył w ręce, co dla niego przywiozłam. W Brukseli uległam szalowi i zakupiłam różne w gruncie rzeczy niedorzeczne drobiazgi.

Wieczorem. Nasza Zosia znów chrapie. Ale była w podróży bardzo miła. Jedzie teraz na kilka dni do Warszawy, tęskni za ojcem, ma raczej jego usposobienie. Chłopiec na odwrót, ma wiele wspólnego z matką. Bojowy. O najmłodszej na razie nic nie można powiedzieć, taka sobie panienczka z dobrej pensji, jak mówią w Warszawie, dobrze ułożona.

Do Gdańska pojedę z małą walizeczką. Bagaże zabiorą mi moje panie. W każdym razie tej jesieni czeka mnie spore uwijanie. Taniec. Właśnie - tam na górze tańczą. Nie żałują sobie. Pan Liteński ma jeszcze dzisiaj zmontowaną nocną partię brydza. Jeden tylko wujcio Benedykt machnął ręką na wszystko i od razu po kolacji poszedł spać do swej naprawdę luksusowej kabiny.

Koniec wycieczki. Lepiej skończę już z pisaniem, ponieważ nachodzi mnie tłum głupich myśli. Koniec.

Wieczorem

Pociąg przepelniony aż do obrzydliwości. Właśnie dopłaciłam do pierwszej klasy. Jadą podróżni z naszego statku i oni to właśnie wypełnili cały pociąg. Ale to drobiazg, kilka godzin.

Wiadomości. Ciotka Magda zmarła nagle przed tygodniem, u siebie, w Różankowie. W czwartek wieczorem. W poniedziałek odbył się pogrzeb w Grudziądzu. Był Marcin, to dobrze, był również Heinrich i cały Gdańsk. Po pogrzebie obaj stryjkowie i Heinrich wyjechali razem do Berlina. Potem jadą na dwa dni do Wiednia, aby dokończyć kupna małej willi dla przyszłej młodej pary. Stryj Józef ma być w sobotę rano w Warszawie. Pokręciło im się trochę z pieniędzmi w Gdańsku. Częstowano mnie pakietem dolarów, koło ośmiu tysięcy. Ale byłby kłopot z przewiezieniem, a później z oddawaniem w Gdańsku. Poradzę sobie sama.

Biedna ciotka. Przecież nie była jeszcze taka stara. Cztery lata młodsza od naszego ojca. Pięćdziesiąt sześć lat. Powoli i ja zostaję sama na świecie. Ciotka Magda kochała mnie na swój własny sposób, poważnie, bez obcałowywań. Jaka różnica! Obie moje ciotki po ojcu - Katarzyna i Magda.

Widziałyśmy się po raz ostatni w okresie świąt Bożego Narodzenia w Górkach. Chciała ze mną długo rozmawiać, cóż kiedy inni nam przeszkadzali. Głównie starszy pan Liteński. Ciotka wypytywała mnie o zamiary na najbliższą przyszłość, o to, czy jestem szczęśliwa, czy mi czego nie brakuje, czy mi coś nie dolega. Czy jest mi dobrze w życiu.

Bolesna strata dla Herty i Maksia. Ciotka wychowała ich od maleńkości. Towarzyszyła swemu bratu i naszemu stryjowi Pawłowi na długiej drodze dorobku, od Rosenau aż do Górek. Szkoda jej. Ostatnio rzadko się widywałyśmy, ale zawsze żywo interesowała się moim losem. Gdy mnie odwiedzała w Warszawie, obchodziła wszystkie pokoje i bardzo ujął ją mój kult dla przeszłości naszej rodziny. Inni krewni machali na to ręką i uśmiechali się, jak by chcieli powiedzieć: - Co nas obchodzi to, co było przed naszym urodzeniem.

Spróbuję jeszcze się zdrzemnąć, jutro czeka mnie ciężki dzień. Przyrzekłam Marcinowi załatwić sprawę z akcjami najpóźniej do tej soboty. Trzeba dotrzymać.

Nie zawiadomili nas o śmierci, nie chcieli zepsuć nam wycieczki. Pogrzeb odbył się w poniedziałek, tego dnia kręciłyśmy się jak głupie po wystawie w Brukseli.

Warszawa - piątek - 13 września

Byłabym przeoczyła. Nie otwierałam kopert z nagłówkami naszych banków. Dobrze, że zadzwoniłam rano na Mokotów zaraz po przybyciu do mieszkania. Pytałam, jak nasze panie dojechały. Leokadia umieściła się tym razem na Mokotowie, jutro przysyłają po nią samochód ze Starej Wsi. Przy telefonie był generał i zaraz zapytał, czy odebrałam już wiadome pieniądze. Nie wiedział, gdzie ma wpłacić, i wpłacił po prostu w moim imieniu na

konto Marcina. Siedemdziesiąt i jeden tysięcy. Przyznam, że serce zabiło mi bardzo mocno. Kupa pieniędzy i właściwie za nic. Za odrobinę dowcipu i rozumu. W każdym razie Marcin i Władek zarobili więcej, kilkakrotnie więcej! Chyba razem z dziesięć procent? Cóż wobec tego znaczy moje skromniutkie ćwierć procent - w Warszawie? Jakież mizerne porękawiczne.

Akcje Marcina sprzedałam za trzysta trzydzieści sześć tysięcy złotych, dokonałam transakcji sprzedaży w dwóch bankach, prawie anonimowo, w obu wypadkach podałam pierwsze lepsze nazwisko, jakie przyszło mi na myśl. Przy wypłatach według dyspozycji stryjka postąpiłam podobnie jak Wirewicz, wpłacałam w jego, Marcinowym, imieniu. Mój obecny dług u stryjka wynosi równo pięćdziesiąt tysięcy złotych, mogę spać spokojnie.

Dzisiaj po południu wykupiłam sobie bilet lotniczy do Lwowa. Na jutro, w dwie godziny, kwadrans przed czwartą będę na miejscu, na jakiejś ulicy Akademickiej. Nie uprzedziłam telegraficznie, u nas w Polsce wysyła się telegramy tylko w smutnych okolicznościach. Taki głupi obyczaj. Zrobię im niespodziankę.

Godzina wpół do dziewiątej. Czekam na kąpiel i zaraz idę do łóżka. Ostatnia noc w pociągu porządnie mnie zmarnowała. Nabiłam sobie głowę śmiercią ciotki i nie mogłam zasnąć. Wagon, mimo pierwszej klasy, był hałaśliwy, ostatnie pożegnania statkowiczów. Moje panie pojechały południowym pociągiem i dobrze zrobiły. Na cle obeszli się podobno bardzo łagodnie. Widocznie nawet celnikom zaimponowało przybycie do Gdyni tak pięknego statku. A może tak im kazali, aby zachęcić kandydatów do przyszłych wycieczek.

Już po kąpielu. Dzisiaj wpadłam do sklepiku. Słabo z gotówką i w ogóle słabo, pomimo września. Trzeci kwartał będzie chyba najgorszy w tym roku. Ale nie to jest ważne. Z nudów i z puchów w interesie panna Beata Walczak analizowała roczny interes i łącznie z rewizorem skarbowym doszli do przekonania, że my sprzedajemy w hurcie o 6^o/o taniej od konkurencji. Dłuższa i głębsza historia, nie mam zamiaru odkrywać kart przed obcym człowiekiem. I tak niczego nie wymyśli. Pytała jedynie, co zrobimy, odpowiedziałam, że w dalszym ciągu będziemy sprzedawać po dotychczasowych cenach. Strachy na Lachy, konkurenci nie obniżą cen do naszego poziomu. Rewizorowi skarbowemu kazałam powiedzieć, że to walka z konkurencją, przecież nie mogą nam narzucić wyższej kalkulacji, nasze księgi handlowe są bez zarzutu, wszystko jest uchwycone przez niezwykle drobiazgową buchalterię. Kupcowi wolno sprzedawać po dowolnej cenie, gdyby nie mogli tego zrozumieć, to już postaralibyśmy się, aby im to wytłumaczono... gdzie indziej.

Nasze stoisko we Lwowie podobno pierwsza klasa, mamy dostać jakieś wysokie odznaczenie, medal. Tysiąc sto osiemdziesiąt złotych kosztów reklamy gazeciarskiej i osobno ciepłą rączką trzysta złotych za wykręcenie tego właśnie medalu. Od razu z torebki zwróciłam. Był to osobisty wydatek, załatwiała nasza agentka na tamten rejon. Ta sama, która obecnie funkcjonuje na stoisku w charakterze naszej przedstawicielki i informatorki. „Cztery Kamienie” nadesłały moc prospektów, a ponadto dostarczyły bezpłatnie dwie skrzynie próbek do rozdawania. Właściwie to był ich interes.

Profesor był ucieszony z mojego powrotu, krzywił się nawet, gdy posłyszał o jutrzejszym samolocie. Dzisiaj nocnym pociągiem jedzie do Lwowa panna Beata, wraca w poniedziałek rano. Ma gust do takiego tryndania się, ale jest zakochana w lakierach. To główna treść jej staropanieńskiego żywota!

Jeżeli już mowa o profesorach, to również polonista dokonał wyczynu i podczas mojej nieobecności przetłumaczył mi pracę dyplomową na język urzędowej gramatyki i stylu. Uczynił to w sposób prawdziwie profesorski, to znaczy czerwonym atramentem. Była to niewątpliwie przesada i chęć zaakcentowania, że należy mu się wyższe wynagrodzenie. Zbyteczne, ponieważ bez dyskusji zapłaciłam tyle, ile chciał, to znaczy czterysta złotych. Jutro trzeba będzie poszukać kogoś, kto by przepisał na czysto i ostatecznie. Nie mogę się ośmieszać u siebie w sklepie, głupio by wyglądało takie ponowne przepisanie poprawionego

zadania szkolnego. Zapłacę i dam do przepisania w jakimś zawodowym biurze. A potem fiut do Poznania i powierzenie pracy w godne ręce profesora Sułkowskiego.

Lwów - 15 września

Lwów, Michałowie, nawet najmniejsza Anna, wszystko nieważne! U Michałów zastałam... grudziądzkiego Jana Kowalskiego. Pogodzili się! Tyle lat kłótni! Widocznie po historii ze ślubną Julcią uczuł pustkę koło siebie. Sam pierwszy przyjechał do Lwowa i już siedzi tutaj od tygodnia. Wzruszające: powiedział do mnie na osobności, że był na pogrzebie Magdy Jambor, i to właśnie zadecydowało o pogodzeniu się z bratem.

Mała podobno jest bardzo mądra. Nie wmawiają mi, że jest podobna do mnie. Szkoda. Jutro po południu chrzest w kościele i zaraz coś w rodzaju wielkiego przyjęcia. Babcia Baumanowa bardzo miła starsza pani, w rodzaju naszej babci Anny. Mała srałka, wyrażenie rodzonoego ojca, obserwowana jest jak jakaś księżniczka. Kupuję naturalnie medalik z Matką Boską Ostrobramską, taki zwyczaj, na łańcuszku i w złotym wykonaniu. Podaruję też złoty dukat z wizerunkiem Matki Boskiej, z mojej kolekcji jeszcze panińskiej. I to zwyczaj panujący w naszej kupieckiej rodzinie Jamborów. Wujek Jan? Kto by się tego spodziewał. Całkiem odmieniony człowiek. Wpatrzony tylko w małą Annę.

Chyba dobiję interesu z wujkiem? Pozbędę się nareszcie bławatów, wyjdę z kramarstwa. Odkładam sobie rozmowę na te tematy do jutra. Wujek wypytywał mnie tylko ogólnie: - Czyś się, Anno, namyśliła na tym statku, jak mu tam...

Wystawa nieważna. Srebrny medal, tanio, za... jedne trzysta złotych i trochę kręcenia się tu i tam. Moja agentka rzeczywiście - wyszczekana, gdy podrośnie, będzie z niej Beata Nr 2 od lakierów itp. W dodatku bardzo zręcznie operuje urodą i stroikami. Komplet zalet, bo mocno oblatana. Coś w rodzaju dragona z kobiecego szwadronu królowej Katarzyny Medycejskiej... tej od nocy św. Bartłomieja.

Prababka Anna znów dotrzymuje mi towarzystwa. Umieszczono mnie w pokoju z jej portretem. Bardzo udana kopia.

Środa - 18 września

Wieczór. Za godzinę mam pociąg do Rabki. Naturalnie Chabówka. Deszcz leje jak z cebra i dlatego wolę czekać na pociąg niż jechać w góralskiej dryndzie. Na miejscu w Rabce wezmę sobie górala, tam już niedaleko, niecałe pół kilometra od stacji. Całe rabczańskie towarzystwo jest na miejscu. Mała, pani Woźnikowa i owa wdowa po profesorze. Już znam jej nazwisko z listu, który zastałam w domu po powrocie: pani Horodyńska. Zobaczymy.

Bławaty prawie skończone. Wujek Kowalski od października na stałe w Wąbrzeźnie. Z ciotką Millerową jeszcze nic nie wiadomo, w każdym razie pozostaje w Wąbrzeźnie do końca roku. Zośka bije się o nią, widocznie dba o swoje śrubki. Obie z Zośką miałybyśmy dostać po sto tysięcy gotówką, reszta z terminami do roku i weksłami żyrowanymi przez wujka. Z firmą to cała historia, stryjek za grudziądzki szyld dostał tylko pięćdziesiąt tysięcy, mimo że firma od stu lat. Za nasz daje nam sześćdziesiąt tysięcy. Mniej więcej godzi się na nasz czerwcowy remanent z korekturami sprzedaży i dostaw. Wierzycieli mamy same popłacić, dłużników przyjmuje. Od stycznia nowa nazwa firmy: „Wąbrzeski Dom Mody”, bławaty rozszerzone o dział obuwia. Wujek jeszcze nie jest zdecydowany, mam wrażenie, że zatrzyma się przy jawnej firmie jednoosobowej. Kamienice na zamianę, podobno grudziądzka jest warta sto siedemdziesiąt tysięcy i bez długów. Zamiana z rozliczeniem z reszty ewentualnej dopłaty wujka ponad te sto tysięcy złotych.

Finis - „Wąbrzeski Dom Towarowy”, Benon Jambor, spadkobiercy, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Ależ stryjek Kowalski odmieniony! Nie ten sam, zawsze z lekka odęty i pewny siebie. Ciekawa jestem, co robi Julcia. Co robi ten młodzieniec, którego całym funduszem życiowym

były: młodość, uroda, siła fizyczna zapewne i... łyżka do wkładania wielkich stóp grudziądzkich klientek firmy Jan Kowalski w Grudziądzu w małe, modne pantofelki warszawskie.

Koniec, pociąg, wołają, deszcz leje w dalszym ciągu. Herbatę w tej restauracji dworcowej robili chyba właśnie na tej wodzie deszczowej. Zimno w dodatku. Jak tam moja mała ze zdrowiem? Jestem zadowolona, że jadę.

Czwartek - 19 września

Bardzo rano. Obudziło mnie słońce. Odmiana w powietrzu. Rzeczywiście łagodny klimat. W powietrzu coś z Mentony, tylko że brakuje lekkiego podmuchu od strony morza. No i samego morza naturalnie.

Mała dobrze wygląda. Opalona, tylko w dalszym ciągu trochę za chuda. Podobno nie chce jeść. Trzeba będzie to zmienić. Zostanę tu chyba kilka dni. Nie śpieszy mi się. Dopiero w przyszły czwartek zjawię się w biurze. Pierwszego października uroczysta promocja doktorska Heinricha w Berlinie, w dwa dni później ślub na wsi w Hermsdorfie. W obliczu tablic wspominkowych naszych przodków, którzy ufundowali ten zbór. Nowy tydzień urlopu, ale generał przyrzekał solennie, że to drobiazg i że załatwi. W każdym razie 26 września zjawię się w biurze i nie skorzystam z owego proponowanego mi zaokrąglenia obecnego urlopu do końca miesiąca.

Pensjonat ma niemądrą nazwę: „Stella”. Naklepały mi obie panie wczoraj wieczorem o dotychczasowej dzierżawczyni pensjonatu. Dorobiła się. Żona maszynisty kolejowego, dawniej była kucharką u Badyniowej w krynickiej „Wiśle”. Nic dziwnego, jedzenie znakomite. Postawiła sobie własny dom tutaj, w Rabce, nazwała go „Miramare”, bardzo pretensjonalnie. Wczoraj podczas kolacji miałam zaszczyt poznania również samego pana maszynisty. Owszem, ogładzony, z wąsami i bokobrodami a la Franz Joseph I., w dodatku co trzecie słowo:

- A dawniej u nas, proszę pana, za cesarskich czasów, to było... ha, proszę, jak dobrze.

Ano dorobili się. W końcu października zabierają umeblowanie ze „Stelli” i od grudnia otwierają w niedobrze jeszcze wyschniętych murach „Miramare” pensjonat „pierwszej klasy”. Ufff. Zmęczyłam się.

Ktoś puka do drzwi. Mała Marta. Przyszła pożegnać się z ciocią Anną przed pójściem do szkoły. Jakże się cieszę, że mała zostaje na stałe w Rabce! Zawdzięcza to również temu, że pod koniec zeszłego roku szkolnego w Grudziądzu zaczęto jej wspominać w szkole... Ojciec? Podobno szkolny katecheta z własnej ciekawości zapisywał imiona i nazwiska rodziców i stąd wynikły zbędne zapytania. Także stosunki! Ale trudno się dziwić, my nie jesteśmy bynajmniej aniołami. Widocznie między innymi i to przeważało u pani Woźnikowej, jedno z drugim, być może przyszło nawet w porę. Ona sama nie była jeszcze w Grudziądzu od czasu wyjazdu z dzieckiem na wakacje. Czekala na mój przyjazd do Rabki. Pani Horodyńska wygląda spokojnie. Jeszcze niestara, siwe włosy, ale twarz młoda. Jakies zapewne przeżycia osobiste. Mała paple już po francusku. Kilkadziesiąt słów, ale ma zdolności i jakoś idzie jej nieźle. Dzieci są bardzo chłonne. Cieszę się, że pani Woźnikowa znalazła odpowiednie towarzystwo.

Wieczorem. Znacznie przyjemniej niż na owym statku wypełnionym hałaśliwą ciżbą najrozmaitszych typów i typków. Inny świat, spokojniejsi ludzie. Pensjonat wypełniony, tutaj mają zresztą w tym roku cudowną jesień. Powietrze łagodne. Mała nie wspomina Grudziądza.

Zdaje mi się, że spółka z panią Horodyńską będzie spokojna. Początkowo obawiałam się, aby serdeczność pani Woźnikowej z nową znajomą nie skłoniła jej do bardziej intymnych opowiadań. Ponownie prosiłam o zachowanie tajemnicy. To by nie miało najmniejszego sensu. Historia ostatnich przeżyć tej osoby jest smutna. Mąż, ów profesor gimnazjalny, zmarł osiem lat temu, a przed dwoma laty utopił się w Wiśle jedyny syn. Miesiąc przed maturą.

Rozumiem wszystko. Pomimo takich przeżyć pani Horodyńską jest opanowana, bez hysterii i spazmów, owiana tylko jakimś łagodnym smutkiem. Jeśli chodzi o interes - bez namiętności wzbogacenia się, aż do postawienia sobie jakiegoś nowego „Miramare”.

W niedzielę rano ma zjawić się w Rabce właścicielka willi. Mieszka w Krakowie, bez bliżej określonego zawodu, po prostu właścicielka kamienicy przy ulicy Zwierzynieckiej. Ponadto ma sklep, ale na tym kończą się wszystkie informacje.

Mała ucieszona moim pobytem. Zdobyła się nawet na odwagę i powiedziała mi:

- Ciocia powinna zamieszkać razem z nami w Rabce.

W grudniu Marta skończy dziesięć lat. Pomimo tylu chorób - już w czwartej klasie. Uczy się średnio, ale cóż w tym dziwnego? W oczach dziewczynki coraz bardziej utrwala się spojrzenie naszego ojca. Nawet ten sam głęboki błękit. O moim uczuciu do Marty nie mogę napisać nic specjalnego. Moja siostra. Podchodzę do niej w sposób niezwykle serdeczny, pomimo różnicy prawie jednego pokolenia. Zły los towarzyszący jej w momencie przyjścia na świat odarł ją z miłości ojca, a śmierć matki pozbawiła uroku matczynej tkliwości. Dla mnie samej, również wczesnej sieroty, pamięć po matce została na zawsze uczuciem jakby świętym. Tego nie zastąpią żadne ciocie, ani takie, które wychowują, ani takie, jak ja. Mój Boże, pragnęłabym podejść do tego zagadnienia z sercem!

Nasz ojciec powinien był ożenić się z jej matką. Wstyd wobec dorosłych dzieci i wobec otoczenia nie był na miejscu. Ale trudno, stało się, nie można tego już odrobić.

Piątek - 20 września

Wypoczywam. Wyleguję się na leżaku i słucham opowiadań. Panie Woźnikowa i Horodyńska o sprawach przysłego gospodarowania w pensjonacie. Nowy problem. Podobno obecna właścicielka ma zamiar sprzedać dom. Troska o skompletowanie umeblowania, obliczanie bielizny pościelowej. Dziesięć pokoi, w tym cztery z podwójnymi łózkami, jest o czym myśleć. Na razie słucham, a obie współniczki robią obliczenia na linijkach szkolnego zeszytu. Wszystko dzieje się na balkonie mojego pokoju. Umieszczono mnie w możliwie najpiękniejszym. Pani Kupkowa, tak brzmi nazwisko właścicielki „Miramare”, bez zazdrości, daje życzliwe rady, liczy nam nawet ceny rodzinne, o dwa złote mniej niż innym. Jakieś w swoim rodzaju braterstwo dzierżawczyń pensjonatowych. Sam pan Kupka - człowiek bez fumów, rąbie drzewo na podwórzu. Pomaga w gospodarstwie. Pomagał również w budowie własnego domu, gdy miał czas wolny od służby. Syn już na medycynie, córka u sióstr urszulanek, oboje w Krakowie, w domu dwójka młodszych dzieci.

Pomimo tej sielanki już kilkakrotnie przenosiłam się myślami na ulicę Hortensji. Muszę myśleć o rozmaitych sprawach, bodaj takich jak ślubny prezent dla Anny.

Na obiad były pstrągi. Mała zachowuje się przy stole w sposób przyzwoity. Słucha mnie, nie krzywi się i je. Z panią Horodyńską wielka przyjaźń, w dodatku z francuskim paplaniem. Może ta mała za dziesięć lat będzie studiować w Lozannie? Czy ja tego doczekam? Co ja jej powiem w przyszłości, gdy dorośnie? Gdy się połapie w sytuacji i nie będzie już można poprzestać na określeniu: ciocia Anna. Ale do tego jeszcze daleko. Na razie Marta wdycha dobre rabczańskie powietrze. Pogoda dopisuje. Piękna jest ta Rabka.

Sobota - 21 września

Dwa tygodnie temu przeżywałam bal na morzu. Jakież to wszystko stało się już odległe. Śmierć osób bliskich w dziwny sposób oddala przeszłość od współczesności, postarza nas w naszych myślach. Nie ma w tym nic dziwnego. Mimo woli rozmyślamy przy tym o własnej śmierci, a to otrzepuje barwne pyłki z naszych marzeń o szczęściu, o jakiejś pełni życia czy zadowolenia. Po prostu śmierć. Cóż wobec niej znaczą nasze radości?

Być może dlatego tkwi w nas radość na widok dzieci. To nawet jakieś zacudowanie się w dzieciach jako jedynym realizowanym przez nas w życiu fantomie nieśmiertelności.

Z bliskich rzeczy materialnych tym razem nie obeszły mnie wcale domowe rujnacje przy ulicy Hortensji. Tyle że Liza podając mi śniadanie powiedziała z przejęciem:

- Na parterze przewracają wszystko do góry nogami!

Nie wiem. Nie zapuszczałam się do wnętrza przyszłego towarzystwa akcyjnego. Podobno - już od listopada. Nowe wejście od frontu już w całości gotowe. Łączność ze starą klatką bramową odcięta. Ściany porządnie wymalowane, na pewno lakierami firmy Maltz, Ancienne Maison, rue de Quatre Pieds w Paryżu. Ciekawa jestem, gotówka czy kredyt?

Tyle że już obecnie zabrałam z sobą elegancki klucz od nowego wejścia. Wygodnie. Fasada starej kamienicy w dalszym ciągu mocno odrapana. Tym różni się od nawet paznokciem niezadrapanego frontu bankowej kamienicy starego Dubowa.

Ze stryjkiem była krótka rozmowa. Po prostu doręczyłam mu dwieście tysięcy złotych i jeszcze raz wysłuchałam opowieści o strukturze organizacyjnej obu firm. Podobno sprawa londyńska jest już daleko zaawansowana. Podnieśli nawet wysokość tamtejszego kapitału zakładowego do trzydziestu tysięcy, ponieważ przyciągnęli do interesu jakiegoś wpływowego członka parlamentu ze sfer bankierskich. Naturalnie bankowy korespondent naszego rodzinnego domu bankowego z Genewy. Wypisuję te ostatnie słowa z pewną ironią, ponieważ i moje franki zdołano już tam umieścić. Gdy się dopominałam o dalszy tysiąc funtów udziału, stryj Józef roześmiał się i powiedział:

- Czy na serio masz zamiar wkręcić się w nasze drzewo?

Ze śmiercią ciotki Magdy stryjek łączy możliwość powstania pewnych komplikacji majątkowych. Dopóki bowiem żyła ciotka Magda, wszyscy jakoś zgodnie ulegali jej osobistemu wdziękowi. Nawet doktor Kunicki. Obecnie podobno wystąpił od razu z tym, że przejmie sam pomorskie kolonie i spłaci Maksia gotówką. W dodatku zaproponował bardzo odległe terminy spłat, widocznie miał zamiar spłacać Maksia dochodem, a nie wartością substancji. Lekarz. Powinien patrzeć swoich pacjentów, a tymczasem pragnie zabawić się w wiejskiego dziedzica. Gra idzie o Różankowo i jeszcze dwie kolonie, w sumie coś koło siedmiuset morgów bardzo dobrej ziemi. Nie mamy szczęścia do szwagrów. I pomyśleć, że ten doktor wszedł do naszej rodziny niemal goły! Takie to było pokorniućkie i ciche. Takie porządne, tak bardzo wszyscy chwalili i zachwycali się! Może jednak dojdą do porozumienia. Dobrze przynajmniej, że to nie wyskoczyło za życia ciotki, byłaby się truła. Ciekawa jestem, jakie stanowisko zajęła Herta? Ona zawsze miała sentyment do swojego brata. Ale nigdy nie wiadomo, w małżeństwie ludzie zmieniają się.

Pójdę jednak spać. Jutro niedziela, ostatni dzień mojego pobytu w Rabce. Przyrzekłam naturalnie dalsze pieniądze. Pani Woźnikowa mówi o pożyczce. Ma projekty, rozmyśla nad pensjonatowym gospodarowaniem. Powodzenia!

Wtorek - 24 września

Wszystko bardzo krótko. Kupiłam tę dawną „Stellę”. U całkiem obcego notariusza w Warszawie. Aby na razie nie było śladu.

Akt na nazwisko Marty Kalatówny, zamieszkałej w Rabce, willa „Stella”. Wpłaciłam czternaście tysięcy i uregulowałam w całości koszty notarialne, taka była nasza umowa. W ciągu miesiąca od daty aktu mam zapłacić resztę ceny kupna - dwadzieścia tysięcy złotych. Według dokumentów na nieruchomości ciąży w tej chwili dług Banku Gospodarstwa Krajowego w wysokości dokładnie zł. 27 865,91 - i pozostają do zapłacenia sześćdziesiąt trzy raty półroczne z procentami od pożyczki i upłatą kapitału po zł. 679,80 półrocznie, oprocentowanie w wysokości siedmiu i pół procent rocznie. Willa została zbudowana w okresie naszej prosperity, w roku 1928. Dlatego jest taka droga i dlatego 4800 złotych rocznej dzierżawy. Była właścicielka opuszcza również dotychczas przez siebie zajmowane dwa pokoiki z kuchnią na drugim pięterku.

Były kłopoty z nabyciem na nazwisko małoletniej, mimo że przywiozłyśmy z sobą upoważnienie jej opiekunki wystawione na moje nazwisko. W ciągu miesiąca trzeba będzie załatwić sporo formalności. Pani Woźnikowa ma pojechać w najbliższych dniach do Grudziądza po różne dokumenty.

Willa zmieni swoją nazwę. Będzie nazywała się krótko i po polsku: „Magda”. Tak to sobie obmyślałam. Mała Marta jeszcze nic nie wie o tej nowinie. Niech śpi spokojnie! Najbliższy byt małej został mniej więcej zabezpieczony. Po potrąceniu wszystkich podatków i rat BGK willa winna przynosić z samej dzierżawy prawie trzy tysiące złotych na czysto.

Jutro napiszę krótki i serdeczny list do wujka Kowalskiego: zgoda.

Przelotnie wpadłam do „naszego sklepiku”, jak mówi generałowa, nawet razem z nią. Panna Beata już dyskontuje srebrny medal z Targów Lwowskich. Łącznie z dyplomem oprawionym w bardzo gustowne ramy stanowi obecnie atrakcję naszej wystawy sklepowej. Kupiec powinien wykorzystywać wszystkie możliwości, tak powiedziała mi dzisiaj panna Walczak.

Jutro czeka mnie krawcowa. Ostatnia przymiarka, z dawna przeze mnie odkładana, jeszcze przed wyjazdem na morze. Czarny jedwab imieninowy mojej siostry Zofii. Generałowa upiera się przy nowej sukni na uroczystości ślubne w Hermsdorfie. Co do mnie, mogłabym włożyć starą suknię, tę jeszcze z czasu dwóch ślubów. Myślę jednak, że generałowa ma rację, ta suknia wzbudziłaby niepotrzebne wspomnienia u Leokadii, która z ciekawości jedzie razem z nami. Szkoda, że nie może zabrać z sobą starego naszyjnika Jamborów. Ale przeszkody z granicami. Sama jeszcze nie wiem, czy włożę moje butony, mimo że mam ochotę. Sprawiłoby mi to wielką przyjemność. Co innego zresztą zwykle butony, inna jednak sprawa z teatralnie wyglądającym naszyjnikiem ze starych diamentów. Zobaczę jeszcze i rozpytam się wśród znajomych, jak to jest naprawdę z przewozem biżuterii.

Na promocji wystąpię na czarno, w którymś z moich kostiumów à la ongiś napotkany filmowy magazyn kanadyjski. Skromnie i poważnie. W koronie moich jasnych włosów, jak się śmieje Marcin. Nabierają one obecnie jakiegoś rudawego połysku, to jest u nas dziedziczne, nie przeszkadza, ja to nawet bardzo lubię. Nie mam zamiaru zmieniać koloru włosów.

Na zrobienie białej sukni sporo czasu. W trzy dni. Wyjeżdżamy w poniedziałek w nocy, sleepingiem. Spotkanie całej rodziny w Berlinie u Heinricha. Promocja o godzinie wpół do dwunastej w południe. Ta narzeczona na pewno nie ucieknie z kochankiem do Szwajcarii! Jak to powiedziały niemieckie ciotki? Nie posiada... złej krwi francuskiej. To już niedługo. Druga Anna Jambor. Moich córek chrzestnych nie ma co liczyć, jedna z nich Tuchołkówna, druga Kowalska.

Pojutrze biuro. Bez entuzjazmu. O ile skończą mi przepisywanie mojej pracy, zabiorę ją z sobą i w drodze powrotnej zawiozę profesorowi Sułkowskiemu do Poznania. A później cichutko i przykładnie usiądę na chwilę u siebie w domu przy ulicy Hortensji, trzeba przecież zdać ostatecznie tę resztę czwartego egzaminu prawniczego.

Dlaczego ja to wszystko spisuję? Niemal dzień po dniu. Widocznie pisanie weszło u mnie w nałóg. Bardzo często od razu sięgam po dwie rzeczy. Otwieram torebkę, zapalam papierosa i równocześnie biorę do ręki bloczek. Gdy pożyję jeszcze trochę na świecie, zbiera się tego sporo w rodzaju ośmiu tomów Samuela Pepysa. Jednak nie strawiłam nawet tych dwóch tomów wyciągów. Wszystko w kółko Macieju. Codzienne zajęcia w charakterze urzędnika królewskiego pomieszane z domowymi kłopotami. Człowiek to był bardzo despotyczny, zarozumiały, z wysokim pojęciem o swojej osobie, w miarę kłaniający się, ale przede wszystkim egoista, egoista. W gruncie rzeczy mocno powtarzający się. A ty, Anno?

Środa - 25 września

Jutro odbieram ostateczny czystopis mojej pracy dyplomowej. Na parterze stukają młotki i przez tylne wejście od podwórza wnoszą różne materiały. Mogę to obserwować z okna mojego pokoju sypialnego. Zakładają centralne ogrzewanie. Pogoda. Jutro do biura. Usiądę na kilka dni, jak trusia.

Czwartek - 26 września

Na odmianę deszcz od samego rana. Siedzę w biurze i przewracam różne papierzyska. Obaj moi starsi referendarze to dwa śmierzące nygusy. Patentowane lenie. Naturalnie cyfry i nazwy różnych towarów, jak się to u nas nazywa. Rozważania, co skąd sprowadzić i na co nakładać cła ochronne. Każdy z importerów ma swoje własne idee i nie wątpię ani na chwilę, że poza tym wszystkim tkwią interesy. Sobie dużo, państwu jak najmniej! Na świecie nie ma bezinteresowności: do ut des.

Półgodzinna rozmowa z moim dyrektorem. Wszyscy w dalszym ciągu rozmawiają o wycieczce na statku, najwięcej zaś wykazują zainteresowania ci, którzy nie brali w niej udziału. Jak było? Zdażyły już powstać różne legendy o sprawach, których nie było. Ludzie wyobrażają sobie, że każdy uczestnik wycieczki musi obowiązkowo wiedzieć o wszystkich wydarzeniach. Plotki, ploty i ploteczki. Nawet Wirewiczowa już wie dokładnie, kto z kim, gdzie i ile razy. Podobno przeważnie nie na statku, lecz po drodze w różnych Malagach i Algierach. Wynika z tego, że wszyscy, którzy nie siedzieli bez przerwy i na oczach innych w autokarach, przeważnie łajdaczyli się w różnych hotelikach i domach publicznych. Gadanie austriackie.

Przebudową kamienicy dyryguje osobiście nasz wielce obrotny administrator. Dzisiaj mają wnieść pancerną szafę przez okno od strony podwórza, ponieważ nie da się inaczej. Okno ma zostać następnie mocno okratowane. Nie wiem, po co, przecież większe pieniądze i tak przechowuje się w bankach. Chyba w celu uniemożliwienia kidnaperom porwania kasjera. W takiej kasie przechowuje się jedynie dokumenty ważne dla firmy oraz te weksle klientów, które nie idą do banku. Głupstwo!

Wieczorem. Na kolacji byłam na Mokotowie. Jutro Zosia wyjeżdża do Lozanny. Jej pokój u Wieroczki jest już całkowicie przygotowany na przybycie. Przewieźli jej nawet ulubione książki i graciki. Ma dobrze. Przypominam sobie, jak obie z Zośką z wywieszonym językiem latałyśmy po całym Poznaniu w celu wynajęcia mojego pierwszego pokoiku studenckiego. Ulica Młyńska, pokój ze szklanymi drzwiami do sąsiedniego pokoju, zajmowanego podówczas przez Leokadię. Treść mojego ówczesnego życia łącznie z karteczkami, na których wypisywałam sobie kilkanaście słówek angielskich do wyuczenia się na pamięć jak papuga. Troska, aby nie przeoczyć jakiegoś wykładu na uniwersytecie.

Ale to wszystko już przeszło. Minęło. Wspomnienia nawet same rozbiegły się na wszystkie strony świata, jak jesienne liście. Obojętnieję na takie rzeczy. Nie bawią mnie. A równocześnie w dalszym ciągu nie wiem, do czego dążę i czego chcę w życiu. Czego oczekuję od życia.

Piątek - 27 września

List od Anny i miły dopisek od jej ciotki. Data ze wsi. Do tej chwili nie kupiłam jeszcze żadnego prezentu. Nie umiem się zdecydować. Bransoletka wydaje mi się prezentem banalnym. Co prawda pokazywano mi taką, która wzbudziła moje zainteresowanie, ale nie była na moją kieszeń. Siedem brylantów dwukaratowych, dobranych, czystej wody, oprawionych w niewidoczną platynę, obok siebie, a umocowanie na przegubie w postaci wąziutkiej niteczki, również platynowej. Ponad dziesięć tysięcy złotych. Operuję wyrażeniem jubilera, ponieważ dokładna cena 14 800 złotych. Bagatela. Nie było jednak w pobliżu pana Zajlicza. Zapytałam przy tej okazji o cenę butonów, takich sobie, po trzy do czterech karatów. Uśmiech był w odpowiedzi jubilera: od sześciu do dwudziestu tysięcy. A zatem przypuszczalnie gdzieś pośrodku.

Zabrać czy nie zabrać do Hermsdorfu? Granica, rozmaicie radzą. I tak, i nie. Nie jestem zdecydowana. W ostatniej chwili, jak zwykle w takich wypadkach.

Sobota - 28 września

Naturalnie mam urlop. Polski urlop, ale mam. Po prostu nie przyjdę do biura i będzie nazywało się, że jestem chora. W nagrodę za to, że nie wykorzystałam całego września, tak mi powiedział mój dyrektor. Podobno szykują nowe wyjazdy zagraniczne, tym razem do Szwecji. Nie znam się na tamtych sprawach. Ale powiedziano mi coś przyjemnego: dla pani również, ale w innym kierunku. Ciekawa jestem, dokąd i kiedy. Powoli się dowiem, nie jest to znów taka tajemnica. I tak zrobiłam minę, jak bym już wiedziała. Tak zawsze trzeba.

Pierścionek. Mam jakąś skłonność do szmaragdów. Kwadratowy, duży, ze ściętymi narożnikami. Na razie goły kamień w cenie dwóch tysięcy sześciuset złotych. W ciągu jutrzejszej niedzieli mają mi wykonać oprawę. Stara złota oprawa, robota ażurowa. Dorobią jedynie oprawę samego kamienia i wszystko razem złączą w całość pierścionka. Dodatkowe trzysta złotych, Będzie gotowe w poniedziałek na godzinę jedenastą rano. W dawnym pierścionku był sygnet, sprzedający wyjął kamień i zachował go sobie na pamiątkę do lepszych czasów. Podobno stara wenecka robota.

Stroje są również gotowe. Był list od Heinricha. Chłopiec ma przyszłość przed sobą. List spokojny, charakter opanowany, najmniejszego śladu zdenerwowania. Ja na jego miejscu byłabym jednak mocno poruszona. Ślub, małżeństwo, to jednak wielka zmiana w życiu. Zasadnicza.

Niedziela - 29 września

Ledwo żyję. Wczoraj koło północy zwała się do mnie moja siostra Zofia, ciotka Katarzyna i Mela. Osobno Kunicki, ale stanął w hotelu, nie wiadomo dlaczego. Nie mam czasu na długie opisy. Całe to bractwo zostaje w Warszawie przez kilka najbliższych dni. Honory domu. Ciotka Katarzyna. Po raz pierwszy w tym mieszkaniu. Oglądanie wszystkich kątów. Dzisiaj po obiedzie powiedziała mi, sama nie wiem, jakim tonem i w jakiej intonacji:

- Anna postawiła na Marcina i ta karta okazała się dobrą. Nasza Anna zrobiła w Warszawie karierę.

Nie mam czasu na rozmyślanie. Na wieczór zaprosił Mokotów.

Poniedziałek - 30 września

Piszę w biurze. Koło południa ma przyjechać z Górek Leokadia. Samochodem. Teraz dopiero wszystko rozumiem. Były poważne nieporozumienia w rodzinie i ciotka Leokadia wygarnęła prawdę doktorowi Kunickiemu. Herta rozchorowała się ze zmartwienia, najłatwiejsze wyjście. Ja na jej miejscu zabrałabym dzieci lub jeszcze lepiej po prostu wyprosiłabym pana Kunickiego z mieszkania. Przecież dom i mieszkanie są jej własnością. Doktor Kunicki? Przybłęda. Co on miał przed ślubem? Goluteńki dyplom i perspektywę wegetowania w oczekiwaniu pacjentów po trzy złote.

Chodzi o pomorskie morgi. Kunicki chciałby wykiwać swego szwagra. Maksiu macha na wszystko ręką, przejął się porządnymi zasadami Orzechowskich i nie jest ani trochę chciwy na pieniądze. Jemu chodzi raczej o miły spokój i zdrowie Herty. Ale podobno Kunicki okazał ordynarne rogi, pomimo sygnetu z herbem, obnoszonego na palcu.

Ciotka i Mela mają do załatwienia jakieś interesy, co potrwa dłużej, Zośka w pogoni za jakimś terminowym zamówieniem dla wojska. Koresponduje w tej sprawie z Mokotowem i stąd pochodzi wczorajsze zaproszenie. Na szczęście prawie bez obcych. Mokotów - niegłupi.

Ciotka Katarzyna zazdrosna. Jakoś przeboleła już dom w Poznaniu. Zapłaciłam przecież dobrze i gotówką, nie powinni mieć do mnie pretensji, ale z krewnymi to nigdy nie wiadomo. Osa. Choć wyprostowała swoje maniery, w dalszym ciągu wyskakuje z niej od czasu do czasu

dawna żona sekretarza sądowego. Co prawda wujek Świetlik był w porządku, przykrą była jedynie dulszczyzna ciotki Katarzyny.

Prezentu dla Anny nie pokażę moim pomorskim krewnym. To przechodziłoby ich kredkową wyobraźnię. Butony zabieram. *Qui ne risque rien, n'a rien*. Tamtejsza pomerańska rodzina na pewno będzie wymizdrzona i wybrylantowana. Sąsiedzi Hermsdorfu na to wyglądają, co drugi to graf.

Idę do jubilera. Później wpadnę do „Europy”, generałowa jest ciekawa szmaragdu.

Cena kupna - dobre szesnaście, przy sprzedaży prywatnej można by uzyskać koło czternastu, w sklepie od dwunastu do trzynastu. Brylanty są pierwszej wody. Generałowa zachwycona kamieniem i oprawą. Kawiarniane przyjaciółki również. Naturalnie zazdrość. Butonów na razie nie pokazałam, zachowuję sobie zdziwienie do innej okazji.

Koniec z pisaniem. Zwalili mi jeszcze jedną teczkę. Przetrzymają mnie dzisiaj - murowane - do piątej. Psiakrew, przecież wiedzą, że wyjeżdżam. Nie jestem cudownym dzieckiem, aby w try miga, jak moi pomocnicy, którzy wszystko traktują po łebkach. Psiakrew, psiakrew! Ale cóż mi to pomoże?

Poznań - sobota - 5 października

U siebie. Miał stary doktor rację, gdy napisał w swoim testamencie: Aby pani Anna miała spokojne schronienie, gdy jej dokuczają przeciwności życiowe! W dalszym ciągu rezyduję w gabinecie, tu czuję się najlepiej. W tym pokoju zamknęło się wiele moich młodzieńczych westchnień i pożądań! W mieszkaniu nie zmieniono najmniejszego drobiazgu, w dalszym ciągu posadzki wyfroterowane jak lustro, najmniejszego pyłku, mieszkanie przewietrzane codziennie. Mimo woli oglądam się, czy nie otworzą się drzwi z hallu i nie pojawi się w nich sylwetka mojego pierwszego, szczerego i naprawdę życzliwego przyjaciela.

Obecnie zjem kolację, którą stara gospodyni poda mi z rodzinną niemal serdecznością: - Panienska do nas tak rzadko zagląda. - Do nas. Być może podświadomie łączy moją osobę z dawnymi czasami. Miłe. Bardzo serdeczne, znacznie prostsze od mojego oficjalnego apartamentu przy ulicy Hortensji. Ze służbą i z tym kimś w rodzaju wszechmogącego butlera. Nawet Marcin tak go nazywa, za moim przykładem.

Mała również ma swój własny dom, pomimo że na razie nie zdaje sobie sprawy z tego faktu. Dwadzieścia tysięcy wręczę spokojnie i bez cudów pani Woźnikowej, która według zapowiedzi ma zjawić się u mnie w Warszawie koło dziesiątego. Po raz pierwszy osobiście w moim domu. Jak ona załatwiła grudziądzkie sprawy?

Kolacja.

W dalszym ciągu te same lokatorki. Spokojne i zrównoważone. Wspólny stół. Frykasy na moją intencję. Ale codziennie również jest bardzo dobrze, tak twierdzą.

Niedziela - 6 października

Promocja była niezwykle uroczysta. Panowie we frakach, Niemcy, a zatem dziwnie sztywni. Nowy doktor z bogatego domu, nie brak więc przyjaciół przyszłej rodziny. Na pierwszym planie Herr Carl von Goltorpp z Zinnrode i dwóch bliskich krewnych w generalskich uniformach. Rodzina Wetzbergów z Düsseldorfu w komplecie. Zamożni ludzie. Bardzo. Zinnrode to jedynie jakiś dodatek dla owego przyszłego z adoptacji von Goltorppa. Babcia Elżbieta dobrze zachowana. Jeszcze bardziej władcza od Marii Luizy. Pewność siebie, jaką dają wielkie pieniądze.

Lustrowali mnie na berlińskim przyjęciu. Oba przyjęcia w hotelach. Pierwszą lampkę wina z południowym śniadaniem na pięćdziesiąt osób wydał nowy doktor medycyny, kolację - głowa rodziny Goltorppów. Przydały się moje toalety. Na wieczorowym przyjęciu w gabinecie sali restauracyjnej Anna wystąpiła w czarnym lionskim jedwabiu, mocno wydekoltowana i z butonami w uszach. Zdziwienie Leokadii: skąd mam. Umiarkowany chłód

towarzyski. Nowe określenie mojej osoby: *Fräulein Ministerialrat*, dla podkreślenia, że tytuł nie pochodzi od męża. U nich kobiety nie dochodzą do takich stanowisk. W dodatku: nasza kuzynka, z von Jamsborcków. Leokadia w charakterze ciotki i od razu: *Rittergutsbesitzerin*. Niemcy kochają się w dokładnych określeniach zawodu, pochodzenia i majątku. Gdyby mogli, ponumerowaliby wszystkich ludzi na świecie i dla każdego z nich wynaleźliby osobny mundur, nazwę i odznaki.

Ślub w starym hermsdorfskim zborze. Uroczysty i poważny dr Willy Schmidt. Wszystko związane na ostatni guzik. Wszyscy z okolicy. Uczta weselna na sto osób. Szwagier Anny, mąż Doroty, w ponurym wydaniu butnego Prusaka. On jeden zjawił się w jakimś uniformie. Gdańsk wybrnął bardzo dobrze, zjawiły się oba małżeństwa. Stryjek z żoną Elfrydą z domu Jung i pani Felicja z domu Garden, z mężem von Hartmannem. Od razu się przywitani jak starzy znajomi, mam na myśli von Hartmanna i dr Bolda z Monachium. Ten ostatni jest podobno wielką szyszką w obecnym systemie Adolfa Hitlera.

Moc prezentów. Na składanie ich przeznaczono osobny pokój. Herr von Goltorpp wręczył Annie teczkę biurową wykonaną z czarnej skóry lakierowanej, a wypchaną porządnymi akcjami.

Doktor Bold jest niechętnie widywany w Hermsdorfie. Całe szczęście, że tam tylko jakiś czas jeszcze będą królować jego posagowe hipoteki. W majątku pozostaje sama Brunhilda. Ale i tak kiedyś nowy obcy człowiek wejdzie do jednego z naszych gniazd rodzinnych. Trudno. W ten sposób dochodząc czy myśląc, trzeba byłoby dochodzić własnego kąta... w biblijnym raju.

Moje niemieckie pochodzenie. Właściwie jakieś mocno mieszane. Na tym terenie przewalały się różne narodowości. W dodatku w obu rodzinach Jamsborgów i Hermsdorfów były kobiety szwedzkiego pochodzenia, córki pastorów i żeglarzy. Kosmopolityzm. Ta daleka krew i tak została zmieniona przez babkę i prababkę. Nowa historia rodów Kaczmarków i Kawczyńskich. Mocna chłopska przymieszka. Silna w swoim uporze. Doskonale odczuwam ją we mnie samej. Rozumiem to nawet w ten sposób, że bliska mi latorośl pradziada Martina została jakby na nowo zaszczerpiona na zdrowym pomorskim pniu Kaczmarków i Kawczyńskich, Wildorfowie byli w tym wypadku jakby nieważni.

Marcin i Florencja na bardzo krótko. Przyjechali wprost do Hermsdorfu. Tylko tyle, że na drugi dzień po ślubie wracaliśmy wspólnie do Berlina. Nowe zlecenia, mniej więcej za miesiąc awizowany przyjazd Marcina do Warszawy. Florencja przyglądała się moim butonom, ale z daleka, nie zadawała żadnych pytań. Oboje reklamowani jako Szwajcarzy. Ciekawe, o polskości nie było mowy. O Polsce na ogół dyskretnie i półgębkiem. *Warschauerregierung* - nic więcej.

Gdy przymawiałam się o dalszy tysiąc funtów udziału w Londynie, oboje z Florencją śmiali się. Mam napisać polecenie przelewu na konto Marcina w Genewie. Spróbuję zabluffować i zamiast z konta u Dubowa, przekażę ten tysiąc z Paryża. To ich zaintryguje.

Z nowin chyba to jedno, że ostatnie wiadomości od Zajlicza pochodzą z Egiptu. Tak daleko go zagnało. Moja prowizja? Ale trzeba odczekać na wiadomość od niego, mógł na przykład wyjechać tam na wakacje. Chociaż obecnie nie jest sezon na wycieczki porządnych ludzi do Egiptu. To dobre tylko w zimie.

W pociągu pusto. Usiadłam w wagonie restauracyjnym nad porcją czarnej kawy, tortem mocca i butelką wody ostromeckiej. Pusto, w niedzielę nikt nie jeździ popołudniowymi pociągami.

Cóż jeszcze napisać? Sułkowski zadziwił się objętością „skryptu”. Był zadowolony, gdy go uprzedziłam, że pomieściłam dość obszerną charakterystykę zagranicznego ustawodawstwa w tej dziedzinie. Wydawał się zdziwiony. Wypytywał się, co robię, czy jestem zadowolona z pracy w ministerstwie. Informowałam oględnie. Przynależał przestudiować moją pracę w ciągu dwóch tygodni, obecnie trwają jesienne egzaminy. I tak

krótki termin, Uprosiłam asystenta, aby zapytał profesora o wynik i dał mi znać do Warszawy. Zostawiłam mu dla lepszej pamięci zaadresowaną kopertę ze znaczkiem pocztowym. Przyrzekł, zobaczymy, czy dotrzyma.

Z butonami nie miałam kłopotu. Celnicy z obu stron rewidowali dość ospale. Celna kanikuła. Gestapowców tym razem nie było. Ofiarowany przeze mnie pierścionek Anna włożyła od razu na palec. Jeszcze przed pójściem do zboru. Obecnie będę miała w Wiedniu gościnny pokój u stryjecznego brata. Ale Matylda Matyldą. Podobny charakter do mojego, a z naszą nową Anną Jambor jeszcze nie wiadomo, jak będzie.

Pastor Schmidt czuje do mnie sympatię. Może dlatego, że zaraz po oficjalnych powitaniach kuzynów wśliznęłam się do jego biblioteki. Opowiadał mi tym razem o losach pozostałych dwóch braci ostatniego Fryderyka von Jamsborck, ojca owego Fryderyka Okrutnego. Syn najstarszego z nich, Wilhelm, był na służbie angielskiej w Hannoverze i ożenił się w roku 1765 z rodowitą Angielką. Jego znów syn, Karol, wyemigrował ostatecznie w roku 1825 do Ameryki Południowej. Przebywał początkowo w otoczeniu boliwijskiego generała Bolívara, później ślad po nim zaginął. Przechowane w hermsdorfskim archiwum listy tego Karola są bardzo ordynarne, adresowane naturalnie do Fryderyka Okrutnego. Ciekawe, ten krewny, podpisujący się bardzo zamasyście, pisał nazwisko w sposób dla mnie nowy: Charles Jamsborgh Esq. W dodatku londyński adres pochodzi z roku 1818. Wyraźne pismo, listy po angielsku, wspomina nawet, że: ...nie ma zamiaru być potulną owcą, jak jego kuzyn Martin, któremu według praw Bożych i ludzkich należy się majątek po jego rodzonym dziadku i po rodzonej babce zu Hermsdorf.

Ludziom się nawet nie śni, jaka czasami była historia ich przodków. To są dzieje sprzed stu i dwustu lat, a co musiało się dziać w okolicach zameczku pod Stralsundem w dawnych czasach?

Pociąg sunie równiutko, właśnie przejechaliśmy Łowicz, Warszawa już niedaleko. Wracam sama. Nasza kochana Leokadia pogrzmiała z rodziną do Gdańska. Lubi jeździć, lubi tryndać się po świecie, mówi, że odrabia jałowe lata spędzone w poznańskim banku.

Wieczorem - w Warszawie

Kilka listów. Od pani Woźnikowej, ogłędny w treści, to dobrze. I - od pana Franciszka Józefa. W kopercie, list pisany, jak mówi Liza, u mnie w gabinecie i na moim papierze listowym. Pan Liteński bawił w Warszawie przejazdem, żałuje, że mnie nie zastał, w załączeniu banknoty dolarowe i tak dalej, grzecznościowe wykretasy. List z Wiednia, od Matyldy, pisze, że słyszała o dacie ślubu, już z góry cieszy się na nowych znajomych. Spodziewa się w Wiedniu Elzy Dubow. Trzeba będzie zaraz odpisać, zaprosić, przypuszczałnie i tak nie przyjadą! Warszawa nie jest dla nich atrakcyjna. To tylko... Warszawa.

Na peronie zjawił się generał i zawiózł mnie na kolację do willi na Mokotowie. Byli spragnieni relacji z pierwszej ręki o ślubie w Hermsdorf. Ledwo się wywinęłam, ponieważ w okamgnieniu zebrały się dwa stoliki do brydża. Idę spać, jutro biuro.

Poniedziałek - 7 października

Ledwo usiadłam w biurze, a już zjawił się nasz totumfacki administrator z ulicy Hortensji. Jemu tylko dać pieniądze do ręki! Ale chyba nie dorobi się, bo pije. Ponadto chodzą wieści... że lubi dziewczynki. Ludzie ponad miarę interesują się swoimi bliźnimi. Co mnie do tego, grunt, że jest obrotny. Reszta to jego rzecz.

Mam dać odpowiedź jutro, najdalej do godziny drugiej po południu. Zawracanie głowy, nikt tak w ciągu jednego dnia nie wytrzyma dziesięciu tysięcy złotych! W dodatku perspektywa wydania w krótkim czasie dalszych sześćdziesięciu tysięcy. Mam czas, poczekam kilka dni, na przykład do środy.

Interes prosty jak drut, według totumfackiego, a mocno krzywy poza tym. Otóż dwa szkielety sąsiadujących z sobą domów przy ulicy Mińskiej na Grochowie. Domy trzypiętrowe, bez dachów, gołe mury, przed zimą trzeba byłoby je przykryć dachem, wprawić okna i drzwi. Budowniczy, który przebudowywał nasz parter na Hortensji, zapewnia, że wszystko się uda. W zimie można by wstawić podłogi i piece oraz kanalizację, a wczesną wiosną pomalować wewnątrz i zaraz wynająć.

W sumie - w obu domach komorne spodziewane w wysokości około dwudziestu pięciu tysięcy złotych rocznie. Domy wolne od podatków, ponieważ podlegają ustawie o ulgach z roku 1933.

Historia budynków jest wielce osobliwa. Budował je subiekt jakiejś hurtowni kolonialnej, powiedzmy kierownik. Bardzo niewyraźne opowieści po drodze, ostatecznie palnął sobie w łeb i dlatego stanęła budowa. Budował systemem gospodarczym, w spółce z krewnymi, ale już w kwietniu przerwano roboty. Bank nie chciał dalej finansować, w hurtowni powstały jakieś nieporozumienia z właścicielami. Wdowa i syn na trzecim roku uniwersytetu. Jedyni spadkobiercy, do zapłacenia jeszcze podatek spadkowy. Ciekawe. Stoję przed zagadnieniem natychmiastowej decyzji, podobnie jak gracz, który trzyma w ręku dwie karty i zastanawia się, czy dobrać sobie trzecią kartę. Już mówiłam, Mokotów chce mi zaliczkować pięćdziesiąt tysięcy na konto bieżących interesów z Zajliczem. Wirewicz powiedział mi dzisiaj w „Europie”, że oni gwizdzą na zarządzenia o embargo i bankowe, uchwalone ostatnio przez radę gabinetową w Londynie. To spowoduje jedynie wyżkę cen materiałów zbrojeniowych, będą wozic obecnie pod flagą panamską. Są dobrej myśli. Przy następnych transportach podniosą ceny i tyle. Nawet moje skromne warszawskie ćwierć procent urasta obecnie do poważnych sum.

Czuję, że dzisiaj w nocy nie będę mogła usnąć. Budzi się we mnie żyłka spekulacyjna naszego dziadka Jambora! On również spekulował domami, położyły go jedynie polskie historie inflacyjne. Tego nie obliczył i tego nie przewidział. Nie on zresztą jeden! Nie zwierzałam się wobec Mokotowa, na co będą potrzebne mi pieniądze, pomimo że generałowa powiedziała żartem: - Naszej Annie topnieją pieniądze w rękach.

Środa - 9 października

Głupstwo czy nie? Zabluffowałam. W południe postawiłam ultimatum:

- Daję osiemdziesiąt tysięcy gotówką i namyślcie się państwo, ale najpóźniej do godziny szóstej wieczór, ponieważ mam równocześnie inne możliwości.

Byli u mnie w domu, krótko po piątej, usiłowali targować się. Przyprawdzili nawet z sobą naszego administratora, który za nimi przemawiał. Byłam twarda, nie postąpiłam ani jednej złotówki. Wszystko zależy od pogody, niespełna miesiąc czasu przed nami. Zima. Domy nie są pokryte. Trzeba będzie trochę przepłacić, ale wczoraj rozmawiałam obszernie z budowniczym. O wpół do siódmej siedzieliśmy już u naszego notariusza. Zapłaciłam koszty notarialne i dziesięć tysięcy złotych zadatku. Jutro raniutko wpis i reszta pieniędzy. Praktycznie pojutrze będzie można zabrać się do dalszej budowy. Już sobie zapewniłam pieniądze. Pięćdziesiąt tysięcy daje Mokotów czekiem na Bank Handlowy, piętnaście wezmę z konta Marcina, a resztę ze sklepu. Pojutrze stanę bez pieniędzy. Ale na widoku przecież świeża gotówka od wujka Kowalskiego. W każdym razie zabluffowałam.

Sobota - 12 października

Istne szaleństwo. Ale od poniedziałku robota poleci! Teraz, gdy kupiłam szkielety domów, to budowniczy mówi o trudnościach. Zabajerowałam go jednak opowieściami, że dokończenie dwóch domów na Grochowie to głupstwo, że zamierzamy wybudować kilka dużych domów czynszowych na Puławskiej. Zaintrygowałam go pytaniem, czy nie ma na widoku poważniejszych placów w tamtych stronach, kłamałam, mówiłam gładko o jakimś

milionie złotych, który chcemy umieścić w placach jeszcze w tym roku. Chłop z miejsca zabrał się do roboty. Wręczyłam mu dziesięć tysięcy zadatku, podjęłam w dalszym ciągu z konta Marcina. Nie urwie mi przecież głowy. Dzisiaj napisałam na wszystkie strony o pieniądze, nawet do Tuchołków, do Zośki i specjalny do wujka Kowalskiego. Do tego ostatniego w ten deseń, że czekam na owe sto tysięcy gotówką, umówione we Lwowie. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Bluff, bluff, ale psiakrew, całe nasze życie na tym polega, jeżeli człowiek nie chce, aby go zjadły wszy i głód. W ogóle żyjemy złudzeniami i właściwie robimy grzeczność Panu Bogu i ludziom, że istniejemy i kręcimy się po świecie! Kiedyś, gdy ludziom znudzi się do reszty nasza ziemia, sięgną po dowcip i wyniosą się na inną planetę, a tutaj wszystko obrośnie trawą i będzie koniec. Ale wygłupiam się. Do rzeczy zatem! Co tu dużo mówić. Jestem zemocjonowana znacznie więcej niż gracz na wyścigach. Nie taki - zawodowy, lecz taki, który po raz pierwszy wybierze się na tor wyścigowy i chce wygrać fuksa od razu w pierwszym biegu. Niegdyś z pogardą patrzyłam na ofiary ślęczenia nad kołem ruletki, dzisiaj doświadczam tego samego, tylko że w inny sposób i w szerszym zakresie. Ostatecznie czym ryzykuję? Jakąś stratą czy niepowodzeniem w terminach? Bądź co bądź zamiast płacić w przyszłym roku podatek dochodowy urzędowi skarbowemu, bulę to wszystko na obecne wkłady w budowę domów. Wyścig pomiędzy mną a temperaturą i pogodą, które w tym wypadku są sprzymierzeńcami urzędu skarbowego.

W każdym razie czekają mnie przykre tygodnie. Jutro rano przyjeżdża pani Woźnikowa, mam dla niej tylko cztery i pół tysiąca złotych, więcej nie mogłam na razie zgromadzić. Ta druga współniczka również powinna coś wydłubać! Do 25 października mam czas z zapłaceniem reszty ceny kupna. Prawie dwa tygodnie czasu, przecież skądś napłynie gotówka.

Pan Karol Petras kiwa głową. Woził mnie już kilkakrotnie na ulicę Mińską, według niego mury są względnie masywne. Wstyd przyznać się, ale dzisiaj późnym wieczorem wsiadłam do taksówki i kazałam się tam zawieźć. Mój stróż - mam już stróża! - był taki sobie, w miarę ululany, ale do rzeczy ze mną rozmawiał. Dałam mu nawet przy pożegnaniu srebrną pięcioletówkę, czym wzbudziłam w nim entuzjazm i zaufanie. Zaraz opowiedział mi różne dodatkowe historie, głównie o możliwościach łatwego wynajęcia mieszkań, ponieważ w pobliżu znajduje się kilka większych fabryk. „Pocisk”, Borkowscy, Szpotański i tak zwana „Dzwonkowa”. Nie pytałam go, co to jest za fabryka, nie wypadało przyznawać się do nieświadomości. Gdyby mi ktoś powiedział przed tygodniem, że kupię takie gołe mury, byłabym go wyśmiała. Tydzień temu? Byłam w Poznaniu i rozpamiętywałam moje cielątkowe lata.

Jestem przejęta. Mam cel, który mnie aktualnie interesuje. To przecież lepsze niż wyścigi.

Niedziela - 13 października

Przejęta kupnem „Magdy”, ponieważ już tak nazywa swój pensjonat. Odmłodziła, pełna zapału, oczy błyszczące. Ludzie muszą mieć jakiś cel w życiu. Ja mam obecnie również taki cel. Sama to wypisałam nie dalej jak wczoraj wieczorem. Doprowadzenie budowy do końca, a później znów będę trwała w pogoni za czymś nowym. One wpłaciły tej krakowskiej pani Dekorde tylko dwa tysiące zadatku na komorne, co do reszty umówiły się, że dopiero w końcu stycznia, gdy rozkręci się interes z pensjonatem. Bardzo dobrze, ponieważ w Berlinie przyszło mi na myśl, że nie uwzględniliśmy komornego za rok 1936 przy ustalaniu ceny kupna. Te dwa tysiące są zatem do potrącenia, skoro dom został nabyty we wrześniu. Mówiłam pani Woźnikowej, że mam na razie trudności gotówkowe. Prawie się wystraszyła. Wspomniała, że przecież mam z siostrą w Wąbrzeźnie sklep z bławatami. Wyprowadziłam ją z błędu, mówiąc, że już nie posiadam tego sklepu. Przestraszyła się poczciwa dusza, wyobraziła sobie, że sprzedałam moją część sklepu i za te pieniądze urządziłam sobie

luksusowe mieszkanie w Warszawie. Nie prostowałam. Miałam wrażenie, że pani Woźnikowa jest zadowolona z obrotu sprawy, to znaczy z kupna rabczańskiego domu na nazwisko Marty. Nie uświadamiałam, niech tak będzie. Pani Woźnikowa jest sędownie ustanowioną opiekunką Marty do spółki z jakimś dalekim krewnym jej zmarłego męża, starym emerytem pocztowym, zamieszkałym w Grudziądzu. Mieszkanie po mężu zlikwidowane, meble zostaną przewiezione do Rabki jeszcze w tym miesiącu. Tak samo z meblami krakowskiej profesorowej. Zbieranina, lecz rozsądek każe mi nie sprzeciwiać się takiemu obrotowi sprawy. W ten sposób w obu kobietach utwierdza się poczucie jakiejś solidarności. Niech leci, jak leci, niech pracują i niech sobie trochę połamią głowy. Podobno Marta mocno przywiązała się do pani Horodyńskiej. Nowa ciocia. Tak zawsze bywa.

Wtorek - 15 października

Już pracują na budowie. Budowniczy rzucił wszystkich ludzi, jakich miał. Akord z terminem, ludzie starają się. W dodatku mówiłam przy ludziach na budowie, że nie przerwiemy roboty w zimie. Wykończeniowe prace wewnątrz domu. Mury podobno są wyschnięte, gdyby nie samobójstwo pana Piaseckiego, byłby domy wykończył jeszcze w terminie jesiennym. Gdybyż to było wpadło w moje ręce miesiąc wcześniej! Naprzeciwko już mieszkają lokatorzy, mimo że budowano w jednakowym czasie. Dotychczas Mokotów jeszcze nic nie wie o moich domach.

Czwartek - 17 października

Stryj Józef w Warszawie. Przyznałam się. Stryjek złapał się za głowę. Nic nie mówił, tylko wsadził mnie do samochodu i pojechaliśmy oglądać. Obejrzał wszystko od dołu do góry, zachodził nawet do piwnic, rozmawiał z ludźmi. Kiwał głową i dopiero w mieszkaniu powiedział mi:

- Ty, Anno, masz żydowską głowę do interesów! Skąd się u ciebie biorą takie pomysły?

Według stryjka kupiłam mury bardzo tanio, przynajmniej od dwudziestu pięciu do trzydziestu tysięcy poniżej rzeczywistej wartości. Widocznie inni reflektanci ociągali się z kupnem z powodu późnej pory. W dodatku w tych stronach budują ludzie średniozamożni i takie interesy są montowane powoli, przy zbieraniu gotówki od krewnych i znajomych.

W każdym razie dachy będą gotowe w pierwszych dniach listopada, okna i futryny drzwiowe są już w drodze, porządne, starachowickie. W charakterze szefa zakupów nasz administrator, na pewno zarabia na tym swoje procenty, ale gdyby nie on, to byłby ktoś inny, a ja się na tym nie znam i nie mam czasu na bieganie. Zresztą on umie wydobyć wszystko spod ziemi, a w tym wypadku o to chodzi. Wykończenie ma być takie sobie, pół na pół, według mody obowiązującej w tej dzielnicy. Pierwsze piętro porządnie, z jesionowymi drzwiami i dobrymi okuciami, pozostałe poziomy nieco tandetniej. Trzeba dostosować się do poziomu materialnego ludzi, którzy tutaj zamieszkają. Drobnymi urzędnicy.

Stryj Józef zapytywał, czy już wpłaciłam mój drugi tysiąc funtów do Londynu. Kiwał głową, gdy wspomniałam, że przekazałam do Genewy z mojego konta zagranicznego. Domagałam się dalszego udziału. Podobno - jest do zrobienia. Zobaczymy, czy stryj Józef dotrzyma słowa. Do połowy listopada trzeba będzie wpłacić również pięćdziesiąt tysięcy na mój udział w akcjach miejscowego towarzystwa. Chyba do tego czasu wpłyną pieniądze? Tyle tylko, że stryjek przyrzekł mi jakąś małą pomoc, gdy stanę bez gotówki.

Wtorek - 22 października

Wczoraj wpłynęło od Zośki pięć tysięcy, nie zawiodła. Kropla w morzu, ale tylko ona uznaje interesy. Tuchołkowie - *merde!* Pelasia napisała płaczliwy list, że Piotruś zadatkował jakiś nowy majątek i obecnie zbiera gotówkę. Mam sobie sprzedać złote monety, gdy mnie ostatecznie przyciśnie potrzeba. Dobra sobie, kłopoty i lekarstwo na nie pojmuje po swojemu,

à la Pelasia. Wujek Kowalski telefonował, że zjawi się w najbliższych dniach, telefon odbierała Helena. To było wczoraj po południu, gdy ja tkwiłam na budowie. Już dachy zaczynają ożywać. Dałam budowniczemu następne dziesięć tysięcy, nie chcąc, aby stracił wiarę w mój worek z pieniędzmi. W sklepie - średnio. Właściwie przestałam interesować się lakierami.

Środa - 23 października

Zawiozłam mokotowskich protektorów na budowę. Nic im nie mówiłam. Przyjechaliśmy ich samochodem, wieczorkiem, na dachach już nie było ludzi. Wsiedliśmy i tak od niechcienia zapytałam o ich zdanie. Co by było, gdybym kupiła te domy. Oparkanione, nie wchodziliśmy do środka. Kiwali głowami i oboje powiedzieli zgodnie, że dobry punkt. Przecież generał mocno siedzi w „Pocisku”, mówił, że kto wie, czy oni z czasem nie pomyślą o wykupnie wszystkich domów z tej strony ulicy Mińskiej, która przylega do ich terenów. Podobnie jak stryj Józef złapali się za głowę, gdy się przedstawiłam w charakterze właścicielki. Później po swoim wybuchnęli śmiechem i zawieźli mnie na oblanie interesu do „Bacchusa”. Naturalnie tym razem musiałam zapłacić, dokładnie osiemdziesiąt dziewięć złotych, wypiliśmy całą butelkę siwuchy, tylko z zakąskami, bo reszta była w domu, na Mokotowie. Boli głowa, ale trudno.

Czwartek - 24 października

Opanowały mnie moje domy. Tylko o nich myślę. Gdy wsiadam do samochodu i nic nie mówię, pan Karol wiezie mnie prosto na ulicę Mińską. Dachy posuwają się. Pogoda, mam jakoś szczęście. Dotychczas prawie nigdy nie interesowałam się radiowymi biuletynami o pogodzie. Obecnie jest to dla mnie nowy rodzaj modlitwy.

Piątek - 25 października

Dzisiaj zgodnie z umową zjawiła się u mnie pani Dekorde i zapłaciłam jej całą należność, dziewiętnaście tysięcy, naturalnie u rejenta. Formalnie i z zabezpieczeniem. Do końca miesiąca zostanie dokonany wpis hipoteczny. Trochę się skrzywiła, gdy wspomniałam o dwóch tysiącach. Dla oszczędzenia sobie zdrowia, zgodziłam się na jej propozycję - rozcięcia tej kwoty na dwie połówki. Podobno wyobrażała sobie, że ta kwota była wzięta pod uwagę przy ustalaniu ceny kupna. Zawracanie głowy, ale pal diabli!

Z gotówką krucho, pięć ze sklepu, a reszta z konta Marcina. Nie śpię i czekam na wujka Kowalskiego.

Sobota - 26 października

Zaczynają kryć blachą. W przyszłym tygodniu przyrzekłam trzecie dziesięć tysięcy budowniczemu. List od pani Woźnikowej, dopisek małej. Brydż na Mokotowie, u siebie wykręcam się żalobą po ciotce Magdzie. Niepokoi mnie cisza w Montreux.

Niedziela - 27 października

Wujek Kowalski od samego rana. Po staroświecku przywiózł sto tysięcy w walizce. Zostaje kilka dni. W dalszym ciągu serdeczny i rodzinny. Odżyłam.

Wiadomości chodzą w parze, dobre i złe. Strata, poważna strata dla mnie. Zajlicz nie żyje. Marcin przysłał mi cztery wycinki z gazet. Wszystkie informują jednako: „Obywatel republiki Nicaragui, zamieszkały w Kairze, Józef Zajlicz, kupiec, zmarł we własnym pałacu w okolicznościach mocno podejrzanym. Śledztwo w toku”.

Piorun z jasnego nieba. Różnica pomiędzy 46 a 71 tysiącami wypłaconymi mi w Warszawie, za granicą dobre dziesięć tysięcy dolarów dla mnie. Strata. W dodatku:

podejrzane okoliczności towarzyszące śmierci, własny pałac w Kairze i obywatelstwo nicaraguańskie?

Ręce mi się trzęsą, gdy zapisuję te słowa. A jednak Emil Kreiss okazał się silniejszy. Jak się to odbije na naszych interesach? Oraz na reszcie, to znaczy na nas samych. Przyznaję, że mam trochę strachu. Na razie nikomu ani słowa, list był lotniczy, polecony, i dlatego doręczono mi go w niedzielę. Podczas śniadania, gdy byłam upojona stu tysiącami złotych, wujek powiedział mi:

- Dlaczego tak zbladłaś, Anno?

Swoją drogą Zajlicz to był mój pierwszy własny interes. Sama go wynalazłam i sama go skontaktowałam na razie na chybił-trafił z Paryżem, a następnie z Władkiem i Marcinem. Czy stryjek napisał równocześnie do Wirewicza? Boję się.

Wtorek - 29 października

List z Montreux. Do generała. Marcin poleca, aby przyjąć Emila Kreissa bez zmruczenia oczu i zrobić z nim dalszy interes. Mamy mu współczuć i udawać, że wierzymy w jego żal po śmierci współnika. Interesy są podłe! List po przeczytaniu spaliliśmy nad świecą.

Pogoda w dalszym ciągu. Wujek Kowalski jedzie jutro do Wąbrzeźna, już na swoje. Na razie z domem w Grudziądzu stop, podobno jest kupiec. To byłoby dla mnie wygodniejsze. W każdym razie dobrze, że wujek wstrzymał się z przepisywaniem tego domu na moje nazwisko. Koszty. Upoważniłam go natomiast do przeprowadzenia sprawy z domem wąbrzeskim, nasz grudziądzki notariusz ma odpowiednie pełnomocnictwa.

Wujek jest uspokojony i jakby odrodzony. On również ma nowy cel w życiu w postaci „Wąbrzeskiego Domu Mody”. Mówił z rozrzewnieniem, że to wszystko jest dla małej Anny, która przyszła na świat we Lwowie. Jak to ludzie się zmieniają.

Dobrze, że moje kamienice nie mają sklepów, to do niczego nie prowadzi, niszczy domy, a hałas odstrasza porządniejszych lokatorów. Zresztą w sąsiednim domu jest kolonialka i rzeźnik.

Z dachem jeszcze dwa tygodnie roboty. Dałam czwarte dziesięć tysięcy, już znaleźli klepkę, na tapecie piec i instalacje wodociągowo-kanalizacyjne. Pieniądze płyną jak woda. Punkt wypłat w moim sklepiku, panna Beata jednak nie narzeka, mówi, że dobrze robię.

Sobota - 2 listopada

Smutne dni, ale brak czasu na rozmyślanie. Pogoda w dalszym ciągu dopisuje. Mam szczęście. Był list z Sao Paulo. Krystynek chwali się, co już zrobił i co zamierza zrobić. O nas ani słowa. Widocznie sądzi, iż nam wystarcza, że mamy co jeść i w czym chodzić. Problem Pikutkowa. Polski Grajdołek dla nas, amerykańskie Klondyke dla brata Krystynka. Na razie nie odpowiem. List od Zośki. Spotkali się z wujkiem w Wąbrzeźnie, obliczają remanenty i wartości. Ciotka Millerowa zapewne zostanie w Wąbrzeźnie, przyzwyczaiła się do łockia. Zamiana z meblami, nie mieszam się do tego.

Panna Beata w dalszym ciągu wierci mi dziurę w brzuchu sprawą tych sześciu procent. Ją to niepokoi, a mnie w zasadzie nie przeszkadza. Jedynie urząd skarbowy może się przyczepić, ale powiemy, że taka jest nasza polityka - sprzedawać normalnie w detalu, a konkurować w hurcie.

W przeddzień Świąt Zmarłych nadszedł list z Poznania od asystenta profesora Sułkowskiego. Podobno profesorowi podobała się treść oraz wzorowy układ. Ma zastrzeżenia jedynie da niektórych fragmentów, asystent pisze, że praca została przyjęta, ale trzeba byłoby jeszcze trochę przerobić do bardziej praktycznego użytku. Dobrzy sobie! Ani mi w głowie, dla mnie wystarczy, że Sułkowski przyjął pracę jako dyplomową. W grudniu egzamin. Asystent pisze, że w połowie listopada można by ustalić jakiś bliższy termin, ponieważ w tym

czasie parę osób zdaje jesienne poprawki. Ale ja nie mogę! Moje kamienice, egzamin jeszcze poczeka.

Na ogół smutne dni. Pogoda. Za tydzień, w przyszłą sobotę, powinien być koniec z dachami. Okna prawie gotowe. Każę pomalować od strony zewnętrznej, lakiery nic mnie nie kosztują, nie potrzebuję wykładać gotówki. Na wiosnę pociągnie się drugi raz, a w ten sposób zima nie zniszczy drzewa. Całe szczęście, że nieboszczyk Piasecki wybrał okna weneckie, trójszybowe, a nie jakieś okieneczka małe i wąskie, jak w innych domach przy tej samej ulicy. Mury również są solidne, wyschnięte, widać, że sam pilnował, nie ma fuszery. Jeszcze tylko tydzień pogody, o mój Boże!

Czwartek - 7 listopada

Deszcz, psiakrew, od samego rana deszcz. Nie pracowali przy dachach. Jeszcze tylko trochę, troszeczkę... Ale jednak... Nie będę spała tej nocy. Potrzeba nam trzech pełnych dni pracy, a w dodatku w poniedziałek dodatkowe święto. Jedenastego listopada nie będzie można pracować. Tylko piątek i sobota. Najwcześniej w przyszłą środę wieczorem, o ile nie będzie deszczu lub co gorzej - śniegu! Okna pomimo deszczu zaciągali olejną farbą z jakimiś chemicznymi dodatkami.

Piątek - 8 listopada

Pracowali mimo lekkiego kapuśniaczka. Po raz pierwszy w życiu fundowałam gorzałę. Naturalnie wieczorem, po robocie. Pięć litrów w pobliskim szynczku, sama razem z budowniczym napiłam się przy bufecie. Drugą piątkę zafundował budowniczy. Nie czułam się w tym wypadku kobietą, panią. Dobrze, że nie widział mnie nikt ze znajomych. Karol w tym czasie siedział w samochodzie, ponieważ obawiał się, aby mu dzieciaki nie wytlukły szyb. Przynależało morze gorzały, gdy skończymy. I tak bez tego wywieszają „wianek” i trzeba będzie już zwyczajowo fundować.

Sobota - 9 listopada

Gdybyż jeszcze dwa dni pogody! I pomyśleć, że dokładnie miesiąc temu kupiłam te dwa szkielety! Gdyby nie moje kupno, byłyby się przestały do wiosny, przykryte tylko byle jak deskami, okna zabite *ditto*. Ten miesiąc kosztował mnie sporo zdrowia, na wadze straciłam dobre dwa lub trzy kilo. Ale ślicznie dziękuję za taką kurację... wolałabym Montecatini.

Na razie wujek milczy z domem. Jutro rano spróbuję zadzwonić do Wąbrzeźna. Długi, długi!

Wtorek - 12 listopada

Nadszedł list z Montreux, jak zwykle polecony i ekspresowy. Nowe zlecenia. Konto Marcina w banku - zjechało, jakoś załatałam ze sklepiku i wzięłam od generałowej cztery tysiące. Ale za to moje zadłużenie u Marcina spadło do czterdziestu jeden tysięcy. Słaba pociecha. Jestem bez grosza przy duszy, na rachunku Marcina prawie zero, aż wstyd! Dalas, jakiego jeszcze dotychczas nie miałam. Wyczekuję również na wiadomość od stryjka Józefa, pisałam ogólnie, wymieniałam cyfrę dwudziestu do trzydziestu tysięcy na kilka miesięcy. Powinien użyczyć, zawsze oddawałam, on wie przecież o moich domach.

Środa - 13 listopada

Skończyli! Jeszcze jutro będą poprawiać jakieś niedokładności przy rynnach, ale zasadniczo skończone. Wieniec i pijaństwo. Głupi zwyczaj, ponieważ budowniczy mówił, że na pewno nie poprzestaną na tym, co ja im postawiłam, i pójdą pić dalej. Zabawa do rana, a później w tamtych okolicach bywają czasem w robocie - noże.

Był długi list ze Szwajcarii. Nowe instrukcje. Mamy postępować z Kreissem jak ze święconym jajkiem, owijać go w bawełnę komplementów i wielce honorować. W dodatku moje wyczucie jasno mi mówi, że maczał ręce w zamordowaniu Zajlicza. Z Paryża nadesłali plik gazet. Afera słynna jest na cały świat. Nagłówki aż nadto wyraźne: „Porachunki handlarzy broni”. Podejrzewają nawet, że brali w tym udział agenci rządu włoskiego. Długie kolumny różnych opowieści. Jedynie mimochodem wspomniany jest Belgrad, przeważnie wymieniają tylko Kair i różne republiki środkowo-amerykańskie.

Czwartek - 14 listopada

Usnęłam dopiero o godzinie drugiej. Nad ranem Zośka. Obudziła, nie czekała. Jak zwykle z interesami. Nudna. Bez entuzjazmu przyjął wiadomość o jej zamierzonym małżeństwie z inżynierem Strękiem. Z dawna byłam przygotowana na takie właśnie zakończenie. Zośka przyjechała z Katowic, nie była w domu z górą tydzień. Zostaje kilka dni. Od wujka nie miała żadnych wiadomości. Jeszcze nie rozliczyła się z nim całkowicie. Na razie stanęło na tym, że do rozrachunku zostanie przyjęta cyfra czterystu tysięcy złotych na całość bławatów, według takiego stanu, jaki wujek zastał w momencie przejęcia składu. Okrągła kwota, ponieważ trudno było ustalić szczegóły, według Zośki straciłyśmy na tym po parę tysięcy.

Z przysłym szwagrem to cała historia. Zwidziało mu się i zmienia nazwisko na: Strękociński! Nie wiem, co lepsze, podobno ślub odbędzie się już pod nazwiskiem odmienionym. A może to Zośce nie widziało się nazwisko: Stręk? Dla mnie obojętne. Strękocińscy to będzie w przyszłości dalszy ciąg Tuchołków, jedynie z tą odmianą, że tu przewaga Zośki. A zresztą obecnie i ja jestem głupia po wypadku z doktorem Kunickim. Człowieka nie można przejrzyć jak jajko pod światło. Tam w dalszym ciągu są brewerie. Co prawda Maksiu ustąpił szwagrowi z tego Różankowa, ale pioluny pozostały i jakiś osad. Wartość majątku ma być ustalona przez trzech arbitrów, głupi pomysł i wymaganie godne tylko eskulapa. Żeby w rodzinie nie można było dojść do porozumienia! Herta w dalszym ciągu chora, podobno zapadła na żółtaczkę.

Zośka przywiozła świeżą wiadomość. Kunickiemu chodzi o posagową czy raczej wyposażeniową kamienicę ciotki Magdy. Dziadek wyposażył wszystkie swoje dzieci - z wyjątkiem Marcina - i w momencie, gdy ciotka Róża wstępowała do klasztoru, kupił kamienicę od razu na nazwisko swej córki Magdy. Podobno kosztowała czterdzieści tysięcy marek, było to gdzieś w latach dziewięćdziesiątych piątych. Myśmy zawsze sobie wyobrażały, że ciotka Magda sprzedała tę kamienicę w okresie wielkich zakupów ziemi przez stryjka Pawła. Tymczasem badania Kunickiego wykazały, że ciotka Magda uczyniła to w połowie roku 1934, a zatem już po śmierci swego brata. Bądź co bądź kamienica została sprzedana, ale wszelki ślad po pieniądzach zaginął. Kunicki wmawia w Maksia, że ciotka Magda włożyła te pieniądze w jego wiejskie majątki, ot tak, ciepłą ręką, bez żadnych pokwitowań. A chociażby tak było? Przecież miała prawo użyć pieniędzy według własnej woli! I stąd nowe nieporozumienia. Cóż to za chciwy typek, z tego Kunickiego! Podobno na Pomorzu jest wielu takich kandydatów na dziedziców, którzy idą po trupach. Przeważnie adwokaci, w tym wypadku lekarski zawód Kunickiego nie jest jednak specjalnym wyjątkiem. A to wszystko dlatego, że właśnie na Pomorzu znalazło się po wojnie dużo różnych przybłędów z całego świata, którym gdzie indziej paliła się ziemia pod nogami. Przyjechali do nas próbować szczęścia z tupetem, którego w naszych stronach podówczas nie znano. Niemieckie czasy były spokojniejsze i solidniejsze. W małych miasteczkach wszyscy znali się na wylot, wzajemnie się szanowali i pilnowali. Każdemu zależało na dobrej opinii i hamował jakieś dzikie popędy. Nie było fluktuacji; rodziny mieszkaly po sto i dwieście lat w tym samym miasteczku.

W Kongresówce własność ziemską utrzymuje się jeszcze dotychczas w posiadaniu „zawodowych” szlachciców, przeplatana jedynie dawnymi pachciarzami żydowskiego pochodzenia. Na Pomorzu natomiast ziemia przechodzi w ręce tych, którzy zdobędą pieniądze, a z tym bywa rozmaicie.

W Galicji nie wyznają się. Z tego jednak, co słyszę, przewaga wielkich majątków znajduje się w rękach arystokracji, różnego już pochodzenia, wymieszanej z całym światem, od bogatych Żydówek począwszy, a skończywszy na różnych lafiryndach wielce podejrzanego autoramentu. Przeważnie jednak galicyjska szlachta pożeniona była w Wiedniu, sporo również Austriaków, spolszczonych już od kilku pokoleń. Zdarzają się w małżeństwach nawet hiszpańskie infantki, część tamtejszej arystokracji pozuje na Anglików. Ziemia chłopska mocno rozdrobniona, przeważnie parę morgów dzieli się pomiędzy kilkoro dzieci i stąd bieda. Takie biedne chłopskie dzieci pchają się do miasta, silniejsze charaktery kończą uniwersytety, słabsze czy mniej szczęśliwe zasilają proletariat wielkich miast. Część emigruje za granicę, stryjek Juliusz opowiadał o wielkich masach podkarpackiego góralstwa, które urządziło się na północy Stanów, głównie w Chicago. Natomiast w miastach galicyjskich brak polskiego kupiectwa. Prawie cały handel i większa część rzemiosła znajduje się w rękach żydowskich. Polska inteligencja śladami ojców i dziadów trzyma się kurczowo zawodu urzędniczego.

Pan szwagier Strękociński. Widocznie już przepuścili zmianę nazwiska przez „Monitor”. Ślub w drugie święto Bożego Narodzenia. Bardzo chętnie widziałabym siebie o kilka tysięcy kilometrów od Grudziądza i od tej... uroczystości. Wyobrażam sobie, gdy na weselu zjawi się galicyjska rodzinka! Będzie na co patrzeć. Byle tylko to tałałajstwo nie pchało mi się później do mego warszawskiego mieszkania.

W każdym razie domy mocno stoją i robót nie przerwiemy. Poustawia się na podłogach blachy, a na nich koksownicy. Koks nie kosztuje majątku. Ludzie będą zadowoleni z pracy w zimie. Już prawie wszystko jest na miejscu. Tylko robocizna i parę rachunków za dostarczone materiały. Jak najwięcej w tym roku! Jak dobrze pójdzie, to niektóre mieszkania będzie można wynająć już od marca. Nie dam się nabrać naszemu administratorowi, on mi już usiłuje wcisnąć różnych lokatorów. Z tym odczekam. Może generał wynajmie hurtowo dla pracowników „Pocisku”? Sam się z tym ofiarowywał.

A teraz spać. Proszek nasenny. Inaczej nie usnęłabym, a potrzebuję snu jak nigdy przedtem.

Sobota - 16 listopada

Jestem bogata! Wczoraj rano zjawił się wujek Jan z walizą i uregulował całą resztę ze sprzedaży bławatów i zamiany domów.

Nigdy w życiu nie były mi pieniądze tak bardzo potrzebne jak właśnie dzisiaj! Prawie równocześnie przyszedł nowy list z Montreux. Dyspozycje wpłacenia w pewnym miejscu pięćdziesięciu tysięcy złotych, mimo że na koncie bankowym Marcina figuruje dokładnie 347 złotych i 85 groszy. Tak wynika z ostatniego zawiadomienia banku. Nareszcie Marcin jest mi winien na odmianę dziewięć tysięcy złotych. Ufff! Dobrze, że tak się stało, głupio byłoby brać z Mokotowa. Dają chętnie, ale... z uśmiechem.

Ze sklepu wzięłam dalsze dziesięć tysięcy, o tyle mniej przekażą do Paryża, nie szkodzi, za kilka dni uzupełnię. Wpłaciłam do banku pięćdziesiąt tysięcy na akcje nowej spółki akcyjnej, wczoraj, w ostatnim terminie, ale wpłaciłam! Zobaczmy, co będzie z tego.

Od poniedziałku zabieram się do obkuwania. Mogę trochę spasować w interesach. Równocześnie oddycham, pozbyłam się całkowicie bławatów i Pomorza. Ostatnia cieniutka niteczka to moje grzecznościowe dziesięć tysięcy w grudziądzkich śrubkach. Z przyjemnością ofiarowałabym ten udział mojej siostrze w upominku ślubnym, ale jakoś nie wypada.

Zośka na terenie moich domów. Tym razem nie robiła mi żadnych wymówek. Obeszła wszystko, zajrzała nawet do składu materiałów. Postawiła tylko dwa pytania: ile będzie kosztować ostatecznie wszystko razem i ile będzie przynosić rocznie komorne. Był przy tym wujek Jan.

Na zakończenie powiedziała:

- Anna ma lepiej od nas. My zbieramy złotówki, jedna do drugiej, a Anna chodzi sobie po bankach. Spaceruje po świecie z cyframi w głowie.

Była to aluzja do walizy wujka Jana, wyładowanej różnymi papierami wartościowymi, które trzeba będzie powoli wyprzedawać. Właściwie przyjąłem je na dobrą wiarę, a wujek obliczał kursy według gazeciarskich notowań.

Niedziela - 17 listopada

Małe przyjęcie dla uczczenia wujka. Oboje z Zośką wyjeżdżają jutro po południu. Nieoczekiwana rozmowa z siostrą. Chce uregulować ostateczne rozliczenia. Oczywiście nie gotówką, ale również weksłami. Ma przywieźć „kolekcję” w przyszłą niedzielę. Wybierają się oboje do Warszawy, Zośka twierdzi, że specjalnie dla mnie. Wizyta pana Strękocińskiego u przyszłej szwagierki. Powinni pojechać w pierwszej kolejności do Tuchołków, dałabym im nawet samochód. Spróbuję powiedzieć coś na ten temat jutro przed odjazdem, zobaczymy, jaką minę zrobi siostra.

Pogoda w dalszym ciągu. A tak się przejmowałam. W każdym razie przeszłam próbę ogniową. Co prawda wolałabym budować jakąś nową „Acacię” gdzieś nad włoskimi jeziorami, ale trudno. Do „Acacii” trzeba dopłacać, w Szwajcarii są wysokie podatki, a tymczasem moje warszawskie domki już niedługo odrzucą mi pierwsze komorne... Za uboga jestem jeszcze na własne wille.

Poniedziałek - 18 listopada

Przechwaliłam - pogoda zepsuła się w ciągu nocy. Zośka wzięła ofertę z samochodem za dobrą monetę. Jadą, tym lepiej, krócej będą u mnie.

Środa - 20 listopada

Oglądałam plac przy ulicy Narbutta. Bardzo drogi. Sam plac to już majątek. Trzysta dwadzieścia tysięcy gotówką, plus dwieście tysięcy na hipotecę bankowej.

Czwartek - 21 listopada

Prezes Fajans zaczął mnie dzisiaj w „Europie” i zaofiarował się ze sprzedażą dwudziestu lub trzydziestu tysięcy Polsko-Angielskiego Towarzystwa dla Handlu i Obróbki Drzewa. Wygląda tak, że nie wie o moim udziale w akcjach założycielskich. Mam dać odpowiedź do jutra w południe. Ciekawe. To z tych dwustu tysięcy złotych przeznaczonych na wolny rynek. A może by kupić? Co prawda tłumaczyłam się brakiem gotówki, wspominałam o wybudowaniu dwóch domów mieszkalnych na Pradze, bardzo grzecznie zaofiarowano mi się z przyjęciem weksli kupieckich. A może by tak od razu spuścić grudziądzkie weksle? Okazja.

Piątek - 22 listopada

Elegancko. Sprzedałam hurtem wszystkie akcje, tylko pięćdziesiąt tysięcy i osiemset złotych, strata tysiąc siedemset, ale trudno, nawet o tym nie wspomnę wujkowi. Kursy gazeciarskie bywają niedokładne i pozaokrągłane, w dodatku w kolekcji były takie, na które mocno się krzywili. Jakaś wodna elektrownia „Gródek” na Pomorzu, nie wiadomo, kto i kiedy wcisnął wujkowi tego rodzaju akcje. Ale poszło wszystko i zapomniałam.

Zakupiłam nowe akcje tylko na sumę dwudziestu pięciu tysięcy nominalnych - po kursie dziewięćdziesiąt sześć za sto. Naturalnie otwarto mi konto w tym nowym banku, od razu z saldem na moją korzyść. Nowa książeczka czekowa, mogę płacić.

Piątek - wieczorem

Nowy list z Montreux. Dwadzieścia tysięcy złotych. Marcin pisze, że mam pożyczyć sobie gotówkę z Mokotowa. Nie potrzeba. Uregulowałam z nowego konta. Od razu spłaciłam generała i jego żonę. Marcin jest mi winien dwadzieścia dziewięć tysięcy, na koncie już tylko dwadzieścia sześć tysięcy i drobne. *Das Geld ist rund...*

Sobota - 23 listopada

Telegram od Zośki. Oboje przyjeżdżają dzisiaj późnym wieczorem. Ano - gościna. Trochę głupio, ale tego życzyła sobie Zośka. Obiad rodzinny w niedzielę. W poniedziałek rano jak najwcześniej do dóbr pana starosty. Powrót podobno już we wtorek wieczorem, w środę bardzo rannym pociągiem odjazd do Grudziądza. Ano, ano, w dodatku Anna w roli siostry podsuwającej dobre pomysły.

Ściany w mieszkaniach tynkują się bardzo dobrze. Pogoda licha, ale piece z koksem czynne są dzień i noc.

W biurze dają mi żyć, nic się nie dzieje. Zwykle urzędnicze dni. Dzisiaj z polecenia Marcina załatwiałam w skarbie grzecznościową interwencję. Udało się - bez większego wysiłku.

Poniedziałek - 25 listopada

Już. Pańszczyzna odrobiona. Pan Strękociński bardzo nudny. To jest taki mężczyzna, któremu trzeba będzie podwiązywać krawat do fraka, bo nie potrafi sam. Chyba gotowy na gumce. Na razie słucha. Zośka mocno dyryguje. Zobaczymy, co będzie później, po ślubie. Największym wydarzeniem w jego życiu była politechnika i służba wojskowa, zakończona pierwszą i ostatnią gwiazdką. Nie gra w karty i nie pije wódki. Trochę pali. Nie wiadomo, jakie posiada wady ukryte. Na razie odniosłam się do niego uprzejmie, ale z uśmiechniętą rezerwą. Tak - lepiej. Zośka już sama mówiła o prezentach ślubnych. Głupia, ale niech będzie. Bransoletka z brylancikami. Owszem. Taka za trzy tysiące. Sama mi określiła, jaka.

Przywieźli różnych drobnych weksli za czterdzieści trzy tysiące i siedem tysięcy gotówką. Przyjęłam jako ostateczne rozliczenie - niech tam! W sumie sześćdziesiąt osiem weksli. Zośka ręczy za całość - zobaczymy. Ostrzegłam, że będę zmuszona wymalować własne podpisy. Pierwszy raz w życiu biorę do ręki taką zbieraninkę. Przeważnie dwumiesięczne, najdalszy termin: dwa tysiące, płatne pierwszego lutego w przyszłym roku. Cały pakiet oddałam dzisiaj, ale tylko do inkasa, bez moich podpisów naturalnie. No cóż, życie składa się właśnie z takich weksli. Ludzie i weksle. Pośrodku są radości i gorycze. Weksli nikt nie perfumuje, krążą z rąk do rąk, niektóre z nich dobrze wytłuszczone. Mimo woli wspominam *monsieur* Zajlicza. Jakoś w Warszawie nie zjawia się Mr Kreiss? Może i jego gdzieś sprzątnęli? O to nietrudno w tych różnych Egiptach i Nicaraguach.

Uczę się. Mój profesor odwiedza mnie co drugi dzień, ale jest jakiś osowiały. Sam sobie zdaje sprawę z tego i twierdzi, że świat staje się z każdym dniem coraz bardziej smutny i nudny. Gdy wspomina dawne lata, oczy jego błyszczą. Ja również kiedyś będę taka. Już dzisiaj mam dosyć różnych rzeczy!

Czwartek - 28 listopada

Dzisiaj imieniny w Montreux. Dałam zlecenia na kwiaty. Chciałabym przebywać obecnie w „Acacii”. Ale na stałe. Chciałabym żyć spokojnie i bez żadnych kłopotów. Mogłabym sobie patrzeć na góry z werandy i rozmyślać o niczym. To znaczy o tym na

przykład, dlaczego zjawiłam się na świecie. Tego nie umie wytłumaczyć nawet profesor Wydra, pomimo swej wiedzy encyklopedycznej - i innej. Mówi jedynie to, co inni już powiedzieli i napisali. Niewielka to sztuka, wymaga jedynie pamięci i dostępu do ksiąg. Dobrze przynajmniej, że do głupstw wypowiedzianych przez innych filozofów nie dodaje własnych wynalazków. Oszczędza ludziom kłopotów z nowymi ideami i nowych rozczarowań. Ludzie, gdy ich pożerają różne wątpliwości, starają się siebie samych oszukać nadając słowom pieczętki dogmatów. Lub nakładając na myśli nasze kaganiec świętości.

A zatem jakieś inne wydanie Montreux i zmniejszone wydanie willi „Acacia”. Własny domek z ogródkiem, tysiąc franków miesięcznej renty, kilka pól z książkami, które wiecznie się podobają i które można czytać sto i więcej razy, maszyna do odpisywania na listy krewnych i przyjaciół, jakiś kot, pies czy kanarki do towarzystwa. Chyba jednak nie! W takich warunkach starość by się przybliżyła z przerażającą szybkością, a z nią nicość.

Piątek - 29 listopada

Oberwanie chmury, czyli goście. Starsi państwo Orzechowscy i Maksiowie. Samochodem. Bardzo miło. Wszyscy czworo zmartwieni wypadkami w Grudziądzu. Arbitrowie już oszacowali folwarczki w Różankowie - pięćset trzydzieści cztery tysiące złotych, ze względu na cztery kompletne zabudowania folwarczne i dobry inwentarz żywy i martwy. Maksiu chce poczekać dwa lata na spłatę. Liczy tylko po sześć procent rocznie, śmiesznie mało. Na mająteczkach nie ma złotówki długu, wszystko pospłacane. Dodatkowo jakiś dom z ogrodem w Nowym Mieście. Kunicki podobno szuka pieniędzy, chce spłacić „honornie” gotówką. Gdańsk wykręcił się od kredytu, widać, że stryj Józef trzyma stronę Maksia.

Na ślubie Zośki nie będę ze względu na Grudziądz.

Sobota - 30 listopada

List z Poznania. Asystent Sułkowskiego bardzo życzliwie donosi, że 17 grudnia mogę uzyskać termin na składanie egzaminu. Chyba zgłoszę się. Zawsze można się cofnąć. Spróbuję. Wydaje mi się, że prawo cywilne opanowałam dość dobrze, ze Sułkowskim głupstwo. Chciałabym wpaść dobrze z Ohanowiczem. Procedura? Sama nie wiem, nie mam do tego przekonania, to rzecz sekretarzy sądowych i adwokackich, a nie prawników. Jakoś się prześliznę. Jutro napiszę do Poznania, w kopercie listu poleconego załączę pieniądze na opłacenie taksy egzaminacyjnej. Asystent chyba mi załatwi, dla niego trzy kroki.

Rodzinna pańszczyzna u młodych Orzechowskich. Wystawny obiad na dwadzieścia osób. Obaj panowie Liteńscy. Tylko właściciele ziemscy i sfery profesorskie. Nudno. Ceremonialne flaki z olejem. Szkoda niedzieli, dobrze przynajmniej, że bez brydza. O siódmej wróciłam do domu i położyłam się do łóżka. Czytam skrypty, popijam czarną kawą i przegryzam aspiryną.

Poniedziałek - 2 grudnia

Bardzo dobrze, że połowę weksli inkasowych z krótszymi terminami oddałam w moim starym banku. Dzisiaj wpłacałam na stary rachunek czekowy siedem tysięcy od Zośki, a trzy ze sklepiku i spotkałam się z dziwną propozycją. Akcje, a właściwie mówiąc, tymczasowe świadectwa naszej spółki drzewnej - po sto pięć, mimo że przed tygodniem sprzedawano jeszcze po cenie emisyjnej dziewięćdziesiąt sześć za sto. Ciekawe. Ponieważ nauczyłam się już szybko myśleć i coś mnie tknęło, wzięłam wszystko, co było na miejscu, jedenaście i pół tysiąca. Później pogrzmiałam do prezesa Fajansa i wyobrażałam sobie, że owe pięć tysięcy, wzgardzone przeze mnie czy stracone przez moje kunktatorstwo, czekają na mnie. Tylko tyle, że przyrzekli coś zrobić, wiadomość jutro, naturalnie już po jakiejś nowej cenie. Ogłędnie mówiłam o dwudziestu tysiącach, zobaczymy.

Wykańczanie wewnątrz moich domów posuwa się naprzód. Przy takim interesie trzeba codziennie kołędować, pańskie oko konia tuczy. Dobrze, że mam samochód, a zatem: przed biuram rano i po biurze, jeszcze przed obiadem. Dwie godziny dziennie zajęcia, dawno już nie wstawałam tak rano!

Za dwa tygodnie mój prawniczy egzamin. Czytam wszędzie. Przede wszystkim w biurze. Prawo cywilne to jednak labirynt, mam wrażenie, że nitka Ariadny jest jednak zawsze do nabycia, za pieniądze. Na ogół bowiem adwokaci są nie tyle mądrzejsi od sędziów, co obrotniejsi. Ustawodawstwo jest chyba rozmyślnie tak zagmatwane i przyciemnione. Strawa tylko dla wybrańców i żer dla magików sądowych. Kodeksy to jeszcze głupstwo, lecz orzecznictwo i wpisywanie do Księgi Praw to ponura dżungla. Abrakadabra i talmud. Z mojej strony bez namiętności, byle przebrnąć. I tak nigdy nie będę zajmować się sprawami prawnymi, co najwyżej nie dam się nabierać zawodowym prawnikom.

Wtorek - 3 grudnia

Szesnaście tysięcy po kursie sto siedem. Kupiłam. Ogółem wpakowałam sto pięć tysięcy z groszami i mam pięćdziesiąt tysięcy uprzywilejowanych oraz pięćdziesiąt dwa i pół tysiąca zwykłych. Nowe konto mocno zredukowane, jedenaście tysięcy pięćset czternaście złotych. Zobaczymy, co będzie. W gazetach pojawiły się ogłoszenia o terminie pierwszego walnego zgromadzenia, w lokalu własnym spółki przy ulicy Hortensji, 4 stycznia 1936 roku, o godzinie 17 po południu. Sobota, patrzyłam już do kalendarza.

Zadnych nowości. Kuję. Świecę do pierwszej w nocy, wiem, że to głupstwo, ale trudno. Uczę się tak, jak by od zdania tego egzaminu miało zależeć wszystko w moim życiu. Przesada. Na pewno studenci uczą się z większą gorliwością. A ja? Zdam, to dobrze, nie ucieszę się zbyt. Nie zdam, to również dobrze, nie powieszę się.

Podobno przed kilku laty utopił się w Warcie jakiś student, którego Taylor oblał przy poprawce. Tak mówią.

Sobota - 7 grudnia

Znów jakieś tajemnicze zebranie na pierwszym piętrze. Nawet nie wiedziałabym, gdyby nie dysponowanie jedzenia. Moja kuchnia występuje w roli zakonspirowanej restauracji, nawet nie wiem, dla kogo. Ale taka była umowa między nami. Marcin, a ja ze swej strony raz na zawsze upoważniłam profesora do załatwiania tych spraw wprost przez Karola. Podobno sami panowie. Osiem sztuk, według określenia mojej Lizy, która w tym wypadku pomaga Karolowi Petrasowi.

Był telefon z Montreux, ale nie do mnie. Mokotów. Tylko że przekazali dla mnie ucałowania.

Już coś niecoś przesiąkło do mnie z parteru. Tam gospodaruje niejaki pan dr Tadeusz Mizres. Ciekawe nazwisko. Zwrócił się do mnie jako pełnomocnika właściciela realności. Zapomnieli o garażu dla samochodów, a w moim garażu mieszczą się z trudem dwa wozy. Przecież pierwszeństwo dla wozu stryjskiego Józefa i dla Górek! Tak sobie rozmawialiśmy, a pan doktor dyskretnie rozglądał się po mieszkaniu. Może mu tylko o to chodziło? Zbyłam go tak sobie, w każdym razie chłodno i z rezerwą. Nie wiem, co za jeden. Widocznie nie jest w kursie całości spraw naszej spółki, ponieważ mówił, że działa w imieniu dyrektora Jambora z Gdańska. Organizuje biuro.

Niedziela - 8 grudnia

Dość wyraźna rozmowa z Marcinem. Przyjeżdżają na święta do Polski, już dwudziestego grudnia rano. Zostaną do Trzech Króli. Uprzedzają, że możemy spodziewać się w tym czasie przyjazdu państwa Krymułtów. Podobno napisali w tej sprawie list do Leokadii i państwa Orzechowskich. Wyobrażają sobie święta trochę na wsi, trochę w Zakopanem.

Marcin wspomniał, że od stycznia trzeba będzie przygotować się do pracy na parterze. Ciekawe. Z miejsca przypomniałam dalszy udział w Londynie. Trochę się tego nie spodziewałam, ale odpowiedział po kilku sekundach, że mogę przekazać, powiedzmy - pięćset funtów. Wyglądało to na napieranie się z mojej strony, ale dodałam natychmiast, że stryjek Józef również mi przyrzekł i w takim razie jutro napiszę polecenie przekazania do Genewy całego tysiąca funtów. Coś w telefonie w rodzaju kaszlu czy chrząknięcia, później zdziwienie, skąd u mnie nagle tyle pieniędzy, ale przecięłam wypytywanie dwoma słowami: - Bławaty sprzedane! - Marcin wykrzyknął do telefonu kilkakrotnie: - A to dobrze, bardzo dobrze - i na tym się skończyło. A zatem jeszcze jeden tysiąc. Już napisałam ekspresowy list do paryskiego banku, pan Karol odwiezie go na pocztę. Kazałam przekazać telegraficznie. Znając pośpiech paryskiego banku, można się spodziewać, że w środę rano pieniądze będą na koncie Marcina w Genewie.

Historia posuwa się. Za tydzień egzamin. Dokładnie we wtorek - 17 grudnia! Wczoraj budowniczy wy dostał ode mnie dalsze pięć tysięcy, przedostatnie w tym roku, jak powiedział. Ma zamiar oddać połowę lokali już na pierwszego lutego.

Zapowiedziałam, że nie ma mnie w domu. Dziś, jutro, pojutrze i tak dalej. Dzisiejsza niedziela jest w całości poświęcona prawu międzynarodowemu prywatnemu, również Sułkowski. Tak sobie przelecę po łebkach, Sułkowski nie zrobi mi krzywdy, przecież u niego pisałam pracę dyplomową!

W nocy. A jednak wyciągnęli mnie. Do „Bristolu” naturalnie. Ale umiarkowanie, do godziny wpół do pierwszej. Za to dowiedziałam się różnych szczegółów o przyszłej spółce. Właściwie ta spółka już istnieje, ale na razie w proszku, to znaczy z milionem złotych w banku i lokalem przy „Mojej Ulicy”. Był również prezes Fajans. Dyskretny, nic nie wspomniał o moich zakupach akcji. Przeważnie gadał Wirewicz.

Poniedziałek - 9 grudnia

Stryk Józef od samego rana. Opowiadania, instrukcje, projekty. Oni również zjadą na święta do Górek. Otrzymali list od Florencji. Opowiadania o Kunickim. - Fifak - mówi stryj Józef. - I jezuita, i ścichapek - dodaje z nie ukrywaną złością. Zostaje do końca tygodnia. Dochodzenie, co się stało z pieniędzmi ze sprzedanej kamienicy stryjek uważa za grubą nieprzyzwoitość. Ciotka Magda miała prawo rozporządzić tą kwotą według swego uznania, mogła ją podarować ciepłą ręką komukolwiek, nawet ludziom obcym. Jeżeli Kunicki się nie uspokoi, to mu prześlą dwadzieścia tysięcy złotych bez jednego słowa i zerwą z nim wszelkie stosunki.

Środa - 11 grudnia

List od „pana sąsiada” z Rymanowa, Blaufuksa. Ma na widoku dwa poważniejsze tartaki. Od razu z miejsca ciepłą rączką przekazałam wiadomość z oryginalnym listem do rąk stryjka podczas wspólnego obiadu. Stryjek gości u mnie na drugim piętrze, mówi, że mu wygodniej niż na dole, ponieważ boi się kościotrupa na łańcuchu, którego podobno nasz profesor przechowuje u siebie w bibliotece, w owej tajemniczej szafie żelaznej. Wolne żarty, ale jest mi z nim bardzo przyjemnie. Dodaje śmiejąc się, że masoni robią takie kościotrupy z Braci, którzy ich zdradzili, ma to być przestrożą dla mnie. Bawimy się jak sztubaki. Stryk mówi, że warszawska spółka drzewna to jedyny sposób wybrnięcia z wielu rzeczy, ale to sprawa rozłożona na kilka lat. Rozumiem doskonale.

Dzisiaj stryjek wyciągnął mnie do opery. We dwójkę, bez grandtoalety, skromniutko, w dziesiątym rzędzie na parterze. Stryjek Józef jest morowy. Śmieje się i mówi, że jak dobrze pójdzie, to 4 stycznia zrobią mnie dyrektorem spółki akcyjnej. Również wolne żarty, ale ja i to doskonale pojmuję. Zapewne wejdę do rady nadzorczej i będę inkasowała od czasu do

czasu pięćsetzłówek za zasiadówki, czyli posiedzenia i konferencje. A później wydam to samo na przyjęcia na drugim piętrze. Znamy się na tym.

Byliśmy wspólnie na Mińskiej. Z jednej strony stryjek chwali szybkość decyzji, przedstawienie się z bławatów na domy czynszowe i wykorzystanie podatku dochodowego za ten rok, równocześnie jednak wykazuje mi różne błędy w sposobie kończenia budowy. Może ma rację, ale ja chciałabym widzieć stryjka w dniu 9 października, gdy wyszłam od rejenta z papierkiem kupna dwóch szkieletów. Już ja to widzę! Przykryłby szkielety prowizorycznym dachem z drzewa, zabiłby okna deskami, a następnie w spokoju wyczekiwałby na pierwsze dni wiosny. Pierwsi lokatorzy gdzieś we wrześniu lub w rocznicę kupna. Zrobiłam, jak umiałam, i wyobrażam sobie, że dobrze. Najwięcej cieszy mnie finta z podatkiem dochodowym! Nasi panowie ze spółki drzewnej powinni zrobić mnie dyrektorem finansowym.

Wszystko dobrze, ale we wtorek *dies irae!* - jak to niegdyś wypisywałyśmy kredą na tablicy w okresie egzaminów. Głupio byłoby jednak, gdyby mnie oblali.

Stryjek zapytywał mnie, czy mi nie potrzeba pieniędzy na jakiś krótki okres. Oba moje listy przeczytał równocześnie po powrocie z zagranicy. Pieniądze przychodzą czasami w momentach, gdy nie są potrzebne, taka jest ironia każdej fortuny. Ale wówczas, gdy wujek Kowalski przywiózł mi walizkę z efektami - jak się wyraził - były one naprawdę potrzebne!

Czwartek - 12 grudnia

Dzisiaj na noc wysyłają rzeczoznawcę do Rymanowa. W imieniu stryjka Józefa, a nie spółki, zresztą jego urzędnik z Gdańska.

Doskonale rozumiem grę. Pięć procent dla mnie, przymówiłam się z góry. Stryjek nic nie odpowiedział, tylko bąknął krótko: - Zazwyczaj prowizja w takich wypadkach wynosi od dwóch do czterech procent.

Był list z Poznania, od administratora. Hipoteka wymazana, zostaje tylko piętnaście tysięcy, niech wiszą. List z BGK, przypominający o płatności styczniowej raty za ulicę Mińską, półroczne raty po złotych dwa tysiące dwieście czterdzieści trzy 40 groszy, obecne zadłużenie dokładnie 91 957,50 zł. Lakiery przymawiają się o pensję gwiazdkową. Dałam panie Beacie cztery tysiące. Śmieszne, mnie również wypłacą jutro taką pensję gwiazdkową. Funkcjonuję w dwóch postaciach; jako właścicielka przedsiębiorstwa i jako kierownik. Ano!

Sobota - 14 grudnia

Przed chwilą dzwonił stryjek z mieszkania. Awizował się telefonicznie Emil Kreiss. W takiej chwili!!! Już miałam urlop na poniedziałek i wtorek. Muszę zostać. Koniec ze skryptami. Odwiała mi z głowy cała mądrość prawnicza. Godzina jedenasta. Urywam się z biura. Do Poznania dopiero chyba w poniedziałek wieczorem? Prosto z dworca na egzamin? Nie. Pojadę raczej samochodem. To przecież proste. Prosił o telefoniczną wiadomość pomiędzy dwunastą a pierwszą. Do hotelu „Bristol”. Dzwonię do domu. Zaproszę na obiad o trzeciej. Wypisuję to wszystko, aby się uspokoić.

Jak gdyby nigdy nic, jak w piosence. Ale czy potrafię? Marcin wypisał mi dokładną instrukcję, co robić, co mówić, czego nie mówić, w czym udać zdziwienie i naiwność. Mogę zaprosić na obiad profesora Wydrę. Było w instrukcji. Stryj Józef chyba nie będzie przeszkadzał? Zresztą obiad obiadem, a rozmowy dopiero później, w cztery oczy. Po drodze do domu zgodnie z dyspozycją ekspresowy telegram do Montreux. Treść ustalona: *kann nicht fahren* Anna. Rzeczywiście nie mogę jechać. Do Poznania również tylko koleją, ponieważ samochód do dyspozycji Kreissa. Chociaż nie sądzę, żeby był taki głupi i jeździł wszędzie z Karolem. Chociaż? Ciekawa jestem, co ten Kreiss myśli o mnie. Niech zresztą myśli.

Nareszcie telefon wolny. Do „Bristolu” zadzwonię z mieszkania.

Wieczorem. Kwiaty, kosz kwiatów, jak dla primadonny. Dobre paręset złotych. Czerwone róże. Cała masa, chyba ze sto. Uważający, ubrany jak sylwetki malowane w żurnalach. W dalszym ciągu *en face* bardzo młodzieńczy. Swobodny w obejściu. Gdyby go tak zapytać, jak to było naprawdę z Monsieur Zajliczem?

Z Paryża pisała niedawno Elza, że Zajliczowi sypali przez dłuższy czas do jedzenia dyskretne dawki sproszkowanych diamentów. Zniszczyło mu to jelita, tak podobno wykazała sekcja, ale później wszystko ucichło. Majątki w Egipcie skonfiskowano pod pozorem niezapłaconych podatków. Nikt się nie upominał. Zajlicz miał syna, około trzydziestu lat, matka Hiszpanka, średni majątek, właśnie w tej Nicaragui. Był w Paryżu, coś niecoś zlikwidował w Belgradzie, na resztę machnął ręką i pośpiesznie wrócił do swej ojczyzny.

Podwójna gra z mojej strony. Dopiero po rozmowie w cztery oczy zadzwoniłam na Mokotów i powiedziałam:

- Nie mogłam się do was dodzwonić, wiecie, kto był u mnie dzisiaj na obiedzie? Pan... Emil.

Na razie były tylko ogólne rozmowy. Pan Kreiss przywiózł najświeższe wiadomości, prosto z Paryża. Leciał samolotem. Opinia francuska i angielska jest za Ligą Narodów, a przeciwko Italii. Burza w gazetach, ponieważ francuskie dzienniki przedwcześnie ujawniły jakieś zafiksowane już warunki porozumienia, które zaproponowała Francja - Anglii. Podobno zakotłowało się i według Kreissa wojna jest nieunikniona. Bardzo napięta sytuacja pomiędzy Anglią i Włochami w basenie Morza Śródziemnego. Anglia skoncentrowała flotę w okolicy Malty, w Adenie i Aleksandrii. Jugosławia rozmawia z Anglią, co należy rozumieć jako próbę oskrzydlenia Włoch na wypadek wojny z Anglią. Obecnie nie mówi się o Abisynii, lecz o Anglii. W Italii bojowy nastrój. Mussolini wygłasza płomienne mowy, włoscy faszyci przeciągają ulicami miast i śpiewają „Giovinezze”. Żle. Świat w obliczu wojny. Dobrze, że tak daleko.

Jakiś próbny balon. Dopiero pod sam koniec. Chodzi obecnie o wysyłki do Rumunii. W każdym razie w odwrotnym kierunku. Nie rozumiem. Nie zabierałam głosu, po prostu tylko przyjął do wiadomości. Pan Kreiss w tym momencie wyraźnie odwrócił głowę w kierunku jednego z obrazów, jak gdyby chciał zaakcentować, że nie spodziewa się ode mnie odpowiedzi. Krótco przed pożegnaniem wspomniął mimochodem, że w tym interesie rezerwuje dla mnie dwa procent udziału, nie powiedział - prowizji, lecz wyraźnie i bardzo elegancko: udziału. A może i więcej, gdyby weszły w grę jakieś większe ilości, oraz szybko, co specjalnie podkreślił. *Et tout entre nous seulement*, pan Kreiss przy tych słowach przeszedł na język francuski, jak by sobie nagle uprzytomnił, że ściany mego salonu nie znają właśnie tego języka. Naturalnie kontakty dyskretne, możliwie nie w lokalach publicznych. Na przykład jutro, po obiedzie, u mnie przy ulicy Hortensji, pan prezes, rozumie się w tym wypadku generała Wirewicza,

Niedziela - 15 grudnia

Obłudne słowa: - Panowie już zapewne po obiedzie? - Godzina piąta po południu, przyjęcie w rodzaju angielskiej herbaty. W kolejności pan Kreiss, a potem Władek. W pół godziny później telefon do mnie z zewnątrz i mój miły uśmiech:

- Muszę jechać, ważna sprawa, panowie wybaczą? Proszę się nie krępować, pan prezes - jak u siebie w domu.

Mogę jechać do Poznania samochodem. Pan Kreiss - stary wróbel. Siedemdziesiąt lat nie popełniają takich omyłek. Natychmiast po wczorajszym wyjściu Kreissa zadzwoniłam Marcinowi: - Helenka chce pojechać przez Rumunię i tylko do Rumunii. - Mimo to nie jestem zbyt mądra. Jutro obiad u mnie, w troje, tylko ja, Kreiss i generał. O wpół do trzeciej. W godzinę później odjazd do Poznania. Pan Karol mówi o pięciu godzinach. Szosa bez śniegu. Zimno. Drogę zna.

Co z tego będzie? W rozmowach ustaliło się tylko jedno. Kreiss gładko opowiadał o śmierci Zajlicza. Potwierdził wersję o proszku diamentowym. Jego zdaniem Zajlicza sprzątnął Nahas Pasza, głowa partii wafdystów. Zniżając głos, szepnął prawie, że Zajlicz uchodził w Egipcie za agenta Intelligence Service. O młodym Zajliczu powiedział: - Nie liczy się, wdał się z hiszpańską arystokracją i od kilku lat całkiem odstał od ojca. Starego pochowano na miejscu w Egipcie, młody bał się tam pokazać. - Kreiss rozmawiał z nim krótko przed jego powrotem do Ameryki. Zapewne niczego więcej już się nie dowiemy.

Idę spać. Zażyję dwie tabletki adaliny. Jutro w dodatku głupie biuro, pójdę na kilka godzin. Pojutrze egzamin. Najmniejsze mam pojęcie o prywatnym prawie międzynarodowym. Ale chyba zdam?

Poznań - poniedziałek - 16 grudnia

Podawała Liza. W ostatniej chwili jakoś zorientowałam się, że lokaj przy obiedzie w trzy osoby nie byłby na miejscu. W dodatku szofer. Kreiss nie jest głupi, mogłoby go to spłoszyć. Niech tam Marcin! I tak trochę inaczej się pokierowało, niż on sobie to wyobrażał. Nie przewidział różnych rzeczy. Musiałam coś powiedzieć na temat mego wyjazdu do Poznania. Pan Emil Kreiss wysłuchał wzmianki i uśmiechnął się:

- Ach tak? Drugi dyplom? Prawda, że pani, madame, bawi się jeszcze w radcę ministerialnego. A wiem, słyszałem o konferencjach w Wiedniu. No, ale wówczas jakoś nie wypadło dla warszawskiej delegacji?

Powiedzenie było cokolwiek drwiące, pomimo uprzejmości i nowych stu róż. Ano, trudno. Przelknęłam i pokryłam uśmiechem. Czasami sprawy nasze łatwe są do przejrzenia. Ciekawa jestem, co jeszcze wie o Zajliczu.

Poznań. Moja kanapa. Na niej zawsze sypiałam, gdy mnie gościł stary doktor. Gospodyni wmusiła we mnie kolację. Taką, jak gdybym specjalnie przyjechała do Poznania, aby się najeść. Głupstwo. Godzina jedenasta. Jutro o dziewiątej. Rzeczywiście - *dies irae*, ale nie mam pod ręką kredy i szkolnej tablicy. Droga była dobra. Rozmyślałam o przeszłości, Zajlicz i Kreiss. Równocześnie nie umiałam wyczarować sobie nic z przyszłości.

Warszawa - wtorek - 17 grudnia

O godzinie jedenastej profesor Ohanowicz, jako przewodniczący komisji egzaminacyjnej, powiedział mi z uśmiechem, że zdałam, ale z poprawką z procedury. Za sześć tygodni. Głupiec, mam na myśli Stelmachowskiego. Może i dobry profesor, nie znam się na tym, prawie nie byłam na jego wykładach. Postępowanie sądowo-cywilne. Przecież nie mam zamiaru kręcić się po sądach! Ale oni o tym nie wiedzą. Sześć tygodni. Dużo czasu. W dodatku tego właśnie można wyuczyć się na pamięć. To nie jest żadna filozofia. Biurokracja prawnicza za trzy grosze, psia krewo!

W Warszawie byłam już o siódmej wieczorem. Obiad zjadłam po drodze w Kutnie, dla fasonu. Najgorsze, co ja powiem w biurze i w ogóle? A może wylansować najprostszą odpowiedź, że przełożyłam sobie termin egzaminu - na „po świętach”.

Środa - 18 grudnia

Jutro rano przyjeżdżają Florencja i Marcin, o ile dotrzymają terminu. Mr Kreiss wyjeżdża dopiero pojutrze, tak przynajmniej stała sprawa w momencie mojego wyjazdu.

W biurze powiedziałam, że przełożyłam sobie egzamin na „po świętach”. Przeszło bez wrażenia. Zresztą są zajęci czym innym, ponieważ przed kilku dniami powrócili ze Szwecji i mają inne tematy do obgadywania.

Dzisiaj nie widziałam pana Kreissa. Nie dzwoniłam nawet na Mokotów.

Czwartek - 19 grudnia

Przyjechali. Na samym wstępie Marcin od razu zapytał o wynik egzaminu. Wyrzuciła, ponieważ powiedział mi na pocieszenie:

- Widzisz, moja Anno, wszystko nie może się udawać! Wkleili ci poprawkę z procedury cywilnej, ale za to zdałaś na piątkę rzymską z plusem z budowy domów na rachunek urzędu skarbowego. - Trudno nie napisać, że śmieliśmy się, jak małe dzieci. Po tej scenie *en farce* Florencja udała się do łazienki, a Marcin pociągnął mnie do gabinetu i zapytał:

- Jak z Emilem?

Niby wszystko dobrze. Wieczorem podejmowałam kolację. Pan Kreiss z wizytą pożegnalną. Jutro leci do Londynu, obywatel amerykański, na razie nic nie rozumiem.

W sobotę po południu jedziemy do Górek. Mam urlop do końca roku. Druga partia fiszów dostaje urlop od Nowego Roku do Trzech Króli. Jestem zmęczona. Oni jeszcze nie oglądali moich domów na Mińskiej, ale wiedzą o wszystkim z listów pisanych przez Wirewiczową. Zosia przyjechała razem z nimi. W ogóle wszyscy jedziemy do Górek, cały Mokotów. Dzisiaj w południe dopadł mnie w biurze budowniczy - ostatnie pięć tysięcy w tym roku.

Piątek - 20 grudnia

List od naszego grudziądzkiego notariusza. Polecony i pilny. Jakaś ważna sprawa. Prosi o skomunikowanie się z nim możliwie jak najprędzej. W każdym razie najpóźniej w Wigilię. Prosi o dyskrecję. Może Zośka coś pokręciła? Ale pisze, że to nie ma nic wspólnego ze ślubem mojej siostry. Chyba pojedzie. Wezmę samochód w niedzielę rano, do Grudziądza stamtąd niedaleko. Na wszelki wypadek, jeżeli się da, nie zabiorę pana Petrasa. Wysłałam już telegram, że przyjeżdżam w niedzielę, przed południem.

Na Mińskiej byliśmy razem z Florencją i generałową. Zastałyśmy na miejscu naszego budowniczego, rzeczywiście robota posuwa się szybko naprzód. Dzisiaj spotkała mnie przyjemność. Marcin zapytywał o konto, ponieważ przyjechali bez pieniędzy. Miałam przygotowane pięć tysięcy w domu, jak bym przewidywała taką ewentualność! Powiedziałam stryjkowi:

- To już będą w takim razie trzydzieści cztery tysiące.

I znów Marcin zażartował:

- Widzisz, Florencjo, nasza Anna jest bogata, finansuje swego stryjka. Powiedz mi prawdę, skąd wzięłaś waluty w Paryżu? Przecież razem dwa tysiące funtów to nie bagatela, a „Cztery Kamienie” przekazują obecnie wszystko wprost do starego dziadka Dubowa. Pewno z likwidacji bławatów, rozumiem, ale jak przerzuciłaś to przez granicę?

Później wypytywali się o wujka Kowalskiego. Wiedzieli o nim z lwowskich listów Michała, ale byli ciekawi ustnej relacji. Musiałam opowiadać wszystko, począwszy od mojej bytności we Lwowie.

Ale to wszystko są dziecinne opowiadania. Myślę tylko o niedzielnej wycieczce do Grudziądza. Trzeba to będzie jakoś ubrać wobec rodziny.

Dla Zośki mam już wybrany przez nią prezent. Trzy ponad jednokaratowe brylanty, bardzo czyste, na cieniutkim łańcuszku z platynowego złota. Jubiler tłumaczył mi, że platyna byłaby niepraktyczna i zbyt ciężka na bransoletkę. I tak zresztą klejnocik kosztował okrągło trzy tysiące złotych. Niech tam. To będzie jakby zakończenie. Poza tym wiozę różne drobiazgi gwiazdkowe, taki już zwyczaj obdarowywania pod choinką.

Jutro rano przybędzie do Warszawy *monsieur* Crymoult i *madame* Crymoult II. Ale to nie na mojej głowie. Florencja. Oni się już poznali, mowa o nowej żonie pana Włodzimierza. Pan Krymoult ma krewnych w Warszawie, którzy wypełnią im program niedzielny - to już zostało uzgodnione. W poniedziałek rano wyjadą do Górek, osobiste zaproszenie Leokadii. Przyślą po nich do Warszawy samochód. Numer programowy nazywa się: „Boże Narodzenie

w polskim dworze szlacheckim”, egzotyka dla *madame Crymoult*, ponieważ tak brzmi oficjalna nazwa drugiego małżeństwa pana Krymułta.

W gruncie rzeczy zbladło mi wszystko, tylko że w okresie świąt wydam u siebie przyjęcie dla zagranicznych gości. Apartament w „Bristolu” również załatwiony bezpośrednio z Paryża. W projekcie góry, Zakopane i Krynica. Wojaż do końca stycznia. Nadzwyczajne, że tak długo. Przyjaźnię się z Patrycją, a będę fetować drugą żonę jej byłego męża. Ale podobno tak jest dobrze i mocno *fair*. Ma być bardzo młoda, ładna i bogata. Zobaczymy w naturze, gdy się zjawi.

Niedługo skończy się mój trzeci warszawski rok. Ze wszystkich najtrudniejszy. Być może dobiłam do nowego portu. W każdym razie wygrzebałam się z Pomorza. Z bławatów, z centusiowych interesów i owego kupieckiego szyldu: Benona Jambora - spadkobiercy. Odczepiłam się kolejno od każdego z rodzeństwa. Obecnie jestem sama. Sama! Na moje rodzeństwo nie mogę liczyć. Po najstarszej siostrze pudełko ze złotymi monetami jako wspomnienie nie zwróconego długu. Może nawet kiedyś dam jej przy okazji to pudełko: - Schowaj dla dzieci, ale nie pokazuj mężowi. - Krystynek, jak by go nie było. Zośka? To już nie dawna Zośka, to jakiś nowy, trudny jeszcze do określenia problem strękociński. Nie wiadomo, co z tego wyskoczy.

Dzisiaj nadszedł list z Poznania. Pisze ów asystent Sułkowskiego. Byli zdziwieni, że od razu po egzaminie zniknęłam prawie bez pożegnania. Pocięsza mnie, pisze, że taka poprawka to tylko formalność, w dodatku - procedura. Życzy mi wesołych świąt i podaje termin egzaminu poprawczego, mogę zdawać od 5 do 8 lutego codziennie lub w ostatnim terminie zimowym - 11 lutego. Trzeba będzie zawieźć mu jakiś prezent, chyba książkę. Namysle się jaką, pomysł z książką nie jest zły.

Ładna formalność, psiakrew! Ale to już chyba moje ostatnie przekleństwo w tym roku. Gdy jestem zła, mam ochotę kłąć jak pijany furman.

Heinrichowie w tym roku w Hermsdorfie, trudno się temu dziwić. Mój brat stryjeczny po raz pierwszy w życiu oderwany od rodziny. Już jest na swoim własnym. Ja również, ale między nami istnieje zasadnicza różnica.

Ja tkwię na świecie sama. Jakaś gwiazda samotna. Dobrze przynajmniej, że nie jakaś... gwiazdeczka. Ale czy jest mi źle samej? Nie wiem. W każdym razie nie popłaczę się, jak wówczas pod katowicką choinką. Babcia Anna. O Boże, jakże to dawno.

Trzeba iść spać. Nie mogę jednak. Mój pokój sypialny wypełnił się w tej chwili marami różnych wspomnień. Rok temu? Stałam właśnie przed perspektywą samotności na warszawskim gospodarstwie. Świeżo wróciłam z długiego wojażu i wszystko widziałam jakoś dziwnie pomniejszone. Pomimo nowego mieszkania. Później zawróciły mi głowę różne historie masonskie, rotarianie i tak dalej. Dociekliwość uparta w tym, jak to było, jak jest i jak będzie.

Trzeba jednak skończyć z tym dzisiejszym pisaniem. Przecież jutro o siódmej, mimo wczesnej pory, jedziemy na dworzec po Francuzów. Proszki na sen - to dobry wynalazek!

Sobota - 21 grudnia

Już w Starej Wsi. Jak zwykle z Elfrydą. One również w Gdańsku zamknęły budę i zjawiły się dzisiaj. Reszty interesów dopilnują urzędnicy. My dwie w Starej Wsi, w poniedziałek przyjeżdżają z Warszawy młodzi Orzechowscy z teściami, podobno jutro po południu oczekują tutaj pana Benedykta i panów Liteńskich. Komplet. W Górkach u Leokadii miejsce dla paryskich gości, Marcin i Florencja oraz moja Liza. Drugi stryjek i ciotka Elfryda również w Górkach oraz cały komplet z Mokotowa. Uczta wigilijna u nas. W programie pasterka o północy w Nowej Wsi. Podróż na saniach, właśnie spadło trochę śniegu. Dla fasonu i jako dekoracja dla pp. de Crymoult. Czego się nie robi dla takich młodych żon!

Wyciąga się nawet z lamusa jakieś zapomniane „de”. Swoją drogą - ma wspaniałą sylwetkę. Powiewna i eteryczna. Futro prościutko z wystawy, chyba ze dwieście tysięcy franków?

Z pisaniem będzie gorzej. Od razu na wstępie, przy pierwszych pocałunkach, wesołe zapytanie Gabrysi: - Wujek opowiadał, że pisujesz stenografowany dzienniczek? - Pokryłam to śmiechem, zbagatelizowałam. Ale na pewno przy winie zaśpiewają mi chórem: - Nasza Anna pisze stenogramy!...

Do Grudziądza jadę gdańskim samochodem. Zaraz po mszy, której mi nie podarują. Dzisiaj, niemal tuż przed wyjazdem, listonosz przyniósł mi polecony list z Rabki. Na kartce, wyrwanej ze szkolnego zeszytu rysunkowego, mała Marta wymalowała kredkami dom, kilka zielonych drzewek. Podpis: Kochanej cioci Annie w Warszawie na Gwiazdkę. Nad wejściem podobizna tablicy z napisem: „Willa Magda”.

To również pozycja w moim życiu. Dobrze, że z woli ojca to na mnie trafiło. Moja siostra Zofia byłaby tę sprawę potraktowała po kupiecku, co najwyżej mechaniczne przekazywanie pieniędzy. Czy ja wiem?

Na czwartkowy ślub Zośki mają jechać tylko obaj stryjkowie. Sami, bez żon. Wymówka z gośćmi. Może uda się namówić bodaj ciotkę Elfrydę? Co do Florencji, to wiem, że nie pojedzie. Problem Kunickiego. Leokadia ma gości. Maksiu wymówi się chorobą dzieci. Ja mam zawieźć prezenty ślubne. Ślub o godzinie wpół do piątej po południu. Leokadia krytykowała, mówiła, że Zośka powinna urządzić to wszystko w domu ciotki Katarzyny, z którą żyje bardzo blisko i w dużej przyjaźni. A tak to będzie wyglądało głupio. Przecież Zośka ma rodzinę, nie jest sama na świecie. W ten sposób urządzają się tylko rozwódki. Wdowi ślub. Ale ona zawsze kierowała się swoją własną mądrością! Popsute święta, ponieważ wypadnie zanoć w Grudziądzu.

Śmieszne zwyczaje w tej Starej Wsi. Mają nocnego stróża, który obchodzi zabudowania i od czasu do czasu dmucha w jakiś rożek. Podobno dawny leśnik. Oni są do tego przyzwyczajeni i nie zwracają uwagi, ale mnie w tej chwili niemal wystraszyło. Dzisiaj śpię sama w pokoju, Elfryda z ciotką, ponieważ stryj Józef pojechał pod wieczór do Górek na rozmowę z bratem. Inaczej rozmieścili. Jutro połączą nas razem, zjedzie się moc gości. Tego starego dziada z rogiem powinni ustawić pod oknami gości z Paryża.

Stara Wieś - sobota - 28 grudnia

Prawie wszyscy są na polowaniu u Kubusia Cieleckiego. Mnie wypadło inaczej. Leżę w łóżku z silnym bólem gardła. Poobwijali mi gardło, w południe sprowadzili nawet lekarza. Nic groźnego, ale do poniedziałku będę unieruchomiona. Zaziębiłam się na weselu Zośki. Głupie to było wesele, chłopskie wesele w mieście. Dobrze, że już koniec. Obecnie przeszkadzają mi. Co chwilę ktoś wchodzi i dopytuje się, czy mi czegoś nie potrzeba. Owszem, odrobiny spokoju i ciszy do skupienia myśli.

Chyba przepiszę sobie do bloczka list zmarłej ciotki Magdy. Sam list trzeba będzie i tak dobrze schować, nie moje to są tajemnice! Gardło jednak boli podczas przetykania śliny. Taki sobie małomiasteczkowy lekarz. Kazał mi płukać gardło chinoso-lem i popijać letnią wodę z miodem i cytryną. Trzeba będzie jednak pojechać do wiedeńskiego profesora Neumanna. Nie wierzę w tego warszawskiego specjalistę od reklamowanego wycinania migdałków. A zatem list:

„Kochana Anno! Piszę ten list w Różankowie, w dniu Twoich imienin. Kilka dni temu otrzymałam od Ciebie widokówkę z Lourdes, to bardzo chwalebnie, że Wasze kroki za granicą skierowałyście do tego cudownego miejsca. Dziękuję Ci za to, droga Anno, ponieważ ten oto list przeczytasz dopiero po mojej śmierci. Lekarze ostatnio pocieszają mnie, że w moim zdrowiu nastąpiła znaczna poprawa, ale wszystko jest w rękach Pana Boga. Osobiście nie czuję poprawy i serce bardzo mi dolega. Mój koniec może przyjść nagle i niespodziewanie. A zatem muszę załatwić sprawę, która leży mi na sercu. Otóż przed

tygodniem dowiedziałam się od naszego starego notariusza o Twoim testamencie. Dobry człowiek i prawdziwy przyjaciel całej naszej rodziny. Nie bierz mu tego za złe, że nie dochował tajemnicy, ale mnie się nie liczy, ponieważ ja stoję już prawie nad grobem.

Moja Anno! Notariusz zasięgnął informacji i wszystko się zgadza. Oboje rozmyślaliśmy nad tym i gdy dziewczynka powróci z wakacji, będę starała się zobaczyć ją na własne oczy. Naturalnie w sposób dyskretny, skoro taka jest Twoja wola i zapewne wola mojego zmarłego Brata, a Twojego Ojca. Jesteśmy pewni, że pomagasz finansowo opiekunce Marty. Napisanie testamentu na rzecz dziecka to dowód, że myślisz o uczciwym załatwieniu. Człowiek jest śmiertelny i dobrze zrobiłaś.

Ja również mam zamiar postąpić w ten sam sposób. Moje rodzeństwo jest zamożne. Józef i Marcin posiadają w majątku na pewno po kilka milionów. Co do Józefa, to patrzyłam długie lata na jego dorobek, natomiast nie bardzo rozumiem młodszego brata. Zbyt szybko mu to poszło, nie znam dobrze źródeł i zawsze mam obawę, aby nie poszło równie szybko, jak przyszło. Ale Marcin ma jednak swój rozum i nie jest chciwy na grosz, jak tego dowiódł po śmierci naszego ojca. Nie przyjął spadku po swoim ojcu, ale za życia ojca chadzał własnymi drogami i bardzo często przysparzał mu wiele zmartwień. Ale o tym nie będę pisać, ponieważ to już minęło i Marcin jest bardzo ambitny. A trzeba Ci wiedzieć, Anno, że oni wszyscy wraz z moim ojcem mocno patrzyli w niemiecką stronę, mimo bliskiego pokrewieństwa przez matkę z Kawczyńskimi. Czasy nie były wówczas łatwe, o dorobek bywało trudno. Brat Juliusz się nie liczy, on żyje w innym świecie i nic mu nie potrzeba.

Wychowałam dzieci mojemu bratu Pawłowi, poświęciłam na to młodość. Oboje nie chcieliśmy dawać dzieciom macochy i dopiero po ich wyposażeniu brat pomyślał o drugiej żonie. Krótka to była jednak radość i Pawła zaskoczyła nagła i niespodziewana śmierć, Leokadia, pomimo krótkiego pożycia z Pawłem, zrosła się z nami i mam nadzieję, że po mojej śmierci właśnie ona utrzyma w rodzinie miłość i szacunek dla zgodnego życia. Co do tych dzieci, oboje zostali wyposażeni. Herta dostała w posagu dobre pół miliona złotych, Maksiu jest już na swoim i wrósł w porządną rodzinę Orzechowskich. Po mojej śmierci pomorskie folwarczki przyniosą im również co najmniej pół miliona złotych do podziału. Oboje mają zabezpieczoną przyszłość.

Postanowiłam zatem sprzedać moją wyposażeniową kamienicę w Grudziądzu i jeszcze za życia dysponować tym dobrem, które w zamian uzyskam. Jeżeli dożyję, moja Anno, to i tak zrobię Ci z tego upominek ślubny, gdybyś wyszła za mąż. W obliczu jednak możliwości nagłej śmierci od razu złożę ten majątek w ręce naszego notariusza, z przeznaczeniem, aby Ci go doręczył na Gwiazdkę, w roku mojej śmierci. To tak, jak bym Ci to ofiarowała w dniu Twoich imienin. Przyjm, Anno! Niech to będzie jakimś rezerwowym funduszem dla Ciebie i dla Twojej siostry Marty. Gdy dadzą Ci do odczytania te słowa, mnie już nie będzie na świecie. Zmarłym się nie odmawia, pamiętaj o tym! Twoja, kochająca Cię ciotka Magda. Na Twoją intencję byłam dzisiaj w kościele na Mszy świętej, modliłam się za Twoje zdrowie i pomyślność w życiu. Modliłam się również za mojego zmarłego brata, który nie postąpił dobrze z matką dziewczynki. Przebaczyłam mu, ponieważ włożył losy tego biednego dziecka w Twoje ręce, Anno. Bądź zdrowa!"

Cóż jeszcze napisać? Oboje z notariuszem pojechaliśmy na cmentarz i oboje zmówiliśmy pacierz za spokój zmarłych Jam-borów. Na grobowcu przybyła nowa płyta: Magda Jamborówna, tak sobie jeszcze za życia ułożyła zmarła ciotka, ur. 17 stycznia 1879 r., zm. 5 września 1935 r. I nic więcej. W grobowcu Jamborów trumnę złożyli u stóp jej matki, ponieważ tak sobie również życzyła od dawna.

Przy pożegnaniu z notariuszem odbyło się wręczenie mi ciężkiej paczki z akcjami. W zwykłym brązowym papierze do pakowania, kilkakrotnie związana sznurkiem, własnoręcznie przez moją zmarłą ciotkę. Nie rozpakowałam jej dotychczas. Znam jej zawartość ze słów notariusza, dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych nominalnych w pięcioprocentowych Listach

Zastawnych Miasta St. Warszawy. Oprócz tego w innych akcjach wartość kuponów ze stycznia i lipca roku bieżącego. Wierne ręce. Bez pokwitowania. Uczciwi ludzie obchodzą się bez kwitów.

Mówiłam o Marcie. Obecnie już wprost i miękko. Opowiedziałam o kupnie willi w Rabce. Wyjęłam z torebki świąteczne życzenia małej. Tablica z napisem: „Willa Magda”.

- Tak sobie wyobrażałem nieraz, moja Anno - usłyszałam słowa starego człowieka. - Taki dom pensjonat to wiara pani Woźnikowej, że przyszłość dziewczynki jest w każdym razie zabezpieczona. Pensjonat to równocześnie praca, a wypełnienie czasu pracą da dużą pewność ruchów życiowych tej kobiecie.

A zatem dobrze zrobiłam. Przecież to było bardzo krótko po zgonie ciotki Magdy. I jak tutaj wytłumaczyć moje myśli czy moją intuicję nazwania domu Jej imieniem?

Nie chce mi się opisywać reszty wydarzeń. Wesele Zośki było hałaśliwe i ordynarne. Pospolite. Miałam wrażenie, że jestem na wiejskim weselu nagle wzbogaconych chłopów. Rodzina naszego szwagra mocno nieszczególna. Głupia Zośka ściągnęła nawet Franusiów. Żona Franusia jest już mocno *romprée*, mimo strojów, futer, brylantów i pudrowania. On w dalszym ciągu poczciwy, naturalny, choć nabył prawdziwie dyrektorskiego wyglądu. Ciotka Elfryda poświęciła się i była z nami. Kunicki siedział odęty i przyglądał się nam podejrzliwie. Dopiero obecnie, gdy mamy z nim na pieńku, dostrzegam w jego twarzy jakieś nieprzyjemne błyski. Herta przyjechała tylko do kościoła, od reszty wymówiła się słabością. W istocie nieszczególnie wygląda. Prawie z nią nie rozmawialiśmy, ponieważ Kunicki był w pobliżu. Kupił sobie samochód, trzyma nawet szofera, robi interesy, pożycza pieniądze. Tak mi szepnęła ciotka Katarzyna, ona chyba dobrze się orientuje. Kominiarze byli również, wystrojeni i pewni swoich grubych pieniędzy. Dobrze, że z nimi nigdy się nie zadawałam. Wujek Kowalski smętny, wybiera się na marzec do Krynicy, razem z braterstwem, to dobrze.

Gardło boli. Już mnie mdli od popijania tego ciepłego ulepku. Po łyżeczce, co kwadrans, jak małe dzieci. Ale mi wypadło! Narobiłam kłopotu, i w same święta. W dodatku w środę czeka mnie Nowy Rok z późnym obiadem, u mnie w Warszawie, spora gromada gości, z naszymi Francuzami jako ozdobą przyjęcia. Dwadzieścia sześć osób, dobrze przynajmniej, że Leokadia przyrzekła mi pomoc. Mojej Wikcie jakoś głupio, bo słyszała o ostatnich zmianach. Dobrze jej tak, mogła nie uciekać do Górek. Zachciało się jej dyrygowania wiejskimi kluczami.

Prezenty, jak zwykle. Do Grudziądza na wesele pojechałam bardzo skromnie, bez brylantów. Nie chciałam wzbudzać zazdrości. Tylko na uczcie wigilijnej wystąpiłam, ale byłam smutna. Posadzono mnie pomiędzy obu panami Liteńskimi. W dalszym ciągu łowy i namawiania. Niemal od wszystkich dostałam coś w upominku. Pan Franciszek Józef kazał wkleić zdjęcia z naszej wycieczki w gustowny album i to właśnie mi ofiarował. Mam wrażenie, że najchętniej ofiarowałby mi swego syna Rudolfa, gdyby mógł i gdyby to od niego zależało.

Co prawda Leokadia również za nim przemawia, twierdzi, że wojskowi nie wtrącają się do interesów handlowych swoich żon, ograniczają się tylko do wojska, wyścigów, polowań i brydża. Nie bardzo w to wierzę, mają również swoje manie z samochodem, totalizatorem i kartami. Chociaż z drugiej strony nasza generałowa umiała pokierować mężem. Ona również robi własne interesy na boku, a on jej w tym nie przeszkadza. Ale mąż - to dzieci, a do tego to jakoś nie czuję nabożeństwa. Tak przynajmniej odpowiadam ciotce Leokadii, gdy mnie nagabuje.

Piszę nieporządnie, ale pisząc jakoś nie myślę o bólu. Dzisiaj pod wieczór mam wziąć na silne poty, pewno mnie uraczą bzem i malinami, jak zawsze na wsi.

Prezenty. W dodatku odmiany w życiu. Obaj stryjkowie ujęli mnie pod ręce i zaprowadzili do jakiegoś spokojnego kąta. Do ręki wsadzili mi małą karteczkę wyrwaną z

notesu i powiedzieli, że to jest ich dar na Gwiazdkę. Mam obecnie w ręce tę karteczkę, zachowałam sobie na pamiątkę. Pismo stryjka Marcina:

Zarząd spółki: prezes, Józef Jambor, David Garden, członek zarządu i dyrektor zarządzający, Anna Jambor, członek zarządu. Rada Nadzorcza: prezes, generał Władysław Wirewicz, członkowie: Marcin Jambor, Elfryda Garden, dr Johann Garden, Płaton Dubow, dr Carl Miliz, Charles D. Garden, prezes Jakub Fajans i dr Jerzy Szarski.

W pierwszej chwili zatkało mnie. Od razu zapytałam, co będzie w takim razie z moim radcowaniem w ministerstwie. Na razie dalej. Przed obiadem ministerstwo, a po południu dwie godzinki na parterze. A może i krócej, to się samo ułoży - tak powiedział Marcin.

Trochę już nad tym rozmyślałam. Stryjek Józef będzie stosunkowo rzadkim gościem w Warszawie, a ja zostanę sama z tym panem Davidem Gardenem. Umie po niemiecku i po francusku, ma skończony uniwersytet w Cambridge. Koło czterdziestki. Jako członek zarządu mam pilnować drugiego członka, który będzie równocześnie dyrektorem przedsiębiorstwa. Rozumiem to jako patrzenie na ręce. Klucz od finansów. W imieniu obu stryjków, boć przecie to jest ich firma. Akcyjność spółkowa to tylko dekoracja i szyld potrzebny do robienia w sposób anonimowy dużych interesów bankowych. Pytałam o wynagrodzenie. Dobrzy sobie! Powiedzieli mi, że to jeszcze nie wiadomo, że będzie zależało od uchwały walnego zgromadzenia akcjonariuszów. Zawracanie głowy! Ze stu tysięcy porobili różne prezenty ciepłą rączką, a zaledwie dwieście tysięcy wypuścili na wolny rynek do sprzedaży. Dobrze zrobiłam, jak z tego widzę. Oni nic nie wiedzą o moich akcjach kupionych na boku. Moje drugie pięćdziesiąt tysięcy będą mogła dobrze odsprzedać, gdy się zdarzy okazja. Na razie ich nie ujawnię, moje akcje założycielskie figurują na liście uczestników przyszłego walnego zebrania, to się rozumie samo przez się. To „walne” to rodzinna humoreska. Marcin wspomniał, że jeszcze dojdzie dodatkowo dwóch członków rady nadzorczej, co do nazwisk na razie nie są zdecydowani. Taki członek rady musi posiadać dziesięć tysięcy w akcjach „spółki”.

Kończę. Głupie obyczaje. Nasi myśliwi wracają. Tutaj w Starej Wsi kolacja. Grają właśnie na rogach. Zapomnieli o tym, że świat modernizuje się. W każdym razie nasz generał wywindował się na prezesa w drzewie. Amunicja mu już widocznie nie wystarcza.

Jak na początek, to nieźle. Posiedzenia zarządu ekstra po trzysta złotych, rada nadzorcza po pięćset złotych, premium dla prezesa rady nadzorczej dwa tysiące złotych, zamiast zwykłego żetonu pięćsetzłotowego. Popatrz, popatrz...

Gardło jednak boli.

Ciekawi są ci wiejscy szlachcice. Mają syna lekarza, a sprowadzili mi małomiasteczkowego eskulapa. Ale takiego, który leczył Gabrysię i jej brata, gdy byli dziećmi. Taki mocno już stary pan z siwą brodą. Śmiał się i powiedział, że kryzys nastąpi dzisiejszej nocy, a jutro rano ma mi się polepszyć. Potraktował mnie jak rozkapryszone dziecko. Naturalnie od razu zostawili go na podwieczorku i posadzili przy stoliku karcianym. Zdradziła mi Elfryda. Nie wytrzymałabym długo na takiej wsi. Nudno. Teść młodego Orzechowskiego odwiedził mnie również. Uśmiechnął się, opowiedział mi kilka zawitych kawałów i na tym był koniec.

Zapomnieli o mnie. Obecnie podczas kolacji opowiadają na pewno o zającach, które zabili. W sumie sto osiemdziesiąt trzy - tak powiedział Kubuś, który najpierwszy ze wszystkich przybiegł mnie odwiedzić. Dobrze przynajmniej, że to były tylko zające, a nie lwy. Co by robiły cyrki? Ale to chyba gorączka mnie ogarnia. Dzwonię.

Niedziela - wieczorem

Prawie dobrze. Widocznie poty pomogły. Naowijali mnie! Sama nie wiem. Jutro wstanę z łóżka i w południe spróbuję wrócić do domu. Miałam zepsute święta. W najbliższych

dniach czeka mnie harówka. Przyjęcie noworoczne, później kilka dni harmidru ze spółką akcyjną. A następnie -- procedura cywilna. Tfu...

W Sylwestra

Wykręciłam się od zabawy w lokalach. Choroba i żałoba. Z gardłem muszę uważać. Powinnam się trochę zahartować. Tak mi powiedział warszawski specjalista. Honorarium sto złotych. Wiedziałam to bez niego. Rok temu szaleliśmy w Szczytnikach u wujcia Benedykta. Przychodziły mi głupie pomysły do głowy. Małżeństwo z panem Szczytnickim - zamiast podtykanego mi sąsiada. O czym ja wówczas rozmyślałam? O kupnie kamienicy w Poznaniu i odkręceniu się od bławatów. Miałam stracha przed nowym biurem. Tonęłam w cyfrach i obliczeniach. Analizowałam lakiery w sposób tak namiętny, jak gdybym widziała w nich całą moją przyszłość. A tymczasem lakiery to bardzo sztywny interes. Ograniczone możliwości. Tak zawsze bywa w życiu, nowe obrazy przysłaniają stare wspomnienia. Później marzyłam o wybudowaniu jakiejś drugiej „Acacii”, a w rzeczywistości na jawie dokończyłam budowy szkieletów dwóch domów czynszowych po jakimś samobójcy na Pradze.

W tej chwili nasza paczka pokazuje paryskim kuzynom tutejsze mizerie lokalowe. Dobrze, że dzisiaj nigdzie nie wychodziłam. Towarzystwo szalało już od południa. Dzień Mokotowa. Pan prezes Wirewicz, trzeba będzie przyzwyczaić się do tego terminu. Pani prezesowa z Mokotowa. Ech, do diabła starego! Zażyję dwa weronale. Całkiem zwyczajnie prześlę ten stary rok i od razu obudzę się w Nowym Roku.

Na Pomorzu o tej godzinie łobuziaki strzelają z kalichloru na kamieniu, a kupieckie żony przygotowują bolę z taniego czerwonego wina, zrobionego w domu. Przeżywałam już takie Sylwestry!

Czwartek - 2 stycznia 1936

Kołodowanie z urzędniczymi życzeniami. Piszę te słowa w biurze. Właściwie wszystko stanęło. Jedni wrócili ze świąt, drugich nie ma w biurze. Po prostu nie ma i koniec. Przedwczoraj w Sylwestra na przyjęciu mokotowskim był mój minister. A ja akurat wylegiwałam się w domu. Pewnie mi załatwili pozwolenie na objęcie stanowiska płatnego członka zarządu w spółce. To przecież jest synekura rodzinna, nie łudzę się co do tego. Patrzę trzeźwo na świat. To wszystko byli wojskowi, którym dano ciepłe posadki.

Wczorajsze przyjęcie u mnie udało się. Trzydzieści dwie osoby. Mój profesor zdążył powrócić do Warszawy i ponownie zjawił się wystrojony jak choinka. Nowy frak. Święta spędził w Wiedniu u Eibenschutzów.

Jak się to wszystko potoczy?

Piątek - 3 stycznia

Po południu zjawił się szwagier Tuchołka. On również nabył dziesięć tysięcy złotych i wyobraża sobie, że go wybiorą do rady nadzorczej. Myśli, że to pomoże mu w dalszych wyrębach lasu. Będą mu tłumaczyć, że zepsuły sobie karierę jako starosta. Pewnie jednak obrazi się, już to widzę i przeczuwam.

W niedzielę mamy urządzić zebranie właścicieli firmy „Sol”. Zmiana warty. Ustępuję ze stanowiska kierownika firmy, moją pensję przejmuje cioteczna siostra pana prezesa. Z kaprała awansowałam na sierżanta. Tak bywa na świecie. Pani Moderska, wdowa, podobno z wykształcenia magister chemii. Pewnie przejmie również udział po pani prezesowej. Wypisuję te nowe tytuły wielkimi literami i bez żadnej stenografii. Bardzo dobrze, nawet bardzo!

Dzisiaj przed wieczorem odwiedziłam moich stryjków w gabinecie na parterze. Doktora Tadeusza Mizresa poznałam już przedtem, ktoś w rodzaju handlowego prokurenta, pensja tysiąc dwieście, ponadto dyrektor techniczny, inżynier Jan Pakulla, półgdańszczanin,

fachowiec od drzewa - dwa tysiące, oraz pani Maria Wiszniewska, buchalterka - osiemset. Mizresa dostarczył Marcin, Pakullę stryj Józef, Wiszniewską - generał. Biuro już się kręci, urzędują po angielsku, na dwie raty z przerwą obiadową. Od dziewiątej do pierwszej i od trzeciej do siódmej wieczorem.

Na dole nie zdają sobie sprawy z mojego przyszłego charakteru w spółce. Pan Pakulla przywitał mnie raczej jako krewną właścicieli, co do tego nie mają chyba żadnych wątpliwości.

Dzisiaj była na górze kolacja w ścisłym gronie rodzinnym. Nie zjawił się tylko Tuchołka, pomimo zaproszenia. Wymówił się jakimś umówionym przedtem spotkaniem, być może urażony, że go nie umieściłam u siebie. Ale gdzie? Stryjkowie z Gdańska w pokoju gościnnym na pierwszym piętrze, Leokadia w pokoju gościnnym u mnie, a ja z Elfrydą w mojej sypialni. Przecież widział na własne oczy. Nie jest studentem, aby go umieszczać na kanapie w gabinecie. To dobre na wsi, ale nie w mieście. Jutro i tak obrazi się do reszty!

Jutro. Na walne zebranie przewidują bite dwie godziny, ponieważ trzeba będzie czytać w całości statut spółki. Długa kobyła została już naprzód wydrukowana. Napisana przez dwóch radców prawnych, starych wygów. Gdyby nie to, rzecz całą można byłoby załatwić w ciągu małej pół godzinki. Po zebraniu odbędzie się od razu pierwsze wspólne posiedzenie rady nadzorczej i zarządu, w godzinę później bankiet w miniaturze, wydany na pierwszym piętrze przez stryjkę Józefa w charakterze prezesa zarządu. Kuchenna winda z drugiego piętra i pan Karol Petras w swojej drugiej roli teatralnej. Kilka osób z zewnątrz. Przyjęcie pierwszej klasy z szampanem *et caetera* bomba i ska.

Goście francuscy do Trzech Króli na polowaniach w okolicy pana Szczytnickiego, przypadli sobie do gustu. Maksiu zapewne w roli męża przyszłej dziedziczki Szczytnik. Później pożegnanie Warszawy u „prezesostwa” na Mokotowie i wyjazd sleepingiem do Zakopanego. Do towarzystwa Leokadia i wujcio. Nasz warszawski samochód pojedzie pusty do Zakopanego i zostanie tam do dyspozycji gości do końca wycieczki.

W dzień Trzech Króli odjazd gości z „Acacii” do domu. Anna zostanie sama na gospodarstwie. Do towarzystwa stary profesor Wydra, a do wspólnictwa w zarządzaniu spółką Mr David, który zjawi się dopiero jutro rano berlińskim pociągiem i zamieszka na razie w „Bristolu”. Oprócz doktoratu ma pięć lat praktyki w angielskim drzewie Gardenów, podobno rudzielec i dwa metry wzrostu. Zresztą zobaczę na własne oczy. Przed czterema laty bawił w Warszawie przez kilka dni w gościnie na Żoliborzu, ale ja wówczas nie marzyłam jeszcze o drugim piętrze przy ulicy Hortensji. Czekałam jedynie z niecierpliwością na uzyskanie dyplomu ekonomicznego. Profesor Taylor również nie myślał o tym, że jego uczennica zostanie członkiem zarządu towarzystwa polsko-angielskiego i tak dalej. Kobiety, jego zdaniem, co najwyżej mogły nadawać się, pod jego kierownictwem naturalnie, do przetłumaczenia jakiegoś Cannana.

CHRONOLOGIA WYDARZEŃ

Część pierwsza MINISTERIALNE KONKIETY

Grudzień 1932 - maj 1934

Rok 1932

Grudzień - To jest twoje mieszkanie, Anno - Florencja należy do Marcina - Do czego zdolna jest Erna - Wiejski ślub Marysi - Ktoś ma interes do Anny w Grudziądzu - Marta

Rok 1933

Styczeń - Gorset to rycerski pancerz kobiety - Kontraktowy radca w Ministerstwie Skarbu - Gdańskie rozmowy - Nie myśl, głupcze, że byłam dziewicą - Była księża gospodyni - Kruczek wkłęca się do dyrektora Marcina Jambora - Pierwsze przyjęcie u Anny - Wizyty rodzinne

Luty - Spłata Pelasi - Pierwsze bale warszawskie i jak na nie należy patrzeć - Faustyn Kruczek nie ma zamiaru rezygnować ze znajomości - Wkręcam się w świat warszawski - Spełnione marzenie: francuska kozetka przybywa do mieszkania Anny - Zaczynam mieć powodzenie - Czym jest erotyka

Marzec - Podkoziółek dla kolegów z biura i popielcowe rozważania - Mieszkanie już urządzone, meble na swoim miejscu - Sylwetka z kanadyjskiego magazynu - Wicedyrektor departamentu - W roli stenografki - Wieniawa jako atrakcja przyjęcia - Powrót do skryptów i poglądy na prawo

Kwiecień - Prymaprylisowa pocztówka - To jest moja siostra - Stryj Juliusz wylądował w Gdańsku - Przyjaciółka Grabowskiego - Wielkanoc w Górkach - Stryj Juliusz w gościnie u Anny - Perspektywy wyjazdu za granicę - Nominacja na radcę etatowego nie robi wrażenia - Trzeba się jednak zdecydować na zapisanie do Bebewueru

Maj - Anna w Berlinie - Christian von Jamsborck - Nowy „von” jedzie na placówką dyplomatyczną - Kruczek aresztowany - Zośka nie miała się kiedy wybrać - Belgrad - W prywatnej gościnie - Pchła na końcu szpilki - Ogólne wrażenie i szczegółowe statystyki - Gregor Zajlicz - Niedzielną wycieczką i oświadczyzny biurokraty - Warszawa gości Mrs Maltz i Elżę Dubow

Czerwiec - Zajlicz interesuje się paryskimi lakierami - Cztery orderzy dla dziewięciu osób - Nareszcie w domu, order zostaje umieszczony w serwantce - Przyjęcie dla dygnitarzy - Ciotka Temmi proponuje Annie przedstawicielstwo lakierów - Imieniny stryja Pawła

Lipiec - Przyjęcie dla biura - Trzeba się zabrać do skryptów - Dwa tygodnie w Poznaniu - Niepotrzebne rozmowy podczas trzeciego egzaminu prawniczego - Zjawia ostatniego kochanka - Próba określenia swej osobowości w danym momencie życiowym - Stryj Marcin radzi jechać do Krynicy i asystować francuskim kuzynkom

Sierpień - Po drodze do Krynicy Rabka - Głębsze wniknięcie w historię Marty i jej rodziców - Krynica. - Gdyby stryj Juliusz miał milion dolarów - Julcia Murska - Przyjęcia, których atrakcyjność sprowadza się do żarcia i młócki brydżowej, są nudne

Wrzesień - Mała chodzi do szkoły w Grudziądzu i jest zdrowa - Własna ścieżka życiowa to krytycyzm, tramwaj to życiowy oportunist - Pięć procent na początek, a potem dwa procent od interesów Quatre Pieds z Zajliczem - Ciotka Temmi ponawia propozycję w sprawie lakierów - Marcin uzupełnia rewelacje Elzy; wszystko jak kamień w wodę

Październik - Zawieszenie miniatur z Górek - Ekonomia polityczna paryskich lakierów - Kupieckie małżeństwo na trzy lata - Przy gościach najważniejsza jest data odjazdu, czyli młodzi Michalscy w Warszawie - Kabaret, kobiety i szaszłyk - Annę podano do krzyża zasługi w srebrnym wykonaniu - Ildefons Gałczyński - Jedyne jasne czyn w życiu

Listopad - Na grobach rodziców i dziadków - Otoczenie kształtuje człowieka - Tragiczna śmierć stryja Pawła - Z Leokadią jest niedobrze

Grudzień - Wspomnienia pożerają ludzi na raty - Mokotów i spokojne rady - Anna stara się o dłuższy urlop - Lekarz doradza małżeństwo - Wyjazd na święta Bożego Narodzenia na wieś do Tuchołków

Rok 1934

Styczeń - Obdłużony majątek i zrujnowany pałac magnacki - Gubernialne miasto z powieści Gogola pomniejszone do rozmiaru powiatu - Życie nasze składa się tylko z cyfr i różnych myśli - Lokal sklepowy dla lakierów - Kłopoty z podpisami na uniwersytecie - Belfrów można nabrać - Leokadia w przejeździe do Miłowodów - Józinkowie budują willę - Anna rozmyśla o testamencie i odwiedza Martę

Luty - Urządzanie sklepu - Wąbrzeźno to kopalnia złota - Zośka i ja, każda z nas żyje własnym życiem - Cyfry i projekty - Powstanie spółki do lakierów - Imieniny w Bydgoszczy - Miłowody - Trylogia Sienkiewicza w charakterze środka leczniczego

Marzec - Lekarze doradzają Leokadii Włochy - Choroba starego doktora - Znowu Warszawa: praca w ministerstwie staje się ciężarem nie do zniesienia - Pogrzeb doktora - Odwiedziny Maksiów

Kwiecień - Wielkanoc w Warszawie - Remont sklepu już skończony - Odwiedziny konkurencji - Legat starego doktora - Zjazd Jamborów w Grudziądzu - Ślub wujka Kowalskiego - z Julią Murską - Anna pisze testament - Ciotka Leokadia zaprasza Annę na dłuższy pobyt za granicą - Znowu w Poznaniu przy ulicy Wyspiańskiego - Spotkanie pana Jerzego - W Annie budzą się różne pożądanía

Maj - Zakopiańska eskapada - Leokadia odmieniona - Panna Beata Walczak - Poświęcenie lokalu sklepowego - Poglądy Anny na małżeństwo - Osobliwa lektura - Brydż u znajomych - Annę pociąga przygoda, ale nie ulega - Trzeźwe postanowienie - Ciotki uradziły, że Anna ma się przenieść do większego mieszkania - Przygotowania do podróży, zwierzenia - Postęp to Słówka Boya zamiast kantyczek

Część druga

NOWE PODRÓŻE Czerwiec - grudzień 1934

Rok 1934

Maj - Paryż, państwo Krymułtowie rozeszli się na dobre - Zajlicz kupił w Paryżu cztmastokaratowy brylant

Czerwiec - Swobodniejsza atmosfera w pawilonie przy rue du Pont Vert - Pierwsza prowizja od interesów z Zajliczem - Płaton Dubow jest lepiej poinformowany, kiedy Marcin i Florencja przeniosą się do Szwajcarii - Po raz drugi w rosyjskim kabarecie - Paryż i Warszawa - U Elzy w Cannes - Anna przychwycona na stenografowaniu dziennika - Nietrudno się domyślić, kto prowadzi rejestry kochanków

Lipiec - Marsylia - *Voyage aux Pyrenees* - Oberża w Arles - Od Avignonu do Lourdes - Przeżyliśmy Lourdes - Dziesięć dni w autokarze - Biarritz, odpoczynek po Pirenejach - „Villa les Orangers” - Leokadia marzy o włoskim wachlarzu od Wenecji do Taorminy

Sierpień - Z Francuzami nie warto zbyt delikatnie - Walka byków w San Sebastian - Dwóch starszych panów z Warszawy - Zagraniczni partnerzy do brydża - Nimes-Cannes - List panny Beaty - Już trzy miesiące - Anna tłumaczy Elzie Słówka Boya na język francuski - Wyprawa na Korsykę bez udziału Anny - Idylla rosyjskiego emigranta ze szwajcarską kucharką - Co powiedzieliby ludzie za trzysta lat czytając stenogramy Anny - Bonapartady - Państwo Orzechowscy w Montecatini

Wrzesień - Przez Florencję do Montecatini - „Albergo la Pace” - Lekarze i zabiegi kuracyjne - Pan Franciszek Józef Liteński - Herbarzowe pogawędki - Anna chudnie, kuracja działa - Zgadało się o Tuchołkach: pan starosta uwierzył w wielkość swojej osoby

Październik - Wróg Mussoliniego - Aresztowanie markiza - Rozmowa z agentem policyjnym - Rzym, antyczna przeszłość - Tłumy rzymian potrącane przez obcych - Sorrento - Lazurowa grota bez świateł - Na północ

Listopad - Wenecja - San Remo - Meine Herren - Odwiedziny Elzy - Marcin tajemniczy jak zawsze - Zwierzenia przy czarnej kawie i likierach - Pierwsze małżeństwo Marcina - Objeżdżamy samochodem włoską Riwierę

Grudzień - Imieniny Leokadii w Cannes - Czego można oczekiwać w małżeństwie - Jaki kochanek jest najlepszy - Trzeba wracać - Ostatnie dni w Paryżu - Opowiadanie o Benderach - Jestem kosmopolitą - Pokaz w salonie mód - Anna myśli o małżeństwie

Część trzecia BRYLANTOWE BUTONY

Grudzień 1934 - lipiec 1935

Rok 1934

Grudzień - Nowe mieszkanie to tylko ramy, które trzeba wypełnić nowym życiem -
Perspektywa dwóch lat w nowym ministerstwie - „Rotary International” i „Bnei Brith” - Na
pierwszym pięttrze zamieszka prof. Wydra - Nowy styl gospodarstwa - Troje służby i
samochód - Krewni i interesy - Kandydaci na mężów - Anna czuje się na mocnych nogach -
W Szczytnikach

Rok 1935

Styczeń - Wiejskie szaleństwa - Pertraktacje o kupno kamienicy w Poznaniu - Wąbrzeźno -
Wartość majątku - Na horyzoncie spłata Krystynka - W nowym ministerstwie - Anna kupuje
kamienicę od Józinka - Bilansowe cyfry w lakierach - Anna zastawia papiery wartościowe
Marcina - Przed wyjazdem do Wiednia - Profesor Wydra dyskretnie egzaminuje Annę -
Rozmowa pod portretem prababki - Wilcze dziecko - Trentowski - Gdańsk przekazuje
Krystynkowi dolary - Hotel „Astoria” w Wiedniu - Elza i ulica Flory - Zajlicz przeszedł
wszelkie oczekiwania

Luty - Poznają nową Elzę - Domowe gęsi mają lżej na świecie - Ringbaronowie - Paryskie
prowizje - Nowa przyjaciółka - Konsul naprawia błędy towarzyskie - Koledzy z delegacji
rządowej - Tłumne pożegnanie Anny na dworcu - Leokadia w Warszawie

Marzec - Leokadia nie ma o czym rozmawiać z prof. Wydrą - Przyjazd Michałów i wspólna
podróż do Wilna - Coś przełamało się w Annie - Łzy upokorzenia i odejście od katolicyzmu -
Głupstwa astrologiczne - Imieniny stryjka Józefa - Hitlerowcy gdańscy - Kupno firmy
żydowskiej - Stare dzieje rodziny Wildorfów - U ciotki Katarzyny - Pierwszy krok do
wycofania się z bławatów - Przyjęcie u Anny - Trzeci rząd Walerego Sławka

Kwiecień - Kamienica w Grudziądzu sprzedana - Złote monety Pelasi - Anna pożycza
szwagrowi dwanaście tysięcy - Dwie książki Romana Dmowskiego - Wiadomość o śmierci
generała Zbysławskiego - Pierwszy kwartał w lakierach - Przerzucenie dolarów z Paryża do
Genewy - Myszkowanie na strychu w Górkach - Udział w śrubkach Zośki - Pocięcha z
woźnego - Stryj Józef jedzie do Tuchołów - Rejestry gospodarcze rodziny Bidzińskich z
końca XVII wieku - Wnętrze mieszkania Anny nabiera nobliwego wyglądu

Maj - Gdańska firma obejmuje wyrąb lasów w majątku Tuchołki - Pani Orzechowska chce
Annę wydać za mąż; Anna pyta o majątek kandydata - Pan Zajlicz w Warszawie - Abisyńskie
interesy - Śmierć marszałka Piłsudskiego bez wrażenia - Anna kontaktuje gości z

Mokotowem - Choroba

Czerwiec - Siostry zakonne - Powrót do domu - Dwie opinie Marcina o Mr Kreissie - Skrytka
w biurczku - Pani Kalatowa - Heinrich zakochał się w Berlinie - Płochocin - Anna jedzie
obejrzeć narzeczoną Heinricha - Znowu cyfry - Lwów telegrafuje o urodzeniu się
dziewczynki - Dom w Hermsdorfie i ruiny w Jamsborgu - Pastor Willy Schmidt - Dawne
historie

Lipiec - Podróż do Szwajcarii - Willa „Acacia” - Witraż Mehoffera - Łaciński napis na szafie
gotyckiej - Lozanna i Wieroczka - Genewa - Marcin wiedział o historiach sprzed stu lat -
Poufna rozmowa wyjaśnia wiele spraw - Przez Wiedeń do Budapesztu - Brylantowe butony -
Powrót do Montreux - Jeszcze raz Wiedeń

Część czwarta W POWODZI INTERESÓW

Lipiec 1935 - styczeń 1936

Rok 1935

Lipiec - Prof. Wydra mówi: zaczęli panią ganiać - Ludzie są podli, ale co mi na tym zależy -
Biuro to głupi wynalazek - Paryska wpłata Zajlicza - Historia rodziny von Jamsborg -
Rodzina von Goltorpp - Kłopoty z bankami - Znosi się na wycieczkę morską - Imieniny
Anny - Podróż do Gdańska - Jeszcze o firmie Brock

Sierpień - Harówka w oficjalnościach - Anna oddaje stryjkowi tysiąc dolarów - Sprawy
Heinricha załatwione pomyślnie - Cel życia ludzkiego - Pan „de Crymoult” zawiadamia o

swym ślubie - Biuro firmy drzewnej zostanie otwarte przy ulicy Hortensji; Anna przymawia się o udział - Pani Woźnikowa nareszcie zmądrzała - Wujek Kowalski rozchodzi się z Julcią - Wiedeńskie wymówki Marcina - Na statku - Palermo - Algier
Wrzesień - Blida i Wybrzeże Turkusowe - Małpy i ludzie - Sewilla - Grenada - Lizbona - Monserrate - Bal na statku - Zwiedzanie wystawy w Brukseli - Rozmowa w barze - Anna ma już dość wycieczki - Wiadomość o śmierci ciotki Magdy - Wujek Kowalski we Lwowie - Wystawowy medal - Anna przybywa do Rabki - Kupno „Stelli” na nazwisko Marty - Nieporozumienia Jamborów z doktorem Kunickim - Anna postawiła na Marcina i zrobiła karierę
Październik - Promocja Heinricha - Ślub w Hermsdorfie - Jeszcze o rodzinie Jamsborg - Anna ryzykuje kupno dwóch niewykończonych domów na Pradze - Emocje niesłychane; wyścig z pogodą - Udział w firmie londyńskiej - Bławaty sprzedane - Sto tysięcy wujka Kowalskiego - Tajemnicza śmierć Zajlicza w Egipcie - Mr Kreissa należy przyjąć bez zmruczenia oczu
Listopad - Walka o trzy dni pogody - Anna tonie w długach, lecz zagraniczne konta nienaruszone - Wiadomość o zamierzonym małżeństwie Zośki - Nowe kłopoty z Kunickim - Walizka wujka Jana ratuje sytuację - Anna ma dobrze: spaceruje po świecie z cyframi w głowie - Kupno na boku dodatkowych akcji drzewnych - Przyszły szwagier Strękociński w Warszawie - Praca dyplomowa przyjęta
Grudzień - Anna zabiera się do skryptów - Mr Kreiss w Warszawie - Helenka chce pojechać tylko przez Rumunię - Poprawka z procedury - List od grudziądzkiego notariusza - Państwo de Crymoult w Warszawie - Stara Wieś - Choroba - Chłopskie wesele Zośki w Grudziądzu - List zmarłej ciotki Magdy i podarunek - Gwiazdkowy prezent stryjów

Rok 1936

Styczeń - Kolędowanie z życzeniami - Stanowisko Anny w spółce drzewnej - Profesor Taylor nie przewidywał, że jego uczennica zostanie członkiem zarządu dużej spółki akcyjnej
Drzewo genealogiczne rodziny von Jamsborg

Okładkę projektowała EWA LUBELSKA FRYSZTAK

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1959 r. Nakład 10 000 250 egz. Ark. wyd. 38,1. Ark. druk. 43,0. Papier diak. sat. kl. V, 70 g, 61X86 cm. Oddano do składania 29.XII.58 r. Druk ukończono we wrześniu 1959 r. Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego w Warszawie. Zam. 7667/A W-80. Cena zł 38.-